



205/63
Mścisław Edgar Trepha,
D-r filozofii.

ANGLIA I ANGLICY.

STUDYA.

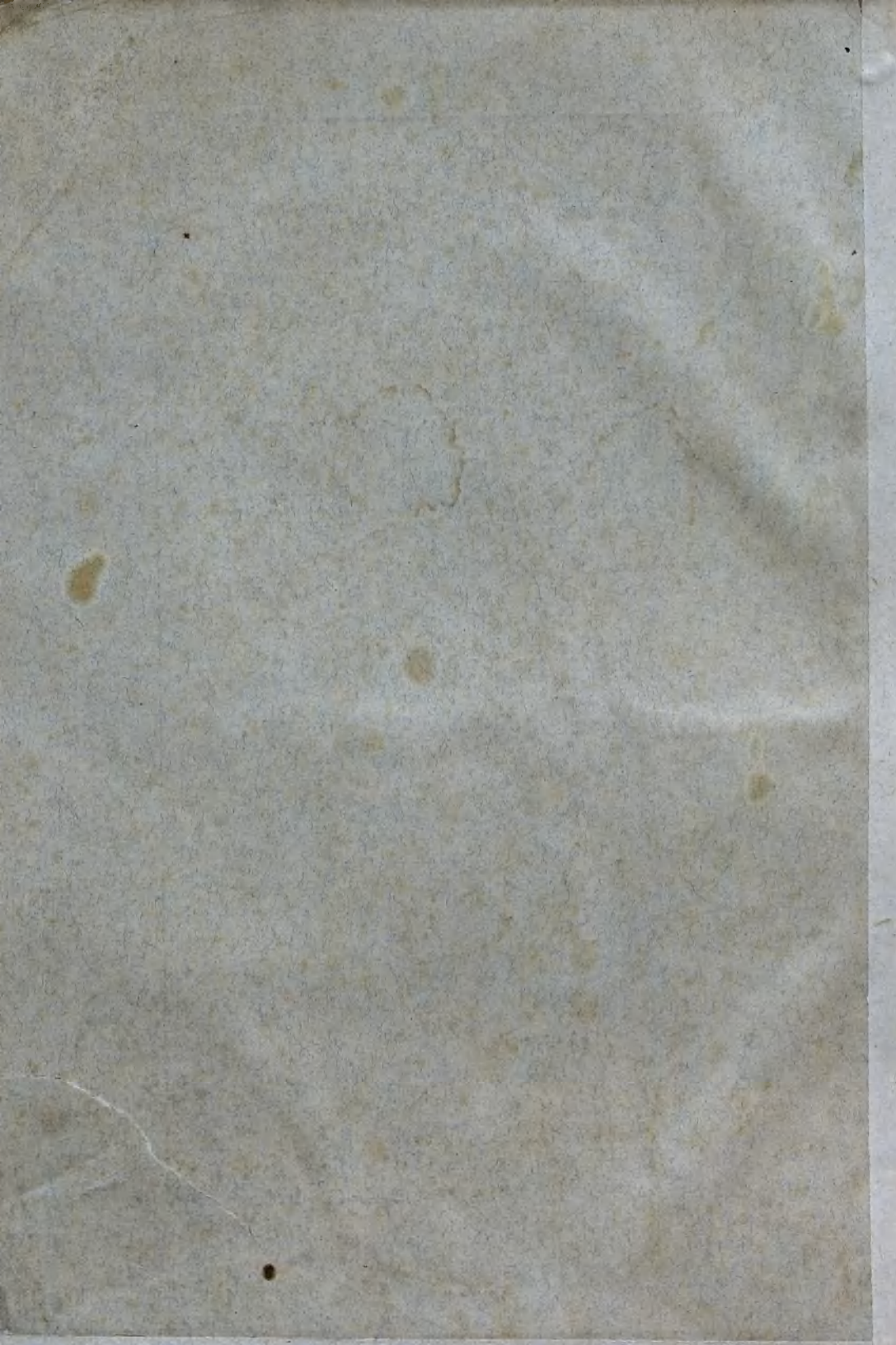
WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1895.



ANGLIA I ANGLICY.

Mścisław Edgar Trepha,

D-r filozofii.



ANGLIA I ANGLICY.

STUDYA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

—
1895.

205/63

H III. 7g

178124
II

Дозволено цензурою.
Варшава, 20 Марта 1894 г.

D.K. Antyko. Monh.
Książ. Łomkowska 10
8.I. 63. 45-22



Druk Józefa Filipowicza, Złota Nr. 3.

Adolfowi Pawińskiemu

w serdecznym upominku

przesyła

Autor.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Od autora	1
Anglo-Sasi jako rasa przyszłości	3
Era Wiktoryi	20
Kolonialna potęga Wielkiej Brytanii	43
Usamowolnienie Irlandyi	91
Parnell	144
Kwestya religijno-kościelna	165
Własność ziemska	194
Organizacya robotnicza	215
Stowarzyszenia robotnicze spółdzielcze	246
Kasy emerytalne dla robotników	260
W czeluściach Anglii	267
Municypalność Londynu	289
Uniwersytet londyński	311
Biblioteki i czytelnie publiczne	331
Hrabia Shaftesbury	351
Pijaństwo i wstrzemięźliwość	373

OD AUTORA.

Zdarza się nieraz, że wydając w całkowitym zbiorze studia, pierwiastkowo po pismach peryodycznych rozrzucone, autor ich czuje potrzebę usprawiedliwienia się z takiego przedsięwzięcia moralnym naciskiem, wywartym nań przez kompetentnych znawców, naciskiem, któremu uleść był zmuszony.

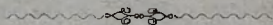
Autor obecnego zbioru nie może się żadną tego rodzaju wymówką zasłonić—i jeżeli zgrzeszył, to na nim samym odpowiedzialność za grzech ten ciąży.

Podczas długoletniego swego pobytu w Anglii, w miarę jak się z jej instytucjami i zwyczajami zapoznawał, w miarę jak jej ducha zgłębiał, pisywał do kilku poważnych przeglądów polskich, bez żadnego z góry obmyślanego planu, studia, które jedną przynajmniej dodatnią posiadają stronę: są wizerunkiem i echem bezpośrednich wrażeń, są zeznaniami osobistego świadka.

Z pomiędzy wielkiej liczby tych *essay*ów wybranymi tu zostały te tylko, które trwalszą aniżeli okolicznościową zdawały się posiadać wartość. Z natury traktowanych w nich przedmiotów rozpadają się one na dwie części: polityczno-społeczną i literacko-artystyczną. Postawione jedno obok drugich, pozwolą one czytelnikowi polskiemu nabrać przybliżonego choćby wyobrażenia o oryginalnym, skomplikowanym świecie anglo-saskim.

Przy braku wszelkiej systematycznej o nim pracy w piśmiennictwie naszym, studia obecne będą mogły posłużyć jako przygotowawczy do niej materyał. W każdym razie cel ich będzie więcej niż dopiętym, jeżeli do bliższego wniknięcia w organizm angielski zachęcą.

Londyn, w lipcu 1893.



Anglo-Sasi jako rasa przyszłości.



kanina ludzkości z różnorodnej spleciona jest przędzy. Rasy, plemiona, narody pojawiają się i znikają na dziejowej widowni, jedno służąc za podścielisko drugim. W bezdenną otchłań wieków zapadło z nich wiele, których bytu nawet nie podejrzewamy, a nawet gdy w neolitycznych jaskiniach odgrzebywane bywają czaszki już do naszej rasy należące, to antropologowie zmuszeni są stawiać sobie przed niemi znak zapytania. W bliższych nas, już historycznych czasach stwierdzamy co moment efemeryczną rolę, odegrywaną przez narody i państwa, które do podbicia całego otaczającego świata zdążyły. Jak sprawiedliwie Aug. Comte powiedział, więcej umarłych niż żywych składa się na ludzkość. Na grobowcu jednych niepodobna nam jednakże żadnego położyć nazwiska; o trwałości i nieśmiertelności drugich czytamy wprawdzie napisy, wyryte na piramidach,—ale jeżeli głazów ich nie zjadła jeszcze rdza stuleci, to nie można tego samego powiedzieć o tych, co je napiętrzyli; te narody wiodły ślimacze istnienie, tamte znowu jak błyskawiczne meteory przemknęły po

widnokregu: ale mimo tej różnorodności objawów, mimo różnic czasu, miejsca i środowiska, nauka współczesna miała prawo postawić jako niezbitą pewnik, że nie tylko państwa i społeczeństwa, ale nawet szczepy i rasy, na jakie obecnie rozpadają się mieszkańcy kuli ziemskiej, nie są ostatecznymi, lecz że przyszłość, mniej lub więcej daleka, w nowe ukształtuje je formy i odmienne nawet stworzyć może typy. Niepodobna nam ich przewidzieć, to prawda, jeżeli życie ludzkości nie jest zagrożone blizkim a ostatecznym kataklizmem i jeżeli toczyć się będzie przez lat tysiące.

Ale z drugiej strony, jeżeli, osobistym powodując się intersem, ograniczymy się do wymiarkowania cechy charakterystycznej wieków bezpośrednio po naszym następujących, to nie tylko będzie nam dozwolonem ciekawość naszą zaspokoić, lecz znajdziemy się wobec wskazówek, posiadających wszelką możliwą w tego rodzaju przewidywaniach dozę pewności. Rasa biała wytrzebi do reszty słabe już szczątki miedzianoskórej, zmniejszy ilość rasy czarnej, a przez krzyżowanie z mieszkańcami uczyni ją jako szczep bezpłodną i znajdzie się na koniec w walce o pierwszeństwo jedynie wobec rasy żółtej. Biorąc dalej na uwagę cywilizacyjny zastój tej ostatniej, a energię, działalność i postępy rasy białej, można przysądzić jej kulę ziemską jako niechybną spuściznę. Nie potrzebujemy zresztą uczuwać najmniejszej troski co do losów rasy białej. Od dwudziestu pięciu wieków była już ona mistrzynią świata, a siły jej rosną w odwrotnym stosunku do coraz słabszych jej współzawodniczek. Gdzieindziej leży dla nas jądro kwestyi. Czy rasa biała sama jedna rozpostrze się na obu półkulach, czy też obok niej podrzędna jaka istnieć nie przestanie, zawsze posiadać ona będzie dla swego plemiennego organizmu wystarczającą podstawę. Lecz wśród tego organizmu jaki szczep, jaka gałąź jego dzierzyć będzie berło pierwszeństwa?—azaliż nie powtórzy się na wewnątrz ta sama wyjątkująca walka, która toczy się pomiędzy rasami?—azaliż przewaga jednej potężnej grupy narodowościowej nie stłumi rozwoju innych, nie pozbawi ich życiowych soków?—azaliż nie zdążamy do ulania świata pojutrzejszego w jednolitą modłę, jednolitą, a zatem noszącą w swem łonie śmierciodajny pierwiastek?

Na wszystkie te tłoczące się pytania odpowie dopiero przyszłość, ale jedno z nich przynajmniej żadnej wątpliwości pozostawiać już nie może. Jest wśród rasy naszej jedna narodowość, która wzrasta i rozwija się daleko szybciej aniżeli inne, daleko potężniej. Hegemonia jej wśród jutrzejszego świata musi być brana w rachunek. Mówimy o Anglo-Sasach. Nie potrzebujemy wprawdzie, spoglądając na naszą narodowość słowiańską i przeczuwając jej przyszłość, zazdrościć Anglo-Sasom ich potęgi. Niewątpliwie, kula ziemska będzie w stanie pomieścić dwie te plemienne grupy. Ale właśnie dlatego, że Słowianie pochlebiają sobie, iż staną z nimi w biegu następnych pokoleń i stuleci jako równi wobec równych, należy zdać sobie sprawę z rozwojowych warunków, w jakich się tamci znajdują. Nie wahamy się tedy zwrócić uwagi czytelników naszych na wstępie tego zbioru studyów, poświęconych angielskiemu światu, na losy szczepu anglo-saskiego, na składowe jego czynniki, na charakteryzujące go rysy. Trzeba zejść aż do rasowych pierwiastków, ażeby zrozumieć przyczyny tak nadzwyczajnego rozwielmożenia tego szczepu, a wszedłszy w istotę jego ducha, zrozumiemy, dlaczego ma, dlaczego mieć musi przed sobą nieskończony szereg rozwojowych okresów.

Wystarczający punkt wyjścia przedstawiają same dane statystyczne. Przed stu laty mówiło po angielsku, jako rodowitym swym językiem, zaledwie 15,000,000; obecnie jest ich 105,000,000, czyli że przedstawiciele szczepu anglo-saskiego pomnożyli się siedem razy. Żaden inny naród nie rośnie w tym samym stosunku. Najbliżej nich trzymają się Niemcy i Skandynawi, ale ponieważ przesiedlają się ciągle do krajów anglo-saskich i narodowość swą wśród tego absorbującego organizmu tracą, zatem przyczyniają się jeszcze do wzrostu tego ostatniego. Przypuszczając taką samą skalę wzrostu w następnych stuleciach, będzie Anglo-Sasów 800 milionów w r. 2000. Nie potrzebujemy iść dalej w przewidywaniach, bo gdyby nawet ilość ta do połowy się zmniejszyła, to i tak życiowe współzawodnictwo innych narodowości zmiażdżoneby zostało. Anglo-Sasi wzrastają jednocześnie na obu półkulach. Wprawdzie Stany Zjednoczone Ameryki północnej oddzieliły się jako państwo od Wielkiej Brytanii od stu lat z górą, ale nie zerwały one bynaj-

mniej rasowej solidarności. Choćby nawet Kanada albo Australazya zerwały prędzej czy później węzeł federacyjny, który je łączy z metropolią, to nigdy nie przestaną być synami tej samej rasy, tego samego języka, przedstawicielami tej samej cywilizacji. Piętno anglo-saskie wyrzyło się raz na zawsze na tych nowych organizmach państwowych, które przez Wielką Brytanię wprowadzone zostały na widownię cywilizacyjną; chlubią się z niego, i każdy obywatel anglo-saskiej społeczności ożywiony jest tem samem poczuciem swej wyższości, jakie przed dwoma tysiącami lat posiadali obywatele Rzymu. Nie potrzeba zapewne przypominać, że zarówno w Azji, prastarej rodu ludzkiego kolebce, jak w Afryce, świeżo dopiero kolonizującej się systematycznie, znajdują się obiecujące rozsądniki tego samego szczepu. Wśród 343,000,000 znajdujących się pod berłem Wielkiej Brytanii, w imperyum, na którym nigdy nie zachodzi słońce, 60 milionów należy już obecnie bezspornie do rasy anglo-saskiej. W samych europejskich zjednoczonych królestwach, w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, za panowania królowej Wiktoryi, ludność powiększyła się z 25 do 38,000,000, a zatem w stosunku 46⁰/₁₀. Stosunek ten byłby daleko jeszcze wyższy, gdyby Irlandya nie była wskutek nieszczęśliwej polityki wewnętrznej straciła jednocześnie kilku milionów ze swej ludności. Ponieważ jednak polityka ciemństwa i prześladowania niebawem należeć będzie i tam do kategorii wspomnień historycznych, zatem dalszy, normalny wzrost ludności Wielkiej Brytanii jest do przewidzenia.

Daleko szybszy wzrost rasy anglo-saskiej odbywał się jednocześnie w Nowym Świecie. W przeciągu stu lat liczba mieszkańców podskoczyła z 2,000,000 do 64,000,000, a wśród nich jest innorasowców, t. j. Indian i Chińczyków, zaledwie 300,000. Powiedzieliśmy dopiero co, że przybysze europejscy, do jakiegokolwiek należą narodowości, niebawem tracą jej rysy, a przesiąknąwszy atmosferą anglo-saską, w drugim najdalej pokoleniu są nowem ogniwem w tym łańcuchu bez końca. Czem się owe 64,000,000 Amerykanów staną w przyszłych stuleciach, nie trudno przewidzieć, choćby to jedno wzięwszy na uwagę, że dotąd jest jeszcze 1,200,000,000 akrów, t. j. trzy siódme całego obszaru krajowego, a zatem siedem razy przestrzeń Wiel-

kiej Brytanii, do sprzedania dla nowych osadników; będzie tu tedy jeszcze przez setki lat miejsca podostatkiem. Oceniając wzrost anglo-saskiego szczepu w Stanach Zjednoczonych na 3% rocznie, otrzymamy w samych ich granicach za sto lat 700 milionów mieszkańców. Są statysci, jak Barham Zincke, albo G. Imley, którzy obliczają nawet całość anglo-saskiego szczepu w tej epoce na 1,000 milionów.

Taki olbrzymi, trudny do zrozumienia w pierwszej chwili, chociaż posiadający matematyczną pewność stan rzeczy jest owocem wielu współdziałających pierwiastków, a przede wszystkim przyrostu i spotęgowania zasobów materyalnych, ulepszonych środków komunikacyjnych, wysokiego poziomu oświaty i pokojowego nastroju ducha, które to warunki przyczyniły się do pozyskania Anglo-Sasom uprzywilejowanego stanowiska wpośród innych organizmów narodowościowych. Niezachwiana pewność, jaką posiadają, że świat przyszłości będzie ich światem, ich język językiem najbardziej rozpowszechnionym na kuli ziemskiej, przyczyni się też niezawodnie, jak to nie dawno jeszcze zauważył p. Gładstone, do zbliżenia ku sobie, do zjednoczenia rozmaitych odrośli, z tego wspólnego pnia wystrzelających, do zatarcia miejscowych interesów, egoistycznych prądów, a wyrobi jednolity nastrój duchowy, geniusz, całej rasie anglo-saskiej, jako takiej, wspólny.

Raz zdawszy sobie sprawę z doniosłości tych danych statystycznych i ich moralnego znaczenia, raz doszedłszy do przeświadczenia, że masa anglo-saska rosnać będzie jak lawina śnieżna, i że niema sposobu ani w jej rozlewie ją powstrzymać, ani też przewidywać współzawodnika, coby z nią mierzyć się był w stanie, znajdujemy się wobec niezłomnego prawa społecznego. Zamiast wchodzić z niem w bezużyteczną zwadę, albo nań sarkać, właściwszem być się zdaje zapuścić ołowiankę w pokładowe warstwy tego szczepu, poznać ich naturę i wyrozumieć, jak się to stało, że mu się hegemonię wśród świata pozyskać udało. Historyczne urobienie się narodowości angielskiej jest tak dobrze znanem, że się zbłąkać w tej dziedzinie niepodobna; a gdy dodamy do niego przewodnie idee, wiodące społeczeństwo angielskie po gościńcu cywilizacyjnym, to będziemy posiadali niezbędne warunki do naszej analizy.

Gdy rasa aryjska z wyżyn środkowej Azji napłynęła do Europy, najczystsze, najszlachetniejsze, najbardziej uzdolnione jej plemię, plemię celtyckie, nie ograniczyło się do zawładnięcia stałym lądem, ale przekraczając wąską cieśninę, dzielącą odeń dwie wielkie wyspy, składające Wielką Brytanię, osiedliło się na niej zaraz w pierwszej epoce swej migracyi. Wszyscy bez wyjątku badacze historyczni widzą w tem pochodzeniu celtyckiem niezaprzeczoną korzyść dla późniejszych ich następców—Anglów, Sasów, Normanów. Prace etnologów współczesnych ze słuszną dumą wykazują pierwiastki cywilizacyjne, ujawniające się u wszech narodów celtyckich, a przedewszystkiem u plemienia Brytanów. Wcześniejsze a niezaprzeczonej powagi świadectwo w tym samym przedmiocie przyniósł już Cezar, składając hołd nie tylko ich odwadze w wojnie, ale i ich talentom w pokojowem osadnictwie. Poetyczne utwory bardów celtyckich, których szczątki szczęśliwie do naszych przechowały się czasów, opromieniają te pierwotne plemiona brytańskie niezatartym urokiem. Łatwo przypuścić, że gdy Brytania podbitą została przez Rzym za czasów Klaudyusza, panowanie rzymskie, trwające następnie przez półczwarta wieku, nie miało do zwalczania tutaj takiej samej dziczyny, jak w tacytowskiej Germanii: *humanitas* rzymska znalazła utorowaną już dla siebie drogę.

Zespolenie Celtów z Rzymianami można uważać—z wyjątkiem górzystej i mniej dostępnej Walli—jako dokonane, gdy pojawiają się napaści plemion germańskich. Jak wiadomo, wyprawy zdobywcze tych ostatnich, rozpoczęte w IV-y m wieku naszej ery, miały dwa stanowcze momenta: pierwszy z nich przypada na V-ty, a drugi na IX-ty wiek. Początkowe wyprawy były istotnie germańskie i obejmowały Anglów, Franków, Sasów i Longobardów; drugie miały charakter bardziej skandynawski, uosabiający się w Danach i Normanach. Różne te plemiona germańskie powtarzały tam corocznie swoje łupieskie najazdy, zanim uznały za właściwe osiedlić się na dobre wśród wycieńczonego kraju. Na pierwotnym pniu celtyckim, już rzymską mieszaniną przejętym, zaszczepiła się wówczas gałąź germańska przez Anglów w północnej, przez Sasów w południowej części kraju. Fermentacja wewnętrzna i stopniowe kształtowanie się społeczności, z tylu różnorodnych czynników sklejonej,

odbywało się w ciągu kilku następnych stuleci, zapewniając przewagę tutaj jednym, a tam drugim. Przejście w VI wieku na łono kościoła chrześcijańskiego wielkiej części plemion germańskich, zamieszkujących Brytanię, nie pociągnęło widocznie żadnej reakcyi na rzecz cywilizacyi łacińskiej, skoro język, w powszechnem używaniu będący, zachował swoją germańską etymologię.

Najazdy skandynawskich Danów i Normanów odbywały się w taki sam sposób, jak germańskie. Zanim ujarzmili Brytanię w IX wieku, już od kilku wieków wdzierać się do niej przyuczili: ostateczne podbicie jej przez Wilhelma Zdobywcę jest tylko uwieńczeniem i ostatniem słowem ich nieprzepartego prądu. Najcharakterystyczniejszą stroną tego normańskiego podboju jest to, że owych 20,000 rabusiów i opryszków, którzy odnieśli zwycięstwo pod Hastings, nie było bynajmniej tak dziką chmarą, jak dawniejsi najeźdźcy germańscy. Przybyli oni tym razem z sąsiedniej Francyi, gdzie się byli osiedlili już na 160 lat przedtem, gdzie byli przesiąkli cywilizacją łacińską; jest to istotnie podbój, dokonany przez narodowość wyższego poziomu duchowego, a data 14 października 1066 roku, zwycięstwo Wilhelma nad Haroldem, jest w ukształtowaniu się szczepu anglo-saskiego momentem niezapomnianego znaczenia dziejowego. Południe podbiło północ, a cywilizacja łacińska, kościół rzymski, język francuski odnoszą tryumf nad dziczą barbarzyńską. Niema wątplenia, że potężna indywidualność Wilhelma Zdobywcy, który w kraju podbitym uważał się i przedstawiał nie jako wróg, ale jako prawy spadkobierca swych anglo-saskich poprzedników, przyczyniła się wielce do przyspieszenia zlewu Germanów angielskich z Francuzami angielskimi i do zrobienia z nich po prostu Anglików. Nie różnice krwi, trudne nawet do sprawdzenia wśród chaotycznej mieszaniny plemion, ale wspólność posiadania ziemi, na której się osiedlili, nadała ostateczną sankcyę narodowości anglo-saskiej. Powiadamy *ostateczną*, bo od normańskiego najazdu nigdy już ziemia angielska nie stała się łupem najeźdźnika, a przeciwnie, po upływie małego stosunkowo czasu, widzimy naród angielski podbijający swych sąsiadów, sadzający swych królów na tronie Francyi.

Ażeby takie wczesne manifestacye siły państwowej angielskiej mózł sobie wytłómaczyć, trzeba przyjąć jako przesłankę, że się ma już w XIII wieku, w epoce Wielkiej Karty, narodowość stanowczo wytworzoną. Wiemy, jak podczas tej stuletniej epoki osłupienia i milczenia, w jakie popadła Anglia po podboju normańskim, stopiły się w kotle różnorodne pierwiastki; język przyswoił sobie dwa razy większą liczbę wyrazów pochodzenia francuskiego aniżeli germańskiego, a gramatyka i składnia uprościły się na wzór francuskiej; oświata, której ogniskami stają się wszechnice w Oksfordzie i w Cambridge, czerpie w tradycyi klasycznej. Ale pierwiastki germańskie były zbyt silne, aby ustąpić miały miejsca nowemu żywiołowi. Zamiast się wzajemnie wytrzebiać, podały sobie ręce i do wspólnego zaprzęgly dzieła,—a gdy świta wiek XIII-ty, najważniejszy w dziejowym rozwoju społeczeństwa angielskiego, stanowiący o całej jego przyszłości, niema już rywalizacyi plemiennych, niema wewnętrznej zwady pomiędzy germańskim a francuskim pierwiastkiem, lecz jest zato kraj zagospodarowany, samoistny, groźny dla sąsiadów, kraj zamieszkały przez narodowość, która nie dba o swoje celtyckie początki, o swoją zależność od rzymskich cesarów, która nie rozróżnia wśród swych synów Anglów i Sasów, skandynawskich Duńczyków albo francuskich Normanów, ale która się nazywa, która się czuje inną, odrębną—angielską. Język, zwyczaje, prawa, instytucye noszą już swoją cechę angielską. Może przyjść w następnych wiekach, pod wpływem zewnętrznych wypadków, reakcyja przeciwko temu lub owemu czynnikowi składowemu; mogą antykwaryusze, grzebiąc w nagromadzonych przez następne stulecia rupieciach, przyznawać tendencyjnie przewagę jednemu, a upośledzać drugie,—narod angielski przestaje się o to troszczyć. Tyle krwi szlachetnej do jego organizmu napłynęło z różnych źródeł i tak subtelnie organizm ten przyswoił je sobie, że się czuje samodzielnym; a jeżeli szczepowej solidarności nie zrywa, to indywidualnie czuje się odrębnym osobnikiem. Gdy się chce wśród przewodniczących osobistości piśmienniczych znaleźć postaci, któreby stały jako symbole epok, graniczących z sobą nieledwie, a jednak już całkiem odrębnych, to dość będzie wymienić Rogera Bacona i Chaucera. Sto lat dzieli mędrca łacińskiego

od poety, który napisał *Canterbury Tales*. Nie tylko treścią, tak samo jak językiem, *Opus majus* należy do innej sfery, innego świata od poezji Chaucera. Pierwszy był wyrazem cywilizacji wszechświata i przypadkowo tylko, że tak powiemy, należał do Anglii; drugi, lubo w pierwszych swych utworach znajduje się jeszcze niezaprzeczenie pod wpływem francuskim, w następnych pokazuje już dojrzałą, świadomą swej dojrzałości narodowość. Gdy się weźmie na uwagę, na jakie wyżyny w złotym wieku Elżbiety miał się wznieść twórczy geniusz piśmiennictwa angielskiego, to trzeba przyznać, że nie zależał on pola i że musiał uprzednio już posiadać *in latenti* warunki, uzdalniające do tak nadzwyczajnego rozkwitu.

Rasa anglo-saska, tak szczęśliwie dla siebie utworzona przez mieszaninę różnorodnych typów i pierwiastków, z których żaden nie zniknął tak całkowicie, ażeby antropologowie i etnologowie dzisiejsi nie potrafili na jaw go wydobyć, znalazła w wyspiarskiem swem odosobnieniu nieocenioną rękomię dla samodzielnego rozwoju wewnętrznego. Kiedy reszta Europy wśród mętnych a burzliwych wieków średnich bezużytecznie wyczerpuje swe siły na bratobójcze walki, świat angielski krzepnie, mężnieje, wzbogaca się materyalnie i niebawem wyrabia u siebie formę państwowego bytu, w jakim inne narody uznały ideał doskonałości, jaki mniej lub więcej szczęśliwie naśladować zaczęły, ale jakiego żaden z nich aż do dnia dzisiejszego urzeczywistnić nie potrafił. Na tej wyspie, ujętej w szare a niegościnne fale oceanu, w wilgotne mgły uwitej, roztlili się ognisko swobody obywatelskiej o niewygasłym ani na chwilę zarzewiu.

Gdy w zaraniu XIII stulecia feudalni baronowie angielscy wymogli na wycieńczonym królu Janie ustępstwa i przywileje, objęte w Wielkiej Karcie, nie zdobyli ich jedynie dla siebie. Szerokie, coraz szersze koło obywateli wchodziło w ich posiadanie, a potęga, władza, znalazła się nie w ręku jednostki—króla,—ale w ręku całego społeczeństwa, t. j. tych jego warstw, które w imieniu całego organizmu narodowego przemawiały i przemawiać wówczas miały prawo. Ponieważ, odpowiednio do prawa społecznego, niecierpiącego najmniejszego wyjątku, wszystkie reformy i cywilizacyjne zdobycze wychodzą nie od rządu i władzy wykonawczej, ale tryskać muszą z samego łona

społeczeństwa, zatem jest oczywistem, że ten naród, który pierwszy się wyemancypował z kurateli, zdobył na samodzielność, był w stanie wprowadzić w życie największą ilość reform i zostawić daleko poza sobą inne narody, ubiegające się jeszcze o częściowe choćby uprzątnięcie paraliżujących ich swobodny rozwój zawad. Nie upłynęło stu lat, a już w parlamencie angielskim obok przedstawicieli uprzywilejowanych baronów zasiadali przedstawiciele miast—organizmów zbiorowych, nie zaś klasowych. Niema potrzeby przypominać ani walk parlamentu z koroną o udzielenie i rozszerzenie swobód i praw narodu, ani wojen długoletnich a pomyślnych z sąsiadami, ani wcielenia Walii i Szkocyi do organizmu państwowego; każda z tych okoliczności przyczyniła się tylko do wzrostu potęgi społeczeństwa, do coraz zupełniejszej jego emancypacji. Gdy w XVII wieku poważył się król targnąć na wywalczone i przeszłe w soki narodu publiczne swobody, ten ostatni posunął się do królobójstwa. Od wiekopomnej owej rewolucyi i ustalonego po niej nowego porządku państwowego datuje ostateczny tryumf swobód publicznych u społeczeństwa angielskiego. Wdzięczna ludzkość raz na zawsze zespoliła pojęcie owej zasady z istnieniem tej rasy i tego państwa, a samopomoc, samodzielność, początkowanie uznane jako właściwość każdego obywatela, gdy opieka ze strony władzy centralnej i jej kierownictwo sprowadzone są do minimum: oto typowe podstawy istnienia Anglo-Sasów jako ciała politycznego.

Obok publicznej swobody, naród ten stał się także wyrazem swobody religijnej. Niema już potrzeby wdawać się obecnie w spór dogmatyczny co do względnej wyższości katolicyzmu albo protestantyzmu, ani zapytywać się, czy ta lub owa forma chrystyanizmu bardziej lub mniej sprzyja rozwojowi i historycznej roli społeczeństw. Ale nikomu też na myśl nie przyjdzie zaprzeczyć, że ruch, który reformacja protestancka sprowadziła, tchnął nowego ducha w społeczeństwa, wyrwał je z pleśniącego zastoju, pobudził do wszechstronnej działalności, dał początek swobodzie myśli, dyskusyi, piśmiennictwu i wiedzy. Społeczeństwo angielskie, któremu idee przewodnie i zasady protestantyzmu stawały się coraz droższymi w miarę usiłowań reakcyi, prześladowającej go, przenikło na wskrós ferworem puryta-

nizmu. W XVII wieku naród cały, podług trafnego określenia historyka narodowego J. R. Green'a, stał się kościołem. Za naszych czasów, gdy zaciętość walk religijnych stępsiała, łatwo jest purytanizm anglo-saski ośmieszać i fanatyzm oraz ciasnotę pojęć mu wyrzucać; ale niepodobna zaprzeczać, że owa reforma religijna natchnęła naród do energicznej działalności, że mu dała spójność, wytrwałość, hart niezłomny, że moralność jego stała się żywotną. Anglia istotnie odrodziła się i do nowych zapasów uzdolnioną została przez protestantyzm. Korzyści, przyniesione jej przez sztandar swobody religijnej, pod jaki się zaciągnęła, nie każały długo na siebie czekać. Z jednej strony, purytańscy osadnicy położyli na drugiej półkuli podwalinę nie tylko dla kolonialnej potęgi angielskiej, ale dla niezrównanej potęgi rasy anglo-saskiej wśród świata; z drugiej—gdy po ukończeniu wojny siedmioletniej powstała Europa w nowym swym ustroju, Wielka Brytania, po zepchnięciu z piedestału dotychczasowego wszystkich mocarstw katolickich, zajęła ich miejsce nie tylko jako wielkie mocarstwo europejskie, ale jako wszechświatowe.

Nie wystarczyło bowiem rasie anglo-saskiej być najdoskonalszym teoretycznym reprezentantem swobód politycznych i religijnych, lecz przedsięwzięła ona, pobudzana do czynu przez energię i dziarskość, zaczerpniętą w swej krwi germańskiej, jeszcze praktyczną misję cywilizacyjną na całej powierzchni świata. Utrata najpotężniejszej swojej kolonii nie tylko nie powstrzymała Wielkiej Brytanii od zakładania innych osad i kolonii, ale przeciwnie—dała jej do tego nowego bodźca. Hiszpania i Francya przestały być rywalami niebezpiecznymi; zepchnięte ze swej kolonialnej hegemonii, nigdy już odzyskać jej nie potrafią, choćby dlatego, że brakuje już miejsc rozporządzalnych na kuli ziemskiej. Wielka Brytania posiada w innych częściach świata kraje, 65 razy wynoszące jej własną rozległość. Jak słusznie przewidział profesor Secley, historia Anglii nie rozgrywa się już obecnie w Europie, ale w Ameryce i Azji.

Powierzchowni dziejów badacze, wzdrygając się na widok potęgi brytańskiej, przytaczają chętnie przykłady innych państw, które ongi berło wśród wszechświata dzierżyły, i przepowiadają jej taki sam upadek, jaki dotknął Wenecyę albo Holandję.

Ale chwila zastanowienia wykaże zupełny brak analogii. Wielka Brytania nie ogranicza się na zrabowaniu i jednorazowym wyzyskaniu swoich kolonii, ale stopniowo i systematycznie wciąga je w sferę swej cywilizacji, zasila swą rasą, uszlachetnia swą religią, mową, literaturą, zbogaca swym handlem i swymi kapitałami, organizuje je na podstawach szerokiego samorządu. Te nowe Anglie, które na wszystkich punktach świata na jej wezwanie stanęły do bytu, są tedy niezaprzeczoną odroślą szczepu plemiennego. „Amerykanie Stanów Zjednoczonych—powiada Amerykanin Emerson—są przedłużeniem angielskiego geniuszu wśród nowych, mniej lub więcej sprzyjających warunków.” To samo będzie można powiedzieć o innych osadach angielskich. Ale, powtarzamy, że gdyby kolonie, obecnie do berła Wielkiej Brytanii należące, oderwały się od niej w przyszłości i w samodzielne ukształtowały państwa, ludzkość nic na tem nie traci, gdyż nie nastąpi taka emancypacja w żadnym razie pierwszej, zanim rasa anglo-saska nie rozmnoży się, nie spotęguje i nowych grup państwowych na obraz i podobieństwo macierzy nie utworzy.

Dzięki płodności i ożywczemu ciepłu dwóch zasad, które jej bytowi przewodniczyły—swobodzie politycznej i swobodzie religijnej,—była w stanie rasa anglo-saska zająć wśród świata nowoczesnego stanowisko niezaprzeczenie górujące. Ażeby całkowicie zdać sobie sprawę, wystarczy uprzytomnić sobie wzrost materyalny jej potęgi, oraz jej niewyczerpaną, nigdy nie stygnącą działalność umysłową: dwa narzędzia, które jej do osiągnięcia tego celu posłużyły.

Nie potrzeba—gdy się chce objąć jednym spojrzeniem ekonomiczny zasób, jakim obecnie już Anglo-Sasi rozporządzają—rozszerzać się nad Stanami Zjednoczonymi Ameryki, albo nad Australią. Jakkolwiek wytworzone już w tych młodzieńczych organizmach dobytki są zdumiewające swym ogromem, wiemy dobrze, że znajdujemy się dopiero wobec niemowlęcej fazy ich rozwoju, który wzrasta z każdym rokiem, z każdym miesiącem nieledwie, w rozmiarach fantastycznych. Poprzestając atoli na samej Wielkiej Brytanii, na jej trzech zjednoczonych królestwach, znajdziemy już w niej samej wystarczający dowód ciągle pomnażającego się narodowego i indywidualnego bogactwa.

Robert Giffen, największa powaga w dziedzinie statystyki, w ostatniem swem dziele *Growth of capital*, wydanem w 1889-ym roku, przytacza cyfry, zatrzymujące się na roku 1885-ym. Ponieważ jednak przyjął dziesięcioletnie okresy, nie trudno, porównywając parę ostatnich, przewidzieć cyfry następne, tak rozwój jest normalny. Szacuje on całość społecznego zasobu Wielkiej Brytanii w 1885-ym roku na sumę 10,000 milionów funtów szterlingów, czyli na sto miliardów rubli. Całe znaczenie tej cyfry zrozumiemy, przypomniawszy sobie, że przed 300 laty, w 1600 roku, zasób ten przybliżenie oceniany był na 100 milionów funtów szterlingów, w 1680 r. na 250 milionów, w 1750 r. na 500 milionów, a w pierwszym roku naszego stulecia zaledwie na 1,500 milionów funt. szt. W dwadzieścia lat później wynosi on już o miliard więcej; w 1833-im roku przybywa nowy miliard, w 1845 r. spotykamy już 4,000 milionów. Metody oceny stają się coraz dokładniejsze, coraz większą pewność dające. W roku 1865-ym bogactwo nieruchome i ruchome Wielkiej Brytanii podaje p. Giffen na 6,000 milionów funt. szt., w dziesięć lat później na 8,500 milionów, a na ostatnie dziesięciolecie na 10,037 milionów funt. szt. Chociaż przyrost ogólnego bogactwa zeszedł do stopy 17⁰/₁₀, to można przyjąć jako pewnik, że w ciągu każdego następnego dziesięciolecia powiększy się przynajmniej o jeden miliard funtów szterlingów. Porównywając wzrost zamożności angielskiej z zamożnością Francyi—najbogatszego z narodów stałego lądu,—okaże się, że tej cyfrze 10,003 milionów może ona przeciwstawić tylko 7,200 milionów. Kiedy na głowę mieszkańca Wielkiej Brytanii przypada 270 funt. szt. majątku, we Francyi jest go dopiero 190 funtów szterlingów.

Niema potrzeby schodzić do rozmaitych drobiazgów i do szczegółowych pozycji tego wykazu; każda z nich dodaje swoją cegiełkę do tej olbrzymiej budowy. Gdy się zrozumie niestrudzoną wytwórczość przemysłu angielskiego, ruchliwość i energię handlu, posługującego się marynarką kupiecką bez rywala, olbrzymi rynek handlowy Anglii w samych jej koloniach, wzorowy system finansowego gospodarstwa, to się ma prawo zapowiedzieć bez najmniejszego wahania dalszy szereg takich samych sukcesów. Nie tylko że niema najmniejszej zapowiedzi ekonomicznego słabnięcia, a tem mniej upadku, ale trzeba dojść

do wniosku, że niema społeczeństwa lepiej przygotowanego do zniesienia przesileń, do stawienia czoła wszelkim kataklizmom materyalnym, jakieby się na nie zwalić mogły. Już samo to zagospodarowanie zapewnia rasie anglo-saskiej niewątpliwą wyzłość w wyścigach międzynarodowych.

Wartość społeczeństw na szali dziejowej nie waży się jednak na funty szterlingi. Większe znaczenie miały, mają i mieć będą etyczne i intelektualne czynniki. Z góry wiedzieć można, że gdyby angielska społeczność nie była i tutaj celowała, nie potrafiłaby wznieść się na wyżyny, na których ją znajdujemy. O etycznych czynnikach mówić tu niema potrzeby. Chociaż zdanie, wypowiedziane ongi przez H. T. Buckle'a w jego „Historii cywilizacyi w Anglii” o niezmienności praw moralnych w przeciwieństwie do ciągłego rozwoju intelektualnego, było nieraz napastowane gwałtownie, wyraża ono niezaprzeczoną prawdę. O moralności rasy anglo-saskiej, uważanej zbiorowo, nie można powiedzieć nic innego, jak o moralności innych grup narodowościowych. Nie z jakościowymi, ale z ilościowymi różnicami ma się tu do czynienia, a odcienie delikatniejsze nie dają się ująć w formułki matematyczne. Psychologia narodu, rasy, na długie lata pozbawiona być musi ścisłości, i jedynie na syntetycznych ogólnikach poprzestawać będzie potrzeba.

O umysłowym zato rozwoju, o twórczości naukowej, piśmienniczej, artystycznej, mówić można z pewnością, wspierając się na nieprzebranem mnóstwie faktów dotykających, samych o sobie świadczących. Anglo-saska rasa błyszczy na tym horyzoncie jak pierwszorzędną gwiazdą. W całej historii ludzkości jeden tylko naród przewyższył ją pod tym względem: Grecya. Wśród nowoczesnego świata jednego tylko ma godnego siebie współzawodnika—Francję. Wprawdzie piśmiennictwo angielskie rozpoczyna się o kilka stuleci później od francuskiego, ale Taine ma słuszość, twierdząc, że od chwili, jak powstało, okazuje nieprzerwany, logiczny, systematyczny rozwój, że się w nim nie zatrzymało i pierwiastków swych nie wyparło, że zawsze odzwierciadlało temperament narodowy i wyrażało, z większą lub mniejszą pięknnością artystyczną, ale energicznie i dosadnie, wspólne aspiracye i podniosłe ideały. Biorąc za punkt wyjścia choćby dopiero wiek XVI-ty, w którym rasa fizycznie ukształ-

towana, moralnie przez reformację purytańską zahartowana, z pełną samodzielnością tworzyć zaczyna, znajdujemy się od razu wobec Shakespeare'ów, Spencerów i Sidneyów. Nie potrzeba katalogowego wyliczania nazwisk filozofów, dramatyków, liryków, satyryków, essayistów, pisarzy rozmaitych szkół i nastrojów, którzy w krewniaczych grupach, albo w dumnem odosobnieniu, występowali na piśmienniczym polu: od dawna ludzkość oświecona powitała w nich mistrzów. Często szkoły angielskie, bądź w tej lub owej gałęzi spekulatywnej lub doświadczalnej filozofii, bądź w poezji i romansopisarstwie, rej wodziły i wywoływały naśladownictwo; nieraz znowu, zapożyczając u sąsiadów pełne ziarna, sadzili je Anglicy na swojej grzędzie i potrafili im nadać natychmiast indywidualne, miejscowe piętno. Tak jak w dziedzinie nauk ścisłych, astronomii, fizyki, mechaniki, nauk przyrodniczych i t. p. rasa anglo-saska poszczycić się może twórczymi geniuszami, którym świat potężne zdobycze zawdzięcza, tak wśród nieprzejrzanego zakresu poszukiwań historycznych, teologicznych, technologicznych, jak nakoniec w lotnej sferze fantazyi, ujawnia działalność niestrudzoną, bujną. Niema wysiłku, któregooby nie podjęto,—żadnych funduszków nie skąpiono, ażeby wydoskonalić instytucye, służące do ogólnej oświaty albo specjalnych jej gałęzi. Biblioteki, muzea, szkoły, uniwersytety posiadają doskonałość, na jaką się zdobyć było można. Poziom oświaty społecznej podnosi się z każdym pokoleniem.

Na tak silnej naukowej i piśmienniczej wykarmiona strawie, rasa fizycznie zdrowa i czerstwa, moralnie udyscyplinowana i karna, materyalnie zasobna, przedstawia harmonijny zlew dodatnich pierwiastków i czynników, któremu równego nie wydała dotąd ludzkość. „Londyn—powiedział wyżej cytowany oryginalny amerykański myśliciel, R. W. Emerson—jest Rzymem nowoczesnego świata, a Anglia narodem najwyższej wartości.” Gdy się spotyka taki sąd pod piórem człowieka, który widzi w swych ziomkach, Amerykanach, po prostu dalszy ciąg Anglików, miałoby się może pochop podejrzewać jego bezstronność. Ale chwila rozważy wystarczy do usunięcia tego podejrzenia.

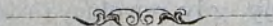
Nie myślimy przepowiadać końca narodowi łacińskiego szczepu. Byłoby to istotną klęską dla ludzkości, która tyle im ma do zawdzięczenia w przeszłości i która jest uprawnioną do

przewidywania u nich świetnych epok rozwojowych w dalszych stuleciach. Lecz gdy się nie ograniczy spostrzegawczego widnokręgu chwili współczesnej, ale zapyta o naukę u historii, to nie można powiedzieć, ażeby uspokoiła nas co do losów, czekających trzy główne jej narodowościowe grupy: Hiszpanów, Włochów i Francuzów. Hiszpania straciła nie tylko swe znaczenie europejskie, ale i kolonizacyjne. Różne rzeczypospolite południowej Ameryki szamocą się bez przerwy w anarchicznych podrygach, i owa część świata, która miała zostać rozsądnikiem hiszpańskiego geniuszu rasowego, albo zostanie bezpłodną, albo ulegnie reformacyjnemu wpływowi i przewadze innoplemiennych osadników. Włochy obudziły się wprawdzie z letargu wielowiekowego i utworzyły państwo jednolite, lecz organizacja ta nastąpiła w chwili, gdy stało się dla nowego mocarstwa materialnem niepodobieństwem rozlać się po innych częściach świata i stworzyć tam osady na swój obraz i podobieństwo. Jakkolwiek w europejskich swych, przez naturę raz na zawsze zakreślonych granicach może się naród włoski wzmódz w liczbę i duchową siłę, widoczne jest, że nie będzie mógł nigdy rywalizować z Angło-Sasami. Trudniejszą jest odpowiedź co do Francji, nie tylko dlatego, że w przeciągu całego historycznego rozwoju świata europejskiego kroczyła ona na przedzie cywilizacji i oddała jej nieocenione przysługi, przeniknęła ją swym geniuszem; nie tylko dlatego, że w każdej sferze twórczości materialnej i duchowej po dziś dzień nie postradała swej płodności, ale dlatego przede wszystkim, że jesteśmy właśnie obecnie świadkami energii, jaką rozwija, fundując nowe kolonie. Im mniejsza jest płodność rasy francuskiej, tem większe znaczenie ma dla jej stanowiska w przyszłości posiadanie terytoriów, przeznaczonych do rozplenięcia takowej i do zabezpieczenia materialnej podstawy dla geniuszu francuskiego. Nie tylko że Francja lekkomyślnie postradała największe kolonialne posiadłości pozaeuropejskie, nie tylko że po każdej wielkiej wojnie odstępowała je swym szczęśliwym współzawodnikom, nie tylko że nie wyzyskiwała tych, które się jej utrzymać udało, ale zdawało się za dni naszych, że systematycznie wyrzec się ich pragnie. Szczęśliwa gwiazda oświeciła ją jednak w porę, i nie da się zaprzeczyć, że zarówno w starej Azji, jak w młodej Afryce,

Francya wytworzyła kolonie, które mogą stać się w późniejszych stuleciach rękojmnią trwałej potęgi.

Z trzech narodowości szczepu łacińskiego jedynie francuska mogłaby więc być przeciwstawiona anglo-saskiej. Gdyby się z samą Anglią mierzyć jej przyszło, możnaby, przy dobrej woli, co najwyżej kwestyę jako nierozstrzygniętą uważać. Lecz nie należy zapominać, że poza tą ostatnią stoją Stany Zjednoczone, Australia i inne grupy kolonialne. Czterdziestu milionom Francuzów przeciwstawić one mogą sto pięć milionów już obecnie. Biorąc na uwagę z jednej strony większą płodność plemienną i łatwiejsze materyalne warunki bytu, z drugiej już obecnie posiadaną wyższość, dojść się musi do niechybnego wniosku, że wybije godzina na zegarze ludzkości, w której rasa łacińska, jako taka, mimo żywotności Francuzów, w którą *quand même* wierzyć się nam podoba, zajmie stanowisko drugorzędne, podrzędne.

Z wszystkich plemion germańskiego pochodzenia Anglo-Sasi okazali się najczynniejszymi, najbardziej przedsiębiorczymi, najwyżej ucywilizowanymi. Im dostało się w udziale przenieść kwiaty i owoce rozwoju europejskiego do innych części świata. Podniósłszy dodatnie pierwiastki cywilizacyjne w Europie do najwyższej potęgi, zamykają oni jej cykl ostatecznie i pozwalają nam z matematyczną pewnością, a bez żalu, wypowiedzieć przekonanie, że ludzkie mrowisko, krzątające się na kuli ziemskiej, z biegiem czasu kształtować się będzie na anglo-saskiej modłę.



ERA WIKTORYI.



ie często w rozwojowym pochodzie społeczeństw napotkać się zdarza tak doniosły moment dziejowy, jak ten, którego teatrem była Anglia w miesiącu czerwcu 1887 r. Pięćdziesiąt lat upłynęło wówczas od chwili, gdy królowa Wiktorya zasiadła na tronie Wielkiej Brytanii, a jubileusz ten półwiekowy obchodzono na obu półkulach, na wszech ziemiach i morzach, do jej korony należących, uroczyście i świętecznie. Ale nie tylko dla angielskich obywateli był ten wypadek znaczenia pełnym: nie może on pozostać obojętnym dla żadnego myślącego umysłu.

Ażaliż to nie jest rzeczą istotnie dziwną, nieledwie nieprawdopodobną, że w tym samym czasie, gdy się wałał jedno po drugich monarsze trony, gdy rewolucya rozsiada się tryumfująco na ich gruzach, gdy demokracja toczy się pełnem korytem,—ażaliż to nie dziwne, że w tej epoce chaotycznego zamętu, radykalnych tendencyi i całkowitego zerwania z tradycją, jest jedno społeczeństwo, jeden naród, i to właśnie najliczniejszy, najbogatszy, najbardziej wykształcony, najswobodniejszy i najpotężniejszy, i że społeczeństwo to, naród ten, nie tylko nie dąży do zwalenia tronu, do wygnania swej dynastyi panującej, do zastąpienia jej przeciwną formą rządową, ale owszem garnie się pod

jej opiekuńcze skrzydła, wysławia i błogosławi panowanie swej monarchini, błaga niebios o przedłużenie jej rządów! Jak wytłómaczyć sobie można to fenomenalne zjawisko? gdzie klucz do tej zagadki? Nie gdzieindziej, jak w ścisłym związku dynastyi z narodem, w uwidocznieniu ich solidarności i wzajemnej zależności ich interesów. Zamiast stać się symbolem despotycznego ucisku i egoistycznego wyzyskiwania narodu, tron angielski postawił sobie jako zadanie iść ręką w rękę ze społeczeństwem, przewodniczyć jego rozwojowi, przykładać się czynnie do reform gruntownych i nie zapominał nigdy, że był tylko pierwszym sługą ojczyzny. „*Ich diene*,” godło, wyryte na herbowej tarczy księcia Walii, jest rzetelną prawdą. To zespolenie się korony z narodem przyniosło żniwo złotodajne. Tron pozyskał grunt silny, niezachwiany i o jutro swe drzeć nie potrzebuje; społeczeństwo pod ochroną jego tarczą jest w stanie krzątać się około ulepszenia wspólnego organizmu, oszczędzając sobie niebezpiecznych i kosztownych konwulsyjnych podrygów, co się stały codziennym nieledwie pojawem w ościennych krajach. Dla apriorystycznych teoretyków, co wysnuwają ze swej głowy gotową formułkę o najlepszym ustroju państwowym, Anglia jest i będzie raz na zawsze anomalią—i to potworną nawet; dla umysłów praktycznych nie przestanie być natomiast dodatnim wzorem. Jak każda instytucja polityczna, tak i monarchia konstytucyjna ma swoje ułomności—przeczyć temu nie myślimy,—ma je nawet system parlamentarny, uważany za alfę i omegę mądrości państwowej,—ale nie ulega wątpliwości, że na dzisiejszym szczyblu cywilizacyi, gdy masa narodu jest jeszcze siłą bierną i bez światłej samowiedzy, kraje, które posiadają takie instytucye, mają prawo być z nich dumne i starać się troskliwie o ich zachowanie.

Ten dowód dojrzałości politycznej złożyła właśnie Anglia, czyniąc z jubileuszu królowej Wiktoryi rodzaj apoteozy dla instytucyi monarchicznych. Trudno było o lepszą okazję. Składając hołd swej monarchini, obywatele Wielkiej Brytanii złożyli jej podziękę za rządy bezprzykładnego powodzenia i blasku. Era Wiktoryi, jak jej panowanie uświęconą dziś terminologią oznaczać przywyknęto, jest złotym wiekiem dla jej krajów. Porównywając je w epoce, gdy osiemnastoletnia córka księżnej

Kent wstąpiła na tron po dwóch z kolei swych stryjach, Jerzym IV i Wilhelmie IV, ze stanem, w jakim znajdują się obecnie, nie można oprzeć się zdumieniu: postęp we wszystkich działach narodowego życia jest olbrzymi, nadzwyczajny. Nie są wprawdzie Anglicy tak naiwni, aby wyłącznie królowej ten stan rzeczy przypisywali, ale uznają, że w granicach swych atrybucyi—o wiele większych, aniżeli to powierzchowny spostrzegacz przypuszcza—zrobiła ona wszystko, co tylko zrobić była w stanie. Nie tylko że pod jej berłem naród angielski nigdy o swe swobody drzeć nie miał powodu—jak się to działo nieraz za poprzednich rządów, mianowicie zaś za Jerzego III,—ale rozumna ta monarchini znajdowała się ciągle i zawsze, nawet w najtrudniejszych okolicznościach, w harmonii z usposobieniem i dążnościami społeczeństwa, kładąc swą rękę—jak mówi Wordsworth poeta—*on the very pulse of the machine*. Jakiegokolwiek mogły być jej osobiste przekonania i sympatye, potrafiła je oczyścić, sprostować w ogniu dyskusyi publicznej i złożyć dobru powszechnemu w ofierze. Wychowana w atmosferze opinii liberalnych Whigów, dzieliła przez długie lata ich zapatrywania, co jej nie przeszkadzało uciekać się lojalnie do Torysów, gdy fala parlamentarnego życia tych ostatnich do rządów powołała; w drugiej znów połowie życia, gdy, naodwrot, sympatye zjednoczyły ją z zachowawczym programatem Torysów, nie wahała się dać swej sankcyi najbardziej postępowym reformom Gladstonea. Ta wysoka bezstronność stanowi jej siłę, warunek jej popularności, i sprawia, że jest istotnie królową, nie stronnictwa, ale narodu—jednakowo przez wszystkich czczoną i cioną.

Gdy przypomnimy sobie, że w chwili wstąpienia jej na tron wynędziała, nieledwie ogłodzona Anglia wzburzona była ruchem Chartystów, że, co więcej, w Kanadzie było powstanie,—to trzeba przyznać, że panowanie w niezbyt korzystnych rozpoczynało się warunkach; niezadługo przychodzi jeszcze zamieszanie irlandzkie pod sternictwem O'Connela i silna agitacya przeciwko cłom zbożowym. Stopniowo wszakże wypogadza się horyzont: Robert Peel przeprowadza prawo zbożowe, lord John Russel bill reformy, Gladstone zmazuje hańbę ucisku religijnego w Irlandyi, a pokonane powstanie Cipayów indyjskich pozwala nareszcie wcielić kraj, liczący 1,382,624 mil kwadratowych i 243,891,000

mieszkańców do korony brytańskiej; wielka wystawa powszechna otwiera dla przemysłu angielskiego nowe pola zbytu, a przez nadzwyczajny wzrost i postęp marynarki coraz nowe kolonie zwiększają rozmiary państwa do tego stopnia, że obejmuje ono obecnie trzecią część kuli ziemskiej. *Union Jack* powiewa barwnymi swymi kolorami po wszech ziemiach i morzach, a lew brytański staje się symbolem niewidzianej przedtem potęgi. Gdy lord Beaconsfield wkłada na głowę królowej Wielkiej Brytanii cesarski dyadem Indyi i Kolonii, jest to, zdawać się może, punkt kulminacyjny, poza który dalej nawet fantazyą iść niepodobna. A wszelakoż nowe zdobycze, nowe powiększenie granic z jednej strony, nowe postępy na drodze przemysłowej produkcji i międzynarodowego handlu, nowe swobody, nowe, szersze prawa samorządu, przyznane narodowi, znaczą dzień każdy. Uporczywa walka z Irlandyą tamuje wprawdzie chwilowo postęp w wielu dziedzinach; możemy jednak być przekonani, że jest to jedynie kwestya przemijająca i że Irlandya otrzyma reformy, których się słuszenie domaga. Ponieważ królowa cieszy się wybornem zdrowiem, zapowiadać się zdaje jeszcze szereg lat na tronie, nic nie przeszkadza przepowiedzieć jej dalszemu panowaniu pojednanie z Irlandyą i powrót do wspólnej ojczyzny jej podotąd odosobnionego syna.

Wobec tych olbrzymich rezultatów, których nawet duch najbardziej stronniczy nie byłby w stanie zaprzeczyć, lub choćby usiłować obniżyć ich znaczenie, nie bez zdumienia uprzymiarniamy sobie, że na tronie Wielkiej Brytanii zasiadała przez pół wieku z górą królowa, a zatem kobieta. Nie zapominając, że w szeregu monarchów angielskich historia wskazuje nam już postać niesympatyczną wprawdzie, ale wielką—królowej Elżbiety,—sprawiedliwość nakazuje przyznać, że obecna monarchini, której ideałem było, jak wiadomo, ażeby potomność nazwała ją dobrą królową, ma prawo do wyższego, do świetniejszego przydomku. Łączy ona w sobie męskie przymioty polityka z cnotami i zaletami kobiety. W tem leży jej oryginalność, i punkt ten nie uszedł uwagi narodu. Święcono w jubileuszowym obchodzie nie tylko Wiktoryę-króla, ale i Wiktoryę kobietę, żonę, wdowę, matkę, obywatelkę, panią domu, matronę. Nie da się zaprzeczyć, że nieposzlakowany jej charakter w tej prywatnej,

osobistej stronie przyczynił się do podwyższenia jej królewskiego majestatu.

Angielskie społeczeństwo, głęboko religijne i na wskrós moralne, otoczyło czcią nadzwyczajną domowe ognisko i czujnie strzeże jego świętego Znicza. Kto zdepcze zuchwale lub lekko-myślnie jego zasady, ten bezpowrotnie traci swe stanowisko; widzieliśmy za dni naszych kilku znakomitych mężów stanu, zepchniętych wzgardliwie z piedestału po wszystkie czasy za przekroczenia, które gdzieindziej nie byłyby nawet uległy nagannie. Życie rodzinne kilku dawniejszych monarchów angielskich, nawet przy ogólnej swobodzie obyczajów, pozbawiło ich wszelkiej moralnej powagi. Łatwo sobie wyobrazić popularność, cześć, miłość i wdzięczność, jaką czują Anglicy wszystkich klas i stanów do królowej Wiktoryi za to, że przeszła przez życie czysta, nie skalana nawet cieniem podejrzenia; jak są z niej dumni, jak w jej poszanowaniu domowego ogniska widzą tylko spotęgowanie, rozszerzenie swojego indywidualnego *home*. Jej jubileusz stał się, rzec można, uroczystością rodzinną dla każdego domowego koła angielskiego. Niestrudzonemi przedewszystkiem pokazały się kobiety, i inaczej być nie mogło. Wiadomem jest, jak energicznie walczą one o swoje wyzwolenie społeczne, o swe równouprawnienie polityczne, i jak wielkie zdobycze już osiągnąć potrafiły. Nie uszło też ich uwagi, że królowa była bierną może, ale nie mniej przeto nieocenioną towarzyszką i współpraczką tego emancypacyjnego ruchu, i chciały skorzystać ze sposobności, aby jej wdzięczność okazać. Postanowiły one zebrać składkę od wszystkich kobiet bez wyjątku, i ograniczywszy ją do małego datku, zebrały 100 tysięcy funtów szterlingów. Zapytana, jakiego życzy sobie подарunku, królowa wybrała pomnik konny ks. Alberta, swego od tak dawna oplakiwanego małżonka, i pomnik ten został wzniesionym w Windsorskim parku. Z pozostałych sum zostaną wyposażone różne dobroczynne instytucje.

Słyszeliśmy, że w pierwszej chwili ten wybór królowej nie był ochotnie przyjęty i że niejako zdziwił publiczność. Jakkolwiek książę Albert zostawił po sobie sympatyczne wspomnienie, jednakże zapomnieć nie można, że śmierć jego sięga już ćwierci wieku i że naród nie żywił dlań czułości jego małżonki. Po

niejakim zastanowieniu, zrozumiano przecież ten hołd królowej dla towarzysza jej ziemskiej pielgrzymki—i można powiedzieć, że skutkiem tego sympatya dla niej jeszcze się wzmogła. Jest istotnie coś wzruszającego w tem małżeństwie z miłości—wypadku rzadkim wogóle, najrzadszym w sferach monarszych, — w tem przywiązaniu, wzmagającym się z latami, w tem pożyciu bez jednej chmury, w tem gronie dziesięciorga dzieci, co się około dostojnej pary ugrupowało, w tej czci pogrobowej, w tej nieprzerwanej żalobie, jaką po nim nosi. Nieoszaczowana jako żona-królowa, nie szczędząca żadnych zabiegów, aby dać księciu-małżonkowi rolę i wpływ polityczny, do jakiego zdaniem jej miał prawo, była ona także matką pełną troskliwości i pieczy. Zarzut, jaki jej czyniono, że wszystkie swe córki, z wyjątkiem jednej, wydała za Niemców, upada, gdy się pomyśli, że jest to dynastya czysto niemiecka, która w prośbach domowych mówi i myśli w tym języku. Dwóch najstarszych synów, księżę Walii i księżę Edynburski, stanowią tu wprawdzie wyjątek, ale też wiadomo, że serce królowej mniej gorąco dla nich bije, zwłaszcza dla następcy tronu. Przez charakter swój, nawyknięcia, tryb życia, stanowił on przez wiele lat rażącą sprzeczność z otoczeniem swej matki; a chociaż jego wybryki należą już do przeszłości, surowa moralność królowej nie może ich całkiem wymazać ze swej pamięci. Zlewając na syna tego całe ciężkie brzemie ceremonii publicznych, inauguracyi, reprezentowania królewskiego domu, trzyma go jednak z dala od czynnego udziału w rządzie. Wielka oszczędność i umiejętne powiększanie fortuny osobistej pozwoliły królowej wytworzyć majątek potężny, który z czasem pozwoli jej dzieciom żyć na równej stopie z magnaterią angielską, o czem obecnie myśleć im niepodobna. Wszystkie te szczegóły domowego życia i rodzinnych stosunków dworu są dokładnie znane angielskiej publiczności, a przybysz z obczyzny dziwi się żywemu interesowi, jaki budzą w niej nawet szczegóły drugorzędne, te, którebyśmy gotowi zaliczyć do przedpokojowych plotek. Ale właśnie ten żywy interes, to ciągle śledzenie stosunków dworskich, to stykanie się jak można najczęstsze i najbliższe z członkami rodziny królewskiej, wyrobiły u Anglików ten lojalizm serdeczny, który wybuchy przy każdej sposobności, a dochodzi do paroksyzmu w tak

nadzwyczajnych okolicznościach, do jakich przedewszystkiem należał jubileusz pięćdziesięcioletniego panowania.

Niepodobnaby mi było wyliczyć objawów tej sympatii, okazywanej królowej Wiktorii. Od wielu miesięcy przed jubileuszem codziennie dzienniki rejestrowały najrozmaitsze donacje i ofiary najrozmaitszych rozmiarów i zakresu. Podczas gdy arystokracja rodu i pieniędzy fundowała szpitale, szkoły, filantropijne zakłady, czyniła zapisy i stypendya ku uwiecznieniu pamięci jubileuszu,—nie było korporacji, nie było gminy, któraby go nie obchodziła po swojemu. I nie tylko hojność tych datków podziwiać nam przychodzi, ale i niewyczerpane bogactwo społeczeństwa, które na nie zdobyć się potrafi. Dość będzie wspomnieć o Instytucie kolonialnym. Księżę Walii rzucił tę myśl i zaprosił naród do udziału w wykonaniu olbrzymiego przedsięwzięcia. Ma to być stałe muzeum artystyczno-przemysłowych wyrobów Indyi i Kolonii, miejsce dla archeologicznych ich okazów i dla ciągłego a żywotnego uwidocznienia ich postępu ekonomicznego; biuro statystyczne i pewien rodzaj technicznej reprezentacji kolonii znajdują tu także pomieszczenie. Myśl to wielka w istocie, i popełniłoby się błąd, gdyby się w nim nie dojrzało doniosłego politycznego planu. W ostatnich kilku latach dążenie do federacyjnego połączenia wszystkich rozproszonych kolonii angielskich stało się jawnem w sferach rządowych, i żadna okoliczność nie zostaje pominięta, aby wytworzyć jednolity organizm z tych dotąd rozstrzelonych żywiołów. Wystawa indyjsko-kolonialna roku 1886-go była tylko jedną formą tej dążności, a bardzo nie dawno zainicjowała się druga. Pod prezydencją pierwszego ministra, lorda Salisbury, zasiadała w Londynie rada przedstawicieli wszystkich angielskich kolonii, która obradowała nad utworzeniem jednolitej armii i marynarki wojkowej, mających strzedz granic i interesów kolonii brytańskich na każdym zagrożonym punkcie. Nie tu jest miejsce wykazywać olbrzymią doniosłość tego faktu, który poza granicami Anglii nie został należycie oceniony,—bądźmy zresztą dalej mieli okazję do niego powrócić. Tutaj mówić chcemy tylko o Instytucie kolonialnym, organizowanym przez księcia Walii, który ma być ostatnim i najdonioślejszym darem narodowym, uczynionym z okazji jubileuszu. Czas jakiś można było mnie-

mać, że plan ten rozległy do skutku nie przyjdzie, że nie zrozumiano prawdziwych zamiarów następcy tronu, a osobiste antypatyje względem kilku przyjaciół księcia Walii, którzy mu w tem przedsięwzięciu pomagali, zarówno jak opozycja przeciw arystokratycznej dzielnicy South-Kensingtonu, wybranej przez królowę na miejsce dla gmachów wznieść się mających, sprawiły, że wpływ ze składek szedł bardzo opornie. Mimo to jednak subskrypcya narodowa zebrała blisko milion funtów szterlingów, królowa położyła kamień węgielny i wielka fundacya jubileuszowa z epoki przygotowawczej przeszła do rzeczywistości w r. 1893, gdy wobec nowych manipulacyi lojalizmu królowa osobiście Instytut kolonialny otworzyła.

Są to wszystko tylko pojedyncze rysy. Z ich całości składa się coś potężnego, nigdy przedtem niewidzianego. Samo też się rozumie, że należało te objawy lojalizmu ocenić i wyrazić narodowi podziękę od tronu. Ale nie było to rzeczą tak łatwą do wykonania, jakby się zdawać mogło. Znanym jest wstręt królowej do wszelkich ceremonii i wystąpień publicznych. Żyje jak tylko można najciszej, najdalej od tłumnego i gwarne go Londynu, i nie pragnie przerywać swego wdowiego osamotnienia i wychodzić poza granice rodzinnego kółka. Następca tronu i gabinet torysowski przez pośrednictwo lorda Salisbury nie przedstawiali jednak przedstawiać królowej, że nie ma prawa posuwać tego odosobnienia do ostatecznych granic, i zwrócili jej uwagę na szemranie, jakie coraz widoczniej słyszeć się dawało. Ponieważ popularność monarchini wzrasta z latami jej panowania—rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa,—naród nie czuł się nigdy dość do niej zbliżonym i pragnął zawsze mieć częste okazyje świadczenia jej swego uznania i hołdu. Ulegając temu moralnemu naciskowi swego najbliższego otoczenia, królowa Wiktorya istotnie częściej znowu ukazywać się zaczęła. Lord Salisbury potrafił nawet wymódl na niej, że uczestniczyła w otwarciu Pałacu dla ludu (*People's Palace*) w dzielnicy stołecznego demosu. Czytelnicy znają zapewne historię tej instytucyi filantropijnej, co wylęła się w imaginacyi jednego z najpoczytniejszych romansopisarzy angielskich, Waltera Besant, a obecnie stała się rzeczywistością. Demos londyński posiada już w części, a niezadługo posiadać będzie w zupełności swój

klub, ze wszystkimi najbardziej wyrafinowanymi potrzebami artystycznego smaku, z bibliotekami, szkołami, parkiem, gimnastyką, łazienkami, salami koncertów i teatru i t. p. Królowa otwierała osobiście ten gmach, a pełne zapału przyjęcie, jakiego doznała w tych dzielnicach *East-end'u*, gdzie się dotąd tylko anarchiczny proletaryat osiedlał, udowodniło, że odważny a przebiegły minister miał słuszość i że to sankcyonowanie władzy królewskiej przez najniższe warstwy narodowe było pomysłem szczęśliwym.

Wszakże ten hałaśliwy i męczący wstęp do jubileuszowych uroczystości dalekim był, mimo upojenia entuzjazmu ludowego, przełamania niechęci królowej do wszelkich dalszych ceremonii. Trzeba było silnej, energicznej presji ministerium, ażeby skłonić królowę do opuszczenia swego zacisza w szkockim zamku Balmoral. Gdy jednak raz odniosła nad sobą zwycięstwo, można było być pewnym, że swej osobistości oszczędzać nie będzie i czarę rozkoszy a upojenia jubileuszowego wychyli do dna!

Parlament i rząd naznaczyli byli dzień 21 czerwca jako datę jubileuszową i szło o uczynienie z tego dnia świątecznego istotnie epokowej chwili. Zdecydowano, że królowa winna się udać do katedry Westminsterskiej na uroczyste nabożeństwo dziękczynne, a z tego pochodzący organizatorowie urzędowi z jednej strony, a mieszkańcy Londynu z drugiej, postanowili uczynić manifestację niezrównanego majestatu i blasku. Podczas gdy rząd asygnował sumę 20,000 funtów na godne ceremonii przygotowanie Westminsteru, a równocześnie już zarządzono energiczne roboty, stolica ozdabiała się także i przywdziewała strój godowy. Nie trzeba zapominać, że wszystko pod tym względem musiało być zostawione inicjatywie prywatnej. I nie tylko sam takt to nakazywał; nie tylko bowiem, że dekoracye i illuminacye z rozkazu wydawałyby się w Anglii czemś potwornem, ale w braku wielkiej a jednolitej organizacji municipalnej niepodobnem było dążyć do czegoś urzędownie jednolitego. Wkrótce jednak ustała obawa i jedynie przesady entuzjazmu lękać się było można. Przygotowania odbywały się na olbrzymią skalę. Wiedzano z góry, że oprócz 4,000,000 mieszkańców stolicy zjedzie się do niej co najmniej dwa miliony

z kolonii, prowincyi i obczyzny, i że trzeba będzie dla tej nadzwyczajnej masy przybyszów znaleźć pomieszczenie, zaspokoić ich ciekawość, ubawić ucho i oko. Wybudowano trybuny na wszystkich miejscach, gdzie wzniesionemi być mogły; wszystkie place, skwery, aleje, tarasy, okna, balkony, dachy nawet domów i rusztowania budujących się gmachów, w tym celu użytkowane zostały. Jakkolwiek ceny tych miejsc dochodziły bajecznej wysokości, zabrakło ich w ostatniej chwili i ulice natłoczone były nieprzejrzaną falą widzów. Sama fizyognomia Londynu, ponura zazwyczaj i jednostajna, rozpromieniła się i ubarwiła wzorzystą tęczą. Niepodobna opisać wykwintnego blasku niektórych zewnętrznych dekoracyi, złożonych ze świeżych kwiatów i posągów; bogactwa innych, gdzie kosztowne makaty, kobierce i wschodnie tkaniny zadziwiała oko; wreszcie i pstrokatego, wesołego udekorowania wszystkich pośledniejszych. Wzdłuż ulic wzniesione były maszty weneckie, a wierzchołki ich, skąd spływały chorągwie, łączyły się wieńcami kwiatów; mnóstwo bram tryumfalnych z odpowiednimi napisami, niezliczona ilość transparentów, godeł, portretów i popiersi monarchini sprawiała widzowi ciągłą i idącą *crescendo* niespodziankę. Nie należy też zapominać, że słońce przez cały ciąg uroczystości było jasne, niemal jaskrawe, a niebo niezamąconego szafiru, i że ten stan atmosferyczny, który lojalni Anglicy nazywać zwykli *Queen's weather*, gdyż towarzyszy wszystkim jej publicznym ceremoniom, dodawał nowego powabu scenom ulicznym.

Ceremonialny orszak królowej, udający się z Buckinghamskiego palacu do katedry w Westminsterze, był nadzwyczajnej wspaniałości. Brakło mu może muzyki, i byłby zyskał niezawodnie, gdyby zamiast być podzielonym na trzy oddziały, był się snuł jednym ciągiem; taki jednak, jakim się oczom milionowych widzów przedstawił, zostanie w ich pamięci sceną nieporównanej malowniczości. Nie stałoby nam miejsca dla szczegółowego opisu. Niechaj czytelnik wyobrazi sobie kilkadziesiąt odkrytych, a w części i zamkniętych (gdyż pierwszych zabrakło) karoc galowych, wyłożonych i rozłożystych—ze służbą w purpurowej liberyi, trójgraniastych kapeluszach i perukach, niknących pod złotymi galonami,—zaprzężonych każda we cztery konie kare, z grzywami i ogonami zaplecionymi w karmazyno-

wy atlas; niech sobie wyobrazi w każdym z tych pojazdów dygnitarzy dworu w świetnych mundurach, damy dworskie w jasnych jedwabiach, cały szereg królów, następców tronu, panujących książąt i księżniczek, pokrytych orderami, gwiazdami, ubrylantowanych i postrojonych; niech sobie wyobrazi pojazdy te przesuwające się pomiędzy dwoma szeregami armii, poprzędzane i otoczone oddziałami gwardyi konnej, tego pułku, jakiemu równego, czy to doborem koni i żołnierza, czy blyszczącą wspaniałością mundurów, złotych napierśników, tarcz i szyszków o pierzastych pióropuszech, niema na świecie; niech sobie wyobrazi po tych dwóch pierwszych częściach orszaku następujący trzeci, gdzie w jedenastu otwartych karocach jechały naprzód wnuczki, córki i synowe królowej, wszystkie te popularne i wysoko cenione damy królewskiego dworu, gdzie piękności nie mało i gdzie nawet te, co pięknymi nie były, takimi być się zdawały w wykwintnem otoczeniu i rozpromienieniu blaskiem tej uroczystości. Sypały się oklaski, wiwaty i ciekawość wzrastała z każdą chwilą. Doszła ona do zenitu, gdy na fantastycznej piękności koniach wschodnich ukazał się hufiec książąt indyjskich, lenniczych wasali korony angielskiej. Te śniade a dumne postacie, oturbanione, w szatach, co się utkane zdawały ze słonecznych promieni, dźwigały na swych piersiach skarby Golkondy. Mimowoli mrużyło się oko na widok tych drogich kamieni, co ich zdobyły. Traciło się pojęcie prawdopodobieństwa, wartości materyjalnej, a wkraczało się w sferę czarnoksięskich baśni. Nie wiem, czy indyjscy radzowie nie wyglądają świetniej jeszcze, gdy w palankinach, dźwiganych przez słonie, otoczeni hufcami ciemnoskórnych Indyan, zagłębiają się w nadgangesowe lasy w pogoni za tygrysami, albo odbywają do świętego Benaresu pobożne pielgrzymki; ale już i tu widok ich pieścił i rozkoszował oko. Czy oni sami nie czuli się obcy i nie na swoim miejscu? czy nie przemknęło się im w duszy wspomnienie niezależności i możnowładczej potęgi?—oto pytanie, którego samo postawienie trąci niedyskrecyą, a rozwiązanie tak łatwem być nie może. Po orszaku indyjskich wasali, zdawało się, że nic świetniejszego do zobaczenia nie pozostanie. A jednak wzmogło się jeszcze wrażenie, gdy się ukazała ciemnoczerwona karoca królowej, cała wyzłocona, ciągniona przez osiem

bułanych kuców z hanowerskiej stadniny, w uprząży nadziewanej złotem, i z frendlami a wstęgami z fioletowego atłasu, gęsto zaplecionemi do sztucznie przyprawnych ogonów. Na głównem siedzeniu królowa Wiktorya w sukni z czarnych koronek na białej atłasowej podszewce, w białym, nasianym brylantami kapeluszu, — królowa widocznie wzruszona, ale uśmiechnięta, rozpogodzona i dziękująca ukłonami za entuzjastyczne okrzyki, co ją witały. Była to chwila tryumfu, płacąca za długie lata wiernie i uczciwie spełnianych obowiązków względem narodu. Karoca idzie stępem, ośmiu masztalerzy trzyma przy wędzidlach konie — i można się należycie przypatrzyć królowej, zarówno jak siedzącym naprzeciwko niej: uroczej pięknością i dystynkcyą księżnej Walii, oraz księżnej następczyni tronu niemieckiego, która, mimo braku urody, jest niezmiernie sympatyczną dla tłumu angielskiego, jako żywo przypominająca swą matkę. Naokoło pojazdu królowej jedzie przyboczna jej straż, z samych członków jej rodziny złożona: ksiązę Walii i jego dwaj synowie, książęta Edymburski i Connaught, ksiązę cesarski Niemiecki z synami i zięciem, Wielki ksiązę Sergiusz, W. ksiązę Heski i jego zięciowie, książęta Battenberscy, Holsztyńscy, Meklemburscy, Wejmarscy i t. d. — Stary i otyły ksiązę Cambridge, wuj królowej a feldmarszałek i głównodowodzący armią angielską, jedzie przy drzwiach karety, a dalej sztab generalny, złożony z kilkuset angielskich i cudzoziemskich dygnitarzy wojskowych. Spadł wprawdzie z konia margrabia of Lorne, zięć królowej, ale zanim wieść się o tem rozeszła, zniknął hufiec z oczu, a nienasycone tłumy biegły przez parki i boczne uliczki, ażeby się orszakowi raz jeszcze przypatrzyć. Żadnej fałszywej nuty, żadnego w tym pochodzie braku najbardziej nawet krytyczne oko dopatrzyć się nie było w stanie.

Poważne mury angielskiego panteonu, starej westminsterskiej katedry, oczekiwały orszaku w stroju nadzwyczajnym. Wysokie sklepienia i łuki pokryte były szkarłatnemi opończami; niezliczone słupy, filary i kolumny obwinięte zostały purpurowym jedwabiem i złotogłowiem. Tylko szeroki chodnik, pokryty umyślnie na ten cel zrobionym kobiercem, o wstęgach Podwiązki i Łażni i ich tarczach orderowych, zostawiony został dla procesyonalnego pochodu; całe zresztą wnętrze świątyni

zamienione zostało na kilkopiętrowe galerie, gdzie się mieściło 10,000 zaproszonego wyborowego towarzystwa. Widok nadzwyczajny; a gdy się wiedziało, że w murach tej katedry znajdował się wtedy cały kwiat arystokracji rodu, inteligencji, sztuki i pieniędzy,—rozumiało się potęgę, jaką posiada tron, do którego takie żywioły garnąć się nie przestają.

Duchowieństwo, mając na czele dziekana Westminsteru d-ra Bradley, arcybiskupa Canterbury prymasa Anglii, arcybiskupa Yorku i biskupa Londynu, przyjęło orszak królowej u drzwi katedry, wpośród bicia dzwonów, huku armat, poważnego dźwięku organów i odgłosu trąb. Czuć było mimo tego uroczystą ciszę—i gdy królowa usiadła na starym tronie monarchów Wielkiej Brytanii, mając naokoło siebie czterdziestu kilku dzieci i wnuków, gdy Oratorium Haendla rozbrzmiało potężnymi dźwiękami, gdy zanucano „Te Deum laudamus” z chórałem głosów męskich, do którego książę Albert, zawsze przytomny sercu królewskiej wdowy, napisał był muzykę,—nie było zapewne wśród tego licznego a dostojnego zgromadzenia ani jednej powieki, coby nie zwilgotniała była wewnętrznem wzruszeniem. Widać było na jasnem obliczu monarchini odbłask tych uczuć, a dała im folgę, gdy po skończonem nabożeństwie ucałowała serdecznie całą swą rodzinę, hold jej składającą. Następnie po trzykroć skłoniła się królowa zebranyim gościom—i poważnie, majestatycznie uszeregował się znowu pochód w odwrotnym porządku, by powrócić do zamku przez inne, ale równie natłoczone ulice.

Podczas gdy w zamku odbywały się nowe wymiany odwiedzin i powinszowań, gdy deputacje przynosiły adresa i niezliczone podarki, gdy królowa obdarzała swymi orderami znakomitych gości, gdy stoly gięły się pod tą wspaniałą złotą zastawą, jakiej równej niema w świecie, i gdy kilkadziesiąt osób panujących zasiadało do biesiady, Londyn zapalał illuminację, która już, jako istotnie czarująca i pełna rozmaitości, zwabiła tłumy nieprzejrane. Była to zabawa prawdziwie ludowa, a trwała kilka wieczorów z rzędu. Raz przywyklszy do światła czarodziejskiego, nie chciało się potem publiczności powracać do prozaicznego światła rewerberów.

Ale nie była to bynajmniej jedyna publiczna zabawa. Powodowani bowiem tym na wskrós filantropijnym nastrojem ducha, co ich odznacza, postanowili mieszkańcy Londynu dać zabawę dla dzieci. Inicytywę rzucił p. Lawson, redaktor naczelny potężnego dziennika „Daily Telegraph,” uorganizował się komitet, posypały składki i działwa szkółek elementarnych zaproszoną została do Hyde-parku, gdzie królowa, nazajutrz po dniu jubileuszowym opuszczając Londyn i wracając do Windsoru, obiecała ich odwiedzić. Przedsięwzięcie to nie było łatwem do uorganizowania, choćby dla tego samego, że w szkołach elementarnych Londynu jest blisko 300,000 dzieci. Naprzód trzeba było zrobić wybór, i w tym celu każda szkołka wysłała pewną ilość dzieci, których razem na szerokich łakach Hyde-parku zebrało się 30,000. Organizacya zabawy była wyborną. Dziesięć olbrzymich namiotów rozbito dla ugoszczenia dzieci, z których każde dostało obfity podwieczorek, filiżankę z porcelany z dwoma portretami królowej jako upominek i medal pamiątkowy. Najrozmaitsze gry i widowiska były dla nich urządzone; muzyki grały, wzbijały się pod niebiosa huśtawki; menażerye, trupy maryonetek, kosmo- i panoramy, balony, gonitwy i t. d. wabiły i rozrywały tę rozkoszną i rozkoszującą się działwę. Gdy nadjechała królowa i przeciągnęła wśród tej armii jasnowłosej i uroczej, gdy chóry niewinne zanuciły hymn narodowy, gdy monarchini ucałowała dziewczynkę, będącą najlepszą uczennicą w Londynie, entuzjazm malców doszedł do granic fantastycznych. Tego samego rodzaju zabawa daną była nazajutrz w Windsorze dla 7,000 działwy—i niema miasta i szkoły na całej przestrzeni Wielkiej Brytanii, gdzieby jej także nie powtórzono. W ten sposób młode pokolenia zachowają na dnie swych wrażliwych umysłów uroczę jubileuszowych rozrywek wspomnienie.

Następnie w Windsorze podejmowała królowa swych powinowatych i gości, a uczyły, bale, koncerty, odsłanianie pomników, zakładanie kamieni węgielnych, pochody z pochodniami, karuzele wojskowe, rewje robotników, regaty, przeglądy armii lądowej i morskiej trwały przez miesiąc cały. Rodzaj szалу zabaw ogarnął był wyższe sfery towarzyskie, i cała Anglia zaślubiła sobie raz jeszcze na nazwę wesołej—*merry England*.

Ale nareszcie, gdy ci, co brali w jubileuszowych uroczystościach udział najprzedniejszy, usunęli się strudzeni, gdy zasłona spadła nad całą tą czarodziejską sztuką, co się na najwspanialszym odegrała dworze, pozostało po niej coś więcej, aniżeli dym kadzidel—wy płynęła z niej głęboka, dalekonośna nauka. Z wysokości tej tryumfalnej apoteozy należy spojrzeć na przebyte pół wieku i zdać sobie sprawę, dlaczego hołd, złożony u stóp sędziwej monarchini, był zasłużony, dlaczego cały naród wyrażał jej wdzięczność za ulepszenia, za zmiany, jakie się z biegiem czasu dokonały pod jej berłem.

Niema potrzeby wchodzić w szczegóły panowania królowej Wiktorii, ażeby znaczenie tej epoki wyświecić. Była ona *par excellence* reformatorka.

Żyją w tradycyi monarchowie, o których powiedzianem było, że otrzymali kraj swój drewnianym, a że go zostawili mурowanym. Trzebaby było znaleźć wyrazistsze jakie porównanie do uwidocznienia postępu materyalnego, jakiego za ery Wiktorii dokonało społeczeństwo angielskie. Sama ludność wzrosła z 25 do 37, a przed końcem stulecia dojdzie do 45 milionów; dochody skarbowe wzniosły się z 60 do 100 mil. funtów szt., podczas gdy dług państwowy zmniejszył się z 820 do 740 milionów funtów szt. O podniesieniu się poziomu indywidualnej możliwości obywateli najlepsze wyobrażenie dać może podatek od dochodu *income tax*: przed pół wiekiem fortuna, która podatek ten płaciła, była szacowana na 270 mil. f. szt.; obecnie podnoszony on bywa od 650 milionów. Cały materyalny wygląd narodu zmienił się w ciągu tej epoki, przede wszystkim dzięki zastosowaniu pary do komunikacyi lądowych i morskich oraz najrozmaitszych wynalazków w sferze wytwórczości przemysłowej.

Ale jakkolwiek ważne są te przeistoczenia i zmiany, zasłże w ekonomicznym świecie, można zrozumieć sceptycyzm tych, którzy utrzymują, że niema już miejsca na zastój w dziedzinie interesów materyalnych pod przepadkiem życia i że kwestye tego rodzaju rozpatrywać należy bez względu na ustrój państwowy. Jest to zapatrywanie błędne, gdyż postępy nadzwyczajne, jakie świat wielkobrytański uczynił w sferze materyalnej, stały się jedynie możliwymi przy współdziałaniu państwa jako takiego. Ale zostawiając te kwestye na stronie i zwracając się

do organizmu państwowego, nie da się zaprzeczyć, że właśnie w jego łonie odbyły się za ery Wiktorii przewroty tak radykalne, iż w porównaniu do nich błędną te, o jakich wyżej uczyniona była wzmianka.

Cale pięćdziesięciolecie ostatnie Anglii określić można jako ewolucję demokratyczną. Początek obecnego panowania zastał jeszcze świat brytański ukształtowany na hierarchiczno-arystokratycznej modłę, a przywileje oligarchicznej kasty opierały się na wielowiekowych, tradycyjnych podstawach. Gdy wiek XX-ty zaświta, nie tylko nie znajdzie już potęgi oligarchii i uprzywilejowanej mniejszości, ale przez roztwarte na rozcień podwoje ujrzy tryumfującą demokrację. Doniosłość tej zmiany porównać chyba można do dwóch wielkich dziejowych momentów: do przejścia z katolicyzmu na protestantyzm, albo do rewolucji 1688-go roku. Mniej raptowna metamorfoza ta ma w swem łonie równie ważne następstwa.

Wprawdzie otwierające się w 1837 r. rządy królowej Wiktorii zastały już położoną podwalinę nowego porządku rzeczy w billu reformy parlamentarnej, który o pięć lat pierwiej wyemancypował był po raz pierwszy politycznie klasę średnią narodu. Trzeba było wszelako zostawić społeczeństwu czas przywyknąć i żyć się z tym nowym porządkiem rzeczy, i dziwić się nie można, gdy spoglądamy obecnie z historycznej dali, że ani nowy bill reformy lorda Johna Russel z 1854 r., ani bill Gladstona z 1866 r., nie weszły były do statutowej księgi. Świadczą one jedynie o nieprzepartym prądzie, który pchał przewodników politycznych w kierunku równouprawnienia upośledzonych jeszcze warstw społeczeństwa. Prąd był tak silny, że w następnym 1867 r. ministerium zachowawcze wprowadza w życie nowy bill reformy, nadający prawo głosowania każdemu obywatelowi miejskiemu. Nakoniec w 1884 r., za ministerium Gladstona, jednym zamachem zwiększono dotychczasową liczbę wyborców o dwa miliony, uzdolniając do głosowania ludność wiejską. Nie jest to jeszcze wprawdzie głosowanie powszechne, ale najbliższe takowego stadyum: owoc dojrzewa i nie długo nań czekać będzie trzeba.

Masa ludowa wdarła się zwycięsko do areny publicznej, i jeżeli dotychczas nie widzimy w Anglii agitacji za głosowa-

niem powszechnem, pochodzi to z krótkości czasu, jaki nas od ostatniego przewrotu oddziela. Demos angielski nie zdał sobie jeszcze sprawy z potęgi, którą posiada; chociaż drzwi klatki otwarte, nie wymknął się lew poza jej szranki; widzieliśmy nawet, że odwrócił się od swego wybawiciela—Gladstone'a. Ale żaden umysł polityczny nie wątpi i wątpić nie może, że ustrój konstytucyjny Wielkiej Brytanii staje się coraz bardziej demokratycznym, i jeżeli zdania są podzielone co do pożytku, jaki państwo z tej zmiany wyciągnąć będzie w stanie, jeżeli pisarze, jak sir Henry Maine i inni, wyznawają opinie wręcz przeciwne aniżeli John Morley albo Goldwin Smith, jeżeli jedni widzą w tem upadek i rozkład organizmu, który dotąd zwycięsko przeciwstawiał prądowi czasu granitową pierś swoją, a drudzy przyklaskują tym tryumfom demokracji, nie lękając się jej wybryków i nadużyć,—to sam fakt jej istnienia i postępów nie może już obecnie być podawanym w wątpliwość.

Przywileje korony oraz przywileje arystokracji, zorganizowanej w dziedzicznej Izbie Lordów, stanowią wprowadzić silną tamę przeciwko całkowitemu i bezzwłocznemu wprowadzaniu w czyn demokracji socjalistycznej, ale i pod tym względem nie należy poddawać się złudzeniom. Powaga i wpływ obecnej monarchini są czysto wyjątkowe, a płyną z jej cnót niezwykłych i rycerskiej, czci dla kobiety; żaden z jej następców nie będzie mógł rościć równych pretensyi do panowania ponad stronnictwami, żaden nie ośmieli się postawić swego stanowczego *veto* żądaniom narodu, a pamięć tragicznego losu Karola I-go będzie stale paraliżowała zachcianki represyi lub choćby biernego tylko oporu.

Tak samo ma się rzecz z Izbą Lordów. Nie tylko, że coraz częstszymi stają się zakusy wprowadzenia do niej zmian radykalnych, nie tylko, że wpośród samych jej członków idee postępowe mają już dzisiaj gorliwych wyznawców ¹⁾, nie tylko, że zu-

¹⁾ Lord Rosebery, po dwakroć minister spraw zagranicznych, jeden z najpoważniejszych mężów stanu, skarżył się w publicznej mowie, że jedynie dziedziczni członkowie Izby Lordów skazani są na dożywotnie *upośledzenie* i wyzucie z praw, ogółowi obywateli służących.

pełne zniesienie instytucji wprowadzonem zostało do programu radykalizmu brytańskiego,—ale niema już obecnie ani jednego wpływowego męża stanu, któryby zechciał stać się jej obrońcą, któryby przedsięwziął wykazać, że taka, jak ją dziś widzimy, Izba Lordów jest niezbędną dla bezpieczeństwa, potęgi i bytu Wielkiej Brytanii. Byłoby lekkomyślnością zapowiadać, kiedy istnieć przestanie; ale że organizacja dziedzicznego senatu arystokracji angielskiej jest już kruchą i wątłą nawa, niezdolną do oparcia się fali demokratycznej—wątpić nie można.

W tym względzie przygotowani jesteśmy na zarzut. Ci wszyscy, którzy zwykli zamykać dobrowolnie oczy na zjawiska rzeczywistości, gdy te nie są po ich myśli, odpowiedzą nam zapewne, że ustawy pisane, że konstytucja skodyfikowana nie są, na szczęście, wszyskkiem w organizmie społecznym; że po epokach przyływowym mogą nastąpić odpływowe, i że gdyby nawet nie nastąpiły, to duch i geniusz społeczeństwa ujawnią się jeszcze w innych funkcjach; że obok władzy prawodawczej istnieje wykonawcza, administracja; nakoniec, że właśnie administracja angielska, jako znajdująca się niezaprzeczenie w ręku arystokracji terytoryalnej, przechowa niewątpliwie w swem wnętrzu znicz tradycji zachowawczych i ustrzeże Anglię od popadnięcia w szpony demokracji...

Zarzut to poważny i nie myślimy go zostawić bez odpowiedzi.

Co do samego faktu, żadnej wątpliwości być nie może. Jeszcze Mirabeau powiedział: „*Administrer—c'est gouverner; gouverner—c'est régner: tout se réduit là,*” a Maciej Arnold w swem pełnem głębokości studyum o demokracji te trafne wyrzekł słowa: „Ten, kto administruje, rządzi krajem, ponieważ kładzie swe własne znamię i piętnuje swym własnym charakterem wszystkie sprawy publiczne, w miarę jak się do jego rąk dostają; wskutek tego, dopóki arystokracja angielska będzie administrować rzeczą publiczną, dopóty będzie nią rządzić.”

Wszystkie kompetentne głosy zgadzają się tedy na dwóch punktach, mianowicie: stwierdzają, że administracja kraju znajduje się *de facto* w rękach arystokracji ziemskiej, i wyprowadzają stąd wniosek, że dopóki się ten stan rzeczy nie zmieni,

nie zajdzie żadna radykalna zmiana w organizmie publicznym Wielkiej Brytanii.

Otóż radykalna ta zmiana dokonana została. Gabinet lorda Salisbury'ego przedłożył parlamentowi w 1888 r. bill o reformie administracji prowincjonalnej. Bill ten przyjęty został w ciągu tegoż roku potężną większością w parlamencie i wszedł w życie. W ten sposób prysła ostatnia zaporą, jaką podotąd spotykała na swej drodze demokracja, wyemancypowana już w politycznej sferze, ale nie biorąca jeszcze udziału we władzy wykonawczej.

Była to tedy chwila ważna, rzec można bez przesady, chwila tragiczna w rozwoju społeczeństwa angielskiego. Rozumiemy przerażenie zachowawców; rozumiemy ich złorzeczenia, miotane przeciw tym mężom stanu, co dzierżąc klucze bram fortecznych, dobrowolnie je cisnęli w szeregi oblegającego demосу; pojmujemy także, że ten ostatni nie mógł z początku uwierzyć tak niespodziewanemu obrotowi rzeczy, że podejrzewał w nim zasadzkę, parlamentarny fortel. Ale powoli naga prawda przekonała i największych niedowiarków; zachowawczy torysowski gabinet, naturalny sprzymierzeniec arystokracji, odstąpił swego stronnictwa—i aby utrzymać się na dłuższy czas u steru rządu, przy pomocy liberalno-radykalnego zastępu przedłożył projekt prawodawczy istotnie rewolucyjnego charakteru. Nieraz już w historii parlamentarnej angielskiej torysi przedsiębiorali wprowadzenie w czyn liberalnych reform, przez swoich współzawodników—whigów—przygotowanych, a taktyka stronnicza przyklaskiwała takiemu manewrowi; wszakże nigdy jeszcze nie nastąpiło to tak swobodnie, tak nieprzymusowo, na własną rękę; nigdy nie zrywano węzła z przeszłością, z tradycją, w sposób bardziej stanowczy, lekkomyślny, zuchwały; nigdy jeszcze nie przedstawił rząd kraju, przywykłego do stopniowego, kawałkowego, jeśli się tak wyrazić można, ustawodawstwa, projektu tak systematycznie, apriorycznie, z teoretycznej wysnutego zasady: jest to metoda, którą sływał demagogiczny jakobinizm, ale którego śladów dotąd w Anglii nie spotykano. Łatwo zrozumieć, że do tak nowego przedsięwzięcia nowych trzeba było narzędzi; to też popularna ale złośliwa karykatura przedstawia

lorda Salisbury'ego jako Herkulesa, burzącego w bohaterskim zapale własną maczugą swoje własne gniazdo.

Łatwo zrozumieć, że mąż stanu o gruntownej samowiedzy swego zadania i swej odpowiedzialności mógł zapragnąć zreformowania administracji, wprowadzenia do niej nieco ładu i hierarchicznego ustopniowania; że wśród tych nieprzejrzanych gęstwin i zarośli chciało mu się jasne powycinać polany. To też nie przeciw samemu podjęciu reformy, ale przeciwko rewolucyjnemu jej charakterowi podniosły się głosy w zachowawczym obozie angielskim. Aby zrozumieć potrzebę reformy, dość będzie uprzytomnić sobie w umyśle karby tej administracji, o której powiedział lord Fortescue, że była labiryntem poplątanych, wzajemnie się krzyżujących wydziałów, chaosem władz spółdzielających, lecz nie przenikających się wzajemnie, nie ześrodkowanych, ale często nawet wręcz sobie przeciwdziałających. Zarząd prowincjonalny posiadał pięć organów: parafię, związek dobroczynny, hrabstwo, municypium i okrąg. Ponieważ powstawały one kolejno z biegiem czasu i ponieważ atrybucye ich nigdy ściśle określone nie były, zatem istniało pomiędzy niemi zamieszanie. I tak: głównem zadaniem parafialnego cywilnego zarządu, *vestry*, było wprowadzanie w czyn prawa o biednych (*poor law*), że jednak związek dobroczynny (Poor-Union) przez organ swój *Board of Guardians* również przeznaczonym był do administrowania majątkami, należącymi do *work-hous'*ów, przeto kolizye były nieuchronne. A nie należy zapominać, że samych parafii cywilnych było w Anglii i Walii nie mniej jak 15,400, podczas gdy Związków dobroczynnych, obejmujących i jednoznacznych w swej organizacyi kilka parafii, było zaledwie 647.

Taki sam brak hierarchicznego ustopniowania istniał pomiędzy hrabstwami, municypiami i okręgami. Co się tyczy hrabstw, było ich wogóle 46, z których jedno olbrzymie przestrzenią i potężne ludnością, jak York lub Lancashire, drugie zaś, jak Rutland, drobne tylko i podrzędne. Mimo to każde z nich stanowiło całość polityczną, administracyjną, finansową, sądowniczą i t. p.—nie posiadało rad wyborczych, a zostawało pod dyktando lorda-gubernatora i dopełniających rozkładu podatków sędziów pokoju. Wobec tego możnaby istotnie hrabstwa uważać za typową komórkę organizmu administracyjnego

Anglii, za jego monadę, gdybyśmy obok nich nie spotykali 220 municipality i 640 *local districts*, zaliczających do swych atrybucyi i te same i inne jeszcze działy, jak n. p. utrzymywanie zakładów dobroczynnych, dróg, mostów, zdrowotności publicznej, szkółek i t. p., a zaopatrzonych w rady wyborcze.

W tem położeniu rzeczy czytelnik zrozumie łatwo, dlaczego ogólnie wyrażano życzenie ukłasyfikowania tych różnolitych organizmów administracyjnych, a zniesienia zbytecznych. Wszystkie publikacye wpływowego Cobden-Clubu od dawna już z tą myślą oswajały publiczność. Narzekania były ogólne, a z wielu względów usprawiedliwione. I w tym jednak względzie strzedz się wypada jednostronności. Gdy się spogląda na dwór szlachecki o niezliczonych przystawkach i pawilonach—trzeba przyznać, że jakkolwiek brakować mu może architektonicznej jedności i klasycznych linii, niemniej jednak może on być wygodnym i potrzebom zamieszkującej go rodziny odpowiadającym. Tak samo rzecz się miała z administracją prowincjonalną. Została ona wytworzona *ad usum Delphini*, czyli w tym razie obywatelstwa ziemskiego, arystokracji gruntowej, *squire'ów*. Na tym łuku spoczywał cały gmach. Gubernator prowincyi, tak zwany lord-lieutenant, przedstawiciel korony, mianowanym był zawsze z pomiędzy najstarszych domów, najzamożniejszych magnatów hrabstwa; on sam, albo obok niego inny wielki właściciel gruntowy, był pierwszym sędzią pokoju—*custos rotulorum*—o szerokich atrybucyach, a urzędy coronerów, sheriffów, sędziów pokoju i t. p., jednym słowem wszystkie pozycye wpływowe, wszystkie urzędy honorowe albo rzeczywiste, należały bez wyjątku do *squire'ów*. W tej tedy klasowej jednolitości była spójnia, nieodzowna w każdej administracyi. Po sąsiedzku, po przyjacielsku rozdzielali obywatele ziemscy pomiędzy sobą dostojenstwa i ciężary urzędów publicznych. *Digni fuerunt intrare*. Społeczeństwo, wyrosłe i wychowane wśród takich tradycyi i takiego porządku rzeczy, nie widziało przez długi czas powodu do wyzuwania właścicieli wielkich posiadłości z przysługujących im przywilejów. Nawet liberalne stronnictwo whigów, za czasu swego pozostawiania u steru rządu, nie marzyło o wydarciu im przewodnictwa, ale po prostu wyrażało chęć

zaprowadzenia uproszczeń pomiędzy krzyżującemi się atrybucyami wyżej wymienionych organów.

Bill 1888-go roku, reformujący administrację prowincjonalną, staje na wprost przeciwnym gruncie. Nie *possessionatus* i *bene natus* będzie na przyszłość dzierżył urzędy prowincyi i przewodniczył jej życiu publicznemu, ale szranki tegoż życia otwarte zostają w imię demokratycznej równości dla wszystkich bez wyjątku pełnoletnich jej mieszkańców. Cała Anglia zostanie podzieloną na okręgi wyborcze, a każdy okrąg wybierać będzie jednego radcę. Nawet płacące podatki kobiety będą w tem głosowaniu brały udział. Hrabstwa więc podzielone będą na okręgi, a w każdym z nich urządować ma rada wyborcza o trzechletniej kadencji swych członków. Miasta stanowić będą oddzielne okręgi, a każde z wielkich miast, liczących więcej jak 100,000 mieszkańców, będzie uważane jako hrabstwo i podzielone znów na okręgi. Zadaniem tych rad okręgowych, powstałych z wyborów, będzie utrzymywanie dogodnych komunikacyi, przedsięwzięcie robót publicznych, zarząd zakładów dobroczynnych, rozpisywanie podatków, a wreszcie zaciąganie pożyczek na potrzeby miejscowe. Szkoły i work-housy wyłączone zostają z ich kompetencyi, ale natomiast instytucye higieniczne, dozór nad szynkowniami i udzielanie im patentów stanowić będą ważną gałąź ich działalności. Pomijamy w tym sumarycznym przeglądzie stronę finansową, bardzo rozumnie obmyślaną, a dającą pomienionym radom poważną podstawę materialną.

Samorząd prowincjonalny angielski otrzymuje tedy nową sankcyę, nowe rozszerzenie swych atrybucyi, a cały organizm staje się o wiele mniej skomplikowanym. Dotąd posiadał on rozmaitość bez jedności—obecnie, na sposób francuski, będzie miał jedność bez rozmaitości. Hrabstwo angielskie zostanie uorganizowanem na obraz i podobieństwo departamentu francuskiego, z tą wszelako zasadniczą różnicą, że zamiast mianowanego przez władzę państwową u szczytu prefekta, będzie miał radę, powstałą z wyborów powszechnych, obradującą i stanowiącą zbiorowo. Teoretycznie nawet krańcowy radykalizm nie byłby w stanie sformułować przeciw tej organizacji najmniejszego zarzutu. Arystokracja terytoryalna zachowuje jedynie

władzę sądowniczą; na jak długo — przewidzieć niesposób; ale prawdopodobnie prędzej czy później wyzuta z niej będzie tak samo, jak z administracyjnej. Zostaje jej wprowadzić możność stawiania w szrankach wyborczych i spółzawodniczenia o stanowiska w radach okręgowych — ale samo z siebie wynika, że, jako zależni od swych wyborców, będą musieli przedstawiciele wielkiej ziemskiej posiadłości iść za ich wolą i wyrzec się roli oligarchicznego, stanowego ciała, którą to rolę mieli sobie podobną przekazaną przez tradycję. Dumniejsi się odsuną, ambitniejsi i mniej skrupulatni zegną kark pod ludowe jarzmo; czas jakiś przez samo nawyknienie możnowładcy ci potwierdzani będą na swych funkcjach radcowskich przez wyborców, ale stopniowo i powoli uprzywilejowane to ich stanowisko straci na sile, zatrze się, zniknie — i ostatecznie szanse arystokratycznego ustroju zniesione zostaną przez zasadę równości demokratycznej. Jesteśmy dziś świadkami początku końca, a przejęci ważnością tej ewolucyi, jaka się w społeczeństwie angielskiem obecnie dokonywa, staraliśmy się scharakteryzować jej przewodniczącą ideę.

Jeżeli łatwo przez samo wymienienie faktów z dziedziny prawodawczej albo administracyjnej wykazać zmiany, jakie przeszły w organizacji państwowej Wielkiej Brytanii, i udowodnić postępy, jakie z każdym rokiem uczyniła demokracja, — to daleko snadniej jeszcze dałoby się to uczynić, wkraczając w działalność państwa we wszystkich kwestiach, dotyczących organizacji pracy. Czytelnik znajdzie niżej sprawę tę wyluszczoną szczegółowo i nie widzimy potrzeby zaczepiać o nią tutaj.

Im bliżej przyglądamy się społeczeństwu angielskiemu takiemu, jak się ono kształtuje, tem widoczniejsze są jego różnice z przeszłością. Jedne po drugich cegielki dawniejszego jego gmachu zastąpione są przez nowe. Ażeby przebudowania takowego dokonać, nie zwalono jednak ścian, które służyły długo. Otworzono śluzę dla demokracji, jako urzeczywistniającej *summum* sprawiedliwości społecznej, ale oszczędzono sobie kosztów rewolucyi. W tem jest wielkość, w tem oryginalność ery Wiktoryi.

KOLONIALNA POTĘGA WIELKIEJ BRYTANII.¹⁾

I.

Nprzed dwudziestu kilku laty, świeżo z ławek uniwersytetu w Cambridge wyszły młodzieniec, sir Karol Dilke, syn właściciela *Athenaeum* i spadkobierca nie tylko literackich, ale szeroko humanitarnych idei swojego ojca, udał się był w podróż po wszech ziemiach, należących do korony brytańskiej. Po powrocie napisał książkę, zawierającą etnograficzno-polityczny opis kolonii z uwzględnieniem wszystkich najważniejszych zagadnień, jakie były wówczas na porządku dziennym. Nosila ona tytuł, który już sam przez się wystarczał do zapewnienia jej wyjątkowego powodzenia: *Greater Britain*, to jest Większa Brytania. Nazwa ta stała się programatem nie tylko jednego stronnictwa, ale hasłem narodowem. Bez różnicy politycznego obozu wyznają Anglicy opinię, że poza ciasnemi wybrzeżami tych dwóch wysepek, które się dumnie przezwalały

¹⁾ *Problems of Greater Britain*, by the Right Hon. Sir Charles Wentworth Dilke. Bart. London, 1890, 2 vol.

Wielką Brytanią, jest niezliczone, niepojęte prawie mnóstwo łądów, wysp, rzek i mórz, na których powiewa brytański sztandar, *Union-Jack*—i które, jako składowe części ich całości państwowej, stanowią Większą Brytanię. Nie potrzeba zapewne dowodzić, iż bezpośredniem następstwem tej przesłanki jest ściśnienie węzłów pomiędzy Wielką a Większą Brytanią, nadanie kilkuset milionom mieszkańców, do korony angielskiej należących, jednolitego narodowego i cywilizacyjnego piętna. Nigdy bardziej szczytne, bardziej rozległe, ale większymi trudnościami najeżone zadanie nie było postawione przed narodem silnym, energicznym, do początkowania przywykłym. Dzieje ostatniej ćwierci wieku dowodnie świadczą, że ani na chwilę Anglicy celu tego z oka nie stracili.

Książka młodego sir Karola Dilke miała powodzenie nadzwyczajne. Natychmiastową nagrodą autora stał się wybór do parlamentu, gdzie go posłała Chelsea, dzielnica londyńska, co od kilku pokoleń zostawała z jego rodziną w stosunkach klienteli do patronatu i która spoglądała teraz na owego Beniaminka Izby Gmin jak na wschodzącą gwiazdę narodową. Nie zamierzamy wchodzić w szczegóły jego politycznego zawodu, ani dowodzić, jak dalece położone w nim nadzieje usprawiedliwił. Wystarczy przypomnieć, że od roku 1868 nie przestał należeć do najbardziej na przód posuniętego hufca stronnictwa liberalnego, że wydany przez parlament w 1878 r. *Dilke's act* był pierwszym ogniwem łańcucha reform demokratycznych, które na wskroś zmieniać zaczęły w ostatnich czasach charakter oligarchii angielskiej, że w r. 1880 jako podsekretarz stanu do spraw zagranicznych w ministerium Gladstona, a w roku 1882 jako prezydent *Local Government Board* i członek gabinetu, wzniósł się do rzędu najbardziej utalentowanych, najpoważniejszych mężów stanu. Młody, wykształcony, popularny, bogaty, szczęśliwy w życiu rodzinnem, otoczony podwójną sławą—pisarza i męża stanu, zdawał się sir Karol Dilke płynąć pełnym żagleń po gładkiej fali nieprzerwanego sukcesu do wyżyn, gdy naraz przed czterema laty tryumfalny jego rydwan się wykoleił. Oskarżony o cudzołóstwo, przeszedł przez biczowanie skandalicznego rozwodowego procesu. Nie jest już dzisiaj tajemnicą, i nie było nią od pierwszej chwili, że poza kulisami tego pro-

cesu działały polityczne sprężyny i że podsycono płomyk i rozdmuchano ogień, aby się pozbyć raz na zawsze przeciwnika politycznego, unicestwić radykała, co się ośmielił w ferworze młodości sprzeciwiać liście cywilnej rodziny królewskiej, a stale i ciągle być rzecznikiem postępu, wrogiem przywilejów i nadużyć. Okazywała się niespodziewana, jedyna do zdruzgotania przeciwnika---i skorzystano z niej skwapliwie. Odwołano się do moralności publicznej, do tej, co, choć ciasna, jest szczerą, i do tej, co przywykła chodzić w masce hipokryzji i być właśnie dlatego wrzaskliwszą. W imię uczciwości, w imię czystości obyczajów odsunięto sir Karola Dilke od życia publicznego.

Ale stronnictwo, co tuszyło sobie, iż go maczugą swoją raz na zawsze powaliło na ziemię, spostrzegło niebawem, iż się przerachowało zupełnie. Zwalony podstępnie mąż stanu nie dał za wygraną. Pozwolił ostygnąć namietnościom, rozproszyc się potwarzom, odzyskać bezstronność i równowagę opinii publicznej, a sam udał się, w ciągłym towarzystwie lady Dilke, swej żony, kobiety równie wysokiego serca jak umysłu, w nowe podróże, w nowe objazdy zamorskich posiadłości brytańskich. W podróżach tych, przyjmowany jako wielkość narodowa przez władze urzędowe, ciała reprezentacyjne, miał sposobność zbadać źródła, wystudytować dokumenty nie każdemu dostępne, zasięgnąć zdania u przedstawicieli wszystkich obozów i zgromadzić materiały do dzieła, któreby się stało zwierciadłem obecnem owej Większej Brytanii, którą po raz pierwszy objął syntetycznem spojrzeniem przed ćwiercią wieku. Pierwotne jego dzieło, przerabiane już po kilka razy w nowych edycjach, nie odpowiadało zadaniu---i, zamiast przerabiać je ponownie, autor wolał napisać nowe zupełnie. Mamy je teraz przed sobą, te dwa grube tomy o przeszło tysiącu stronic, pod tytułem „Zagadnienia Większej Brytanii.”

Osobiście sir Karol ma prawo winszować sobie dokonanego przedsięwzięcia. Imię jego stanęło znowu przed publicznością jako dojrzałego, wytrawnego męża stanu, który znając dokładnie najdrobniejsze, praktyczne szczegóły niezliczonych kwestyi ekonomicznych i politycznych, nie gubi się w nich, ale umie je uporządkować, we właściwym postawić światło, a jednocześnie nie tracić z oka całości, planu organizującego. Praca jego

zdumiewa ogromem studyów, których wymagała, i ważnością problematów, które na każdym kroku porusza. Oddają mu hold bezwarunkowy krytycy nawet nieprzyjawnego obozu. Niema drugiego dzieła w całym piśmiennictwie angielskim, któreby z obecnym współzawodniczyć mogło, nie wyłączając nawet znakomitej pracy J. Roberta Seeley, profesora uniwersytetu w Cambridge—*Expansion of England*. Seeley rozumuje w abstrakcyjny sposób, Dilke opiera się na niezbitym gruncie faktów, liczb, danych statystycznych—i dlatego wnioski jego nabierają znaczenia pierwszorzędnego. Nazwano świeżą jego pracę „Encyklopedyą polityczną imperyum brytańskiego,” i taki jest istotnie jej charakter. Nie trudno zrozumieć, że skoro wartość dodatnia takowego jest uznana, doniosłość sformułowanego w niem programu wzmagą się ze względu na stanowisko autora, który był nie dawno i który prawdopodobnie będzie znowu w bliższej lub dalszej przyszłości pierwszorzędna, wpływową osobistością w politycznych kołach swego kraju.

Czyta się poważne dzieło sir Karola z zajęciem, jakiego najświetniejsze utwory fantazyi wzbudzićby nie potrafiły. Potęga kolonialna Wielkiej Brytanii, różnaitość składających ją żywiołów, olbrzymia przyszłość ekonomiczna, jaka czeka te kraje, zaledwie zaludniać się zaczynające i przechodzące od razu ze stanu dzieciństwa, albo nawet barbarzyństwa, do wyrafinowanej cywilizacyi — wszystko to składa się na obraz pelen barwy i życia. Przyczynia się jeszcze do wywołania tego wrażenia i metoda pisarska autora. Jest on daleki od suchej systematyczności. Nie poprzestaje na rysach etnograficznych, na danych statystycznych, ale daje oprócz tego szkice wybitnych działaczy politycznych we wszystkich grupach kolonialnych, nie wyłącza anegdoty charakterystycznej, żarciku nawet. Hojnie ofiaruje czytelnikowi wszystkie źródła informacyjne, aby ten mógł sobie zdać sprawę z dążeń i głównych prądów, istniejących w tych lub owych krajach kolonialnych. Żałować należy, że część statystyczna splata się tak szczelnie z polityczną, iż niepodobna będzie jednej oddzielić od drugiej. A przecież znaczenie jej jest tylko względne, i jeszcze dzieło nie wyszło z pod prasy, a już w wielu punktach stało się ono niedokładnem. Zestarzeje się wkrótce nie tylko pod względem liczb, ale

nawet niektóre z zagadnień, które znajdowały się jeszcze przed kilku miesiącami w chaotycznej ewolucji, już obecnie uczyniły ważne kroki na przód ku organicznemu rozwiązaniu. Przedewszystkiem odnosi się to zastrzeżenie do prowincyi australskich, zawierających się w ustrój federacyjny, oraz do prowincyi południowo-afrykańskich, będących w przededniu nader ważnej reorganizacyi. Ale nawet te zmiany nieuniknione powiększają właściwie tylko zaufanie do autora, gdyż odpowiadają całkowicie jego przewidywaniom i usprawiedliwiają jego sądy.

Gdy dodamy nadto do tej ogólnej charakterystyki autora, że dzieło swe dedykował generałowi Roberts'owi, najznakomitszemu z wojowników angielskich, co strzeże bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii na jej kresach indyjskich, to wykazemy w tym jednym rysie patryotyczny nastrój jego. Wystarczy iść teraz w ślad za autorem przez kraje i grupy krajów, znajdujących się pod berłem brytańskim, i stanąć razem z nim przed zagadnieniami, od których przyszłość ich zawisła, aby zrozumieć, że zdarza się nam tu pożądana a rzadka sposobność odsłonięcia zasłony, co kryje jednocześnie przyszłe losy ludzkości.

II.

Wszystkie monarchie wszechświatowe, które się ukazywały na widowni dziejowej, aby się rozpaść po krótkim przeciągu czasu na swe składowe części, nie wytrzymują najmniejszego porównania z współczesnem państwem brytańskim. Najśmielsza wyobraźnia nie marzyła nigdy o podobnym aglomeracie ras i narodowości, o podobnym ogromie terytoryalnym. 9,000,000 mil kwadratowych czyli powierzchnia trzy razy większa od Europy, — 400,000,000 ludzi zamieszkujących te ziemie, na których nigdy nie zachodzi słońce, — dochody roczne wynoszące już obecnie 210,000,000 funtów szterlingów, — połowa handlu morskiego całego świata zagarnięta przez jedno mocarstwo: oto kilka danych, których z oka nigdy spuszczać nie należy, gdy się mówi o Wielkiej Brytanii naszej, europejskiej. Jest tam nie tylko różnaitość interesów i prądów, ale nawet ich jaskrawa sprzeczność, czekająca wyrównania i pogodzenia. Rozmyślając

nad trudnościami, jakie ten złożony organizm ma do zwalczenia każdodziennie, wypada chyba jednemu tylko się dziwić, iż się dotąd utrzymuje, że kolos ten nie runął—i powiedziano ze słusznym sceptycyzmem, że najlepszym dowodem, iż nieprawdopodobne rzeczy się dzieją, jest właśnie owo istnienie Wielkiej Brytanii.

Nie tylko istnieje ona, ale wzrasta ciągle. Nienasycona w swej zaborczej i asymilacyjnej żądzy, Wielka Brytania stara się zagarnąć, przywłaszczyć sobie wszystko, co jest jeszcze rozporządzalnego na powierzchni ziemi. Niema skalistej wysepki, rzuconej samotnie wśród fal oceanów, niema pustyni afrykańskich, któreby uważała za niegodne zagarnięcia. W chwili obecnej zdobycze te nie są jeszcze wprawdzie użyteczne, ale stanowią zasób dla przyszłości. Gdy ludzkości będzie już ciasno na ziemi, gdy wyzyskać przyjdzie każdą piędź gruntu i wszystkie spowite w jego łonie bogactwa, wtedy owa przezorność i skrzętność dzisiejszych pokoleń będzie należycie oceniona przez ich dalekich następców.

Rasa anglo-saksońska jest rasą przyszłości. Rodzajność jej jest większa, aniżeli szczepu łacińskiego, germańskiego i słowiańskiego. Ma ona więcej miejsca, więcej przestrzeni przed sobą do życia społecznego. Przed stu laty na całej kuli ziemskiej mówiło językiem angielskim zaledwie 15,000,000. W ciągu stu lat ilość ta powiększyła się siedem razy i wynosi obecnie przeszło 105,000,000. Przy takim samym wzroście będzie ich w 1900 roku 120,000,000, a w sto lat później 800 milionów. Niema potrzeby brnąć dalej w tych obliczeniach. Już i te cyfry mogą o zawrót głowy przyprawić. Jakkolwiekby się nam je zmniejszać podobało, niepodobna zaprzeczyć, że narodowość anglo-saksońska, pochłaniająca w siebie z nadzwyczajną łatwością wszystkie innoplemienne żywioły, jeżeli nie natychmiast, to w drugim i trzecim pokoleniu stanie się dominującą na świecie. A nie trzeba zapominać, że toczy się ona dwoma prądami równoległymi, przez Wielką Brytanię i przez Stany Zjednoczone Ameryki północnej, które, wyzwolone już od stu lat, należą plemiennie do rasy anglo-saksońskiej, kształtują się i wzorują na cywilizacji brytańskiej. Nie będzie bynajmniej zuchwałym wniosek, że gdyby się nawet wielkie kolonie brytańskie, jak

Dominium Kanady, albo Australia, wyzwoliły w przyszłości z zależności państwowej od korony brytańskiej i stały się, tak jak zjednoczona Ameryka północna, państwami niezależnymi, to i one należeć będą szczepowo i cywilizacyjnie do anglo-saskiego typu i normy.

Przewaga ta, już dzisiaj widoczna i matematycznie zapewniona na przyszłość, jest węgielnym kamieniem polityki brytańskiej. Sir Karol ani chwili czasu nie traci do udowodnienia takich pewników. Państwa, jak Niemcy, jak Francya, nie zważają na szali ludzkości za kilka jakich stuleci i będą miały raczej znaczenie gwiazd zgasłych w systemacie planetarnym. Obok Wielkiej Brytanii i obok Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, tych dwóch przedstawicielek rasy, mającej taką wielką przyszłość, widzi on tylko jedno państwo uwzględnienia godne: Rosyę, przedstawicielkę szczepu słowiańskiego. Nie tylko, że jej nie lekceważy, ale oddaje jej hołd, jako jedynej godnej współzawodnicze rasy anglo-saskiej. Będziemy mieli w następstwie sposobność, gdy przejdziemy do kolonii azjatyckich Wielkiej Brytanii, tam, gdzie się z czasem zetrzeć może świat słowiański ze światem anglo-saskim, bliżej scharakteryzować zapatrywania wielkiego publicysty angielskiego na Rosyę. Tu wystarczy, jako wskazówka, ów wiersz Słowackiego z „Beniowskiego:”

„.....A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz na dwóch słońcach dwa przeciwne bogi.”

Uważając rasę anglo-saksońską jako najdoskonalej uzdolnioną do prowadzenia człowieczeństwa na coraz wyższe szczeble cywilizacji, autor jest *ipso facto* gorącym zwolennikiem utrzymania obecnej całości Wielkiej i Większej Brytanii w organicznym, państwowym związku, czyli, jak to w utartej już obecnie terminologii mówią Anglicy, jest imperyalistą. Należy wyrzec się zupełnie owego błędnego mniemania, które żywią tu i owdzie cudzoziemcy, że tylko torysowie zachowawcy są imperyalistami, jako stojący na gruncie, który im wskazał ostatni z ich twórczych mężów stanu, lord Beaconsfield. Przeciwnie, niema żadnego whiga ani radykała, któryby nie hołdował tej samej polityce. Lord Rosebery, minister spraw zagranicznych, w liberalnym gabinecie Gladstona jest prezesem Ligi Federacyjnej,

agitującej za wzmocnieniem węzłów pomiędzy metropolią a wszechkoloniami, a radykalny sir Karol Dilke pod tym samym idzie sztandarem.

Zadzierzgnąć mocne węzły, uczynić kolonie solidarnymi z Wielką Brytanią, ugrupować je jako dorosłe i dorastające córki około zawsze młodej i krzepkiej macierzy: oto ideał, który postawili sobie jasno wszyscy mężowie stanu angielscy i któremu, można być pewnym, pozostaną wiernymi aż do granic możliwości. Ale żaden z nich, a tem mniej jeszcze taki światły, taki wszechstronnie wykształcony mąż stanu, jak sir Karol, znający świat kolonialny z osobistych, kilkakrotnie powtarzanych objazdów, nie tai przed sobą, że jest to zadanie nadzwyczaj skomplikowane i że należy stąpać na przód z wielką ostrożnością. Federacya pomiędzy metropolią a koloniami, będąca na porządku dziennym od lat kilku, a szczególnie od ostatniej wystawy kolonialnej w Londynie i od gorliwego poparcia, jakie jej dał następca tronu, księżę Walii, grozi tu i owdzie wywołaniem wprost przeciwnych manifestacji. Nigdy n. p. w Australii nie ujawniały się tak otwarcie dążenia do całkowitej niezależności, jak od chwili, gdy podano myśl składającym ją krajom do powiązania się naprzód z sobą węzłem federacyjnym, a potem z innymi grupami kolonialnymi oraz z metropolią dla wspólnych środków obronnych w razie niebezpieczeństwa wojennego. Jest tyle różnic rasowych, religijnych, tyle odrębności politycznych, tyle interesów ekonomicznych, pokrzyżowanych pomiędzy rozmaitymi koloniami, że nie było dotąd można zarysować ogólnego planu, coby obejmował całość państwową.

Jeżeliśmy zrozumieli dobrze myśl autora „Zagadnień Większej Brytanii,” to nie pragnie on przyspieszać akcji w duchu federacyjnym żadnymi energiczniejszymi środkami, w obawie mogących nastąpić stąd wybuchów niezawisłości narodowej, lecz zamierza iść powolnie drogą prawie biernej, neutralnej polityki, zabezpieczając to, co jest, zdobywając w promieniu okolinym, ile się to da uczynić bez utraty posiadanych krajów, rozciągając protektorat brytański i przekładając takowy nad bezpośrednią zawisłość w ciągu pierwszego stadium rozwojowego przynajmniej. Wszędzie i na każdym miejscu autor zajmuje się brakiem wystarczających środków obronnych, złą organizacją

milicyi i armii kolonialnych, wszędzie doradza szybkie przeprowadzenie i dopełnienie instytucyi wojskowych. Z pomiędzy nie-wojskowych ludzi niema w Anglii ani jednego pisarza, któryby tak wytrwale i tak energicznie działał ku wzbudzeniu wpośród swych ziomków ducha wojennego. Kwestye wojskowe od lat kilku stały się jego specjalnością. Nie przestaje on dowodzić, że dla utrzymania swej potęgi, Wielka Brytania powinna posiadać nie tylko flotę, ale i armię lądową silną. Kolonie iść winny tą samą drogą, zmierzać do tego samego celu. Obecnie kolos brytański na glinianych spoczywa nogach i jest, jak otwarcie przyznaje, na łasce pierwszej wielkiej europejskiej wojny, do której Wielka Brytania lekkomyślnie wpłataćby się dała. Nie ma wątpliwości, że straciłaby wtedy Kanadę, któraby się przyłączyła do Stanów Zjednoczonych,—straciłaby Australię, któraby się ogłosiła niezależnem państwem. Zbytecznemby nawet było mówić o Indjach. Jedna wielka bitwa przegrana przez Anglików w początku kampanii, a klęska ta dałaby znak do ogólnego rokoszu.

W przewidywaniu takich katastrof, jakiemi mogłaby być brzemienna wielka wojna europejska, autor przedstawia ją jako największe niebezpieczeństwo, z którem rachować się powinna Wielka Brytania. Jeżeli inne mocarstwa unikają wojny i okazują wstręt ku niej z powodów czysto humanitarnych, nie chcąc rozlewać krwi i tracić nagromadzonego zasobu ekonomicznego, to dla niej przyczyny są daleko większej wagi, gdyż idzie o uniżenie rozbioru państwa, o utrzymanie hegemonii rasowej, o kwestyę bytu imperyum brytańskiego. Lat, dziesiątków lat rozwoju pokojowego potrzebuje ono, aby zapuścić korzenie,—a jeżeli mu się uda przetrwać w ten sposób przez kilka pokoleń, to wtedy, ale wtedy dopiero, będzie się miało prawo uważać gmach brytański jako stojący na niezachwianych podwalinach. Kluczem do polityki europejskiej gabinetu londyńskiego jest i będzie zawsze interes kolonialny Wielkiej Brytanii, a sąd ludzi, którzy tego czynnika należycie nie uwzględniają, jest z natury rzeczy fałszywy.

Autor dotyka tylko wszystkich tych kwestyi w przedmowie, powracając do nich w wielu miejscach samego dzieła. Dzieli się ono na osiem części. Trzy pierwsze traktują o usa-

mowolnionych koloniach Ameryki północnej, Australii i Afryki południowej; czwarta o Indyach, piąta o koloniach, należących bezpośrednio do korony i przez nią administrowanych; szósta o zagadnieniach kolonialnych, jak o kwestyi robotniczej, o organizacyi socyalnej, o oświacie publicznej i t. d.; siódma o przyszłych stosunkach pomiędzy metropolią a koloniami; ósma na koniec o środkach obrony imperyum brytańskiego. Proste to wyliczenie wystarczy, aby pokazać, jaki wielki interes dla każdego wykształconego umysłu mieć muszą te zagadnienia.

III.

Pielgrzymka autora rozpoczyna się od kolonii, najbliższej położonych od metropolii: od Nowej Ziemi (*Newfoundland*) i Kanady. Pięciu dni statkiem parowym potrzeba do przewiezienia podróżnika z Anglii do Montrealu i, uwzględniając tę krótkość czasu, trudno nawet pojąć, że kolonizacya Kanady nie idzie pośpieszniej. Nowa Ziemia, jak wiadomo, chociaż przyczepiona nieledwie do stałego lądu kanadyjskiego, nie chciała dotąd wejść jako składowa część do Dominium i zachowuje swą całkowitą odrębność. Kraj ten, mający wszystkie żywioły rozwoju ekonomicznego, a przedewszystkiem wielkiej produkcyi zboża, zajmuje się dotąd prawie wyłącznie rybołówstwem. Spory dyplomatyczne z Francją, która ma zabezpieczony sobie jeszcze przez traktat utrechcki przywilej połowu na wybrzeżach Nowej Ziemi, zwracają na nią od czasu do czasu uwagę świata. Sir Karol jest dotknięty tym przywilejem obcego państwa na terytorjum brytańskiem. Nie przywiązuje on jednak do całej tej sprawy, drobnej w gruncie rzeczy, większego znaczenia, niż się jej należy. Niema podług niego, innego wyjścia z ciągle powtarzającego się zatargu. Trzeba odkupić od Francyi owo prawo połowu.

Wstępując na grunt Kanady, staje od razu przed jedną z pereł korony brytańskiej, przed jedną z najważniejszych części składowych imperyum—i wszechstronny rozbiór, jakiemu autor jej stan obecny i jej przyszłość poddaje, świadczy, że całego jej znaczenia jest dobrze świadomy. Rozległość Kanady równa

się rozległości Stanów Zjednoczonych, równa się rozległości całej Europy. I to jest ów kraj, który posiadali Francuzi, który zaczęli kolonizować świetnie i który stracili wskutek niedołęstwa Ludwika XV, lub raczej wskutek nieznamośności geograficznej ze względu na ów nedorzeczny koncept Voltaire'a, który drwił z Kanady, jako z kilku mórg śnieżystych stepów! Taka lekko-myślność opłaca się utratą hegemonii wśród świata. W każdym razie, obecnie żadne odwoływanie się do solidarności narodowej na nic się już nie zda: sprawa rozsądzona jest w ostatniej instancji. Rasa francuska, która się u siebie, przez zbyteczne zamięłowanie dobrobytu i przez niemoralność, dobrowolnie skazuje na rozrost mniejszy stosunkowo, aniżeli innych szczepów, okazuje się natomiast bardzo płodną w Kanadzie. Z owych 60,000 Francuzów, którzy w 1763 r. zostali zaprzędani Wielkiej Brytanii, zrodziło się już obecnie 1,400,000 Kanadyjczyków francuskich, trzymających się ciągle i stale religii rodzinnej, mowy i obyczajów. Ale obok nich jest już obecnie 1,800,000 Irlandczyków, 900,000 Anglików i 700,000 Szkotów, a Niemców, Skandynawów i Amerykanów liczą na sto tysięcy, i w przyszłości dalekiej, ale niemniej przeto nieuniknionej, nastąpi na gruncie kanadyjskim zlanie się wszystkich składowych żywiół w jeden amalgamat anglo-saksoński: żywiół francuski postrada swą odrębność.

Dotąd emigracya z Wielkiej Brytanii płynęła głównie do Stanów Zjednoczonych, gdyż dawała 70⁰/₀. Drugie miejsce zajmowała Australia—20⁰/₀, a dopiero reszta, 10⁰/₀, osiedlała się w innych krajach, a pomiędzy nimi i w Kanadzie. Obecnie ruch emigracyjny ku tej ostatniej jest co rok widoczniejszy, a przyczynia się do tego z jednej strony szybka budowa dróg żelaznych, która całkiem niedostępne przedtem przestrzenie otwiera od razu i dla rolników, z drugiej—bajeczna urodzajność niektórych, nowo pod uprawę rolną wchodzących stanów, jak Manitoby,—a nakoniec szczodroblliwość rządu, który każdemu osadnikowi udziela bezpłatnie 160 akrów gruntu ornego. Wątpić nie można o ogromnej przyszłości ekonomicznej kraju, który posiada największe rzeki i jeziora, najlepsze przystanie morskie, najurodzajniejszą glebę, lasy nieprzejrane, kopalnie dotąd prawie nietknięte i któremu brakuje jedynie rąk do wyzyskiwa-

nia tych skarbów nieprzebranych. Przypuszczając nawet, że najbardziej ku północy posunięte części Kanady nie będą nigdy gęsto zaludnione, jest w niej jeszcze miejsca dość dla 200 milionów mieszkańców. Obecnie jest ich pięć. Nie trudno zrozumieć, że wraz ze zgęszczeniem ludności iść będzie jej wzrost ekonomiczny. Niczego nie zaniedbują rządy miejscowe, aby ułatwić komunikacye. W ciągu sześciu lat, 1880—86, wybudowano między innemi drogę żelazną, idącą na przestrzał całego kontynentu amerykańskiego od Montrealu do Vancouveru, i współzawodniczy ona z dwiema drogami żelaznymi Stanów Zjednoczonych, które idą także od Oceanu Atlantyckiego do Wielkiego. Obecnie jest już w Kanadzie 12,000 mil dróg żelaznych i dług państwa urósł wyłącznie z powodu wykonania tych robót, wysoce produkcyjnych w przyszłości. Przeciwnieństwo z państwami europejskimi, zadłużającemi się dla zaspokojenia wydatków wojskowych, jest jaskrawe, a korzyści takiej operacyi finansowej łatwo zrozumieć, gdy się weźmie na uwagę, że cały zachód Kanady budzi się dopiero do życia wytwórczego.

Kanada ma tedy, bez najmniejszego wątpienia, olbrzymią przyszłość ekonomiczną przed sobą, naprzód jako śpichlerz świata, już obecnie rywalizujący ze Stanami Zjednoczonymi co do wywozu zboża, jako dostawca surowców i materiałów potrzebnych dla twórczości rękodzielniczej, a w następnej fazie swego gospodarstwa narodowego jako będąca w stanie zaspokoić wszelkie potrzeby przemysłowe swoich mieszkańców. Tak hojnie uposażona od natury, wyrobiła też już w sobie poczucie samodzielności narodowej i uważa się za równą największym potęgom świata. Całe terytorya takich krajów, jak Niemcy lub Francya, dałyby się zatopić w jednej odnodze Hudsonskiej, co w część ich lądu wchodzi, jak sobie to Kanadyjczycy w rodzaju przechwałki przypominąć lubią. Rząd brytański nie tylko tego poczucia narodowego nie tłumi, ale przeciwnie—uważa je jako normalne i uwzględnia je na każdym kroku. Dość będzie przypomnieć, że wiele towarów angielskich płaci cła wchodowe na komorach kanadyjskich. Hołdując u siebie polityce wolno-handlowej, rząd metropolii nie myśli nigdy narzucać jej koloniom, godzi się na ich teorye protekcyjne i ufa, że z czasem zmniejszą się, a nakoniec znikną zupełnie te sztucznie wzniesione gra-

nice. Nauka emancypacyi Stanów Zjednoczonych w las nie poszła.

Ale nie tylko w kwestyi handlowej ujawniła się zdrowa polityka rządu brytańskiego. Dwa inne pierwszej wagi zagadnienia, narodowościowe i polityczne, rozwiązano w Kanadzie rozumnie, postępowo—i żniwo z tej siejby nie kazało długo na siebie czekać.

W kwestyi narodowości rząd brytański stanął na gruncie najszerszego, najliberalniejszego równouprawnienia. Nie tylko, że niema mowy o uciemnianiu katolicyzmu, wyznawanego z wielkim ferworem przez Kanadyjczyków francuskich, gdyż przeciwnie—używa on tam uprzywilejowanego stanowiska,—ale wiele starodawnych obyczajów francuskich, obrzędów i form administracyjnych zostało uszanowanych przez rząd. Co się tyczy języka, to posiada on najzupełniejszą swobodę w prasie, w szkole, w sądzie i w parlamencie zarówno pojedynczych prowincyi jak i całej federacyi dominialnej. Pod tym względem szeroka, nieograniczona swoboda nie tylko nie wywołuje antagonizmu narodowego pomiędzy rasą francuską a anglo-saksońską, ale odejmując wszelki zaród jątrzący, doprowadzi sama przez się w ciągu kilku pokoleń do nadania przewagi liczbie, to jest anglo-saksońskiemu żywiołowi. Awanturniczy umysł pisarza takiego, jak słynny Goldwin Smith, podobać sobie mógł w uciśnianiu narodowości francuskiej, co się w jego teoriach zgadzało zresztą z wyrzeczeniem się kolonii; poważni pisarze-myśliciele, jak historyk J. R. Seeley, widzą w ufundowaniu kolonii nie tylko tryumf idei wielko-brytańskiego imperyum, ale i tryumf rasy anglo-saksońskiej i z pewną niecierpliwością oczekują abdykacyi narodowości francuskiej na rzecz jej współzawodniczki uprzywilejowanej; ale sir Karol nie dzieli tych zapatrywań. Pozwala on ochotnie na to, aby żywioły narodowe francuskie się rozwinęły i nie widzi w nich niebezpieczeństwa. Przeciwnie, zadowolenie obywateli szczepu francuskiego jest rękojmią pokoju wewnętrznego, a lojalizm jego względem korony nie ulega żadnej wątpliwości. Bystry umysł męża stanu zrozumiał, że właśnie te wyłączności, te odrębności narodowe Kanadyjczyków francuskich, są dla całości imperyum rodzajem tarczy zabezpieczającej przeciwko złaniu się Kanady ze swym potężnym sąsiadem, Sta-

nami Zjednoczonymi. Ponieważ Francuzi, osiedli w prowincyi Quebec, czują się zupełnie u siebie i są o przyszłość swej narodowości spokojni, zatem nie mogą ciążyć do zlania się z 60-cio milionową rzecząpospolitą amerykańską, która nie miałaby żadnej potrzeby tej wyłączności sprzyjać, uszanować i która, przeciwnie, wprowadziłaby ją pod nóż autokracji republikańskiej, nietolerującej przywilejów historycznych narodów, znajdujących się w mniejszości. Pod wpływem tej polityki szerokiego uwzględniania narodowości francuskiej Kanadyjczycy tego szczepu stali się najbardziej zachowawczą częścią ludności miejscowej. Sir Karol, tak jak wszyscy podróżnicy i pisarze, zachwycony jest malowniczą staroświecczyną nie tylko miasta Quebec'u, ale i obyczajami jego mieszkańców. Niema rasy pobożniejszej, uczciwszej, poważniejszej, moralniejszej. Pomiedzy nimi a ich zaoceanскими współbraćmi po krwi jest istotna przepaść obecnie.

W kwestyi politycznej taktyka rządu brytańskiego była od dawna wytknięta po szlakach szerokiego samorządu liberalnego. Każda z ośmiu prowincyi, składających dominium Kanady, posiada swoją oddzielną ustawę konstytucyjną, którą może zmieniać i przekształcać stosownie do woli i interesów swych obywateli. Po większej części ustawy te wzorują się na konstytucyi angielskiej; władza wykonawcza spoczywa w ręku gubernatora, działającego przy poparciu rady wykonawczej, z pośród której wybierani są ministrowie,—władza prawodawcza—w ręku dwóch izb—wyższej i niższej, obu pochodzących z wyborów. Ponadto tymi rządami prowincjonalnymi istnieje od lat dwudziestu dwóch rząd całościowy, konfederacyjny, wspólny dla wszystkich ośmiu prowincyi. Ustanowiony za ministeryum lorda Derby w 1867/8 roku, mający swą stolicę w Ottawie, rząd federacyjny oddał już Kanadzie i całemu imperyum nieocenione przysługi. Rząd brytański mianuje wice-króla pomiędzy pierwszemi osobistościami urzędowego i arystokratycznego świata. Dość będzie przypomnieć, że królowa posłała tam była swego własnego zięcia, margrabiego Lorne, i że najgenialniejszy z dyplomatów angielskich, margrabia Dufferin-Awa, także godność tę piastował, nim go na trudniejsze, indyjskie powołano wice-królestwo. Korona ma prawo *veto*, ale nie śpieszy się z niego korzystać, i jej zatargi z parlamentem federalnym, składającym się z senatu

i ze zgromadzenia prawodawczego, są zawsze do załagodzenia łatwe. Atrybucye tego parlamentu w kwestyach sądownictwa, podatków, ceł i środków obronnych są nieograniczone; ministrowie, mianowani przez wice-króla, są odpowiedzialni przed parlamentem.

Załatwiwszy w sposób odpowiedni życzeniom Kanadyjczyków zarówno kwestyę stosunków jednej narodowości do drugiej, jak i kwestyę ustaw politycznych dla pojedynczych prowincyi i dla całej konfederacyi, metropolia nie ma powodu, jakby się zdawać mogło, obawiać się o przyszłość. Nic jednak nie uprawnia ją do takiego kwietyzmu, i autor nasz zajmuje się gruntnie sprawą utrwalenia stosunków pomiędzy Wielką Brytanią a kolonią, dziś już silną i mogącą liczyć na coraz świetniejszy sił swoich rozwój. Czy istnieją aspiracye do zerwania węzła państwowego, czy istnieją w kierunku związku ze Stanami Zjednoczonymi, czy są i jakie sposoby utrzymania niepodzielności państwowej?—oto zagadnienia, które z kolei roztrząsać mu przychodzi.

Nie można powiedzieć, ażeby istniało w Kanadzie stronnictwo o sformułowanym programie nieograniczonej samodzielności narodowej. Związek z Wielką Brytanią nie jest uciążliwy i niema też śladów żadnej niechęci. Jeżeli są jakie miejscowe zatargi, jeżeli się n. p. Kanadyjczycy skarżą, że ich rząd brytański nie proteguje dostatecznie przeciwko wszechpotężnym sąsiadom, Stanom Zjednoczonym, to opozycja nie przybrała nigdy charakteru ostrego i nie było do tego powodu. Kanada czuje się częścią Wielkiej Brytanii, jest dumna z jej potęgi i cywilizacyi. Pomiedzy nimi a Anglikami jest daleko więcej wspólności co do obyczajów, zwyczajów, mowy i t. d., aniżeli pomiedzy nimi a Amerykanami. Trzebaby tedy gwałtownej, nieprzewidzianej jakiej okoliczności, aby zmienić ten nastrój i to usposobienie narodowe w Kanadzie.

Jeżeli jednak nie mają powodu dążyć do uformowania się jako samodzielne mocarstwo, to mogą w pewnych wypadkach brać na uwagę korzyści, jakieby im przyniosło połączenie się z wielką federacją północnej Ameryki. Połączenie to, jak słusznie wyłuszcza sir Karol, musiałoby przyjąć nieodwrotnie jedną z trzech form: nieograniczonej wzajemności, unii handlowej i unii

politycznej. Unia polityczna nie uśmiecha się Kanadyjczykom; uważają się jako swobodniejsi pod tarczą swoich instytucji, aniżeli pod instytucjami Stanów Zjednoczonych, i zdają sobie sprawę z tego, że ich wyłączności narodowe, jak się to już wyżej rzekło, byłyby narażone na nieochybną zagładę. Ale inaczej rzeczy się mają co do unii handlowej, albo co do odporno-zacznego sojuszu pomiędzy obiema konfederacyami amerykańskimi. Gdyby nastąpiło pomiędzy nimi zniesienie granicy celnej i swobodna wymiana, a gdyby obie opancerzyły się wspólnie przeciwko przywozowi towarów europejskich, to Kanada mogłaby odnieść wielkie stąd korzyści materialne. Podczas gdy Kanada w ciągu dwudziestu lat potroiła swój dług państwowy, potroiła podatki, a dodała tylko 30% do swej ludności, to Stany Zjednoczone w tym samym przeciągu czasu doszły do bajecznego ześrodkowania bogactw. O wiele uboższa Kanada mogłaby tedy korzystać z zasobów swojej siostrzycy. Ale są i strony ciemne w tej unii. Naprzód nie chcą jej Amerykanie dla protekcyjnych swych namiętności, w ostatnich czasach dostrojonych do szaleństwa; potem Kanada pozostanie jeszcze przez całe dziesiątki lat przedewszystkiem krajem produkcyi rolniczej; niema więc powodu wiązać sobie swobody działania przez ustępstwa dla wytwórczości rękodzielniczej Stanów Zjednoczonych. Nakoniec, jako ostatni, ale kapitalny argument, wymienić należy ten, że unia handlowa i sojusz między konfederacyami byłby tylko początkiem pochłonięcia Kanady przez potężnego jej sąsiada.

Nie należy tedy tracić tej kwestyi handlowej z oka—utrzymuje sir Karol,—ale niema też powodu mniemać, iżby bezpośrednio niebezpieczeństwo groziło stąd dla Większej Brytanii.

Ostatniemi zagadnieniem, tyjącem się Kanady, jest wypadek wojny zaborczej Stanów Zjednoczonych. Tutaj niebezpieczeństwo jest niezaprzeczone. Granica, dzieląca obie konfederacye, często matematycznie nieujęta, teoretyczna tylko, a ciągnąca się na linii 4,000 mil, pozwoliłaby im zalać terytoryum Kanady bez żadnego możliwego ze strony jej oporu. Milicya, 37,000 żołnierza wynosząca, i rezerwa, wprawdzie 650,000 na papierze licząca, ale w istocie znacznie mniej silna, pokazałaby się bezsilną, gdy-

by Wielka Brytania, sama w jaką wielką wojnę wpłątana, nie mogła pośpieszyć na pomoc Kanadzie.

Jedyny ratunek dla Kanady, tak samo jak dla wszystkich innych kolonii i grup kolonialnych, widzi sir Karol w uformowaniu bezzwłocznem armii i floty federacyjnej. Ale ani ta siła wojskowa federacyjna, ani inne instytucje, wspólne całemu imperyum, nie mają dotąd wśród obywateli Kanady gorących popleczników. Ukołysani do snu w przyjemnym spokoju, nie starają się o wczesne przygotowanie środków, mogących zażegnać burze w przyszłości. Autor usiłuje wlać w nich swój ogień patriotyczny, lubo przyznaje otwarcie, że sprawa nie pójdzie łatwo.

IV.

Niema bardziej interesującego rozdziału streszczanego przez nas dzieła, jak ten, który traktuje o Australazyi. Niechaj czytelnik od razu spostrzeże różnicę: nie jest to już Australia, wielki, ale źle zaludniony kontynent, miejsce wysyłania galerników, ale Australazya, kraj olbrzymi, przepełniony bogactwami, czujący swą przyszłość, niezależny, dumny, ambitny, płynący pełnym żagleń ku świetnej przyszłości. Jest tu tyle żywiołów młodych, po raz pierwszy znajdujących przestronie pole do zaimanifestowania swej żywotności, taka różnorodność tradycji, aspiracji, prądów, systemów rządowych i gospodarczych, taki chaotyczny jeszcze stan przygotowawczy, że się jest wciągniętym, porwanym w zaczarowane to koło, że się nadstawia ciekawie ucha i słucha jak wymysłów fantazyjnych rzeczywistej historii dnia onegdajszego i wczorajszego, że oczekuje się od bystrego przewodnika, co tam prowadzi, wskazówek co do sposobu, w jaki rozwiązane zostaną piętrzące się zagadnienia. Czuje się instynktowo, że świat australazyjski gotuje nam niespodzianki. Sir Karol nas uwiadamia, jak się na owe ewolucje inno-biegunowo zapatrują brytańscy statysci.

Stały ląd Australii, bez Nowej Zelandyi, położonej w znacznej odległości i która jedynie z braku lepszej klasyfikacji do australazyjskiego świata zaliczana bywa, jest tak wielki jak Ka-

nada, albo jak Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, albo jak cała nasza Europa. Na tej niezmiernej przestrzeni, co się przez naturę upośledzoną być zdawała, gdzie przed stu laty jeszcze nie było osadników europejskich, żyje już obecnie cztery miliony ruchliwej, przedsiębiorczej i pracowitej ludności szczepu anglo-saskiego. Cyfra ta jest godna zastanowienia jedynie ze względu na porównanie jej z przeszłością. Niema wątpliwości, że z czasem dosyć miejsca tu będzie dla kilkuset milionów Anglo-Sasów. Dotąd z 600,000,000 akrów gruntu zostało sprzedanych zaledwie 11,000,000, a znajduje się pod uprawą wszystkiego 5,000,000. W kraju nie posiadającym autochtonów—gdyż kilka tysięcy dzikich myśliwców, znalezionych na południowych wybrzeżach, należy już całkiem do świata legendarnego—kwestya agrarna nie przedstawia żadnych trudności, i czy Australia będzie się trzymać nadal systemu kolonizacyi systematycznej Wakefiel-da i uruchomiania tytułów własności gruntowej podług aktu Torrensa,—czy też rzuci się, jak się to w niektórych jej krajach bardzo prawdopodobnem być zdawało, do urzeczywistnienia socjalistycznego planu Henryka George i upaństwowienie ziemi zastąpi tam własność prywatną,—zawsze znajdzie się w Australazyi swobodna, niewzruszona podstawa do rozwoju ekonomicznego. Rządy miejscowe z energią i z zuchwałością, o jakiej my wyobrażenia nie mamy, biorą się do robót publicznych. W Wiktorji zadekretowano n. p. zawodnienie kraju, cierpiącego na suszę organiczną, i poświęcono jednorazowo 4,000,000 funtów szterl. na to przedsięwzięcie. Rozpoczęte w 1887 roku prace potrwają jeszcze lat dwa, ale po ich ukończeniu urodzajność tego kraju przeniesie najśmielsze oczekiwania. Niema kraju, gdzieby budowa dróg żelaznych szła pośpieszniej. A wszystkie należą do państwa, tak samo jak tramwaje, drogi, mosty, telegrafy, porty i t. p. Australazya jest *par excellence* ziemią koncentracyi państwowej i socjalizmu państwowego. Rządy nie wahają się zaciągać olbrzymich pożyczek na wszystkie te prace, o których wydatności najmniejszego wątpienia mieć nie można. Porównywając tę drobną ilość mieszkańców z tymi miliardami długu publicznego, zdumieniu oprzeć się nie można,—ale nie trzeba zapominać, że się ma tu do czynienia z krajem, w całkiem odmiennych znajdującym się stosunkach. Angielscy finan-

siści, których nikt zapewne o naiwność nie posądzi, okazują zupełne zaufanie do pożyczek australskich. Nie śpieszą się oni ofiarować kapitałów brytańskich narodom europejskim, jak to ongi bywało,—są pełni ostrożności nawet, gdy idzie o wewnętrzne brytańskie przedsięwzięcia; ale niechaj tylko który z rządów australskich zażąda setek milionów, to mu ich rynek pieniężny londyński dostarczy ochotnie. Jeżeliby przy przeprowadzeniu federacyi australskiej długi państwowe zunifikowane zostały, to niema wątplenia, że kredyt publiczny na nowych i silniejszych jeszcze wzniósłby się podstawach.

Rozwój ekonomiczny Australii jest wszechstronny i bajecznie wielki. Rozmiary jego byłyby jednak daleko większe, gdyby posiadał ręce do pracy: brak robotnika jest szkopułem, o który się dotychczas ten pochód tryumfalny postępu rozbija. Australczycy przecież tak są już pewni swej przyszłości i tak dbają o czystość swego plemienia pod względem moralności i pod względem rasy, że wolą iść powolniej, a czystości tej na szwank nie wystawić. Otrzymali oni naprzód od rządu brytańskiego jedno wielkie ustępstwo: już galerników nie przysyłają na osiedlenie tutaj. Kłuje ich nawet w oczy, że Francya wysyła swoich przestępców niepoprawnych do sąsiadującej z Australią Nowej Kaledonii i protestują przeciw temu coraz energiczniej, nie troszcząc się bynajmniej o międzynarodowe trudności, na jakie narazić mogą Wielką Brytanię przez starcie się z Francją, która posiada bezwzględne prawo swojej wewnętrznej polityki. Sir Karol nie zamyka oczu na to niebezpieczeństwo i wie dobrze, że nie byłoby większego powodu do odstrychnięcia się Australii od Wielkiej Brytanii, jak wtedy, gdyby ona stanęła po stronie Francyi przeciwko swej kolonii. Ale łatwiej było załatwić sprawę Nowych Hebryd, albo znaleźć *modus vivendi* co do połowu na wybrzeżach Nowej Ziemi, aniżeli narzucić Francyi zmianę polityki swej co do Nowej Kaledonii. Jest to czarny punkt na horyzoncie przyszłości.

Czystość rasy zagrożona była przez napływ Chińczyków. Australczycy sprzeciwili się energicznie powiększeniu emigracyi żółtoskórej i kosookiej. Prawdopodobnie czytelnicy przypominają sobie wrzawę, jaką nie dawno sprawa ta zrobiła i w jak trudnem położeniu postawiła rząd brytański. Nie mamy miejsca

rozwozić się tutaj ubocznie nad kwestyą tak wielkiej doniosłości, ale i tutaj tę samą uwagę powtórzyć można, co wyżej: związek Australii z Wielką Brytanią powinien, podług przekonań Australczyków, zapewnić im przynajmniej międzynarodową opiekę i interwencyę skuteczną. W braku jej, idee odrębnego bytu państwowego otrzymają nowego bodźca.

A idee oderwania się, wyzwolenia, utworzenia całkiem niezależnego mocarstwa, istnieją już w społeczeństwie australickiem. Nie są one dotąd ani jednakowo sformułowane w różnych krajach, ani też prądy te nie są wszędzie jednakowo silne: lecz samo ich ujawnienie daje do myślenia. W Queensland'zie tendencye do emancypacyi zupełnej są najbardziej energiczne, ale mało im ustępuje New-South-Wales; Wiktorya zato mocno obstaje za dotychczasowem utrzymaniem stosunków. Ale Wiktorya właśnie, jako obejmująca w sobie kwiat inteligencyi australickiej, jako zdążająca do hegemonii wpośród sąsiednich rzeczypospolitych australickich, wywołała przeciwko sobie manifestacye nieprzyjazne i wystarczają już jej tendencye brytańskie, ażeby wywołać wręcz przeciwnie u innych. W miarę, jak stare pokolenia, co przybyły z Wielkiej Brytanii, wymierają, a ich miejsce zajmują nowe, zrodzone i rozrosłe na ziemi australickiej, zmienia się dyapazon uczuć, słabną węzły ze swą metropolią, która im się wydaje pigmejem, a której wielkości cywilizacyjnej w swym zapale parafialnym i wyłączności nie pojmują.

Ażeby tej walce jednych rzeczypospolitych australickich z drugimi zapobiedz i zarazem zniweczyć w zarodzie prąd do wystąpienia z zależności kolonialnej od metropolii, rząd brytański pragnąłby połączenia ich w jedną federacyę, na wzór tej, jaka tak pomyślne rezultaty daje w Kanadzie. Niektóre z krajów australickich są tak wielkie, że wypadaloby je wprzód po dzielić na kilka samodzielnych państw. Z zachodniej Australii wykroiloby się ze cztery podług europejskiej miary. Zanim węzeł federacyjny mógłby spoić te rzeczypospolite, potrzebaby tedy wprzód przeprowadzić te emancypacye częściowe, ale z drugiej strony jest nawet dla nich jeszcze w niektórych częściach za wcześnie. Kwestya, czy Nowa Zelandya wejdzie do tej unii, także nie jest rozwiązana i żywo zaprzęta umysły miejscowe. W każdym razie, rząd brytański sprzyja zawiązaniu się

federacyi australskiej. Już po wyjściu dzieła sir Karola zebrała się w Melbourne konferencya, przygotowująca tę organizację wspólną. Duszą tego wiecu był sir Henryk Parker, najzdolniejszy z mężów stanu tamtejszych. Nie będzie prawdopodobnie natychmiastowego rezultatu, ale po zbliżeniu przedstawicieli wszech rządów australskich przekonano się, że unia nie jest niemożliwa. Jest to już przewidziane przez naszego autora, który dosłownie tak się w tej kwestyi wyraża: „Podług mnie, ścisły związek pomiędzy koloniami australskimi, chociaż trudny, jest jednak możliwy; związek luźny pomiędzy Australią a Nową Zelandią jest równie możliwy, ale nie wierzę w możliwość ścisłego związku pomiędzy niemi.”

Ażeby zrozumieć te trudności, jakie wspólna organizacya napotyka, trzeba sobie uzmysłwić, że są to kraje wielkie, jedne jak razem Niemcy, Włochy i Francya,—drugie jak razem Niemcy, Francya i Austria,—że najmniejszy ma objętość Wielkiej Brytanii, największy—rozmiary Rosyi europejskiej. A oprócz tych warunków geograficznych, są inne—handlowe i polityczne. Kraje te, niejednakowo zagospodarowane, niejednakowe posiadają taryfy celne i od wolnego przywozu aż do systemu prohibycyjnego stosowane tam są wszystkie metody ocenia towarów. Idee protekcyjne tem naturalniej przemagają w rzeczach pospolitych australskich, ile że są one politycznie najbardziej na przód posuniętymi demokracjami, a jak uczy doświadczenie historyczne, demokracje dążą do ubezpieczenia pracy wewnętrznej we wszystkich jej formach. Niema wątpienia, że gdy przyjdzie do Unii Stanów Zjednoczonych Australskich, płody rękodzielnicze metropolii będą wysoko oclone. Zgodzi się ona na to chętnie, jeżeli tą ofiarą materyalną okupi jedność państwową. Łatwo pojąć, że przy takim nastroju opinii kwestya federacyi imperialnej, wszech-brytańskiej, nie znajduje dla swego rozwoju pomyslnych warunków. Myśl, że trzebaby utworzyć armię i marynarkę dla obrony całości państwa, tu i owdzie zagrożonej, wydaje się awanturniczą dla umysłów Australczyków, którzy zgola pograżeni w blizkich siebie, miejscowych zagadnieniach, nie mogą nawet wznieść się teoretycznie do tego syntetycznego pojęcia.

V.

Jeżeli w Australii, a nawet w Kanadzie, pomimo półtora-milionowej ludności francuskiego szczepu, zwierzchnictwo państwowe Wielkiej Brytanii nie napotyka starć rasowych i płynących stąd trudności, to inaczej ma się rzecz w Afryce. Rasa anglo-saska, oprócz wszystkich innych problemów politycznych i ekonomicznych, ma tam do zwalczania jeszcze i szczepowpy. Anglicy w afrykańskich swych koloniach znajdują się w liczebnej mniejszości. Oprócz Kafirów, Hottentotów, Zulusów i t. d., stanowiących ludność miejscową, znajdują się tam spadkobiercy pierwszych kolonizatorów, Holendrów—Boerowie, którzy tworzą obecnie jeszcze rdzeń europejskich osadników w południowej Afryce. Przedewszystkiem jest to żywioł rolniczy, osiadły po wsiach, wtedy gdy Anglicy zajęli i ufundowali miasta. Boerowie uciemieźali i srogo się obchodzili z Murzynami, szczególnie w dawnych czasach, ale dotąd tradycja tych prześladowań nie zagięła i stanowi ciągle nieprzepartą zaporę pomiędzy nimi a autochtonami. Gdy Anglicy w 1834 r. znieśli niewolnictwo, stali się w oczach niewolników oswobodzicielami; w wojnach zaś, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich lat dwudziestu, pomiędzy Anglikami a Boerami, zamieszkującymi osobne państwo Oranie i Transvaal, autochtoni zawsze stawali po stronie angielskiej.

Ta taktyka jest fundamentem polityki brytańskiej w Afryce południowej. Nie mogąc się narzucić, czując swą liczebną mniejszość przy cywilizacyjnej przewadze, nie drażnią narodowości podbitych, ale zostają z nimi w najlepszych stosunkach. Zlanie tych różnych żywiołów w jeden aglomerat będzie dziełem wielu pokoleń, lecz Anglicy nie tracą go z oka. Propagandą w tym kierunku zajmuje się potężne stowarzyszenie *The Afrikaner Bond*: chce ono wytworzyć narodowość odrębną, do której Kafrowie i Holendrzy przydadzą swe pierwiastki, ale które stopniowo będą się oczyszczać i wznosić do anglo-saksońskiego typu. Już obecnie język, zwyczaje i cały tryb życia angielski dominują, i z dobrze i silnie uorganizowanego Caplandu promieniają do sąsiednich krajów i osad. Staje się to tem łatwiejszem, że napływ emigracyi anglo-saskiej, długi czas

opieszaly i zacofany, przybrał w ostatnich dziesięciu latach wielkie rozmiary. Przyczyniły się do tego prądu emigracyjnego odkrycia kopalni złota i dyamentów, a także coraz silniejsze przeświadczenie, że na polu hodowli owiec i w uprawie innych gałęzi wytwórczości rolniczej południowo wschodnia Afryka ma przed sobą ogromną przyszłość ekonomiczną. W ciągu dziesięciu lat, pomiędzy 1870 a 1880 r., handel pomiędzy Caplandem a Wielką Brytanią wzniósł się z 5 do 12 milionów funtów, a w epoce pomiędzy 1880 a 1890 r., chociaż jeszcze cyfr ostatecznych nie znamy, obliczony być może na 40 milionów funtów szt. Wywóz dyamentów nie wchodzi do tego wykazu statystycznego i dodałby sam przez się niezmierne cyfry do poprzednich.

Dzięki napływowi emigracyi i dobrobytowi ekonomicznemu, jaki się krzewi w dwóch głównych koloniach angielskich południowej Afryki, Capie i Natalu, kwestya rasy drzemie obecnie i żadnem niebezpieczeństwem nie grozi. Czy tak będzie na przyszłość i raz na zawsze?—nikt zapewne odpowiedzieć stanowczo nie zechce. Dość sobie będzie przypomnieć zaciętą walkę, jaką Zulusi pod dowództwem swego króla Cettiwayo prowadzili w 1879 r. z Anglikami, aby być ostrożnym w stawianiu horoskopu.

Nie da się zaprzeczyć, że potęga angielska ma do walczenia w Afryce z olbrzymiemi trudnościami. Naprzód widzieliśmy trudności rasowe; następnie idą polityczne. Pomiedzy dwoma głównymi krajami samodzielnymi, Capem i Natalem, istnieją rywalizacye, a utworzenie nowych niezależnych krajów, jak Bosutolandu i Bachunalandu, nie zmniejszy, ale powiększy tylko te zatargi konstytucyjne. Wszyscy politycy, którzy badali zagadnienia afrykańskie, byli zdania—a sir Charles Dilke także je dzieli,—że nie należy zostawiać czasu do rozkrzewiania się i ustalania tych rywalizacyi i zatargów sąsiedzkich, lecz przeciwnie—co prędzej połączyć je w jedno dominium, jedną federacyę o silnej administracyi centralnej. Idea ta uzmysłowiała się w wielkim mezu stanu, który przez lat dziewięć ostatnich był generalnym gubernatorem Capu, w sir Herkulesie Robinsonie. Dążył on energicznie do pozyskania dla południowej Afryki szerokich przywilejów, zawarł traktaty handlowe z Transvaalem, starał się

wcielić Svasiland do krajów korony brytańskiej, był przedsiębiorczym, czynnym, zuchwałym. Być może, że przeszedł miarę, albo po prostu, że szedł za szybko,—rząd też angielski usunął go z urzędu. Pogłoski, jakie krążyły w świecie politycznym londyńskim, że rząd się obawiał, ażeby przez utworzenie się wielkiej federacji południowo-afrykańskiej nie zrodziły się wśród jej mieszkańców dążenia do emancypacyi, nie wszczęła na jej rzecz propaganda, nie mają żadnej podstawy racjonalnej. Po prostu rząd angielski nie czuje się jeszcze na siłach do energicznej i natychmiastowej akcji w tych strefach: woli czekać, pośredniczyć, negocjować. Ustępstwo, jakie świeżo zrobił ze Svasilandu na rzecz Transvaalu, pokazuje, że woli on rozplątywać, aniżeli rozcinać węzły gordyjskie. Sir Karol skarży się na tę chwiejność i brak decyzji; nie dopatruje się linii wytycznej w polityce metropolii. W jego oczach niema kolonii ważniejszych, jak właśnie południowo-afrykańskie; w nich jest klucz, jest spójnia pomiędzy posiadłościami, rozproszonemi na powierzchni kuli ziemskiej. W razie wojny europejskiej i zamknięcia kanału Sueskiego, trzeba będzie dla dostania się do Indyi okrążyć Afrykę; olbrzymie, nie tylko niewyczerpane, ale nawet nietknięte pokłady węgla w Natalu są dla marynarki brytańskiej warunkiem bytu. Niema wysiłku, niema poświęcenia, któregooby nie należało uczynić do utrzymania i wzmocnienia tych kolonii. Jeżeli federacya południowo-afrykańska ma być odroczonea jeszcze na lata, albo na lat dziesiątki, a wskutek tego i środki wojenne do obrony całości brytańskiego imperyum na tym afrykańskim zrębie, to nie pozostaje, zdaniem jego, nic innego, jak natychmiastowe wzmocnienie Afryki południowej pod względem wojskowym kosztem skarbu metropolii. Ogrom ściganego celu tak jasno jest zarysowany w jego umyśle, że nie waha się on przed ofiarami i poświęceniami, których wymagać będzie.

Ale nie wyczerpaliśmy jeszcze litanii trudności afrykańskich. Obok szczepowych, obok politycznych, obok militarych, są jeszcze *the last but not the least*—są jeszcze kwestye międzynarodowe. Nieszczęściem dla Wielkiej Brytanii, nie jest ona sama na afrykańskim kontynencie i musi się tam liczyć nie tylko z Hottentotami i Zulusami, nie tylko z drzemiącymi Boerami, których pochłonać ma zamiar prędzej czy później, albo zmusić

przynajmniej do traktatów—że tak powiemy—lennicznych, ale ma tam jeszcze obok siebie inne, niezależne państwa europejskie. Przy gorączkowym ruchu kolonizacyjnym, który ostatnich lat kilkanaście cechował, ze wszech stron wciskać się zaczęto do wnętrza czarnego kontynentu. Nawet kraje, co już dawno ducha inicjatywy postradały i z posiadanych w Afryce kolonii żadnych nie ciągnęły korzyści—albo bardzo małe, jak Portugalia—zamanifestowały chęć utrzymania się na swych stanowiskach i zabezpieczenia swych posiadłości. Inne mocarstwa, jak Francya, przez utworzenie państwa Congo i przez przedostawanie się do wnętrza Afryki z północy i z zachodu,—jak Włochy, które szamotają się o utworzenie w Abissynii i Etyopii kolonii, jakich nie potrafiły zdobyć na wybrzeżach afrykańskich morza Śródziemnego,—jak Niemcy nakoniec, które już przedarły się do zwrotnikowych stref przez Zanzibar i które mogą pokiereszować brytańskie posiadłości i pozbawić je ciągłości terytoryalnej: oto przeciwnicy, a jeżeli nie przeciwnicy, to przynajmniej współzawodnicy, z jakimi Wielka Brytania będzie miała prędzej czy później do czynienia w tej części świata. Oględność i przezorność są tutaj niezbędne. Przed niedawnym czasem byliśmy świadkami, z jak nieubłaganą srogością Wielka Brytania pokroiła Portugalję i zmusiła ją do cofnięcia swoich, nawet najbardziej usprawiedliwionych pretensyi. Z Niemcami, jako z pierwszorzędną potęgą europejską, będzie naturalnie zmuszoną postępować daleko ostrożniej—i pojawienie się ich na afrykańskich wybrzeżach oceanu Indyjskiego było już samo przez się zwiastunem, że owo ambitne marzenie Anglików o utworzeniu jednego państwa afrykańskiego od Capu, wzdłuż Mozambiku, Zanzibaru, aż do Nubii i Egiptu, z wciągnięciem doń o ile można największej części Sudanu, że owo marzenie nie da się już urzeczywistnić. Jest to najsilniejszy cios, jaki dotąd spotkał rozwój potęgi brytańskiej, nie takiej, jaka istniała, ale jaka mogła istnieć kiedyś. Można być pewnym, że wszyscy imperjaliści—a i sir Charles Dilke, jak i inni, i więcej niż inni—boleć nad tą klęską muszą. Znoszą ją jednak ze stoickim spokojem i z niezachwianą pewnością, że lew brytański nie da sobie obciąć pazurów. Jako dowód zresztą, że rząd angielski o tych przypadłościach oddalonej przyszłości myśleć nie przestaje, posłużyć

może umowa z Niemcami. Za ustępstwa, otrzymane od nich w Afryce, odstąpił im wyspę Helgoland. Całą doniosłość tej zamiany ocenia, jak należy, dopiero przyszłe pokolenia.

Nie dotyka nasz autor bynajmniej problemów środkowej i wschodniej Afryki. Jak wiadomo, nie istnieją one dla Anglii urzędowej. Towarzystwa prywatne, o celach handlowych, otrzymują od rządu przywileje i korzystne monopole, z bogacą się i torują dla rządu drogi szerokie i wygodne do ostatecznej i państwowej okupacji. Takich uprzywilejowanych towarzystw jest dotąd trzy i ich liczba wzrosć będzie mogła. O tych agentach mowy niema aż do chwili, gdy się z patriotyczną gotowością usuwają przed organizacją, przedsięwziętą w imieniu państwa. Sir Karol, tak samo jak cała Anglia, przysłuchuje się obecnie sprawozdaniom Stanleya z jego odkryć i podróży afrykańskich, ale można przypuszczać, że nie zatrzymuje się zbyt długo nad romantyczną stroną jego przygód i że widzi już w oddali nowe państwa, nowe kolonie, grupujące się około Nyanz środkowo-afrykańskich i wzmagające potęgę Większej Brytanii. Jesteśmy przygotowani, że w dalszych wydaniach dzieła tutaj streszczanego przybędzie rozdział, którego ostrożność i takt dyplomatyczny autora obecnie jeszcze dotknąć mu nie pozwolił.

Przez kilka dziesiątków lat najbliższy największy wysiłek polityki kolonialnej brytańskiej skierowany i ześrodkowany będzie w Afryce.

VI.

Drugi tom „Zagadnień Większej Brytanii” przeważnie poświęcony jest Indiom. Spotkaliby się jednak z zawodem czytelnicy, którzyby spodziewali się, że znajdą w sążnistym dziele, im poświęconym, teoretyczne, syntetyczne, *ex professo* traktowanie kwestyi, dotyczących Indyi. Nie wystarczyłyby na to i daleko większe rozmiary—nie wchodziło też w zakres pracy sir Karola, nie zgadzało się z jego empiryczną metodą, aby się nad niemi rozszerzał. Wszystkie, najważniejsze strony życia oraz organizacji narodowej i społecznej w Indyach tracą dla

Anglików bezpośredni i natychmiastowy interes, jeżeli wyłamia się one ze związku państwowego z Wielką Brytanią i albo przejdą pod zwierzchnictwo innego mocarstwa, albo zdobędą dla siebie całkowitą niezawisłość. Ponieważ wypadek ten jest nie tylko prawdopodobnym, ale nieledwie nieuniknioną koniecznością historyczną, zatem pierwszym obowiązkiem pisarza, stojącego na podstawie imperyalizmu, było rozejrzeć się w środkach, jakimi rozporządza Wielka Brytania, aby Indye przy sobie zatrzymać. Zostawia on paradoksalnym pisarzom, jak Goldwin Smith, rozkoszowanie się w hipotezie o stracie Indyi, nie staje nawet na wysoce obiektywnem stanowisku profesora Seeley'a, który tę katastrofę nieuniknioną przewiduje i mimo niej, nie traci ufności w hegemonię świata anglo-saskiego. Sir Karola przejmuje dreszcz patryotyczny na samą myśl, że klejnot nad klejnotami cesarskiego wieńca, owo państwo o 250 milionach mieszkańców, miałoby przestać być składową częścią Wielkiej Brytanii. Wolno nieprzyjaciółom Anglii rachować na pewno na taki obrót rzeczy, przewidywać jego datę i wyciągać zeń pesymistyczne wnioski. On o jednym tylko mówi, o jedno się troszczy: jak Indye najdłużej zależnemi od korony brytańskiej uczynić.

Dwa niebezpieczeństwa grożą zwierzchnictwu angielskiemu w Indyach: bunt Indyan i wojna z Rosyą. Pierwsza ewentualność mniej zaprzęta umysł Anglików, aniżeli druga, i nie trudno domyśleć się przyczyny tego zapatrywania. Wprawdzie Indye z 250 milionami mieszkańców mogłyby z łatwością zdusić owe 80 tysięcy Anglików cywilnych i wojskowych, którzy u nich gospodarują, ale ten nadzwyczajny brak proporcji pomiędzy dwoma czynnikami nie jest straszny, gdy się weźmie na uwagę stan niemowlęcego barbarzyństwa jednych a cywilizacji drugich, różnic rasowych, religijnych, językowych, ekonomicznych, istniejących wśród mieszkańców Indostanu, a organicznej jedności, posiadanej przez Anglików. „*Divide ut imperes*” jest i będzie godłem polityki brytańskiej przez długie lata i lat dziesiątki w Indyach. Geograficznie Indostan jest jednym krajem, etnograficznie przedstawia pstrokatą szachownicę, gdzie łatwo jest władzom angielskim opierać się na jednych żywiołach przeciwko drugim. Wielcy książęta lenni, rajowie, są obecnie w naj-

ściślejszych stosunkach z rządem brytańskim, który umiał ich postawić po swojej stronie, i można być przekonanym, że w razie wybuchu rewolucyjnego znalazłby w nich gorliwych i nieoszacowanych sprzymierzeńców. Mimo całego ruchu emancypacyjnego, który się w Indjach już spostrzegać daje, mimo kongresów narodowych w Allahabadzie i Bombay'u, mimo wzrostu oświaty i agitacyi prasy miejscowej, nie można przypuszczać, ażeby wielka rewolucya, jak ta, co zakrwawiła Indye w 1857 roku, groziła nowym wybuchem, a nawet gdyby wybuchła, znajdzie się zawsze lord Clyde do poskromienia jej, i to nawet łatwiej i szybciej, niż wówczas.

Od trzydziestu dwóch lat, gdy nazajutrz po stłumieniu buntu Indye przeszły z rąk Kompanii Wschodniej pod bezpośrednie zwierzchnictwo rządu angielskiego, organizację wojskową przeprowadzono i udoskonalono w sposób, usprawiedliwiający ufność, z jaką Anglicy na nią spoglądają obecnie. Organizacya ta da sobie radę z powstaniem mieszkańców indyjskich, zostawionych sobie samym. Inaczej jednak stałyby rzeczy, gdyby narodowości te opierały się i podały rękę wielkiej nieprzyjacielskiej armii, co przekroczywszy Himalaje, załaziły półwysep nadgangesowy. Wojna z Rosyą — oto czarna zmora, dławiąca polityków angielskich, gdy mowa o Indjach. Roztrząsaniem tej kwestyi sir Karol zajmuje się szczegółowo.

Wobec nieprzerwanych postępów, jakie Rosya czyni w Azji, przewiduje on już, jako bliską, epokę, w której te dwie potęgi, ruska i angielska, spotkają się jedna z drugą. Przeszłość jest wskazówką przyszłości. W ciągu ostatnich lat dwudziestu, które upłynęły od czasu, jak sir Karol był ogłosił swoją pierwszą pracę o Większej Brytanii, Rosya zbliżyła się ku granicom indyjskim o 1,100 mil, uczyniwszy 900 ku Afganistanowi, ku któremu Anglicy ze swej strony zbliżyli się o mil 200. Obecnie już tylko 500-milowa przestrzeń je rozdziela. Zajęcie Heratu przez Rosyę jest jedynie kwestyą czasu i zależy od dobrej woli tego mocarstwa. Afganistan, po zgonie obecnego emira, pensjonowanego przez rząd angielski, przejdzie w ręce jego brata, którego sympatye i interesa są po stronie rosyjskiej. Myśl podziału Afganistanu pomiędzy oba mocarstwa nie byłaby rękojmią trwałego pokoju, lecz zażegnałaby tylko chwilowo

niebezpieczeństwa wojny. Angielscy politycy uważają jako pewnik, niepotrzebujący dowodzenia, że Rosya, załatwiwszy się z Turkiestanem, obezwładniwszy Persyę, wkroczy później do Indyi. Dlatego też staraniem pierwszorzędnem władz angielskich powinno być uorganizowanie obrony, fortyfikacye, załogi i t. d. na całej północnej granicy indyjskiej. Autor zajmuje się podwójną linią obronną Quetty i Peshaweru, Khyberu, wchodzi w drobiazgi organizacyi wojskowej, jak rezerwy mułów, jak budowy fortec, ześrodkowania komendy wojskowej, powiększenia załóg, budowy strategicznych dróg żelaznych podług tego przedziwnego wzoru, jaki dała sama Rosya w swej drodze żelaznej od morza Kaspijskiego do Samarkandy, i t. d. Prasa i organy wojskowe zajmowały się żywo rozbiorem tych rozmaitych planów i propozycyi sir Karola, w których widzą oddźwięk jeżeli nie opinii sir Fryderyka Robertsa, generalissimusa armii angielskiej w Indyach, to przynajmniej innej wojskowej znakomitości—sir Roberta Sandemmana, głównodowodzącego właśnie w tym kraju Pedżab, który w razie starcia się dwóch potęg będzie teatrem wojny. Mimo namiętnego interesu, jaki ten ogólny zarys sir Karola wywołał, nie można utaić, że opinia jest przerażona ogromem tego, co jest tam nie tylko użytecznego, ale niezbędnego do zdziałania, a przedewszystkiem ogromem kosztów wymagalnych. Idzie po prostu o utworzenie dwóch armii, jednej o służbie trzechletniej dla służby krajowej, drugiej dla siedmioletniej w Indyach. Chociaż wskutek agitacyi, jaka w roku jubileuszowym rozpoczęła się w sferach rządowych angielskich o obronę Indyi, zebrano w tym celu wielkie fundusze, chociaż różni monarchowie indyjscy z istotnie oryentalną szczodroblivością otwarli dla tego narodowego dzieła swoje skarby fantastyczne, to łatwo wyczytać z pomiędzy wierszy sir Karola, że uważa on nawet ten wysiłek za niewystarczający i że nie pokłada bezwarunkowej ufności w środkach obronnych przeciwko możliwej inwazyi armii ruskiej. Gdy w końcowych rozdziałach powraca do tego przedmiotu, od którego oderwać mu się trudno, i gdy szuka sprzymierzeńców, nie znajduje innych jak Chiny, a zaledwie jest oględny, ażeby się chętnie chciał posługiwać takim obosiecznym nożem. Im głębiej wnika się w naturę kwestyi indyjskiej, im więcej się czyta o przygotowa-

niach i olbrzymich środkach obronnych, przedsięwziętych przez Anglików, tem jaśniejszego nabiera się przekonania, że nawet ich energia, ich działalność nieustrudzona, ich doświadczenie kolonialne, ich liberalizm elastyczny, ich nagromadzone i rozporządzalne bogactwa, nie podążają temu kolosalnemu przedsięwzięciu—i że Indye, wskutek mniej lub więcej czynnej interwencji Rosyi, zerwą w przyszłości,—w przyszłości, której chronologicznie oznaczyć niepodobna, ale która nie przekroczy XX stulecia—swoją państwową spójnię z Wielką Brytanią.

Powierzchniowie i nadto pośrednio tylko autor nasz dotyka najrozmaitszych zagadnień wewnętrznej organizacji Indyi. Nie zdaje się on obawiać wzrostu dążeń do wyswobodzenia się z brytańskiego związku państwowego. Przyznaje, że rząd angielski jest despotyzmem, ale despotyzmem ojcowskim, patryarchalnym. O zaprowadzeniu systematu parlamentarno-reprezentacyjnego mowy jeszcze obecnie być nie może przy niskim stopniu oświaty i przemagającym barbarzyństwie. Najlepszym sposobem zaspokojenia wymagań inteligencji miejscowej i zakreszenia im użytecznej sfery działania będzie rozszerzenie instytucji municypalnych. Samorząd gminny utoruje drogę do prowincjonalnego, a z czasem do federacyjnego, którego pierwsze podstawy rzucone już zostały w 1870 roku. Wielką korzyścią, jaka wypłynie ze swobód i z decentralizacji gminnej, będzie załatwienie trudności finansowych. A są one wielkie. Popularna opinia uważa Indye za kraj fantastycznych bogactw; ekonomiści wiedzą, że, przeciwnie, jest to kraj dotąd ubogi, nadzwyczaj ubogi, zagrożony epidemiami głodowymi, i że trzeba będzie nieustrudzonej pracy, olbrzymich nakładów, aby gospodarstwo narodowe postawić tam w warunkach normalnych—i dopiero w oddalonej przyszłości przewidywać można podniesienie poziomu powszechnego dobrobytu. Dotąd kapitały angielskie płyną tam w oczekiwaniu zysków. W same drogi żelazne włożono już kapitał 350 milionów funtów, a 16,000 mil dróg żelaznych dotąd otwartych znikają w tym kraju niezmiernym i potrzebaby było sum tysięcy razy większych, ażeby uzdolnić Indye do wyciągania korzyści ze swoich surowców i płodów rolniczych. Opium, bawełna, ryż, zboże, herbata, kawa, tytoń i t. p., stanowią główne artykuły wywozowe i produkcy ich

jest obecnie zaledwie w niemowlęctwie w stosunku do tej, jakaby być mogła przy otwarciu środków komunikacyjnych i obfitości kapitałów nakładowych. Mimo tego ubóstwa Indyi, Wielka Brytania otrzymuje z nich bezpośredniego dochodu już obecnie od 60 do 70 milionów funtów rocznie, a jeżeli monopol tytoniowy zaprowadzony będzie, jak jest o tem coraz głośniejsza mowa, to od razu dochód ten podskoczyłby o jakie 5 milionów rocznie.

Wobec naglących potrzeb wojskowych, wobec organizacyi politycznej, wymagającej reform, choćby dla zadośćuczynienia coraz żywszym aspiracyom ludności miejscowej, wobec coraz większych wydatków na roboty publiczne i chaotycznego stanu finansów, sir Karol zdaje sobie sprawę z potrzeby bezzwłocznego rozpoczęcia reorganizacyjnego dzieła w Indyach. Zwyczajem angielskim, poprzedzić je musi wszechstronna, wyczerpująca ankieta, zarządzona i dokonana pod dyktando parlamentu. Nie dawno żądał jej lord Randolph Churchill; słyszeliśmy później ostatniego wice-króla indyjskiego, margrabiego Dufferin-Awa, wyrażającego to samo życzenie. Niema wątplenia, skoro obecnie i sir Karol do tego samego dochodzi wniosku, że niebawem zarządzoną ona zostanie. Zdają sobie sprawę Anglicy, że jeżeli ów tytuł cesarzowej Indyi, który lord Beaconsfield złożył u stóp królowej Wiktoryi, ma być rzeczywistością, i to nie tylko na dzień dzisiejszy, ale i na przyszłe pokolenia, to należy bez straty czasu wziąć się do pracy organizacyjnej. Epoka przygotowawcza, trwająca już od lat trzydziestu z górą, uważaną być powinna jako przedślowie tylko. Im większe są trudności utrzymania raz na zawsze Indyi, jako składowej części Większej Brytanii, tem gorliwszych dokładać będą starań, aby wycisnąć na nich piętno brytańskie, wprząść je w sferę interesów brytańskich i przygotować w ten sposób grunt dla zobopólnej działalności cywilizacyjnej w przyszłości.

VII.

Ostatnia część dzieła sir Karola Dilke nosi tytuł: „Zagadnienia kolonialne” i dzieli się na sześć rozdziałów, poświęconych

demokracji w koloniach, kwestyom pracy i stowarzyszeń, protekcyi nad przemysłem miejscowym, wychowaniu i oświacie publicznej, religii i prawodawstwu co do używania trunków gorących. Wszystkie kwestye społeczne najważniejsze, cała osnowa cywilizacyi brytańskiej, stają tutaj przed oczami czytelnika. Autor powraca tu nieraz do przedmiotów, których już był dotknął w monograficznych rozdziałach poprzednich,—a ponieważ przechodzi od jednych kolonii do drugich, gdzie stosunki są całkiem odmienne, a poziom rozwoju niejednakowy, trudno sobie wytworzyć jakieś ogólne syntetyczne wnioski. Autor, jako nieodrodny syn Wielkiej Brytanii, jest analitykiem i nie kusi się nawet o kreślenie żadnych poglądów historyzoficznych. Cytuje Tocquevilla z szacunkiem, ale trzyma się zdala od jego nieśmiertelnego wzoru.

Nie ulega jednak wątpliwości, że metoda pisarska, jakiej autor jest adeptem, nie potrafi bezwarunkowo zadowolnić czytelników, nienależących do jego narodowości. Czujemy nieprzewyciężony popęd do zorientowania się wpośród tej chaotycznie nagromadzonej masy faktów i spostrzeżeń, pragniemy sprowadzić do kilku zasadniczych punktów idee, jakie przewodniczą kolonizacyi brytańskiej, i ocenić ich dodatność i ujemność, potrzebujemy zdać sobie sprawę, azali z tej olbrzymiej kuźni, gdzie Wulkan brytański bez chwili odpoczynku wybija swoje piętno na plemionach i narodach, wychodzą typy indywidualne i gatunkowo wyższe, dodatnie,—czy, jednym słowem, leży w interesie ludzkości sprzyjanie lub przeciwdziałanie zagarnianiu, braniu w posiadanie świata przez rasę angło-saską. Nie kusimy się bynajmniej o wyciągnięcie z encyklopedycznego dzieła sir Karola Dilke tych dalekonośnych wniosków, ale na kilku przynajmniej punktach daje on sposobność do zaznaczenia kierunku, w jakim ludzkość postępuje.

Imperium et libertas—oto godło, jakie nadała sobie Większa Brytania,—oto duch, jaki ją ożywia. Byłoby właściwiej jeszcze zmienić je i określić jako wszechwładzę przez wszechwolność. Ta szeroka, szczerą, niczem nie krępowana, nie tamowana wolność jedynie stworzyła i utrzymała to imperyum Brytańskie, wobec którego największy z organizmów państwowych historycznych, imperyum Rzymskie, zé swymi 420 milio-

nami hektarów rozległości i 120 milionami mieszkańców, schodzi do rzędu drugostopniowego. Ażeby utrzymać w karchach te żywioły różnych narodowości, religii, języka, stopnia cywilizacyjnego, należy pozostawić im taką swobodę ruchów i działalności, ażeby nie uczuwały ciężarów związku państwowego, lecz ceniły tylko jego korzyści. Raz tylko przeniewierzyła się polityka brytyjska tej polityce liberalnej, raz tylko chciała dla egoistycznego interesu zdławić interesa kolonialne—i opłaciła błąd ten stratą najznakomitszej ze swoich posiadłości zamorskich—Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Nauka pokutowała i od tej pory nie zboczyła nigdy Wielka Brytania z wytkniętej sobie drogi. Niepodobna dać szerszego samorządu krajom, należącym do jednego organizmu, jak ten, który posiada n. p. Kanada, albo państwa australskie. Są to rzeczypospolite, rozwijające się podług własnych tendencji społecznych w myśl swych własnych potrzeb i interesów, a wice-król albo generalny gubernator, mianowany przez koronę i reprezentujący władzę zwierzchniczą Wielkiej Brytanii, ma nieraz stanowisko i charakter ministra, upęlmocnionego przy obcym państwie i zawiązującego negocjacje dyplomatyczne. Szanując swobody miejscowe, ograniczając swą rolę do misji opiekuna, przewodnika, doradcy, inicjatora postępu, nie jest rząd brytyjski obarczony klątwą uciśnionych narodów, nie potrzebuje drzeć przed spiskami i buntownikami, lecz przeciwnie—spogląda na rozwijające się kolonie jako na wieniec cór dorodnych, co około królującej rozsiadają się macierzy. Nieraz stawiano pytanie, czy liberalizm Wielkiej Brytanii będzie konsekwentnie przeprowadzony i czy nie zatrzyma się on nagle wobec jasno sformułowanego żądania tej lub owej kolonii do całkiem niezależnego bytu,—czy nie będzie gotową Brytania do wojny z Kanadą albo Australią, jeśli się te ogłoszą jako niepodległe? Nie dopuścić do tragicznych ostateczności przez rozsądną i liberalną politykę, a gdyby mimo tego okazały się nieuniknione, związać się z wyemancypowaniem państwem wszelkimi możliwymi węzłami—oto jaką jest linia wytyczna Wielkiej Brytanii.

Liberalizm instytucji jest ściśle połączony z uszanowaniem narodowości. Mówiliśmy już szczegółowo o polityce, jakiej się trzyma względem żywiołu francuskiego w Kanadzie. Trudno

ści, jakie napotykanie są w Afryce południowej, nie doprowadzają do żadnego gwałtownego starcia i doprowadzić doń nie mogą. Rząd angielski, opierając się na rasie anglo-saskiej, jest przeświadczony, że ta ostatnia zatryumfuje ostatecznie. Nie chce ani przyspieszać tej ewolucyi nadużyciami, ani zagradzać jej drogi gwałtami. Zostawiając wszelką swobodę językowi, piśmiennictwu, szkole, obyczajom i zwyczajom, przewiduje rząd mimo tego moment dziejowy, w którym wszystkie wyłączości osłabną, zbledną, i gdzie narodowości odrębne wejdą do szerokiego potoku anglo-saskiego i znikną w nim, jak strumienie w wielkiej rzece. Rezultat ten osiągnięty będzie w ten sam sposób, jak się to dzieje w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Już w drugiej generacyi ślady pierwotnego pochodzenia słabną, a w trzeciej zacierają się zupełnie. Pomieszanie pierwiastków różnonarodowych dodaje rasie dominującej wyższości i potęguje jej żywotność.

To, co się rzekło o swobodach politycznych i o uszanowaniu narodowości, można także powtórzyć o religii. Tolerancya religijna jest niewzruszoną zasadą kolonialnej organizacyi Wielkiej Brytanii. Często słyhać skargi na nadużycia, popełniane przez misyonarzy rozmaitych sekt angielskich: dzieje się to przede wszystkim w krajach, nienależących jeszcze do państwa brytańskiego, i gdzie misyonarze agitują, szarpią się, aby pozyskać największą liczkę owieczek. Są to dobrowolni agenci, a często nawet bardzo kompromitujący, władzy angielskiej. Ale tak samo, jak nie ma się prawa czynić Wielkiej Brytanii odpowiedzialną za ich przesadzoną gorliwość, tak trzeba przyznać, że posuwa ona szacunek dla opinii i przekonań religijnych swoich obywateli aż do ostatecznych granic. Azaliż nie wyszydzono i nie wydrwiono tych agentów Towarzystw biblijnych, co rozdają z niestrudzoną gorliwością egzemplarze Pisma Ś-go, a jednocześnie sprzedają posążki i relikwie bałwochwalcze! Karykatura jest dowcipna i nie można wstrzymać się wobec niej od uśmiechu. Ale jednocześnie sprawiedliwość przyznać nakazuje, że skoro o wojnach religijnych, o nawracaniu do ewangelii ogniem i mieczem mowy już być nie może, nie pozostaje, jak oczekiwać od umysłowego i moralnego rozwoju mas, wyznających niechrześcijańskie religie, ich przejścia na łono chrześcijaństwa: tym-

czasem zaspokojenie ich potrzeb religijnych, ułatwianie ich obrzędów jest wskazane przez szacunek dla wiary, jako wiary.

W krajach czysto angielskiego szczepu ważna kwestya stosunku kościoła do państwa rozwiązana została w myśl postępowej doktryny wzajemnej ich od siebie niezależności. Wszyscy członkowie tego lub owego kościoła utrzymują go z własnych funduszków, drogą corocznych składek, oraz z nieruchomego majątku, w tym celu wytworzonego. Rezultat tej polityki religijnej jest nader pożądanym. Z jednej strony kościół jest bogaty, szanowany, a duchowieństwo trzyma się zdala od agitacji politycznej,—z drugiej zaś życie religijne masy jest daleko silniejsze, daleko głębsze, aniżeli w krajach religijnego ucisku i urzędowych kościołów. Epoka sporów teologicznych coraz głębiej zapada w przeszłość, ale moralność, opierająca się na związku z religią, stała się nieledwie plemienną cechą świata anglo-saskiego. Jedynie ciasny, anti-religijny fanatyzm z taką polityką religijną pogodzić się nie potrafi.

Gdy się wykazuje niezmierne, nieocenione zasługi, oddawane ludzkości przez akcję świata anglo-saskiego w dziedzinie instytucji politycznych i religijnych, opierających się na szerokiej podstawie swobody, tolerancji, uszanowania indywidualizmu mniejszości i ras dotąd zacofanych, nie ma się prawie już do walczenia z opozycją poważną: są to prawdy powszechnie uznane. Pewne zastrzeżenia czynione były natomiast przez zapalczywych zwolenników pewnych form ustroju społecznego, mianowicie republikanów, demokratów i socjalistów. Ponieważ organizm Wielkiej Brytanii jest monarchiczny, oligarchiczny i arystokratyczny, a zatem w sprzeczności z kierunkiem, w jakim się organizują społeczeństwa postępowe, obawiano się, czy wpływ metropolii nie będzie dość stanowczym, aby powstrzymać nowe światy, wstępujące w arenę cywilizacyjną, na progu do niej, czy Wielka Brytania nie kładzie na nie reakcyjnych oków. I te jednak obawy i zarzuty, po bliższem zbadaniu stanu rzeczy, nie wytrzymają krytyki. Jakobińska nienawiść przeciwko instytucjom monarchicznym stępiała zresztą wielce w epoce naszej, gdzie z jednej strony metoda historyczno-krytyczna, a z drugiej materialny utylitaryzm stanęły jako czynniki rozkładowe. Żaden rozsądny umysł nie wymaga już obecnie wytrzebień monar-

chicznej formy, skoro zadawalnia ona pewne organizmy społeczne, skoro jest najodpowiedniejszą dla nich w danej epoce rozwoju. Wyższość monarchii brytańskiej nad tą lub ową rzeczpospolitą, wyższość teoretyczna i praktyczna, nie ulega już wątpliwości; niema tedy powodu uważać jej za czynnik wsteczny sam w sobie. Hegemonia tej monarchii nad rzeczpospolitemi, jakimi są najznaczniejsze z kolonii brytańskich, jest czystą formalnością, która rozwojowi tych ostatnich żadnego nie gotuje niebezpieczeństwa. Instytucye republikańskie rozwijają się tam swobodnie, bez żadnych zapór i godzą się z parlamentaryzmem takim, jaki się zrodził na klasycznym gruncie angielskim. Nie ma najmniejszej oznaki, ażeby zasada monarchiczna puszczała tam korzenie—i z chwilą, gdy się państwa te ogłoszą jako niezależne, jako samodzielne,—nie konstytucyjne monarchie, ale republikańską formę u siebie zatrzymają.

Obawa zaszczeplenia na gruncie kolonialnym zasad arystokratycznych jest równie pozbawiona wszelkiej podstawy. Wykwitły one na gruncie angielskim, ściśle spojone z własnością gruntową, nie posiadają natomiast wśród świata nowego żadnej racyi bytu. Magnaci angielscy, którzy albo się sami osiedlają w koloniach, albo wysyłają tam swych młodszych synów dla zrobienia fortuny, przekonali się już od dawna, że nie mogą tam marzyć o pozyskaniu uprzywilejowanego stanowiska; przeciwnie, były przykłady, że pochodzenie ich utrudniło im pozyskanie sobie jakiejś wyłączności. Ci osadnicy, którzy karczują lasy, uprawiają grunta, hodują trzody, wyzyskują kopalnie, ci *homines novi*, pełni energii, walczący z trudnościami materialnego bytu, nie mają najmniejszego popędu do poddania się pod ster jednostek, lub klasy uprzywilejowanej. Ustrój demokratyczny jest tam wskazany przez naturę i na inny niema miejsca. Demokracja przybiera, jak w Australii, charakter socjalizmu państwowego, z powodu przeważnej liczby mieszkańców miejskich,—tymczasem w Kanadzie jest przeważnie rolnicza, wiejska, oparta na drobnej własności, ale jest to wszędzie demokracja, opierająca się na apryorycznej równości osobników państwowych. Demokracja w koloniach brytańskich nie jest bynajmniej nieodrodną siostrą tej, do której przyzwyczajać się zaczynamy w Europie, i różni się nawet wielce od tej, której wady Tocqueville

wykazał w Stanach Zjednoczonych. Niema tam ani zawiści do tych, co już sobie wywalczyli stanowisko, ani ostracyzmu, na jaki skazują zasłużonych obywateli, ani tyranii klas, ani ich walki, ani zgubnej obojętności bogaczy dla sprawy publicznej. Przy prostocie i patryarchalności obyczajów panuje tam dobrobyt, o jakim trudno mieć u nas wyobrażenie. Robotnicy, którzy mają zabezpieczone sobie w umowach z chlebobawcami owe osiem godzin pracy, o które europejscy robotnicy walczą obecnie zapamiętale, pobierają zarobek o 100% większy za pracę o 20% krótszą, aniżeli w Anglii. Średnio zarobek robotnika w Australii wynosi 48 szylingów tygodniowo, a że może on zaspokoić wybornie swoje materyalne potrzeby za 15 do 18, zatem co tydzień kapitalizować zdoła 30 szylingów. Przy wielkich odsetkach, jakie dają kapitały, włożone w przedsięwzięcia rolnicze lub fabryczne, nie dziwota, że klasa robotnicza nie czuje się bynajmniej wyzyskiwaną, uciemioną, i że wyrabia się wśród niej dumne poczucie swej własnej siły i potęgi.

Państwo i instytucje państwowe uważane są w tych krajach młodych, ale przedewszystkiem w Australii, jako własność publiczna i każdy z obywateli czuje się w prawie wymagania i otrzymywania od nich wszelkich usług możliwych. Jeżeli socjalizm rewolucyjny jest słaby, to państwowy zato płynie pełnem korytem. Podatki postępowe 10%, a nawet 13%, od większej własności ustanowione, są w jawnie wypowiedzianym celu — ukrócenia tej własności. Deputowani płatni, jak to nakazują zasady demokratyczne, nie wahają się stawiać projektów krańcowych: dość będzie wspomnieć o upaństwowieniu ziemi w myśl doktryn Henryka George, który to projekt przedłożony został w parlamencie Australii południowej i prawdopodobnie przeprowadzony będzie.

Gdy się do tych rozmaitych rysów demokratycznych społeczeństw doda prawodawstwo dotyczące szkolnictwa, do najwyższego stopnia postępowe, tu i owdzie przymusowe, prawie wszędzie bezpłatne, a w niektórych stanach Kanady, jak w Ontario, dające oświatę bezpłatną wszystkim mieszkańcom od 5 do 21-go roku życia, odznaczające się szczodroblivością w wydatkach szkolnych; gdy się dalej weźmie na uwagę najrozmaitsze fundacye dobroczynności i użyteczności publicznej, głównie

sprzyjające interesom warstw mniej zamożnych społeczeństwa; gdy się nakoniec uwzględni drakońskiej surowości przepisy w handlu gorącymi trunkami i otwierania szynków i t. p., to niepodobna zaprzeczyć, że demokracja w koloniach brytańskich nie jest bynajmniej traktowana po macoszemu i że znajduje się ona w harmonii z wyżej wymienionemi zasadami postępowemi, na których organizm Wielkiej Brytanii spoczywa.

Na zakończenie tego przeglądu wymienić jeszcze należy zasadę wolnego handlu. Chociaż chwilowo w praktyce doktryny wolno-handlowe nie używają faworu i chociaż państwa wszystkie na wyścigi wznoszą przeciwko swym sąsiadom mury chińskie ceł ochronnych, to niemniej przeto na myśl nikomu nie przyszło scharakteryzować protekcji handlowej jako absolutnie dobrego, idealnego stanu ekonomicznego społeczeństw, bo przeciwnie, przedstawiano ją tylko jako nieuniknione złe, jako przejściowy, wychowawczy stan gospodarstw zacofanych. Wielka Brytania jedna jedyna oparła się temu prądowi reakcyjnemu i utrzymała u siebie w czynie zasadę ekonomiczną, którą inne narody wysławiają teoretycznie, ale do której nie dojrzały jeszcze podług swego przekonania. Jeżeliby się udało Wielkiej Brytanii wciągnąć cały swój świat kolonialny do polityki wolno-handlowej, to niema wątpliwości, że oddałaby ludzkości olbrzymią, nieocenioną usługę. Zmierza ona wprawdzie do tego celu i nigdy go z oczu nie traci, ale nie tylko dotąd jest jeszcze od niego daleka, ale ma do zwalczenia wprost przeciwnie prądy. Wszystkie jej kolonie, z wyjątkiem jednej, New-South-Wales w Australii, są za protekcją i za wysokimi cłami ochronnemi. Nie może być inaczej w krajach młodych, budzących się dopiero do ekonomicznej wytwórczości i które są przeświadczone, że nie wytrzymają współzawodnictwa ze społeczeństwami europejskimi, dobrze i od dawna zagospodarowanymi. Głównie pcha do protekcji owo demokratyczno-socjalistyczne społeczeństwo, o którym mówiliśmy wyżej. Robotnik w Kanadzie, a szczególnie w Australii, dobrze płatny i pracujący krótko, nie chce być przez współzawodnictwo z europejskimi artykułami wytwórczości rękodzielniczej zepchnięty ze swego obecnego stanowiska. Niepodobna przewidzieć ani kolei, jakie ta kwestya przejdzie, ani zaznaczyć jej kresu, widocznie nader jeszcze oddalonego.

Ale dość będzie nie tracić z uwagi, że Wielka Brytania będzie zawsze usiłowała przeprowadzić obniżanie ciał wchodowych, zanim do ich zniesienia całkowitego i do wolnej wymiany przyjdzie, aby nabrać przekonania, że i na tem polu pracuje ona dla dobra powszechnego, że jest orędowniczką postępu i że świat zaciągnął względem niej obowiązek wdzięczności.

VIII.

Dążenie wszystkich mocarstw europejskich do zdobyczy kolonialnych, dążenie, które stanowi jedną z cech charakterystycznych epoki współczesnej, utwierdziło w Wielkiej Brytanii chęć do zatrzymania tych kolonialnych posiadłości, które już posiada, i do rozszerzenia ich nawet o tyle, o ile to jest jeszcze możliwem. Nigdy nie było więcej manifestacyi i energiczniejszej agitacyi za powiązaniem Większej Brytanii z Wielką w organiczną jedność.

Mowy naturalnie nie było o zjednoczeniu w literalnem słowa tego pojęciu, o narzuceniu dalekim plemionom praw i ustaw, wykutych na gruncie metropolii; jak bowiem wykazaliśmy, wręcz przeciwna doktryna samorządu prowincjonalnego zatryumfowała bezwarunkowo. Szło natomiast o wytworzenie instytucyi, będących niejako ujawnieniem, dotykającą manifestacją tego jednolitego *imperyum* brytańskiego. Zadanie olbrzymie, ale nie mniej przeto do rozwiązania podobne.

Gdy lord Beaconsfield ofiarował był królowej Wiktorii tytuł cesarzowej Indyi i wszech kolonii, nie wszyscy zrozumieli na raz doniosłość tego fantastycznego niejako tytułu. Po upływie lat dziesiątka staje on się ogólnie zrozumiałym. Dowód jednak zrozumienia od pierwszej chwili dostojęństwa, mającego w przyszłości stać się jego udziałem, dostojęństwa, jakiemu równego nie było w historii, dał następca tronu angielskiego, książę Wali, starający się skryształizować te mgliste dotychczas pojęcie o *imperyum* brytańskiem w kształtach dotykających. Jako pierwszy krok na tej drodze widzieliśmy wystawę indyjsko-kolonialną, jaką uorganizował przed dwoma laty w Londynie. Wystawa ta uwiarydociła przed wszystkimi Anglikami

w zmysłowych formach olbrzymie rozmiary i zasoby zamorskich posiadłości Wielkiej Brytanii, i przekonała ich, że utrzymanie się na tej wszechświatowej wysokości warte jest ponoszonych ofiar. Drugim krokiem było założenie ze składek publicznych Instytutu kolonialnego. Książę Walii położył uroczyście przed rokiem kamień węgielny tego gmachu, w którego murach za lat kilka uosobi się cały świat brytański. Ciasna opozycja, z jaką projekt ten był się z początku spotkał, w zupełności już dziś zamilkła. Lojalni Anglicy przyznają otwarcie, że ich przyszły monarcha umie pracować dla przyszłości, i że w tej sprawie złożył dowód nielada politycznego zmysłu, krusząc energicznie zapory, stawiane mu przez niedołężne sobkostwo.

Równocześnie rząd, bez hałasu i pośród obojętności Europy, utworzył instytucję wielkiej doniosłości — Radę Cesarstwa. Ten *Imperial Council*, w którego skład wchodzi przedstawiciele wszystkich ważniejszych kolonii oraz najwyżsi dygnitarze korony, ma za zadanie wynalezienie instytucji wspólnych dla całego państwa. Nie idzie tu naturalnie o konstytucję. Pisanie i przerabianie konstytucji zostawiają praktyczni Anglicy politykom stałego ładu, a przede wszystkim Francyi, gotowej zawsze do walki o literę i brzmienie ustawy zasadniczej. Wiedzą oni dobrze, że konstytucję łatwo będzie napisać, kiedy się znajdą odpowiednie po temu warunki. Natomiast idzie im o wyrobienie poczucia wspólności, o wzajemne zagwarantowanie sobie bytu i bezpieczeństwa,—jednem słowem o utworzenie wspólnej armii i marynarki. Następstwa też tego poważnego projektu będą niezmiernej doniosłości. Utworzenie wspólnej armii, któraby była w możności bronić na jakimkolwiek punkcie zagrożonego terytorium brytańskiego, potrzebować będzie dłuższego wprowadzie czasu. Pierwszy jednak krok ku urzeczywistnieniu tej części programu widzieliśmy w roku zeszłym, gdy kontyngens z Australii wysłany przybył wzmocnić armię angielską w Afryce. Ale łatwiejszą do wykonania jest druga część—utworzenie federalnej floty. Myśl ta z szybkością iskry elektrycznej przebiegła wszystkie kolonie, a wobec jednogłośnej zgody, jedynie tylko Queensland uchylił się od udziału w wykonaniu *Naval Defence Bill*’u. Nim więc upłynie lat dziesiętek, wszechpaństwo

brytańskie posiadać będzie olbrzymią flotę, widomy organ własnej potęgi.

Ale jakkolwiek rozległe są atrybucye i sfera działania tego *Imperial Council*, nie byłby on w stanie podolać ogromowi zadania, gdyby prócz tego nie należało przewidywać wytworzenia się *ad hoc* organizacji prywatnej, powstającej zawsze w Anglii z inicjatywy samego społeczeństwa, skoro idzie o wprowadzenie w czyn jakiego dzieła narodowego. Organizacja taka działa na własną rękę i niezależnie od państwa, ale równolegle i w harmonijnej z niem spójni. Taką organizację stanowi w obecnym razie *Liga Federacyjna*. Jest to stowarzyszenie młode jeszcze,—ale z obrad jego i zakreślonego planu działania widzieć można, że właściwie pojmuje swoje zadanie. Chce ono być żywotnym węzłem społecznym w tym ogromie państwowym. Lord Rosebery, który na jednym z ostatnich zebrań walnych prezydował, nie tał trudności, jakie Liga Federacyjna ma przed sobą, ale nie wątpił też, że im podola. Nie idzie tu jedynie o ustalenie handlowych stosunków pomiędzy metropolią a koloniami, skoro już obecnie handel z koloniami stanowi trzecią część handlu z resztą świata, a handel kolonii z metropolią jest prawie dwa razy większy, jak z wszystkimi innymi krajami wziętymi razem. Ujawnia to zażyłość i ciągłość stosunków, ale nie wyczerpuje zadania i obowiązków. Jak słusznie powiedział wielki historyk Freeman, że oprócz związków federacyjnych konstytucyjnych istnieje jeszcze jednolitość ducha, wspólność dumy z wspólnego pochodzenia; takie uczucia wywołać i utrzymać będzie staraniem federacyi. Przedwczesnem byłoby na teraz chcieć wzywać do parlamentu, zasiadającego w Westminsterze, jak do rzymskiego senatu, przedstawicieli kolonii, ale Liga Federacyjna jest zdania, że należy zwolna i stopniowo doprowadzać do harmonijnej jednności wszystkie państwa, wchodzące w skład imperyum, a to bez tamowania tej swobody, którą znalazły w kolebce swego obywatelstwa brytańskiego. W tym celu będzie ona nalegać, ażeby się *Imperial Council* zbierał peryodycznie, ażeby nie zaniedbywał wytworzenia wspólnej armii i floty, ażeby wszędzie i zawsze interesa każdego państwa kolonialnego były wspierane potęgą i wpływem całego państwa, ażeby komunikacye za pomocą dróg żelaznych, statków parowych, drutów telegraficznych

między oddalonymi jego częściami były jak najbardziej udogodnione i t. p. Solidarność wszystkich kolonii z metropolią i tej ostatniej z koloniami—oto co leży na sercu Lidze Federacyjnej.

Jeżeli wśród tego natłoku faktów udało się nam nie znużyć uwagi czytelnika, będzie on zapewne naszego zdania i przyzna, że korona, rząd i społeczeństwo angielskie wprzęgły się do jednego i tego samego zadania: rozszerzania kolonialnych posiadłości, zarządzania nimi w taki sposób, ażeby zależność od imperyum była dla nich zawsze korzystną, a nigdy nie stanowiła ciężaru, i coraz większego zbliżenia, spowinowacenia wszystkich kolonii. Nie brakuje ani jednego ogniwa w tym łańcuchu. W dalekiej przeszłości historycznej spostrzegamy słupy wiorstowe tego szerokiego gościńca i widzimy jednocześnie przestronne obszary, przez które dalej prowadzić on będzie. Systematycznie i logicznie przyszłość wysnuje się z teraźniejszości. Mogą się zdarzyć wypadki, zawieszające chwilowo ten rozwój organiczny, ale ewolucya całkowita nie ulegnie wykolejeniu. Wielka Brytania coraz doskonalszym będzie typem wszechmocarstwa, sprowadzającego rozmaite czynniki wszechświatowe do anglo-saskiego mianownika, a innym rasom nie o zwyciężenie jej, ale jedynie o równouprawnienie chodzić będzie.

Domyślamy się sceptycznego uśmiechu czytelnika. Natura tu wspomina o Kartaginie, o Wenecyi, o Hiszpanii; możnaby obok tych gwiazd zgasłych przytoczyć jeszcze i Hollandyę. Argument przeciwko nam obrócić się gotów, a do szeregu upadłych potęg może się podoba oponentowi zaliczyć już z góry i Wielką Brytanię. Wiemy nawet, że prasa ruska, chępiąc się, i słusznie, ze swoich w Azji postępów, śpiewa już niejako *requiem* potędze kolonialnej Anglii. Pozwalamy sobie być innego zdania i przypuszczamy, że w powyższym obrazie kolonialnej organizacyi brytańskiej są wystarczające powody do wymotygowania naszego sądu. Ale choćby nawet matematycznie udowodnionem zostało, że Wielka Brytania prędzej czy później utracić musi Indye — która to ewentualność, jakkolwiek jeszcze daleka, nie jest bynajmniej niepodobną,—to i w tem jeszcze nie widzielibyśmy zaprzeczenia naszemu pogładowi. Zwierzchnictwo angielskie w Indyach nie opiera się na zgodzie i współdziałaniu

autochtonów, a rasa, religia, prawa i zwyczaje Indyan i Anglików znajdują się w zupełnem przeciwieństwie. Nie udało się cywilizacyi angielskiej przeniknąć do rdzenia świata buddyjskiego; jest to prawdą, której żaden umysł wyższy w Anglii nie podaje w wątpliwość. Dość będzie przypomnieć klasyczne już dzisiaj dzieło profesora Seeley'a: *The Expansion of England*, w którym autor, udowodniwszy, że dla Wielkiej Brytanii, dla jej międzynarodowej roli i jej stanowiska cywilizacyjnego, zachowanie jak najściślejszych związków z koloniami jednoplemiennymi, z Kanadą, Australią i t. p., jest niezbędnem, uważa równocześnie utratę władzy zwierzchniczej w Indyach za kwestyę czasu—nic więcej. Nie doradza jej, nie życzy jej dla Anglii, ale ją przeczuwa.

Przyjmując tedy za pewnik, że Wielka Brytania straci w przyszłości owe 250 milionów Indyan, figurujących w jej statystycznych wykazach ludności, pozostawałoby jeszcze wykazać jednoznaczność tej straty z upadkiem hegemonii kolonialnej. Ale wobec tego, co po tyle razy wykazywanem było, na jakie niebezpieczeństwa narażało Anglię posiadanie Indyi, jak cała jej polityka niewłaściwymi kroczyła tory skutkiem protekcji, dawanej Turcyi—w celu zabezpieczenia drogi do tych posiadłości a rezerwy w razie międzynarodowych komplikacji,—tylko powierzchowny sąd do takiego dojśćby zdołał twierdzenia. Indye nie są kolonią, ale państwem podbitem, a z utratą ich system kolonialny angielski pozostałby, jak przedtem, w systematycznej swej całości. Byłoby także przesadą twierdzić, że handel wywozowy angielski poniósłby niepowetowaną klęskę. Wynosi on wszystkiego 69 milionów funtów szterl. na ogólną cyfrę 654 milionów, podczas kiedy handel ze Stanami Zjednoczonymi, krajem niezależnym, wynosi nie mniej jak 127 milionów funtów szterl. A przytem, gdyby się nawet Indye wyswobodziły z pod jej politycznej zależności, nie przestałyby wymieniać z Anglią swych płodów i wyrobów.

Nie tylko, że Wielka Brytania nie ma zamiaru pozbywania się swych kolonialnych posiadłości, ale, jak to wykazaliśmy wyżej, dokłada wszystkich starań, aby stanowisko to utrzymać, ażeby zawiązać pomiędzy składowemi częściami imperyum bliższe i ściślejsze stosunki, ażeby uczynić je solidarnemi. Nakłada to

na nią obowiązki, od których też uchylać się nie zamierza. Możemy przytoczyć dwa przykłady nie dawne, a z których jeden odnosi się do Kanady, drugi do Australii: obadwa są pełne znaczenia.

Jak wiadomo, Kanada znajdowała się od wielu lat w pogranicznych zatargach ze Stanami Zjednoczonymi z powodu kwestyi rybołówstwa; wobec bowiem nieściśle oznaczonych granic, rybacy obu krajów zarzucali wzajemnie swe sieci w wody sąsiada, a stąd powstawały ciągle zwady i konfiskaty nie tylko połowu, ale i samych statków. Ażeby tę drażliwą sprawę raz na zawsze załatwić, Wielka Brytania wysłała w 1887 r. specjalnego pełnomocnika do zawarcia traktatu ze Stanami Zjednoczonymi. Pełnomocnikiem tym był Józef Chamberlain. Po długich rokowaniach z pełnomocnikiem amerykańskim udało mu się wreszcie dojść do porozumienia i traktat pomiędzy Kanadą a Stanami Zjednoczonymi co do rybołówstwa podpisany został. Ale w ostatnich dniach, gdy przyszło do ratyfikacyi tego traktatu, senat amerykański, niewielką—ale wystarczającą większością—ratyfikacyi odmówił. Uczynił to z dwóch powodów: raz z nienawiści do angielskiego pełnomocnika, p. Chamberlain'a, którego nader wpływowe w Ameryce stronnictwo irlandzkie uważa za renegata,—a powtórę z opozycyi przeciwko ówczesnemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych, p. Claveland, który posądzany był o sprzyjanie doktrynom swobodnej wymiany handlowej. Odrzucenie tej ratyfikacyi zniweczyło nadzieje usunięcia ciągłych sporów i waśni granicznych pomiędzy sąsiednimi państwami. Nastąpiło nawet zaostrenie stosunków, gdyż ten sam prezydent Claveland, chcąc wobec poczynającej się kampanii wyborczej stać się popularnym, zarzekł się wszystkich swych wolno-handlowych tendencyi, i chcąc okazać się gorliwym opiekunem interesów amerykańskich, proponował cały szereg represyjnych kroków przeciwko przewozowi towarów kanadyjskich. Amerykanie popełnili błąd, a ich prezydent mści się na Kanadyjczykach. Jest w tym postępku bezczelność, granicząca z cynizmem. Nie zdaje się ulegać wątpliwości, że po zakończeniu kampanii wyborczej propozycye te cofnięte zostaną, ale chwilo-wo interesa Kanady są podwójnie poszkodowane przez obce, potężne mocarstwo. Otóż właśnie ciekawem jest, jak się w tym

względzie zachowa Wielka Brytania, mianowicie zaś, czy puści płazem niesprawiedliwość, czy też się ujmie za pokrzywdzoną kolonią. Nie można mieszać dwóch spraw różnogatunkowych. Skoro Amerykanie nie chcą ratyfikować traktatu, dotyczącego rybołówstwa, rzeczy zostaną *in statu quo*. Rząd kanadyjski obostrzy dotychczasowe ograniczenia, wyniknie mnóstwo sporów i zwad, a praktyczny zmysł Amerykanów spowoduje, że sami niezadługo zaproponują jakikolwiek *modus vivendi*. Nie potrzebowała też Anglia chwycić za herkulesową maczugę, w celu usunięcia tak drobnego nieporozumienia — ale w kwestyi cel przewozowych rozpoczęła bezzwłocznie akcyę dyplomatyczną, a cała prasa angielska, z ministeryalnym „Standard'em” na czele, oświadczyła dobitnie i wyraźnie Stanom Zjednoczonym, że nie dozwoli stroić z siebie żartów i obierać angielskiej kolonii za pole elektoralnych manewrów. Przypomniano bez ogródek, że cała flota wojskowa angielska stanęłaby w danej chwili w obronie Kanady i jej praw. Agitacya ta była nawet głośniejszą, aniżeli tego zachodziła potrzeba, gdyż, jak się już rzekło wyżej, był to ze strony Amerykanów jedynie manewr wyborczy, i nie ulegało wątpieniu, że po zakończeniu kampanii Stany Zjednoczone nie omieszkają schować miecza do pochwy. W tem jednak wystąpieniu Anglii okazało się dowodnie, że potęga metropolii stanie w razie potrzeby po stronie kolonii. Tego rodzaju czynna opieka przyczynia się nie mało do utrwalenia wzajemnych stosunków, a rząd angielski nie potrzebuje żałować powodu, który mu ją zamanifestować pozwolił.

Drugi wypadek we współczesnej polityce kolonialnej Anglii tyczy się zatargu pomiędzy Australią a Chinami. Australczycy nie od dziś skarżą się na napływ chińskich robotników i postanowili położyć mu skuteczną tamę. Powiedzmy mimochodem, że skargi Australczyków są niesłuszne. W kraju ich brakuje rąk, a stąd praca Chińczyków nie jest ze szkodą, ale przeciwnie — z korzyścią dla produkcji. Chlebobdawcy też nie skarżą się na chińskiego robotnika, trzeźwego, pracowitego i taniego, ale skarżą się robotnicy miejscowi, starający się pozbyć współzawodników. Tryumfująca w Australii demokracja podszywa swe egoistyczne interesa pod pozory moralności, czystości krwi i t. d. Jednem słowem, słusznie czy niesłusznie, agitacya w Australii

przeciwko napływowi robotników chińskich przybrała rozmiary drażniące, tak, że władze w Melbourne nie pozwoliły wylądować statkowi „Afghan,” który przywiózł nowy transport chińskich robotników. Powstały stąd reklamacje, procesa i żywe protestacje ze strony rządu w Pe-King, żądającego, ażeby poddanych jego traktowano stosownie do istniejących międzynarodowych umów. Nie należy także zapominać, że rząd Cesarstwa Niebieskiego znajduje się w tych samych zatargach ze Stanami Zjednoczonymi, że, chcąc protegować swoich poddanych, rozpoczął negocjacje z Ameryką, i że, gdy przyszło do ratyfikacji odnośnego traktatu, odmówił jej, uważając, że proponowany akt dyplomatyczny nie daje jego poddanym wystarczającej rekojmi.

Nie było tedy wątpliwości, że i w Australii rząd chiński będzie z tą samą energią obstawał przy prawach swoich. Amerykanie, wobec odmowy ratyfikacji traktatu, jednogłośnie zdecydowali w senacie zabronić całkowicie Chińczykom wylądowywać na terytorium rzeczypospolitej. Rząd prowincji australskich nie chwycił się tak radykalnego środka, ale przeciwnie—starał się polubownie załatwić sprawę. Dowodem tego był wyrok najwyższego trybunału w Melbourne, który proces pomiędzy kapitanem statku „Afghan” a poszkodowanymi Chińczykami rozstrzygnął na korzyść tych ostatnich. Ale i w tej sprawie rząd metropolii stanął po stronie kolonii. Pozycja rządu angielskiego w tym względzie jest nader drażliwą—raz dlatego, że nie on, ale Chiny mają po swej stronie i słusność i prawo, a powtórze dlatego, że mu zależy na dobrych względach Cesarstwa Niebieskiego, które w kwestyi Sikkimu, Tybetu Birmanii i t. p. może mu być pomocnem i zażegnać uciążliwe wyprawy wojenne. Mimo tych trudności, Wielka Brytania staje po stronie Australii, a czuje się tem więcej obowiązana do okazania jej swej dobrej woli, że kolonia ta jest najniesforniejszą ze wszystkich i że stronnictwo separatyczne, zostające pod przewodnictwem kilku ambitnych trybunów i warcholów, nie na żarty tam istnieje i z zamiarami emancypacji się nie tai.

Pora nam zakończyć, a zakończymy przypomnieniem, że wszyscy dzisiejsi pisarze, wszyscy myśliciele i wszyscy mężowie stanu angielscy wychowani są w idei *Greater Britain*, czyli

Większej Brytanii. Do tej Większej Brytanii zaliczają grupę amerykańską, grupę południowo-afrykańską, grupę australską i grupę wysp i archipelagów na oceanie Spokojnym. Są to kolonie angielskiej krwi i pochodzenia, echa ich krajowej cywilizacji. Tych Anglia nie odda, nie ustąpi nikomu. Gdyby którakolwiek z tych kolonii wybić się chciała i stać niezależną, Wielka Brytania postąpiłaby sobie z nią tak, jak w swoim czasie postąpiły Stany Zjednoczone północne z południowymi: zmusiłaby ją do pozostania w federacyjnym związku. W tej to świadomości wspólnego pochodzenia i stanowczej woli utrzymania spójni spoczywa klucz angielskiej polityki kolonialnej.

Zadanie kolonizacyjne Wielkiej Brytanii jest tedy olbrzymie i najeżone trudnościami. Całe pokolenia zaprzadź się będą musiały do utworzenia federacji pomiędzy wszechkrajami korony brytańskiej. Ale jeżeli rozsądni i praktyczni Anglicy nie marzą jeszcze o parlamencie wspólnym dla monarchii i o ujednostajnieniu prawodawstwa, to starać się będą przynajmniej, stopniowo, wyrobić pomiędzy różnemi częściami imperyum jak największą liczbę ustaw jednolitych. Już obecnie związek federacyjny objąłby mógł poczty, telegrafy, kable, patenty wynalazcze, jedność monety obiegowej, jedność miar, wag, statystyki, ekstradycyi, naturalizacji, egzekucyi wyroków sądowych, a zdążyć powinien do ujednostajnienia długu publicznego wszystkich kolonii, na koniec zaś do utworzenia związku celnego. Samo już to wyszczególnienie, mimo swej niedokładności, wskazuje, że jest tu obszerne, niezmierzone pole do przebieżenia. Gdy reformy te będą urzeczywistnione, niema wątplenia, że zbliżenie się, zsolidaryzowanie różnych części państwowych będzie takim, iż wspólny parlament i wspólna władza wykonawcza, zwierzchnicza, przestałaby być marzeniem nieuchwytnem, czem są dziś bez zaprzeczenia.

Lecz mężowie stanu, jak sir Karol Dilke, nie poprzestają na zakreszeniu takiego obszernego programu; im chodzi o coś pilniejszego, o coś ważniejszego, o konieczność chwili bieżącej, a mianowicie o zabezpieczenie kolonii przed napaścią zewnętrzną, o utworzenie sił zbrojnych dla całego imperyum. Już obecnie Wielka Brytania zmuszona jest poświęcać na swoją obronę rocznie sumę od 50 do 60,000,000 funtów szterl., wtedy gdy

dwa wielkie mocarstwa kontynentalne, Francya i Niemcy, nie potrzebują więcej aniżeli 37,000,000 funtów szterlingów na ten cel obronny. Mimo tego, nie tylko nakład ten nie wystarcza, ale Wielka Brytania jest zabezpieczona niedostatecznie, a Większa jest po prostu oddana na łup tego wroga, któremu by się tę lub ową jej część zagarnąć podobало. Armia Australii wynosi 30,000, Nowej Zelandyi 40,000, Kanady 36,000 żołnierzy, a razem z Afryką te trzy grupy nie mają nawet 100,000 siły zbrojnej, prawdziwie do wojny przygotowanej.

Dlatego sir Karol uderza w dzwon na alarm. Chce on, ażeby każda z grup kolonialnych co prędzej zawiązała pomiędzy swemi składowemi częściami związek federacyjny i ujawniła wspólność narodową przez instytucje wspólnej obrony, przez milicję, armię, marynarkę, fortece, stacje węglowe i t. d. Jednocześnie z utworzeniem tych miejscowych środków obronnych pragnie on utworzenia siły zbrojnej wspólnej dla całego imperyum, któraby dążyła w razie niebezpieczeństwa na każdy punkt zagrożony. Jest to plan olbrzymi, wymagający miliardów i lat do wprowadzenia w czyn. Ale poza nim niema zbawienia, gdyż niema rękojmi bezpieczeństwa dla całości. Jedna tylko rzecz — powiada dosłownie Dilke, — jest bardziej zdumiewająca, aniżeli ogrom państwa brytańskiego, a jest to niedbałość o zabezpieczenie jego granic.

Plan całej działalności postawiony został w swych szczegółach i w swych celach końcowych. Anglicy wiedzą, co im czynić należy, świat postronny — czego się od nich spodziewać będzie można. Pojedynek pomiędzy Francją a Anglią co do hegemonii w świecie rozegrany został na korzyść Anglii. Obecnie rysuje się już nowa faza tej walki, gdzie rasa anglo-saska, rasa zwycięska, zabiera się do ostatecznej likwidacji. Gdyby tryumf zależny był jedynie od energii i zalet jednego z działaczy, toby go już z góry można było zapowiedzieć Wielkiej Brytanii. Oprócz *wielkiej niewiadomej*, spowitej w chmurach przyszłości, są tu jednak w grze rozmaite siły i żywioły już znane i wiadome, które o rezultacie nowej ewolucyi żadnego stanowczego prognostyku wypowiadać nie pozwalają.



USAMOWOLNIENIE IRLANDYI.



Im bardziej wiek XIX zbliża się ku schyłkowi, tem raźniej, tem energiczniej zabiera się on do rozwiązania od dawna w zamierzeniu będących zagadnień politycznych. Jest to niby spisывaniem inwentarza czy też rachunkiem sumienia. Pod jego wpływem niejedna z zastarzałych niesprawiedliwości została zniesioną, niejeden naród pokawałkowany i zaprzędany w niewolę wyzwolony już został z ucisku i powołany do bytu samoistnego. Powoli i stopniowo tylko, niemniej jednak widocznie, układa się szachownica międzynarodowa stosownie do życzeń ludności i praw cywilizacyi. Trzeba się uzbroić w cierpliwość i zrozumieć, że przekształcenia i przewroty, nawet najpożądańsze, najbardziej nieuniknione, są dziełem czasu, i że koniec końcem on jest nieoszaczowanym sprzymierzeńcem sprawiedliwości i postępu, byle się tylko wytrwale i nieugięcie walczyło pod ich sztandarem.

Nowy przykład tego tryumfu zasad swobody daje nam obecnie Irlandya. Dzieje jej martyrologii zapisane są krwią i łzami w kronikach ludzkości. Przez dziwną ironię losu, Wielka Brytania, organizm państwowy uosabiający najwspanialej i najpraktyczniej swobody polityczne, posługiwał się jednocześnie względem jednej ze swych składowych części tyranią i gwał-

tem. Rak toczył jej wnętrzności, a nie umiała i nie chciała go się pozbyć. Opór zaś Irlandyi, trwający bez najmniejszej przerwy od siedmiu z górą wieków, przybierał, stosownie do okoliczności, rozmaite formy, poczynawszy od petycyi, legalnego protestu, jawnych organizacyi, aż do knowań, spisków, sprzysiężeń, zbrodniczych zamachów, tłumnych manifestacyi i zbrojnych powstań. Nie trzeba zapominać, że nie idzie w tej walce o całkowitą niezależność, o zerwanie jedności państwowej, ale po prostu o prawne i polityczne wyswobodzenie, o szeroki samorząd narodowy. Wszystkie ustępstwa, wszystkie reformy, udzielone Irlandyi przez rząd angielski w ostatnich kilkudziesięciu latach, nie były w stanie uspokoić jej i rozbroić: domagała się ona całkowitego urzeczywistnienia swoich ideałów, mianowicie irlandzkiego parlamentu, stolicy w Dublinie pod zwierzchnictwem korony Wielkiej Brytanii. Nie można było przewidzieć z góry dalszych epizodów tej homerycznej walki i posąg wolności zdawał się skazany długo jeszcze na żałobne kiry. Pycha angielska i egoizm sprzeciwiały się pojednaniu; tradycja historyczna zagłuszała poczucie słuszności. Sceptycyzm polityczny twierdził, że niema wyjścia z tego labiryntu i że lew brytański będzie zawsze zmuszony dusić celtyckiego sokoła.

Stało się inaczej. Po najrozmaitszych losu kolejach, których w przelocie tu zaledwie dotknąć będziemy mogli, Irlandya znalazła nareszcie za dni naszych, w obozie swoich przeciwników, w samym przywódcy rządu angielskiego, męża stanu, który stał się jej rzecznikiem i którego polityka obrała sobie jako cel pogodzenie Irlandyi z Wielką Brytanią. *Magna charta* dla Irlandyi przedłożoną została przez Gladstone'a parlamentowi w Westminsterze. Historia niezbyt obfituje w wypadki takiej doniosłości. Chociaż pierwszy projekt usamowolnienia rozbił się o opozycję parlamentarną, to nie da się już jednak zaprzeczyć, że kwestya sama w sobie uczyniła olbrzymi krok na przód, że teoretycznie rozwiązana już została. Nowi działacze, występujący na arenę, nie złożą oręża do pochwy, zanim wielkie dzieło ostatecznie dokonaniem nie zostanie—i energia ich zarówno jak rozum polityczny, wzrastają w miarę, jak zbliża się chwila stanowcza.

Pora obecna jest stosowną dla postronnego badacza do wyjścia na zwiady. Piszący, który miał sposobność zajrzeć za

kulisy parlamentarnego świata angielskiego, nie ma powodu ukrywać swojej sympatii dla Irlandyi. Ale ograniczając się do roli spostrzegacza, tuszy sobie, iż potrafił aż do końca pozostać bezstronnym i że czytelnik będzie mógł znaleźć w tej pracy materiały do utworzenia sobie o kwestyi irlandzkiej samodzielnego zdania.

I.

Nawet pomiędzy najzawziętymi nieprzyjaciółmi Irlandyi niema już dzisiaj zapewne żadnego, któryby chciał twierdzić, że Anglia postępowała względem niej słusznie i sprawiedliwie w dziejowym przebiegu; powołują się tylko na łagodzące okoliczności, na ducha epoki, na panujące dawniej barbarzyństwo, na namiętności religijne, na konieczności państwowe. Trzeba istotnie uprzytomnić sobie to w pamięci, aby powstrzymać słowa zbyt gwałtownego oburzenia i utrzymać się w dziedzinie krytyki historycznej.

W drugiej połowie XII wieku Henryk II podbija Irlandyę i Rodoric O'Connor przelewa nań lenne zwierzchnictwo. Ale organizacya feodalna nie jest w stanie zagłodzić dążenia do niezależności i walka pomiędzy plemieniem celtyckiem a najezdnikiem anglo-saskim, nacechowana barbarzyństwem średniowiecznem, a jednocześnie epicznym heroizmem, trwała bez najmniejszej przerwy przez długich lat czterysta. Anglicy nie przestawali traktować Irlandczyków jako narodu podbitego i hasłem ich było: *adversus hostem aeterna auctoritas*. Wiek XVI wprowadza nowy żywioł waśni: przeciwko Anglii protestanckiej, gorzącej prozelityzmem, podnosi czoło Irlandya, obstaająca przy katolicyzmie. Te wojny religijne miały w sobie epizody straszne, dzisiaj jeszcze zdejmujące nas grozą tragiczną. Gdy po uśmierzaniu buntów hrabiego Desmonda i O'Neill, królowa Elżbieta, chęłpiąc się ze zwycięstwa, kazała wybić medal z napisem *Pacata Hibernia*, i wtedy jeszcze był to pokój zwodniczy i do spopielonej, zamienionej w jedno cmentarzysko Irlandyi słusznie zastosowano nieśmiertelne w swej lapidarnej zwięzłości słowa Tacyta: „*ubi solitudinem faciunt, pacem appellant.*” Pusto i głucho było wówczas w zielonym Erynie i zwycięzca postanowił

zastosować do wycieńczonego kraju starorzyską maksymę łupieży i konfiskaty gruntów. W ciągu stu lat następnych, od Elżbiety do Wilhelma III, to jest aż do końca XVII wieku, rząd angielski, będąc wyrazem zapamiętałej nienawiści narodowej przeciwko katolicyzmowi, odmawia Irlandczykom prawa posiadania gruntów, spędza do jednej prowincyi tych, co się upierają przy swojej wierze, a konfiskuje resztę kraju, rozdając go swoim stronnikom. W ten sposób 10,360,000 akrów ziemi irlandzkiej przechodzi w ręce angielskie, a krajowcom pozostała zaledwie $\frac{1}{11}$ część rodzinnej gleby.

Gdy wiek XVIII zaczyna szerzyć wśród społeczeństw europejskich zasady humanitaryzmu i tolerancyi, Anglia zmienia swoją dotychczasową taktykę względem Irlandyi. Na miejsce rzezi, pożogi i gwałtu materialnego występuje teraz przesładowanie systematyczne żywiołu narodowego za pomocą praw kryminalnych. Te sto lat *penal laws* są dla historyka wstrętniejszymi jeszcze nieledwie, aniżeli wszystko, cośmy przedtem widzieli. Cały aparat praw karnych miał na celu uczynienie istnienia katolików irlandzkich niemożliwym; nie tylko, że nie mogli oni być członkami parlamentu, zajmować żadnego stanowiska urzędowego lub wyborczego, ale jednocześnie wszystkie prawa cywilne, własność, posiadanie, małżeństwo, wychowanie dzieci, dziedzictwo, zostały ujęte w takie karby, najeżone takimi ograniczeniami, że pojąć nie łatwo, jak się tym kleszczom oprzeć mogły przerzedzone i osłabione żywioły narodowe. Gdy namiętności religijne słabły, zostawał jeszcze stale interes materialny. Protegując wszystkimi sposobami ludność protestancką angielską, osiadłą w Irlandyi, rząd Wielkiej Brytanii używał jej i posługiwał się nią dla wydarcia tej prowincyi ostatnich pozostałych jej jeszcze śladów niezależności. Stopniowo wytworzyła się ponad prawdziwą, starodawną Irlandyą, posiadającą większość liczebną, ale zrujnowaną, zdemoralizowaną, ciemną, fanatyczną, inna Irlandya—napływowa, sztuczna, która dzięki bogactwu i faworom przyzwyczaiła się uważać za istotnych, prawnych właścicieli kraju i przedstawicieli ogólnej sprawy narodowej. Ta urzędowa, protestancka Irlandya gardzi i nie pyta się nawet o istnienie drugiej, podziemnej. Gdy wszakże naprzód bunt *whiteboys*, potem wyswobodzenie Stanów Zjednoczonych, a na-

koniec rewolucya francuska pokazuje społeczeństwu i rządowi angielskiemu, że ta Irlandya, którą zabili i pogrzebali, żyje i do życia rości pretensye, wtedy powstaje niezłomny zamiar zakończenia raz na zawsze sprawy irlandzkiej przez zniesienie ostatniego szczątku niezależności krajowej, mianowicie parlamentu w Dublinie. W dniu 26 maja 1800 roku przedstawiciele Irlandyi zgodzili się na rozwiązanie parlamentu i na postawienie na przyszłość Irlandyi pod zwierzchnictwem parlamentu wspólnego dla całej Wielkiej Brytanii. Niepodobne do uwierzenia, nigdy przedtem nie praktykowane na taką skalę, skandaliczne przekupstwo zapieczętowało politykę angielską aktem, godnym 631 lat, poprzedzających unię irlandzko-brytańską. Suma, za jaką sprzedano prawodawczą niezawisłość Irlandyi, wyniosła kilkaset milionów; znamy jej bilans aż do ostatniego szeląga. Nie można jednak powiedzieć, że Irlandczycy popełnili taką zbrodnię: sprawcami jej byli w przeważnej części Anglicy osiadli w Irlandyi, pseudo-Irlandczycy, uważający za rzecz pozwołoną frymarczyć losami zdobytego i wyzyskanego kraju.

II.

Ten pobieżny przegląd wypadków, które poprzedziły unię 1800 roku, mógłby zrodzić przypuszczenie, że wówczas nastąpiła ostateczna zagłada Irlandyi, że był to epilog wiekopomnej walki dwóch niepojednalnych organizmów. Wniosek tego rodzaju byłby jednak fałszywy. Zjednoczenie zapisane wprawdzie zostało w literze konstytucyi i stało się prawomocnem: nie było go jednak ani śladu w usposobieniu i nastroju narodów. Irlandya nie zrzekła się żadnej ze swoich aspiracyi; Anglia nie mogła zapomnieć, że ma na pozór tylko pojednanych, ale w gruncie zajadłych przeciwników,—ani przeczuć, że wspólny parlament będzie sceną niejednej gwałtownej protestacyi.

Główna zmiana dotyczyła istotnie tego teatru politycznego. Głosy za równouprawnieniem, za wyswobodzeniem Irlandyi rozlegają się w całym ciągu naszego stulecia z pałacu Westminsterskiego. Mają one cel troisty: polityczny, ekonomiczny i religijny, a mianowicie odzyskanie straconego samorządu, odzyskanie

skonfiskowanej własności gruntowej i wyswobodzenie wyznaniowe. Programat nie zmienił się ani na chwilę, chociaż się skupiał lub rozdrabiał, stosownie do strategii parlamentarnej.

Nie trzeba się dziwić, że walka rozpoczęła się od kwestyi religijnej. Nie tylko, że z samej swej natury leży ona najbliżej serca społeczeństwa irlandzkiego, ale rząd brytyjski, przeprowadzając unię, przyjął był zobowiązanie wyzwolenia katolików. Domagając się takowego, przedstawiciele Irlandyi stawali na gruncie praktycznym i jednocześnie byli orędownikami swobody i cywilizacyi. Prześladowania i udręczenia religijne nie dadzą się już zrozumieć w naszych czasach, nie odpowiadają bynajmniej duchowej atmosferze i mimowolnie widzieć się w nich musiało nie walkę o dogmaty, ale skrócenie jej do politycznych widoków.

Zbytecznem byłoby przypominać historję prześladowania katolicyzmu w Irlandyi. Są umysły nawet postępowe, co przypominając absolutyzm i tyranję kościoła rzymskiego, mając przed oczami ciągle stosy płomienne i zbrodnicze zamachy Inkwizycyi Świętej, widzą w losach katolicyzmu irlandzkiego sprawiedliwy odwet historycznej Nemesis. Trudno nam podzielać to zapatrywanie i zbyt głęboką cześć wyznajemy dla swobody sumienia, abyśmy czuli pochop do usprawiedliwiania prześladowań religijnych, z jakiegokolwiek wychodziłyby obozu.

Teorya o jedności kościoła z państwem i o potrzebie religii państwowej leżała na dnie tej polityki. Na wysokości współczesnych idei cywilizacyjnych zasada ta wydaje się nam potwornym dziwolągim, gdyż wiemy, że państwo, będąc jedynie organizmem zabezpieczającym rozwój społeczeństwa, nie ma najmniejszego powodu, tak samo jak nie ma prawa mieszać się do kwestyi sumienia i wiary, należących do sfery wyłącznie indywidualnej. Ale idee te nie znalazły dotąd ogólnego uznania w Wielkiej Brytanii i stronnicy kościoła państwowego nie tak prędko jeszcze utracą uprzywilejowane stanowisko, w posiadaniu którego się znajdują. Łatwo więc sobie wytłómaczyć zawziętość panującego kościoła anglikańskiego nad prawnie pokonanym katolicyzmem w podbitej Irlandyi. Z jednej strony uorganizowany tam został kościół anglikański o rozgałęzionej hierarchii i uposażony ze szczodroblivością tem większą, że widziano w nim armię, propagującą słowo boskiej prawdy; z drugiej strony po-

łożono wszelkie możliwe tamy samoistnemu bytowi kościoła katolickiego i postawiono jego wyznawców w tak upośledzonym, w tak trudnem położeniu, że trzeba było istotnie religijnego entuzjazmu, ażeby się przy tej prześladowanej wierze ostać i być jej orędownikiem.

Jak za każdym razem w historycznym rozwoju ludzkości, tak i tutaj walka religijna podwoiła energię i spotęgowała hufce męczenników za wiarę. Uciśniona religia złąła się w jedność z uciśnioną ojczyzną; walcząc za swobodę swych ołtarzy, walczył Irlandczyk za swobody narodowe. Duchowieństwo było nie tylko sprzymierzeńcem, ale i przywódcą ruchu i organizacyi, dążących do emancypacyi uciśnionych żywiołów. Pomiedzy niem a narodem istniał związek ścisły, do rozerwania niepodobny. Podczas gdy prawo zmuszało katolicką ludność Irlandyi do utrzymywania swym kosztem duchowieństwa anglikańskiego i składania mu dziesięciny, znajdowała ona zawsze grosz wdowi dla swego duchowieństwa, dla tych kapłanów, co byli krwią ich krwi, co ich podtrzymywali w cierpieniach, co im dawali chleb ducha i chleb ciała w strasznych głodowych klęskach, co byli ich opiekunami, ich starszą bracią. Duchowieństwo nie brało czynnego udziału w tych rozlicznych spiskach i tajemnych organizacyach, które zdążyły do rewolucyjnych wybuchów,—ale gdy w pierwszej ćwierci naszego stulecia stało się oczywistem, że emancypacya Irlandyi nie może być osiągniętą siłą gwałtu, ale jedynie moralnym naciskiem i prawną propagandą, wtedy cały hierarchicznie uorganizowany kościół irlandzki stanął po stronie narodu i szedł z nim odtąd ręka w rękę. *Stowarzyszenie katolickie*, powstałe w 1810 roku, jest już w dziesięć lat później potęgą polityczną. Cały siedmiomilionowy naród irlandzki ujęty został w sieć tej organizacyi; jej komitet centralny, powstały z wyborów, obraduje nad wnioskami, jakie mają być przedstawione parlamentowi, prowadzi agitację wyborczą, przeprowadza kandydatów, kreśli im drogę działania a jednocześnie zbiera podatki na cele publiczne, ma swoich agentów, opiekuje się każdym wywłaszczonym wieśniakiem, każdym pokrzywdzonym przez władze administracyjne lub sądowe. Obok rządu angielskiego powstaje inny, otoczony czcią i ufnością całego narodu, który zespala się z nim duchem

i ślepo słucha jego rozkazów i rozporządzeń. Gdy w r. 1825 rząd rozwiązuje, jako nielegalne, to Stowarzyszenie katolickie, to wkrótce organizuje się pod inną firmą, aż w końcu przechodzi w tryumfujące *Stowarzyszenie narodowe*.

Każdej wielkiej sprawie potrzeba odpowiednich działaczy, potrzeba geniusza, coby krystalizował jej aspiracje. Stowarzyszenie narodowe irlandzkie znalazło go w Danielu O'Connellu. To głośnie imię ludowego trybuna przywołuje wspomnienia jednej z najświetniejszych walk ludzkości za sprawę wolności. Nigdy naród cały nie złożył tak całkowicie swych losów w ręce swego wodza, nigdy wódz ten dzielniej i skuteczniej nie broił powierzonego sobie sztandaru. Opierając się na gruncie legalnym i tylko na takowym, trzymał on w przeciągu lat kilkunastu zawieszoną nad Anglią głównię rewolucyjną; jak morskie bałwany na głos proroka Izraela, tak na głos O'Connella miliony irlandzkiej rzeszy gromadziły się i rozstępowały. Na olbrzymich meetingach, gdzie przemawiał do ludu, wywołując w nim szlachetne namiętności,—w radzie wpośród biegłych i wytrawnych przywódców narodu, których przewyższał znajomością prawa, obrotnością i rzutkością,—w parlamencie, do którego tak długo, jako katolikowi, wejść mu było wzbronione i gdzie mu się przyszło spotykać z największymi mówcami, największymi mężami stanu Anglii,—wszędzie O'Connell znajduje się na wysokości swego historycznego zadania.

Agitacja konstytucyjna, której był duszą, osiągnąć musiała swój cel i członkowie rządu uznali nareszcie konieczność emancypacji katolików. Nie należy zapominać, że i w ich otoczeniu, w parlamentarnych kołach, opinia ta zyskiwała coraz większą przewagę. Od dawna już najlepsze umysły angielskie uczuwały niesprawiedliwość, wyrządzaną katolikom irlandzkim, którzy wciąż jeszcze byli wykluczeni z parlamentu, którym nie wolno było sprawować urzędów administracyjnych i sądowych, którzy nie mogli nabywać gruntów, którzy, aby wychować swe dzieci w wierze ojców, zmuszeni byli po kryjomu wysyłać je do zagranicznych szkół i zakładów. Nieraz już parlament angielski był świadkiem gorących protestacji ze strony tych, którzy nie chcieli dźwigać solidarnej odpowiedzialności za te krzywdy. Nieskazitelna postać Henryka Grattan'a, którego całe parlamen-

tarne życie poświęcone było obronie praw irlandzkiego narodu, świetne, wulkaniczne mowy Ryszarda Burke, uparta walka genialnych ministrów i jasnowidzących mężów stanu Pitta i Canninga z królem Jerzym III i ortodoksyjną dworską kamaryllą, walka, w której woleli stracić swe przewodnie stanowisko, aniżeli zgodzić się na nową sankcye bezprawia: oto jasne epizody przeszłości, które podtrzymywały w walce późniejszych zapaśników.

Pod wpływem wytrzeźwionej opinii publicznej w samej Anglii, ale jednocześnie pod naciskiem agitacyi irlandzkiej, prowadzonej coraz energiczniej przez O'Connella, gabinet torysowski Roberta Peela złożył broń nareszcie. Dziwną była zaprawdę ta igraszka losów, przez którą właśnie ów protestancki mąż stanu, który najgoręcej za rządów Canninga sprzeciwiał się emancypacyi katolików, owa ostatnia i najświetniejsza gwiazda na widnokręgu torysowskiej reakcyi, że właśnie on przedstawił bil, emancypujący katolików! Na próżno własne jego stronnictwo ogłosiło go jako zdrajcę, na próżno gwałtowna agitacja rozpoczęła się przy złowieszczych krzykach: *No popery!*—wielki akt polityczny Roberta Peela przeszedł przez wszystkie manowce parlamentu i otrzymał sankcye korony w r. 1829.

Równość polityczna nastąpiła tedy pomiędzy obu wyznaniem od tej pamiętnej epoki, ale kwestya religijna nie zeszła z programu irlandzkiego, gdyż o równouprawnieniu religijnem mowy jeszcze nie było. Kościół anglikański, ten kościół antynarodowy, będący w oczach każdego Irlandczyka uosobieniem obcego najazdu, ten kościół, który liczył zaledwie kilkakroć sto tysięcy wyznawców, niespełna milion przeciwko siedmiu milionom katolickich mieszkańców kraju, ten kościół, co liczył czterech arcybiskupów, osiemnastu biskupów, 80 kapituł, 1,400 proboszczów po większej części bez parafian, ten kościół, oprócz wspańiałych gmachów, obszernych ziemskich posiadłości, uposażony był roczną sumą 800,000 funtów szterlingów. Sumę tę płacili ze swych kieszeni biedni, umierający nieraz z nędzy katolicycy Irlandczycy. Nigdy kręcenie własną ręką bicz do osmagania nie było widoczniejszem. Najdotkliwszą była kwestya płacenia dziesięciny, która wynosiła nie mniej jak 650,000 funtów szterlingów rocznie i która prawie całkowicie ciążyła na proletaryacie rolniczym irlandzkim. Wezwany przez swoich

przywódców do odmawiania dziesięciny, lud irlandzki zaprzestał jej płacić—i na tym punkcie wszczęła się walka uparta, która z jednej strony wywoływała w Irlandyi ciężkie prześladowania i ruinę materyalną, a z drugiej w parlamencie była powodem najrozmaitszych prawodawczych projektów, zmian gabinetowych i nieustannej agitacyi, trwającej aż do roku 1838. Wtedy to udało się lordowi Johnowi Russelowi przeprowadzić bil, znoszący dziesięcinę i zamieniający ją na rentę państwową do $\frac{2}{3}$ jej wysokości. Ludność katolicka otrzymała tedy w dziesięć lat po bilu emancypacyi nowe zadośćuczynienie, znaczne wprawdzie, ale oczywiście nie zupełne. Zostawało jeszcze zawsze desideratum radykalne, czyli sekularyzacja anglikańskiego kościoła w Irlandyi. Trzydzieści lat trzeba było czekać na takowe; nie dożył go wielki atleta, wielki patryota irlandzki, O'Connel, który umarł w roku 1847. Podjęte przezeń dzieło nie straciło jednak na takim ubytku: na zbyt dobrej znajdowało się już drodze.

Postęp idei liberalnych szedł takim krokiem wpośród angielskiego społeczeństwa, że wychodzili z niego teraz jedni po drugich najużyteczniejsi obrońcy sprawy irlandzkiej. Nielada męża stanu było jednak potrzeba, ażeby przeprowadzić sekularyzację kościoła anglikańskiego w Irlandyi. Obok kwestyi zasadniczej, drogiej zawsze angielskiemu sercu, uważającej kościół anglikański na ziemi irlandzkiej jako manifestację zwierzchnictwa państwowego, jako tryumf nad kacerstwem, istniała jednocześnie kwestya praktyczna, najeżona materyalnemi trudnościami i niepozwalająca z góry przewidzieć, jakiby był los tego anglikańskiego kościoła w Irlandyi, gdyby nie był podtrzymywany przez machinę państwową. Ażeby rozwiązać taki skomplikowany problemat, potrzeba było rozlicznych moralnych, umysłowych, oratorskich i finansowo-administracyjnych przemyśleń i zdolności, które, na chlubę Anglii a szczęście Irlandyi, posiadał Wiliam Ewart Gladstone.

Gdy w chwili obecnej widzimy zdumienie publiczności europejskiej nad potężnem dziełem wyswobodzenia politycznego Irlandyi, przedsięwziętem przez tego samego Gladstone'a, gdy słyszymy krzyki i oburzenia, przekleństwa, sarkającą ironię stronników przywileju i rzeczników despotyzmu nad tą rzekomą zdradą i odstępstwem od tradycyjnej polityki angielskiej, gdy

jesteśmy świadkami tych ostatnich konwulsyjnych wysiłków zdemaskowanej reakcyi, przyznajemy, że nie możemy oprzeć się pewnemu zdziwieniu i zapytać tych oponentów, czy nie znają historyi dnia wczorajszego, czy nie pamiętają, co w latach 1868 do 1870 zrobił Gladstone? Jego ówczesna radykalna polityka powinna ich była przygotować do obecnej—i jeżeli wypadki obecne zaskoczyły ich niespodzianie, to nie czyją inną, ale ich własną było to winą,—historya nie nauczyła ich niczego.

Dość jej przypomnieć sobie pojedynek pomiędzy Beniaminem Disraelim a Gladstone'm, rękawicę podjętą w imieniu sekularyzacyi anglikańskiego kościoła w Irlandyi, rozwiązanie parlamentu, wybory roku 1868, które dały potężną większość stronnictwu liberalnemu, związek Gladstone'a z radykalnym Johnem Bright i nakoniec przedstawienie bilu o sekularyzacyi. Przedstawiony w marcu roku 1869, po długich i zaciętych rozprawach uzyskał on sankcyę korony i stał się prawomocnym z dniem 1-go stycznia 1870 roku. Udało się Gladstone'owi znieść ostatnie szczątki wielkiej historycznej niesprawiedliwości, zmasać hańbę, ciężącą na rządzie angielskim w Irlandyi. Anglikanizm przestał być narzucany katolickiemu krajowi i utrzymywany z jego skarbu. To wielkie dzieło reformy przeprowadzone zostało z uwzględnieniem wszystkich praw nabytych, z poszanowaniem wszystkich stanowisk osobistych. Komisya ustanowiona *ad hoc* przedsięwzięła spis inwentarza kościoła; powróciła skarbowi to, co doń należało, a zostawiła duchowieństwu protestanckiemu fundusze, pochodzące z prywatnych zapisów i fundacyi. Wszyscy duchowni otrzymali dożywotnie pensye, równoznaczne tym, które pobierali przedtem, jeżeli synod kościelny uznał ich funkcyę za potrzebne. Ponieważ jednak nie leżało w interesie rządu, ażeby powiększać ilość posad zbytecznych, nie upłynęło lat kilku, a zniesiono ich połowę. 6,162 członków duchowieństwa angielskiego doszło do porozumienia z komisją i uregulowało swoje finansowe stosunki przed upływem roku 1873, z góry wyznaczonego jako ostateczny termin. Nie można oskarżać komisyi sekularyzacyjnej o skąpstwo, gdy przypomniemy, że wyasygnowała w tym celu sumę 8,259,673 funtów szterlingów. Suma ta tem więcej zastanawiać może, że w r. 1873

wszystkiego było protestanckiej ludności w Irlandyi 683,295 czyli dziesiąta część całej ludności.

Bądź-co-bądź, kwestya ta załatwioną została ostatecznie, radykalnie. Długiego zapewne potrzeba będzie czasu, zanim zaginą jątrzące wspomnienia niesnasek religijnych i prześladowań, ale od lat kilkunastu sprawa swobody religijnej została wymazana z porządku dziennego i na tym przynajmniej punkcie wymogi patryotyzmu irlandzkiego całkowite zadośćuczynienie otrzymały.

Pozostawały do załatwienia dwa drugie punkty programu narodowego: polityczny, dotyczący samorządu Irlandyi, i socyalny, dotyczący uregulowania kwestyi gruntowej. Należy nam z kolei przypatrzeć się losom, jakie przebiegły, i rozwiązaniu, do jakiego zdążają pod egidą tego samego męża stanu, który odegrał rolę przewodnią w sprawie kościelnej — Gladstone'a.

III.

Dążenie Irlandyi do samorządu, do usamowolnienia narodowego, musiało wzrastać i rozwijać się od aktu unii roku 1800, nie tylko pod wpływem istotnych potrzeb, ale i pod wpływem ogólnego prądu ku swobodom politycznym, charakteryzującego naszą epokę. Irlandya cierpiała materyalnie, ale cierpiała także moralnie—w swojej ambicyi, w swojej dumie. Polityka nauczyła się wciągać tego rodzaju czynniki do swoich rachunków. Im bardziej się czuli upokorzeni i zepchnięci, tem goręcej rwali się do postawienia swego kraju na stopie, do której zdawał się im mieć prawo. Walka religijna, o której mówiliśmy, przyczyniała się także pośrednio do rozbudzenia namiętności i rozkołysania umysłów. Zwycięstwa, jakie jedne po drugich odnosili w tej dziedzinie, dawały im prawo spodziewać się równego powodzenia w innych.

Opinia narodowa widziała w owym parlamencie krajowym, który Irlandya utraciła, palladyum swobody. Jak wiele innych tradycyi, tak i ta zawierała w sobie obok częściowej prawdy wielką dozę złudzeń. Zdziwiliby się niewątpliwie ci gorący patryoci irlandzcy, którzy mówią o parlamencie jak o instytucyi,

skupiającej w sobie wszystkie narodowe dezyderaty, ale którzy powierzchownie tylko znają rozwój i przebieg publicznego życia swej ojczyzny, gdyby się im w rzeczywistym świetle okazało ów wyidealizowany parlament irlandzki. Korona angielska miała naprzód prawo zwoływać go nie w stałych wyznaczonych epokach, ale stosownie do swego upodobania, i zdarzało się, że w ciągu 23 lat — od 1666 do 1689 r. — nie zwołała go ani razu! Członkowie parlamentu wybierani byli na cały czas panowania króla. Oczywiście, że jednoczyli swoje losy z losami monarchy, że tracili wszelką niezależność, że byli po prostu urzędnikami płatnymi przez rząd, z tą tylko różnicą, że kosztowali go więcej i że traktowani byli z tem lekceważeniem, jakie jest moralną nagrodą frymarczących swem sumieniem. Nie trzeba także zapominać, że w tem ciele wyborczem, przedstawiającem społeczeństwo katolickie, żadnemu katolikowi zasiadać nie było wolno. Samo się przez się rozumie, że skoro pozbawiono katolików prawa głosowania, skoro im odjęto prawo należenia do korporacyi i rad municypalnych, skoro nie mogli być ani sędziami pokoju, ani adwokatami, ani przysięgłymi, ani szeryfami, ani nawet policyantami, skoro, jak powiedział kanclerz Bowes i naczelnny sędzia Robinson na pełnem zebraniu parlamentu irlandzkiego: *no such person was supposed to exist as an Irish catholic*, to samo się przez się rozumie, że tem mniej jeszcze mógł katolik zasiadać w parlamencie narodowym. Na ławach jego znajdowali się tedy przeciwnicy niezależności i swobody irlandzkiej. Chociaż tego rodzaju deputowanym można było zaufać, że nie przekroczą swej sfery działania, to mimo tego każdy projekt prawodawczy, który poddany był ich obradom, musiał być uprzednio pozyskać uprzednie zezwolenie rady stanu irlandzkiej, następnie przejść przez szczegółowy rozbiór w łonie rady stanu angielskiej i dopiero po uzyskaniu takich rękojmi bezpieczeństwa wolno było zabierać głos lalkom woskowym, zasiadającym w sali parlamentarnej *Conciliation Hall*.

Mimo tych wszystkich niedostatków i ułomności, tak widocznych, że żadnego szczegółowego nacisku kłaść na nich nie trzeba, mimo prawa *Poynings*, datującego z epoki pierwszego z Tudorów, mocą którego władza prawodawcza parlamentu irlandzkiego postawiona została pod zwierzchnictwo londyńskiego,

taką jest siła wewnętrzna ciała wyborczego i mównicy, z której rozlegać się mogą głosy obrończe za sprawiedliwością i prawem, że nawet ten parlament irlandzki drogim był narodowemu sercu, i że Irlandczycy, dopóki go posiadali, nie uważali się za całkowicie wydziedziczonych.

I przyszła też istotnie historyczna chwila, gdzie nawet ten bezwładny, ten znikczemniały parlament irlandzki odradza się, usamowalnia i staje się tak żywym organem społeczeństwa swego, że rząd i parlament angielski widzą konieczność traktowania z nim i zwolnienia pęt, co krępowały Irlandyę.

Okolicznością, która przewrót ten wywołała, było, jak już wyżej uczyniliśmy wzmiankę, wyswobodzenie Stanów Zjednoczonych amerykańskich i zerwanie węzłów kolonialnych, co je łączyły z metropolią. Z jednej strony przykład tej walki i tego zwycięstwa podziałał orzeźwiająco na Irlandczyków, tak, że można powiedzieć, iż owa data roku 1776 zaznaczała nie tylko wyswobodzenie Ameryki, ale jednocześnie i zwrot wybitny we wzajemnym do siebie stosunku dwóch połączonych królestw; z drugiej—rząd angielski i parlament londyński, pod naciskiem opinii i w obawie rewolucyi, przedsięwzię szereg reform, których nie można się było przedtem od niego spodziewać. Będąc w wojnie z Francją, z Hiszpanią, z Ameryką, w ciągłym przewidywaniu najazdu nieprzyjaciół, rząd angielski był zmuszony ogłosić Irlandyę z załogi wojskowej, i natychmiast, niby za podmuchem czarodziejskiej, siły tworzy się na całej przestrzeni kraju gwardya narodowa ochotników. Armia 60,000 Irlandczyków, uzbrojona przez rząd, była nie tylko materyalną, ale i moralną potęgą. Mieszcząc w swych szeregach wszystkie warstwy społeczne, cały kwiat inteligencji, zbliżyła do siebie katolicką część narodu z protestancką w imię wspólnych interesów swobody. Parlament dubliński czerpie swe natchnienie i animusz do opozycji w tych zbrojnych szeregach, co mu naraz pozwalają dotykałnie sprawdzić istnienie Irlandyi jako samoistnego narodu.

Wpółśród deputowanych irlandzkich znajdował się Henryk Grattan. Jest to wielka postać parlamentarna, górująca w XVIII wieku, i jego wpływ i dzieła nie mogą chyba być przyrównane do tych, jakie w pierwszej połowie naszego stulecia rozwinął O'Connel, albo jakie za dni naszych uosobione są w Par-

nellu. Grattan nakreślił Irlandyi ówczesnej programat polityczny, który do dziś dnia nie przestał być najwyższym wyrazem politycznego rozumu, mianowicie, iż Irlandya i Anglia mają stanowić dwie części jednej całości, że składać powinny federacyjne państwo i że wspólnym węzłem dla nich będzie wierność dla tronu i niezależność konstytucyjna. Za jego podmuchem parlament irlandzki w dniu 19 lipca 1782 r. uznaje się władzą zwierzchniczą, niezależną na przyszłość od parlamentu angielskiego. Ten akt doniosły, który Burke słusznie nazwał 1688 rokiem irlandzkim, nie przyniósł wprawdzie za sobą wszystkich następstw, jakich oczekiwała odeń wzburzona opinia narodowa, raz dlatego, że ten zgangrenowany z gruntu parlament dubliński mógł się zdobyć pod wpływem wielkiego nacisku chwilowego na krok nadzwyczajny, ale że niebawem powrócił do swej zwykłej służalczości i nie przedsięwziął nawet swej wewnętrznej reformy, od której zacząć był winien; a potem dlatego, że po osiągnięciu niejakich ulepszeń ze strony strwożonego rządu naród irlandzki opuścił drogę legalną, a zagrzany wpływem i przykładem rewolucyi francuskiej, szalejącej wówczas, przeszedł sam także na drogę agitacyi rewolucyjnej. Gdy agitacya ta w roku 1798 przybrała charakter zbrojnego powstania, rząd angielski nie omieszkiał przedsięwziąć represyi nieubłaganej, gwałtownej. Nie można czytać opisów scen okrutnych, które skalały wówczas Anglików, bez dreszczu oburzenia i rumieńca wstydu za pogwałcone uczucia ludzkości. Po uśmierzeniu tego rewolucyjnego ruchu przyszła dla Anglii chwila odwetu i postanowiła ona raz na zawsze wytrzebić w Irlandyi wszystkie uczucia niezawisłości, odplacić jej za to dwudziestolecie względnej swobody, którą w epoce burzliwej udzielić jej była zmuszoną. Jako najlepszy, najdotykalszy sposób zniweczenia resztek niezależności irlandzkiej uznano zniesienie parlamentu dublińskiego. Skoro nawet to służalcze narzędzie było zdolne do oporu, skoro w łonie jego zrodzić się mogli tacy ludzie, jak Grattan, nie zostawało Anglii, porwanej reakcyjnym żarem, nic lepszego do zrobienia, jak zdławić tego smoka. Naturalnie dopełniono tego zamachu stanu w sposób legalny: nigdy nie brakło w dziejach form legalnej kazuistyki dla uświęcenia zbrodni, dokonanych na niezależności lub swobodzie narodów. Na próżno 21 hrabstw

z trzydziestu dwóch składających Irlandyę protestuje przeciwko temu pogwałceniu paktu zasadniczego, na próżno Grattan piętnuje ten zamach stanu słowami, co dźwięczyć groźbą nigdy nie przestaną,—rząd angielski, zakupiwszy za sumę 1,260,000 funtów szterlingów, gotówką wypłaconych, głosy 118 członków parlamentu dublińskiego, udzieliwszy im posady hojnie płatne, pensye dożywotne, tytuły, godności i dostojęstwa, otrzymuje nareszcie pożądaný rezultat: w dniu 26 maja 1800 roku 118 głosów przeciwko 73 zdecydowało zagładę irlandzkiego ciała prawodawczego.

Nie należy jednak przypuszczać, że ze zniesieniem parlamentu oddzielnego dla Irlandyi zniknęła całkowicie niezależność tego kraju i że prawa i ustawy, istniejące po drugiej stronie kanału Ś-go Jerzego, zostały mu narzucone. Prawa obowiązujące w Anglii i Szkocyi są prawami zwyczajowemi, i jako nieskodyfikowane, nie mogły być za *instrumentum regni* narzucone sąsiadom. Wszystko zostało po dokonanej unii prawodawczej tak, jak było przedtem, z tą tylko różnicą, że o losach Irlandyi, o jej potrzebach, o jej żądaniach, o środkach zaspokojenia takowych stanowiło nie ciało specjalnie wybrane *ad hoc*, ale wszechwładny parlament Wielkiej Brytanii, któremu nie schodziło na potęgę, ale któremu schodziło i na właściwem uzdolnieniu, na znajomości stosunków i na bezstronności sympatyj, niezbędnych kagańcach wśród tego mroku. W takich okolicznościach nie dziwota, że niezadowolenie w Irlandyi rosło, że wybuchy sporadyczne nienawiści wywoływały surowe środki represyjne, i że moralna przepaść, co dzieliła dwa narody, stawała się coraz głębszą.

Opozycja parlamentarna i opozycja społeczna skupiły się naprzód około kwestyi religijnej. Opowiedzieliśmy już wyżej koleje, jakie walka ta przechodziła. Ale walka polityczna nie była także zaniechaną w tym samym przeciągu czasu. Niekiedy przybierała ona formę buntu przeciwko legalnym instytucjom, jak to miało miejsce naprzód w roku 1804, w niespodzianej i tak tragicznie zakończonej awanturze Roberta Emmetta, potem w spisku *Whiteboys* i nakoniec w słynnej agitacyi chartystów w r. 1843. O'Connell nakreślił program demokratyczny chartystów, ale głównym czynnym ich przywódcą był ów Feargus O'Connor, słusznie przewany O'Connellem motłochu. *Repeal*, to jest od-

wołanie unii prawodawczej, leży na dnie tych sprzysiężeń i buntów, tak samo jak jest łącznikiem tych stu deputowanych irlandzkich i tych 32 członków izby lordów, co zasiadali w Westminsterским pałacu. Żadne z tych zaburzeń i żaden z tych buntów nie były groźnymi dla Wielkiej Brytanii; środki, którymi rozporządzano, nie znajdowały się na wysokości zakreślonego im celu. Ale nie przestawały one przecież drażnić i podtrzymywać opinii narodowej irlandzkiej w ciągłym ferworze. Dla nowego pokolenia, co wystąpiło na arenę publiczną w ostatnich latach dyktatorskiego zawodu O'Connella, dla stronnictwa tak zwanej Młodej Irlandyi, agitacja legalna, zamknięta w formułach i przepisach parlamentarnych, stawiała się coraz trudniejszą do usprawiedliwienia, coraz cięższą do zniesienia. Pora olbrzymich meetingów i olbrzymich petycyi już minęła: marzono o szybszem, o radykalniejszym działaniu. Gdy dwa lata nieurodzaju wywołały w Irlandyi nędzę głodową, która przypomina klęski średnich wieków, i gdy wskutek pomoru i emigracyi ludność krajowa spadła w tym krótkim przeciągu czasu z ośmiu do sześciu milionów, wtedy pod naciskiem takich materyalnych okoliczności z jednej strony, a z drugiej pod wpływem idei politycznych, co zawładnęły Europą w roku 1846, stronnictwo Młodej Irlandyi, na którego czele znajdowały się osobistości drugorzędne tylko, jak Smith O'Brien, Meagher i Mitchell, starało się wywołać powstanie zbrojne, które się jednak skończyło całkowitem *fiasco* w samem swoim zaraniu.

Ostatni to był już podryg rewolucyjnego stronnictwa w tej formie. W nowej, w gwałtowniejszej jeszcze pojawia się w organizacji sprzysiężenia fenianów. Stronnictwo to krańcowego irlandzkiego radykalizmu powstało poza granicami Irlandyi, na swobodnej ziemi Stanów Zjednoczonych, do której chronili się wychodźcy irlandzcy i którzy wyrastali tam w liczbę i siłę, a pozyskawszy materyalne środki działania, postanowili ich użyć dla usamowolnienia swojej ojczyzny. Rozporządzając obszernym zapasem narzędzi politycznych, fenianie cisnęli otwarcie rękawicę Wielkiej Brytanii. Podczas kiedy organizacja spiskowa opłatała całą Irlandyę w swoją sieć gęstą, znajdujący się w Ameryce jej członkowie i przywódcy ustanowili nie tylko rząd naczelny i komitet centralny, ale rodzaj parlamentu irlandzkiego. Zde-

cydowano się naprzód na wojnę z Anglią, a mianowicie na napaść jej wielkiej amerykańskiej kolonii—Kanady; gdy Stany Zjednoczone, na których pomoc, albo przynajmniej neutralność liczono, zwróciły się przeciw nim, wyprawa fenianów na Kanadę skończyła się na niczem. W drugiej fazie swojej fenianizm chciał wywołać w samej Anglii zamieszki i zagarnąć jej arsenały i flotę: i to awanturnicze przedsięwzięcie skończyło się całkowitem niepowodzeniem. Trzecia faza—podziemnego skrytobóstwa, morderstw, pożogi, wysadzania dynamitem gmachów i domów jest ostatniem wcieleniem się tej organizacyi, i można było przypuszczać, że nie wypowiedziała jeszcze pod tym względem swego ostatniego słowa. Zbytecznemby było zapewne rozwodzić się nad tą taktyką i wykazywać jej słabe strony. Pod względem moralnym tego rodzaju zamachy nie wytrzymują krytyki i wszyscy uczciwi ludzie jednego są zdania w tym przedmiocie. Terroryzm, który, chwytając się dzikich narzędzi, działa na oślep, dziś burzy londyński Tower, jutro popełnia ohydne morderstwo w Phoenix Parku na szlachetnym lordzie Cavendish, pełnym sympatyi dla kraju, którym rządzić przybył,—takiego rodzaju terroryzm nie tylko że nie przyniósł dla Irlandyi pożądanych następstw, ale pozbawił ją w znacznej części sympatyi świata ucywilizowanego i sparaliżował przychylnę usposobienie politycznego stronnictwa angielskiego, co miało zamiar pojednać się z Irlandyą. Nic łatwiejszego, jak potępić nadużycia i zbrodnie fenianizmu; trudniejszem było nie dać się mu zbić z tropu, i wyrzekając się solidarności w środkach, uznać się wobec ojczyzny i świata solidarnym w celu.

Taką była rola, na jaką skazani zostali przedstawiciele Irlandyi w piśmiennictwie, w prasie, a przedewszystkiem w parlamencie. Organizacya narodowa pod ogólną nazwą *home-rule* jest nie tylko ostatnią z rządu, ale i najdojrzałszą epoką ruchu irlandzkiego ku wyswobodzeniu ze służalczej zależności od Anglii.

Rola Ligi narodowej, która postawiła sobie jako cel pozyskanie dla Irlandyi szerokiego samorządu i oddzielnego parlamentu, była, jak powiedzieliśmy, trudna. Jeżeli Liga sympatyzowała serdecznie z fenianami i najbardziej krańcowym zastępem stronnictwa narodowego, to pozostawała wszelako niezależną od nich i nie przekroczyła nigdy szranek ściśle i wyłącznie pra-

wnych. Utrzymać swój wpływ na Irlandyę, kierować agitacją, a jednocześnie nie nadwerężyć swego stanowiska parlamentarnego, które jedynie pozwalało im przemawiać w interesie sprawy: oto linia wytyczna kierowników tej Ligi. Działanie jej od roku 1875, to jest od czasu, jak przewodnictwo jej przeszło było w ręce Karola Stewarta Parnella, było nieustrudzone. Wzmagając się w liczebną siłę, rozporządzając w parlamencie z początku 60, a następnie 80 i kilku głosami, przemawiając zatem w imieniu całej prawie Irlandyi, Liga narodowa posiadała środki przeprowadzenia swych planów, jeżeli nie całkowicie i nie bezpośrednio, to przynajmniej częściowo i przez koalicye z tem stronnictwem, które oświadczało się gotowem popierać jej dążenia. Koalicye tego rodzaju nie zawsze były dobrze obmyślane — dość będzie przypomnieć tę, która obaliła ministerium liberalne Gladstone'a — tak samo jak obstrukcyonizm, który był taktyką irlandzkiego stronnictwa w parlamencie, był środkiem wcale nie politycznym; ale koniec końcem przedstawiciele Irlandyi zdołali w ostatniem dziesięcioleciu postawić swoją narodową sprawę na pierwszym planie, przekonać opinię Anglii, że dopóki sprawa ta załatwioną nie zostanie, nie będzie w Wielkiej Brytanii wewnętrznego spokoju i ładu. Tym sposobem zmusili mężów stanu, bądź tych, co stali u steru rządu, bądź tych, co kierowali opozycją, do stanowczej decyzji w tym lub owym kierunku.

Niepodobna zaprzeczyć, że polityka, przeprowadzona logicznie i wytrwale przez Ligę narodową, odniosła już rezultaty dodatnie. Gorący i niezachwiany patryotyzm irlandzki jest przewodnią gwiazdą na tej drodze, trudnościami najeżonej. Ale jakże przedziwnych, jakże pierwszorzędnych ludzi posiada sprawa irlandzka! W wieku zeszłym miała ona Henryka Grattana, któremu udało się osiągnąć ważne reformy, w obecnym O'Connella, który zdołał przeprowadzić emancypację katolików; dziś śmiało w tym samym rządzie postawić można Parnella.

Najlepszy dowód politycznego geniuszu, jaki złożył p. Gladstone, leży w tem słusznem ocenieniu potrzeb i aspiracyi irlandzkich, oraz w ocenieniu ludzi i środków materialnych, którymi sprawa ta posługiwać się może. Jemu też przypadło w udziale przygotować — a kto wie, czy nie dokonać — ostatecznego załatwienia kwestyi irlandzkiej, gdyż on pierwszy miał odwagę spoj-

rzec na nią bezstronnie, z wysoka, z istotną chęcią wymazania historycznej niesprawiedliwości i pogodzenia Irlandyi z Anglią.

IV.

Gdy w styczniu 1886 roku p. Gladstone objął na nowo ster rządu, nie istniała najmniejsza wątpliwość co do idei i zasad, które jego polityce względem Irlandyi przewodniczyć miały. Z jednej strony, dość było sobie przypomnieć całą jego przeszłość: w r. 1868 *disestablishment* kościoła anglikańskiego i ostateczne wyswobodzenie katolicyzmu, w roku 1870 pierwsze próby rozwiązania kwestyi włościańsko-gruntowej wśród opinii całkiem do tego nieprzygotowanej, i w 1881 jego *Land Bill*, mający na celu wytworzenie drobnej własności. O tej ostatniej stronie jego działalności znajdują czytelnicy szczegóły niżej, gdy im przedstawimy kwestyę gruntową w jej organicznej całości.

Z drugiej strony, otrzymawszy ster rządu dzięki głosom 86-ciu członków irlandzkich parlamentu, pierwszy minister zapisał na swoim sztandarze urzeczywistnienie ich narodowego programu. Nadzwyczajna popularność wielkiego męża stanu, tego *Grand old Man*, jak go serdecznie lud trzech królestw nazywa, wspomnienie wielkich reform liberalnych, których był dokonał, ten duch właściwy mu religijno-apostolski, poszanowanie dla korony, dla staro-tradycyjalnych instytucyi krajowych, patriotyzm niepodważanej czystości, wymowa przekonywająca, której oprzeć się trudno, doświadczenie parlamentarne i taktyka umiejętna, niepomijająca żadnych użytecznych środków: oto czynniki, które Gladstone przynosił z sobą i rzucił na szalę losów irlandzkich.

Nowość położenia na tem polegała, że nie uląkł się odpowiedzialności, że pogardził półśrodkami, mizerną łataniną, i że mając przed sobą jasno postawiony cel, nie przestraszył się żadnymi następstwami swego radykalnego programu. Wrażenie, jakie wywołało to śmiałe przerzucenie się sędziwego męża stanu do krańcowego stronnictwa, wrażenie to było potężne, zdumiewające; i jeżeli z jednej strony niezadowolenie dworu, zjadliwe przekąsy arystokracji, pociski namiętne prasy zachowawczej, to

z drugiej towarzyszyło mu gorące, namiętne poparcie klas ludowych i całego stronnictwa postępowego. Przeciwnicy i stronnicy czuli, że Wielka Brytania znajduje się na rozdrożu i że stanowcza godzina decyzji wybiła, która jej w tę lub inną stronę iść nakaze.

Trzy miesiące z górą upłynęło od utworzenia gabinetu a przedłożenia parlamentowi bilów irlandzkich. Uwaga całej Europy, gorączkowe drganie pulsu narodowego zaznaczało tę epokę wyczekiwania. Wiedzano już, że, dla przeprowadzenia systematycznego i logicznego swojego planu, Gladstone nie zatrzymał się przed zerwaniem związków z głowami swego własnego stronnictwa. Z kolei odstąpił go i p. Goschen, ekonomista i finansowa powaga pierwszej klasy—i p. Traveleyan, wytrawny polityk niezaprzeczonego liberalizmu, i margrabia Hartington, przedstawiciel potężnego książęcego domu Devonshire, szef arystokracji liberalnej i dawniejszy przywódca partii whigów, i наконец nawet p. Józef Chamberlain, słynny z demokratycznych aspiracji przywódca radykalnego stronnictwa w parlamencie. Odstępstwa te, dopełnione wśród ironicznych wykrzyków stronnictwa zachowawczego, z góry już udowadniały, że programat p. Gladstone'a musi być przestraszający. Coraz bardziej stawał on osamotniony, a wzburzony fanatyzm przeciwników nie przestawał porównywać tego 76-letniego starca do szatana, co z mefistofelesowską przewrotnością urągał tej opinii i sumieniu narodowemu i pchał ojczyznę w bezdenną przepaść. Ani bil reformy lorda Johna Russela, ani bil zbożowy sir Roberta Peela, ani żadna z dawniejszych reform Gladstone'a nie wywołała takiego naprężenia narodowego ducha: dwa wrogie stronnictwa stały przeciwko sobie, z góry przygotowane do walki zażartej, nieprzejednanej.

W dniu 8 kwietnia 1886 Gladstone, blady ze wzruszenia, jak róża biała, którą miał zatknąć w dziurce swego tużurka, ale głosem jasnym i donośnym wyluszczył w trzechgodzinnej mowie swój plan samorządu irlandzkiego w izbie gmin, rozciekawionej, ale coraz bardziej osłupiałej, oniemiałej z podziwu i oburzenia, gdy usłyszała nareszcie, do jakich herezyi wzywa ją prezes gabinetu. Pod względem czysto oratorskim mowa Gladstone'a zajmie jedno z pierwszych miejsc w rocznikach parla-

mentarnych; bil o samorządzie irlandzkim, do którego służyła jako propyleje, słusznie otrzymał nazwę *Magny Charty* dla Irlandyi.

Dąży on do całkowitego usamowolnienia tej części korony brytańskiej. Nie tylko, że rozrywa p. Gladstone i niszczy całkowicie akt unii, narzucony w początku stulecia,—nie tylko, że daje Irlandyi swój własny parlament, złożony z dwóch izb — izby gmin, do której wejść mają, obok 103 obecnych posłów irlandzkich, 101 innych, wybranych przez to samo ciało wyborcze, i izby panów, złożonej z 28 obecnych dożywotnich lordów irlandzkich i z 75 wybranych specjalnie,—nie tylko, że czyni ten parlament dubliński samodzielnym, uposażonym w pełną władzę prawodawczą i wykonawczą, ale jednocześnie deputowani i lordowie irlandzcy przestają zasiadać w parlamencie Westminsterskim i nie mają już brać udziału w sprawach, dotyczących wyłącznie Anglii, Walii i Szkocyi.

Związek Irlandyi z Wielką Brytanią nie został jednak zerwany w tym projekcie, i, jako biegły i genialny finansista, p. Gladstone wypracował aż do najdrobniejszych szczegółów materialną zależność Irlandyi. Miała się ona przykładać w $\frac{1}{15}$ części do wydatków monarchii na armię, marynarkę i dyplomację. Chociaż Irlandya posiadać ma wszelką władzę w kwestyi podatkowej, to rząd Wielkiej Brytanii zastrzega dla siebie, jako rękojmię wspólnych wydatków, dochody celne i dochody z akcyzy i, pobierając je, opędzać będzie wspólne wydatki, resztę pozostałą przelewając do skarbu irlandzkiego. Finansowa niezależność Irlandyi nie przynosi tedy żadnego uszczerbku bezpieczeństwa monarchii i podstawom dochodów publicznych.

Rozprawy, jakie się toczyły w Izbie Gmin z powodu bilu Gladstone'a, usamowalniającego Irlandyę, były zażarte. Wszyscy muszą jeszcze mieć w uszach okrzyk bezgranicznego zapалу, jaki się rozległ od jednego krańca Irlandyi do drugiego. W imieniu jej Parnell uroczyście przyjął propozycje rządu, wyraził swe całkowite zadowolenie co do ich zasad i jedynie co do podrzędnych szczegółów zapowiedział poprawki. Po raz pierwszy mąż stanu, przemawiający w imieniu Wielkiej Brytanii, z wysokości swego urzędowego stanowiska, przedstawił plan i program, który Irlandya okazała się gotową przyjąć bez zastrzeżeń,

ze szczerą chęcią znalezienia w nim trwałego *modus vivendi*. Ten parlament krajowy, który po 500-letniem istnieniu i po blisko stuletniem zaćmieniu znowu się miał pojawić jako najwyższy organ prawa i bytu narodowego, był w oczach Irlandyi najwyższym dobrem i aby go otrzymać, zgodziłaby się na wszystkie straty materyalne. Gdy p. Gladstone wykazał, że Anglia w ciągu kilkowiekowej walki używa względem Irlandyi wszelkiej możliwej broni i wszelkiej możliwej taktyki, z wyjątkiem jednej jedynej, a mianowicie sprawiedliwości i słuszności; gdy przypomniał jednozgodne potępienie, wypowiedziane przez wszystkich pisarzy i polityków wszystkich czasów i wszystkich narodowości oraz piętnujące hańbą postępowanie Anglii względem Irlandyi; gdy wykazał ujemne rezultaty, jakie ta dotychczasowa polityka przyniosła: zmniejszenie ludności z 8 do 5 milionów, przerażającą emigracyę, ohydny bilans mordów i występków; gdy dowiódł nakoniec, że to usamowolnienie prawodawcze nie zrywa bynajmniej unii i związku brytańskiego, i że mamy w sąsiedniej Norwegii i Szwecyi, a w ostatniej ćwierci wieku w dualizmie austriacko-węgierskim wymowne i przekonywające przykłady samodzielnosci krajowej, dającej się pogodzić z całością i z jednością organiczną monarchii; gdy argumenty tej siły i tej doniosłości przedstawiane były parlamentowi i torowały sobie drogę wśród opinii krajowej,—można było przypuszczać, że, mimo zaciętej opozycji, kampania Gladstone'a pożądanym zostanie uwieńczona skutkiem.

Ale reforma przedłożona parlamentowi była zbyt radykalną i naruszała zbyt liczne i zbyt potężne interesy materyalne i moralne, ażeby mogła od razu osiągnąć to zwycięstwo. W pierwszym szeregu napotykała dumę angielską, która przywykła traktować irlandzkiego Paddy jako wyrzutka społecznego, jako przedstawiciela rasy podrzędnej, brudnej, biednej, pozbawionej zmysłu *cantu* i *respectability*, dowcipkującej i na wskrós niemożliwej: było coś ubliżającego majestatowi *civis britannicus* traktować Irlandczyków naraz jako równych sobie i swobodnych obywateli. Była dalej cała bezwładna masa polityków żyjących z dnia na dzień, która nie umiała wzniesć się do syntetycznego poglądu na całość kwestyi, którą przerażała nowość i ogrom przedsięwzięcia, która w usamowolnieniu Irlandyi widziała jedy-

nie pierwszy krok do jej rewolucyjnego zerwania węzłów państwowych. Było całe udyscyplinowane, silnie do boju uorganizowane stronnictwo torysów, które z góry oponuje każdej reformie, przedsięwziętej przez swoich współzawodników; stronnictwo to zostało poparte i zyskało nowe żywioły, nową krew w żyłach przez odstępstwa pierwszorzędných osobistości z liberalnego obozu, które nie miały odwagi logicznie i konsekwentnie pójść wraz z Gladstone'm do ostatnich ogniw łańcucha.

Wszystkie te skojarzone żywioły znalazły wspólny grunt i wspólny sztandar do walki z projektami ministeryalnymi. Ogłosili je jako niebezpieczne dla jedności państwowej. P. Chamberlain, ów przywódca radykalizmu angielskiego, pierwszy przypiął tę kokardę bykowi w arenie cyrkowej; w ślad za nim powtarzano ten argument przez długie miesiące. Łatwy do zrozumienia przez masy, co się rządzi nie rozumem, ale uczuciami, stał się zatrutym grotem, utkwionym w samym sercu projektów rządowych. Przedstawiano utworzenie parlamentu w Dublinie, jako zerwanie jedności prawodawczej, a nieobecność posłów irlandzkich w parlamencie Westminsterskim jako wydalenie ich z organizmu Wielkiej Brytanii, i podczas kiedy Gladstone utrzymywał, że prawdziwa jedność opiera się na sympatii, wzajemnym szacunku i solidarności interesów, że do tej jedności jeden tylko wiedzie gościniec — swobody i prawa, — przeciwnicy jego oskarżali go o zamach na całość i potęgę Wielkiej Brytanii, widzieli w nim narzędzie bezwiedne rewolucyjnych celów i ukazywali przerażonemu krajowi nieustanne zatargi, bunt i wojnę domową, paraliżującą wszystkie siły narodowe. Było widoczną, dotykającą przesadą, fałszowaniem projektów Gladstone'a przedstawiać jako rozrywający jedność monarchii systemat polityczny, który zatrzymywał Wielką Brytanię i Irlandyę pod zwierzchnią władzą wspólnej korony, który zachowywał jedną armię, jedną flotę, jeden sztandar narodowy, jedną politykę zagraniczną, jeden system monetarny, jedno cło, jedno ustawy w handlu, żegludze, patentach, jeden niezmienny organizm praw zasadniczych. Ale, mimo tego, argument przeciwny, przedstawiony w tysiącnych formach i postaciach, powoli torował sobie drogę wśród mas narodowych—i jeżeli klasa robotnicza i wyrobnicza, świeżo powołana przez Gladstone'a do udziału w spra-

wach publicznych, stawiała gorąco po jego stronie, sądząc uczuciem, powodując się uczuciem wrodzonym słuszności i nie wdając się w kazuistykę prawną, to zato mieszczaństwo, klasy średnie, które są w Anglii na wskrós zachowawcze i obracają się mimowiednie w promieniu zakreślonym im przez arystokratyczne warstwy towarzystwa, przedmiot ich czci i hołdu, cała ta inteligencja krajowa, która nie oswoiła się z planami Gladstone'a, która niespodzianie postawiona była przed problematem zawikłanym, niby nad bezdenną przepaścią, cała ta masa, stanowiąca rdzeń i jądro narodu angielskiego, była wahającą się, niepewną, wykołowaną i widocznie wzdragała się wykonać to *salto mortale*, do którego Gladstone ją wzywał.

Pomiędzy pierwszym odczytaniem bilu, które jest podług parlamentarnej tradycyi tylko czystą formalnością, a drugim, które jest stanowczem, Gladstone przedłożył izbie gmin drugi bil irlandzki—o uwłaszczeniu włościan. Bil ten, dokonywający olbrzymiej reformy ekonomicznej i społecznej, był w oczach angielskiego męża stanu dopełnieniem politycznej i administracyjnej reformy, sformułowanej przedtem, i dlatego stanowiły obie jedną organiczną całość, dlatego chciał przeprowadzić obie jednocześnie, lub runąć pod ich gruzami. Będziemy mieli sposobność przypatrzeć się bliżej projektowi Gladstone'a, tyczącemu się uwłaszczenia i kwestyi gruntowej. W kraju naszym, gdzie sprawa ta tak długo stała na porządku dziennym i gdzie wszystkie jej przejściowe fazy mamy w żywej pamięci, zasada wykupienia gruntów włościańskich przez rząd, stopniowe umorzenie długu i t. p.—wszystko to są oklepanki, które nie dziwią nikogo, które są rzeczą naturalną, jasną, praktyczną, jedynie możliwą. Inaczej jednak rzecz ta miała się w Anglii, gdzie cała ziemia znajduje się w rękach arystokracji, gdzie operacja wykupu i uwłaszczenia znalazła społeczeństwo nieprzygotowane do niej, nieoswojone, i gdzie rozmaite krzyżujące się interesy spotkały się z sobą szorstko, gwałtownie. Arystokracja gruntowa nie mogła się oswoić z myślą, że przestanie być władczynią gruntów, które wydzierzawiała dotąd, gdy jej się to podobało, i na warunkach, które jej stawiać podobało; arystokracja gruntowa angielska nie mogła przed sobą zataić, że i ją ten sam los spotkać nie omieszką. Tracąc posiadanie i własność ziemi, pozby-

wała się najważniejszej podstawy swej społecznej hegemonii i wpływ jej stanowczy na klasy niższe narodu wymykał się od razu z jej ręki. Z drugiej strony, radykalizm głośno zaprzeczał prawa arystokracji gruntowej do jakiejkolwiek indemnizacji i twierdził, że nie jest bynajmniej obowiązkiem innych warstw społeczeństwa z bogacić ją olbrzymim kapitałem likwidacyjnym. Inne nakoniec stronnictwo, finansistów praktycznych, stało przerażone przed ogromem milionów, których ta operacja wymagała, widziało w niej materyalną ruinę Wielkiej Brytanii, wskazywało złą wolę Irlandyi, jej ubóstwo, i przewidywało, że Anglii przyjdzie z własnej szkatuły zapłacić te setki milionów indemnizacyjnych.

Bil Gladstone'a o wykupie gruntów wywołał prawdziwą burzę, namiętą opozycję, a nawet najzarliwsi stronnicy gabinetu, zaskoczeni gradem pocisków i zarzutów, niedostatecznie wtajemniczeni w mechanizm tej operacji, powierzchownie tylko przekonani o jego praktyczności, bronili go nie dość energicznie i bez zapału. Na próżno biegły sternik, zaskoczony burzą, starał się łódź swoją na spokojniejsze wprowadzić wody, na próżno zapowiadał ustępstwa i żądał jedynie przyjęcia i uświęcenia zasady,—nie był już w stanie zapanować nad rozjuszonymi żywiołami. Widocznem było, że bil gruntowy nie będzie mógł przejść przez mieliznę parlamentarną i że ważna ta reforma do dalszych jeszcze czasów odłożoną zostanie.

Nie było jednak potrzeby poddawać go tej ogniowej próbie. Gdy izba gmin zawezwaną została do wydania sądu o politycznym bilu irlandzkim, i gdy w nocy z 7 na 8 maja 1886 r. przystąpiła w zwartych szeregach do głosowania, za projektami rządowymi stanęło 311, przeciwko nim 341 głosów. Większością 30 głosów cała kwestya usamowolnienia Irlandyi została odrzuconą i potępioną.

Była to chwila wysokiej doniosłości historycznej i wśród złowieszczego krzyku zrozpaczonych Irlandczyków, co spadali z podniebnych wyżyn edenu do piekielnych czeluści, wśród namiętnego wrzasku tryumfu, wydanego przez stronnictwo zachowawcze, wśród osłupienia odstępców liberalnego obozu, którzy przesilenie to wywołali, wśród tego chaotycznego zgłębku, co jest następstwem wielkich parlamentarnych potyczek, wszystkie

spojrzenia zwracały się do męża stanu, do szermierza, co tę walkę wywołał i w której zawiodła go liczebna siła hufców, i pytały go o plan dnia następnego.

Bez chwili wahania, silnie przeświadczony o prawdzie i słuszności sprawy, której się stał orędownikiem, ożywiony nadzieją, że kraj w swej większości stoi po jego stronie i że nie zawiedzie jego oczekiwań, Gladstone rozwiązał parlament i od jego przedstawicieli odwołał się do samego narodu. Nowe wybory odbyły się po krótkiej ale pełnej życia kampanii wyborczej. Sam Gladstone wyteżył w niej wszystkie siły i w tryumfalnym pochodzie przez Anglię i Szkocję, w mowach bez liku, wypowiadanych w wielkich salach meetingów, na balkonach hotelów, w drzwiach wagonów drogi żelaznej, w dzień i w nocy, przemawiał on do rozumu, odwoływał się do sumienia mas. Nigdy sprawa święta nie miała bardziej natchnionego apostoła. Bile zginęły w wotum parlamentu—powtarzać nie przestawał,—ale kwestya żyje i w tej lub owej formie rozwiązana być musi. Manifest wyborczy Gladstone'a, który postawił przed krajem nieodwołalny dylemat: albo rządzenie Irlandyą przez prawa wyjątkowe, przez gwałt i stan normalny oblężenia, albo też usamowolnienie jej, — manifest, w którym dla swego stronnictwa windykował charakter prawdziwych unionistów, a przeciwników swoich piętnował nazwą unionistów tylko na papierze, nie zostawiał żadnej wątpliwości, żadnego innego wyjścia, jak oświadczyć się otwarcie za emancypacją Irlandyi, albo przeciw takowej. Opozycja przeciwko polityce liberalnej Gladstone'a przybrała w czasie okresu wyborczego charakter prawdziwej krucjaty. Szło o zwalczenie szatana, o wyrwanie Wielkiej Brytanii ze szponów chciwego władzy a zdzieciniałego starca. Liga pierwszku, utworzona dla uczczenia pamięci lorda Beaconsfielda, w której agitacyi wszystkie klasy społeczeństwa pod przewodnictwem dam z arystokratycznego towarzystwa brały nieustrudzony udział, podnosiła i fanatyzowała starą tradycyjalną Anglię; jako typowy rys charakteru tych wyborów pozostanie w parlamentarnych dziejach Wielkiej Brytanii odezwa lorda Randolpha Churchilla do swoich wyborców w Paddingtonie: jest to ostatnie słowo bezczelności i roznamiętnienia. Gdy się stronnictwo polityczne do takich środków walki ucieka, jedyne

usprawiedliwienie daje im faktyczne zwycięstwo: wobec tryumfu—te ohydne środki, jakimi okupiony został, schodzą na plan podrzędny.

A tryumf tu otrzymało istotnie stronnictwo zachowawcze. Chociaż liczebnie polityka emancypacyjna Gladstone'a zyskała 1,338,716 głosów, a polityka represyi i praw wyjątkowych 1,416,472, to przez rozdział i układ okręgów wyborczych stronnictwo liberalne whigów znalazło się w mniejszości blisko stu głosów. Wprawdzie odstępcy liberalni, jak Traveleyan i Goschen, zostali odrzuceni przez wyborców, ale lord Hartington, Chamberlain i sześćdziesięciu pseudo-liberalnych deputowanych podało rękę przywódcom stronnictwa zachowawczego, i Gladstone pośpieszył oddać w ich ręce ster rządu.

Nie można zaprzeczyć, że z chwilą, gdy lord Salisbury i stronnictwo torysów przyszło do władzy i gdy nie kto inny jak lord Randolph Churchill jest przedstawicielem rządu w izbie gmin, nie można zaprzeczyć, że sprawa irlandzka weszła w nową fazę i że się nowy jej akt rozpoczął. Ale byłoby błędem przypuszczać, że kwestya usamowolnienia całkowicie pogrzebaną, albo nawet na długo odroczoną została. Raz jasno sformułowana i w typowym swem przeciwieństwie przedstawiona krajowi, nie mogła już ona być usuniętą z porządku dziennego. Wprawdzie wybory Wielkiej Brytanii nie dały leaderowi stronnictwa liberalnego upoważnienia do przeprowadzenia tych dwóch radykalnych reform, które mu się niezbędnymi zdawały, ale nie wynika z tego wahania i tego wstrętu do polityki emancypacyjnej, ażeby Anglia i Szkocya chciały się zaprzędz do rydwanu gwałtu i ciemństwa. Czasy tyranii minęły już bezpowrotnie i niema stronnictwa w swobodnej Wielkiej Brytanii, któreby poważyło się zapisać je na swoim sztandarze. Gabinet lorda Salisbury mniej miał być oddalony od polityki Gladstone'a, aniżeli to w gwałtownej polemice epoki wyborczej przypuścić się dawało. Nie tylko, że nowy prezes gabinetu wyparł się tego niebacznego słowa, które mu się wymknęło jako przewodnikowi opozycji, mianowicie, że po 20-letnim okresie represyi i praw wyjątkowych Irlandya będzie okiełznaną i z wdzięcznością przyjmie wszelkie, choćby najdrobniejsze ustępstwa, nie tylko, że o tych prawach wyjątkowych mowy nie było nazajutrz po try-

umfálnem objęciu rządów, ale w nowo zebranym parlamencie oświadczyli ministrowie, że przygotowują dla Irlandyi cały szereg reform organicznych, a między innemi zamierzają oddać w ręce władz miejscowych i mieszkańców niektóre ważne gałęzie administracyi, jak n. p. roboty publiczne. Nie zdawało się to nieprawdopodobnem, szczególnie gdy się przypomniało, że za dawniejszych swoich rządów ten sam lord Salisbury rozpoczął był rokowanie z Irlandczykami i ich dowódcą Parnellem za pośrednictwem członka swego gabinetu lorda Carnarvona, a zatem że idea prawodawczego i administracyjnego usamowolnienia Irlandyi nawet jemu w danych okolicznościach nie wydawała się niepodobną,—to nabierzemy przekonania, że sprawa ta jest o wiele dojrzałą, aniżeli się to na pierwszy rzut oka zdawać może. Duch stronnicy i parlamentarna huśtawka odebrały cały wprowadzie ster jej Gladstone'owi; jest to zwłoka faktyczną i niesprawiedliwością moralną, ale normalny bieg wypadków nie wykolei się przeto. Słowa, jakie nieoceniony pomocnik Gladstone'a, minister irlandzki w jego gabinecie, wielki mówca i najznakomitszy współczesny publicysta angielski, John Morley, wypowiedział w parlamencie: „jeżeli nie my sami, to wy wykonacie nasz programat,” słowa te zdawały się zapowiadać ustępstwa dla Irlandczyków, uczynione nawet przez gabinet torysów. Zanim opowiemy dalsze dzieje tego historycznego targu, trzeba nam jednak wziąć na uwagę kwestyę gruntową.

V.

Od załatwienia kwestyi gruntowej zależy przyszłość Irlandyi. Słusznie powiedziano po sto razy, że w niej leży środek do ostatecznego uspokojenia Irlandyi i że kwestya samorządu politycznego okaże się drobiazgiem, gdy uprzednio sprawa gruntowa rozwiązana będzie stosownie do potrzeb i wymagań Irlandczyków. Trudności są tem większe, że obok zadawnionej niesprawiedliwości historycznej, niesłusznie obarczającej dzisiejsze pokolenia, znajdują się w grze powikłane, krzyżujące się interesy ekonomiczne.

Kwestya gruntowa zrodziła się w Irlandyi jeszcze za czasów Cromwella. Jak czytelnicy wiedzą, cztery prowincye ir-

landzkie—Munster, Leinster, Ulster i Connaught—zostały w roku 1659 wywłaszczone. Cromwell wypędził katolików z trzech pierwszych prowincji i spędził ich do czwartej, do Connaught, zostawiając jedynie jedną trzecią część ziemi w ich posiadaniu. Żołdactwo i faworyci otrzymali całą powierzchnię Irlandyi. Nigdy gwałt większy i bezprawie większe nie zostało popełnione, i wspomnienie tej „*transplantation*” będzie hańbą swoją ciążyło na sumieniu zwycięzców. Kilka tysięcy rodzin cudzoziemskich otrzymało monopol posiadania gruntu na własność, a cały naród, wszyscy mieszkańcy Irlandyi zostali skazani na wiekowe poddaństwo. W sto lat z górą po tym gwałtownym zaborze, w roku 1782, dozwolono wprawdzie katolikom irlandzkim nabywać ziemię, ale, jak wiemy, materyalne ich położenie było takie, że z upoważnienia tego w maluczkim zaledwie stosunku korzystać mogli. Pomimo wszystkich reform prawodawczych i ekonomicznych, które od ostatnich stu lat zaprowadzone zostały w Irlandyi, obecnie jeszcze stan rzeczy pozostał niezmienny w swych głównych zarysach: z jednej strony wielkie posiadłości ziemskie ześrodkowane w ręku arystokracji angielskiej, z drugiej czarna, nieprzejrzana masa czynszowników i proletaryatu rolniczego, Irlandczycy z krwi i ducha: dwa obozy nieprzyjazne sobie, nieufające sobie wzajemnie i gotowe uciec się do gwałtu, aby swą politykę przeprowadzić.

Irlandya obejmuje 20,047,572 akrów. Są one własnością 19,288 właścicieli ziemskich i roczny ich dochód obliczony być może od 11 do 13 milionów funtów szterlingów. Ta liczba właścicieli nie powinna swoją doniosłością wprowadzać w błąd czytelnika, gdyż połowa całej przestrzeni znajduje się w ręku 742 właścicieli ziemskich, a zatem druga połowa, to jest 10 milionów akrów, rozpada się na 18,000 mniejszych właścicieli. Na gruntach, należących do tych kilkuset wielkich terytoryalnych posiadaczy, znajduje się 585,000 czynszowników, czyli cztery miliony mieszkańców. Przeciętnie wypada na każdego z wielkich właścicieli 788 czynszowników, a pomiędzy nimi jest 236,000 nieposiadających więcej jak jeden do piętnastu akrów gruntu. Trzeba znać z blizka, trzeba się przypatrzeć własnymi oczami stosunkom materyalnemu czynszownika irlandzkiego, posiadają-

cego to minimum gruntu, ażeby zrozumieć straszne i wołające o pomstę położenie rolniczego proletaryatu irlandzkiego. Wszystkie teorie ekonomistów o wysokości zarobku, zależącego od minimum środków utrzymania, są tutaj pociesznym optymizmem, gdyż ludność wieśniacza irlandzka żyje, chociaż warunków materialnego istnienia nie posiada, i nie tylko żyje, ale się rozmnaża. Cud ten sprawiły ziemniaki. Przed ich wprowadzeniem było w Irlandyi, podług obliczeń Artura Younga, w r. 1776 zaledwie 3,000,000 mieszkańców; w 1845 roku liczba ich wzrosła do 8,295,000. Gdy ziemniaki się urodzą, zagrodnik irlandzki i jego świnia, z którą żyje na jednym i tym samym barłogu, nie skarżą się na niebo i na Anglików; ale gdy wygniją, albo gdy je przetrzebi zaraza, wtedy nędza proletaryatu rolniczego przybiera wymiary przerażające. Nieurodzaj ziemniaków jest tem do zrozumienia łatwiejszy, że rolnictwo drobne jest w Irlandyi w stanie niemowlęctwa. Ależ im się nie marzy o płodozmianie, o sztucznych nawozach, o irygacyi; nawet ugór uważany jest za stratę natychmiastową; w niektórych prowincjach po dwanaście lat z rzędu po ziemniakach sadzą ziemniaki: wycieńczona ziemia odmawia plonu i lata najstraszniejszej nędzy następują w peryodycznych odstępach. Wówczas nie dawno powiększona ludność Irlandyi znowu się zmniejsza. I tak w epoce pomiędzy r. 1851 a 1877 z 8,305,061 zeszła ona do 5,838,906. Nigdzie i nigdy równych podwyższeń i równych upadków spotkać nie można. Półtrzecia miliona wywędrowało za morza, szukając chleba, z którego ich w ojczyźnie wyzuł najeźdnik; reszta wymarła z głodu. W niektórych latach, jak n. p. w 1847 roku—734,000 osobników utrzymywanych było jałmużnami publicznymi. Około 100,000 Irlandczyków corocznie przybywa do Anglii szukać środków utrzymania. Brak wszelkiego przemysłu fabrycznego, z wyjątkiem lnianego, skazuje ludność ubogą do pracy rolnej niewdzięcznej i bezpłodnej.

Wtedy, kiedy czynszownik irlandzki kołace się z losem, i pędząc życie mizerne, zwierzące, w chacie własnymi rękami z gliny ulepionej, zaledwie zdobyć się może na opłacenie czynszu po 12 do 15 szylingów z akra gruntu, w sąsiedztwie jego ścielą się bujne i zielone łąny, rozległe parki wielkich panów i wznoszą się wspaniałe ich zamki i pałace. Ta różnica w po-

łożeniu materyalnem tem bardziej jest kolcem w oku biednych rolników irlandzkich, że ten dziedzic, któremu czynsz płacić są obowiązani, jest Anglikiem, wiekowym wrogiem, zazwyczaj innej religii, i że widzą w nim spadkobiercę łupiecy: niema przedawnienia dla pokrzywdzonych rodów. Przebaczonoby mu może jednak ten grzech pierworodny, gdyby zamieszkiwał w swych dobrach, gdyby gospodarował sam i zbliżył się wskutek tego, zapoznał ze swymi czynszownikami. Łatwoby mu było wtedy ocenić ich położenie, wejść w ich potrzeby, zachęcić do bardziej postępowego gospodarstwa, ulżyć ich ciężarom w latach nieurodaju, zawiązać węzeł moralny pomiędzy zamkiem a wieśniaczą strzechą. Ale, z małym bardzo wyjątkiem, arystokracja angielska nie zamieszkuje w swoich irlandzkich posiadłościach i nie stara się bynajmniej zbliżyć do ludu miejscowego. Są panowie, jak n. p. margrabia Clanricarde, co nigdy, nawet z ciekawości, do dóbr swych nie zajrzeli. Mają na miejscu pełnomocnika, rządcę, działającego w ich imieniu i zobowiązanego do zbierania rat czynszowych. Ten rządca—*driver* w wyrazistym języku miejscowym—nie troszczy się o nic innego, jak o zebranie raty, i ani ustępstw, ani filantropijnej polityki nie można się odeń spodziewać. Podwyższać ratę czynszową przy najmniejszym śladzie dobrobytu czynszownika, a wyrzucić go przy nieuiszczeniu się na termin: oto alfa i omega taktyki ludzi, co prowadzili administrację wielkich posiadłości. Przyłożyli się oni do rozjątrzenia stosunków wzajemnych. Owocem tego położenia było utworzenie przez patryotów irlandzkich ligi gruntowej—*Land League*.

Liga gruntowa—oto organizm, w którym się skupiły wszystkie dezyderaty ekonomiczne społeczeństwa irlandzkiego, i ktokolwiek będzie chciał szczegółowo zbadać stosunki tamtejsze, będzie musiał iść krok w krok za rozwojem i działaniem tego potężnego stowarzyszenia. Co do nas, ograniczymy się do wzmianki, że, postawiwszy sobie jako cel uwłaszczenie czynszowników irlandzkich, liga gruntowa nie zaniedbała żadnego środka agitacji legalnej, ażeby celu tego dopiąć, i nie ulękła się uciec do gwałtu, gdy legalne środki nie doprowadzały do pożądanego celu. Liczba członków ligi w przybliżeniu obliczona być może na 60,000; posiada ona przeciętnie kapitał zakładowy 30,000 fun-

tów szterlingów i nigdy nie braknie jej funduszów do prowadzenia propagandy energicznej; policya angielska podejrzewa ją, że ma w swem posiadaniu składy broni i amunicyi, aby w danej chwili powołać kraj do wybuchu rewolucyjnego. Jeżeli oskarżenie to jest faktycznym błędem, to nie da się zaprzeczyć, że liga ma potrzebną do tego siłę moralną. Wszyscy czynszownicy wiedzą, że mają w niej naturalnego opiekuna i że w walce z właścicielem gruntu znajdą stowarzyszenie po swojej stronie. Gdy liga uzna, że czynsz jest za wysoki, uwalnia czynszownika od płacenia takowego mocą samowolnego mandatu, który jest bez apelacyi. Gdy czynszownicy zaprzestają płacić czynsz i jeżeli wielki właściciel nie zgadza się na ustępstwa, wtedy ma prawo wypędzić—i te rugi, indywidualne lub gromadne, pociągają za sobą egzekucye karne ze strony ligi. Pomiedzy wypędzonym czynszownikiem a właścicielem gruntu powstają zazwyczaj procesy, gdyż wypędzeni domagają się zwrotu kosztów, wyłożonych na polepszenie gospodarstwa. Choćby nawet nie było najmniejszego pozoru słuszności po stronie czynszownika, liga podtrzymuje go w postępowaniu sądowem, siejąc wszędzie ziarno nienawiści. Gdy ostatecznie wielki posiadacz gruntowy siłą zbrojną wyrzuci opornego czynszownika i sprzeda z publicznego targu jego trzodę i chudobę, wtedy zemsta ligi dosięga go w formie *boycottowania*. Wyraz ten oznacza odgrodzenie wielkiego posiadacza i jego pomocników od wszelkiej styczności z ludnością. Źródło swe bierze od p. Boycott, który jako rządca dóbr lorda Erne, wywołał przeciwko sobie nienawiść czynszowników. Taka kwarantanna jest straszną w swych wyrokach, nieubłaganą w ich wykonaniu i dość wspomnieć na morderstwo lorda Mountmorres, ażeby zrozumieć, że ten terroryzm nie zatrzymuje się przed skrytobójstwem, mordem i pożogą. Wszystkie środki represyjne, do jakich się rząd angielski uciekać był zmuszony, rozbijały się zawsze o czynny liczny udział całego narodu irlandzkiego w tej walce o posiadanie ziemi.

Gdyby problemat nie był skomplikowany, zapewne rząd angielski od dawna byłby się poczuł do obowiązku przedsięwzięcia uwłaszczenia drogą państwową, tak jak to uczyniły mocarstwa kontynentalne. Ale oligarchia brytyjska nie mogła i do dziś dnia nie może się pogodzić z tą myślą, i wołała z je-

dney strony uciekać się do represyi, a z drugiej posługiwać się półśrodkami. I tak gabinet liberalny lorda Johna Russella przedstawił w roku 1848 bil, pozwalający sprzedawać obdłużone dobra ziemskie — *encumberend estates*, i istotnie trybunały, ustanowione *ad hoc*, sprzedady w ciągu trzech lat następnych 11,024 dóbr ziemskich, wartujących 23,161,093 funtów szterlingów. Operacya ta polepszyła wprawdzie położenie wielkich właścicieli, którzy się dóbr niekorzystnych pozbyli, ale mała zaledwie liczba czynszowników przyjąć mogła do nabycia własności.

Pierwszy krok stanowczy na drodze, wiodącej do uwłaszczenia włościan irlandzkich, uczynił Gladstone w roku 1870, przedstawiając parlamentowi swój słynny *Land Act*. Stał się on dla niego podstawą reform, które w szesnaście lat później w ostatecznej skryształizował formie. Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na ten punkt, że już wówczas wielki reformator angielski przestał uważać czynszowników irlandzkich, osiadłych od wielu pokoleń na tej samej skibie i płacących z niej daninę, jako przybłędów, których lada kaprys właściciela gruntów mógł wydalic bez żadnego wynagrodzenia. Przeciwnie, owo *tenant's right*, prawo czynszowników do dzierżawionej ziemi, które istniało legalnie tylko w jednej prowincyi Ulster, rozszerzone zostało do trzech innych. Od czasu, gdy *Land Act* stał się obowiązującym, czynszownik mógł sprzedawać swoje *tenant's right*, jeżeli znajdował nabywcę na korzystnych dla siebie warunkach. Wielki właściciel gruntowy zostawał jednocześnie obowiązany do uiszczenia wynagrodzenia, gdy wydalał bez legalnego powodu czynszownika z zajmowanego przezeń folwarku. Ta kompensata — *compensation for disturbance*, — dodana do sprzedaży *tenant's right*, została uznana naturalnie przez czynszowników jako sankcyja legalna ich współwłasności. Ustanowione zostały także komisye lokalne do szacowania ulepszeń, poczynionych na gruncie przez czynszowników i za które właściciel przy zerwaniu kontraktu czynszowego wynagradzać ich musiał.

Reforma ta, przedsięwzięta w duchu postępowym, wywołała w zachowawczych kołach społeczeństwa angielskiego okrzyk oburzenia i uznano, że wartość wielkich posiadłości ziemskich w Irlandyi wskutek niej zmniejszyła się o 20%. Chociaż twierdzenie to było przesadzone, to trzeba przyznać, że nieprzyjaciele

małej ziemskiej własności nie bez powodu złorzeczyli tej ustawie. W siedem lat po wprowadzeniu jej w życie, liczba małych ferm, nie przenoszących 5 akrów, a zatem skazujących czynszownika na nędzę, zeszała z 218,000 do 66,359: postęp nadzwyczajny, nieprawdopodobny nieledwie. Jeżeli nawet niektórzy lordowie, wypędzając czynszowników drobnych, zamienili ich grunta w pastwiska, albo przyłączyli do swych parków, to drudzy z kilku małych działów utworzyli większy i przyłożyli się w ten sposób do częściowego rozwiązania problemu rolniczego.

Stronnictwo liberalne, które przyklaskiwało reformie, przedsięwziętej przez Gladstone'a, oczekiwało od niej uspokojenia agitacji gruntowej. Wiemy, że było to niepodobieństwem, gdyż wymagania rolnicze Irlandczyków były daleko szersze. Ale nawet te, których się można było spodziewać, nie urzeczywistniły się z klimatologicznych powodów. Trzy lata jedno po drugim 1877, 78 i 79 były latami strasznego nieurodaju, i czynszownicy zrujnowani zaprzestali płacić rat nie dawno podwyższonych. Oba stronnictwa, właściciele angielscy i proletaryat rolniczy irlandzki stali w roku 1879 znowu równie nienawistnie jedni przeciw drugim, jak przed rozpoczęciem reform. Liga gruntowa nie wzywała jeszcze wówczas otwarcie czynszowników do nieplacenia czynszu, ale podtrzymywała żywą agitację, znaną pod nazwą *potrójnego F*. To kabalistyczne hasło znaczyło po prostu *fixity of tenure, fair rents i free sale*, i przez skrócenie te trzy dezyderaty czynszowników nazwane zostały *potrójnem f*. Trwałość i długoletniość kontraktu dzierżawnego, czynsz sprawiedliwie obliczony i swobodna sprzedaż swych dzierżawionych folwarków: oto czego domagali się coraz żywiej rolnicy irlandzcy. Gladstone nie mógł być przeciwnikiem tych roszczeń, które się zawierały już prawie całkowicie w jego dawniejszym bilu, i był logicznym, przedstawiając w roku 1879 parlamentowi nowy bil, pod nazwą *compensation for disturbance*. Mocą tej ustawy właściciel gruntowy nie miał prawa wypędzać w latach nieurodaju i głodu biednych, drobnych czynszowników, których należność dzierżawna nie przenosiła 30 funtów szterlingów, i nie miał prawa wypędzić ich, jeżeli mu czynili oferty, uznane przez komisye sądowe jako możliwe. Izba gmin przyjęła ten bil od razu, ale izba lordów odrzuciła go i zawotowała go dopiero w dwa lata

później, w roku 1881, gdy doprowadzona do rozpaczcy ludność irlandzka uciekała się do grozy terroryzmu, mordując i bojkotując swych nieubłaganych przeciwników. Ten bil 1881 roku jest usankcyonowaniem *trzech f*, gdyż upoważniał czynszowników do odstępowania swych gruntów, nadawał trybunałom rozjemczym prawo szacowania wysokości rat czynszowych i zapewniał przez lat piętnaście czynszownikom tę samą wysokość czynszu. Wielka własność, która się żaliła, że w roku 1870 straciła 20% na wartości, uczuła się teraz śmiertelnie dotknięta i oszacowała nową klęskę, jaka ją dotknęła w 1881 roku, na 25%. Widocznem było, że ten stan rzeczy nie mógł trwać niezmiennie. Czynszownicy, mimo ulepszeń, posłuszni wezwaniom ligi gruntowej, wzywającej ich do oporu, nie dążyli do niczego innego, jak do zupełnego zaniechania raty czynszowej; wielcy właściciele mieli także niezaprzeczone prawo uważać się za pokrzywdzonych. Nie dotrzymywali czynszownicy przyjętych zobowiązań, nie płacili rat nawet zmniejszonych, nawet najślusznieszych, a gdy właściciele uciekali się do opieki władz krajowych, wywoływali dzikie prześladowania i nie byli pewni ani swego mienia, ani swego życia. Irlandya stała się prawdziwem piekłem. Obwiniano się wzajemnie, nienawiść dochodziła do paroksyzmu wściekłości, ale pracodawca angielski wciąż jeszcze uważał uwłaszczenie jako niemożliwe.

Odważny krok ten, jak się spodziewać było można, został nareszcie dokonany przez Gladstone'a. Widzieliśmy, jak od lat kilkunastu stopniowo starał się on polepszyć położenie włościan irlandzkich, a myśl zrobienia z nich właścicieli dzierżawionych dotąd gruntów, myśl utworzenia demokracji rolniczej, o niezależnym bycie, w łonie społeczeństwa, które ostatecznie postanowił oswobodzić z ciemniństwa i prześladowań zaborców, musiała naturalnie nasunąć się wielkiemu mężowi stanu. Nigdy jaśniejszy plan w logiczniejszą nie ubrał się formę! Wiadomo jest, że Gladstone jest najznakomitszym finansistą Wielkiej Brytanii i istotnie materyalna strona projektu nosi na sobie cechę jego niezrównanego pod tym względem talentu. Gdy się odczytuje obecnie motywa bilu uwłaszczenia takie, jakie przedstawił parlamentowi w pamiętnym dniu 16 kwietnia 1886 roku, nie można się wstrzymać od podziwu, od oddania hołdu geniuszowi wiel-

kiego męża stanu. Trzeba było całej zaciętości, jaką pałają ku sobie stronnictwa polityczne, i tej nienawiści ciasnej, egoistycznej, aż do obrzydzenia wstrętnej, aby zrozumieć, że opozycja przeciwko projektowi uwłaszczenia wyszła właśnie z obozu zachowawczego, z pośród wielkich posiadaczy gruntowych, z pomiędzy tych właśnie, dla których bezpośredniej korzyści plan cały został obliczony.

Nie należy spuszczać z uwagi, że uwłaszczenie włościan irlandzkich było środkiem *par excellence* zachowawczym. Jeżeli dawniejsze bile Gladstone'a zmierzały do ulżenia ciężarów czynszowników, to obecny miał jednocześnie na oku wielkich właścicieli. Posiadali oni wielkie dobra obciążone podatkami, wymagające nakładów nieustannych, a niedające im dochodów. Nie tylko, że ich czynszownicy nie płacili im regularnie czynszów, ale nie płacili ich wcale; co więcej, zrujnowawszy ich, mordowali i prześladowali. Jednym zamachem uwłaszczenie zmieniało położenie rzeczy. Czynszownicy, stając się właścicielami, przestawali być nieprzyjaciółmi, a zmieniali się w sąsiadów: pomiędzy zamkiem a chatą mógł się zawiązać stosunek przyjacielski, obywatelski. Ruina wielkich właścicieli znikła od razu, gdyż indemnizacja była im natychmiast wypłacona w 3% państwowej rencie brytańskiej. Ażeby nie obciążyć zbyt ciężko długu państwowego, Gladstone zaproponował przeznaczyć na wykup gruntów włościańskich z początku tylko 50 milionów funtów szterlingów; podług jego obliczeń, suma ta miała spłacić jedną trzecią część gruntów włościańskich; operacja wykupu byłaby prowadzoną dalej po wykazaniu swej praktyczności.

Jako zasadę do szacowania gruntów włościańskich zaproponował Gladstone sumę, wyrównywającą 20-letniemu czynszowi. Oszacowanie miało być przeprowadzone przez władze miejscowe irlandzkie. Z dniem oszacowania czynszownik stawał się od razu właścicielem swojego gruntu i wszelki stosunek zależności względem dawnego dziedzica znikał. Wierzycielem jego stawało się państwo, skarb narodowy. Do niego nowouwłaszczone obowiązano być wnosić w przeciągu 49 lat raty indemnizacyjne, kapitał i procent; po umorzeniu, albo przy szybszej spłacie, wszelkie ciężary raz na zawsze spadały z drobnej posiadłości. Ażeby zabezpieczyć skarb angielski od wszelkiego ry-

zyka, Gladstone przedsięwziął wszelkiego rodzaju środki ochronne. Powiedzieliśmy już wyżej, że ograniczył kapitał indemnizacyjny do 50 milionów. I ten kapitał jeszcze rozłożył na trzy raty: 10 milionów w pierwszym, a po dwadzieścia w drugim i trzecim roku. Dalej czynił skarb irlandzki odpowiedzialnym za regularne wypłacanie rat od uwłaszczonych. Nie oddalonym i zawsze niechętnie widzianym poborcom angielskim, ale swoim własnym, miejscowym władzom obowiązany był włościanin płacić w półrocznych ratach swoje wpłaty amortyzacyjne; a rząd Wielkiej Brytanii, nie wchodząc bynajmniej w możliwe zwłoki lub nieregularności, otrzymywał całą sumę roczną dwóch milionów funt. szt., przypadającą skarbowi, jako ratę, umarzającą owe 50 milionów zaforszuszowane. Dopiero po opłaceniu tej raty administracja irlandzka miała prawo obrócić resztę na wydatki publiczne i na potrzeby krajowe.

Z jakiegokolwiek strony bada się projekt uwłaszczenia włościan, przedstawiony przez Gladstone'a, to wszędzie trzeba mu przyznać oględność i roztropność w środkach, wzniosłą szlachetność w celach i duch sprawiedliwości nieposzlakowanej. Dla nas, co świeżo przeszliśmy przez tę samą reformę w innych warunkach, o wiele niepomysłniejszych, cały ten plan zdawać się może sielanką idylliczną, i jesteśmy w prawie dziwić się, że opinia ucywilizowanej Anglii zamiast pytać, jakie koleje finansowe i ekonomiczne przeszło uwłaszczenie włościan w Niemczech, Austrii, Polsce, Rosyi, w całej kontynentalnej Europie, z góry wołała uznać plan Gladstone'a jako awanturniczy, niepraktyczny, do wykonania niepodobny i jako grożący finansom angielskim ruiną. Kwestya pieniężna zagłuszyła raz jeszcze głos sumienia i wymagania sprawiedliwości.

Jak czytelnicy wiedzą, nie przyszło w parlamencie do rozbioru bilu o uwłaszczeniu włościan. Gabinet Gladstone'a został pobity na kwestyi usamowolnienia politycznego Irlandyi i w ruinach jego zagrzebaną także została druga kwestya zasadnicza. Opinia obłąkana nie zdołała sobie wyrobić o planie włościańskim Gladstone'a prawdziwego zdania i potrzeba będzie bez wątpienia niejakiego czasu, zanim nastąpi zbawcza reakcja pod tym względem. Że reakcja ta nastąpi i że uwłaszczenie włościan w Irlandyi skutecznionem być musi, niema najmniejszej

wątpliwości. Wykup czynszowników będzie mógł być przedsiębrany bądź częściowo, na małą skalę, jak to miało miejsce dotąd, bądź gromadnie, jak to zaproponował Gladstone, chcąc od razu zetrzeć łeb hydrze, co się na irlandzkiej była osiedliła ziemi. Gdy wymogi bezwzględnej sprawiedliwości, powody polityczne, interesa wszystkich stronnictw nakazują jednomyślnie takie a nie inne załatwienie problemu, to interesa egoistyczne jednostek i intryga polityczna przed nimi broń musi złożyć.

VI.

Możemy powrócić teraz do sprawy politycznego samorządu Irlandyi. Wbrew wszelkim przewidywaniom, gabinet zachowawczy, utworzony po wyborach 1886 roku, zajął stanowisko otwarcie nieprzyjazne względem Irlandczyków. Sześćciolecie pomiędzy 1886 a 1892 rokiem było nową dla nich próbą.

Parlament dwunasty obecnego panowania nie zostawił po sobie w narodowych rocznikach pochlebnego wspomnienia. Ci, którzy mu zarzucają przeniawieranie się zasadom, fałsze i wiarołomstwo, grzeszą melodramatycznością języka, ale niema wątpliwości, że od początku do końca rząd, który tej izby był przedstawicielem i organem, poszedł w innym kierunku i uczynił zupełnie co innego, aniżeli w programie swym zapowiedział. Przed wyborami nie było mowy o prześladowaniu Irlandyi, o gromieniu jej drakońskimi prawami, o wyjęciu jej z pod normalnych, a postawieniu pod wyjątkowemi. Nawet w pierwszych miesiącach po utworzeniu gabinetu najwybitniejszy z jego członków, lord Randolph Churchill, nie przestawał oświadczać, że jest niezłomnym zamiarem rządu nadać Irlandyi szerokie prawa samorządu prowincjonalnego i traktować ją zupełnie podług tych samych prawideł i zasad, jak trzy inne składowe części zjednoczonych królestw. Zdawała się taka linia wytyczna tem naturalniejsza, że wprowadzie *Home Rule* podług planu Gladstone'a, z odrębnym parlamentem irlandzkim w Dublinie, odrzucony został przy wyborach, ale polityka wszelkich możliwych ustępstw i zobopólnego porozumienia powszechnie popartą i ostatecznie przyjętą została.

Lecz gdy się tylko rząd na nowem stanowisku uczuł silniejszym i gdy się przeświadczył, że lewe skrzydło jego sprzymierzeńców, zostające pod dowództwem margrabiego Hartingtona i p. Józefa Chamberlain'a, nie będzie polityki jego krzyżowało, natychmiast zmienił swój szyk bojowy. Jądro kwestyi leżało w polityce tych deputowanych, liberalnych z nazwy. Gdyby byli obstawali odważnie i uczciwie przy zasadach, których aż do ostatniej chwili byli orędownikami, lord Salisbury nie byłby się powążył traktować Irlandczyków jak „dzikich Hotentotów” i oświadczać, że „dwadzieścia lat systematycznego ucisku zniweczy ich zachcianki swobody.” Ale owi apostaci z nadzwyczajnym zapałem, jak się to dzieć zwykło, śpieszyli niszczyć swoje wczorajsze bożyszcza. Lord Hartington, jako pan z panów, miał rodzaj politowania i pogardy dla hulaśliwych i źle wychowanych Irlandczyków, a p. Chamberlain, czujący potęgę swej inteligencji, mścił się z niepojętą zawziętością na Irlandczykach za to, że się jego osobiste wyrachowania nie powiodły i że stronnictwo liberalne nie ogłosiło go za swego wodza. Nie zażądali miejsc w gabinecie od lorda Salisbury, i zachowując pozory bezstronnego i bezinteresownego stanowiska, przychodzili mu z pomocą w każdej krytycznej chwili, osłaniając wszystkie zamachy na Irlandyę płaszczem owego liberalizmu i owej demokracji radykalnej, za reprezentantów których uznawani być pragnęli. Z ubolewaniami na ustach, ze skargami na los okrutny cały ten zastęp pseudo-liberalny przyklaskiwał mordom w Michelstown, ewikcyom, rozwiązywaniu stowarzyszeń irlandzkich, uwięzieniu połowy deputowanych, oskarżeniu Parnella o udział w morderstwach i t. d. Historyczna odpowiedzialność na nich ciążyć będzie po wszystkie czasy.

Za świeżą jest ta historia, abyśmy w jej szczegóły wchodzić potrzebowali. Dość będzie przypomnieć stanowcze jej momenta. Naprzód lord Randolph Churchill, nie mogąc brać odpowiedzialności za politykę, która zadawała kłam wszystkim zobowiązaniom i obietnicom, usuwa się z gabinetu. Po chwilowym popłochu lord Salisbury powierza ministerium irlandzkie swemu własnemu siostrzeńcowi, panu Arturowi Balfour. Pięć lat, które spędził od tej chwili na pierwszorzędnym stanowiskach, przyczyniły się do uformowania jego charakteru polity-

cznego, do poskromienia wojowniczego animuszu, do wyleczenia z sarkastycznego cynizmu. Ale gdy wyperfumowany ten młodzieniec esteta i sceptyczny filozof objął rządy Irlandyi, był to dopiero jego nowicyat—i zapal, z którym rzucił się do biczowania pięćmilionowego narodu, zdawał się niepowściągnięty. Słynny jego rozkaz do dyrektora policyi, polecający „strzelać do ludu,” został wprowadzony w czyn; dozór i szpiegostwo wzniosło się do wysokości zasadniczych instytucyi; sądy przysięgłych zostały zniesione, na miejsce zwykłych trybunałów ustanowiono wyjątkowe, złożone z osobistości, niedających żadnych rękojmi bezstronności; więźniowie polityczni traktowani jak zbrodniarze, prześladowanie proletaryatu wiejskiego posunięte do stopnia nigdy dotąd nieznanego: oto system administracyi, która wykonywała bile, uchwalone przez parlament, a znane pod nazwą *Criminal Law Amendment Bill* i *Coercion Bill*. Gdy p. Balfour rozwiązuje ligę narodową irlandzką, patryoci irlandzcy przeciwstawiają mu natychmiast drugą, o innej nazwie, ale takiej samej organizacyi; gdy rząd odrzuca proponowane przez Parnella ustępstwa dla zrujnowanych czynszowników, Irlandczycy odpowiadają na to okrucieństwo przez równie okrutny *Plan of Campaign*. Ale walka nie ograniczała się na takich homerycznych zapasach, nie pogardała osobistemi prześladowaniami przeciwników. Jednocześnie z przedstawieniem przez rząd *Coercion Bill* uoddany mu dziennik *Times* rozpoczyna ogłoszenie pamfletów *Parnellism and Crime*, gdzie pomieszczał rzekome listy Parnella, poduszczające do morderstw. Na próżno Parnell w izbie gmin protestuje przeciwko fałszywemu oskarżeniu: przez rok cały on i jego stronnictwo zostają pod tym zarzutem. Wiadomo, że nareszcie rząd został zmuszony do ustanowienia komisyi śledczej, że ją mianował sam i że jej atrybucye rozszerzył stosownie do swego interesu i swych celów. Mimo tej stronnicznej organizacyi, komisya śledcza wykryła, że *Times* zakupił sfalszowane listy—i cała sztucznie przeciwko irlandzkim patryotom wzniesiona machina runęła, okrywając śmiesznością jednych, hańbą drugich, a przygotowując dla Parnella istotną apoteozę. Wprawdzie w niecałe dwa lata udało się nieprzejednanym jego wrogom podsadzić pod niego inną minę i, nie mogąc zniweczyć go jako męża publicznego, zdruzgotać go jako człowieka prywa-

tnego: lecz ta zakulisowa strona działalności pominięta być tu może. Zaćmienie gwiazdy Parnella, tak samo jak śmierć jego, która nastąpiła niebawem, nie odjęły sprawie irlandzkiej jej żywotności.

Nie przestała ona stać ciągle na porządku dziennym parlamentu, ale w ostatnich dwóch latach jeszcze zmieniała się jej fizygnomia. Wyrok komisji śledczej w sprawie sfałszowanych listów uważać można za chwilę przełomu, a uczciwość osobista Anglików tak jawnie wypowiedziała swe oburzenie na popełnione nadużycia, że sfery rządowe wogóle, a p. Balfour w szczególności zrozumiał, iż taktykę zmienić wypada. Naraz powiał wiatr łagodniejszy, a organy ministeryalne zaczęły na wyprzodki oddawać hołd jego rozumnej polityce, dzięki której Irlandya uspokojona i jej opór przeciwko prawu złamany został. Nie dwudziestu lat potrzeba było do tego, jak groził lord Salisbury, trzy wystarczyły panu Balfour'owi. Uczyniono niejake ulgi umierającym z głodu Irlandczykom, rozpoczęto roboty publiczne, a w parlamencie rząd przedłożył bil o wykupie czynszowników, projekt zawikłany, pozbawiony nie tylko jasnych zasad, ale nawet mniej korzystny dla skarbu narodowego, aniżeli wszystkie dawniejsze akty wykupu. Bil ten nie zadawał Irlandczyków, nie rozstrzygał kwestyi drobnej własności gruntowej, a jedynie miał na celu z jednej strony wykazać dobrą wolę rządu względem kraju, traktowanego z nieubłaganą surowością, a z drugiej poprawić majątkowe interesa wielkich właścicieli angielskich, którzy radzi byli pozbyć się swych posiadłości ziemskich w Irlandyi. Udało się naturalnie rządowi bil swój przeprowadzić, ale już po upływie dwóch lat wszyscy kompetentni sędziowie wyrazili zdanie, że okazał się on zupełnie bezskutecznym i że sprawa wykupu czynszowników nie postąpiła ani o krok jeden na przód.

Zbierając całą politykę ostatniego parlamentu względem sprawy irlandzkiej w jedną całość, musimy potępić ją bezwzględnie. Zacząć od złamania najsolenniejszych obietnic, od wyparcia się ich cynicznego, rozszać się w gwałtach i prześladowaniach, następnie szczyścić się zwycięstwem, które nie miało miejsca, i pojednaniem, którego niema śladu, a nakoniec przedsiębrać środki prawodawcze, pozbawione wszelkiej wartości i prak-

tycznego znaczenia: oto charakter tej działalności, która na tej sesyi miała być zapieczętowana pamiętym projektem o reformie administracyi prowincjonalnej. Nie można się dziwić, że opozycja całego zastępu Irlandczyków nie osłabła ani na chwilę i że, gdy parlament rozwiązany został, torysi i ich sojusznicy z góry przewidzieć mogli, że w walce wyborczej znajdą naród irlandzki stojącym przeciwko nim, a wyciągającym bratnią dłoń do stronnictwa, które pod dowództwem Gladstone'a przez cały ten przeciąg czasu nie przestawało być jego orędownikiem.

Jeszcze przed upływem kadencji spostrzedz było można, że opinia Wielkiej Brytanii, zaskoczona niespodzianie i oszołomiona w epoce wyboru 1885 roku, zaczyna się zwracać znowu do liberalnej polityki. Niestrudzona działalność samego Gladstone'a, niezłamanego ani wiekiem, ani chorobą, ani stratą syna, rozwijającego strategiczne zdolności wyjątkowe, pokazującego się względny i wyrozumiały dla osób, ale niezłomny dla zasad, przyczyniła się też nie mało do nadania otuchy opozycji. Dopóki taki wódz prowadzić ją będzie do walki, czuła ona, że mieć będzie po swej stronie korzyści, których przeciwnikom brakowało. Ci ostatni nie ukrywali zresztą swej rachuby na śmierć Gladstone'a—i stało się elementarnym pewnikiem, że trzeba będzie nowe wybory przewlekać dopóty, dopóki on oczu nie zamknie. Entuzjazm, jaki wyjątkowa ta osobistość wywoływała u jednej połowy narodu, znajdował naturalną przeciwwagę w nienawiści, jaką budził u drugiej. Ale i tutaj nie należy brać rzeczy ryczałtowo. Mógł zapalczywy trybun neotoryzmu, lord Randolph Churchill, publicznie lżyć Gladstone'a, albo pedancki profesor Diecy pisywać do przeglądów artykuły, wyrażające niecierpliwość, że taki starzec ducha nie wyzionął,—ale wszystkie wyższe osobistości narodowe, bądź dawniej liberalne, jak książę Argyll, lord Tennyson, albo John Bright, tylko na punkcie kwestyi irlandzkiej z nim poróżnione, bądź do uczciwych, tradycyjalnych warstw szczerzo-angielskiego toryzmu należące, są w gruncie ducha czcicielami Gladstone'a, są dumni z jego geniuszu i, choć mu oponują, rozumieją doskonale, że taki jak on mąż stanu jest chlubą i zaszczytem wszech-narodu, i że więcej czyni dla sławy i wielkości angielskiej wobec ludzkości i dziejów, aniżeli tuziny i setki innych. Przewidywali oni,

że skoro żyje, to los zgotuje mu jeszcze wieczorną, tryumfalną apoteozę.

Przychylne wiatry dęły w żagle liberalnego stronnictwa i udało się mu w szeregu dodatkowych wyborów sprowadzić większość ministeryalną z początkowych 118 głosów do końcowych 68-miu. Niektóre z tych przegranych bitew miały dla torysów znaczenie prawdziwej klęski; szczególnie zaś wyborcy pastwili się nad liberalnymi dysydentami. Podwajało to wszystko animusz opozycji. Każde zebranie coroczne narodowej federacyi liberalnej wykazywało postępy w organizacyi whigów, a agitacya, prowadzona na wszystkich punktach kraju, trzymała opinię i sympatyę współwyznawców w nieustannej czujności. W generalnym sztabie, otaczającym Gladstone'a, rozdzielono role, ale on sam nie przestawał powtarzać, że pierwszą sprawą do załatwienia jest irlandzka i że dopóki ona stać będzie na drodze, do rozstrzygnięcia innych nie przyjdzie.

Im bardziej zbliżała się chwila zwykłego rozwiązania parlamentu, tem trudniejszym stawało się położenie znajdującej się u steru koalicyi. P. Balfour, po dopełnieniu pacyfikacyi Irlandyi, zdał sprawy tego wydziału w ręce innego kolegi a sam zajął przewodniczące stanowisko lidera izby, na którem się jego istotne zdolności polityczne ujawniły, zapowiadając w nim przyszłego zwierzchnika stronnictwa zachowawczego. Lecz ostatni jego akt, jako irlandzkiego ministra, skończył się nadzwyczajnem *fiasco*. Koalicya torysowska obiecywała zawsze nadanie Irlandyi takich samych swobód administracyjnych, jakie posiadają dwa inne królestwa w formie rad hrabstw (*County Councils*). W przededniu wyborów nie chciała być oskarżoną o wiarołomstwo, a niepodobna także było zasłaniać się dłużej stanem nieporządków, skoro ich, podług własnego zdania ministrów, nie było już wcale. Wystąpił tedy p. Balfour z bilem o reformie administracyjnej Irlandyi, ale nie tylko że projekt ten nie stawiał Irlandyi na tym samym poziomie, co Anglię i Szkocyę, lecz czynił z proponowanych dla niej rad prowincjonalnych istotną karykaturę. Odejmoowano im wszystkie atrybucye, obwarowano takimi ścieśnieniami i wystawiono na tak ubliżające poniżenia, że deputowani irlandzcy i orędownicy ich sprawy przyjęli ten potworny projekt z szyderczem pośmiewiskiem i zmu-

sili ministeryum do pośpiesznego wycofania takowego. Była to dla gabinetu klęska tem boleśnieszka, że przychodziła w ostatniej chwili, gdy już się stało widocznem, że sprawa irlandzka będzie zajmowała pierwsze, rozstrzygające miejsce podczas kampanii wyborczej. W braku innego, lepszego środka odpornego, wzięła się koalicja ministeryalna do przeciwstawiania katolickiej Irlandyi, dążącej do samorządu, tej północnej jej części, w której przemagającą liczbę mieszkańców stanowią protestanccy oranżyści. Lord Salisbury nie zawahał się sam cisnąć zapalnej głowni i zapowiedzieć, że protestancki Ulster zbuntuje się przeciwko wyemancypowanej reszcie kraju, że się nie podda tyranii papizmu. Zwołany był w Belfaście wielki wiec owych lojalnych Irlandczyków protestanckich i manifestacyi rozgłosu nie brakło. Ale pora krucyat i wojen religijnych minęła już na Zachodzie raz na zawsze, i nie udało się organizatorom roznamiętnić katolików przeciwko protestantom i rozdzielić Irlandyi. Ostatnie fale tej niepotrzebnie wywołanej zawieruchy konały, gdy parlament rozwiązany został w dniu 28 czerwca 1892 r.

Otwarcie kampanii wyborczej nie czekało na urzędowe jej ustanowienie. Wygrana, o którą chodziło, była zbyt ważna, ażeby można było jakiekolwiek czynniki pomocnicze lekceważyć. Dwaj przywódcy, Gladstone i lord Salisbury, pośpieszyli ogłosić swoje manifesty do narodu: ten ostatni zrywając zuchwale z tradycją, która członkom izby lordów nie dozwalała się mieszać do wyborów gmin. W manifestie Gladstone'a zauważyć było można dwa punkta, których doniosłe następstwa dalszy przebieg wypadków dostatecznie ujawnił: oświadczył się za zniesieniem monopolu kościoła państwowego w Walii i w Szkocyi oraz przeciwko prawnemu ograniczeniu godzin pracy do ośmiu, jak się tego domagały socyalistyczne organizacje robotników. Widocznem było, że Gladstone jest niezłomnie przeświadczony o popularności emancypacyi irlandzkiej, skoro zamierzał nią samą pociągnąć masy do urn wyborczych; widocznem było, iż wierzył w swoje zwycięstwo, skoro rzucił rękawicę w ostatniej chwili potężnemu stronnictwu kościelnemu w Szkocyi i całej masie robotniczej, kierowanej przez agitatorów socyalistycznych. Że był to postępek zuchwały, wiemy już z rezultatu wyborów, a tę pomyłkę w taktyce wytłómaczyć so-

bie można tym optymizmem, jakim ukołysała się opozycja, obliczająca swą większość ewentualną na jakie sto głosów. Lord Salisbury w swym manifestie nie sformułował żadnego programu co do przyszłości, powołując się jedynie na już dokonane reformy; wyłącznie się zwrócił do Irlandyi i emancypację jej przedstawiał jako nieunikniony wstęp do zerwania jedności monarchii. Wśród chaosu najrozmaitszych odezw i okólników wyborczych, wśród mów jakich półtora tysiąca kandydatów, trudno się było zorientować; stało się przecież widocznem, że dawne rozgraniczenia i różnice partyi zatarły się zupełnie, że owa Anglia tradycyjalna, gdzie torysi stali za przywilejami korony, a whigowie za możnowładztwem wielkich rodzin, należy już do niepowrotnej przeszłości, że demokratyczne prądy zawładnęły całem społeczeństwem, bo zarówno torysi jak whigowie, odwołując się do owej masy 6,161,456 obywateli, posiadających prawo głosowania, zapowiadali im jedne reformy radykalniejsze od drugih. Na tym gruncie panowała jednogodność: różnice rozpoczynały się i uwydatniały, gdy się przystępowało do kwestyi samorządu Irlandyi. Zauważyć należy, że liberalni unioniści nie zmienili swej pozycji i że z energią rozpaczliwie rzucili się do walki, paląc za sobą mosty, napastując nieubłagane swych dawnych towarzyszków, ciskając zatrutemi strzałami na Gladstone'a. Jakiegokolwiek mieć można opinie co do osobistości p. Chamberlain'a, należy przyznać, że rozwinął on niestrudzoną działalność: zwycięstwo ministeryalnego hufca miało być dla niego nie tylko usprawiedliwieniem apostazji, której dokonał, ale urzeczywistnieniem ambitnych zamiarów, jakie żywił; porażka nie zostawiała mu innej alternatywy, jak kapitulację przed liberalnem stronnictwem, upokarzającą dla jego pychy, albo bezsilne szamotanie się wśród obozu zachowawców, niedowierzających mu, pomimo sześćioletniej wiernej im służby.

Wybory parlamentarne w Wielkiej Brytanii nie pozwalają od razu dojść do rezultatów, gdyż ciągną się przez trzy tygodnie blisko — i pozycja każdej z dwóch skoalizowanych partyi zmieniała się często, podnosząc lub obniżając widoki i nadzieje. Od pierwszej chwili jednak było widocznem, że cały naród zdawał sobie sprawę z doniosłości wyborów, że przed urnami stanie daleko znaczniejsza ilość głosów, aniżeli dawniej. Wszystkie stru-

ny naprężone były do najwyższego stopnia. W pierwszym tygodniu głosowały miasta, w drugim okręgi wiejskie. Fizyognomia wyborów angielskich była opisywana często i niema potrzeby skreślać ich rysów ponownie: wszystkie zwykłe żywioły brały w niej udział spotęgowany, a w miastach, szczególnie zaś w samym Londynie, stworzyły całość, barwy, ruchu i gwaru pełną. Największe wyteżenie stronnictw skierowane było naturalnie na sam Londyn, ową twierdzę interesów zachowawczych. Wśród 62 deputowanych, których stolica wybiera, było w ostatnim parlamencie zaledwie 11 liberalnych a 51 ministeryalnych. Wprawdzie od owych wyborów zaszła kapitalna zmiana w ustroju Londynu przez organizację hrabstwa londyńskiego. Takie usposobienie stolicy dawało stronnictwu liberalnemu widoki tryumfu i w parlamentarnych. Nadzieje te nie zawiodły go istotnie: liczba jego stronników podskoczyła z 11 do 25, a liczba ministeryalnego zastępu spadła z 51 do 37. Gdyby i inne miasta wyraziły były swe opinie z tą samą energią, najświetniejsze przewidywania gladstończyków byłyby się urzeczywistniły. Ale stało się przeciwnie. Wielkie miasta, jak Liverpool, Birmingham, Sheffield i wiele innych, nie opuściły zachowawców; przeciwnie—nieraz dały im niespodziewaną ilość głosów. Wpływ p. Chamberlain'a w Birminghamie, gdzie jest on rodzajem satrapy, okazał się tak potężnym jak dawniej. Koniec końcem, udało się liberalnym wszystkiego pochwycić 19 nowych okręgów wyborczych w miastach. Już te rezultaty pierwszego tygodnia udowodniły, że stronnictwo liberalne zwycięży, ale nie było wątpliwości, że zwycięzcy i zwyciężeni znajdować się będą w niewielkim od siebie odstępie. W drugim tygodniu liberalne tendencje hrabstw ujawniły się wybitniej nawet, aniżeli przypuszczać było można, gdy się uwzględniało ogromny wpływ, jaki znajduje się w ręku wielkich posiadaczy ziemskich i pastorów z nimi skojarzonych: dodawszy wybory wiejskie do miejskich, stronnictwo liberalne ze stojącymi obok niego Irlandczykami posiadać będzie w nowym parlamencie większość 42 głosów. Cyfra to daleka od tej, o jakiej gorące głowy marzyły; ale jeżeli nie zapomnimy, że p. Schnadhorst, sekretarz narodowej federacji liberalnej, a zatem osobistość najlepiej wykwalifikowana do ocenienia istotnych sił swego stronnictwa, urzędowo oznajmił

przed wyborami, iż większość jego da się obliczyć na 30 głosów, to się znajdujemy wobec wysoce zadawalniającego rezultatu. Kiedy liberalna większość w Szkocyi wynosi 30, w Walii 26, a w Irlandyi 57, w Anglii stronnictwo zachowawcze posiada po swojej stronie większość 71 głosów. Od dalszych postępów i zdobyczy w tej ostatniej zależeć będzie przyszłość liberalnego stronnictwa.

Parlament, który się zebrał na nową kadencję w dniu 4 sierpnia 1892 r., obejmuje z jednej strony 314 członków stronnictwa, które się dotychczas nazywało unionistami, a rozpada się ono na 268 torysów i 46 liberalnych dysydentów, a z drugiej większość liberalną, składającą się z 275 liberalnych i 82 deputowanych irlandzkich. Ci ostatni dzielą się pomiędzy sobą na dwie frakcye, dotąd niepogodzone: 73 nacyonalistów i 9 parnelistów; wpośród liberalnych członków wyróżnić jeszcze można kilku przedstawicieli wyłącznie robotniczego stronnictwa. Większość, jaką Gladstone i jego ministeryalni koledzy rozporządzają, chociaż wynosi tylko 42 głosy, jest wystarczającą do powołania i utrzymania go u steru władzy. Wiele dawniejszych gabinetów posiadało mniejsze jeszcze. Przy obecnem ugrupowaniu stronnictw można być przygotowanym, że w przyszłości większość głosów i przewaga jednej partyi nad drugą stanie się jeszcze mniej wybitną.

Jak łatwo zrozumieć było można, rezultat wyborów wywołał najsprzeczniejsze głosy. Unioniści, którym władza wymknęła się, okazali bardzo naturalne rozjątrzenie. Objawiło się ono złośliwem naigrawaniem nad zawodem, jakiego doznali ich przeciwnicy, otrzymawszy skromną większość głosów, nad różnicą pomiędzy wczorajszemi przechwałkami a dzisiejszem upokorzeniem. Dalej szły komentarze nad niewystarczającym charakterem tej większości, nad różnolicowością składających ją czynników, nad upokarzającym jej pochodzeniem nie z inteligencji miast, ale z przesądów i ciasnoty pojęć wieśniaków. Nie brakowało też odgrózek, że się ta większość rozchwieje natychmiast, że parneliści poswarzą się z nacyonalistami, deputowani robotniczy z gladstończykami, że ministeryum nie ma obowiązku usuwać się, ale przeciwnie—wydać nową niezwłocznie odezwę do lepiej oświeconego narodu. Stronnictwo liberalne nie było także

w gruncie rzeczy tak zadowolone, jak utrzymywało. Zdobyło wprawdzie większość, ale nie taką, jaką sobie obiecywało, a w następstwie tego stanu zrozumiało, że napotka trudności w przeprowadzeniu swej polityki.

Przewidywania te się sprawdziły. Nowy gabinet liberalny, utworzony przez Gladstone'a, przyszedł do władzy po zakończonych wyborach i zaraz na początku sesji 1893 r. przedłożył wśród wielu doniosłych postępowych projektów prawodawczych bil o samorządzie Irlandyi. Gladstone wniósł go na posiedzeniu z 13 lutego, które w konstytucyjnym rozwoju Wielkiej Brytanii stać będzie obok pamiętnego posiedzenia z 8 września 1886 r. W mowie przeszło dwugodzinnej scharakteryzował on zasadnicze rysy bilu i zażądał od izby upoważnienia do złożenia go na jej stole. Trwała przez tydzień szermierka, za długa, gdy się weźmie na uwagę, że izba nie znała jeszcze dosłownego brzmienia projektu,—ale gdy każda z grup, na jakie się ona dzieli, zaznaczyła swoje stanowisko, pierwsze odczytanie nastąpiło bez głosowania. Walka na dobre pomiędzy orędownikami a przeciwnikami proponowanej reformy odłożona została do drugiego odczytania, które o jej losie rozstrzyga.

Mając przed sobą całkowity tekst bilu, z jego 40 artykułami, rozpadającymi się na liczne paragrafy, i z jego siedmiu dopełniającymi tablicami, możemy już wyrobić sobie o nim zdanie i ocenić jego doniosłość. Zbytecznem byłoby dodawać, że jest ona potężną. Rzadko przyszło mężowi stanu podejmować rozleglejsze zagadnienie i rozwiązywać bardziej skomplikowane, aniżeli to, które Gladstone postawił przed sobą—i im głębiej wnika się w naturę tego zadania, tem jaśniej zdajemy sobie sprawę z nieprzepartej siły prądu historycznego, obalającego naturalne oraz sztucznie nagromadzone przeszkody i doprowadzającego sprawę, na pozór pokonaną i sumarycznie załatwioną, do nieprzewidzianego nie dawno jeszcze, ale jedynie logicznego końca.

Najpierwszy, zasadniczy punkt nowej ustawy tyczyć się musiał stosunku, jaki istnieć będzie pomiędzy usamowolnioną Irlandyą a zjednoczonymi królestwami Wielkiej Brytanii. Ustawicznie słyszeliśmy dotąd dwa zarzuty: namiętni a płytkcy przeciwnicy samorządu utrzymywali, że doprowadzi on do rozerwa-

nia jedności państwowej; chłodniejsi byli zdania, że Irlandya będzie na przyszłość państwem kolonialnem, nie zaś składową częścią monarchii. Na oba te nieuzasadnione zarzuty odpowiadał obecny, że władza prawodawcza sejmu irlandzkiego będzie się jedynie i wyłącznie rozciągała do spraw wewnętrznych, ale że sprawy dotyczące całości monarchii (następstwo tronu, regencya, pokój i wojna, siły zbrojne lądowe i morskie, sprawy stanu, traktaty handlowe, moneta i t. p.) należeć będą do parlamentu wszechbrytańskiego. Oprócz tego, sejm irlandzki nie będzie miał w swych atrybucjach przywilejów kościelnych, ani żadnych praw, mocą których mógłby ograniczyć swobodę osób, wiary i t. p. mniejszości kraju. Gdy się do tego doda, że władza wykonawcza powierzana jest wice-królowi, mianowanemu przez królowę, który będzie miał w swych atrybucjach *veto*, zawieszające wszystkie uchwały sejmu irlandzkiego nielegalne, to się będzie musiało dojść do wniosku, iż całość państwowa nie jest bynajmniej zagrożona przez ustanowienie krajowego sejmu i że nie będzie on mógł nigdy stanąć jako równy z parlamentem Wielkiej Brytanii.

Wice-król irlandzki, jako reprezentant rządu centralnego i najwyższa władza wykonawcza, będzie miał obok siebie komitet wykonawczy, czyli radę ministeryalną. Nominacya jej członków jest w ręku korony: jest tu nowa rękojmia legalnego działania instytucyi narodowo-irlandzkich.

Sejm albo parlament krajowy składać się będzie z dwóch izb: rady prawodawczej i zgromadzenia prawodawczego. Pierwsza liczyć będzie 48, druga 103 członków; tamci wybierani na osiem, a ci na pięć lat. Członkowie zgromadzenia prawodawczego wybierani będą podług obowiązującego obecnie prawa wyborczego, członkowie rady prawodawczej—przez ciało specjalnych wyborców, płacących *minimum* 20 funt. szterlingów podatków. Nie dotycząc tu bynajmniej zasadniczej kwestyi, czy jest potrzebnem dzielić sejm irlandzki na dwie izby, wyższą i niższą, oczywiście, że autor projektowanej ustawy zamierzał w ten sposób dać rękojmię zachowawczym interesom, a mianowicie wielkim właścicielom ziemskim, należącym do arystokracji angielskiej.

Nie wchodzimy w szczegółowe postanowienia, dotyczące przedstawienia projektów prawodawczych w obu izbach sejmu

krajowego oraz sposobów usunięcia jurysdykcyjnych pomiędzy niemi sporów. Kwestye wielkiej wagi, dotyczące policyi, finansów i sądownictwa, są, zarówno jak powyższe, rozstrzygnięte w duchu umiarkowanym i pojednawczym. Siła policyjna, żandarmerya i t. p. będzie w przeciągu kilku lat początkowych na żołdzie władzy centralnej i wyłącznie od niej zależna, ale stopniowo przejdzie pod dyrekcyę władz krajowych. Co do kwestyi podatków, to sejm irlandzki może nakładać je stosownie do swych potrzeb krajowych, ale udział Irlandyi w wydatkach ogólnych, wszechpaństwowych, pozostawiony jest naturalnie parlamentowi westminsterskiemu. Gladstone odrzucił swój dawniejszy system stałej sumy, corocznie pobieranej z Irlandyi na wydatki ogólne, zarówno jak system pewnej raz na zawsze oznaczonej proporcjonalności, ale wolał zatrzymać pewne źródła dochodowe, jak komory, akcyzę i t. d., i po potrąceniu z nich wszystkich wydatków, na Irlandyę przypadających, przewiduje, że będzie mógł wręczyć jej po zamknięciu roku skarbowego sumę, którą w przybliżeniu oznacza na 500,000 funt. szt. Sędziowie posiadać będą nienaruszalność taką samą, jaką posiadają obecnie angielscy.

Rozporządzenia bilu o samorządzie Irlandyi, które najżywsze wywołują różnice zapatrywań, dotyczą kwestyi zatrzymania albo wyłączenia deputowanych obecnych irlandzkich w parlamencie Wielkiej Brytanii. Jak wiadomo, przed siedmiu laty p. Gladstone był zdania, że niema potrzeby ich zatrzymywać, i rozporządzenie to było uważane przez przeciwników jego bilu za zerwanie wszystkich węzłów, łączących Irlandyę z wszechmonarchią, za postawienie tego królestwa na tej samej stopie, co kolonie Kanady albo Australii. Ulegając presyi, jaką na niego z wielu stron wywarło, zaproponował on obecnie, nie tając wszakże, że swego dawniejszego zapatrywania nie zmienił, powołanie do parlamentu westminsterskiego 80-ciu deputowanych irlandzkich. Nie będą oni jednak mieli prawa zabierać głosu, ani wotować w żadnej kwestyi, dotyczącej wyłącznie innych części Wielkiej Brytanii, w żadnej kwestyi podatkowej nieirlandzkiej, albo wydatków innych, jak ogólnie państwowych. Komplikacye, jakie to rozporządzenie za sobą pociągnie, są do przewidzenia łatwe i nie można się dziwić, że sam Gladstone nie uważa go

za organiczne, ale poprzedza je zastrzeżeniem, że istnieć ono będzie o tyle, o ile parlament nie postanowi inaczej. Z góry tedy nie czyni z tego artykułu kwestyi gabinetowej i oświadcza swą gotowość zastosowania się do woli większości.

Takie samo pojednawcze usposobienie stwierdzić się daje w każdym drobiazgu, zarówno jak w każdym ważnym artykule bilu. Znać tu doświadczonego męża stanu, który wie, że polityka jest systematem wzajemnych ustępstw; nie radykalny to jakóbin, wysnuwający abstrakcyjną konstytucyę ze swojej mózgownicy, ale empiryk, człowiek wykarmiony na tradycyi, umiejający się obracać, jak nikt inny, wpośród instytucyi pełnych nielogiczności, wyjątkowości, zdążający krok za krokiem do uproszczenia i ułatwienia stosunków, przeświadczony, że postęp, aby był trwałym, musi nie burzyć, ale podtrzymywać. Stając na stanowisku bezwzględnem, jest tedy nadzwyczaj łatwo uczynić temu projektowi wiele zarzutów. Nie najmniejszym jest bez wątpienia ten, że przez kilka lat pierwszych zabrania sejmowi dublińskiemu zajmować się rozstrzygnięciem kwestyi gruntowej w Irlandyi i uwłaszczeniem jej czynszowników. Niema sprawy ważniejszej i bliżej dotyczącej najwyższych interesów tego kraju. Ale jest to jabłko niezgody. Dawniejszy bil o samorządzie Irlandyi runął dlatego, że wprowadzonym był do niego wykup czynszowników. Jest tedy niezaprzeczonym dowodem rozumu stanu ze strony Gladstone'a, iż taką jątrzącą kwestyę, której częściowe nawet rozstrzygnięcie latby całych wymagało, na pierwsze przynajmniej lata z porządku dziennego usunął. Trzeba będzie nową całkiem machinę w ruch wprowadzić, zapobiedz tarcu kół i sprężyn. Po wykazaniu jej praktyczności, będzie można rozszerzyć atrybucye, wprowadzić zmiany, albo kwestye obecnie zastrzeżone podjąć odpowiednio do trwałych wymagań i do chwilowych interesów kraju.

Niema zapewne potrzeby rozszerzać się nad korzyściami, jakie samorząd w ten sposób uorganizowany przyniesie Irlandyi. Raz będąc w jego posiadaniu, nie będzie się już miała ona powodu skarżyć, że się z nią po macoszemu obchodzi Anglia; za losy swoje, za przyszłość swoją sama odpowiedzialną będzie. Znając swe potrzeby istotne, poszuka środków najwłaściwszych do zadośćuczynienia im i stopniowo wzniesie się do

tego materyalnego i moralnego poziomu, który przy dotychczasowych instytucjach nie był do osiągnięcia podobny. Ci, co oskarżali Irlandczyków, iż im idzie nie o ulepszenie swego stanu, ale po prostu o rewolucyjne zerwanie węzłów z resztą W. Brytanii, nie są w stanie poprzeć swego oskarżenia żadnym poważnym argumentem. Wszyscy przywódcy narodowego ruchu irlandzkiego, którzy w imieniu społeczności przemawiać mieli prawo, wypowiedzieli nie raz, ale tysiąc razy zdanie, że nie marzą o samodzielności swego kraiku, ale, że chcą jedynie samorządu. Nowy dowód tego umiarkowania złożyli obecnie przez organ swych reprezentantów w parlamencie, bo wszyscy jednogłośnie oświadczyli się wysoce zadowoleni z bilu Gladstone'a, i jeżeli czynią na tym lub owym punkcie zastrzeżenia, to uważać będą jego wprowadzenie w czyn za prawdziwe błogosławieństwo dla swej ojczyzny, za punkt zwrotny w dotychczasowej jej historii.

Zbytecznemby było rozszerzać się nad bilem o samorządzie Irlandyi, który przy drugim, a jeszcze więcej przy trzecim czytaniu mniejszym lub większym ulegnie zmianom.

Osobiście nie wątpimy, że izba gmin zawołuje go, pomimo nieprzejednanej opozycyi stronnictwa zachowawczego. Ale będzie to dopiero pierwsze stadyum. Izba lordów niewątpliwie bil, nadesłany jej przez izbę gmin, odrzuci. Niewiadomem jest jeszcze, jakie środki przedsięwzięte zostaną przez rząd do złamania tego oporu—czy uciecze się do mianowania wielkiej liczby liberalnych członków, czy ograniczy się do powtórnego przedłożenia bilu na przyszłorocznej sesyi. Ale rząd oznajmił, że, uważając wyrok, wydany przez kraj, za dostatecznie zrozumiały, nie rozwiąże izby gmin i nowych wyborów nie rozpisze. Jest on zdania, że mu nie brakuje środków do przeprowadzenia wielkiego dzieła reformatorskiego — i niedaleka przyszłość pokaże, jakimi się posługiwać będzie.



PARNELL.

I.



ni pochodzeniem, ani wiarą Parnell nie zdawał się być przeznaczonym na wodza celtyckiej i katolickiej Irlandyi, gdyż należał do saskiego szczepu i był wyznania protestanckiego. Przodkowie jego, po restauracyi, w 1679 roku przenieśli się z Anglii do Irlandyi. Jeden z nich, Tomasz, był słynnym swego czasu poetą, przyjaciel Johnsona, Swifta i Pope'a; kilku innych odznaczyło się w palestrze i jako sędziowie Ławy królewskiej. Podniesiony do godności baroneta, sir John Parnell w 1788 roku był kanclerzem skarbu irlandzkiego i wraz z synem swym, Henrykiem, stali oba po stronie Grattana, byli pomiędzy owymi 115 członkami parlamentu irlandzkiego, którzy głosowali w 1800 roku przeciwko unii z parlamentem brytańskim, przeprowadzonej przez lorda Castlereagh. Młodszy syn sir Johna Parnella, William, odziedziczył po ojcu piękną posiadłość wiejską Avondale, gdzie syn jego John przemieszkiwał. Z małżeństwa tego ostatniego z córką amerykańskiego admirała Stewarta spłodzonych zostało czterech synów i pięć córek. Czwartym synem, urodzonym w 1846 roku, był właśnie ów Karol Stewart, którego zgon osierocił Irlandyę w 1891 roku.

Jak rodzinne stosunki pokazują, należał on do sfery arystokratycznej i zamożnej. Chociaż pochodzenia saskiego i protestant, przez posiadanie własności ziemskiej i przez dwuwiekowe zespolenie się ze społeczeństwem irlandzkim stał się on Irlandczykiem i sympatyje jego stały, jak zrozumieć łatwo, po stronie swych rodaków. Najwybitniejszym rysem jego charakteru była silna, milcząca, w sobie samej zamknięta i ześrodkowana wola. Nie potrzeba przytaczać mnóstwa anegdot, które co do tego rysu jego charakteru obiegały: życie publiczne dawało onego ciągłe, nieprzerwane dowody.

Pierwsze wychowanie otrzymał w Anglii u kilku *tutor*ów, a na uniwersytet uczęszczał w Cambridge. Szczególne zamiłowanie okazywał zawsze do inżynierii, mechaniki, a dla rozrywki oddawał się stolarstwu i tokarstwu. O intelektualnych jego zdolnościach koledzy uniwersyteccy wielkiego wyobrażenia nie mieli. Nie był ani wielce czytany, ani wymowny, ani obdarzony lotną wyobraźnią. Idee nie rodziły się nawet zazwyczaj w jego własnej głowie. Ale gdy je sobie przyswoił, tak głęboko wrażały się w jego umysłowy organizm, że ich nic wykorzystać nie potrafiło. Zdawał się być przeznaczony do roli drugorzędnej, wykonawczej, ale nie na trybuna, agitatora i parlamentarnego przywódcę. Po opuszczeniu ławek uniwersyteckich, podróżuje ze starszym bratem po Stanach Zjednoczonych i w r. 1871, licząc 25 lat życia, osiada w swej wiejskiej posiadłości Avondale, zaczyna się oddawać agronomii i wieść życie *squire'a*. Godnem jest jeszcze wzmianki, że w tych pierwszych latach nie okazuje żadnego pochopu do ustępstw dla swych własnych czynszowników i nic nie mogło w nim wtedy zapowiadać przyszłego wodza ligi narodowej. Prawda, że zadłużone i źle zagospodarowane włości nie dawały mu wielkiej możliwości do ujawniania swych filantropijnych zamiarów.

Rolnictwo, polowanie i jednostajne życie szlachcica wiejskiego w opustoszałym dworze w Avondale straciły niebawem dla Karola Parnella swój pierwszy powab—i po upływie trzech lat, w r. 1874, widzimy go ubiegającym się o krzesło poselskie w parlamencie. Stawia swą kandydaturę w Wicklow i zadziwił swych stronników nieudolnością, jaką okazał w mowach publicznych: brakowało mu słów, jękał się i bełkotał. Nie został

też wybranym, ale nauka w las nie poszła. Siłą woli zmusił się do mów publicznych i w roku następnym wybrany zostaje w Meath na członka parlamentu. I wtedy jeszcze przypuszczało, że będzie raczej milczącą podporą falangii narodowej irlandzkiej, aniżeli jej orędownikiem i zapaśnikiem naczelnym. Początki jego parlamentarnego zawodu prawie nie zwróciły na siebie uwagi.

Najwybitniejszą wówczas postacią pośród irlandzkiego stronnictwa był Izaak Butt. Był on przywódcą nielicznej wprawdzie ale energicznej partii narodowej. Wysoce wykształcony i wymowny, miał on przeciwko sobie z jednej strony wybryki i ulomności prywatnego życia, które mu odbierały samodzielność i niezależność, a z drugiej brak jasno wytkniętej linii politycznej. Nie był on też krańcowym rewolucjonistą, ale łączył do zachowawczego stronnictwa angielskiego. Wielce popularny, lubiany raczej niż szanowany, Butt nie miał dość energii, aby prowadzić hufiec irlandzkich deputowanych do parlamentarnych zapasów. Parnell od razu ocenił słabe strony tego przywódcy i, zamiast stanąć po jego stronie, wolał połączyć się z innym swym kolegą, p. Biggar, osobistością drugorzędną, ale gotową zawsze do oddania wszystkich usług swemu stronnictwu. P. Biggar był twórcą obstrukcyonizmu, to jest przedłużania dyskusji, wprowadzania dodatkowych artykułów do projektów prawodawczych, żądania ciągłych głosowań i t. d. Parnell bez wahania pomagał mu w tych psotach i fortelach, które do najwyższego stopnia drażniły przeciwników z ministerjum. Gdy Butt potępił tę taktykę, jako niegodną poważnych polityków, nastąpiło pomiędzy nim a Parnellem rozdzielenie, które nie ustało, aż ze śmiercią Butta w 1879 roku. Im więcej Butt tracił na popularności, im więcej gwiazda jego chyliła się do upadku, tem jaśniej świecić zaczynała parnellowska. Ażeby być sprawiedliwym, trzeba przyznać, że ten nowy ulubieniec narodowy nie inaczej pozyskiwał sobie pierwiastkową popularność, jak okazami swej krnąbrności i niezłomnego oporu względem władz i regulaminów parlamentarnych. Ale dla tłumu wystarczyły takie sceny, jak trzymanie parlamentu przez dwadzieścia dwie godziny bez odpoczynku, albo wynajdywanie kruszców przeciw czasowemu zawieszeniu go w roli deputowanego.

Bujna wyobraźnia Irlandczyków od razu obdarzyła go najrozmaitszymi zaletami, sypnęła mu takie zachęty, że nie można się dziwić, iż rozbudziła się jego ambicya i że postawił sobie plan działania na przyszłość. Jeszcze za życia Butta komitet wyborczy naczelny, kierujący ruchem irlandzkim, wybrał Parnella na prezesa stronnictwa autonomistów; po jego śmierci, w roku 1879, nie miał już współzawodnika.

Zahartowany do walki parlamentarnej, zawsze pan swej woli, swego słowa, Parnell nie miał zamiaru ograniczyć się i zamknąć w szrankach zapasów w izbie gmin. Jasny jego umysł zrozumiał, że hufiec stojących z nim kolegów będzie zawsze zmiażdżony przez dwa wielkie stronnictwa, torysów i whigów, które z kolei chwytaly władzę, ale Irlandyę traktowały zawsze z jednakowem lekceważeniem, nie jako naród samodzielny, wchodzący w skład monarchii brytańskiej, lecz jak podbitą prowincję. Ażeby móżdż stanąć na szali parlamentarnej jako Warwick, jako rozjemca, aby ją na stronę interesów irlandzkich przeważać, potrzeba mu było przede wszystkim zostać potęgą, zorganizować naród w jedno ciało, wyrwać go z odrętwienia i zastoju, w których ugrzązł był przez ostatnich lat kilkanaście, przeniknąć go jedną wspólną myślą, natchnąć jednym ideałem i poprowadzić go do walki z istniejącym systematem politycznym. Nim bój stanowczy miał się rozegrać w parlamencie westminsterskim, Parnell pojął, że mu trzeba będzie zostać pierwszej trybunem narodowym i tak gorącym, tak bezwzględny obrońcą praw i swobód publicznych, iżby zawsze, przy każdej okoliczności, na każde jego zawołanie cały naród irlandzki stanął poza nim, jak wielomilionowy zastęp żołnierzy poza generałem. Nie mógł sam przed sobą ukrywać, że mu brakowało wszystkich porywających, płomiennych darów, którymi opowiadać się daje masa narodowa, a szczególnie tak wrażliwa i tak uczuciowa, jak jest nią masa irlandzka. Pomiedzy tym wysokim, szczupłym, sztywnym Saksonem, o ciemnym włosie, głęboko zapadłych, szarych, stalowo-zimnych oczach, o słowie powolnem i monotonnem, niezdolnem zarówno do żartu, jak do wybuchu entuzjazmu, a charakterem i temperamentem irlandzkim były przeciwieństwa do pogodzenia niepodobne. Nie zewnętrznymi też środkami postanowił on zawładnąć duszą na-

rodu, ale narzucić się jej, jako wyższa potęga, ukazać się jako powaga intelektualna i nie porwać ją, ale przekonać, że nie ma nic lepszego do uczynienia, jak iść po drodze, jaką on wytknie. Nie można zaprzeczyć, że projekt taki był zuchwały, ambitny i świadczący o ufności w swe własne światło, jaką tylko wyjątkowe osobistości posiadać mogą. Gdy się taką rolę dyktatorską sobie nakreśli, trzeba koniecznie usprawiedliwić ją powodzeniem, inaczej jest się żywcem zagrzebanym pod zasłużonem urągowiskiem. Ponieważ Parnell od 1879 aż do 1890 roku usprawiedliwiał swe pretensye do przewodniczenia narodowi, idąc od jednych powodzeń do drugich, zatem dziwić się nie można, że stał się nieukoronowanym, ale samowładnym królem Irlandyi na dziesięć lat z okładem.

Jeżeli nie można wątpić o planie, jaki dla własnego działania 'zakreślił sobie Parnell zaraz w pierwszych latach swego publicznego zawodu, to byłoby błędem przypuszczać, że miał także już wtedy obraną metodę działania. Jako praktyczny i pozytywny polityk, był on oportunistą i stosować umiał akcyę do okoliczności, czasu i osób przewodniczących, a jako strategik biegły i czujny, zmieniał nieraz szyki w czasie kampanii, przerzucał się od jednych sprzymierzeńców do drugich, w miarę, jak mu ci lub tamci użyteczniejszymi się być zdawali. Zdarzało mu się popełniać błędy i nie małe, ale ponieważ nigdy nie spuszczał z oka ostatecznego celu, w jego dwoistej—społecznej i politycznej formie, więc mimo wrzawy przeciwników, mimo przesładowań, które napotykał, do brzegu zbliżył swą nawę. Wystarczy porównać obecne położenie Irlandyi z tem, jakie miała przed kilkunasty laty, ustępstwa, jakie jej uczyniono, i widoki, jakie ma przed sobą w najbliższej przyszłości, ażeby dojść do wniosku, że metoda akcyi jego była dla narodu korzystna.

Ażeby zorganizować masę narodową i poprowadzić ją do systematycznej, nieustannej walki z parlamentem, z rządem, ze społeczeństwem angielskiem, trzeba było postawić przed nią sprawę, któraby całej Irlandyi jednakowo leżała na sercu. Nie trudno było o taką. Irlandczycy nie zapomnieli dotąd, że za Henryka VIII-go, za Elżbiety i za Kromwella zostali wydiedziczeni, gwałtem wywłaszczeni z gruntów. Nie było w sercu Irlandczyków przedawnienia za ten gwałt, popełniony na ich

glebie, i nigdy nie zgodzili się uważać landlordów angielskich jako prawnych jej właścicieli. Wystarczyło postawić przed społeczeństwem wydziedziczonem, zubożałem, przetrzebionem epidemiami głodowymi, zagadnienie gruntowe, uwłaszczenie czynszowników, poskromienie nadużyć wielkich właścicieli, ażeby cały naród, od Donegalu do Kerry i Corku, zadrżał jednym pragnieniem, w jednej zespolił się agitacyi. Od Gracchów starożytnych kwestya agrarna służy trybunom ludowym za najlepsze narzędzie do agitacyi, ale nigdy bardziej usprawiedliwioną, jak tutaj, nie była.

Nieśmiałe, częściowe reformy gruntowe, przedsiębrane przez ministerium Gladstone'a przed jego upadkiem w roku 1874, dwa lata ciężkiego nieurodaju w 1877 i 1878 roku i powstałe wskutek tego klęski, epidemia, nędza i przymusowa emigracya—oto okoliczności, które pozwalają zrozumieć ogromne i natychmiastowe powodzenie, jakie zyskała u Irlandczyków liga agrarna. Nie należy sądzić, jak to powtarzać zwykli źle z przedmiotem obeznani, że Parnell założył tę ligę. Bynajmniej. Gdy wybrany został w roku 1879, w kilka miesięcy po śmierci Izaaka Butta, na jej prezesa, istniała już ona od roku, a podstawy i pierwsza jej organizacya nadane jej były przez Michała Davitta. Ten to proletaryusz, spędziwszy swe dzieciństwo i młodość na tułaczce, lata późniejsze w więzieniu za udział w tajemnych spiskach, powziął i przeprowadził ów projekt utworzenia *Land League* dla wyrwania czynszowników i wyrobników wiejskich z okropnej nędzy, w której ugrzęźli.

Było to dowodem wysokiego zmysłu politycznego ze strony Parnella, iż zgodził się być kierownikiem tej organizacyi i że zaraz w pierwszym roku swego zwierzchnictwa politycznego postawił jedną obok drugiej: akcyę społeczno-ekonomiczną, skryształizowaną w lidze gruntowej, i akcyę polityczną, skupioną w programacie *Home Rule*'u. Raz obznajmivszy się z kwestyą agrarną, nie zatrzymał się na półśrodkach, ale postawił w swej mowie w Westford, 8 lipca 1879 roku, program całkowity, radykalny. Żąda uwłaszczenia czynszowników i utworzenia drobnej własności na wzór tej, jaka została utworzoną w Belgii, Francyi, Prusach, Rosyi i t. d., bądź przez rewolucyjny przewrót, bądź drogą legalnego wykupu. Ponieważ jednak wielcy

właściciele odmawiają uwłaszczenia, liga gruntowa postawiła sobie za cel wywarcie na nich moralnego nacisku, uorganizowanie oporu i tymczasowe pozyskanie zmniejszenia rat dzierżawnych i czynszów.

Cały naród irlandzki odpowiedział wezwaniu i działalność ligi rozpoczęła się natychmiast. Parnell, otoczony gorącą miłością narodu, który uznał w nim sprężystego i odważnego wodza, rzuca się bez żadnej zwłoki w żar agitacji, objeżdża hrabstwa, przemawia na meetingach, dodaje animuszu czynszownikom, zagrożonym eksmisją. Brakowało materyalnych środków do żywienia proletaryatu wiejskiego, upadającego pod ciężarem nędzy, i czynszowników, niemiłosiernie wyrzucanych z ich opustoszałych zagrod. Ażeby zebrać fundusze, Parnell udaje się do Stanów Zjednoczonych, agituje na rzecz ligi gruntowej, przemawia na licznych zebraniach i od razu taką pozyskuje sobie sławę, że izba reprezentantów w Washingtonie czyni mu zaszczyt, jaki raz tylko pierwej wyświadczyła Kossuthowi, i pozwala mu na pełnem zebraniu kongresu wyłuszczyć swe zapatrywania na sprawę irlandzką. Pod względem finansowym nie tylko że udało się Parnellowi otrzymać natychmiastowy zasiłek 72,000 funtów szterlingów, ale uorganizowawszy na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych komitety irlandzkie, znalazł w nich od-tąd stałe i, rzec można, niewyczerpane źródło dochodów na przyszłość. Ta pierwsza jego amerykańska kampania przerwana została wiadomością o rozwiązaniu parlamentu i nowych wyborach. Wraca pośpiesznie do Irlandyi wiosną 1880 roku, kieruje wyborami, których rezultatem było powołanie 68 orędowników autonomii irlandzkiej do nowego parlamentu. Pierwszy peryod pracy nowego *leadera*, peryod przygotowawczy, organizacyjny, nie mógł być uważany za stracony. Obok namacalnych rezultatów praktycznych, uderzającym było wzmocnienie publicznego ducha wśród zrozpaczonego narodu. Zaprzestał już widzieć jedyny środek zbawczy w podziemnych knowaniach i spiskach, w napaściach i zamachach zbrodniczych. Akcja legalna zaczynała brać górę nad rewolucyjną.

II.

Gdy nowy parlament zebrał się w roku 1880, położenie ogólne było chaotyczne, a żadne stronnictwo nie widziało jasno przed sobą drogi. Nowo utworzony gabinet liberalny pod sterem Gladstone'a nie zdawał sobie sprawy z siły i znaczenia agitacji irlandzkiej i traktował ligę gruntową jako stowarzyszenie bezprawne, zagrażające utrzymaniu porządku publicznego. Mimo swego dobrego usposobienia względem deputowanych irlandzkich, które się stwierdziło w szeregu korzystnych dla nich bilów, drażnił ich, rozpoczynając kroki sądowe przeciwko lidze. Następstwem tych prześladowań był natychmiastowy wybuch zbrodni i napaści, popełnianych w Irlandyi, a do których podszczywowało stronnictwo krańcowe, radykalne w swej gorączkowej niecierpliwości i całkowitej pogardzie dla form legalnych. Jeżeli Parnell otwarcie i dobitnie potępił zbrodnie, popełniane przez tajne stowarzyszenia, to sam podsunął im inne, nie mniej nienawistne w oczach angielskich środki propagandy, jak n. p. bojkotowanie. Rozdrażnienie przeciwko przywódcom stronnictwa narodowego wzrastało tem bardziej, że i w parlamencie powrócili do taktyki obstrukcyjnej i stawiali opór regulaminowi. Gdy z jednej strony ministerium Gladstone'a przeprowadziło *Coercion Bill*, umożliwiającą represję nadużyć i bezprawia, z drugiej przedstawiło bil wysoce liberalny, który pozwalał czynszownikom wyjednywać przez komisję, utworzoną *ad hoc*, zmniejszenie raty dzierżawnej i dawał rozmaite sposoby nabywania na własność gruntów dzierżawnych. Chociaż bil ten, jak to ma zwykle miejsce w Anglii, nie był radykalny, lecz tylko przygotowywał lepsze warunki bytu dla wieśniaków irlandzkich, jednak niezaprzeczenie nosił tę cechę, iż trzeba uważać za wielki błąd ze strony deputowanych narodowych tę hałaśliwą i upartą opozycję, jaką mu stawiali. Ta walka ze stronnictwem, które weszło właśnie na drogę ustępstw, była do najwyższego stopnia niepolityczną. Nie potrzeba zapewne przypominać głównych jej pozaparlamentarnych epizodów, jako to: uwięzienie przywódców ligi, Davitta, Dillona i nakoniec samego Parnella — manifest jego, wydany z więzienia w Kilmainham, „*no rent!*“

czyli zabronienie czynszownikom wszelkiego opłacania czynszów — wypuszczenie uwięzionych na wolność — rozpoczęcie nowych negocyacji pomiędzy Parnellem a Gladstonem, i nakoniec okropne zabójstwo w Phoenix Parku. Zbrodniczy ten zamach, z piekielną zręcznością dokonany przez fenianów, był dla sprawy usamowolnienia Irlandyi ciosem niepowetowanym. Trzeba było całej zlej wiary *Times'a* i jego kliki, aby odpowiedzialność za to morderstwo zwać na Parnella. Wiadomo, że właśnie w tej samej chwili umawiał się on z prezesem gabinetu o nowy bil, ułatwiający wykup gruntów, i rozumie się, że nie kładł sztyletu w ręce mordercy do zgłodzenia krewnego i ulubieńca Gladstone'a, lorda F. Cavendisha. Rozumieć można zato zniechęcenie i rozpacz, jakie go ogarnęły. Trzeba było natarczywego nalegania kolegów, aby się wyrzekł zamiaru stanowczego usunięcia się z widowni publicznej.

Potrzeba było dłuższego czasu, ażeby się uspokoiły umysły wzburzone we wszystkich stronnictwach. Gladstone dał pierwszy dowód umiarkowania, zastępując p. Traveyanem dotychczasowego sekretarza stanu dla Irlandyi p. Forstera, skłaniającego się ku represyi, i przeprowadzając na sesyi parlamentarnej roku 1882-go nowy bil dla czynszowników irlandzkich — *the arrears bill*, — umarzający ich zaległości. Tym razem Parnell i jego stronnictwo popierali projekt rządowy. Irlandya, otrzymawszy dowody ulepszeń, jakie pozyskała jego taktyka, starała się okazać wdzięczność swemu niestrudzonemu przywódcy: Dublin ofiarował mu honorowe obywatelstwo, a składka narodowa zebrała i złożyła mu w dani pokaźną sumę 35,000 funtów szterlingów, przeznaczoną na spłacenie długów, obciążających jego dobra Avondale. Materyalnie od tej chwili Parnell stał się niezależnym, — ale z jednej strony ofiary, czynione na popieranie agitacyi publicznej, z drugiej kłopoty finansowe jego rodziny, której przychodził w pomoc, pochłaniały jego dochody. Nie był nigdy bogatym, a przynajmniej bogactwa nie używał.

Akcyja Parnella w ciągu dwóch lat następnych skierowana jest z jednej strony ku utrzymaniu karności między członkami stronnictwa narodowego, ku zneutralizowaniu komitetów rewolucyjnych i stowarzyszeń tajnych, a z drugiej do wywierania ciągłego nacisku na Gladstone'a i jego ministeryalnych ko-

legów. Pokazuje tym ostatnim swą siłę, wznowiając rozwiązana ligę gruntową pod nazwą ligi narodowej i trzymając przy głosowaniach w izbie stronnictwo ministeryalne w zupełnej zależności od głosów irlandzkich. Kupuje po prostu niektóre ustępstwa, jak n. p. usunięcie p. Traveyan'a, zapewniając gabinetowi cały zastęp irlandzkich głosów, gdy gabinet przeprowadza bil reformy wyborczej. Byłoby niesłusznem wyrzucać w tej epoce Parnellowi, jak to czyniono nieraz w obozie liberalnym, iż go zdradzał. Otwarcie zawsze w swych mowach na meetingach oznajmiał, że mu o nic innego nie chodziło, jak o dobro jego ojczyzny, i że gotów jest zawsze do negocjowania z tem stronnictwem angielskiem, które mu większe obieca ustępstwa. Skutkiem tej polityki było odstąpienie parnelistów od obozu ministeryalnego, upadek Gladstone'a w czerwcu 1885 roku. Pamiętny ten wypadek zdarzył się z powodu przedłożenia przez gabinet bilu przeciwko zbrodnicyz zamachom, popełnianym w Irlandyi. Jakkolwiek między stronnictwem liberalnem angielskiem a narodowcami irlandzkimi było wiele punktów stycznych i harmonia zasad, to nie chcieli ci ostatni nigdy uchwalać środków represyjnych przeciwko swemu krajowi. Gdyby byli zachowali neutralność, gabinet Gladstone'a byłby mógł nadal utrzymać się u władzy. Ale parneliści, wierząc w sympatyczne dla nich zapewnienia młodych torysów pod egidą lorda Randolpha Churchill, stanęli po stronie opozycyi i stali się sprawcami przyjścia do władzy gabinetu lorda Salisbury.

W pierwszych zaraz potem miesiącach Parnell mógł sobie wieszować dokonanej przezeń ewolucyi. Nowe ministerium nie szczędziło mu objawów swej dobrej woli. Nie tylko, że odwołano *Coercion Bill* i wprowadzono rozmaite ulgi do systemu administracyi surowej za rządów lorda Spencera, ale kwestya gruntowa uczyniła ważny krok na przód, dzięki przeprowadzeniu tak zwanego aktu lorda Ashburnam, albo *purchase act*. Suma 5,000,000 funtów szterlingów została pożyczoną przez skarb angielski komisji gruntowej irlandzkiej i do wysokości tej sumy wielcy posiadacze ziemscy mogli wyprzedawać grunta czynszownikom, którzy umarzali swój dług ratami. Naturalnie tak drobna suma mogła być tylko początkiem dzieła skupu, lecz w oczach Irlandczyków stawiała nareszcie zadanie ekonomiczno-społeczne na je-

dynym praktycznym gruncie i rozumieć można gorące poparcie, jakie mu dali w parlamencie. W tym to czasie miała też miejsce owa słynna i tak szeroko a rozmaicie komentowana rozmowa poufna między Parnellem a lordem Carnarvon, wice-królem Irlandyi. Jako dowód swej sympatyi dla Irlandyi, lord Carnarvon obiecywał nowy krok co do wykupu gruntów w myśl aktu lorda Ashburnam, energiczne poparcie przemysłu irlandzkiego, zniesienie wszystkich praw wyjątkowych i samorząd prowincjonalny. O ile obietnice wice-króla były wyraźne, dobitne, nie wiadomo, ale jest niezaprzeczonem, że jego zwierzchnik, lord Salisbury, wyparł się takowych i utrzymywał zawsze, że nigdy do uczynienia ich nie dał upoważnienia. Parnell, zapewniony, że znajdzie u torysów dobrą wolę i gotowość do spełnienia, w wielkiej części przynajmniej, jego własnego programu, rzuca się energicznie do kampanii wyborczej i w mowie swej w Dublinie bez najmniejszych ogródek oznajmia, iż ostatecznym jego celem jest pozyskanie dla Irlandyi autonomii, oddzielnego parlamentu narodowego, zniesienie przymusowej unii 1800 roku i wejście Irlandyi jako swobodnego narodu do federacyjnego organizmu Wielkiej Brytanii.

Dopóki trwała walka wyborcza do nowego parlamentu, torysi nie podnosili głosu przeciwko radykalnemu programowi Parnella, z którym szli ręką w rękę. Rezultat wyborów był jednak dla sprzymierzeńców niepomyślny. Przeciwko 85 Irlandczykom i 250 torysom wybrano 335 whigów. Ministerium zachowawcze nawet przy poparciu narodowców irlandzkich nie mogło liczyć na większość. Nie pozostawało mu nic innego, jak upaść z godnością w obronie zasad zachowawczych, i istotnie zaraz po otwarciu jedenastego parlamentu królowej Wiktorii, 12 stycznia 1886 r., gabinet runął, proponując zniesienie ligi narodowej irlandzkiej. Był pewien cynizm ze strony torysów w takiej gwałtownej i natychmiastowej ewolucyi. Parneliści mieli jednak drogę jasno wytkniętą przed sobą: popierając nowo utworzone ministerium liberalne Gladstone'a, nie tylko zagładzą błąd w ubiegłym roku popełniony, ale otrzymać potrafią ustępstwa i reformy, za którymi się bezskutecznie ubiegali.

Układ pomiędzy Parnellem a Gladstonem został niebawem zawarty. Jest to w historyi Irlandyi, w historyi liberalnej

Anglii i w historyi osobistej Parnella moment nadzwyczajnej doniosłości. Irlandya nie może drogą gwałtu i rewolucyi otrzymać autonomii i przy każdym jej porywie tego rodzaju w głębsze zapada przepaści. Potrzeba jej było znaleźć wśród społeczeństwa angielskiego i wśród prawnych jego przedstawicieli sprzymierzeńców. Egoistyczna i ciasna polityka stronnictw nigdy dotychczas nie pozwalała na utworzenie takiego związku. Trzeba było genialnego, entuzyastycznego męża stanu, jakim jest Gladstone, aby plan taki powziął i otwarcie powiedzieć swemu własnemu stronnictwu, swemu narodowi, iż po wielowiekowej polityce gwałtów, ciemństwa i niesprawiedliwości nadeszła chwila spróbować nareszcie innej, polityki zaufania, swobody i równouprawnienia. Nie było dosyć postawić abstrakcyjne zasady, ale trzeba było w praktyczny sposób trudności konstytucyjne i ekonomiczno-finansowe rozwiązać. Takiego olbrzymiego zadania podjął się Gladstone. Ażeby go nie ocenić i nie schylić przed nim czoła, trzeba być zaślepionym duchem stronnictwym i rzucić rękawicę sprawie postępu i cywilizacyi. Sam zamiar Gladstone'a nadania Irlandyi samorządu i uwłaszczenia jej włościan jest rehabilitacją współczesnej Anglii. Nie temu się dziwić należy, iż projekta jego zostały odrzucone w pierwszej chwili, ale temu, że znalazły tylu i tak gorliwych popleczników. Stronnictwo liberalne angielskie sformułowało już przez organ swego urzędowego leadera swoje *credo* względem Irlandyi i przyjęło zobowiązanie spełnienia go, gdy kraj na nowo do władzy je powoła.

Ten nadzwyczajny, ten nieoceniony przewrót osiągnięty został przez agitacyę publiczną i przez parlamentarną działalność irlandzkich patryotów pod dowództwem Parnella. Jemu należy się honor i zasługa podniesienia i wyklarowania świadomości i on przez swą taktykę rzutną, czujną a energiczną udowodnił, że dopóki sprawa irlandzka zalatwiona nie będzie, żadne reformy wewnętrzne nie dadzą się przeprowadzić przez parlament i że żadne ministerium bytu swego ani swego jutra pewnem być nie może. Gdy spojrzymy na dwa bile irlandzkie, o samorządzie i o uwłaszczeniu, przedłożone parlamentowi na dwóch wielkopomnych posiedzeniach 8 i 16 kwietnia 1886 r., to musimy przyznać, że Parnell manewrował znakomicie, skoro

potrafił natchnąć Gladstone'a przekonaniem o potrzebie reform tak radykalnych.

Zbytecznem byłoby wchodzić tutaj w szczegóły tych dwóch bilów, które nawet w oczach ich autora miały być tylko podwaliną do wzniesić się mającego gmachu, wspólnym gruntem do obrad i wzajemnych ustępstw. Dość będzie przypomnieć, że Irlandya miała mieć swój parlament i swoje ministeryum do spraw krajowych, nie przestając być składową częścią monarchii i uczestnicząc we wspólnych ciężarach. Pierwszorządny finansista, jakim jest Gladstone, wszedł od razu w szczegóły organizacyi skarbowej, która, dając rękojmię Wielkiej Brytanii, zapewniała dla Irlandyi odrodzenie ekonomiczne. W sprawie uwłaszczenia bil Gladstone'a opierał się na wykupie, umożliwionym przez zaliczkę 50 milionów funtów szt. przez skarb angielski. Suma ta na pierwszy rzut oka jest niedostateczną, ale była ona pierwszym ogniwem łańcucha, po którym byłyby nastąpiły inne.

Jak czytelnicy sobie przypominają, kilkudziesięciu członków liberalnego stronnictwa angielskiego, pod przewodnictwem lorda Hartingtona, *sir* Henryka James i p. Józefa Chamberlain'a, nie chciało przyłączyć się do polityki pierwszego ministra, utrzymując, że następstwem jej będzie musiasto być zerwanie jedności monarchii. Wskutek ich odstępstwa oba bile odrzucone zostały na posiedzeniu 7 czerwca większością 30 głosów, a w trzy dni później Gladstone rozwiązuje parlament i odwołuje się do narodu. Parnell, który oczywiście mógł w tym lub owym drugorzędnym szczególe różnić się od zapatrywań i projektów Gladstone'a, oświadczył się w najenergiczniejszy sposób za nim i zawezwał swój naród do podtrzymywania liberalnego stronnictwa w kampanii wyborczej. Ale mimo agitacyi nadzwyczaj czynnej, mimo tej nieporównanej oratorskiej walki w Midlothian, jaką Gladstone zdziwił świat współczesny, opinia narodowa nie wypowiedziała się stanowczo. Idee, rzucone w społeczeństwo przez wodza, nie miały jeszcze czasu przeniknąć w łono mas; rozbrat w stronnictwie liberalnem paraliżował także jego siły. Chociaż z pośród 2,500,000 głosujących stronnictwo zachowawcze, nieprzyjazne Irlandyi, miało zaledwie tylko 80,000 głosów większości, wystarczyło to do zwalenia ministeryum liberalnego i po-

grzebania rozbijały nadziei Irlandyi. Nowo uformowany gabinet lorda Salisbury opierał się na 316 zachowawcach i 73 odstępcach liberalnych, a miał przeciwko sobie 194 whigów i 85 parnelistów.

Dla tych ostatnich nastąpiła teraz epoka ciężkich przepraw. Im większe nie dawno jeszcze żywili nadzieje, tem boleśniej gniotła ich rzeczywistość. W takich chwilach, gdy zniechęcenie ogarnąć może słabe umysły, charaktery silne i męskie składają o sobie świadectwo. Parnell nie chciał tracić czasu i zaraz w początkach nowej sesyi wniósł bil, mający na celu dostarczenie ulgi czynszownikom, niebędącym w możności opłacania swych rat. Pomimo umiarkowanego charakteru tych propozycji, bil ten został odrzucony przez stronnictwo ministeryalne. Odpowiedź Irlandczyków nie dała długo na siebie czekać. W dniu 23 października tegoż 1886 r. ogłoszony został ów osławiony *Plan of Campaign*. Jak wiadomo, zalecał on czynszownikom, ażeby w każdym razie, gdy właściciel nie zgodzi się wziąć połowy raty, prawnie mu przypadającej, wstrzymali się zupełnie od zapłacenia czynszu i wnieśli sumy do kasy ligi narodowej, która będzie korporacyjnie za nich działać i opiekować się nimi w razie, gdy zostaną wypędzeni ze swych zagród.

Jakkolwiek żywe mogą być sympatyje dla Irlandczyków, niepodobna się tutaj uznać ich stronnikiem. Plan działania, jaki wskazany został czynszownikom, był nielegalny, rewolucyjny i organizował łupiestwo i samowolę. Nie można się dziwić, że wywołał nieporządki, bunt i, jako odwet, srogą, bezlitosną represyę, której Michelstown pozostało ostatniem, krwawem słowem. Stronnictwo torysów, które przechyleniu się Irlandczyków do whigów Gladstone'a zawdzięczało i dawniejszą utratę władzy i obecne trudności, traktowało ich z tem większą srogością, że wybryki i bezprawia, popełniane przez motłoch irlandzki, a których potępić nie chcieli, oburzały całe społeczeństwo angielskie. Na próżno przypominano stronnictwu ministeryalnemu, iż w czasie kampanii wyborczej sprzeciwiali się wprowadzie samorządowi i uwłaszczeniu ogólnemu, ale że obiecywali szerokie reformy. Nie chcieli teraz o niczem podobnem słyszeć, utrzymując, że naprzód należy przywrócić poszanowanie dla prawa i porządek. Lord Salisbury w publicznej mowie oznaj-

mił, że gdy przez jakie 20 lat żelazne rządy skruszą krnąbrność Irlandyi, to wtedy może, ale nie pierwiej, będzie można myśleć o ulgach, ustępstwach i reformach. Jako wykonawcę polityki represyi powołał do gabinetu swego własnego siostrzeńca, dawniej sekretarza przybocznego, debiutującego w zawodzie politycznym i przynoszącego doń obok widocznych talentów umysł zuchowaty, temperament sarkastyczny, słowo pogardliwe, zaprawne żółcią i ironią. Tego rodzaju sekretarz dla Irlandyi, jakim był p. Artur Balfour, zapowiadał nie uśmierzanie walki, ale jej rozgorączkowanie.

Istotnie, ministeryum lorda Salisbury przez organ p. Balfour'a i przy pomocy parlamentu, gdzie dawni liberalni członkowie przedstawiali się jeszcze zajadlejszymi od torysów starego autoramentu, okazało niestrudzoną energię w represyi. Liga narodowa została rozwiązana i wystarczało uczestniczyć na jej zebraniach, albo dawać o nich sprawozdanie w prasie, aby być pociągniętym do odpowiedzialności sądowej. Ponieważ zaś ustanowione były trybunały wyjątkowe *ad hoc*, złożone z sędziów, mianowanych przez p. Balfour'a, zatem wyroki drakońskiej surowości sypały się gradem. *Coercion Bill*, wprowadzony teraz w życie, znosił w Irlandyi swobodę słowa, zebrzań, obrad, organizacyi. Większa część deputowanych irlandzkich została oskarżoną o bezprawną agitacyę i skazaną na więzienie przez trybunały wyjątkowe. Wtrąceni do więzienia zmuszeni byli przywdziać ubiór galerników i odbywać ciężkie roboty. Z prawdziwą zajadłością pastwiono się nad bezsilnymi przeciwnikami, a p. Balfour naigrawał się nad nimi. Dwa lata całe trwała walka i wśród powszechnego roznamiętnienia, wśród napaści, oskarżeń i potwarzy, miotanych bez przerwy, niezakłócony spokój i marmurowy chłód Parnella stanowił rażącą sprzeczność. A na niego naturalnie, jako na przywódcę narodowej partyi irlandzkiej, zwracała się nienawiść przeciwników. Postanowili go skruszyć, zbezcześcić, i wszystkie środki do tego celu zdawały się usprawiedliwionymi. *Times*, służący im jako organ, zaczął ogłaszać rozmaite listy Parnella i dokumenty, świadczące, że podzegał do zabójstw i przekupywał morderców i że, podczas gdy publicznie stał na gruncie prawa, potajemnie trzymał z fenianami i anarchistami rewolucyjnymi. Dziennik nie tylko, że ogłaszał

podobizny listów Parnella, ale oświadczał, że gotów udowodnić prawdę swych oskarżeń. Oburzenie na przewrotność Parnella było ogromne, a widząc, że pogardzał długo takimi potwarzami, uwierzyli, bo uwierzyć chcieli, że istotnie był winny. Nareszcie, ulegając wymaganiom swego stronnictwa, Parnell oświadczył, że jest gotów poddać się sądowi i wyrokowi komisji parlamentarnej, której bezstronność nie ulegała podejrzeniom. Rząd odrzucił to żądanie i mianował specjalną komisję śledczą. Nie tylko nad listami Parnella miała ona prowadzić śledztwo, ale wezwać przed kratki swego trybunału wszystkich agitatorów irlandzkich, wszystkich członków ligi gruntowej i ligi narodowej. Całe stronnictwo narodowe, cała polityka ostatnich lat dziesięciu została niespodzianie posadzona na ławie oskarżonych. Ministerium pokazało swoją stronnicość, nie tylko upoważniając wszystkich swych urzędników i agentów do składania świadectw przeciwko Parnell'owi, ale powierzając jednemu ze swych członków, attorney'owi naczelnemu, *sir* Richardowi Webster, obronę dziennika *Times*.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy dramatyczne epizody tego procesu pomiędzy *Times*'em a Parnellem. Największe wrażenie wywołało wykrzycie, że owe listy, które p. Macdonald, wydawca *Times*'a, zakupił od niejakiego p. Houston, agenta torysów, były podrobionymi, fałszowanymi listami, do autorstwa których przyznał się niejaki Pigott, łotr podrzędnego kalibru. Trzeba było istotnie zaślepienia, jakie daje nienawiść, aby w prawdziwość tych dokumentów uwierzyć, a dziennik, który się ich autentycznością zaślaśniał, popełnił nie pierwszą, ale zdumiewającą nikczemność. Ohydny Pigott samobójczą śmiercią skończył swój żywot, a niewinność Parnella została wykazana jak najdowodniej. Rząd starał się wlec śledztwo przez długie miesiące, ale publiczność nie przywiązywała do niego żadnego głębszego znaczenia. Nie można było wymagać większego zadośćuczynienia, jak to, które Parnell otrzymał. Komisja, złożona z jego nieprzyjaciół, uznała jego niewinność; *Times* zapłacił mu dobrowolnie grzywny 5,000 funtów szterlingów, jako kosztu procesu; w izbie gmin, gdy się tam pierwszy raz pojawił, sprawiono mu owacyę bezprzykładną; wielkie mee-

tingi odbywały się na jego cześć w Londynie i wielu miastach angielskich; Edyburg i inne miasta ofiarowały mu godność honorowego obywatelstwa. Stronnictwo liberalne tryumfowało z nim razem, opinia kół zachowawczych angielskich zwracać się ku Irlandyi zaczęła, i Parnell, otoczony ogólnym szacunkiem, fanatycznie uwielbiany w swej ojczyźnie, zdawał się, niesiony przez pomyślne fale, zbliżać do zbawczej przystani. Ale i tutaj, jak nieraz w dziejach, tryumfator kapitołski znalazł się na dnie tarpejskiej przepaści.

III.

Historia tego wypadku jest zbyt świeża, ażeby potrzebowała długich wywodów. Prywatne życie i prywatna moralność zламаła publiczny zawód Parnella. Kapitan O'Shea, Irlandczyk, przyjaciel jego, oskarżył go w pierwszych miesiącach 1890 roku o cudzołóstwo ze swoją żoną. Nie potrzebujemy się zapytywać, co skłoniło naraz p. O'Shea do wytoczenia procesu rozwodowego i jak się stało, że stosunek, który był powszechnie znany od lat kilku, wydał mu się nagle wielce podejrzanym i nagannym. Są ohydy moralne, w których otchłań ze wstrętem się tylko spogląda. Nie trudno jednak zrozumieć, że polityczni nieprzyjaciele Parnella, do wysokiego stopnia rozdrażnienia niepowodzeniem, jakie ich spotkało w procesie *Times'a*, poszukali innego a skuteczniejszego narzędzia do zgębienia swego przeciwnika; posiadając i wpływy urzędowe i pieniędzy w bród, nie znaleźli przeszkód do poduszczenia gniewu zdradzonego męża. A wiedzieli dobrze, że społeczność angielska nie pozwala, ażeby brudy i skandale były stwierdzone publicznie: hipokryzja towarzyska pozwala zamykać na nie oczy przed procesem, ale nie po nim. Tak jak zniweczyli Karola Dilke przez proces rozwodowy małżonków Crawford, tak podsadzili minę pod losy Parnella w procesie O'Shea. Po kilkomiesięcznem zawieszeniu, przyszła nareszcie w listopadzie 1890 roku ta skandaliczna sprawa rozwodowa przed trybunał londyński. Ani Parnell ani pani O'Shea nie uznali za właściwe stanąć przed jego kratkami i zo-

stali potępieni zaocznie. Wszystkie epizody tego rodzaju stosunków, ukrywanie się, wybiegi, kłamstwa, fałszywe preteksty i t. p., były wywleczone bezlitośnie na światło dzienne i, dzięki komentarzom prasy a zajęciu się publiczności tą sprawą, otrzymały rozgłos nadzwyczajny i rzuciły na Parnella światło niekorzystne. Prasa torysowska tryumfowała, utrzymując, że tego rodzaju niemoralny wódz polityczny jest zakałą swego stronnictwa i że życie prywatne występne jest nowym dowodem niesumienności publicznego.

Parnell, zboleły ciosem, jaki dotknął kobietę, która była jedyną jego miłością, nie przypuszczał w pierwszej chwili, ażeby ten wyrok trybunału miał odbić się na jego stanowisku wodza Irlandyi. Utwierdził go w tem przypuszczeniu wybór ponowny na *leadera*, który parlamentarne koło Irlandczyków dokonało w parę dni po ukończeniu procesu. Ale wkrótce przekonał się, że rzeczy inny biorą obrót. Stronnictwo narodowe irlandzkie o tyle tylko jest w stanie przeprowadzić swój plan polityczny, o ile popierane jest przez liberalne angielskie. Dowódca tego ostatniego, Gladstone, nabrawszy przekonania, że sekty nonkonformistów, wywierające wpływ przeważny wśród warstw ludowych, odwróciły się od Parnella ze wstrętem i potępiły go stanowczo, zrozumiał niebawem, że niepodobna płynąć przeciw prądowi i oświadczył w publicznym liście, że zrywa na przyszłość wszelkie stosunki z Parnellem i znać go nie chce. Był to grom, druzgocący stanowisko irlandzkiego *leadera*. Kiedy agitacja rosła, on jeden nie zdawał sobie sprawy ze swego położenia. Dotknięty w swej ambicyi, swym honorze, nie przypuszczał, żeby Irlandczycy go opuścili i, ufny w ich niewygasłą wdzięczność, w ich posłuszeństwo dla wydanego przez się hasła, postanowił utrzymać się na dyktatorskim stanowisku wbrew woli swych angielskich sprzymierzeńców. Pod świeżem wrażeniem otrzymanej zniewagi ogłosił 28 listopada 1890 r. ów nieszczęśliwy manifest do narodu irlandzkiego, który stał się dlań kamieniem grobowym. Trudno wymarzyć krok mniej polityczny. Z jednej strony poduszczał instynkta narodowe, twierdząc, że Anglicy nie mają prawa narzucać Irlandczykom wodza, z drugiej z czarną niewdzięcznością rzucał się na Gladstone'a,

zdradzał tajemnicze pomiędzy nimi obrady i krytykował plan samorządu dla Irlandyi, ten sam plan, który dotąd uważał za zadawalniający. Jeżeli można wybaczyć człowiekowi, uginającemu się pod nawałem domowego nieszczęścia, utratę zimnej krwi, to zjawisko to było niepodobnem do zrozumienia u niego, który ją właśnie w tak wysokim stopniu posiadał.

Od ogłoszenia tego manifestu stało się widocznem, że o żadnem porozumieniu się Parnella z whigami już mowy być nie może, a Irlandczykom pozostawało oświadczyć się bądź za nim, bądź za samodzielną akcją przeciw skojarzonym stronnictwom angielskim, bądź za dalszym sojuszem z obozem liberalnym przy potępieniu swego dotychczasowego przywódcy. Uczucie wskazywało jedną drogę, rozum polityczny drugą. Jak z góry przewidzieć było można, nastąpił rozłam w łonie społeczeństwa irlandzkiego. Duchowieństwo, największa i najlepiej zorganizowana siła narodowa, zerwało z Parnellem; deputowani w parlamencie podzielili się na dwa skrzydła—i kiedy większość, z 45 członków złożona, obrała sobie za wodza p. Justyna Mac Carthy, narodowego historyka i wielkiego pisarza, mniejszość—26 członków—została wierną Parnellowi. Pomiedzy obu skrzydłami wszczęła się wojna bratobójcza, zjadła—i kiedy obóz liberalny angielski patrzył na jej hałaśliwe epizody z żalem i z trwogą, torysi nie taili swej radości i podzegli do niej bez ustanku, przechylając się zawsze ku tej stronie, która wydawała się im chwilowo słabszą.

Parnell, trzeba przyznać, nie szczędził swej działalności, prowadził swój zmniejszony hufiec przy każdej sposobności do boju, ale naturalnie na powodzenie takie jak dawniej rachować nie mógł. W jednym po drugim okręgu wyborczym kandydaci przezeń protegowani nie zostawali wybranymi; jedni po drugich odbiegali go dawni stronnicy, fundusze z Ameryki przestały wpływać do jego kasy i widocznie słońce miało się ku schyłkowi. Umysł tak jasny, jak Parnella, nie mógł żywić złudzeń co do czekającego go osobiście losu, i nie trudno sobie wyobrazić goryczy, która serce jego przepełniać musiała w tych ostatnich miesiącach coraz trudniejszej, coraz niewdzięczniejszej

walki. Siły jego fizyczne wyczerpywały się i można było przewidywać rychły ich upadek.

Wiadomość o jego zgonie, który nastąpił 6 października 1891 r., po trzydniowej chorobie, rozległa się głosem trąby jerychońskiej po wszech angielskich ziemiach, a w Irlandyi wywołała osłupienie i okrzyk rozpaczy. Zapomniano tam o błędach, popełnionych w ostatnich kilku miesiącach, a oddawano hołd niestrudzonej pracy dla Irlandyi. Pogrzeb jego na cmentarzu dublińskim stał się okazją wielkiej, wymownej manifestacji narodowej. Śmiertelne jego szczątki złożone zostały nieopodal od grobowca O'Connella, jego wielkiego poprzednika. Zasłużył i na tę apoteozę pogrobową i na odpoczynek w łonie ziemi ojczystej. Jednego chyba, w jego interesie, żałowaćby można: że śmierć ta nie nastąpiła o rok wcześniej: nie byłoby skazy wtedy na jego tarczy.

Historia, wątpić nie można, zapisze imię wielkiego agitatora irlandzkiego na jednej z pięknych swych stronic, odda hołd pierwszorzędnym jego zasługom, a wybaczy błędy ostatnich czasów. Obecnie za blisko stoimy jeszcze niego, aby się silić na niepodobną do wyrobienia w nas bezstronność. Ale i teraz już można ocenić korzystne dla Irlandyi następstwa drogi przez Parnella wytkniętej. Udało mu się tak silnie zorganizować naród i do takiej wysokości podnieść jego dyapazon, że ministerjum zachowawcze uznało za konieczne w ciągu ostatniego roku swych rządów zmienić swe stanowisko względem Irlandyi i uczynić jej ustępstwa. P. Balfour oświadczył naraz, że Irlandya jest uspokojoną, że ugięła się przed majestatem prawa, że ilość zbrodni się zmniejszyła i że nadeszła pora zadośćuczynienia żądaniom narodowym. Przedłożył w imieniu gabinetu nowy projekt uwłaszczenia częściowego, w myśl dawniejszego aktu lorda Ashburnam, i skarb angielski uczynił irlandzkiej komisji gruntowej zaliczkę 35,000,000 funtów szterlingów na warunkach, przedstawiających daleko mniej bezpieczeństwa dla Anglii, aniżeli to miało miejsce w bilu Gladstone'a. Oprócz tego dowodu swej dobrej woli względem Irlandyi, gabinet lorda Salisbury dał jeszcze inne, mianowicie: rozpoczęcie robót publicznych, zapobieżenie głodowi i nakoniec obietnicę, że na ostatniej sesyi

parlamentarnej przedłożony będzie bil o reformie administracyi prowincjonalnej i inny bil o oświacie publicznej. Wprawdzie pierwszy z tych bilów został tak źle przyjęty w parlamencie, że go ministeryum pośpieszyło wycofać, ale ta zmiana frontu zawziętych przeciwników Irlandyi nie komu innemu, jeno Parnellowi przypisaną być musiała. Poza grobem stoi on jeszcze jako duch opiekuńczy swej ojczyzny.



KWESTYA RELIGIJNO-KOŚCIELNA.



Filozofowie XVIII-go wieku i huragan rewolucyjny, będący ostatecznym wynikiem ich teoretycznego przedziwa, nie zagrzebali tak całkowicie problemów religijnych i kwestyi kościelnej, jak to sobie pochlebiali. Od dawna powróciły one na pierwszy plan tam nawet, gdzie chwilowo strącono je na podrzędne stanowisko, i nigdzie nie pozwalają się traktować jako *ein überwundener Standpunkt*. Nie dotykając bynajmniej kwestyi wiary religijnej samej w sobie, trzeba by być dziwnie zaślepionym, aby lekceważyć cywilizacyjne pierwiastki, świadczące o takiej żywotności. Cała druga połowa bieżącego stulecia nacechowana jest wznowieniem walki pomiędzy kościołem a państwem, a bezstronność przyznać nakazuje, że pierwszy nie poniósł dotąd żadnych strat takich, któreby blizki jego upadek zapowiadały. Zniesienie władzy świeckiej papieża nie zmniejszyło jego powagi moralnej i kanonicznej wśród katolickiego świata; o *Culturkampfe* niemieckim powiedziano, że kończy się powtórnią Kanossą; nawet anty-klerykalna polityka rzeczypospolitej francuskiej została surowo potępiona przez znaczną większość Francuzów, najmniej religijnego z narodów. Choćby się nawet pałało fanatyczną nienawiścią do kościoła, nie ma się

prawa całkiem takich objawów pominąć. Nie na lata i nie na dziesiątki lat, ale na całe wieki dalszej walki trzeba tedy być przygotowanym. Ilekroć teorye anty-religijne uzbrajają władzę państwową w represyjne środki przeciwko kościołowi i jego organizacji, tyle razy następuje ze strony społeczeństwa silna reakcja w kierunku przeciwnym. Niecierpliwi zwolennicy wolnej myśli powinni się uzbroić w wytrwałość: godzina ich ostatecznego zwycięstwa nie wybiję jeszcze tak prędko.

Byłoby błędem sądzić, jakoby żywotność religijna ograniczała się do krajów, znajdujących się pod wyłącznem lub przeważnem zwierzchnictwem kościoła katolickiego. Nie należy przedstawiać tego ostatniego jako smoka, czyhającego na zagładzenie zdobyczy cywilizacyi nowoczesnej. Jeżeli żywi on istotnie takie zaborcze widoki, to żywi je nie tylko w katolickich, ale i w protestanckich krajach. W pierwszej chwili czytelnik pomówić nas może o paradoks, ale nie wahamy się powiedzieć, że właśnie u tych ostatnich, właśnie w łonie protestantyzmu walka jest żywszą i agitacya energiczniejszą. Chwila zastanowienia przekonana ich, że to zjawisko leży w naturze rzeczy.

Architektonika kościoła katolickiego jest całkowicie wykończoną. Ani jednej cegielki nie brakuje w tym wspaniałym gmachu. Członkowie tego wszechpotężnego organizmu nie potrzebują się troszczyć o udoskonalenie takowego; pozbawieni wszelkiej inicjatywy, ograniczać się winni do działania w duchu sformułowanej dogmatyki kościoła. Ten ostatni strzeże swych przywilejów i swojej całości przeciwko państwu i świeckiemu organizmowi. Niema tedy w łonie katolicyzmu miejsca na reformy wewnętrzne — neokatolicyzm d-ra Döllingera i księdza Hyacinta Loyson są tego dowodem, i wielka machina toczyć się może obecnie niczem więcej, jak siłą nabytą, siłą swego rzutu.

Inaczej wpośród protestantyzmu. Raz otworzywszy wrota teologicznym sporom, swobodnej egzegezie Pisma Ś-go, krytyce tradycyi i źródeł religijnych, niepodobna mu było później powstrzymać prądu i pracy odśrodkowej. Życie religijne w krajach protestanckich manifestuje swoje istnienie bezustanną polemiką, agitacją, propagandą. Proces krystalizacyi nie jest skończony, jutro nie jest i być nie może podobnem do dnia one-

gdajszego. Jeżeli kościół protestancki musi tak samo jak katolicki walczyć o swój byt materyalny, o swoje stanowisko, swój wpływ moralny, których chcą go tu i owdzie pozbawić rządy, to oprócz tej nieuniknionej walki z postronną potęgą ma on jeszcze u siebie wewnętrzne spory i domowe burze. Nie należy tracić z uwagi tych dwóch stron życia w protestantyzmie. Kwestya kościelna w Wielkiej Brytanii ma wiele wyłączności, które treściwie wyłuszczyć się postaramy.

I.

Największą trudność w jasnem zrozumieniu stosunków religijnych angielskich stanowi rozmaitość organizacyi kościołów. Nie mówimy o rozmaitości dogmatów, a jeszcze mniej o różnicy etyki, gdyż uważamy jako niezbitą prawdę to stare i tyle razy wypowiedziane spostrzeżenie, że na polu teoretycznem porozumienie się, zlanie w jedną owczarnię, byłoby możliwem, gdyby mu nie stanęła na przeszkodzie organizacya kościelna. Duchowieństwo jako korporacya, jako zawód, posiadające swoje odrębne interesa, dążące do zabezpieczenia swego materyalnego i moralnego stanowiska, wytwarza kościół: ten energicznie zachować się stara swoją odrębność i wyłączność. Historia religijna Wielkiej Brytanii coraz bardziej traci swój charakter dogmatyczny, kiedy tymczasem nie można jeszcze przewidzieć epoki, w którejby różne kościoły, silnie uorganizowane, zechciały zlać się w federacyjny związek. Obecnie jest to chaotyczny świat, las o zbliżonych konarach, o poplątanych gałęziach, o pokrzyżowanych korzeniach. Nie tylko, że istnieje oprócz religii państwa, religii stanu, niezliczona ilość sekt i wyznań, ale nie wystarcza jej nawet jedna religia stanu: ma ich aż dwie. W Anglii rząd wyznaje religię anglikańską, w Szkocyi presbterykańską. Jeden ten szczegół daje już wyobrażenie o innych. Ponieważ monarcha angielski jest głową kościoła, od dawna zaważono, że musi mieć dwie głowy. Bolingbroke twierdził żartobliwie, że właśnie dlatego nie ma żadnej.

Religia rządowa, kościół wskazany narodowi przez państwo jako droga do zbawienia—oto rys charakterystyczny spo-

łeczeństwa angielskiego. Nie należałoby punktu tego całkiem pomijać milczeniem, gdy mechanicznie powtarzając stare oklepanki zużyte, wysławia się nieograniczone swobody anglo-saskiego społeczeństwa. Istniały tam i istnieją religie uprzywilejowane.

Wiemy, jak się zrodził protestantyzm w Anglii, jak jego sztandar zatknął kapryśny tyran Henryk VIII, mąż Anny Boleyny. W 1534 roku uczynił on rozbrat z katolicyzmem, zważył zwierzchnictwo papieża i sam się ogłosił głową kościoła narodowego. Zamknięto wówczas klasztory, spalono obrazy, posągi, relikwie, skonfiskowano na rzecz państwa majątek kościelny. Pomimo tej nienawiści do katolicyzmu rzymskiego, kościół anglikański—*the Church of England*—nie zerwał był z nim ostatecznie. Sam Henryk VIII pozostawił był jeszcze siedem sakramentów i władzę biskupią. Wprawdzie po jego śmierci fantastyczne te teologiczne pomysły utrzymać się nie mogły i protestantyzm angielski uczynić musiał nowy krok na przód, do logiczniejszej organizacyi. Stało się to na synodzie londyńskim w 1571 roku, za Edwarda VI. Objęto całe wyznanie wiary w 39 artykułach, ustanowiono liturgię i książkę modlitw (*Prayer Book*). Tak ukonstytuowana religia postawioną została pod zwierzchnictwem straż parlamentu, i od tej epoki niezmienny w swoich dogmatycznych posadach, swojej liturgii, swojej organizacyi wewnętrznej istnieje *the established Church*.

Nie trzeba zapominać, że kościół ten był transakcją pomiędzy katolicyzmem, którego zatrzymywał tradycje, liturgię, obrządki, hierarchiczny ustrój biskupi, a demokratyczno-racjonalistycznymi dążeniami kalwinizmu, wyrosłego na szwajcarsko-francuskim gruncie. Transakcyja ta leżała w naturze rzeczy i działały na nią rozmaite prądy społeczeństwa tak samo, jak odmienne zapatrywania królów. Henrykowi VIII-mu szło przede wszystkim o to, aby Anglia nie była katolicką, Edwardowi—aby została kalwińska, królowej Maryi—aby powróciła na łono Rzymu, a królowej Elżbiecie—aby miała swój kościół odrębny, samodzielny. Tak samo jak w pierwszej epoce istnienia, tak i w całym następnym rozwoju dwie tendencje przeciwne walczyły z sobą bez ustanku w łonie anglikańskiego kościoła, mimo jego urzędowej powagi i jednolitego charakteru. Nie

było monarchy, gabinetu, parlamentu, któryby w mniej lub więcej jawny sposób nie wykazał swoich sympatyj do jednego z dwóch składowych żywiołów kościoła — tradycji lub swobodnej krytyki. Często sympatyje te tak były żarliwe, że wyradzały energiczną, chociaż stłumioną opozycję strony przeciwnej. Jest to zwykle następstwo tranzakcyi: są one zawieszeniem broni aż do chwili, gdy jedna ze stron sądzi się zdolną do narzucenia swej woli.

Kościół anglikański, sformułowany w 39 artykułach 1571 roku, opierał się na protekcyi, na powadze, na majestacie państwa, i był w całym słowa tego znaczeniu wysokim kościołem (*High Church*). Nie pozwalał, aby to urzędowe piętno było mu zaprzeczone. Ileż ci lub owi członkowie kościoła chcieli wprowadzić doń jakiejkolwiek zmiany, uznani byli za heretyków, za odszczepieńców, i kościół udawał się do państwa po protekcyę swojej nieskazitelności. Prześladowania, więzienie, deportacya — oto los heretyków. Cały wiek XVII jest jedną nieprzerwaną walką kościoła anglikańskiego o swoją organiczną całość, o uznanie, że jest wyrazem teologicznej i dogmatycznej prawdy. Korona stawiała zwykle po jego stronie, a szczególnie za czasów Stuartów, którzy tem namiętniej bronili kościoła urzędowy przeciwko herezyom i sektom, powstającym z dołu, że mieli nadzieję użyć organizacyi biskupiej jako szczebla do powrotu na łono katolicyzmu. Jednocześnie wszakże, i jako reakcyja przeciwko podnoszącemu znów głowę papizmowi, wyradza się naprzód w surowej i zimnej Szkocyi, a potem krzewi się w całym państwie ów ścisły purytyzm, którego ostatnim wyrazem była doktryna Jerzego Foxa i utworzenie sekty kwakrów. Udało się tym apostołom poważnej a czystej doktryny sfanatyzować społeczeństwo angielskie w drugiej połowie XVII wieku i kościół anglikański z trwogą spoglądał na szczyby, jakie w jego murach czynili ci kacerze. Uciekł się do swego naturalnego obrońcy, rządu — i w roku 1662 przeszło 4,200 kwakrów znajduje się w więzieniach. Ten ferment religijny przyłączył się do politycznego — i gdy Karol I chciał za jednym zamachem przywrócić władzę samodzielną i katolicyzm, znalazł skoalizowane przeciwko sobie wszystkie siły narodowe i przypłacił życiem swoje przeciwko-kościelne zamiary. Purytyzm zatryumfował w czasie re-

wolucyi, ale razem z jej upadkiem upadły jego widoki. Gdy w 1688 r. w osobie Wilhelma III nowa dynastia zasiada na tronie, kościół anglikański otrzymuje sankcyę państwową. Było to na nowo przepołowienie, rozjemcza ugoda pomiędzy odrębnymi pierwiastkami: purytanizm, ludowy demokratyczny kościół—*Low Church*—i tlejące zarody katolicyzmu podały sobie rękę w wysokim, państwowym kościele.

Ale, jeżeli Wilhelm III przywraca kościołowi anglikańskiemu po stłumieniu rewolucyi jego uprzywilejowane, urzędowe stanowisko, to mimo tego jego panowanie, jego rządy i idee, jakie uosabiał, noszą już cechę odrębną, ściśle nowożytną. Poprzednicy Wilhelma III na tronie Wielkiej Brytanii uorganizowali kościół anglikański przez cały szereg despotycznych środków. Dość będzie przytoczyć *Corporation Act*, który zmuszał każdego urzędnika do przyjmowania komunii co najmniej raz w rok,—*Conformity Act*, który pod karą śmierci wypędzał z kraju odstępców od kościoła,—*Five Miles Act*, który zabraniał sekciarzom zbliżać się poza 5-milowy obręb od miast anglikańskich,—*Conventicle Act*, który pod karą śmierci zabraniał, ażeby więcej jak pięć osób zbierało się po domach na wspólne modlitwy,—a przedewszystkiem słynny *Test Act* z 1673 roku, który wymagał od urzędników i oficerów piśmiennej deklaracyi, że nie wierzą w obecność ciała Chrystusowego w Eucharystyi. Kościół anglikański utworzył się w ciągu stu lat w organiczną całość, dzięki despotyzmowi państwa. Obecnie, w ostatniej ćwierci XVII wieku, na miejsce takowego Wilhelma III wprowadził inną, płodną zasadę tolerancyi. Za królowej Elżbiety w 1562 roku wydany był *Uniformity Act*; Wilhelm odpowiada nań przez *Toleration Act*. Wszystkie sekty dysydentów i różnowierców, wszyscy sekciarze protestanccy otrzymali prawo obywatelstwa, mogli się zbierać na modlitwy i budować kaplice, obchodzić swe obrządki. Nie zniesiono wprawdzie 39 artykułów, nie zniesiono przywilejów kościoła państwowego i na jego utrzymanie i dalej płacić musieli różnowiercy, ale pierwsza szczyrbą wyrąbana została wówczas w murach obronnych anglikanizmu. Potrzeba było blisko nowych lat dwustu, aby się przez te szczyrby wcisnęli jedni po drugich przeciwnicy kościoła anglikańskiego, a w samym końcu nawet ów fanatycznie nienawidzony katoli-

cyzm. Nie trzeba być prorokiem, aby przepowiedzieć, że instytucja sama urzędowego kościoła nie będzie wymagała tak długiego przeciągu czasu, aby legnąć w gruzach.

Ta sama tolerancja, jakiej Wilhelm III złożył dowody, pozwalając na swobodę wyznań protestanckich, ta sama tolerancja uczyniła mu łatwiejszem ustanowienie w Szkocyi kościoła urzędowego, innego co do swej doktryny i organizacji od kościoła anglikańskiego. Kościół presbteryjański szkocki (*Kirk of Scotland*) miał także hierarchię administracyjną biskupią, ale umiarkowaną; synod posiadał tam najwyższą władzę w kwestiach dogmatycznych i państwo nie mieszało się do nich, jak w Anglii. To istnienie jednoczesne dwóch kościołów urzędowych, to wypadanie się swobodne coraz nowych sekt, z których jedna obalała już wówczas jeden z zasadniczych dogmatów chrześcijaństwa—dogmat Trójcy św.,—wszystko to są oznaki, że kwestye religijne miały przed sobą szeroko roztworzoną arenę i że walka przybrać musiała w następstwie inny kierunek.

Zanim pójdziemy w ślad za tem wewnętrznem przekształcaniem, winniśmy zatrzymać na chwilę czytelnika nad suchymi szczegółami, dotyczącymi organizacji urzędowej kościoła anglikańskiego. Szczegóły te jednak są niezbędne dla zrozumienia, jakimi materyalnemi siłami on rozporządzał w czasie ostatnich dwóch stuleci i jakimi rozporządza dzisiaj, gdy kwestya sekularyzacyi, rozłączenia z państwem, stanęła jasno przed ogółem.

Kościół Anglii i należącego do niej księstwa Walii ma jako zwierzchnika arcybiskupa Canterbury, prymasa królestwa i arcybiskupa Yorku. Dwadzieścia sześć dyecezyi, mających każda swego biskupa, swoją kapitułę, dziekana, kanoników, proboszczów i wikaryuszów, stanowi sztab generalny kościoła anglikańskiego. Jest oprócz tego 12 biskupów anglikańskich w Irlandyi i do 60 w rozmaitych koloniach, rozsianych po obu półkulach. Biskupi porównani są z baronami państwa i mają swe krzesła w izbie lordów. Chociaż listy nadawcze zostawiają samemu duchowieństwu prerogatywę wybierania biskupów, to w istocie rząd wybiera kandydatów i ogranicza się do przedstawienia ich do zatwierdzenia kapitule. Nie było ani jednego przykładu trwałego oporu ze strony duchowieństwa przeciwko

wyborom rządu, chociaż nieraz, a szczególnie w ostatnich czasach, wybory te mogły się wydawać anglikańskiemu duchowieństwu jako skandaliczne. Wszystkie punkta, dotyczące dogmatycznej strony, roztrząsane są na synodach w Canterbury, ale nie można zaprzeczyć, że zebrania te mają istotnie jedynie głos doradczy. Gdyby postanowiły jakąkolwiek reformę zasadniczą, ba, nawet prostą zmianę jakiej modlitwy w *Commun Prayer Book*, to potrzebaby w tym przedmiocie obrady i sankcyi parlamentu. Teologicznie tedy nawet kościół znajduje się w ręku państwa.

Co się tyczy niższego duchowieństwa, proboszczów, to nominacya ich pozbawiona jest, tak samo zresztą jak wszystkie inne instytucye angielskie, logiki i jednolitości, do jakiej przyzwyczaiła nas centralizacya administracyjna stałego ładu. Jedni proboszczowie są wprost i bezpośrednio mianowani przez rząd i biskupie potwierdzenie staje się czystą formalnością; drudzy mianowani są przez biskupów; inni, nakoniec, otrzymują probostwa za przedstawieniem prywatnych osób, kolatorów, na których gruntach lub przez których pobożne fundacye probostwa ustanowione zostały. Ta ostatnia klasa jest najliczniejszą. Nie należy sądzić, ażeby te różnice pochodzenia oddziaływały *ipso facto* na tendencye proboszczów. Jakiegokolwiek jest ich źródło pochodzenia—raz będąc w posiadaniu swego kościoła, swego probostwa, jego dochodów, często nadzwyczajnie wielkich, zapewnieni co do jutra i wiedząc, że nie mogą być wyrugowani ze swojej pozycyi, chyba w następstwie hańbiącego procesu,—członkowie anglikańskiego kleru stają się ogniwami tego wielkiego łańcucha i duch przenikający ten organizm ogarnia ich i kreśli im linię wytyczną.

Gdy się weźmie na uwagę, że sama Anglia z księstwem Walii liczy 14,600 parafii i probostw, że obok proboszczów są jeszcze wikaryusze, że ponad tym niższym klerem stoi silnie uorganizowana hierarchia duchowna,—to się zrozumie z łatwością, że jest wpośród społeczeństwa angielskiego kilkadziesiąt tysięcy osób, żyjących z kościoła i których osobiste interesa wiążą z jego bytem i trwałością.

Materyalne stanowisko kościoła anglikańskiego jest świetne, szczególnie gdy jest mowa o dygnitarzach. Arcybiskup

Canterbury ma do 200,000 rubli rocznej pensyi, nie licząc pałaców, zamków i najrozmaitszych ubocznych a prawnych dochodów; najmniej płatny z biskupów ma jeszcze 50,000 rubli pensyi. Co się tyczy proboszczów, to niektórzy mają magnackie dochody, pochodzące z różnych zapisów i fundacyi, kiedy inni zaledwie wyżyć mogą ze swej płacy. Ale nie tylko, że z jednej strony władze duchowne i rządowe starają się o wprowadzenie pewnego ładu i ujednostajnienia dochodów, lecz z drugiej każde biskupstwo posiada ogromne majątki, z których dochody idą na podtrzymywanie uboższych probostw. Oprócz stałej swej płacy, duchowieństwo kościoła urzędowego pobiera dochody z dwóch źródeł. Jest to naprzód dziesięcina, płacona dawniej w naturze, a obecnie zamieniona na pieniężną, a potem specjalny podatek kościelny (*Church rates*), przeznaczony na wzniesienie i utrzymanie budowli kościelnych. Ponieważ Anglicy są narodem religijnym, mającym kościół w poszanowaniu, ponieważ nigdy nie sprzeciwiają się daninom i ofiarom na publiczne, na filantropijne i przede wszystkim na religijne cele, zatem duchowieństwo nie ma potrzeby obawiać się o swój byt materyalny. Wystarcza mu zapukać do skarboxy publicznej i prywatnej, a hojne dary sypią się gradem. Kilka wymownych dowodów tego przytoczymy następnie.

Skreślona tu pobieżnie organizacya kościoła urzędowego wskazuje, jakie jest jego stanowisko uprzywilejowane wespół społeczeństwa. Znając je, możemy rzucić okiem na koleje jego rozwoju i doprowadzić je aż do stanowczej chwili obecnej.

II.

Skoro nawet zamieć rewolucyjna XVII wieku nie zdołała była osłabić związku kościoła anglikańskiego z państwem, to mógł on, po intronizacyi Wilhelma III, uważać się jako ostatecznie wybawiony z niebezpieczeństwa. *Toleration Act* nie zdawał się nawet urzędowemu kościołowi ciosem zbyt dotkliwym. Jeżeli z jednej strony sekty uszczuplały liczebne siły jego, to z drugiej znęcały do siebie przede wszystkim umysły niespokojne, ruchliwe, a raz się takowych pozbywszy, kościół anglikań-

ski mógł rozwijać się swobodnie, bezpiecznie i, wsparty na ramieniu władzy świeckiej, przyciągać do siebie i utrzymywać w swoim obrębie, pod swoją jurysdykcją wszystkie organiczne siły narodu.

Ani na chwilę kościół urzędowy nie wątpił, że ma po swej stronie prawdę i słuszość. Chociaż zerwał był z Rzymem, zachował on nie tylko wszystko, co mu się zachować udało z jego doktryn, liturgii, hierarchii i t. p., ale uważał siebie jednocześnie za jego spadkobiercę. On jeden był prawowiernym, ortodoksalnym; wystarczyło odrzucić jakikolwiek punkt jego *credo*, aby być policzonym do heterodoksalnej, sekciarskiej czeredy. Przepaść pomiędzy wysokim kościołem a sekciarzami, stanowiącymi wogóle kościół niski, *Low Church*, kościół ludowy, demokratyczny, pogłębiała się ciągle. Nie zwracał na nią z razu uwagi uprzywilejowany i lekcewał współzawodnika. Zabezpieczony co do materialnej przyszłości, stał się zachowawczym i przeciwnikiem wszelkiego postępu. Coraz ciaśniejsze ramy zakreślał komentarzom i żywiołowi krytycznemu, a dwa uniwersytety angielskie, Oxford i Cambridge, znajdujące się pod zarządem i w ręku kościoła, były twierdzą tej teologii dogmatycznej, ciasnej, bez skrzydeł i polotu.

Nic mniej sympatyczniejszego, jak życie wewnętrzne kościoła urzędowego aż do połowy zeszłego stulecia. Jest to napuszona i czcza miernota. Można nawet bez przesady powiedzieć, że powoli przez zetknięcie się ciągle i wyłączone z wyższymi warstwami społeczeństwa, z arystokracją, zatracił w sobie ducha ewangelicznego braterstwa, a sceptycyzm filozoficzny, który zawładnął całkowicie ówczesnym światem, odbił się na dygnitarzach kościoła. Coraz mniej stawiał się on apostołstwem duchowem, coraz bardziej korzystnym, nienaruszalnym przywilejem.

W chwili, gdy nowe wolnomysłne zasady pełną garścią ciskane były w skibę społeczną i wytrzebiać się starały wszelki dogmatyzm religijny, wszystkie podstawy chrystyanizmu, w tej chwili pełnej znaczenia kościół anglikański nie znalazł w sobie dość energii, dość sił żywotnych, aby stawić czoło przeciwnikowi i podnieść rzuconą mu przezeń rękawicę. Zadanie to wzięły na siebie sekty protestanckie, *Low Church*, i z ich to łona wyszedł ów potężny ruch religijny, owa szeroka agitacja, co po-

chwyciwszy raz wszystkie warstwy społeczeństwa angielskiego w swoje ramiona, wycisnęła na niem to niezatarte piętno religijne, jakie spostrzegamy w charakterze każdego Anglika, jego obyczajach, toku jego myśli, jego literaturze, sztuce i t. d. aż po dzień dzisiejszy.

To odrodzenie religijne datuje z pierwszej ćwierci zeszłego stulecia i początek dała mu sekta metodystów. Dwaj studenci uniwersytetu oxfordzkiego, Jerzy Whitefield i Jan Wesley, obaj pełni religijnego ferworu, zapału, porywającej wymowy, niestrudzonego miłosierdzia, stworzyli tę sektę. Kiedy pierwszy przebiegał Anglię i zamorskie kolonie, zgromadząc wszędzie tysiące słuchaczy, przemawiając do ich serca, wzywając do poświęcenia i dobrych uczynków, protestując cynam przeciwko suchej doktrynie anglikańskiej ortodoksji, zamkniętej w literze a zaniedbującej ducha,—drugi, Wesley, organizował kościół metodystów, wznosił te niezliczone kaplice i świątynie, które spotkać można na każdej piędzi ziemi angielskiej. Charakter metodyzmu polega na utworzeniu bractwa, niestrudzonego, wiecznie czujnego związku, zbliżającego do siebie pasterza i owieczki. Rozbudził on te aspiracye wzniosłe, poetyczne, to wewnętrzne ciepło, co leży w gruncie duszy ludzkiej, i sprowadził chrześcijaństwo z wyżyn metafizycznych do praktycznego życia. Oto na czem polegała jego metoda.

Na próżno kościół anglikański, rozdrażniony powodzeniem tych zuchwałych sekciarzy, co zbudzili go z jego wygodnego *far niente*, wykluczył ich z kościoła urzędowego, zamknął im swoje świątynie,—pasterze metodystów apostołowali pod gołym niebem, w szalasach, ufając, że potrafią zbudować swoje kościoły. I istotnie, żywotność tej sekty była taką, że nawet obecnie, gdy półtora wieku ubiegło od jej sformułowania, gdy życie religijne ma do walczenia z tylu innymi odmiennymi prądami, gdy swoboda interpretacyi, leżąca w naturze protestan-tyzmu, wytworzyła niezliczoną liczbę sekt,—pierwotny metodyzm posiada jeszcze w Wielkiej Brytanii z górą 14,500,000 wyznawców, kiedy tymczasem urzędowa liczba członków anglikańskiego kościoła wynosi 18,000,000. Oprócz tego jest presbiteryanów 10,250,000, 8,000,000 anabaptystów, 6,000,000 kongregacyonalistów, 1,000,000 socynianów i 10,000,000 należących do rozma-

itych innych sekt protestanckich. Katolików jest obecnie w Wielkiej Brytanii 13,000,000.

Ta wielka ilość sekt, religii i kościołów jest zastanowienia godnym objawem. Statystyka ich jest do sporządzenia trudną: w przybliżeniu obliczone są sekty bardziej znane na 180. Nie ma jednak roku, ażeby nie powstawały nowe. I tak: jest wprawdzie anabaptystów, to jest sekty, powtarzającej ceremonię chrztu po dojściu do pełnoletności, aż 8,000,000, ale byłoby błędem przypuszczać, że stanowią oni jednolite ciało; — bynajmniej. Są anabaptyści *nowi*, są *ogólni*, są *ściśli*, są *starzy*, są *zdeklarowani*, *szczegółowi* i t. d., razem dziesięć czy dwanaście sekt, żyjących życiem całkiem odrębnem. Są sekty dziwaczne, jak n. p. *Ranters*, to jest Krzykacze, których nabożeństwo polega na skokach i uderzaniu rąk, — jak *Shakers*, t. j. Drżący, — jak Banda sławetna, jak Banda Alelui; są sekty, noszące nazwiska swych fundatorów, jak n. p. Bryaniści, utworzeni w 1815 roku przez O'Bryana i którzy biorą komunię, siedząc, na wzór apostołów przy św. wieczerzy; jest sekta hrabiny Huntingdon, utworzona w zeszłym wieku przez lady Seline Shirley, hrabinę Huntigdon, i jest sekta jej zięcia, Beniamina Ingham; jest wiele innych o zaledwie dostrzegalnych różnicach z sąsiednimi sektami i wyznaniem. Nie należy sądzić, ażeby ten ruch należał całkiem do przeszłości, gdyż za dni naszych, w naszych oczach utworzyła się *Salvation Army*, ta nowa sekta religijna, fanatyzująca masę przez śpiewy, muzykę pełną zgiełku, krzyki, marsze wojskowe, przeglądy, mundury i najrozmaitsze dziwactwa. W pierwszych czasach drwiono z tej Armii Zbawiciela, która szła podbijać ludzkość i wypowiadała wojnę niewiernym i obojętnym: obecnie liczy ona swoich wyznawców na krocie, rozporządza milionami i staje się potęgą społeczną.

To rozdrobnienie kościoła angielskiego na sekty przedstawia dla humorystycznego spostrzegacza obfite żniwo do dowcipkowania: nie myślimy temu zaprzeczać. Ale gdy się głębiej na problemat religijny spojrzeć zechce, to niewątpliwie dojdzie się do wniosku, że Anglicy biorą religię na seryo, że starają się zastosować ją do swoich duchowych potrzeb i że, nie znajdując w urzędowym swym kościele dostatecznej karmi dla swych aspiracyi etycznych i religijnych, wytwarzają dla siebie inne,

odpowiadające lepiej wewnętrznemu nastrojowi. Indywidualizm, niezależność jednostki od ogółu, te cechy niezaprzeczone charakteru narodowego, manifestują się na tem polu w sposób dotykalny.

Ruch religijny, rozpoczęty w XVIII wieku i trwający bez żadnej przerwy aż do dnia dzisiejszego, wytworzył tedy, jak powiedzieliśmy wyżej, ów kościół nizki (*Low Church*), demokratyczny, ludowy. Liczebnie, na 81,000,000 mieszkańców Wielkiej Brytanii i jej kolonii, zaledwie 18,000,000 należy do kościoła urzędowego, uprzywilejowanego. Gdy dodamy presbiteryanów, kościół urzędowy szkocki (10,250,000) i katolików (13,000,000), nie należących i stojących całkiem poza obrębem protestantyzmu, to znajdziemy, że rozmaitych sekt, nie uznających zwierzchnictwa kościoła anglikańskiego, jest blisko 40,000,000. Przywilej, majątek i cecha urzędowa znajduje się tedy w ręku mniejszości.

Kościół anglikański, episkopalny, zrozumiał swoje położenie i potrzebę zajęcia stanowiska jasnego, pozbawionego wszelkiej dwuznaczności. Nie było sposobu rywalizować z sektami, zbliżać się do wolnomyslicielstwa, do demokratycznych zasad: brakłoby mu do tej propagandy i przekonania i sposobów działania. Daleko logiczniejszem się zdawało oprzeć na swoim uprzywilejowanem stanowisku, odwołać się do zachowawczych instynktów arystokracji, pokumać się z nią, związać z nią i nadal swoje interesa, zaprządz ją do swego rydwanu. Wytknąwszy sobie taką drogę, kościół anglikański coraz silniej powoływał się na tradycję, coraz więcej znaczenia przywiązywać zaczął do obrządków, ceremonii, rytuału, coraz więcej zbliżał się do katolicyzmu. Była to spadzistość nieunikniona. Przez wspaniałość swych nabożeństw, przepych swych katedr, przez swą liturgię podnosił on entuzjazm swych uczestników i zwalcział coraz nowych; z drugiej strony najrozmaitsze stowarzyszenia dobroczynne, filantropijne i pedagogiczne, z niewidzianą dotąd energią przedsiębrane i prowadzone przez wysoki kościół, rozszerzały i ustalały jego wpływ i stanowisko wpośród społeczeństwa. Pokażemy niżej, jak wielkie, jak widoczne korzyści zapewniła ta taktyka w przeciągu ostatniej ćwierci wieku kościołowi anglikańskiemu.

Ale pierwszej jeszcze iść nam należy w ślad za wewnętrznym życiem kościoła. Powiedzieliśmy, że zbliżał się on do katolicyzmu, do tego tak gorąco, tak namiętnie dawniej nienawidzonego i prześladowanego papizmu. Jest kilka stadyów w tym wewnętrznym przerobie. Do najbardziej znanych należy ruch reformacyjny, rozpoczęty w łonie urzędowego kościoła przez d-ra Pusey, profesora uniwersytetu oxfordzkiego. W roku 1833 i następnych zaczął on wydawać wraz z gronem spokrewnionych sobie duchem teologów, jak Palmer, Bowden, Newman, Ward, Oahley, Thorn, Kable i t. p., szereg broszur i monografii teologiczno-kościelnych pod zbiorowym tytułem *Tracts for the times*. Broszury te wywołały silne wrażenie wpośród świata teologicznego. Autorowie ich nie chcieli wprawdzie zerwać stanowczo z kościołem i zaprzeczali, jakoby zbliżali się do katolicyzmu, ale mimo tego trybunał religijny, *Board of heresy*, rozpoczął śledztwo. Największy skandal spowodował Traktat 90, którego autorem był d-r Newman, jeden z najznakomitszych teologów i kazuistów angielskich. Doktryny katolickie, chociaż ich się wówczas wypierał, tkwiły jednak już widocznie w tym pseudo-anglikanizmie—i nikt się nie zdziwił, gdy w kilka lat później, w 1846 r., d-r Newman przeszedł na katolicyzm i wstąpił do stanu duchownego. Wiadomem jest, jak szybko zajął on pierwszorzędne stanowisko wpośród kościoła katolickiego w Anglii, o ile się przyłożył do jego nieustannego rozwoju i jak sprawiedliwie oceniono w Rzymie znaczenie jego działalności, skoro został obleczonej purpurą kardynalską i policzony do najpierwszych dygnitarzy kościoła.

Jeżeli nie wszyscy Puzeiści doprowadzeni zostali aż do zerwania z kościołem urzędowym, jak to uczynił Newman, jeżeli nawet sam ruch puzeistyczny osłabł na czas jakiś, to mimo tego jest rzeczą niezaprzeczoną, że tendencje kościoła anglikańskiego, tendencje arystokratyczne, tradycyjne, manifestujące się coraz większym rytualizmem, stały w rażącym, widocznym przeciwieństwie z rozmaitymi ewangelickimi sektami, znanymi pod zbiorową nazwą *Low Church*. Pojednanie tych dwóch wrogich sobie systemów i kierunków nie mogło być przedsięwzięte z ich inicjatywy własnej, ale przez jaki obcy im, potronny organizm. Pojednanie to musiało leżeć na sercu nie

tylko wyższym, filozoficznym umysłem, które widziały ciasną jednostronność zarówno uprzywilejowanego kościoła jak i sfanatyzowanych sekt, ale i tym wszystkim światłym a na wskrós religijnym inteligencyom angielskim, co marzyły o postępie, o rozwoju ludzkości, ale co go mieć chciały nierozzerwalnie połączonym z wiarą, nauczaną przez kościół. Rolę tę pojednawczą wziął na siebie tak nazwany kościół szeroki—*Broad Church*. W sferę swojej spekulacji wprowadza on czynnik, o który nie troszczono się bynajmniej dawniej, mianowicie wiedzę. Nie pytał się był istotnie o wiedzę, o rozwój nauki, wysoki kościół anglikański: wystarczała mu tradycja, wystarczała teologiczna doktryna, zamknięta w 39 artykułach wiary, a interpretacja Pisma Św., chociaż urągała się nieraz zdrowemu rozsądkowi, nie raziła nikogo. Nie troszczyły się także o wiedzę sekty, zajęte z jednej strony działaniem na moralny nastrój masy, a z drugiej polemiką na prawo i na lewo: problematy tego rodzaju przewyższały z natury swojej ich umysłową sferę.

Inaczej działo się w sąsiednich Niemczech, innej dzielnicy protestanckiej. Eklektyczna tendencja pojednania religii z wiedzą wywołała tam niezliczone mnóstwo prac poważnych, źródłowych. Egzegeza krytyczna od dawna obalała była w Niemczech nienaruszalność Biblii, a chronologia, historia, filologia, nauki przyrodzone, geologia, astronomia, każda gałąź nauki ze swojej strony przypuszczała szturm do Pisma Św. Pod wpływem tej krytycznej teologii protestantyzm niemiecki stawał się coraz mniej dogmatycznym, coraz bardziej racjonalnym. Angielscy teologowie nie zostali byli dotknięci długi czas tą zarazą i uważali Biblię jako nienaruszoną opokę, jako niepokalaną świętość, zawierającą w sobie prawdy zaświatowe, odwieczne,—a gdy posłyszeli o podnoszonych tu i owdzie wątpliwościach, pomijali je milczeniem, albo ograniczali się do naiwnych, do dziecinnych wysiłków pogodzenia pewników wiedzy z legendą biblijną za pośrednictwem fantastycznej interpretacji.

Ta pierwsza faza ustąpiła jednak pod naciskiem cywilizacyjnych prądów miejsca drugiej, gdy znaleźli się w łonie kościoła anglikańskiego ludzie wielkiej nauki, którzy nie chcieli zaprzeczać jej zdobyczom, ale którzy byli silnie przekonani, że religia nie potrzebuje się obawiać rozwoju wiedzy, że są to nie

wrogie sobie, ale bratnie czynniki postępu. Najznakomitszą osobistością tego kierunku był d-r Tomasz Arnold, założyciel szkoły w Rugby, jeden z najczystszych, najszlachetniejszych charakterów nowoczesnych, z pod którego skrzydeł ojcowskich wyszły całe pokolenia światłych i uczciwych Anglików. Zmarł on w 1855 roku i działalność jego napiętnowała się jawnie na społeczeństwie Wielkiej Brytanii. Zachęcał on gorliwie umysły naukowe do prac krytycznych, do poszukiwań samodzielnych, pewnym będąc, że religia tylko zyskać może na postępach wiedzy. Ale oczekiwania jego nie spełniły się bynajmniej. Prace Bunsena, Darwina, Wallace'a, Lyella, Huxley'a, Tyndalla i tylu innych otworzyły umysłom angielskim nowe zupełnie sfery, nowe horyzonty. Problematy religijne straciły były chwilowo swoją żywotność, nieledwie swój interes, i potrzeba było niejakiego czasu, ażeby teologia protestancka zrozumiała płynące stąd dla siebie następstwa, ażeby się przeniknęła tym nowym duchem, co owionął świat współczesny.

Ale gdy raz zrozumieli światli i wykształceni teologowie angielscy doniosłość problemu, śmiało spojrzeli mu w oczy.

Najgłośniejszym utworem piśmienniczym tej nowej szkoły teologicznej angielskiej, książką, co stanowi epokę w duchowym rozwoju Anglii i istnieniu jej kościoła, jest zbiorowy tom pod tytułem: *Essais and Reviews*. Siedmiu młodych teologów, pastorów, akademików oxfordzkich, ogłosili, bez żadnego pierwotnego planu, bez najmniejszej chęci zrewolucjonizowania kościoła, kilka monografii rozmaitej treści i zakresu. Wrażenie ich jednak wpośród tego społeczeństwa, wychowanego wśród idei religijnych, było piorunującym. Jedne z tych rozpraw kruszyły kosmogonię Mojżeszową, inne dotyczyły historycznego rozwoju Biblii: ale znaczenie tej pracy nie leżało w tym lub owym rozdziale pojedynczym, lecz w jej całym toku, w całym nastroju. Czytać można tam było pomiędzy wierszami, że Biblia jest wprawdzie ostatniem słowem wiedzy świata starożytnego, świata, co już zeszedł z areny życiowej, ale że nie może rościć tych samych pretensyi i wypowiadać słowa cywilizacji o 2,000 lat starszej. Uważać Biblię jako najznakomitszy pomnik starożytnego świata, ale nie upatrywać w niej alfy i omegi wiedzy, nie zamykać w niej prądów i aspiracji nowoczesnych: oto prakty-

czny rezultat, oto zuchwała rada, sformułowana wyraźnie przez Wilsona, jednego z autorów tej książki.

Gdy się weźmie na uwagę, że protestantyzm nie ma innej powagi i innej racji bytu, jak niepokalaną wiarę w Biblię, że jest z nią jednoznaczny, można zrozumieć piorunujące wrażenie, jakie to dzieło wywołało. Władze kościoła anglikańskiego nie mogły pozostać obojętnymi na taką herezyję, która wychodziła z jego własnego łona, którą wyhodował kwiat jego inteligencji: co mogło być przebaczeniem ze strony sekciarzy, to nie mogło ująć bezkarnie ze strony jego członków. Istotnie, kongres kościoła anglikańskiego, zebrany w Canterbury, wydał uroczysty wyrok potępienia na Essayistów i odwołał się do państwa, jako najwyższej instancji, ażeby ono wyrok jego potwierdziło i wykonało. Ale kościół zawiódł się w swoich oczekiwaniach. Minęły już czasy, kiedy państwo mieszało się chętnie do spraw sumienia; za dni naszych zobojętniało ono dla nich—nawet w Anglii. Zebrani *lawlords* uniewinnili autorów oskarżonej książki z wszelkiego zarzutu. Kościół anglikański przerażony został tym wyrokiem: nie mógł sobie zataić, że jego doktryny, jego sposób zapatrywania zostały *ipso facto* potępione przez rząd świecki. Opieka moralna, jakiej kościół doznawał był od państwa, stała się jedynie martwą literą, historycznym obowiązkiem—i nowy kongres, zwołany w Canterbury, zarejestrował swoją porażkę, przedstawiając państwo jako organ racjonalizmu, ateizmu, jako zupełnie obojętne dla dogmatów kościoła i jego liturgii.

Ta gorzka skarga prałatów anglikańskich, to oskarżenie państwa o apatię religijną nie były bezzasadnymi. Nie pierwsza to była tego rodzaju okazyja i nie ostatnia zapewne. Dość sobie będzie przypomnieć epizod 1847 roku, gdy lord John Russell mianował na biskupa Herefordu d-ra Hampden, który znany był ze swoich racjonalistycznych opinii już kilka lat pierwej, co nie przeszkodziło wprawdzie, ażeby lord Melbourne nie był mu powierzył katedry teologii w ultra-zachowawczym uniwersytecie Oxfordzkim. Wówczas już protestowali wszyscy teologowie ze szkoły Newmana i Pusey'a. Ale skandal doszedł do epicznych rozmiarów, gdy rząd mianował go biskupem. 13 biskupów i 485 świeckich znakomitości założyło uroczysty

protest, na który jednak rząd nie zwrócił uwagi i przystąpił do konsekracji d-ra Hampdena. Proces w izbie lordów, protestacye, skandaliczne zajścia—nic nie pomogło: kościół ukorzyć się musiał. Takie same sceny powtórzyły się w kilka lat później, w 1854 roku, z powodu nominacji proboszcza Gorhama. Biskup Exeteru, od którego on zależał, protestował przeciw jego nominacji, uważając go za odszczepieńca, i wytoczył mu proces. Państwo wzięło go pod swoją tarczę, dowodząc, że nie ma najmniejszego zamiaru potwierdzać fanatycznych zachcianek i wyłączości teologicznej swojego kościoła. Nowy krok jeszcze, i śmiało powiedzieć można nie ostatni, zdarzył się w 1863 r. Biskup Natalu, d-r Collenso, ogłosił był drukiem swoją pracę nad Pentateuchem, pracę krytyczną, wykazującą, że księgi Mojżeszowe nie mogą ani pod naukowym, ani pod historycznym względem ostać się przed najpowierzchowniejszą analizą. Był to nowy cios, zadany Biblii, i cios tem dotkliwszy, że wymierzył go człowiek dobrej wiary, znakomity teolog, dygnitarz kościoła, jeden z jego biskupów. Naprzód kongres biskupów kolonialnych, a potem *Convocation* w Canterbury uznały go jako heretyka; mimo tego *Judicial Committee of the Privy Council* utrzymał go na posadzie biskupiej w Natalu.

Wszyscy ci myśliciele, pisarze, teologowie i cały ten eklektyczny kierunek, którego niektóre fazy skreślić tutaj usiłowaliśmy, stanowi *Broad Church*—kościół szeroki, zmierzający do pogodzenia religii z wiedzą, uczucia z rozumem. Najpierwsze, najznakomitsze umysły stronnictwa religijnego tam znalazły swój przytułek. Dość nam będzie przytoczyć, że d-r Stanley, dziekan katedry Westminsterskiej, uczeń Arnolda, przyjaciel osobisty rodziny królewskiej, którego zgon niedawny opłakuje Anglia, należał do tego kierunku teologicznego.

Kościół anglikański, urzędowy—wysoki kościół—zasklepiony w ciasnej formułce, używający materyalnych przywilejów, ale pozbawiony samorodnej siły, bez liczebnej większości i bez teologicznej powagi; kościół niski, ludowy, sekciarski, czerpiący swą siłę w religijnym nastroju społeczeństwa angielskiego, ale rozdrobniony i skazany prędzej czy później na powrót do dogmatyzmu w jednym kierunku, a do racjonalizmu w odwrotnym; наконец trzeci kościół, kościół szeroki, obejmujący wy-

borowe inteligencje, zdążające do zachowania sojuszu pomiędzy religią tradycyjną a anty-religijnym prądem nowoczesnej epoki: oto trzy siły, trzy czynniki, trzy pierwiastki i trzy organizacje, które znajdujemy przed sobą w chwili, gdy kwestya sekularyzacji kościoła urzędowego, odłączenia go od państwa, postawioną została na porządku dziennym.

III.

Jeżeli udało się nam przedstawić jasno rozwój historyczny kościoła w Wielkiej Brytanii, czytelnik jest w stanie zrozumieć, w jaki sposób ugrupowane są stronnictwa w chwili obecnej, gdy radykalizm polityczny zapisał w swym programacie sekularyzację kościoła, jego rozdział z państwem.

Problem ten postawionym być musiał prędzej czy później. Stronnictwo zachowawcze łudziło się nadzieją, że chwila ta jest oddalona jeszcze, i cała taktyka jego zdążyła do wpojenia przekonania w naród, że trwałość instytucji politycznych angielskich znajduje się w nieodzownym związku z istnieniem urzędowego kościoła. Lord Beaconsfield sformułował tę maksymę w pamiętnej swej mowie listopadowej 1861 r. i torysi wierzą w nią jak w dogmatyczną prawdę. Ale tymczasem świat idzie naprzód, idee swobody, tolerancji, równości rozszerzają się i fale jej uderzają coraz silniej o fortecę feudalizmu angielskiego. Uprzywilejowany kościół, który naprzód zmuszony był wyzwolić sekty, który później widział katolicyzm wyswobodzony, odzyskujący swą niezależność i byt legalny, nie mógł się spodziewać, iż on jeden będzie mógł stawić czoło nowoczesnemu światu. Nie posiada on liczebnej większości, a używa przywilejów materyalnych, jeżeli nie moralnych, tak jak gdyby wszyscy obywatele Wielkiej Brytanii byli zmuszeni do niego należeć. Jest coś tak wysoce nielogicznego, tak sztucznego w tem położeniu rzeczy, że nie dziwota, iż stronnictwo postępowe, to, które wychodzi z zasad abstrakcyjnych i ma skłonność do lekceważenia historycznych tradycji, zapytało kościół o rachunek i postawiło przed masą narodu kwestyę sekularyzacji. P. Józef Chamberlain, dawny członek gabinetu Gladsto-

ne'a i przywódca młodego jeszcze radykalizmu angielskiego, postawił tę kwestyę przed wyborcami—i opinia, raz poruszona, już się przed nią nie zatrzyma. Widoczna, że ogół społeczeństwa nie jest jeszcze oswojony z tą kwestyą i że w żadnym z blizkich nas parlamentów sekularyzacja ta nie nastąpi. W Anglii agitacja polityczna sięgnąć musi do głębi warstw, zanim zatryumfuje w prawodawczej działalności. Ale tak samo, jak byłoby przedwczesnem twierdzić, że kościół urzędowy anglikański skazany jest na natychmiastowy upadek, tak samo byłoby brakiem wszelkiego zmysłu krytycznego twierdzić, że rezultat ten nie jest możliwy. Przeciwnie, jest on nieunikniony, chociaż daleki jeszcze.

Pomiędzy kościołem anglikańskim, opierającym się na stronnictwie zachowawczem, a całą postępową, liberalną Anglią gotuje się walka, zapowiadająca się jako długa, energiczna i zacięta. Charakterystyczną jej cechą jest brak zupełny teologicznej, sekciarskiej zawziętości. Najbardziej stanowczy nieprzyjaciele urzędowego anglikanizmu nie dotyczą jego religijnej strony, 39 artykułów wiary zostawione są całkiem w spokoju. Są to przedmioty wielkiej wagi dla szczupłego grona kazuistów i ortodoksalnej dewocyi: ogół jest dla nich całkiem obojętny. Swoboda opuszczenia kościoła urzędowego, gdy się nie harmonizuje z jego dogmatyzmem, pozbawiła przeciwników zajadłości. Tak samo jak państwo nie chce się wdawać w spory i procesy teologiczne, tak samo i ogół społeczeństwa angielskiego stracił już namiętności sekciarskie. Ci, co biorą udział w walce za kościół urzędowy lub przeciw niemu, walczą o jego stanowisko legalne, o jego przywileje, o jego fundusze, o jego organizację materyalną. Interesa w grze będące są potężne, ale są to interesa ziemskie, praktyczne. Jak wiadomo, leżą one Anglikom przedewszystkiem na sercu. Gdy ogół angielskiego społeczeństwa będzie przekonany, że utrzymanie kościoła urzędowego jest niekorzystną operacją finansową, przewrót ostateczny nie da długo na siebie czekać.

Argumentacja przeciwników kościoła urzędowego ześrodkowuje się na jego funduszach. Jeżeli rozporządza on obecnie milionami milionów, zapisanymi mu przez swoich członków, to stał się ich posiadaczem pod pewnymi warunkami, z których

pierwszym było utrzymanie szkół i krzewienie oświaty. Otóż w epoce dzisiejszej—twierdzi stronnictwo postępowe—kościół nie wypełnia tych obowiązków, albo nie wypełnia ich całkowicie. Nie w jego rękach, ale w rękach całego społeczeństwa, a zatem państwa, powinna się znajdować oświata, jej kierunek i przewodnictwo. Ażeby szkołę zrobić obowiązkową, potrzeba znaleźć na to fundusze. Niepodobna będzie otrzymać ich inaczej, jak odbierając je kościołowi i przelewając je na państwo.

Kwestya oświaty publicznej, przedsiębranej przez państwo, jest, jak wiadomo, kwestyą nową w Anglii, a ministerjum oświaty, *the Board of School*, nową instytucją. Ma ona do walczenia z tradycją, zwyczajami i charakterem narodowym. Jeżeli jednak obowiązkowa oświata ma istnieć i jeżeli trzeba będzie znaleźć na nią fundusze, samo z siebie wynika, że kościół będzie wezwany do zlikwidowania swoich zobowiązań w tym dziale. Nie można jednak zataić, że likwidację taką łatwiej zadekretować, aniżeli w czyn wprowadzić. Każdy zapis specjalny, pojedynczy, każda fundacya na korzyść kościoła może być tłómaczoną rozmaicie i byłoby to niewyczerpanem źródłem dla sporów prawnych. O konfiskacie, rewolucyjnym, despotycznym środku, mowy być nie może w społeczeństwie ucywilizowanem i nie przekraczającym szranek legalnych.

Kościół zresztą nie można oskarżać o to, żeby nie pilnował celów pedagogicznych i filantropijnych; przeciwnie, rozwija on w obu tych kierunkach zdumiewającą działalność. Działalność ta wzrasta z każdym rokiem i świadczy, że, wobec grożącego mu niebezpieczeństwa, anglikanizm urzędowy potęguje swoją propagandę, pokrzepia swoje słabe posterunki i chce być bez zarzutu. Wstępny bojem zdobywa on nawet napowrót wielu z dawnych swych odpadłych stronników, którzy powracają teraz na łono kościoła urzędowego. Nigdy blask jego ceremonii nie był świetniejszym, propaganda żywszą, postawa dumniejszą i wydatki większymi. W roku 1883 wydano na samą budowę i reparacyę kościołów bajeczną sumę 1,600,000 funtów szterlingów, czyli 16,000,000 rubli. Katedry anglikańskie wznoszą się wspinałe, bogate, a drobne kaplice sekciarskie wyglądają wobec

tych olbrzymów jak liliputy ¹⁾). Publiczność angielska, która uczęszczanie do kościoła uważa jako pierwszy z warunków *respectability*, przyciągana jest do urzędowych świątyń raz dla ich artystycznej piękności i komfortu, a potem dlatego, że arystokracja, wyższe warstwy towarzyskie wyłącznie tam uczęszczają. Moda obecnie staje się współniczką anglikanizmu. Widocznie tryumfuje on nad dysydentami. Są cyfry wymowne. Kiedy w roku 1883 po wszystkich kaplicach i kościołach sekciarskich zebrano na utrzymanie szpitalów od 13,413 dawców 148,771 funtów szt., to w tym samym przeciągu czasu sam kościół anglikański otrzymał od 19,700 dawców nie mniej jak 352,489 f. szt. Skoro takimi środkami rozporządza, nie łatwo jest występować z nim w zawody. Są i inne dane, które pozwalają ocenić świetne położenie materyalne urzędowego kościoła. Przed trzydziestu laty, w 1863 r., istniały dwa stowarzyszenia, utrzymujące proboszczów źle uposażonych; jedno, należące do kościoła urzędowego, *Additional Curates Society*, miało 13,000 f. szt. rocznego dochodu,—drugie, *Pastoral Aid Society*, podtrzymywane przez rozmaite sekty *Low Church*, rozporządzało aż 30,000 f. szt. rocznie. Obecnie stosunek zmienił się zupełnie: pierwsze utrzymuje 646 proboszczów, drugie tylko 540; dochód roczny pierwszego potroił się, kiedy drugiego podwoił się zaledwie. Ta sama tendencja pokazuje się i w pismach, dziennikach, będących organami kościołów: *Guardian*, organ wysokiego kościoła, ma dwa razy tyle prenumeratów co *Record* i inne niezliczone pisma kościołów sekciarskich.

Ażeby czytelnicy mogli nabrać dokładnego wyobrażenia o majątku kościoła anglikańskiego i środkach potężnych, jakimi rozporządza, dość nam będzie otworzyć *The official Year-Book of the Church of England*. Obejmuje on cyfry urzędowe, i czerpiąc w nich na chybi-trafi nieledwie, zrozumieć będzie można tę silną podstawę materyalną, na jakiej spoczywa. Towarzystwo budowy kościołów, zostające pod dyрекcyą biskupa Lon-

¹⁾ W epoce 1840 do 1874 roku wydano na budowę katedr i kościołów nie mniej jak 25,548,703 funtów szt., a w wykazie tym pominięte są wszystkie reparacje, których wysokość nie przewyższyła 500 f. szt.

dynu, wybudowało dotąd 5,362 kościołów oraz kaplic i poświęciło na ten cel 793,389 f. szt. Dalsze wydatki, jakie ma przed sobą, wynoszą nie mniej jak 11,505,150 f. szt.

W przeciągu 43 lat, od 1840 do 1883 r., liczba nowych probostw powiększoną została o 5,000; wartość płacy, pobieranej przez proboszczów, powiększa się corocznie o 138,000 f. szt. i wynosi w 1885-ym r. 25,680,000 f. szt.

Trzech biskupów z dyecezyi Durham, Newcastle i Llandeff, uznając potrzebę misyi dyecezyalnych, oszacowali koszt takowych na 60, 50 i 100,000, czyli razem na 210,000 f. szt. W przeciągu dziewięciu pierwszych miesięcy 1885 roku po wydaniu odezwy do swych parafian otrzymali 35, 21 i 37,000, czyli razem 93,000 f. szt., a wykaz następnego roku uwiadomił nas o dopełnieniu tej sumy.

London City Mission, stowarzyszenie, które odwiedza chorych i umierających, czyta im Pismo Święte, modli się z nimi, rozdaje im broszurki religijne, wydało w roku 1885 sumę 62,970 funtów szt.

Nie chcemy utrudzać czytelnika nawąłem tych cyfr. Wymienione wystarczą do wykazania, że kościół anglikański hojnie szafuje milionami. Żaden wydatek go nie zastrasza; jest pewnym, że wystarczy mu odwołać się do kieszeni swych wyznawców, a te otworzą mu się bezzwłocznie. Zapisy testamentowe, datki zwyczajne i nadzwyczajne, przesyłki bezimienne płyną nieprzebraną strugą. Jest coś zdumiewającego w tej gotowości Anglików do ofiar; jeżeli wyrzucają im surowo ich egoizm, nie zdaje się nam, ażeby w tym samym stopniu wysławiano ich obywatelskie poczucie obowiązku, ich miłosierdzie chrześcijańskie. Skoro oni uważają, że kościół jest użytecznym, jest potrzebnym czynnikiem moralności i uszlachetniania masy, dają mu wszelką pomoc materyalną i moralną, jakiej od nich wymaga.

Kościół urzędowy jest silny nie tylko majątkiem nieruchomym, który posiada, nie tylko składkami i ofiarami, które na każde swe wezwanie otrzymuje, ale przede wszystkim silny jest udziałem czynnym społeczeństwa. Byłoby błędem przypuszczać, że składa się on jedynie z duchownych. Obok nich stoją wszędzie świeccy. Każde stowarzyszenie, każde przedsięwzięcie kościoła ma obok duchownych zwierzchników komitet świecki

i świeckich urzędników, pobierających regularną płacę. Kobiety, młodzież, dzieci nawet zaprzęgnięte są do tego wspólnego dzieła. W ten sposób powstała ta silna organizacja, która zdumiała przeciwników. Kiedy rozmaite sekty protestanckie, ufając w swoje doktryny, zaniedbały tej organizacji życiowej, kościół urzędowy nie spuścił jej z uwagi i na niej opiera się jego potęga, jej przypisać należy ten rozkwit i wzrost niespodziewany, którego jesteśmy świadkami.

Niema też strony życia, którejby nie ogarnął i nie wycisnął na niej swego piętna. Na morzu i ziemi, na jej powierzchni i w jej głębinach, w kopalniach, w Anglii i w jej koloniach, wszędzie kościół działa pośrednio lub bezpośrednio. Towarzystwa wstrzemięźliwości, Towarzystwa czystości, domy przytułku, poprawy, więzienia, domy robocze, schronienia wdów, sierot, chorych, konwalescentów, dla sług bez miejsca, dla podupadłych majątkowo; szpitale, domy zdrowia i t. p., oto jedna strona działalności kościoła, pełna miłosierdzia. Druga poświęcona jest szkołom i wychowaniu chrześcijańskiemu. Wypada tu przytoczyć znowu garść wymownych danych statystycznych.

Na szkółki elementarne kościół anglikański wydał w 1884 roku sumę 580,000 f. szt., a uczęszczało do takowych 1,562,507 dzieci. W epoce od 1811 do 1884 r. kościół anglikański wydał na budowę szkółek elementarnych 11,759,833, a na ich utrzymanie 15,720,180 f. szt.

Zbytecznem byłoby przypominać, że dwa uniwersytety, w Oxfordzie i Cambridge, że King's College w Londynie i kilkanaście innych wyższych zakładów naukowych są w zależności od kościoła i w ścisłym z nim związku.

Na taki organizm silny, czerstwy, na tego olbrzyma finansowego rzuciła się opozycja radykalizmu angielskiego. Zadanie widocznie trudne, i, jak powiedzieliśmy wyżej, nie można spodziewać się bynajmniej, aby rezultat nastąpił niebawem. Kościół urzędowy nie ma najmniejszego zamiaru ustępować swego miejsca przeciwnikom, i można być pewnym, że nie zaniedba żadnych środków obronnych, aby uprzywilejowane swe stanowisko zachować, dopóki to tylko będzie możliwem. Nie będzie się wahał odezwać o wsparcie nawet do rozmaitych sekt, od dawna odeń odpadłych, i wystawi im solidarność religijną, in-

teresa kościelne zagrożone przez ateizm i wolnomyślicielstwo. Już w ostatnim peryodzie wyborczym widzieliśmy takie odezwy— i jeżeli po miastach, gdzie wpływ kościoła jest większy aniżeli po wsiach, stronnictwo zachowawcze, kościelne, odniosło tak wielkie, tak niespodziewane tryumfy, pochodziło to z poparcia, jakie rozmaite sekty protestanckie dały mu w chwili stanowczej. Byłoby bez wątpienia przedwczesnem przypuszczać, że anglikanizm pod wpływem walki z państwem będzie w stanie przygarnąć pod swoje skrzydła odpadłą bracię, ale nie ulega żadnej wątpliwości, że niczego nie zaniedba, aby mózdz skutecznie przeciwstawić stronnictwu liberalnemu wszystkie siły, jakimi tylko rozporządzać potrafi, i że słynne *Revival* (odrodzenie religijne) nie wypowiedziało jeszcze ostatniego słowa.

Jeżeli kościół urzędowy nie jest zagrożony bezzwłoczną likwidacją, jeżeli nawet w łonie liberalnego stronnictwa opinie pod tym względem nie są jeszcze jasno sformułowane, to mimo tego nie ulega wątpliwości, że kwestya kościelna podniesiona będzie w parlamencie w czasie niezbyt oddalonym. Rewolucya może być odroczoną; reformy nie dadzą na siebie czekać. Nawet stronnictwo najbardziej zachowawcze uznaje ich konieczność, a dygnitarze i książęta kościoła, jak arcybiskup Cantebury, biskup Carlylu, biskup Peterborough i kilku innych, jawnie oświadczyli się za niemi. Reforma ta dotknie prawdopodobnie systematu *endowments*, na którym spoczywa cały ustrój parafialny, tak samo jak dziesięciny kościelnej. Dziesięcina (*tithes*) stanowi obok podatku na utrzymanie kościoła (*Church rates*), obok datków wielkanocnych (*Easter offerings*) i dochodów nadzwyczajnych (*surplice fees*), główny dochód proboszcza. Dziesięcina ta, składana dawniej w naturze, jest od 1838 r. zamieniona na podatek, ciążący na własności gruntowej, a wysokość jej szacowana jest przez *controlles of corn returns* stosownie do ceny targowej zboża. Istnieje tak wielka nierówność w dochodach probostw, że kiedy niektóre mają ich krocie tysięcy, inne nie posiadają nawet 200 f. szt. rocznie. Kościół, ażeby poprawić położenie materyalne wielu ze swoich członków, zgodzi się na nową organizacyę parafialną. Parlament postawi przed sobą ten problemat. Jaki obrót weźmie on wówczas, przewidzieć nie można. Jeżeli wiatr reform i radykalizmu wiać będzie, gdy się

wedrze raz przez otwarte wrota do omszałego gmachu, wytworzyć tam może nielada ruiny. W każdym razie wytrzymać będzie musiał napad gwałtowny i nie łatwem będzie zatrzymać ruch reformatorski w połowie drogi.

Radykalizm, który dąży obecnie do sekularyzacji kościoła urzędowego, staje na stanowisku ogólnego dobra i nie przedstawia się bynajmniej jako jego zasadniczy nieprzyjaciół. Chce on po prostu odjąć kościołowi jego stempel urzędowy, jego przywileje, a majątek, którym rozporządza samowolnie, chce oddać na użytek społeczeństwa, na cele filantropijne i pedagogiczne. Jeżeli, pozbawiony swej materyalnej siły, zachowa wpośród narodu swój moralny wpływ i potęgę, wtedy, jak powiedziano trafnie, przestanie być kościołem angielskiego rządu, a zostanie kościołem ludu angielskiego. Ta demokratyczna konsekracja nie uśmiecha się jednak bynajmniej przedstawicielom urzędowym kościoła, i pomiędzy dwoma krańcowymi obozami przyjdzie i przyjść musi do starcia, którego perypetye mogą być dramatyczne, ale którego ostateczny rezultat nie może ulegać wątpliwości dla historyka i dla polityka.

W ostatnich latach kwestya sekularyzacji kościoła państwowego uczyniła nowe kroki na przód. Księstwo Walii wie dzie tutaj rej, a za niem kroczy Szkocya. Obie te części monarchii protestują przeciwko utrzymywaniu z funduszków narodowych kościoła, który nie jest kościołem powszechnym, a często jedynie nieznacznej mniejszości. Niema wątpienia, że Walia otrzyma żadaną sekularyzację i że Szkocya w następnych latach osiągnie także ten rezultat. Kwestya się uprości sama przez się—i gdy stronnictwo radykalne rozpocznie walkę za sekularyzację kościoła państwowego w samej Anglii, znajdzie już grunt przygotowany przed sobą.

IV.

Po skreśleniu wewnętrznej walki, jaka się toczyła w łonie kościoła anglikańskiego i tej, jaka się gotuje pomiędzy nim a stronnictwem postępowem, potrzeba nam jeszcze, dla dopeł-

nienia obrazu religijnego ruchu w Wielkiej Brytanii, zatrzymać się choćby na chwilę przed katolicyzmem. Jest to czynnik, którego zbyć lekceważącym milczeniem niepodobna.

Kilkowiekowe prześladowanie katolicyzmu na tej ziemi swobód publicznych skończyło się dopiero w 1829 roku, wiadomo po jak długich walkach, po jak długim oporze nie tylko kościoła protestanckiego, ale wszystkich klas społeczeństwa, korony i parlamentu. Ale chociaż szeroki prąd wolności i tolerancyi otworzył wrota katolicyzmowi, i chociaż przestał on być już prawną zaporą do spełniania obowiązków obywatelskich, to potrzeba było kilku dziesiątków lat, aby oswoić społeczeństwo angielskie z istnieniem religii, której głowa znajdowała się poza obrębem kraju. Gdy papież Pius IX bułą swoją z 29 sierpnia 1850 r. uorganizował kościół katolicki w Wielkiej Brytanii, mianując arcybiskupa w osobie kardynała Wisemana i 12 biskupów, okrzyk zgromy i przerażenia rozległ się po Anglii. Wśród krzyków *no popery!* parlament zawotował bil o tytułach duchownych i zdawać się mogło chwilowo, że nastąpi reakcja gwałtowna. Ale powoli ucichło wzburzenie, opinia wytrzeźwiała, bil 1851 roku poszedł w zapomnienie, a kościół katolicki pod skrzydłem silnej organizacyi zapuszczał coraz głębsze korzenie w ten grunt tak długo nieprzenikalny.

Nie można nie podziwiać wytrwałości, energii, czujności, różnostronności jego propagandy. Postawiwszy sobie jako cel podbicie kraju na wskroś protestanckiego i jego powrót na łono katolicyzmu, nie zaniedbał żadnego środka, któryby doń prowadził. Trzy wielkie osobistości odegrały przewodnią rolę w tym ruchu. Pierwszą był kardynał Wiseman, za którego radą Pius IX uorganizował kościół katolicki w Anglii. Znając dobrze grunt, na którym się obracał, kard. Wiseman wiedział, że pomoc przyjąć mu może przede wszystkim z szeregow urzędowego kościoła anglikańskiego i jego teologów. Dlatego też gorliwie popierał on ruch Traktaryanów oxfordzkich i rozwój puzeizmu. Wiadomo, ilu zwolenników znalazł katolicyzm w tych agitatorach i jak się wpośród nich stopniowo ukształtowały osobistości kardynałów Manninga i Newmana. Działalność kardynała Wiesemana, aż do jego zgonu w 1865 roku, nacechowana była prawdziwym taktem. Nie mając dość sił do napastniczej walki,

starał się dyplomatycznie wślizgnąć i opanować po cichu jedno po drugich pozycye.

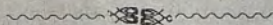
Następcą jego na arcybiskupstwie Westminsterkiem był kard. Manning, drugi z filarów katolicyzmu. Działalność jego, trwająca aż do 1892 r., miała już charakter odmienny. Czując, że ma silny grunt pod nogami, że katolicyzm się szerzy, że szeregi duchowieństwa katolickiego, świeckiego i zakonnego, zwiększają się, że katedry i kościoły się budują, że klasztory się mnożą, kardynał Manning śmiało rozwinął sztandar ultramontanizmu i stacza z protestantyzmem angielskim walkę jako równy z równym. Będąc jednym z najpierwszych teologów współczesnych, ów dawny pastor protestancki, ów członek puzeizmu, zna słabe strony anglikanizmu i wie, jak nad nim zatryumfować. Obecnie, nie licząc Irlandyi katolickiej, znajduje się w Anglii i Szkocyi półtora miliona katolików i z górą 5,000 księży i zakonników. Niema roku, ażeby nie powstawały wielkie fundacye, ażeby wielkie rodziny arystokracji nie przechodziły na łono kościoła katolickiego. Wiedząc, jak angielskie społeczeństwo jest na wskrós arystokratyczne i jak wielkim jest wpływ i przykład wyższych sfer towarzyskich na klasę mieszczańską, która stara się je naśladować, można być pewnym, że ruch ten nie ustanie. Misyje katolickie, wysyłane przez kardynała Manninga, polemika pełna godności, ale zacięta, nieprzejednana, otwiera drogę pojedynczym nawracaniom; głównymi działaczami zaś są zakłady naukowe ojców Jezuitów, które garną do siebie kwiat młodzieży i które dokładają wszelkich starań, ażeby zawładnąć kwiatem inteligencji.

Obok kardynała Manninga, jako trzecią głowę katolicyzmu angielskiego, należy wymienić d-ra Newmana, obleczonego także kardynalską purpurą. W podeszłym wieku, charakteru nieskazitelnego, ta prawdziwie apostołska osobistość, przez swą wielką naukę, swe związki osobistej przyjaźni z pierwszorzędnymi znakomitościami krajowemi, służyła do utrzymania duchowej spójni pomiędzy kościołem anglikańskim, który on opuścił, a tym, który poślubił. Następstwa tego działania książąt kościoła katolickiego nie będą mogły być widoczne od razu, ale można bez obawy o fałszywe proroctwo przepowiedzieć im powodzenie i rozwój ciągły, bezustanny. Kościół anglikański przygotował mu

grunt przedziwnie. Nie może się dziwić, że znajdzie w kościele katolickim przeciwnika coraz śmielszego, współzawodnika o tyle niebezpieczniejszego, że jest on logiczny i przekonany o swym nieuniknionym tryumfie.

W chwili obecnej nie może być jeszcze mowy o współzawodnictwie. Katolicyzm jest jeszcze w Anglii nowością i liczebnie jest mniejszością. Anglikanizm nie potrzebuje się go obawiać. Grozi mu tyle innych natychmiastowych przeciwników, że nie troszczy się o tego, co za górą. Inaczej bez wątpienia kwestya przedstawi się prawnukom—i w Anglii, tak samo jak w innych krajach, uproszczą się zasady, oczyszczą z fermentu, i po jednej stronie staną stronnicy kościoła, religijnej tradycji i dogmatyzmu, po drugiej zwolennicy krytycznej analizy i wolnej myśli.

Zanim ta chwila krystalizacyi duchowej nastąpi, upłyną jeszcze długich lat szeregi i ściemnieje nieraz widnokrąg. Nie ma powodu do zniechęcenia, skoro wiemy, że z tego całunu chmur wyłoni się świetlana zorza postępu.



WŁASNOŚĆ ZIEMSKA.



o wielokroć powiedzianem już i udowodnionem zostało, że kwestya własności gruntowej jest probierzem rozwoju społecznego. Klasy niższe, zarobkujące, z własności ziemskiej wykluczone, rwały się zawsze do niej i widziały w niej jednoznacznik swej emancypacyi ekonomicznej. Wytworzenie małej własności ziemskiej, uwłaszczenie włościan, przedsięwzięte też zostało we wszystkich krajach Europy i dało ostateczną sankcyę i niezwałczoną podstawę demokratycznemu ustrojowi społeczeństw.

Stało się to we wszystkich krajach cywilizowanego świata, z wyjątkiem jednego — Wielkiej Brytanii. Oligarchiczny organizm państwowy stał tam na tak silnej podwalinie, iż dotąd częściowo tylko udało się wyłamać w niej szczerbę i otworzyć koryto dla masy narodowej. Klasy uprzywilejowane, zdając sobie z tego sprawę, że zachowanie w swem wyłącznem posiadaniu wielkich latifundiów potrafi zabezpieczać im całość ich politycznych i społecznych przywilejów, dokładały wszelkich starań, aby się przy własności gruntowej, jak największej, utrzymać. Usiłowania te dotąd wieńczone były pomyślnym skutkiem — i można powiedzieć, że obecnie, u schyłku XIX stulecia, niema w trzech zjednoczonych królestwach, stanowiących Wielką Bry-

tanie, drobnej własności ziemskiej, są zaś tylko wielcy właściciele z jednej strony, a z drugiej ich czynszownicy z grupującym się około tych ostatnich proletaryatem wiejskim.

Ale i w tej ostatniej fortecy feudalizmu widać już oznaki, że się chwila kapitulacji zbliża. Agitacya o wytworzenie drobnej własności ograniczała się czas jakiś do Irlandyi, i w tej formie połowicznej, tranzakcyjnej, jaka jest charakterystycznym znamieniem reform prawodawstwa brytańskiego, zdobyła już sobie kilka ważnych posterunków. Obecnie przeniosła się do Anglii i widzimy, że stronnictwo whigów postawiło śmiało emancypację ekonomiczną i prawną masy wiejskiej na swym programie wyborczym. Sama zapowiedź tego zamiaru wywołała ze strony stronnictwa torysów, znajdującego się obecnie u władzy, oświadczenie gotowości do rozmaitych także i z jego strony ustępstw i reform w tymże kierunku. Nie ulega tedy najmniejszej wątpliwości, że społeczeństwo angielskie znajduje się w przededniu potężnego ruchu agrarnego. W historii cywilizacyi europejskiej otwiera się nowy i nadzwyczajnie interesujący rozdział.

Postawiliśmy sobie tutaj jako zadanie: poznać czytelnika z całością tej sprawy, przedstawić warunki, w jakich się znajduje własność gruntowa angielska,—stadya, przez jakie przeszła,—reformy, jakie już przedsięwzięte zostały i te, które się przygotowują.

I.

Osiem wieków minęło od owej epoki, gdy Wilhelm Zdobywca, zawładnąwszy Anglią, rozdał jej ziemie pomiędzy swych baronów, rycerzy i towarzyszy. Od ośmiu wieków spadkobiercy ich w prostej lub bocznej linii, z małemi zmianami i wyjątkami, utrzymali się przy nadanych sobie ziemiach. Stało się to dzięki prawu starszeństwa, spadkobierstwu ograniczonemu do najstarszego syna, niepodzielności własności gruntowej, dzięki substytucjom (*entail*), podstawiającym jednych właścicieli za drugich, i umowom, jakie istniały pomiędzy członkami rodziny (*settlement*). Następstwem takiej organizacyi własności grunto-

wej było, że skupiała się w coraz mniejszej liczbie rodzin i że posiadacze wypuszczali w dzierżawę wszystkie grunta, których nie chcieli lub nie mogli uprawiać sami, czynszownikom na krótki, zazwyczaj jednoroczny termin. Naprzeciwko owych niezmiennych właścicieli ziemskich znajdowała się tedy zawsze liczna klasa czynszowników — fermerów, którzy nie byli zabezpieczeni co do trwałości swych dzierżaw; oni znowu ze swej strony najmowali tygodniowo albo dziennie wyrobników wiejskich, którzy żadnego udziału w zyskach, najmniejszego prawa do uprawianego gruntu nie mieli.

Obok utytułowanej arystokracji, posiadającej wielkie własności dziedziczne, i obok *gentry*, czyli wiejskiej szlachty, noszącej nazwę *squire*’ów, byli w dawniejszych czasach, jak się samo przez się rozumie, i inni właściciele ziemscy, drobniejsi — nazywali się oni *yeomen*. W XVII wieku było ich od 160 do 180 tysięcy, i roczny dochód, jaki otrzymywali przeciętnie ze swych folwarków, obliczony bywał od 60 — 70 funtów szt. Cyfra ta pozwala zrozumieć, że nie mogli oni rywalizować ze *squire*’ami i magnatami, i stanowili rodzaj klientów, żyjących skromnie, ale niezależnie, w promieniu wpływu i działalności patrycyatu ziemskiego. Gdyby w Anglii rzeczy poszły takim samym porządkiem, jak na stałym lądzie, ta drobna własność *yeomen*’ów, wzrastając liczebnie, byłaby neutralizowała wpływ wielkich, niepodzielnych dóbr i doprowadziła, w przybliżony chociaż sposób, do harmonii. Ale stało się tam wprost przeciwnie. W całym ciągu XVIII wieku wielka własność wypowiada wojnę *yeomen*om i dąży do wyrugowania ich z ich folwarków. Arystokracja, zdążając do rozszerzenia swej potęgi państwowej, pragnęła posiadać największą ilość głosów przy wyborach do parlamentu i sprawować wszystkie urzędy w hrabstwach. Potrzeba jej było posiadać jak największe, najrozleglejsze dobra. Wykupywali tedy jedne po drugich folwarki *yeomen*ów, płacąc im za nie nieraz sowsze, a w razie oporu prześladować ich wszystkimi legalnymi środkami. Dzieje każdego hrabstwa angielskiego noszą ślady tej zaciętej walki wielkiego pana z chudopachołkiem. Nie było środka, któregooby zaniedbano, aby celu dopiąć: zwalano mosty, wznoszono roгатki, zamykano targi, wyszukiwano pozory do procesów granicznych i t. p. Jednem z najskute-

czniejszych narzędzi do pozbycia się yeomenów było niedozwolenie im polowania, które stanowiło tradycyjną i najulubieńszą ich rozrywkę.

Nie udało się wprowadzić wielkim właścicielom zniweczyć do szczeru tej małej własności, potrafili wszakże ją zmniejszyć i podkopać. Ogromne własności ziemskie rosły w rozmiarach, wzmagaly się i ostatecznie nadały Wielkiej Brytanii ten charakter oligarchiczny, jaki ona posiada. Różnica pomiędzy nią a wszystkimi innymi krajami nowoczesnymi jest jaskrawa. Kiedy w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej z pomiędzy 7,200,000 głów rodziny 2,600,000 jest właścicielami gruntów i uprawia rolę, — gdy we Francyi, podług obliczeń Lavergne'a, na 7,600,000 głów rodziny jest aż 5,500,000 takich właścicieli, — w Anglii zaledwie jedna głowa rodziny na 26, w Irlandyi jedna na 52, a w Szkocyi nawet jedna na 85 posiada własność ziemską. 170,000 właścicieli ziemskich w Anglii i Walii, 20,000 w Irlandyi i 10,000 w Szkocyi — oto cyfry ogólne, do jakich się liczba ta sprowadzić daje.

Lecz cyfra ta, tak uogólniona, nie jest w stanie rzucić wystarczającego światła na stan sprawy: należy wejść w szczegóły statystyczne. Daje je urzędowy wykaz, znany pod nazwą *New Domesday Book*. Został on ogłoszony w 1875 r. za rządów Gladstone'a, wskutek obietnicy, zrobionej przezeń w parlamencie lordowi Derby, który nie chciał dać wiary cyfrom, podanym w r. 1866 w słynnej mowie Johna Bright'a. Trybun ludowy oznajmił wtedy, że połowa Anglii jest własnością 150, a cała Szkocya własnością 12 osób. Wykaz urzędowy nie tylko dane te potwierdził, ale rzucił na nie przerażające światło. Te, do których przytoczenia się ograniczamy, wystarczą, ażeby dać wyobrażenie o stopniowej krystalizacyi własności ziemskiej w rękach potężnych rodzin.

Jest w Anglii 2,184 jednostek, z których żadna nie posiada mniej jak 5,000 akrów. Razem posiadają ich 38,875,522, czyli 15,550,208 hektarów, to jest blisko o trzy miliony akrów więcej aniżeli połowa kraju. Wśród tej gromady terytoryalnych potentatów są naturalnie jeszcze różne stopnie. Jest naprzód wpośród nich 421 posiadających przeciętnie po 21,700 akrów, czyli razem 9,182,302 hektary. I oni jednak dzielą się na kategorie.

W pierwszej mieści się największy z posiadaczy grunty-
wych: książę Sutherland. Należy do niego 1,206,693 akrów, czyli
482,676 hektarów.

Do drugiej kategorii należy siedmiu magnatów: książę
Buccleugh, mający 459,000 akrów, markiz Bredelbane 437,400
akrów, sir James Matheson 426,000 akrów. Książę Richmond
256,400, książę Fife 257,000 akrów; p. A. Matheson 220,400
i hrabia Siefeld 205,000 akrów.

W trzeciej kategorii, w której posiadacze liczą od 200 do
150,000 akrów, spotykamy książąt: Athole, Devonshire, Northum-
berland, Argyll—razem jedenastu.

Do czwartej kategorii, pomiędzy 150 a 100,000 akrów, za-
licza się 25 właścicieli, a między nimi księżna Sutherland, mar-
kiz Bute, książęta Portland, Claveland, Montrose, lord Lans-
downe i t. d.

Do piątej наконец, liczącej 47 wielkich posiadaczy wła-
sności od 100 do 60,000 akrów, czyli od 40 do 24,000 hekta-
rów, należą pomiędzy najbardziej znanymi książę Bedford i p.
Artur Balfour, *leader* izby gmin i pierwszy lord skarbu w gabi-
necie swego wuja lorda Salisbury.

Razem zatem tych dziewięćdziesięciu wielkich właścicieli
ziemskich posiada 11,756,200 akrów, to jest jedną siódmą część
Wielkiej Brytanii. Gdy się słyszy o monopolu własności grun-
towej, łatwo zrozumieć, do kogo się stosuje i na jakich opiera
się podstawach.

Jakie dochody ta własność ziemska daje, przybliżenie tylko
ocenić można. Wiadomem jest, że z 700 milionerów—natural-
nie milionerów w funtach szterlingach—Wielka Brytania sama
jedna posiada 200. Wprawdzie są między tymi potentatami
właściciele gruntów miejskich, jak n. p. owych dziesięciu, do
których cały Londyn należy: książę Bedford, ks. Norfolk, ks.
Westminster, markiz Salisbury, markiz Cambden, hrabiowie
Cadogan, Craven, Somers, lordowie Kensington i Portman;—są
dalej pomiędzy nimi wielcy przemysłowcy i kupcy, ale prze-
ważnie są to posiadacze ziemscy. Ponieważ skala dochodów
i rat dzierżawnych, pobieranych od akra, jest bardzo rozległą,
i rozpoczynając się od 5 szylingów, dochodzi aż do 10 funtów
szt., zatem zrozumieć łatwo, dlaczego w przybliżeniu tylko

i przeciętnie dochód z wielkiej własności ziemskiej obliczyć się pozwala. Jedni pisarze twierdzą, że członkowie utytułowanej arystokracji (*Peerage*) pobierają rocznych czynszów 13,700,000 funtów; inni idą aż do 50 milionów f. szt. Jedna z największych powag w tym przedmiocie, James Caird, prezes Towarzystwa statystycznego, ocenia, że ogólny dochód roczny z uprawy roli daje Wielkiej Brytanii 360 milionów funtów. Ponieważ znany jest stosunek jednych własności do drugich, nie można sumy 40 milionów funtów, jaka rocznie ma wpływać do kieszeni wielkich właścicieli z roli, uważać za przesadzoną.

Byłoby jednak zasadniczym błędem wnosić, że arystokracja angielska zdążyła zawsze do zmonopolizowania w swych rękach własności gruntowej i że dotąd przeważnie jeszcze przy tej tendencji obstaje dla zysków i korzyści pieniężnych, jakie uprawa roli i jej wydzierżawienie daje. Rzeczy stoją wręcz przeciwnie. Nie tylko, że wiele innych zawodów i zajęć daje większe i pewniejsze dochody, ale jest dobrze znanym faktem, iż własność gruntowa bardzo często kosztuje więcej, niż daje, że często koszta równoważą się z dochodami, i że w najlepszych razach i latach dochód z własności ziemskiej nie przenosi 2—2½%. Ci, którzy żyją w zamkach i rezydencyach królewskiej wspaniałości, otoczonych parkami, zajmującymi nieraz połowę hrabstwa, mogą się tym stosunkowo małym dochodem zadowalniać dlatego, że posiadają olbrzymie przestrzenie i że nawet stosunkowo mały z nich dochód stanowi jeszcze bająćskie sumy. Wogóle jednak własność ziemska jest uważana w Anglii w naszych czasach za czysty przedmiot zbytku, za rozkosz, której sobie pozwalają ludzie skądinąd bogaci. Jeżeli tedy wyższe warstwy społeczeństwa angielskiego nie tylko lgną do swych dziedzicznych własności ziemskich, ale dokładają wszelkich usiłowań o ich rozszerzenie, jeżeli znajdujemy się wobec ciągłego niweczenia drobnych posiadłości, małych folwarczków, a widzimy powiększające się do tego stopnia wielkie własności, iż w ciągu ostatnich 20 lat trzy miliony akrów dawniej ornego i uprawianego gruntu przeszły na parki magnatów,—to widocznie klasy te mają nadzieję, dzięki wielkiej posiadłości gruntowej, utrzymać owe przywileje polityczne i społeczne, z których pierwsze dają władzę, a drugie głaszczą pychę i miłość własną.

Nie potrzeba zapewne dowodzić, że te ostatnie są potężnym czynnikiem i że lekceważyć ich nie wolno.

Co do przywilejów faktycznych, charakter ich jest uświęcony przez tradycję. Właściciel dóbr ziemskich, *landlord*, trzyma w zależności od siebie wszystkich swych dzierżawców i czynszowników. A jest ich chmara na każdej większej posiadłości. Są lordowie, którzy mają farmerów na tysiące, bo folwarki są drobne. Wyżej przytoczony James Caird powiada, że folwarki, liczące przeciętnie 168 akrów, stanowią 85% całego uprawianego gruntu, a 50-cio akrowe tylko 15%. Z drugiej strony *New Domesday Book* wykazuje, że z 550,000 gospodarstw rolnych 390,000 liczy zaledwie 50 akrów i mniej. Jakiębykolwiek były te cyfry, jest niezaprzeczonym, że stanowisko pana gruntów, który, nie należy zapominać, w dziewięciu razach na dziesięć posiada prawo wyrzucania swego czynszownika co rok, jest wobec tego ostatniego do tego stopnia górujące, że każdy z nich uważa się za istotę całkiem odmiennej sfery. Landlord, z tradycji rodzinnej i miejscowej należący do stronnictwa torysów lub whigów, miał prawo rachować na to aż do ostatnich czasów, że jego czynszownicy będą głosować przy wyborach za jego kandydatem. Prace, wykonywane w jego parkach, zwierzyńcach, ogrodach, cieplarniach, zamkach i pałacach, pozwalały mu oprócz tej stałej osiadłej ludności wiejskiej utrzymywać oficjalistów, sług, robotników i najemników na setki, a często na tysiące. Jest on dalej kolatorem probostwa i ma prawo rozdawania probostw, w swych dobrach położonych: proboszcz, wikaryusz i cały świat klerykalny miejscowy znajduje się wskutek tego w materialnej od niego zależności. Jest dalej sędzią pokoju i, dzięki tej władzy, wszystkie sprawy, wnoszone przed miejscowy trybunał, są, a przynajmniej mogą być użytkowane dla ugruntowania jego wpływu i znaczenia. Wszystkie honorowe urzędy—szeryfa, łowczego, gubernatora hrabstwa, dowódcy milicyi wojskowej—dostają mu się naturalnie w udziale. Zazwyczaj jest on posiadaczem sfor psów, a często stadnin koni wyścigowych i przez urządzone polowania gromadzi około siebie wszystkie jednostki prowincjonalne, które z tych lub innych powodów uważają się jako ukwalifikowane do zbliżenia się do niego. Nie trzeba nakoniec zapominać, że każda rodzina szla-

checka w Anglii przebywa większą część roku w swoich wiejskich posiadłościach, a w Londynie posiada jedynie *pied-à-terre* na dwa lub trzy miesiące, że spędza zawsze święta i uroczystości w swych dworach, że przyjmuje tam gościnnie uboższych sąsiadów, że każdy wielki pan zwykł dawać dla swych fermierów bale i zabawy,—a można będzie zrozumieć, jak się to stało, że wskutek tylu współdziałających przyczyn położenie wielkiego posiadacza ziemskiego jest wyjątkowem, uprzywilejowaniem, i że będąc dla jednych przedmiotem dumy i zadowolenia, jest dla drugich przedmiotem zawiści i pożądanym a niedościgłym ideałem.

Do wszystkich wyżej wymienionych korzyści, posiadanych przez właścicieli ziemskich, zapomnieliśmy jeszcze dodać jedną—fiskalną. Ponieważ tradycyjnie klasa ta rządziła i przewodniczyła w parlamencie, łatwo zrozumieć, że starała się ona zabezpieczyć dla siebie pewne przywileje, a zwalić na inne klasy społeczeństwa ciężary państwowe. Istotnie, podatek gruntowy opiera się w Anglii na innej normie, aniżeli wszystkie inne. Zamiast być w stosunku 4 szyling. do 1 funta szterl., płaci on tylko dwa szylingi, jeden, a często nawet tylko 6 pensów od funta. Odbija się to naturalnie na skarbie państwowym. Gdyby własność gruntowa była opodatkowana ściśle, równomiernie, wpłynęłoby z niej do skarbu 29,522,000 funtów szt., tymczasem wpływa tam suma dwadzieścia siedem razy mniejsza: 1,084,090. Szczegół taki wart był wzmianki.

II.

Jeżeli jest rzeczą oczywistą, iż wielki właściciel ziemski posiada pod względem politycznym, społecznym i pod względem materialnym uprzywilejowane stanowisko w organizmie Wielkiej Brytanii,—jeżeli inne klasy narodu, znajdując się stosunkowo do niego w położeniu podrzędnem, usiłują stanąć na tym samym co on poziomie,—to nie należy jednak mniemać, aby samo posiadanie rozległych dóbr było jednoznacznikiem bogactwa i aby landlordowie *ipso facto* znajdowali się u źródeł Państwa. Odwrotna strona medalu jest równie interesującą. Ażeby

zdać sobie sprawę z powodów niezaprzeczanej niepopularności, w jaką wielka własność ziemska popadła, ażeby ocenić, dla czego ekonomiści czynią ją odpowiedzialną za zmniejszenie narodowego bogactwa, ażeby zrozumieć praktyczne trudności, jakie każda reforma donioślejsza w tej dziedzinie napotyka, potrzeba będzie wejść w naturę prawną wielkiej własności.

Jak wiadomo, rzymskie pojęcie własności — *jus utendi et abutendi*—jest całkiem obce prawu anglo-saskiemu. Właściciel gruntu uważany jest przez prawodawstwo, a więcej jeszcze przez prawo zwyczajowe, jako dożywotni, dziedziczny i wieczysty dzierżawca i nosi nazwę *life-tenant*. Z różnicy tego pojęcia wynikają naturalnie rozmaite ograniczenia służących mu praw i przywilejów, i ograniczają nawet nieraz do tego stopnia swobodę działania i rozporządzania ową rzekomą własnością, że nie tylko wielu z wielkich posiadaczy dóbr ziemskich nie mogą być czynieni odpowiedzialnymi za szkody i straty, o jakie przyprawiają zasób narodowy, ale że zasługują nawet na nazwę męczenników społeczeństwa, którą im nieraz nadawano bez wywołania ironicznego śmiechu. Nie należy czynić prawa starszeństwa odpowiedzialnem wyłącznie za ten stan rzeczy, gdyż gdyby starszy syn dziedziczył po prostu całość dóbr nieruchomości po ojcu, bez żadnych wyjątkowych zobowiązań i ciężarów, to posiadałby swobodę gospodarowania, rozdrabniania swej własności, wydzierżawiania podług tego lub owego systematu i t. p., i słabe strony tej instytucji mniejby były rażące. Przyczyną najgłówniejszą ujemnej organizacji wielkiej własności jest, że jej właścicielowi służy prawo substytucji i zawierania umów, które zobowiązują jego już urodzonych albo dopiero urodzić się mogących spadkobierców—to, co się nazywa po angielsku *entail* i *settlement*.

Posiadacz wielkiej własności ziemskiej wchodzi zazwyczaj w jej posiadanie, znajdując ją obciążoną długami hipotecznymi, i jest zobowiązany przez testament swego poprzednika płacić jednorazowe sumy, albo roczne pensye, wdowie swego ojca oraz swym młodszymi braciom i siostrami. Wynika z tego, iż dług jego wzrasta i potrzebuje on zaciągnąć nową pożyczkę. Ponieważ jednak nie może jej zaciągnąć bez zgody i zezwolenia swego spadkobiercy, zatem zawiera z nim umowę, mocą której

płaci mu pewną sumę roczną, dopóki ów spadkobierca nie stanie się prawnym właścicielem majątku, a w zamian otrzymuje od niego pozwolenie zaciągnięcia długu hipotecznego nowego. Nie tylko, że nie może on sprzedać żadnej części swego majątku ziemskiego bez zezwolenia swego spadkobiercy, ale nawet nie może podejmować żadnych wielkich a kosztownych prac rolniczych, jak osuszania gruntów albo irygacyi. Często nie wolno mu ciąć poręb w lasach, a nawet starych drzew w swym własnym parku. Nie wolno mu było zawierać umów i kontraktów z dzierżawcami i czynszownikami na termin dłuższy od roku, aby nie odejmować swemu synowi prawa podniesienia raty czynszowej. Ten stan rzeczy pokazuje, że wielki właściciel ma ręce spętane i że zwykle nie jest władny robić ulepszenia agronomiczne, przyjść w pomoc swym czynszownikom. Uważając się tylko za dożywotniego administratora swoich dóbr, nie czuje on żywego interesu do radykalnych ulepszeń i ogranicza się, jak pasożyt, do wyciągania jak największych korzyści z owego majątku, który jest do utrzymywania go przeznaczony. Ponieważ substytucye czynione bywają przez ojca nie tylko na najstarszego syna, ale na wnuka i prawnuka, całe pokolenia bez ich własnej woli są wplecione do tego łańcucha i, mimo najenergiczniejszych wysiłków, nie są w stanie z tej zależności się wyswobodzić. Gdy substytucye czynione są na małoletniego syna, albo wnuka i prawnuka, wtedy ustanowiona opieka—*trustees*—staje pomiędzy właścicielem a jego własnością ziemską jako nowa zaporą do wszelkich zmian i reform.

Ten stan rzeczy był istotnie skandaliczny. Jeden sposób radykalny zapobieżenia mu byłby w zniesieniu prawa starszeństwa, albo przynajmniej w prawnym ograniczeniu substytucyi do trzeciego, a nawet do następnego pokolenia. Ale, jak wiadomo, takie rewolucyjne przewroty w organizacyi prawnej i społecznej nie są do przewidywania w Anglii. Reformy są tam stopniowe, połowiczne, niepodobna jednak ich istnienia i ich następstw zaprzeczyć. Ograniczając się do tych, które zaprowadzone zostały za obecnie panującej monarchini, należy wymienić przede wszystkim prawo z r. 1856, noszące nazwę *Settled Estates Act*. Upoważnia ono dożywotnich posiadaczy wielkich własności do zawierania umów dzierżawnych ze swymi czyn-

szownikami na termin 21 lat, ilekroć nie sprzeciwiają się temu wyraźnie dawniejsze substytucje i umowy między starszemi a młodszemi pokoleniami. Następnie, w r. 1864, przez prawo, noszące nazwę *Improvement of Land Act*, udzielono właścicielom możności zaciągania pożyczek na ulepszenia agronomiczne. W r. 1882-im, dzięki inicjatywie lorda Cairns, rozszerzono akt z 1856 r. i uzdolniono wielkiego właściciela do sprzedaży rozmaitych ruchomości, które uważane były jako części składowe wielkiej własności, z powodu, że się znajdowały po pałacach i zamkach. Do tej kategorii należały biblioteki, galerie obrazów, srebra i kosztowności, unieruchomione przez prawo zwyczajowe. Jeżeli przyczyniały się one do uświetnienia położenia towarzyskiego ich posiadaczy, to w wielu razach stanowiły ciężar finansowy ogromny przez samą potrzebę utrzymywania takich zbiorów. Często jednak nie szło tylko o utrzymanie ich, ale i o rozszerzanie. Były umowy i zobowiązania rodzinne, zmuszające jedne pokolenia po drugich do zakupywania pewnych kosztowności, n. p. srebra, i często cytowano owego magnata, który, nie wiedząc na jaki cel zużytkować miał srebro, które corocznie zakupywać był zobowiązany, zrobił z niego poręczę na schodach w swym zamku.

Gdy się weźmie na uwagę wszystkie te okoliczności, któreśmy tylko pobieżnie wymienić mogli, to się zrozumie, że pozycja wielkich właścicieli, chociaż uprzywilejowana i błyszcząca, nie jest tak potężną i tak nietykalną, jak to, sądząc z błyszczących pozorów, utrzymują ich przeciwnicy. Często jest to ożłoczone ubóstwo, a ci samowładcy pozorni skrępowani są w istocie prawami i umowami, z których wyswobodzić się nie mogą. Jeżeli są magnaci, co ciągle jeszcze kupują nowe posiadłości ziemskie i przyłączają je do swoich fideikomisów, to są inni, i w wielkiej liczbie, którzy, widząc, że dochody z ziemi zmniejszają się coraz bardziej i że nie dają się porównać do tych, jakie dają inne zawodowe zajęcia, pragnęliby pozbyć się ciężaru, co ich gniecie, i złożyć prawo, które czyni z nich niewolników i ofiary ich domniemanej hegemonii. Ale takie indywidualne usposobienia nie wchodzi naturalnie w rachunek społeczny i nie potrafią przeważyć niepopularności, jaka ciąży na wielkiej własności, jako takiej. Wszyscy ekonomiści, John

Stuart Mill, Fawcett, Clive Leslie, Thorton, potępili ją teoretycznie,—a gdy się czyta w każdym statystycznym wykazie, że się wsie wyludniają, że ludność wiejska ciągnie do miast po zarobek, że opuszczone folwarki zostały zburzone przez właścicieli, zaorane i że weszły w skład parków magnatów, to niepopularność tych ostatnich wzrasta i znajduje wyraz nie tylko w złorzeczeniach domagogów, ale i w rozumowaniach i wnioskach poważniejszych umysłów. W ciągu dziesięciolecia 1871—1881-go 828,000 akrów gruntu uprawianego pod zboże i 228,000 akrów, na których siane były rośliny pastewne, razem 1,056,000 akrów—zmienione zostały w parki. W ten sposób dochód 8,000,000 funtów szt. zniknął i ekonomicznie kraj zubożał. Można tego rodzaju cyfry osłabić przez komentarze, lecz zatrzeć ich całkowicie w przekonaniach masy niepodobna. Nie przekroczymy granic prawdy, utrzymując, że wszyscy demokraci, cały żywioł postępowy angielski widzi w wielkim właścicielu ziemskim nieprzyjaciela dobra społecznego i że przyklasnąć jest gotów każdemu środkowi prawodawczemu i każdej okoliczności wypadkowej, których następstwem jest podkopanie ich dotychczasowego stanowiska. Gdy w r. 1881-ym Gladstone zapowiedział, iż jest jego zamiarem przedłożyć parlamentowi szereg bilów, umożliwiających sprzedaż własności ziemskiej, pożyczek gruntowych i t. d., opinia całego stronnictwa liberalnego przyklasnęła temu programowi. Gdy w r. 1887-ym lord Halsbury, będący lordem-kanclerzem, złożył na stole izby lordów bil, proponujący zniesienie prawa starszeństwa, zabraniający substytucyi i zamieniający położenie dożywotnich użytkowników na nieograniczonych właścicieli,—opinia zdumiała się, że taki projekt rewolucyjny sformułowany został przez członka stronnictwa zachowawczego. Ale projekta umiarkowane i wykonalne Gladstone'a usunięte zostały z porządku dziennego, wraz z wielu innymi, wskutek zmonopolizowania prac parlamentarnych przez sprawę irlandzką, a radykalny bil lorda Halsbury zduszony został wśród niesprzyjającej mu atmosfery izby lordów. Jeżeli obie te propozycje przebrzmiały bez echa, to chwilowo przyczyniły się tylko do większego jeszcze rozdrażnienia opinii, udwadniając jej, jak niezmierny odstęp istnieje pomiędzy tem, co jest, a tem, co być powinno.

Jeżeli nie można zaprzeczyć, że stosunkowo mało zrobionem zostało bezpośrednio do pozbawienia wielkiej własności ziemskiej jej feudalnego charakteru, to pośrednio niejeden cios dotkliwy został nań skierowany. Pierwszy zadany jej został przez postawienie obok potęgi majątkowej wielkich landlordów innej potęgi, nie tylko równej bogactwem, ale o wiele ją pod tym względem przewyższającej. Stało się to w trzech pierwszych dziesiątkach naszego stulecia—przez fantastyczny rozwój przemysłu i handlu, dzięki wynalazkom i zastosowaniu machin do wytwórczości. Olbrzymie fortuny, jakie się wytworzyły i jakie powstawały z każdym rokiem, wytrąciły berło hegemonii z rąk arystokracji ziemskiej. W dziedzinie politycznej zmuszona ona była abdykować na rzecz tych *homines novi*. Radykalny akt reformy 1832 r., upoważniający wielkie miasta przemysłowe do wyboru deputowanych i zmniejszający liczbę opustoszałych miasteczek, które były dotąd posłusznem narzędziem w ręku wielkich landlordów, był niepowetowaną klęską dla tych ostatnich. W następnych latach reforma ta dopełnioną została; w r. 1835-ym zniesiono korporacje, które sprzedawały po miasteczkach swe głosy wielkim panom, w r. 1838 prawo głosowania nie zostało już przywiązane do posiadania ziemi, w r. 1858-ym i dalej w 1867-ym prawo to rozszerzone zostało do coraz szerszych warstw obywateli miejskich. Ostatni krok w tym samym kierunku zrobiono w r. 1884, gdy udało się przeprowadzić Gladstone'owi, wiadomo przy jak zaciętej opozycji izby lordów, ów słynny bil o *County franchise*, który naraz dodał 2,000,000 głosów wyborczych, dotąd z wszelkich praw publicznych wydziedziczonych. Robotnicy po miastach, czynszownicy po wsiach i nawet wiejscy wyrobnicy zostali wyemancypowani. Potężna ta ewolucya nie wydała jeszcze dotychczas swych owoców, ale niema ani jednego umysłu, krytycznie badającego stosunki angielskie, któryby nie był głęboko przekonany, że ta emancypacya proletaryatu nie da się pogodzić z ustrojem oligarchicznym społeczeństwa i że w niedalekiej przyszłości zdruzgocze go całkowicie.

Ale nie tylko przez takie zmiany prawodawcze stanowisko wielkiej własności zostało naruszone. Wielka rewolucya ekonomiczna, jaka zaszła w r. 1846, gdy zatryumfowała swoboda han-

dlu i gdy cło od zboża zostało zniesione, jest niezapomnianą dla niej datą. Nie zbankrutowała wprawdzie cała klasa wielkich właścicieli, jak tem zagrażała i jak w to wierzyła naiwnie; zmiany, wprowadzone do gospodarstwa rolnego, zmniejszyły jej straty i stopniowo nawet doprowadziły do zysków w innych kierunkach, ale, mimo tego, nie da się zaprzeczyć, że ci wielcy wytwórcy zboża, którzy przy systemie ceł wchodowych trzymali w swych rękach klucz od śpichlerza i spiżarni, zostali pozbawieni nie tylko swych bogactw, ale i *ultima ratio*, przez którą mogliby byli w danym razie swą wolę innym klasom społeczeństwa narzucić i nowe dla siebie wywalczyć przywileje. Jeżeli, dzięki swobodnemu dowozowi, cena pszenicy jest obecnie o 17⁰/₁₀ niższą, aniżeli była przed stu laty, to niema wątplenia, iż naród angielski zyskał na tej zniżce, ale klasa wielkich właścicieli, jako taka, nie może powiedzieć tego samego.

Moglibyśmy jeszcze, wyliczając jedne po drugich środki, które zmniejszyły polityczną, społeczną i ekonomiczną rolę wielkiej własności, wymienić rozmaite bile i ustawy, jakie postawiły sobie za cel polepszenie bytu czynszowników i utworzenie jak największej ilości drobnych ziemskich własności. Do tej kategorii należą: *Agricultur Holding act* z 1883 r., mocą którego właściciel zobowiązany został do powrócenia czynszownikowi nakładów, jakie tenże uczynił dla polepszenia wydajności gospodarstwa i z których skorzysta właściciel gruntu po wydaleniu czynszownika, zarówno jak rozmaite reformy, podjęte dla szkockich crofterów i irlandzkich czynszowników. Co się tyczy całego szeregu bilów, mających na celu wytworzenie drobnej własności, tej, którą w Anglii określają przez nazwę *allotment* to nie wkraczając tutaj w tę dziedzinę, ograniczymy się do tego zasadniczego spostrzeżenia, że znaczna już ilość tych drobnych własności, o których czytelnicy, bliżej się tą sprawą interesujący, znajdą wszystkie interesujące szczegóły w ważnym dziele hrabiego Onslow *Landlords & Allotments* (1886 r.), wytworzoną została nie z rozdrobnienia wielkiej własności, znajdującej się w rękach arystokracji gruntowej i wykluczonej przez swój charakter martwej ręki z obiegu handlowego, — ale z tej części swobodnej własności gruntowej — *freehold*, — która, nie ulegając za-

dnym ograniczeniom apriorycznym, może swobodnie przechodzić z ręki do ręki.

Niepodobna nakoniec pomijać milczeniem ostatniego ważnego kroku prawodawcy, przedsięwziętego przez ostatni gabinet lorda Salisbury, utworzenia rad wyborczych po hrabstwach—*county councils*. Jak czytelnicy wiedzą, nadane one zostały już Anglii, Walii i Szkocyi, a zapowiedziane były dla Irlandyi. Rady te, powstałe z wyborów, posiadają w swych atrybucyach całą administracyę prowincjonalną i samorząd jak najszerszy. Wszystkie sprawy, które dotychczas rozstrzygali wielcy właściciele, grupujący się w hrabstwie około lorda-lieutenanta, przestały być zależnemi od nich i przeszły pod obrady ciała, powołanego do bytu przez wybór wszystkich klas i wszystkich mieszkańców hrabstwa. Wielcy właściciele, którzy w tych radach zasiadają, weszli tam nie z racyi swych przywilejów posiadaczy ziemi, ale dzięki głosom demokracji, która ich ufnością jeszcze obdarzać nie przestała. Istniejące dopiero od lat paru rady te zapowiadają się jako instytucya, która, podług lapidarnego orzeczenia jednego z przywódców zachowawczego stronnictwa, jest całunem, w którym pogrzebana będzie za życia arystokracja krajowa.

III.

Biorąc na uwagę straty ekonomiczne i zmniejszenie materyalnych korzyści z jednej strony, a z drugiej wyzucie z politycznych przywilejów, trzeba przyznać, że położenie wielkich właścicieli ziemskich przestało być obecnie tem, czem było dawniej, i nie trudno przewidzieć, że przeciwnicy ich tem natarczywiej będą napadać na prawa, które im służą jeszcze, że nie mogą już przewidywać zaciętego oporu. Ale nawet dla tych, którzy byli przygotowani na rozpoczęcie kampanii przeciwko wielkiej własności, wypadki ostatnich lat zaszły niespodziewanie i idą daleko pośpieszniej, niż się to zdawało możliwem. Pozostaje nam dać ich sumaryczny przegląd.

Gdy sprawa jaka jest dojrzała, drobna okoliczność wystarcza do przyspieszenia wybuchu. Zaszło ich kilka w osta-

tnich czasach, które przyczyniły się do rozdrażnienia opinii przeciwko klasie wielkich właścicieli. Wystarczy tu wymienić dwa wypadki, które narzuciły się uwadze publicznej. Bohaterem pierwszego jest książę Marlborough. Dopuszczał się on najrozmaitszych nadużyć na ubogich mieszkańcach swych włości. Grunta wspólne, należące do gminy, tak zwany *common*, służący jako pastwisko ogólne i jako plac, na którym odbywają się gry i zebrania wiejskie, zostały skonfiskowane przezeń i ofiarowane, po rozdrobnieniu, jako grunt dla czynszowników. Inne nadużycie, którego sobie pozwolił, było wypędzenie tych czynszowników, którzy, zamiast uczęszczać do parafialnego kościoła anglikańskiego, przekładali kaplice sekt, albo zbory po domach prywatnych. Taki objaw nietolerancyi religijnej, okazany przez człowieka, którego wybryki niemoralności osobistej były kilkakrotnie napiętnowane przez wyroki trybunałów, oburzył opinię. Wprawdzie nie wszyscy magnaci postępują sobie jak ów książę Marlborough, ale ogół, tutaj jak zwykle, karze niewinnych za przewinienia winnych.

Drugi wypadek uwidocznił opiekę, jaką władze państwowe dają unieruchomieniu wielkich własności w ręku arystokratycznych rodzin, nawet gdy się to sprzeciwia ich woli i najdotkliwшему interesowi społeczności. Markiz Ailesbury, młodzieniec 28-letni, od czasu jak doszedł do pełnoletności, stracił olbrzymie sumy, zabrnął w długi u lichwiarzy, i chcąc chociaż częściowo swoje interesa poprawić, wszedł w umowę co do sprzedaży jednych ze swych dóbr Severnake, liczących 40,000 akrów i podzielonych na 90 folwarków. Ponieważ nie jest on w stanie robić żadnych nakładów w tych dobrach, gospodarstwo tam upada—i byłoby istnem dobrodziejstwem dla hrabstwa, ażeby one przeszły w ręce innego posiadacza, mianowicie lorda Iveagh, który ofiarował się zakupić je za 750,000 funt. szt. i otworzyć nową sferę działania tej filantropijnej ofiarności, której ten ostatni już dał wiele dowodów. Nie mogło być najmniejszej wątpliwości, że pomiędzy młodym utracyszem, słynnym ze swych wybryków, potępionym przez sąd honorowy Jockey-Clubu, a filantropem-milionerem interes powszechny wahać się nie mógł. Markiz Ailesbury do sprzedaży dóbr potrzebował upoważnienia swoich *trustees*—i wszyscy, prócz jednego, zgodzili się na nią.

Wskutek tej opozycji sprawa wytoczona została przed trybunał. Sędzia Stirling zabronił sprzedaży, a przyznając, że obecny markiz jest zakałą arystokracji i że dobra ziemskie w jego ręku przysparzają o materialną ruinę zamieszkujących je włościan, nie uważał się jednak za uprawnionego do wyrzucenia przyszłych pokoleń rodziny Ailesbury z tej posiadłości, gdyż jest możliwem, iż w ręku jednego z jego następców te dobra ziemskie będą w stanie się podnieść i dodać blasku nowego świetnemu rodowi. Nie potrzeba zapewne tego rodzaju wyroku komentować. Ogół liberalnej Anglii przyjął go jako rękawicę, rzuconą przez stronnictwo zachowawcze, uprzywilejowane, dążeniom i aspiracyom do postępu. Jednakże sąd apelacyjny londyński na posiedzeniu 12 grudnia 1891 r. skasował wyrok sędziego Stirlinga i dozwolił sprzedaży dóbr Severnake. W motywach wyroku sąd apelacyjny oświadcza, że nie może sympatyzować z markizem Ailesbury, a biorąc na uwagę, że dobra te posiadają kilkaset folwarków, tysiąc domów wieśniaczych i że kilka tysięcy osób zostałoby zrujnowanych, w razie gdyby one nadal unieruchomione zostały w jego rękach, zatem w interesie tych ostatnich upoważnia do sprzedaży. Wyrok powyższy wywarł potężne wrażenie—i jeżeli, jak wątpić nie można, posłuży jako precedens do innych tego rodzaju sporów, to wielka własność martwej ręki otrzymała cios niespodziewany i dotkliwy.

Kiedy prasa i meetingi zajmowały się tego rodzaju wypadkami, wśród ciał ukonstytuowanych i przywódców stronnictwa liberalnego wyrobiło się przekonanie, że należy postawić kwestyę polepszenia bytu ludności wiejskiej na pierwszym planie kampanii wyborczej. Było to do przewidzenia. Cały szereg wyborów miejscowych, dodatkowych, okazywał od lat pięciu, że sympatya narodowa powróciła do whigów,—ale ażeby prąd narodowy na swoje koło sprowadzić, wypadało widocznie nie ograniczać się do owej sprawy samorządu irlandzkiego, tem drażliwszej, że już w przeszłości rozdzieliła stronnictwo liberalne na dwoje, i sformułować taki program, któryby odpowiedział istotnym potrzebom narodowym. Stronnictwo torysów pod przywództwem lorda Salisbury uczyniło już było w ostatnim peryodzie swej władzy wiele ustępstw w duchu demokratycznym dla pozyskania sobie sympatii szerokich warstw narodu, jak n. p. organizację rad wyborczych po hrabstwach, o których uczyniliśmy już wzmiankę, reformy w by-

cie robotników fabrycznych, bezpłatność szkółek elementarnych i t. d. Lecz mimo gotowości do wielu ofiar, uznanych jako haracz, wymagany przez nienasycony demos, torysi nie byli przygotowani aż do ostatniej, do emancypacji ludności wiejskiej. Pochlebiali sobie, że uda się im utrzymać jeszcze *status quo* i że podminowana już dobrze budowla nie zagrzebie ich jeszcze w swych zwaliskach. Inaczej zdecydowali ich współzawodnicy—i nie ulegało już wątpliwości, że walka wyborcza w roku 1892 ześrodkuje się około tej kwestyi, spychając wszystkie inne na dalsze plany.

Raz plan swój powziąwszy, stronnictwo liberalne energicznie wzięło się do dzieła. Najważniejszy jego organ w prasie, *Daily News*, rozpoczął kampanię. Wysłał specjalnego sprawozdawcę w podróż objazdową po prowincjach, a jego listy, pod ogólnym tytułem „*Życie po naszych wsiach*,” pojawiały się w jego łamach. Listy te zalecały się tem bardziej uwadze, że autor, zdawało się, nie miał żadnych apriorycznych teorii, że nie formułował żadnej syntezy, lecz ograniczał się do ścisłego, sumiennego opisu materialnych warunków, w jakich żyją wieśniacy, ich żądań, ich duchowej i umysłowej atmosfery. Im się dłużej ankietą owa ciągnęła, im więcej drobnych gromadziła spostrzeżeń, tem większego nabierała znaczenia. Gdy się nakoniec listy te pojawiły zebrane w książce, rozchwylała je publiczność: światło, co z nich biło, rozświecało najciemniejsze zakątki sprawy. Ogół nabrał przekonania, że w owej wolnej Anglii, której instytucjami się szczyci, jest kilka milionów obywateli, znajdujących się jeżeli nie w prawnej, to w istotnej zależności niewolniczej od garstki uprzywilejowanych jednostek, że panuje tam materialna nędza, że proletaryat wiejski jest jeszcze niešťęśliwszy od miejskiego, że nie tylko *squire* i pastor, ale nawet więksi dzierżawcy wyzyskują go i tłumią wszystkie jego popędy do pozyskania niezależnego stanowiska. Nie dziwota, że z tej atmosfery pognębiającej robotnik wiejski emigruje do miast: każda zmiana, byle go wyrwała z otchłani, w której gnieje, zdaje mu się zbawczą.

Niema wątplenia, że w miarę, jak się bliżej rzecz poddawało badaniu, pokazywało się, że kwestya źle była dotąd postawiona, a raczej, że nie sięgnięto do jej jądra. Dotąd wo-

jowano tylko przeciwko wielkiej własności ziemskiej. Choć nie ma ona orędowników, to reformę nie od niej zacząć wypada. Za długo byłoby czekać na zgodę tych, co się w tej feudalnej baszcie zamykają; lata miną, nim klasy uprzywilejowane społeczeństwa, przemagające w parlamencie, zgodzą się na abdykację. Trzeba z wszystkich dostępnych punktów uderzać na przeciwnika. Kwestya utworzenia drobnej własności postawiona była przed kilku laty przez pp. Jessi Collings i Józefa Chamberlain'a, pod popularnem hasłem: „trzy akry gruntu i krowa!” — i chociaż ci dwaj przedstawiciele radykalizmu, obecnie pokumani z torysami, zdają się o agitacyi w tym kierunku zapominać, nie zapomniata o jej celu ludność, która się około tego sztandaru zgromadziła. Żadna kwestya nie miała dla niej większego niż ona znaczenia przy wyborach 1885 r. i nie można było podawać w wątpliwość, że to samo stanie się i przy wszystkich następnych wyborach. Nalegać o utworzenie takich drobnych udziałków, wytwarzać je za pośrednictwem funduszków, otrzymanych tytułem zaliczki przez skarb państwowy: oto jeden punkt programu. Ale nie ludzi się dzisiaj nikt nadzieją, żeby tego rodzaju mała własność gruntowa rozwiązała zadanie. Doświadczenie innych krajów uczy, że tak rozdrobniona nie jest ona w stanie oddawać się postępowemu rolnictwu i że nie podniesie sama przez się cywilizacyjnego poziomu. Potrzeba uczynić jeden krok dalej, a mianowicie wytworzyć w każdej gminie stowarzyszenie drobnych właścicieli, stowarzyszenie, do którego by weszli także najemnicy i wyrobnicy osiadli. Stowarzyszenie posiadałoby możność najmowania albo nawet kupna machin rolniczych, ulepszania gruntów wspólnym nakładem, wspólnej dostawy produktów na targowisko sąsiednie. Problem, choć skomplikowany, jest praktycznie do urzeczywistnienia podobny, tem bardziej, jeżeli organizacya stowarzyszenia powierzona będzie radzie gminnej, utworzyć się mającej. Na te rady parafialne kładą przywódcy ruchu nacisk wielki. Niema mowy o tem, ażeby każda z 14,000 parafii krajowych posiadała swoją odrębną radę, ale łatwo będzie ugrupować kilka sąsiednich w jeden organizm. Rady hrabstw z natury swych atrybucyi stoją poza sferą drobnych spraw wiejskich i nie można się spodziewać,

aby oddziaływały na nie tak korzystnie, jak to uczynić potrafią te, w których skład wejdą najbliżej w nich zainteresowani.

Oto tedy plan, który zakresliło sobie stronnictwo liberalne: dokładać wszelkich usiłowań, aby uruchomić wielką własność ziemską i wyrwać ją z rąk, w których jest ześrodkowana, i aby z nich, albo przynajmniej obok nich, utworzyć jak największą ilość drobnych posiadłości. Te ostatnie pragną skupić w stowarzyszenia wytwórcze. W każdej gminie chcą nakonec posiadać radę wybieralną, która się ma zajmować wszystkimi miejscowymi sprawami—administracją, szkołkami, zakładami dobroczynnymi, czytelniami, komunikacyami, instytucjami zdrowotności, rozwinać opiekę nad upośledzonymi warstwami, podnieść je, oświecić i nie tylko materyalny lecz i duchowy ich horyzont rozszerzać. Ażeby celu tego dopiąć jak najspieszniej, whigowie uznali za właściwe powołać do parlamentu jak największą liczbę ludzi, specyalnie ze stanem ludności wiejskiej obznajmionych. Rozpoczęli już tę kampanię—i p. Lambert, farmer, którego wybór przez okrąg South Molton tak potężne wrażenie wywarł w listopadzie, jest już pierwszym deputowanym o jasno zakreślonym programacie emancypacji ludności wiejskiej.

Ale zadanie jest zbyt doniosłe, ażeby nie przedsięwziąć wszystkich środków do zapewnienia mu tryumfu. Już na zebraniu generalnego sztabu whigów, które się było odbyło w Newcastle, zapowiedzianem zostało, że się odbędzie niebawem w Londynie zjazd deputatów ludności wiejskiej. Przyszedł on do skutku pierwszej nawet, aniżeli przypuszczano, bo w dniu 10 grudnia 1892 r. Był on uorganizowany przez federację narodową liberalną, to jest przez stowarzyszenie, obejmujące w sobie wszystkie żywotne, postępowe siły społeczeństwa angielskiego. W zjeździe tym, którego przewodnictwo honorowe powierzono Gladstone'owi, brało udział 27 członków parlamentu i 76 deputatów wiejskich. Programat obrad i uchwał, odpowiadający zupełnie dezyderatom wyżej wymienionym, stanie się, jak powiedziano słusznie, *magna charta* dla wielomilionowej, dotąd upośledzonej masy wiejskiej.

Nie jest zamiarem naszym przepowiadać kolei, przez jakie ruch ten emancypacyjny przejdzie, ani chwili, w której zadania

swego dopełni. Ale nie wątpimy bynajmniej, że raz podniesiona kwestya ta już nie zaśnie. Społeczeństwo angielskie wyjdzie z tej agitacyi odrodzone, o spotężniałych siłach, o większej niż dotąd harmonii—i zdawało się nam właściwem zwrócić na ten ważny przedmiot sympatyczną uwagę przyjaciół postępu. Mi-nisteryum liberalne zaraz na pierwszej sesyi parlamentarnej 1893 r. przedłożyło kilka projektów, zmierzających do polepszenia prawnego i ekonomicznego położenia drobnej własności i wszystkich członków włóściańskiego świata. Jest do przewidzenia, że proces rozkładowy wielkiej własności przyspieszony zostanie wskutek tej emancypacyi na spodzie. Anomalie rolniczego ustroju Anglii, tak samo jak anomalie w innych jej dziedzinach, wymazane zostaną z jej roczników.



ORGANIZACYA ROBOTNICZA.

I.



Prawie do końca XIV-go wieku była Anglia krajem wyłącznie rolniczym, a przemysł służył jedynie dla zaspokojenia potrzeb miejscowych. Naród, któremu było przeznaczonem dzierżyć później berło rękodzielnictwa i handlu wszechświatowego, pogrążony był przez kilka wieków w letargicznym zastoju. Nie trzeba zapominać, że w epoce podboju Normanów nie było tam więcej jak 80 miast, a nie miasta to w dzisiejszem znaczeniu, ale siola były po prostu większe. Z liczby półtora miliona mieszkańców najwyżej na miasta przypadało 150,000. Samo się przez się rozumie, że o odrębnej, samodzielnej organizacyi warstw robotniczych w tem zaraniu narodowego bytu mowy niema. Różnice pomiędzy klasami towarzyskimi były wówczas małe, a panowie i słudzy, posiadacze gruntów i używani do ich uprawy pomocnicy stanowili jedną rodzinę, żyli życiem jednolitem. Pierwsze stowarzyszenia, pierwsze związki społeczne, które napotykamy, były po prostu rozszerzeniem pojęcia rodziny. Szło o wspólne zabezpieczenie

zdobytego stanowiska, o wspólną obronę przed napaścią i uzurpacją, o wspólne obchodzenie uroczystości religijnych, obrzędów i ceremonii miejscowych. Pierwszą formą takiego związku było bractwo, tak zwana w Anglii *Frith-Guild*. Sam wyraz *Guild*, giełda, pochodzi, jak wiadomo, od pieniądza, opłaty, pobieranej od każdego członka bractwa; z biegiem czasu stowarzyszenie, jako takie, nosiło nazwę giełdy. Jak prof. Lujo Brentano raz na zawsze udowodnił, giełda stała się dla jej uczestnika szeroką rodziną, a wspólne biesiady, rozdawanie jałmużn, opieka nad sierotami, uczestniczenie na pogrzebach, ratunek w potrzebie, płacenie *wehrgeld'u* za popełnione zabójstwa i gwałty—były pierwszymi przejawami solidarności społecznej. W statutach pierwszych giełd angielskich, datujących z XI wieku—w Exeter, Abbotsbury i Cambridge—solidarność członków stwierdzona była uroczystą przysięgą.

Bractwa o czysto religijnym charakterze, albo przynajmniej przeważnie o takowym, utrzymały się przez cały ciąg średnich wieków, a w Anglii, tak samo jak na stałym lądzie, przeszły aż do dni naszych, okazując się żywotniejszemi, aniżeli cechy korporacyjne. Szeroko rozgałęzione stowarzyszenia wzajemnej pomocy—*friendly societies*—z tego samego trysnęły źródła w następnych czasach i są niejako cywilną ich odroślą. Lecz już w ciągu XII i XIII wieku widzimy w Anglii wytwarzające się po miastach giełdy, tak zwane *Town-Guilds*, które z biegiem czasu przybrały bardziej skomplikowane formy giełdy kupieckiej—*Merchant Guild* i giełdy rzemieślniczej—*Craft Guild*. Działo się to w miarę rozwoju oraz wzrostu miast i organizacji municypalnej.

Nie należy zapominać, że bezpieczeństwo i swoboda jednostek i rodzin, bez ustanku zagrożane w pierwszej epoce wieków średnich, znajdowały większą ochronę w murach miasta i że się dlatego do nich garnięto. Każdy mieszczanin posiadał grunta i zajmował się fachowo rolnictwem, dodając do niego jakie łatwe rzemiosło, albo zajmując się kupiecką wymianą artykułów żywnościowych i rzemieślniczych. Bezpośrednie sąsiedztwo, wspólność zajęć i interesów wywołały zbliżenie się mieszczan w *convivium conjuratum*—i te giełdy, rozwijające się jednocześnie z wzrostem życia municypalnego, szukały już za

pierwszych królów epoki normańskiej ich sankcyi, jako *communitas perpetua et corporata*. Niezadługo pojęcie obywatela miejskiego, *citizen*, i pojęcie uczestnika korporacyi giełdowej, *Guild-brother*, stały się jednoznacznikami. Dopóki miasteczka znajdowały się w pierwszej fazie rozwojowej, wszyscy mieszczenie tworzyli jedną tylko giełdę; ale gdy się powiększały i rozrastały, gdy się w nich zajęcia rozróżniać i specjalizować zaczynały, to rzecz naturalna, że się wytwarzało w murach jednego miasta po kilka, kilkanaście odrębnych giełd i korporacyi. Bywały przykłady, że przeciw takiemu odrębnemu istnieniu giełd protestowali przedstawiciele dawniejszej organizacyi i—jak się to zdarzyło w Berwick nad Tweedą w 1283 r.—zmusili wyemancypowanych do powrotu do jednolitości; ale były to tylko wyjątki. Pomiędzy XI a XIII wiekiem urabia się samodzielność giełd, a przedewszystkiem odrębność kupieckich i rzemieślniczych.

Giełdy kupieckie, złożone z ludzi, którzy przy wzrastających swych zajęciach wyzuli się z własności gruntowej, stały się w przeciwieństwie z innemi giełdami, utrzymującemi się przy takowej i upatrującemi w niej niezbędny warunek do zawiadywania sprawami miejskiemi. Walka korporacyjna jest uparta i ciągnie się przez całe wieki, ubarwiona pełnymi różnaitości epizodami. Wogóle jednak bogata *gilda mercatoria* w zupełności dwoistego swego celu dopina. Polegał on z jednej strony na braniu udziału w administracyi miast, na wybieralności swoich członków na posady aldermana, rajców, sędziów i t. d. i na rozkładaniu podatków gruntowych, a z drugiej strony na prawie regulowania wewnętrznego swojej korporacyi, warunków produkcyi i pracy stosownie do swych własnych potrzeb i w zupełnej niezależności od giełd postronnych.

Ta sama walka, jaka się toczyła pomiędzy giełdą miejską, jako reprezentującą ciało mieszczańskie, a giełdą kupców, toczyła się także pomiędzy tą ostatnią a rzemieślnikami. Dopóki stan kupiecki działalność swą w szczupłym zakresie rozciągał, zawierał wśród siebie rzemieślników. Handlujący wełną mieli tkaczy, przerabiających ją na sukno, skórąmi—przerabiających je na obuwie albo uprzęże, zbożem—na pieczywo i t. d. Lecz gdy handel wzrastał i gdy rozwielał się kupcy ciemnie-

żyć i prześladować nie przestawali zależących od nich rzemieślników, ci ostatni, majstrowie wraz z czeladnikami około nich zgromowanymi, zapragnęli także wejść w posiadanie swej niezależności korporacyjnej i rozpoczęli o nią walkę. Udawali się o pomoc to do giełd miejskich, to do króla, od którego za drogie pieniądze kupowali statuty nadawcze. Pomiatani, oszukiwani, wyzyskiwani przez czas długi, i oni także otrzymują przywileje, o które się ubiegali. Całkowita emancypacja giełd rzemieślniczych nastąpiła jednak dopiero w XIV wieku, za Edwarda III-go: ich statuty nadawcze zostały uroczyście potwierdzone i zarejestrowane, a same nadawały sobie organizację wewnętrzną, potrzebom swym odpowiadającą, dzieląc się na rozmaite cechy i korporacje—*livery companies*. Król stał się ich honorowym członkiem, a za jego przykładem poczęli przystępować magnaci i dygnitarze państwa. Następny wiek XV-y jest kulminacyjną epoką organizacji pracy w formie giełd i cechów. Wybierają one swoich własnych zwierzchników, aldermana, majstrów — *masters* i dozorców — *wardens*, zarządzają bez żadnej zewnętrznej kontroli swoim majątkiem korporacyjnym i posiadają — punkt niezmiernej wagi — swoją własną jurysdykcję. Tylko członkowie ich własnej giełdy mają prawo ich sądzić. Łatwo zrozumieć, że w takiej organizacji znajdowała cała klasa mieszczańska palladium swych swobód, najwyższą rękojmię swego indywidualnego i społecznego bytu. Zebrania uroczyste giełdy, wśród malowniczych obrzędów, rozpoczynały się zawsze od czytaniem statutu nadawczego, którego słuchano z odkrytą głową, czasami na klęczkach. Emancypacja municypalna i ekonomiczna zaczęła się od pozyskania wyłącznego, ciasnego przywileju dla pewnej, szczupłej garstki osobników; ale niebawem wązkie ramy pękały pod naciskiem prądu wewnętrznego, potęgującego się życia — i przywilej, wywalczony dla setek, stawał się niezaprzeczonem prawem tysięcy, użyteczność publiczna zastępowała użyteczność prywatną.

Trudno zrozumieć, gdy się ma przed sobą historię wytworzenia się organizacji cechowej, ową nienawiść, jaką żywili do niej pisarze tak zwanej szkoły liberalnej. Jest to ten sam ograniczony, fanatyczny punkt widzenia, który na innem polu wyrzuca kościołowi rolę, jaką odegrał w ukształtowaniu się no-

woczesnego świata. Jest prawdą niezbitą, że giełdy, cechy i korporacye były najpotężniejszą dźwignią wyswobodzenia masy społecznej i jej równouprawnienia. Mówimy, jak to czytelnik zrozumie, o instytucjach tych w ich pierwotnym stanie, gdy nad dążeniem do monopolu górowało staranie o uorganizowanie pracy. Jest niedorzecznością uważać je za martwe karby, narzucone społeczności. Przeciwnie, krąży w nich ciepła krew życia. „Członkowie giełd—jak trafnie powiada Malet Lambert w swej *Historji dwóch tysięcy lat giełdowego życia*, zasiadali społem u stołu biesiadniczego, poręczali wzajemnie swój honor na targowisku, mieszkali w tej samej dzielnicy, do jednego i tego samego dążyli celu, szli w jednym szeregu na procesyach, jednakie dzielili zabawy, ramię obok ramienia stawiali na murach miejskich, gdy się z nieprzyjacielem potykać przychodziło; ten sam *esprit de corps*, który ożywiał rycerstwo, i u nich równie silnie się ujawniał. Dbali o uczciwość i prawość, szli za trumną swego członka i opłacali grzywny za jego duszy.” Życie cechów—to całe życie wewnętrzne jądra narodowego w mętnej i ponurej epoce średniowiecznej. Z wyjątkiem wieśniaków, wszyscy pracownicy w ekonomicznej sferze objęci byli organizacją cechową. Była ona dla tamtowiecznego świata jednocześnie tem, czem są dla naszego ustroju izby handlowe, stowarzyszenia wzajemnej pomocy, towarzystwa przemysłowe, instytucye kredytowe, zakłady naukowe i techniczne.

Zamiast ocenić jak należy te strony dodatnie, przeciwnicy organizacyi cechowej widzą jedynie i wyłącznie ograniczenia, jakim poddaną została praca robotników. Giełda—odpowiada im L. Brentano—była opiekunką, była matką wszystkich swych uczestników, majstrów zarówno jak czeladników. Jeżeli dla pierwszych była indygenatem obywatelstwa miejskiego, to dla drugich była przygotowawczym do niego stopniem. Raz wszedłszy do cechu, robotnik wiedział, że po siedmioletniem czeladnictwie będzie wyzwolony i że raz na zawsze był jego materialny i stanowisko społeczne zapewnionem zostanie. Nie na ograniczenia i tyranję giełd cechowych użalać się wypada w interesie klasy robotniczej, lecz raczej na to, że większa ilość nie mogła być do nich zaciągniętą i wcieloną. Ale masa

robotników i wyrobników wiejskich napływała bezustannie do miast i wprowadzała chaos do stosunków mieszczaństwa, tak, że potrzeba opieki i regulacji pracy mieszkańców już dawniej w mieście osiadłych i wpisanych do ksiąg miejskich robotników wydawała się koniecznością. Po pladze w XIV wieku takie mnóstwo włóczęgów naciągnęło do Londynu, że taksa cen, wydana w 1350 r., była publicznem dobrodziejstwem. Robotnicy nie skarżyli się na regulamin, obowiązujący przy pracy. Gdy wśród uroczystych formalności wpisani byli na czeladników, wiedzieli, że trzeba im się będzie wysługiwać; ale ponieważ żyli na poufalej stopie z majstrem i jego rodziną, zależność i służebnictwo nie były dla nich upokarzające. Doglądanie narzędzi i instrumentów, kontrola surowych materiałów, metoda pracy, ściśle wyznaczenie godzin przy warsztacie spędzanych i t. d. — wszystko to były rękojmie i dla robotnika i dla korporacji, jako ciała, zaspokajającego potrzeby społeczne.

Nie można się dziwić, że instytucja, odpowiadająca tak doskonale duchowi epoki, rozgałęziała się i kwitła. Za Edwarda III-go było w samym Londynie 48 giełd korporacyjnych, a we wszystkich innych miastach ruch w tym kierunku był równie energiczny. Z razu źle widziane przez władzę centralną, stały się one następnie organizacją, dzięki której i policja po miastach wykonywana i dążenia do autonomii miejskiej były trzymane na wodzy. Nie trzeba także zapominać, że opłaty, ściągane od cechów, były dla korony pożądanem źródłem dochodu. Jak powiedziano wyżej, w połowie XIV wieku system korporacyjno-cechowy rozwinął się w Anglii zupełnie i przez dwa następne stulecia zastosowany był bez wyjątku do wszystkich gałęzi wytwórczości przemysłowej.

Charakterystycznymi rysami ekonomicznymi systemu tego było — jak to sumarycznie wykazał profesor W. J. Ashley na wstępie do swej „Historyi ekonomiki angielskiej,” — że wytworzył rynek targowy dla przemysłu krajowego, że kapitał zakładowy i obrotowy bardzo podrzędną odgrywał tam rolę. Nie było także robotników w obecnem naszym pojęciu, najemnicy i wyrobnicy stanowili wyjątek, a majster grupował około siebie uczniów i czeladź. Niezależność osobista średniowiecznej warstwy rzemieślniczo-przemysłowej była daleko większa, aniżeli

to miało miejsce i ma jeszcze pod wielu względami w naszym stuleciu. Giełdy i cechy przekazywały z pokolenia w pokolenie ducha i prawa wolnego stowarzyszania się dla wspólnych celów społecznych: były więc bezspornie szkołą swobody publicznej i tego samorządu, na którym cały ustroj państwowy Anglii spoczywa.

II.

Aż do XVI wieku ekonomiczna działalność Anglii zamknięta jest w ramach organizacyi cechowo-korporacyjnej. Każda gałąź wytwórczości narodowej urobiła się pod regulaminami i statutami, przepisany mi jej przez te stowarzyszenia. Wszędzie majster i dozorca posiadali prawo zwierzchnictwa i dyrekcyi, ale potrzebowali sankcyi wszystkich stowarzyszonych. Jakość materyału i jego miary, miejsce dla wyrobu i sposób dokonywania onego, miejsce dla sprzedaży, cena, jaką płać wypadało za surowe materyały i za jaką wyrobiony towar miał być sprzedawany, wysokość zarobku, płaconego robotnikom, godziny ich pracy i t. d.—wszystko to było oznaczonem i niezmiennem ustanowionem przez giełdę, której powaga była bezwzględna, bez możliwego odwołania się do jakiegokolwiek władzy wyższej. Łatwo zrozumieć, że dopóki społeczność znajdowała się w elementarnem stadium rozwojowem, dopóki potrzeby były do zaspokojenia łatwe, warunki życia mało skomplikowane i stosunki zewnętrzne ograniczone, ustroj taki mógł się utrzymać i narzucać się narodowemu życiu. Ale gdy stopniowo społeczeństwo organizować się zaczęło i pozbywać dzikości barbarzyńskiej, gdy bogactwo wzrastało, gdy następnie odkrycie nowych, zamorskich światów zrodziło żeglarstwo i otworzyło przed kupiectwem nieograniczony widnokrąg, gdy wynalazek druku, odrodzenie nauk i sztuk, i nakoniec agitacya powszechna, wylęła z reformy religijnej, wytworzyła w XVI wieku świat całkiem nowy, nie dziwota, powiadamy, że organizacya cechowa okazała się niebawem za ciasną i że jej do całkiem nowych stosunków dopasować nie było podobna. A jak się samo przez się rozumie, uprzywilejowane warstwy społeczne,

które się pod osłoną owych instytucji rozwinęły, nie widziały najmniejszego powodu do zaprowadzania w nich zmian, lecz przeciwnie—stawały uporczywie w obronie wszystkich swych dotychczasowych ustaw, przepisów i regulaminów. Nieograniczona władza i powaga, jakiej w ciągu tylu wieków używały, zamykała im oczy na wejście w grę nowych sił społecznych i nowych czynników. Martwa litera zastępowała żywego dawniej ducha. Nie abdykowały one jednakże nigdy dobrowolnie—i z taką samą energią, z jaką niegdyś walczyło mieszczaństwo o otrzymanie przywilejów, walczyło w ciągu ostatnich trzech stuleci o zagrozenie drogi do przywilejów swoich dźwigającym się do niezależności warstwom niższemu narodu; gdzie mogły, jak mogły i o ile mogły, związki korporacyjno-cechowe utrzymywały swoje przepisy i ustawy. Nawet gdy nie miały już poza sobą prawa, podtrzymywał je zwyczaj, trudna do wykorzenienia tradycja.

We Francji wielka rewolucja zmiotła za jednym zamachem organizację cechów i korporacji; w Anglii zamierały one powoli, ginęły naturalną śmiercią i, jak się czytelnik następnie przekona, nie zniknęły dotychczas całkowicie. Konfiskata znacznych majątności giełd i cechów, dokona przez Henryka VIII-go, podkopała ich byt materialny, ale nie poskromiła ich pretensyi do zawiadywania ekonomicznymi stosunkami kraju. Prześladowania, jakim uległy za panowania jego syna i następcy, Edwarda VI-go, były tylko stwierdzeniem niezaprzeczonego faktu, iż przestały być nienaruszalną potęgą. Władza państwowa, która w ciągu kilku stuleci stawała po stronie organizacji cechowej i poskramiała wszelką przeciwko niej opozycję, obecnie zaczyna działać i działa coraz jawniej w kierunku wprost przeciwnym: samo państwo bierze w swą rękę regulowanie warunków pracy. Już za panowania Elżbiety, w końcu XVI wieku, nie tylko że centralna władza państwa wydaje jedne po drugich dekrety, dotyczące stosunków robotniczych, ale okazuje dążenie do syntetycznej ich kodyfikacji w statucie, imię królowej noszącym. Przez następne półtrzecia wieku, pod wszystkimi jej następcami, za Stuartów tak samo jak za Wilhelma, za Anny i za trzech Jerzych, ten sam duch panuje. Każda nowo wytwarzająca się gałąź przemysłu poddawana jest drobia-

stępstw i zbrodni, walcząc za swą sprawę. Zdarzało się to przeważnie w pierwszej połowie naszego stulecia, a nawet obecnie, w epoce ich tryumfu, niepodobna zapomnieć a przebaczyć im działalność, która na wielu punktach kraju, a szczególnie w Sheffieldzie i Manchesterze, napiętnowała ich sromotnie. Robotnicy nie tylko czynili wówczas wielkie materyalne szkody po fabrykach, które z tych lub owych powodów zasłużyły na ich niechęć, rujnując materyały, maszyny, podpalając gmachy i budowle, uciekając się nawet do osobistych napaści i mordów, ale nadto nie było gwałtu, któregooby nie popełnili na tych robotnikach, którzy, zamiast do ich związku przystąpić, stawali w obozie kapitalistów. Zbrodnicze te zamachy zmniejszyły się i, rzecz można, ustały całkowicie z chwilą, gdy prawo przyznało robotnikom nieograniczone prawo kojarzenia się i koalizowania. Zmowy robotnicze i zawieszenie roboty—oto środek ostateczny, do którego się uciekają, środek ryzykowny, zawsze raniący jedną i drugą stronę, ale jest on o wiele moralniejszy od dawnej formy podstępnego napadania przeciwnika. Tak samo, jak przedsiębiorcy posiadają prawo wydalenia robotników i zamknięcia swych zakładów, jeżeli robotnicy nie chcą pracować na warunkach, jakie oni uważają za niezbędne,—tak samo ci ostatni mają prawo zawiesić pracę, dopóki nie otrzymają reform, uznanych za konieczne: *lock-out* i *strike* są dwoma biegunami gospodarki ekonomicznej nowoczesnej. Związek rzemieślniczy znowę taką organizuje, przygotowuje, negocjuje aliance, zgromadza kapitały, kreśli plan walki, oświeca opinię, rozdaje hasła i ostatecznie albo składa broń pokonany, albo odnosi zwycięstwo: stąd jego znaczenie, jako dźwigni emancypacyjnej. Nie potrzeba zapewne przypominać czytelnikom historyi wielu zmów robotniczych: dramatyczne ich przejścia żyją w pamięci wszystkich.

Niema wątpliwości, że zmowa robotnicza i zawieszenie roboty jest środkiem ostatecznym i porównać je można do tej operacji chirurgicznej, którą przedsiębierze się jedynie dla ocalenia życia chorego, gdy inaczej niechybnie byłoby stracone. Zawieszenie roboty lekkomyślne, bez usprawiedliwiającego je powodu, bez środków materyalnych wystarczających, było dawniej daleko częstsze, aniżeli w ostatniej ćwierci wieku. Można obliczyć materyalne koszta, które za sobą pociąga, i straty wy-

rzecz się miała z masą, zarobkującą na życie pracą ręczną. Wykolejeni niespodzianie z dotychczasowego organizmu, osłupiali i zrozpaczeni robotnicy zwracali się mechanicznie ku przeszłości, ku organizacyi korporacyjno-cechowej, ku regulaminom rządowym, i pragnęli, domagali się ich utrzymania. Dzikie napęski na maszyny w nowo-zakładających się fabrykach były w Anglii, tak samo jak na stałym lądzie, tylko ostatnią, gwałtowną formą protestacyi. Ale ileż mniej dramatycznych, choć niemniej charakterystycznych objawów poprzedziło i towarzyszyło jej! Gdy za Jerzego III-go unieważniono i odwołano statuty wielu gield i korporacyi, przedłożono w 1814 r. parlamentowi petycję za ich utrzymaniem. Podpisało ją 200,000 robotników, kiedy za nową ustawą przemawiało zaledwie 2,000. Trudno o wyraźniejsze świadectwo opinii, przemagającej wśród ciała robotniczego.

Byłoby błędem przypuszczać, że te oznaki niezadowolenia z jego strony pojawiły się niespodzianie i jednorazowo. Przeciwnie, rozmaite onego ślady napotkać się dają już od końca XVI-go wieku, gdy za panowania Elżbiety przemysł w nowoczesnej swej formie powstaje i organizować się zaczyna. Monopole, o których posiadanie ubiegali się kupcy i rękodzielnicy, miały swą przeciwstawę w szerzącym się pauperyzmie, i dla zapobieżenia mu ucieczono się do prawa dla biednych—*poor law*, do tego prawa, które, jak żaden ekonomista już dzisiaj nie wątpi, przyczyniło się w znacznej części do obniżenia zarobku dla ludności robotniczej. Uciekała się ona do protestacyi, do zmów i koalicyi, gdy czasy stawały się dla niej cięższymi. A różne okoliczności na ten rezultat się składały. Przemysł wełniany, wskutek rozmaitych przyczyn, w które tutaj wkraczać niema miejsca, przeszedł z Flandryi do Anglii; emigracya hugonotów, odkrycie kopalni węgla i coraz szerszy jego użytek, powstający przemysł metalurgiczny, rozwój kolonii, od Indyi i Kanady się rozpoczynający: oto niektóre przynajmniej okoliczności, pozwalające zrozumieć, że świat ekonomiczny angielski wzrasta w potęgę i organiczne siły.

Ale prawdziwa rewolucya w ustroju całego wytwórczego świata angielskiego nastąpiła w drugiej połowie XVIII-go wieku wskutek wynalazków Hergreaves'a, Arkwright'a, Cartwright'a,

a nakoniec James Watt'a, uwieńczającego ten szereg wiekopomych zdobyczy cywilizacyi przez zastosowanie pary do przemysłu. Produkcya bawełnianych, wełnianych, lnianych, a niebawem metalicznych wyrobów zmieniła w ciągu lat kilkunastu nie tylko zewnętrzny wygląd Anglii, ale i cały organizm społeczeństwa. Ludność wyrobnicza, skupiona około olbrzymich fabryk, powstających jedne obok drugich i zalewających świat cały swymi wytworami, poczuła się zepchniętą w czeluści bezdenne, została zaprzędaną w niewolę. W dziejach białego tak jak w dziejach czarnego niewolnictwa były wybuchy rozpaczy, gwałty, których nie usprawiedliwia zapewne, ale które dostatecznie tłómaczy brak oświaty i ogrom cierpienia.

Powstawały tajne związki, rodzaj sprzysiężeń pomiędzy robotnikami. Były one tajnymi, gdyż w 1799 r., za Jerzego III-go, stowarzyszenia wszelkie pomiędzy klasą robotniczą zostały wzbronione i uznane za bezprawne. Nie przeszkodziło to ich szerzeniu się, i w przebiegu całej tej agitacyi, znanej pod nazwą *combination of workmen*, znajdujemy najrozmaitsze formy stowarzyszeń i różnorodność ściganych przez nie celów. Jeżeli były pomiędzy nimi niektóre średniowiecznym obskurantyzmem nacechowane, albo naiwną ufnością do wszechużyteczności organizacyi cechowej, jak to miało miejsce w związku, zawartym w 1796 r. przez sukienników w Halifaxie, jeżeli prowadziły tu i owdzie do terroryzmu, jak n. p. w 1805 r. do palenia fabryk sukna w Nottinghamie, a w 1819, 1820 i 1823 roku do potwornych nadużyć w Glasgowie, Painsley i ich okolicach,—to z drugiej strony dodatnim owocem tych „kombinacyi” było zakładanie towarzystw wzajemnej pomocy — *friendly societies*, — których wpływ na dobrobyt mas okazał się w następstwie olbrzymi i które oprócz tego były dla klasy robotniczej pierwszą wskazówką i pierwszą praktyczną nauką solidarności i potęgi samopomocy. Majstrowie i przedsiębiorcy fabryczni niechętnie spoglądali na te towarzystwa wzajemnej pomocy i uciekali się do wszelkich środków, jakimi rozporządzali, ażeby je skruszyć w zarodzie: zmowa robotników w warsztatach okrętowych w Liverpoolu i korzyści, jakie im przyniosła, nie pozwalała podawać w wątpliwość, że gdy się raz robotnicy zorganizują niezależnie, stosunki świata przemysłowego ulegną wielkiej zmianie.

Niechęć ta znalazła swój wyraz w statucie, wydanym w 1800 r. z sankcją parlamentu. Mocą tej ustawy zabronione zostało robotnikom czynić zmowy celem podwyższenia zarobku, celem zmniejszenia godzin pracy, albo wykluczania pewnych osobników z warsztatów. Wystarczał wyrok sędziego pokoju do skazania robotnika, winnego takiego przestępstwa, na paromiesięczne więzienie. Cały szereg procesów i prześladowań sądowych, które z mniejszą lub większą surowością przedsiębiorane były w imieniu państwa i prawa, ciągnął się przez trzy czwarte części naszego stulecia i skończył się, jak wiadomo, dopiero w 1875 r., gdy zupełna swoboda koalicji została robotnikom przyznana. Niema potrzeby opowiadać po szczególe dziejów tej martyrologii. Gdy Sheridan w 1814 r., po zniesieniu prawnem wszystkich ograniczeń i zastrzeżeń, jakie aż do owego czasu mogły paraliżować swobodę działania fabrykantów i przedsiębiorców, przeciwstawił ich położenie uprzywilejowane prześladowaniu i ucimianiu robotników, to przez wymowne jego usta zabrała głos nieprzeparta sprawiedliwość dziejowa—i wszyscy emancypatorowie i filantropi, którzy się do tego samego w następstwie zapręgli dzieła, powtórzyli tylko jego argumenty.

Drakońskie prawa, wydane przeciwko ludności robotniczej, nie dosięgły, jak wiadomo, celu i jątrzyły tylko tych, których powstrzymać, ani rozbroić nie zdołały. Prawodawca sam uznał konieczność częściowych przynajmniej ustępstw i złagodzeń. Nastąpiły one w roku 1824, ale ponieważ jednocześnie wybuchły liczne zmowy robotnicze, nie widziano powodu do nowych kroków reformatorskich. Przez kilka dziesiątków lat następnych prawodawstwo waha się i idzie niepewnym krokiem raz ku wyswobodzeniu robotników, to znowu ku ich ścieśnianiu. Jest to epoka przejściowa, której historyk nie ma prawa sądzić zbyt surowo: było rzeczą naturalną, że kielkowanie nowego społecznego ustroju wymagało czasu, a na pniu, co z tej niwy wystrześlił, tyle jest kwiecica i takie zapowiadają się owoce, że i dłuższym możnaby było je okupić przednowkiem.

III.

Przebiegliśmy szybko dwa pierwsze stadia rozwojowe w organizacyi pracy w Anglii. Nie trudno zrozumieć, że pod-

czas pierwszego, gdy cechy, giełdy i zamknięte korporacje rozsiadły się były samowładnie w łonie ekonomicznego świata, panowała harmonia i spokój wewnętrzny: duch czasu i instytucje odpowiadały sobie dokładnie. W epoce drugiej, przejściowej, gdy się rodzi i stopniowo rozwija przemysł rękodzielniczy, państwo, biorące w swe ręce władzę zwierzchniczą, usiłuje narzucić reguły wytwórczości przemysłowej i zamknąć w niezmiennych normach stosunek kapitału do pracy. Ponieważ do rozwiązania tego skomplikowanego zadania nie posiadało ono ani światła, ani kierowniczych zasad, a rządziło się jedynie chwilową użytecznością oraz interesem wyłącznym jednej ze stron działających, rzecz oczywista, że chodzono omackiem i popełniano cały szereg nadużyć i niesprawiedliwości. Z tej walki chaotycznej i uporczywej wyrodził się jednak nowy porządek rzeczy i powoli powstała nowa organizacja pracy. Politycznie nazwać ją można emancypacją i równouprawnieniem demokratycznej masy, ekonomicznie — epoką związków robotniczych i rzemieślniczych — *Trades Unions*. Czytelnik, który cierpliwie szedł za powolną ewolucją dwóch przebieżonych epok rozwojowych, z góry przewidzieć potrafi, że i ta nowa forma nie powstała doraźnie i że nie wyskoczyła, jak Minerwa w pełnym rynsztunku z jowiszowej głowy. Nic ciekawszego, jak fazy, przez które już przeszła, a które dalekie są jeszcze od zamknięcia swego cyklu.

Niema najmniejszej wątpliwości, że związki rzemieślnicze utworzyły się na wzór korporacji cechowych. Ich przeciwnicy i oskarżyciele, walcząc przez kilka dziesiątków lat z nadzwyczajną zawziętością z temi żywiołowemi siłami ludu, skojarzonymi przeciwko przywilejom, potędze i monopolowi klasy przemysłowej i kapitału, spuścili z uwagi ów wspólny początek, który jednoczył i spokrewniał organizację hierarchiczną onegdajszą z organizacją demokratyczną dzisiejszą. Jabłko padło naprzód niedaleko jabłoni: odsunięto je tylko gwałtownie w inną stronę. Z chwilą, jak się rozwijać zaczął przemysł, od XVI-go wieku, liczba robotników wzrastała, a ponieważ cechy i giełdy były nie tylko dla nich zamknięte, ale tendencją ich i interesem było ograniczać liczbę uczniów i czeladników, łączyli się oni w rozmaite związki i stowarzyszenia, dążące do polepszenia bytu, do

zabezpieczenia pracy. Związki te były, jak się wyżej rzekło, wzbronione przez prawo, zatem zawierano je potajemnie. Nie tylko władze państwowe, ale i władze uznanych stowarzyszeń cechowych prześladowały tych *homines novi*. Związki rzemieślnicze w ciągu dwóch ostatnich stuleci przybierały rozmaite formy—tam wzorowały się na cechach, tu były stowarzyszeniem wzajemnej pomocy, ale zawsze dążyły do podniesienia zarobku, ustalenia cen, oznaczenia i zmniejszenia godzin pracy, oraz warunków przyjmowania i oddalania robotników. Nie mogąc żadnego z tych celów dopiąć środkami legalnymi, przez porozumienie się z przedsiębiorcami, uciekały się do gwałtów, często do zbrodni. Karcono je surowo, ale nie zniweczyło to istnienia tych związków robotniczych. Mnożyły się ciągle, i w końcu XVIII-go wieku na setki liczyć je już można było. Jeżeli pod względem materyalnym nie dawały one przez długi czas żadnego namacalnego, praktycznego rezultatu, to powoli i stopniowo ujawniał się pewien rezultat moralny, a mianowicie zerwanie dawniejszej solidarności i harmonii pomiędzy stojącymi naprzeciw siebie czynnikami ekonomicznego świata. Robotnik, zaniedbany całkowicie przez przedsiębiorcę lub majstra, który zapłaciwszy mu zarobek—najniższy, jaki mógł,—nie troszczył się o niego bynajmniej, wyrobił w sobie przekonanie, że interesa kapitału a pracy są wprost sobie przeciwne, nie dające się pogodzić, i odtąd traktuje swoich „panów” jak wrogów. Przepaść, dzieląca dwie warstwy społeczne, może być mniej lub więcej spadzistą, może być nawet czasami zarzucona kwiatami, ale istnieć nie przestaje: każdy z dwóch pierwiastków ekonomicznych kieruje się w swą stronę.

Gdy się tej wzajemnej pozycji z oczu nie traci, pojąć można zawziętość walki, jaka się toczyła w ciągu naszego stulecia. Robotnicy, w atomicznym rozdrobnieniu, nie mogli stawiać oporu kapitałowi, który ich wyzyskiwał, i dlatego garnęli się do związków robotniczych, a przedsiębiorcy i kapitaliści, mając po swojej stronie literę i ducha prawa, starali się złamać owe związki, które już nie odosobnionego robotnika, ale całą społeczną siłę im przeciwstawiały. Mówiliśmy już o prawie z r. 1824-go, które zniosło wszystkie dawniej istniejące zakazy i ograniczenia „kombinacyi” robotniczych. Nie trzeba jednak

sądzić, ażeby *Trades-Unions* pozyskały były wówczas już legalny grunt dla siebie. Bynajmniej. Już w następnym 1825 r. parlament, ulegając wpływowi żywiołu zachowawczego, odwołał istotnie wszystkie ustępstwa dopiero co uczynione i zabronił wszelkiej akcyi wspólnej robotnika, dążącej do zmienienia warunków pracy. Ale agitacya Chartystów i bil reformy 1832 r. były czynnikami neutralizującymi działalność reakcyi—i klasa robotnicza, pod wpływem tego powszechnego fermentu liberalnego, który w owej epoce owładnął społeczeństwem, silniej jeszcze obstawała przy jedynych instytucjach, które im dobrobyt materyalny i rozszerzenie sfery prawnej działalności zapowiadały.

Stopniowo rozmaite dawniejsze typy i formy związków rzemieślniczych ztracały się i wytworzył się nowy, ostateczny, który po kilku dziesiątkach lat prób i prześladowań miał w 1875 r. zatryumfować. Charakterystycznym rysem jego jest naprzód to, że jest to związek dobrowolny, w każdej chwili pozwalający członkowi z niego wystąpić: jest tu różnica radykalna od dawniejszego związku cechowego, obowiązkowego. Wszyscy uczestnicy, należący zwykle do jednej i tej samej gałęzi wytwórczej w pewnej miejscowości, dążą do otrzymania najwyższego możliwego wynagrodzenia za pracę. Przez związki federacyjne, jakie się w ciągu ostatniej ćwierci naszego wieku wytworzyły między związkami rzemieślniczymi, zdążają one do ujednostajnienia płacy zarobkowej we wszystkich miejscowościach, gdzie istnieją te same gałęzie wytwórczości. Nie potrzeba głębszego zastanowienia, aby zrozumieć, że to dążenie napotyka rozmaite trudności i wyjątkowo tylko osiągnięte być może. Większa jednolitość jest do osiągnięcia na innym punkcie, który od dawna, a szczególnie w ostatnich czasach, zaprzętał związki rzemieślnicze—mówimy o ograniczeniu ogólnem godzin pracy i nadaniu jej jednakowej normy. Udało się skojarzonym robotnikom zmniejszyć liczbę godzin pracy, nie dawno jeszcze rozciągniętą w sposób wołający o pomstę. Otrzymaawszy ulepszenia znaczne, obecnie pragną obniżyć godziny pracy do ośmiu, bez zmniejszenia kwoty zarobkowej. Kwestya ta stoi ciągle na porządku dziennym i niema potrzeby nad nią się tutaj rozszerzać. Jako ostatni rys charakterystyczny związków rzemieślniczych

wymienić należy, iż sprzeciwiają się zawieraniu wszelkich dłuższych umów pomiędzy robotnikami a przedsiębiorcą. Chociaż pozbawiać ich to może zabezpieczonego jutra, poświęcają je całkowitej niezależności pracy, która ma być równie niezakłócona, jak niezależność kapitału.

W ustroju swoim wewnętrznym są związki rzemieślnicze w całym słowa tego pojęciu demokratycznymi. Ażeby wejść do nich, nie potrzeba żadnej tajemniczej inicjacji, jak do dawniejszych cechów, ani roty przysiężnej. Wszyscy członkowie związku używają jednakowych praw; wszystkie postanowienia obowiązujące czynione są na walnych zebraniach większością głosów. Zarząd związku powierzony jest naczelnemu komitetowi, wybieranemu corocznie. Członkowie komitetu spełniają swe obowiązki bezpłatnie, z wyjątkiem sekretarza, którego działalność jest ciągłą, a nieraz mozolną. Mimo olbrzymich rozmiarów niektórych związków, liczących swych członków na krocie tysięcy, a kapitały, którymi obracają, na miliony funtów, nigdy płaca sekretarza nie przewyższa 200 funtów szt. Członkowie komitetu wykonawczego otrzymują w niektórych stowarzyszeniach dyety, stosownie do rozmiarów pracy i sesyi. Surowa karność panuje bez wyjątku we wszystkich związkach, a komitet dyrygujący posiada władzę nieograniczoną. Można go zwalić po upływie roku, ale ponieważ jest organem wykonawczym woli większości, nie można mu stawiać oporu aż do czasu, gdy się ta wola w innym kierunku przejawia. Coroczne sprawozdania i bilanse finansowe służą za probierz działalności i prowadzone są z precyzją i jasnością, nie zostawiającą nic do życzenia. Demos ma argusowe oczy i jest podejrzliwy z natury. Nie było w Anglii dotąd przykładów nadużycia, albo bezprawnego roztrwonienia majątku związkowego.

Znając już cel tych stowarzyszeń i ich organizację wewnętrzną, przyjrzeć się wypada z kolei środkom, jakimi się posługują, ażeby takowy dopiąć, i sposobowi, w jaki zadanie swe wypełniają naprzód względem swych członków, następnie względem tych czynników ekonomicznych, z którymi w styczność wchodzi.

Związek rzemieślniczy, uważając się za rozszerzoną rodzinę swego członka, bierze udział w jego indywidualnym losie

i współczuje jego przypadłościom i klęskom. We wszystkich, bez wyjątku, pogrzeb płacony bywa z kasy stowarzyszenia. Jest to widoczna spuścizna dawniejszej organizacyi cechowej. Wiele stowarzyszeń opłaca nawet kosztą pogrzebu żony członka. Wdowa otrzymuje z kasy związku sumę, która w niektórych związkach, jak n. p. u drukarzy londyńskich, wynosi 15 funtów, a owdowiały mąż otrzymuje 5 funtów. W czternastu najznacniejszych związkach wydano z tego tytułu w 1889 r. 29,868 funtów szt. ¹⁾. Chociaż związki robotnicze współzawodniczą pod tym względem ze stowarzyszeniami wzajemnej pomocy (*Friendly Societies*), do których prawie cała klasa robotnicza w Anglii przystąpiła, to nie wstrzymuje ich to bynajmniej, bo zdają sobie sprawę, że nigdy niema dość pomocy i osłody w czarnych chwilach choroby i śmierci. Wszystkie też, poczynawszy przynajmniej od 1850 r., płacą swym członkom podczas choroby, uniemożliwiającej zarobkowanie, od 10 do 15 szylingów tygodniowo. W wyżej wzmiankowanych związkach wydano tytułem zapomogi dla chorych członków w 1889 r. nie mniej jak 93,150 funtów. Rozszerzając zakres swej opiekuńczej działalności, związki rzemieślnicze wzięły się do płacenia pensyi emerytalnych starszym swym członkom, całkowicie, albo nawet częściowo do pracy niezdolnionym. Wraz z latami istnienia stowarzyszenia liczba starych członków się powiększy i nie można zapewnić, czy będzie podobnem to dobrowolnie podjęte zobowiązanie wypełnić. Już w roku 1889, ostatnim, z którego posiadamy zupełne tablice statystyczne, cyfra rozchodu na pensye emerytalne w 14 najgłówniejszych związkach wynosi potężną sumę 895,076 f. Robotnicy skaleczeni i poszkodowani podczas pracy otrzymują także zapomogi. Wynosiły one 195,434 f. W razie wyjątkowych wypadków, jak przesilen handlowych, bankructw finansowych i t. d., związki rzemieślnicze dawały nieraz nadzwyczajne

¹⁾ Statystyczne dane, dotyczące się „Trades Unions,” zarówno jak wiele szczegółów, dotyczących się ich organizacyi, czerpaliśmy w mnóstwie dzieł, tą kwestyą się zajmujących, a których przytaczać nie było potrzeby. Czytelników, bliżej się tą sprawą interesujących, odsyłamy do dwóch prac Jerzego Howell’a: „Conflicts of Capital & Labour,” 2-gie wydanie z 1890 r.—i „Trades Unions old & new,” 1891-go roku.

zasiłki swym członkom, otwierały im kredyty i ratowały z topieli. Gdy zawierucha przeszła, zaliczki zostały zwrócone—i stan rządkowy stowarzyszenia, chwilowo zachwiany, powrócił nibawem do normalnego stanu. Nakoniec, pod rubryką rozmaitych wydatków, a obejmujących wsparcia dla rodzin członka, kosztu przeprowadzenia się i podróży, zapomogi w razie niewystarczającego zarobku i t. p., związki te wydały w 1889 r. nie mniej jak 3,604,341 funtów szt.

Nie potrzeba się długo nad temi cyframi zastanawiać, ażeby zrozumieć znaczenie, jakie do związków rzemieślniczych przywiązuje cała warstwa robotnicza. Można powiedzieć, że z chwilą, gdy do jego organizmu wstępuje, robotnik przestaje być osobnikiem cierpiącym, upośledzonym, prześladowanym. Nowe wstępuje weń życie i czuje on bijące w swem sercu serce milionowej masy, poza nim stojącej. Nie temu zatem dziwić się należy, że się stowarzyszenia te rozmnożyły i rozrosły, ale temu chyba, że są jeszcze robotnicy, którzy do nich nie przystąpili.

IV.

Dotąd braliśmy pod uwagę jedynie te ochronne, dobroczynne środki, jakie związki rzemieślnicze podejmują dla swego uczestnika. Czynią jednak one dla niego daleko więcej, biorąc w swe ręce obronę wszystkich jego praw ekonomicznych i publicznych, walcząc z nigdy nie stygnącą energią za podniesieniem i rozszerzeniem sfery jego towarzyskiej. Związek rzemieślniczy jest armią, zawsze w pogotowiu będącą do walki za swego członka. Walki te przechodziły rozmaite fazy, były podjazdową wojną zaczajonych ochotników, były także otwartem rzuceniem rękawicy przedsiębiorcom i kapitalistom, pojedynkiem na śmierć i życie; ale, jakkolwiek różniły się planem i uzbrojeniem, zawsze ten sam duch je ożywiał: otrzymać dla klasy robotniczej niezależność prawną i jak największy możliwy dobrobyt.

Byłoby tendencyjnym fałszem utrzymywać, że związki rzemieślnicze nie popełniały niesprawiedliwości, gwałtów, prze-

stępstw i zbrodni, walcząc za swą sprawę. Zdarzało się to przeważnie w pierwszej połowie naszego stulecia, a nawet obecnie, w epoce ich tryumfu, niepodobna zapomnieć a przebaczyć im działalności, która na wielu punktach kraju, a szczególnie w Sheffieldzie i Manchesterze, napiętnowała ich sromotnie. Robotnicy nie tylko czynili wówczas wielkie materyalne szkody po fabrykach, które z tych lub owych powodów zasłużyły na ich niechęć, rujnując materyały, maszyny, podpalając gmachy i budowle, uciekając się nawet do osobistych napaści i mordów, ale nadto nie było gwałtu, któregooby nie popełnili na tych robotnikach, którzy, zamiast do ich związku przystąpić, stawali w obozie kapitalistów. Zbrodnicze te zamachy zmniejszyły się i, rzecz można, ustały całkowicie z chwilą, gdy prawo przyznało robotnikom nieograniczone prawo kojarzenia się i koalizowania. Zmowy robotnicze i zawieszenie roboty—oto środek ostateczny, do którego się uciekają, środek ryzykowny, zawsze raniący jedną i drugą stronę, ale jest on o wiele moralniejszy od dawnej formy podstępnego napadania przeciwnika. Tak samo, jak przedsiębiorcy posiadają prawo wydalenia robotników i zamknięcia swych zakładów, jeżeli robotnicy nie chcą pracować na warunkach, jakie oni uważają za niezbędne,—tak samo ci ostatni mają prawo zawiesić pracę, dopóki nie otrzymają reform, uznanych za konieczne: *lock-out* i *strike* są dwoma biegunami gospodarki ekonomicznej nowoczesnej. Związek rzemieślniczy zmwę taką organizuje, przygotowuje, negocjuje alianse, zgromadza kapitały, kreśli plan walki, oświeca opinię, rozdaje hasła i ostatecznie albo składa broń pokonany, albo odnosi zwycięstwo: stąd jego znaczenie, jako dźwigni emancypacyjnej. Nie potrzeba zapewne przypominać czytelnikom historii wielu zmów robotniczych: dramatyczne ich przejścia żyją w pamięci wszystkich.

Niema wątpliwości, że zmowa robotnicza i zawieszenie roboty jest środkiem ostatecznym i porównać je można do tej operacji chirurgicznej, którą przedsięwzięcie się jedynie dla ocalenia życia chorego, gdy inaczej niechybnie byłoby stracone. Zawieszenie roboty lekkomyślne, bez usprawiedliwiającego je powodu, bez środków materyalnych wystarczających, było dawniej daleko częstsze, aniżeli w ostatniej ćwierci wieku. Można obliczyć materyalne koszta, które za sobą pociągają, i straty wy-

twórczości narodowej, ale niepodobna ocenić ran moralnych, ani ofiar, których wymaga od biorących udział w walce. Gdy nastąpił *lock-out* nad Clydą, związki rzemieślnicze dla utrzymania wypędzonych robotników wydały 150,000 funt. szt., a stracili oni oprócz tego zarobku 312,000 funt. szt. Wiadomem jest, że podczas manchesterskiej zmowy robotnicy wydali 80,000 f. szt., a przedsiębiorcy 300,000 f. szt. Doniosłość tej ostatniej cyfry pokazuje, że fabrykanci mogli byli powiększyć płacę robotników i że jedynie niechęć do traktowania z klasą robotniczą, jako taką, leżała nieraz na dnie tych uraganów, wstrząsających światem ekonomicznym. Nie mając tutaj na celu specjalnego traktowania kwestyi zmów robotniczych, nie dotykamy różnych ich stron i nie kładziemy nawet nacisku na zasadniczą różnicę, jaka istnieje między zmovami, uorganizowanemi dla polepszenia warunków pracy, gdy są one upośledzone w epokach przesileni przemysłowych, a temi, które są czynione w epokach wielkiego rozkwitu tej lub owej gałęzi wytwórczej, dla przypuszczenia robotników do udziału w korzyściach, monopolizowanych przez fabrykantów. Każda z tych licznych stron, dotyczących sprawy zmów i bezrobocia umyślnego, przedstawia szerokie pole do badań i spostrzeżeń.

Tutaj wystarczyło zaznaczyć po prostu, że *Trades-Unions* są organizacją, nie ustanowioną wyłącznie do organizowania zmów i bezroboci, jak to błędnie a tendencyjnie utrzymywali przez długie lata ich ekonomiczni przeciwnicy, ale że wzięły na siebie i tę także część zadania i że wykonywują je stale i systematycznie. Olbrzymie sumy na ten cel obracane przestały już od dawna wywoływać zdumienie. Niema naturalnie żadnej przeciętnej ilości w tym dziale, gdyż bezrobocia, wymagające utrzymywania robotników przez cały czas swego trwania, nie są przedsiębrane corocznie, ani nie obejmują wszystkich rzemiosł. I tak, biorąc rezultaty dziesiątkami lat, znajdujemy, że owe 14 związków najprzedniejszych wydały na ten cel w 1869 r. 10,140 f. szt., w 1879 r.—60,224, a w 1889 r. znowu tylko 10,906. Że jednak całość wydatków na tę wojnę ekonomiczną kosztuje robotników sumy olbrzymie, pokazuje cyfra 462,818 f. szt., wydana w ciągu czterech ostatnich dziesiątków. Jakkolwiek surowy zewnętrzny świadek tej walki potępić zechce te bratobójcze

bitwy, a ekonomia polityczna dawniejsza bezwarunkowo zmowy robotnicze i bezrobocie potępiła, nie można zaprzeczyć, że warstwy robotnicze angielskie zawdzięczają im niejedną dodatni rezultat, niejedną cenną zdobycz. Sama ich groźba wystarczyła nieraz do polepszenia położenia masy pracującej. Jest przeto więcej niż prawdopodobnem, że świat ekonomiczny niejedną jeszcze tego rodzaju kampanię ujrzy. Nie można wątpić, że robotnicy stawiają wyżej jeszcze usługi, oddawane im przez związki rzemieślnicze pod tym względem, aniżeli owe ochronne i dobroczynne środki, o których mówiliśmy wyżej. Te ostatnie znaleźćby mogli i w stowarzyszeniach pokojowych, *ad hoc* urządzonych, ale jedynie i wyłącznie te *Trades-Unions* walczą za ich prawa i przywileje, jako klasy społecznej.

Jak powiedziano już wyżej, organizacya robotnicza była nawet po oswabdzającym ją pozornie prawie z 1825 r. przesładowana i podejrzewana przez czas długi. Różne nadużycia, popełnione przez rozjątrzone masy, rozmaite zawieszenia roboty pomiędzy 1850 a 1860 rokiem, a między innemi kolosalne zmowy w Prestonie w 1853 roku, w Yorkshire w 1858 r. i t. d., posunęły niechęć do związków rzemieślniczych do najwyższego stopnia. Parlament, wobec licznych a krzyżujących się oskarżeń, wobec wzrastających wymagań warstw robotniczych, które upośledzonemi dłużej być nie chciały, postanowił utworzyć wielką komisję królewską do zbadania sytuacji. Było to postanowienie rozumne. Jak wiele razy przedtem, tak i w 1867 roku komisya śledcza, wybrana z łona parlamentu, posiadająca wszechwładzę w prowadzeniu dociekań, wyjaśniła sprawę wszechstronnie. Po gruntownem przeprowadzeniu badań, pokazało się, że związków rzemiosł nie można było czynić odpowiedzialnymi za przestępstwa, popełnione w Sheffieldzie i Manchesterze, i że stawiane im zarzuty i oskarżenia pozbawione są podstawy. Z raportu komisji wyszły związki oczyszczone i uniewinnione. Następstwem praktycznem tego przychylnego dla nich raportu było prawo z 1871 r., znane pod nazwą *Trades Unions Act*; usamowolniało ono i dawało prawne istnienie związkom rzemieślniczym. Walka odwieczna została wygrana przez demokratyczną masę narodową. W cztery lata później, w 1875 r., uchwalono prawo, noszące ogólną nazwę *Labour Law*, i związki te otrzymały

od tej chwili wszystkie rękojmie, jakich tylko wymagać mogły: ich osoba cywilna tak samo jak majątek zbiorowy zostały zabezpieczone. Żadna tama nie jest położona ich rozwojowi.

Pozostaje nam obecnie, dla wyczerpania tej części naszego przedmiotu, wykazać, jakie następstwa wywołała ta prawna emancypacja związków rzemieślniczych w ich organizacyi i w ich rozwoju.

Jeżeli wskutek połączenia się słabych i mdłych jednostek stanu robotniczego potrafiły one doprowadzić potężną klasę kapitalistów do kapitulacyi i przyznać im równouprawnienie z klasą od wieków uprzywilejowaną, to dalsze połączenie już nie jednostek, ale tych organizmów zbiorowych, tych związków rzemieślniczych, musiało narzucić się jako logiczna konieczność uczestnikom takowych. Widzieli oni w federacyi tych stowarzyszeń nie tylko dźwignię nowego postępu, ale zdawało się im możliwem uorganizować całą masę robotniczą krajową w jedną zwartą armię i, prowadząc ją do szturm na kapitał, zdać go na łaskę zwycięzców. Na corocznych zjazdach i wiecach, które się regularnie odbywały, widzimy już od 1873 r. istotnie myśl tę poruszaną i obrady toczące się nad wprowadzeniem jej w czyn. Sam ów projekt wywołał gorączkowe obawy wśród klasy przemysłowej, która się już widziała zrujnowaną i wydzieńczoną. Pokazało się jednak niebawem, że i obawy te są przesadzone, i że federacya związków nie będzie nigdy w stanie takich rewolucyjnych osiągnąć rezultatów.

Naprzód stało się widocznem, że o ile są do uskutecznienia łatwe federacye pomiędzy jednogatunkowymi, pokrewnymi związkami, gdzie istnieje jednolitość interesów i podobieństwo procederu, o tyle są trudne pomiędzy gałęziami wytwórczości całkiem odrębnymi, a nawet nieraz się krzyżującemi, ażeby nie powiedzieć wykluczającemi się wzajemnie. Następnie związki rzemieślnicze, mając w świeżej pamięci trudności, które trzeba było pokonać, ażeby pozyskać samodzielność, żywiły obawę zatracenia jej całkowicie, albo przynajmniej częściowo, po zlaniu się w jeden ogólniejszy związek. Były tedy rozmaite próby, przedsiębrane częściowo; utworzyły się związki solidarności, n. p. między związkami górników, albo mechaników, albo cieśli i stolarzy i t. d. Ale ogólna, powszechna federacya narodowa

związków rzemieślniczych, której programat ostateczny nakreślony został na zjeździe w 1889 r., nie skryształizowała się dotąd w czynie. Tem mniej jeszcze może być mowy o międzynarodowej federacji całej robotniczej ludności europejskiej, o której prawią smalone duby na zjazdach socyalistycznych stałego ładu. W Anglii tego rodzaju mgliste widziadła nie są w stanie rozplomienić wyobraźni robotniczej masy. Gdy mówić nam przyjdzie o ostatniej fazie organizacyi pracy, tej, która zbliżyła się wielce do socyalizmu, przynajmniej w swych tendencyach ogólnych, znajdziemy tam większy pochop do wielkich federacyi; lecz w typowych *Trades-Unions*, którymi się dotąd zajmujemy, nie miały one przeważnej roli.

Ale jeżeli federacya związków nie jest dotąd dziełem urzędowistnionem, to nie można powiedzieć tego samego o radach rzemieślniczych (*Trades-Councils*). Instytucyi takich już jest mnóstwo i okazały się one wielce użytecznemi. Złożone z delegatów od komitetów pojedynczych związków, a zatem z najwykształceńszych i najenergiczniejszych reprezentantów klasy robotniczej, zajmują się te rady wszystkimi kwestyami, dotyczącymi wspólnych interesów, rozstrzygają spory i nieporozumienia pomiędzy pojedynczymi związkami, zbierają składki na cele publiczne, prowadzą agitację w wielu kwestyach, gdzie klasa robotnicza wypowiada już teraz swoje *quos ego*, i biorą na siebie wogóle propagandę polityczną. Coraz większy zastęp członków robotniczych wybieranych do parlamentu i inicjatywa, jaką oni biorą w prawodawczej działalności, dotyczącej kwestyi robotniczych, przypisane być winny czujnej akcji rad związków.

Nie potrzeba nakoniec przypominać zjazdów corocznych. Z początku patrzano na nie niechętnie i wyklinano je z ambon, z mównic i w prasie. Ale rozpoczęte w 1868 r., odbywać się one nie przestawały regularnie, i nie tylko zwalczyły stawianą sobie *à priori* opozycję, ale pokazuje się ze szczegółowego przeglądu prac na nich dokonanych, że posłużyły takowe za podstawę i punkt wyjścia do wszystkich bez wyjątku praw i ustaw, które rząd i parlament wydał w kwestyach ekonomicznych w ciągu ostatniej ćwierci wieku.

Przy takiej silnej organizacyi związków rzemieślniczych i wobec bijących w oczy okazów ich użyteczności, ciągły, nor-

malny rozwój tych stowarzyszeń nie miałby powodu nas zadziwiać. Przyznajemy wszelako, że gdy statystyczne dane ostatnich czasów porównamy z mikroskopijną kolebką całego tego ruchu, ogrom ich usprawiedliwia zdumienie. Nie należy bowiem zapominać, że istotnie czują one pewny grunt pod sobą, uzdalniający je do rozwoju zaledwie od jakich lat dwudziestu, że żyją jedynie własnymi siłami, składką swych uczestników, a z wykluczeniem wszelkiej zewnętrznej pomocy i podpory. Nadzwyczajne rezultaty osiągnięte zostały dzięki zasadom samopomocy i solidarności.

W r. 1861 *Directory of Trade-Union*, t. j. katalog, obejmował ich 2,000, a przybliżona ilość członków wynosiła od 1,000,000 do 1,250,000. Od tego czasu wiele tych drobnych związków albo się rozwiązało, albo inaczej uorganizowało, albo weszło w skład większych ciał zbiorowych. Wzrost ich okazuje się najdokładniej przy rozpatrywaniu okresów dziesięcioletnich. Ograniczając się do trzynastu najprzedniejszych związków rzemieślniczych, znajdujemy się wobec ciągłego, regularnego ich przyrostu; lecz nie ulega wątpliwości, że istnieje on we wszystkich innych stowarzyszeniach i że należy już fakt ten uważać za normalny, niezmienny.

Związek rzemieślniczy	Liczba członków			
	w r. 1869	1879	1889	1890
Zjednoczeni mechanicy	33,539	44,078	60,728	67,800
Robotnicy machin parowych	2,805	4,074	5,300	5,822
Kotlarze	6,298	16,989	29,933	—
Gisernicy	8,990	12,276	13,805	14,821
Ludwisarze	2,432	4,519	5,992	6,198
Kowale	1,509	2,118	2,077	2,323
Cieśle i stolarze	9,305	17,034	26,472	31,784
Kamieniarze	23,036	15,650	11,306	—
Strycharze	2,020	5,874	8,189	—
Zjednoczeni krawcy	3,994	13,888	15,776	—
Zecerowie londyńscy	3,300	4,930	7,975	8,910
Typografi	2,266	5,150	8,388	—
Powoznicy	5,719	6,908	4,985	5,367
13 związków liczyło członków	105,216	155,184	200,666	—

Wogóle liczba uczestników wszystkich związków rzemieślniczych przenosi już sumę dwóch milionów. Armii o takiej

potężde nikt już lekceważyć nie myśli. Niektóre ze związków, licząc zanadto wielką liczbę członków dla dobrej organizacji, podzieliły się na sekcye; tak n. p. mechanicy mają 497 sekcji, gisernicy 116, kowale 42, cieśle i stolarze 501 i t. d. Jest to do zrozumienia łatwe, gdy się weźmie na uwagę, że związki te są rozsiiane po całej przestrzeni kraju, a często nawet organizują się po koloniach.

Finansowa siła, jaką te stowarzyszenia stworzyły, jest olbrzymią. Powstała ona jednak, o czem zapominać nie należy, wyłącznie z jednego tylko źródła, mianowicie z wkładek tygodniowych każdego uczestnika i z nadzwyczajnych wkładek tychże uczestników w wyjątkowych okolicznościach. Wysokość tych obowiązkowych wkładek tygodniowych rzadko spada poniżej szylinga, ale rzadko go także przewyższa: jeden szyling jest tedy kwotą, której ześrodkowanie zmieniło tak całkowicie położenie klasy robotniczej. Dochód roczny wyżej wymienionych związków przedstawia się w następujących cyfrach:

Związek rzemieślniczy	Dochody w funtach szterlingów			
	w r. 1869	1879	1889	1890
Zjednoczeni mechanicy	82,406	135,267	183,651	—
Robotnicy machin parowych	7,091	10,618	15,303	15,849
Kotlarze	—	46,974	104,523	—
Gisernicy	33,513	43,104	39,800	—
Ludwisarze	6,476	14,123	20,983	22,184
Kowale	2,181	3,552	4,585	—
Cieśle i stolarze	21,802	39,854	75,069	—
Kamieniarze	21,835	31,213	19,043	—
Strycharze	1,909	8,270	12,696	—
Zjednoczeni krawcy	—	17,517	20,953	—
Zecerowie londyńscy	4,366	7,712	14,242	16,533
Typografi	—	6,616	9,667	—
Powoznicy	10,206	30,699	10,971	11,963
	192,787	395,319	531,486	—

Jeżeli dochody związków mogą być z góry przewidziane, jako zależące wyłącznie od liczby członków, to nie można tego bynajmniej powiedzieć o rozchodach. Są one do przewidzenia trudne, zależą bowiem od rozmaitych przypadłości. Niektóre lata, wyjątkowo ciężkie, jak n. p. 1866 albo 1879, pochłonęły nie tylko całe dochody, ale w niektórych stowarzyszeniach zna-

czną część dawniejszych oszczędności. Tak n. p. mechanicy zmuszeni byli wydać w 1879 r. 100,000 f. szt., a kotlarze 40,000. Były stowarzyszenia, jak n. p. kamieniarze, którzy zrujnowani byli przez znowę i stracili przez nią 10,000 członków. A jednakże właśnie w ich związku wydatki na cele dobroczynne, na pensye emerytalne, choroby, pogrzeby, wypadki, subskrypcye publiczne i t. p. wynosiły 435,862 f. szt., kiedy wydatki na podtrzymanie bezrobocia wynosiły w tym samym okresie czasu tylko 108,404 f. szt., czyli że stosunek pierwszych wydatków do drugich wyraża się w cyfrach 75 : 25.

Wogóle finansowe położenie związków uważane być winno za wysoce zadawalniające, skoro posiadają zawsze, po zamknięciu rocznego bilansu, znaczne sumy zapasowe w gotowiznie. W wymienionych związkach suma gotowizny wynosiła:

przy końcu 1869 r. 126,422 funt. szt.

„ 1879 „ 309,373 „

„ 1889 „ 623,164 „

Gdyby się nawet te kapitały zapasowe dalej nie podwajały tak szybko i nie rosły jak śnieżne lawiny, to łatwo zrozumieć, jaką materyalną podstawę dają one klasie robotniczej jako takiej. Sama wiadomość, że kasa związku posiada amunicję do walki, że poza jednym związkiem stoi kasa federacyi, wystarcza do powstrzymania przemysłowców w ich zamiarach zmniejszenia zarobku robotnikom i narzucenia im uciążliwych warunków. Klasa robotnicza angielska ocenia też jak należy to znaczenie kapitału i nigdy nie zdarza się tam słyszeć czczych i niedorzecznych dyatryb przeciwko niemu. Zmierzać do innego jak dotychczas rozdziału zasobu społecznego, a brać się do jego zniweczenia—to dwie rzeczy całkiem odmienne.

V.

Byłoby widoczną przesadą i optymizmem nie do darowania utrzymywać, że instytucya związków rzemieślniczych rozwiązała zagadnienie społeczne, choćby dlatego po prostu, że zagadnienie to nie dopuszcza żadnego jednolitego i jednorazowego rozwiązania. Każda epoka wobec odmiennych stosunków za-

łatwia się z niemi inaczej. Ale jeżeli się nie spuszcza z oka interesu masy społecznej, albo innemi słowy, jeżeli się staje na demokratycznym stanowisku nowoczesnem, to niepodobna zaprzeczyć, że zarówno dawniejsza organizacya cechowo-korporacyjna, jak i stan następny interwencyi państwowej nie przyniosły tak dodatnich rezultatów dla sprawy emancypacyi społecznej i nie posunęły jej tak dalece na przód, jak to uczyniła organizacya, utworzona przez sam stan robotniczy. Jej to zasługą, że położenie klasy zarobkującej uległo całkowitej zmianie. Niema pisarza, któryby jej nie uznał, a chociaż są jeszcze wielkie postępy do uczynienia, niecierpliwość w ich pozyskaniu nie powinna nam zamykać oczu na istotny stan rzeczy. W dziedzinie czysto politycznej demokracya angielska coraz nowe osiąga zdobycze i potężna oligarchia Wielkiej Brytanii należeć będzie za kilka dziesiątków lat do historycznej przeszłości; w ekonomicznej — przywileje i monopole klas wyższych i średnich znikają szybko. Przedsiębiorcy, fabrykanci i kapitaliści z jednej strony, a masa robotnicza, uorganizowana w związki z drugiej, stają wobec siebie jako dwa równouprawnione czynniki i traktują się jako godne jedna drugiej potęgi. Trzymając w odwodzie jedni swój *lock-out*, a drudzy swój *strike*, mają oni w razie nieporozumienia rozmaite środki uprzednie. Coraz częściej wchodzą w użycie sądy polubowne, konferencye między przedsiębiorcami a ciałem robotniczem. Przy jawności, jaka panuje w Anglii, dzięki prasie i statystycznym informacyom, niema sposobu utaić zysków albo po prostu sił rozporządzalnych. Robotnicy znają dokładnie dochody, jakie przedsiębiorstwo daje akcyonaryuszom i administracyi, tak samo jak fabrykanci wiedzą, jak długo robotnicy przetrwać mogą bezrobocie. Coraz częstsze są porozumienia w razach przesilen handlowych i przemysłowych i ustępstwa, czynione przez jeden żywioł drugiemu. Robotnicy dążą do zaciągnięcia wszystkich bez wyjątku rąk w danej gałęzi pracy do swojego związku, i utrzymują, że wtedy mogliby dyktować samowładnie prawa. Ale nie o to idzie, lecz o sprawiedliwość, któraby ucierpiała niezawodnie na takim stanie rzeczy. Wystarczy robotnikom posiadać $\frac{2}{3}$ części rąk zaciągniętych do swej organizacyi związkowej. Dzieje się to już w wielu gałęziach

wytwórczości, jak: u kotlarzy, robotników przy warsztatach okrętowych albo górników.

Utrzymanie ustroju ekonomicznego, który tak świetnych dawać nie przestaje owoców, i utrzymanie go takim, jakim jest, zdawało się rzeczą nieodzowną. Nie da się jednak zaprzeczyć, że obok tego typu *Trades-Unions*, któryśmy tutaj rozbierali, zaczął się w ostatnich czasach wytwarzać inny. Różnice nie są jeszcze dość wybitne, aby wolno było mówić o przełomie, o odszczepieńcach; ale tendencje wielu związków robotniczych w ostatnim dziesięciu lat okazują się odmienne od przemagających dawniej. Wielu agitatorów na mównicach, wielu dziennikarzy w prasie, a nawet niektórzy pisarze, bacznie objawy społeczne śledzący, mówią już o *Trades-Unions* dawniejszych i nowych, jak o organizmach sprzecznych. Sprzeczności, zdaniem naszym, niema, ale oryentacja jest inna. Ażeby ją jednym określić słowem, powiemy, że dawniejsze związki rzemieślnicze opierały się na samopomocy, a nowe skłaniają się do żądania pomocy od państwa; przechylają się zatem ku socyalizmowi.

Zadaleko odwiódłoby nas od traktowanego tutaj przedmiotu, gdybyśmy wejść chcieli w propagandę doktryn socjalistycznych w Anglii. Będzie o tem mowa oddzielnie. Tutaj wystarczy powiedzieć, że wpływ agitacji socjalistycznej musiał naturalnie oddźwięknąć na już uorganizowanych ciałach robotniczych, i że znalazł tam szranki otwarte. Niecierpliwość natychmiastowego osiągnięcia oddawna upragnionych celów doprowadziła wielu gorących agitatorów do błędnego wniosku, że związki rzemieślnicze doszły już do swojego kulminacyjnego punktu, że żadnych zdobyć nowych uczynić nie potrafią i że trzeba uciec się do państwa, do siły prawa i zażądać od niego rozstrzygnięcia aspiracji warstwy robotniczej. Na kongresie *Trades-Unions*, odbytym w Liverpoolu we wrześniu 1890 r., zaszły burzliwe walki między przedstawicielami nowego kierunku a zasłużonymi od lat wielu organizatorami stronnictwa robotniczego. Tomasz Burt, Karol Fenwick, James Wilson, a szczególnie Broadhurst i Shipton, dwaj przywódcy całego rozwoju i organizacji związkowej, zostali oskarżeni o niedołęstwo, brak energii, ciasność poglądów, wyłączność i t. p., a chociaż potężną większością otrzymali wotum zaufania, nie można było utaić, że

klasa robotnicza angielska podzieliła się na dwie grupy. Nowatorowie zażądali od deputowanych w parlamencie, ażeby się domagali prawnego ograniczenia godzin pracy do ośmiu we wszystkich gałęziach pracy. Napróżno udowodniano im, że nie ma pod tym względem jednomyślności pomiędzy samymi robotnikami; napróżno przypominano im, że garstka deputowanych robotniczych w parlamencie nie będzie w stanie takiego bilu przeprowadzić; nie przekonano ich i zwada się toczy na tym punkcie. Bezrobocie, które wynikło pomiędzy robotnikami w dokach londyńskich w zimie 1890 r., dodało nowych żywiołów do rozterki. Ta najniższa, dotąd nieuorganizowana, warstwa robotnicza znalazła kilku dzielnych i energicznych przywódców, którym się udało zjednoczyć ją i osiągnąć dla nich lepsze warunki materialne. Ci działacze ostatniej godziny, jak John Burns, jak Tomasz Mann i inni, są przewodnikami robotniczego proletariatu i widzą w dawniejszej organizacji związków rodzaj arystokracji. Nie można się dziwić, że z tego nowego obozu wystrzeliły rozmaite programaty płomienne i propozycje, któreby niedawno jeszcze mogły uchodzić za awanturnicze. Te nowe związki popychają energicznie do szerokiej federacji całego stanu robotniczego i do zjednoczenia jej z organizacją robotniczą stałego łądu. Silny nacisk kładzie to nowe stronnictwo na utworzenie biur pracy oraz centralnej giełdy pracy na wzór paryskiej, na municypalizowanie robót i przedsięwzięć publicznych. Dotąd są to tylko, powtarzamy, wskazówki wewnętrznej fermentacji, odbywającej się w łonie warstw zarobkujących angielskich. Zanadto wiele przeszkód politycznych i ekonomicznych leży jeszcze na drodze urzeczywistnienia tych dążeń, ażeby była potrzeba wchodzić we wszystkie szczegóły proponowanej organizacji. Byłoby jednak błędem lekceważyć tę agitację. Wiatrmie w jej żagle, a że na wielu punktach średniowieczna forteca, w której się dotąd chroniły przywileje dawniejszej Anglii, kruszy się i rozpada na szczątki, przewidzieć nietrudno, że się do niej przez otwarte szczyrby przedostanie niejedna nowa instytucja, wczoraj jeszcze za niemożliwą uznawana.

Nie mamy bynajmniej zamiaru przepowiadać, jakie formy przybierze w przyszłości organizacja pracy w Anglii. Ale zdaje się nam niewątpliwem, że dopóki gospodarstwo przemysłowo-

fabryczne trwać będzie i rozwijać się na podstawie indywidualizmu, najlepszą, najużyteczniejszą organizacją dla sił robotniczych pozostaną związki rzemieślnicze. Dawniej napastowali je kapitaliści, obecnie krytykuje je proletaryat wyrobniczy. Spotykamy się nawet z przepowiednią, że taki sam los je spotkać musi, jaki spotkał dawniejszą organizację cechowo-korporacyjną. Nie potrzebujemy zapewne tego dziwnego wybryku odpierać. Ale nie będzie od rzeczy obecnie, gdyśmy do końca naszego rozwojowego obrazu doszli, zobaczyć, co się z owymi cechami angielskimi stało: porównanie z organizacją *Trades-Unions* stanie się jeszcze jaskrawszem.

Gdy Henryk VIII skonfiskował majątek klasztorów, a następnie majątek wszystkich cechów i korporacji, oszczędził jedynie londyńskie, których dotknąć się nie powążył. I tak się stało, że aż do dnia dzisiejszego przechowało się w Londynie istniejących wówczas 73 cechów czyli *Livery Companies*. Nie wywierają one żadnego wpływu na ekonomiczne warunki produkcji, a są jedynie uprzywilejowaniem ciałem, strzegącym giełdowego majątku. Jest tedy jakie 8,000 członków tych giełd, którzy wybierają z pomiędzy siebie znowu jakich 1,500, formujących biura czyli tak zwane *Courts of Assistants*. Biura te albo komitety cechowe zawiadują majątkiem, bądź pochodzącym z zapisów i będącym pod prawną kuratelą—*trust*, bądź nieograniczonymi żadnymi klauzulami. Rozległe majątki ziemskie, grunta i domy w obrębie Londynu, kapitały na hypotekach, pałace, galerie obrazów, srebra, kosztowności i t. p. czynią z tych giełd *city* londyńskiej istotnych potentatów. Roczny dochód dwunastu najbogatszych cechów wynosi 510,760 funt. sterl., a jest on własnością 2,715 członków, dochód dwunastu drugorzędnych wynosi jeszcze 108,126 funt. st., dzielony pomiędzy 1,296 członków, a w 50 trzeciorzędnych 50,000 roczny dochód przypada na 3,500 członków. Członkowie tych uprzywilejowanych korporacji obracają te fundusze na płacenie sobie pensyi i honoraryów w wysokości 220,000 funt. st., na wydawanie słynnych bankietów, których koszt przenosi 100,000 funt. st. Trzeba jednak dodać, że wielką sumę 500,000 funt. st. przeznaczają corocznie na rozmaite fundacye, na szkoły, instytucye technologiczne oraz na różne cele filantropijne. Działalność w tym kierunku

jest przedewszystkiem widoczną po roku 1880, gdy mianowana została komisya parlamentarna do zbadania finansowego stanu tych korporacyi. Rezultaty śledztwa, zawarte w trzech olbrzymich tomach *in folio*, rzuciły przerażające światło na nadużycia, jakie czyni ta garstka uprzywilejowanych jednostek z majątku, ocenionego na 15 do 20 milionów funt. st. Chociaż dotąd parlament nie uwzględnił praktycznych wniosków, do jakich doszła owa komisya, i nie położył kresu skandalom i nadużyciom na tym gruncie się rodzącym, można jednak z pewnością powiedzieć, że ten fundusz, zagrabiany przez jednostki ze szkodą ogółu, w tej lub owej formie temuż ogółowi ostatecznie zwrócony zostanie, i że organizacya cechowa, nie mająca racyi bytu wśród nowoczesnego świata, utraci i ten ostatni zabytek przeszłości.



STOWARZYSZENIA ROBOTNICZE SPÓŁDZIELCZE.



eżeli nie lata przeżyte, ale ilość stoczonych walk ma być probierzem i świadectwem doświadczenia i starości, to ekonomia polityczna, wbrew ogólnemu mniemaniu, nie tylko nie jest młodą gałęzią wiedzy, ale doszła już lat matuzalowych. Socjalizm wypowiedział jej walkę na noże i nie zostawia jej chwili spokoju, a społeczeństwa uorganizowane normalnie nie okazują jej ze swojej strony tej ufności i tej wdzięczności, do jakich zdawała się mieć prawo. Kiedy buntowniczy socjalizm zarzuca jej systematyczny egoizm i brak dobrej woli w usiłowaniu rozwiązania trudności społecznych, a zarazem dekretuje samowolnie nowy porządek rzeczy, mający wejść w życie z ramienia państwowego, to klasy zachowawcze—i nieledwie gotowi jesteśmy powiedzieć—uprzywilejowane w obecnym ustroju, nie tają istotnej niechęci do ekonomii politycznej za to, że nie zdołała dotąd zetrzeć łba tej lerneńskiej hydrze, że ich nie oswobodziła od poczwary socjalizmu i grożącej likwidacji społecznej. Trudne to zaiste położenie pomiędzy dwoma ogniami, nierównego wprowadzie natężenia, ale równie dotkliwymi. Nie może wszelako ekonomia polityczna działać i nadal w innym kierunku, jak w tym, w którym działa—nie powiemy

oddawna—ale przynajmniej od ostatniej ćwierci wieku. Odkładając na stronę metafizykę abstrakcyjną, zamyka się ona obecnie w sferze faktów i zjawisk dostrzegalnych i doświadczalnych; dowodzi i wywodzi, jakie zadowalające rezultaty osiągnąć się dają nawet w przełomowej chwili obecnej, dzięki umiejętnemu zużytkowaniu sił wytwórczych. Nie można gwałtem zmusić socjalizmu do milczenia i do złożenia broni, ale można ustawicznie i na każdym kroku wykazywać, w jakim kierunku i przez jaki łańcuchowy ciąg reform społecznych jest się w stanie osiągnąć to *summum* sprawiedliwości i dobra, które się szlachetnym umysłem nigdy uśmiechać nie przestało. Oto naukowe i obywatelskie zadanie ekonomii politycznej; o inne kusić się nie potrzebuje.

Ażaliż można lepiej i skuteczniej zwalczać i niweczyć mgliste mary socjalizmu, jak przeciwstawiając im praktyczne owoce, już przez stowarzyszenia pozyskane? Stara to piosenka—powiedzą może czytelnicy—dodając, że stowarzyszenia udowodniły już, iż nie stanowią panaceum na choroby społeczeństwa. Zgoda, ale zgoda i na to, że niema żadnych ogólnych i powszechnych panaceów. Nie znaleziono też dotąd innych środków do pozyskania dobrobytu, jak praca i oszczędność; i to także jest stara prawda. Skoro jednak praca i oszczędność, względnie do klasy robotniczej, nabierają dopiero całej swej wartości w stowarzyszeniach i przez stowarzyszenia, to mamy słusność ciągle i ciągle do tej formy społecznej powracać i wysławiać jej błogosławieństwa. Jakkolwiek bowiem wyleczeni z młodzieńczych złudzeń wiemy już obecnie, że nie wszystko da się uskutecznić przez stowarzyszenia, że są reformy zasadnicze, które drogą ustawodawczą dokonane być muszą,—to z drugiej strony trzeba chyba być ślepymi i głuchymi na blask i dźwięk prawdy, aby zaprzeczyć, że stowarzyszenia mają w swoich rękach przyszłość ludności robotniczej.

Nigdy może nie poculiśmy żywiej tej prawdy, jak podczas trzechdniowego pobytu w Carlisle, w końcu maja roku 1888-go. Carlisle jest to miasteczko, liczące zaledwie 30,000 mieszkańców. Starodawny ten gród celtycki u granic szkockich, położony niedaleko od romantycznej pamięci Gretna-Green, do którego uciekali niecierpliwi kochankowie, sam w sobie nie

zasługiwałyby na bliższą uwagę, pomimo, iż w nim zbiegają się trzy rzeki i siedem linii kolejowych; pomimo, iż posiada piękną katedrę z XII wieku i kilka znacznych przemysłowych zakładów. Do Carlisle zwołany został w tym roku zjazd centralny stowarzyszeń spożywczych i spółdzielczych angielskich, zjazd dziewiętnasty z rzędu: przeszłoroczny odbył się w Plymouth. Przewodniczył mu p. Jerzy Jakób Holyoake, autor klasycznych już dzisiaj dzieł o „Historii stowarzyszeń angielskich.” Nie zajął on wprawdzie wśród ludności robotniczej swojego kraju tego samego stanowiska, co Schultze z Delitzsch w Niemczech jako twórca banków zaliczkowych, i chociaż ma wiele wspólnych z tym ostatnim rysów, nie wcielił się w żadną specjalną instytucję; niemniej wszakże rola jego jest wpływowa i przeważna, jak się to dzieje zawsze, gdy umysł wyższy, o systematycznym poglądzie, obznajmiony z historyczną przeszłością, a zdający sobie sprawę z aspiracyi społecznych, bierze czynny udział w wielkiem jakim dziele powszechnego zakroju: bezwiednie masy pozwalają mu się kierować. Dzięki wytrwałym i umiejętnie prowadzonym pracom przygotowawczym i praktycznej swej organizacyi, zjazdy ogólne stowarzyszeń angielskich nabierają coraz większego znaczenia i przewyższają już nawet ten wrodzony wstręt do centralizacyi, jaki się u anglików na każdym spotyka kroku. Niema w nich przedewszystkiem żadnej wyłączności. Spotkaliśmy tam z jednej strony delegatów *Trades-Unions*, stowarzyszeń organizujących bezrobocia, i bądź co bądź sympatyzujących z socyalizmem, mimo istotnych i godnych uwzględnienia postępów i przeistoczeń, które się w ich łonie dopełniły; z drugiej, wielu pseudo-ekonomistów, którzy słuchali, jak powieści z tysiąca i jednej nocy, sprawozdań o rozwoju stowarzyszeń spożywczych.

I istotnie było się tam czemu dziwić.

Podług odczytanego nam szczegółowego wykazu, istnieje dziś w Wielkiej Brytanii 1,409 stowarzyszeń spółdzielczych, liczących 911,797 członków; przyszedł rok cyfrę tę niewątpliwie podniesie do miliona. Roczny obrót interesów stowarzyszeń podniósł się do 32,500,000 funtów sterlingów, a czysty zysk do 3,100,000 funtów. W jaki sposób rezultaty te osiągnięte zostały? W najprostszy. Stowarzyszenia spożywcze zakupują arty-

kuły spożywcze i inne towary wprost od producentów, z pominięciem znużonych i kosztownych pośredników, kupują je w znacznej części za gotówkę, co im pozwala osiągnąć nadzwyczajne korzyści, a sprzedają je swoim uczestnikom po zwykłych cenach targowych: ztąd zysk ciągły, nie schodzący niżej 10 lub 12⁰/₁₀, względnie do wartości przedmiotów sprzedawanych. Osiągnięty zysk czysty przy zamknięciu rocznych rachunków ulega podziałowi pomiędzy stowarzyszenie jako osobę moralną, której majątek wzrasta i użyty być może na zaspokojenie potrzeb ogólnych, i pomiędzy uczestników stowarzyszenia w miarę poczynionych przez nich w ciągu roku zakupów. Czem więcej robotnik wydał i spotrzebował, tem większy ma udział w ogólnie osiągniętym zysku. W swoim orędziu p. Holyoake przytoczył przykład stowarzyszenia spożywczego w Oldham, liczącego 18,000 uczestników, między których rozdzielono w tym roku 85,000 funtów sterlingów zysku, i trafnie się wyraził, że gdyby kto był wziął patent na wynalazek wykazywania takiego zysku do rozdziału pomiędzy uczestników, bez żadnej z ich strony pracy, bez żadnego ryzyka, bez operacji bankierskich, bez pożyczek, spekulacji, gry, kradzieży, jednym słowem bez żadnego z ich strony wysiłku, wynalazca taki nie mógłby się opędzić napływającej ze wszech stron podaży. Tajemnica tego wynalazku leży z jednej strony w taniej, uczciwej i prostej administracji, a z drugiej w wyłącznem zakupowaniu wszystkich przedmiotów potrzebnych robotnikowi w składach stowarzyszenia. Jajko Kolumba: nic więcej!

Nie potrzebujemy się rozwodzić nad znaczeniem lub korzyściami stowarzyszeń spożywczych; są one tak dotykalne, że jednemu tylko dziwić się można, temu mianowicie, że są jeszcze umysły dość gnuśne i pograżone do tego stopnia w rutynie, ażeby dobrowolnie wyrzekać się materyalnych zysków, z tego źródła osiągnąć się dających. Czterdziestoletnie doświadczenie Wielkiej Brytanii nie wykazało ani jednego ujemnego rezultatu, ani jednej zraty kapitału pierwiastkowego, ani jednego bankructwa. Siedmiu tkaczy w Rochdale z wielkim mozołem zdołało zebrać pierwsze 28 funtów sterlingów, i zakupione za tę sumę przedmioty spożywcze sprzedawało robotnikom stowarzyszonym; oto początek, śmieszny swą małością, tego potę-

znego i nigdy dość nie wysławianego stowarzyszenia pionierów rochdałskich, których zaoszczędzony po dziś dzień majątek, jako wspólna własność stowarzyszenia, wynosi 320,000 funtów sterl. Z takim przed oczami przykładem, nie dziw, że się praktyczni energiczni Anglicy do naśladownictwa rzucili.

Charakterystycznym rysem stowarzyszeń robotniczych angielskich jest stopniowy rozwój ich działalności, w miarę poszukiwania odpowiednio silnej podstawy materialnej. Zaczęto od stowarzyszenia spożywczego, jako odpowiadającego najogólniejszym potrzebom, nie wymagającego znacznego nakładu i przedstawiającego najmniejsze ryzyko; dopiero później wkroczone w dziedzinę wytwórczą. Z rozwojem więc stowarzyszeń zaczęto skupować zboże do mlewa i na pieczywo, potem budować młyny i piekarnie. Niektóre z tych zakładów są nie tylko olbrzymie, ale zarazem i wzorowo prowadzone. Z biegiem czasu znów rozszerzono sferę działania i zaczęto zakładać *Wholesale societies*, składy hurtowe, dostarczające stowarzyszeniom wszystkich przedmiotów spożywczych, uprzednio postronnie nabywanych. Najznakomitsze *Wholesale societies* znajdują się w Glasgowie i Manchesterze; ten ostatni sprzedał w r. 1886 towarów za 5½ milionów funtów sterl., osiągnąwszy czystego zysku 82,000 funtów; prócz tego fabryki biszkoptów, mydła, obuwia, papieru, i t. d., stanowiące własność stowarzyszeń, powstają coraz gęściej. Ajenci stowarzyszeń spożywczych zakupują na pierwszorzędnych targowiskach europejskich i amerykańskich specjalne tych targowisk produkty, a magazyny ich są w stanie obecnie współzawodniczyć z najwykwintniejszymi sklepami stolicy. Stowarzyszenie ubezpieczenia na życie i bank uruchamiający kapitały obrotowe uczestników uzupełniły i uwieńczyły tę wielostronną organizację. Ruch kapitałów w tym banku, wynoszący w 1885 r. 16 milionów funt., wzniósł się w ostatnim, 1886 r., do 17,200,000 funt.

Strona materialna przedsięwzięcia nie zdaje się więc przedstawiać żadnej ujemnej, żadnej słabej strony. Każdy rok nowy będzie podnosił przytoczone cyfry i do milionów nowe dodawał miliony. Nie potrzeba być prorokiem, aby to przewidzieć: arytmetyczne prawo o składanym procencie wystarcza do nakreślenia linii wytycznej. Strona moralna, filantropijno-humanitarna, nie nastrocza także pola do uwag nadspodziewanych. Nie można się spodziewać,

niema się nawet prawa spodziewać, ażeby angielskie stowarzyszenia spółdzielcze stały się dobrodziejami dla niestowarzyszonych. Tak samo, jak nikt nie ma prawa wymagać, ażeby kupiec osiągnięty swój zysk przy końcu roku handlowego ofiarował ogółowi, tak i stowarzyszenie spółdzielcze zysk swój godziwy na własne obraca cele. Ale leży w samej instytucji stowarzyszenia pewien bodziec do wyższej moralności, do szerszej pojętych obowiązków. Bez zdziwienia dowiadujemy się tedy, że zamożne stowarzyszenia zakładają szkoły, ochronki, domy zdrowia, biblioteki, czytelnie, muzea techniczne, ogrody i skwery, a co główna, że pozwalają tu i owdzie korzystać z tych zakładów nie tylko swym uczestnikom, ale publiczności wogóle. Niema już obecnie żadnej wielkiej subskrypcji publicznej w Anglii—a jest ich bez liku—gdzieby nie figurowały w pokaznych cyfrach stowarzyszenia spółdzielcze. Wszystko to są rysy charakterystyczne, nie mogące ująć badawczego oka zwykłego nawet spostrzegacza.

Ale dla ekonomisty, dla każdego głębszego umysłu, nie w tem wszystkim leży jądro kwestyi. Jest to jedynie przygotowawcze stadyum, w ciągu którego stowarzyszenia robotnicze wzmocnią się materyalnie i ujrzą się w posiadaniu znacznego rozporządzalnego kapitału. Wtedy dopiero zrodzi się doniosły problemat, mianowicie, co zrobią stowarzyszenia z tym kapitałem? w jakiej formie wytwórczej działać on pocnie? jakie zmiany w obecnym ustroju społecznym wywołać będą mogły te kapitały, należące nie do jednostek, ale do ciał zbiorowych? Oto przedmiot—nie zaprzeczy czytelnik—pierwszej wagi, i mamy obowiązek zatrzymać się nad nim, naprzód w ścisłym zakresie stosunków angielskich, które nam podały tło do niniejszej pogadanki, a następnie w zastosowaniu do praw i warunków ogólnie cywilizacyjnych.

Powiedzieliśmy wyżej, że stowarzyszenia spółdzielcze w roku 1886 otrzymały czystego zysku 3 miliony funtów. Po wydzieleniu pewnej części tego zysku na udział uczestników, zostało w kasach, jako własność *stowarzyszeń*, 2 miliony funtów. Jest to więc kapitał, który niezwłocznie wytwórczo zużytkowaćby należało.—W jaki sposób?—pytanie ważne i tem ważniejsze, że kapitał ten będzie jeszcze większy w przyszłym roku, w latach

następnych i że od nadanego mu kierunku w zaczątku zależeć może ekonomiczna i społeczna przyszłość nie tylko klasy robotniczej angielskiej, ale całego organizmu narodowego.

Na zjeździe w Carlisle trzy opinie zmanifestowały się wybitnie. Pierwszą nazwiemy utylitarną, drugą ekonomiczną, trzecią socyalną.

Opinia utylitarna, ta, która przemagała dotąd, nie troszczy się o żadne inne zagadnienia wyższego społecznego porządku, ale poszukuje po prostu korzystnego umieszczenia kapitału, dającego wysokie i pewne odsetki. W ten sposób postępowano dotychczas, nabywając akcje i podtrzymując zamożne i bezpieczne przedsięwzięcia przemysłowe. Znaczna część komitetu naczelnego stowarzyszeń jest zdania, że i nadal w ten sam sposób działać należy, i w tem tylko okazuje śmielszą inicjatywę, że dopuszcza branie udziału w wielkich przedsięwzięciach choćby dopiero projektowanych, o ile pozwalają one spodziewać się znaczniejszych zysków w niedalekiej przyszłości. Do takich przedsięwzięć należy przedewszystkiem kanał manchesterski, mający łączyć stolicę bawełnianego rękodzielnictwa z oceanem. Nie ulega też wątpliwości, że jeżeli stowarzyszenia spółdzielcze nabędą część akcji tego kanału, zrobią tak zwany dobry interes; wszakże dla społeczeństwa, jako całości, dobry ten interes jest rzeczą drugorzędnej wagi.

Opinia, którą w braku lepszego wyrazu nazwaliśmy ekonomiczną, szerzej i głębiej zapatruje się na to zagadnienie. Chce ona mianowicie zwrócić kapitały stowarzyszeń do rolnictwa. Jeżeli czytelnik zechce wziąć pod uwagę, że w Wielkiej Brytanii niema uwłaszczonych włościan, że ziemia stanowi tam własność wielkich posiadaczy, którzy ją wydzierżawiają wielkim farmerom, a ci mniejszym, i że istnieje cała feodalna hierarchia na roli, że starcia pomiędzy dzierżawcami a właścicielami gruntu stają się coraz częstsze, coraz drażliwsze, że to przesilenie ekonomiczne nie ogranicza się bynajmniej do Irlandyi, ale manifestuje się, choć w mniejszych, mniej tragicznych, ale niemniej przeto jawnych rysach w Szkocyi, Anglii i Walii, że wielu dzierżawców z powodu dowozu zboża amerykańskiego zaprzestało produkować i zerwało kontrakty dzierżawne, że zatem kryzys rolniczy z rokiem każdym przybiera większe rozmiary;

jeżeli czytelnik uprzytomni sobie wszystkie te warunki, zrozumie niewątpliwie, że kwestya agrarna zawisła nad Wielką Brytanią jako kwestya pierwszorzędną, życiową, która rozwiązana być musi koniecznie. A tymczasem z drugiej strony własność gruntowa w obecnych stosunkach stała się tam nie tylko przedmiotem zbytku, ale niejednokrotnie ciężarem, gdyż nie dając nigdy więcej jak 2%, często żadnego nie przynosi dochodu. Wielka bowiem ilość gruntów została opuszczoną przez dzierżawców, a gospodarstwo rolne zamieniono na pastewne. To też bez żadnych szczegółowych w tej kwestyi informacji uważać można reformę w tym kierunku jako nieuniknioną.

Wiemy, że stronnictwo radykalne w ostatnich kilku latach starało się zużytkować kwestyę agrarną na rzecz swoich politycznych celów. Wprawdzie ambitni politycy, jak p. Józef Chamberlain, mogą również dla osobistych widoków zapomnieć jutro o hasle, pod którym jeszcze wczoraj walczyli: „*three acres and a cow!*” (trzy morgi gruntu i krowa), ale niepodobna zapomnieć, iż istnieje już w łonie klas robotniczych stronnictwo, które domaga się uwłaszczenia i utworzenia drobnej własności gruntowej. Najoryginalniejszym jego przedstawicielem jest Józef Arch, robotnik, proletaryusz rolny, a uznany jako przewodnik ruchu ekonomicznego w kierunku uwłaszczenia. Powiedzmy tu nawiasem, ku chlubi arystokracji angielskiej, że jeden z wielkich magnatów, lord Ripon, z własnej kieszeni opędził kosztu wyboru do parlamentu Józefa Arch, ażeby izba gmin miała możność zapoznać się z praktyczną stroną projektowanej przez niego reformy.

Skoro tedy społeczeństwo angielskie, po stopniowem dokonaniu tylu ważnych przekształceń i reform w duchu demokratycznym, zostaje doprowadzone logiczną siłą przyczyn i skutków do uznania za konieczną zmiany stosunku pomiędzy ziemią a uprawiającym ją rolnikiem—jest rzeczą wielkiej wagi, że w tej samej chwili ludność robotnicza stowarzyszona i posiadająca znaczne kapitały, będące własnością wspólną stowarzyszenia, wyraża chęć i gotowość umieszczenia ich w roli i prowadzenia na własną rękę gospodarstwa rolnego. I obecnie już stowarzyszenia mogłyby nabyć tę lub ową własność ziemską, a w każdym razie mają one swobodny wybór w wydzierżawieniu

tysięcy folwarków na korzystnych warunkach. Wszakże całe doniosłe znaczenie otrzymałby ten ruch dopiero przy parcelacyi wielkiej własności. Czytelnik sam, bez osobnego nacisku ze strony piszącego, rozumie niewątpliwie, jakie wnioski wyprowadzićby się dało z utworzenia własności rolniczej nie indywidualnej, ale zbiorowej, niepodzielnej. Przypomnimy tylko, że pod względem korzyści materyalnych nie istnieje żadna wątpliwość w umyśle stronników eksploatacyi rolniczej. Gospodarstwo staje się możliwem tylko przy wielkim nakładzie; ponieważ zaś stowarzyszenia posiadałyby w obfitości zakładowy i obrotowy kapitał, zatem mogłyby nieledwie z pewnością rachować na powodzenie. Przytem, tak samo jak dziś ciągną wielkie zyski ze swych własnych fabryk, młynów i warsztatów, tak samo ich zdaniem powiększyłyby się dochody stowarzyszeń, gdyby same produkowały zboże, jarzyny, ogrodowizny, mięso, drób i t. d. Pierwsze nawet kroki na tej drodze już uczynione zostały, a wobec żywego zajęcia, jakie wywołały na zjeździe w Carlisle odpowiednie sprawozdania, nie można wątpić, że wkrótce ujrzymy próby szersze i bardziej spotęgowane.

Nie będzie może od rzeczy uczynić w tem miejscu zboczenia do teoryi o wywłaszczeniu gruntowem—teoryi, której najznakomitszym przedstawicielem jest socyalista amerykański Henryk George. Cały świat ekonomiczny zajmuje się w obecnej chwili tą teoryą, a sława autora, który napisał *Progress and Poverty*, oddawna już przekroczyła granice jego ojczyzny. Mimo ciężkiej artyleryi, jaką ekonomia polityczna wystawiła na plac bitwy w celu zwalczenia teoryi H. George'a, nie udało jej się pozbawić jej autora aureoli wielkości, przynajmniej w oczach demosu jego własnego kraju. Nie tylko że otrzymał on przy ostatnich wyborach na mera Nowego Jorku 67,000 głosów, nie tylko że świeżo utworzona przezeń liga *the anti-poverty association* bierze się do energicznej i czynnej propagandy głoszonych przez niego zasad, ale co więcej, uważają go jako możliwego kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie można tedy lekko traktować takiego potentata, tem bardziej, że demagog ten gotów nie cofnąć się w danej chwili przed gwałtownymi nawet środkami, w celu urzeczywistnienia swojej teoryi. Jak wiadomo, Henryk George uważa indywidualną własność gruntu jako

nadużycie, jako grabież i rabunek, dokonany przez jednostkę na ogóle. W oczach jego niema przedawnienia dla tego rodzaju występku, a wszyscy obecni właściciele ziemi mają moralny obowiązek zwrócenia jej ogółowi, *alias państwu*, które winno obmyśleć sposób wydzierżawiania jednostkom lub stowarzyszeniom gruntów ornych, pastwisk, lasów, kopalni i t. d. Otrzymane przez skarb państwowy raty dzierżawne obracane być mają na ogólny pożytek, przyczem autor twierdzi, że w ten sposób pauperyzm zniesiony zostanie raz na zawsze. Nie ludzi się on wszakże co do istotnego charakteru proponowanej organizacji, przyznaje, że jest to prosta konfiskata, ale usprawiedliwia ją koniecznością: *salus populi suprema lex*. Nie ma też zamiaru wynagradzać wywłaszczonych właścicieli, bynajmniej; uważać się mogą za szczęśliwych, że ich nie pociąga do odpowiedzialności sądowej za popełnione nadużycia. Wzdraga się jednak przed gwałtownem, jednorazowem wypędzeniem właścicieli gruntowych, środkiem ubocznym dochodzi do tego samego rezultatu. W tym celu znosi wszystkie podatki istniejące, a zastępuje je przez podatek gruntowy. Ciężar ten byłby naturalnie nie do zniesienia, a zagrożeni natychmiastowem bankructwem obecni posiadacze pośpieszyliby sami złożyć na ołtarzu państwa to bezużyteczne dobro. Nie potrzeba zapewne wykazywać, że środek nie da się usprawiedliwić, nawet gdyby się cel usprawiedliwić chciało. Oryentalny despota, wydzierający własność swoim poddanym—męczennikom, działa uczciwiej aniżeli ten prawodawca, który podnosi podatek do takich rozmiarów, aby uniemożliwić pracę wytwórczą i zmusić opodatkowanego do ekonomicznego samobójstwa.

Nie tu jednak miejsce do szczegółowego rozbioru teorii gruntowej kolektywizmu; podjęliśmy się tego zadania w oddzielnej systematycznej pracy. To też mimochodem tylko zaznaczamy, że pomimo niezaprzeczonej sympatii, jaką do doktryny Henryka George'a poczułi niektórzy znakomici ekonomiści, nie sądzimy, ażeby była ona w stanie ostać się wobec probierczego ognia ścisłej naukowej krytyki. Ale gdy widzimy przedstawicieli nauki, mężów stanu, a na koniec jedno z wielkich mocarstw nowego świata, roztrząsających kwestyę zbiorowej własności gruntowej, i uważających teorię tę jako możliwą w pewnych danych

warunkach, jesteśmy do pewnego stopnia uprawnieni do szukania pewnego łącznika, pewnych przechodowych form, pomiędzy własnością gruntową indywidualną, podstawą cywilizowanych społeczeństw, a ową nieujętą jeszcze, niepewną, niewypróbowaną formą, którą nam chcą przedstawić jako ostatnie słowo postępu ludzkości. Własność gruntowa, nabywana przez stowarzyszenia robotnicze, zdaje się nam właśnie posiadać niektóre własności kolektywizmu, chociaż nie spuszczamy bynajmniej z uwagi i drugorzędnych jej braków, i niektórych cech wspólnych z własnością martwej ręki. Dla tych powodów próby i doświadczenia, dokonywane przez stowarzyszenia spółdzielcze angielskie, zdają się nam pełnymi interesu.

Trzecia opinia co do użytkowania kapitałów rozporządzalnych przez stowarzyszenia sformułowana została na zjeździe w Carlisle przez delegatów *Trade-Unions*, i dzięki temu początkowaniu nosi pewien odcień socjalistyczny. Pośpieszamy jednak dodać, że nie jest to bynajmniej socjalizm rewolucyjny, sekciarski, podobający sobie w awanturniczych przedsięwzięciach, ale przemawianie za instytucją ze wszech miar uznania godną, za udziałem robotników w zyskach przedsiębiorców. Socjalizm, jak wiadomo, nie może się dotąd pozbyć swego zadawnionego wstrętu do kapitalistów i chlebobawców, i dąży wytrwale do równouprawnienia pracy z kapitałem. Idealem jego byłby taki ustrój ekonomiczno-społeczny, gdzieby nie było ani kapitalistów ani przedsiębiorców, gdzieby wszystkie zakłady fabryczne i przemysłowe należały do robotników samych, gdzieby ci ostatni rozdzielali pomiędzy sobą wyłącznie zyski z przedsiębiorstwa osiągane; o możliwych stratach niema naturalnie zazwyczaj mowy. Ponieważ zetknięcie się z rzeczywistością przekonało ich jednak, że ewentualność ta jest w wielu gałęziach wytwórczości całkiem niemożliwą, a w każdym razie nader jeszcze oddaloną, zatem ograniczyli się w żądaniach swoich do wyjednania pracy większego zarobku. W pierwszej, młodzieńczej, burzliwej epoce swego rozwoju *Trade-Unions* chciały podnieść stopę zarobku przez zmoxy robotników, czyli wymusić je na chlebobawcach; obecnie jednak w rzadkich już tylko razach chwytają się tego niebezpiecznego, bo obosiecznego środka, rozumiejąc, że lepiej jest dla robotników porozumieć się z kapitalistami, spleść z nimi

swe interesa, dojść do udziału w zyskach przedsięwzięcia. Jest to dążenie racjonalne, legalne, nacechowane praktycznym zmysłem i odpowiadające wymaganiom najczystszej moralności. Nie trudno też było przedstawicielom stanu robotniczego porozumieć się na tym punkcie z przedstawicielami kapitału, i niema już dzisiaj kraju, niema gałęzi przemysłu, gdzieby nie było licznych przykładów takiej organizacji interesów, w której robotnicy są przypuszczeni do udziału w zyskach przedsiębiorstwa. Dobre rezultaty nie dają się zaprzeczyć wszędzie, gdzie zasada ta weszła w życie; polepszenie materialnych warunków bytu klasy robotniczej wszędzie zostało stwierdzone, zarówno jak zmniejszenie antagonizmu pomiędzy warstwami społeczeństwa i zastąpienie go przez poczucie sprawiedliwości. Być może, że nie brak przytem i pewnych złudzeń co do skuteczności i socjalnych następstw tej organizacyi, ale w każdym razie zasada za nieposzlakowaną uważana być może. Całkowita emancypacja pracy, całkowita i ostateczna, manifestuje się w niej widocznie, a ilekroć zbliżają się do siebie zapaśnicy, podają sobie ręce i z dobrą wolą, przy wzajemnych ustępstwach, szukają najlepszego *modus vivendi*; towarzyszy im przytem ciepła i jawna sympatya wszystkich zdrowych żywiołów społecznych.

Uważamy tedy za pożądane, iżby *Trade-Unions* chciały polecić stowarzyszeniom spółdzielczym działalność w tym kierunku. Dwa punkty są tu do uwzględnienia: organizacja zakładów przemysłowych, należących obecnie do stowarzyszeń na zasadzie spółudziału robotników, i wytwarzanie na przyszłość nowych instytucyi na tej podstawie.

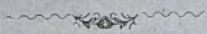
Jest rzeczą zastanowienia godną, jak obojętne są stowarzyszenia robotnicze na losy i na zarobek robotników, swych kolegów i towarzyszy, skoro ci do ich stowarzyszenia nie należą. Solidarność istnieje, zaprzeczyć nie można, pomiędzy ludnością robotniczą,—ale w wielu razach wyczerpuje się ona i kończy na retorycznych kwiatach. Gdy robotnicy stają się przedsiębiorcami, nie okazują bynajmniej dla robotników, którzy w ich zakładach pracują, tej względności, pobłażliwości, tych humanitarnych uczuć, których mielibyśmy prawo od nich się spodziewać. Głośna w swoim czasie polemika wykazała, jak surowe warunki ciążyły na robotnikach, pracujących u zamożnych i potężnych

pionierów z Rochdału. Socjaliści fanatyczni widzą w tem klątwę kapitału: kto go posiada, natychmiast wyiębi w sobie głos serca i sumienia; nieprzyjaciele klasy średniej, mieszczańskiej, przestrzegają klasę robotniczą, ażeby nie zarażała się jej tradycyjnym egoizmem, gdy się z nią zetknie przez dobrobyt. Można wszakże zjawisko to inaczej tłómaczyć. Gdy robotnicy stają się przedsiębiorcami na własną rękę, spostrzegają, z jak rozlicznymi trudnościami walczyć im przychodzi, z trudnościami, o których wprzód wyobrażenia nie mieli, i przeświadczać się, że byt ich przedsiębiorstw wisi na włosku, starają się wytwarzać w jak najkorzystniejszych, najtańszych warunkach.

W każdym razie nic nie staje na zawadzie, ażeby stowarzyszenia spółdzielcze przypuszczały zatrudnianych w swych zakładach postronnych robotników do udziału w zyskach, skoro czynić to może wielu przedsiębiorców. Tak jak tamci, i one będą miały gorliwych i uczciwych robotników: niema bowiem lepszego bodźca nad osobisty interes. Wyrażono też w Carlisle życzenie, ażeby stowarzyszenia spółdzielcze poszły dalej, ażeby zobowiązały się ustawami do dawania udziału robotnikom, i co więcej, do przypuszczania ich po pewnym przeciągu czasu na członków i uczestników przedsiębiorstw. Jedyny zarzut, jaki w propozycji tej zrobićby można, jest, że z góry zakreślone ustawy i regulaminy na nic się tu nie zdają, i że w każdym zakładzie i warsztacie, względem każdego nawet robotnika indywidualnie wziętego, inna taktyka okaże się konieczną. Jedni mogą i powinni, drudzy nie mają żadnego tytułu do wejścia do stowarzyszenia jako uczestnicy. Przykłaśniemy głośno, gdy wszystkie stowarzyszenia przypuszczą robotników do udziału w zyskach; zmniejszy to może czas jakiś ich czyste dochody, ale oczyści ich atmosferę moralną, podniesie poziom ogólny stanu robotniczego. Nie możemy jednak wyobrazić sobie, ażeby jakakolwiek żelazna reguła zmusiła stowarzyszenia do obowiązkowej w tym kierunku działalności.

Przechodząc do drugiego i ostatniego punktu tego programu, do zakładania instytucji, opierających się na udziale robotnika w zysku przedsiębiorczym, możemy się ograniczyć do kilku tylko uwag. Widocznem jest, że pod tym względem zjazd w Carlisle nie widział drogi jasno przed sobą zakreślonej.

Jeżeli robotnicy, uczestniczący w obecnych stowarzyszeniach spółdzielczych, mogą otrzymać od swoich chlebodawców tego rodzaju ustępstwo, tem lepiej dla nich; ale nie można żądać, ażeby ułatwiono im osiągnięcie tego celu przez dostarczenie kapitału, będącego własnością całego stowarzyszenia, t. j. wszystkich członków. Jeżeli robotnicy w jakimkolwiek zakładzie przemysłowym dostarczyli przedsiębiorcy pewnego kapitału, nabyliby *eo ipso* pewnych praw i przywilejów finansowych, staliby się akcyonaryuszami, współwłaścicielami, i nie jako robotnicy, ale jako kapitaliści byliby wynagradzani. Stowarzyszenia też spółdzielcze nie mają zdaniem naszym nic z tą sprawą do czynienia.



KASY EMERYTALNE DLA ROBOTNIKÓW.



śró d całego szeregu kwestyi socyalnych, podniesionych w ostatnich czasach, żadna nie skryształizowała się pośpieszniej w formach praktycznych, jak ubezpieczenie ludności robotniczej przeciwko wypadkom, na które naraża ich rodzaj zajęcia. Tu i owdzie rozszerzono te ochronne instytucye i wciągnięto w ich obręb ubezpieczenie przeciwko chorobom, ubezpieczenie na wypadek śmierci i t. d. Niema kraju, któryby tego rodzaju zagadnień nie postawił na porządku dziennym i wszędzie uwaga publiczna jest do nich przykuta.

W Anglii przedstawiona została także opinii i parlamentowi. Chociaż nie można oczekiwać niezwłocznego rezultatu, cała prasa rozbiera z nadzwyczajnem zainteresowaniem wszystkie strony tej propozycji. Zdaje nam się tedy właściwem zapoznać z nią naszych czytelników.

Reforma socyalna, o którą tu idzie, ma na celu płacenie emerytalnej pensyi wszystkim robotnikom, począwszy od 65-go roku życia. Inicyatywę tego projektu wziął p. Józef Chamberlain, deputowany radykalny Birminghamu. Autor projektu wyłuszczył całkowity swój plan w „National Review” i na tej

podstawie opinia narodowa rozpoczęła swoją kampanię za projektem lub przeciw niemu. Z góry powiedzieć należy, że ten ostatni prąd o wiele silniejszym się wydaje.

Położenie osobiste p. Chamberlain'a daje główne znaczenie jego projektowi. Ten radykał jest parlamentarnym leaderem tak zwanych liberalnych unionistów i był gorliwym sprzymierzeńcem zachowawczego gabinetu, który, jedynie dzięki poparciu tej falangi, potrafił się przez sześć lat ostatnich utrzymać u steru władzy.

Fakt statystyczny, z którego p. Chamberlain wychodzi, jest, iż w dniu 1 sierpnia 1890 r. było w Anglii 286,867 starców, liczących więcej niż 65 lat, a potrzebujących wsparcia. Dotąd wszyscy biedacy i ludzie, nie posiadający środków utrzymania, spadają w Anglii, jak wiadomo, na koszt parafii, w której się urodzili; parafia utrzymuje ich w domu pracy (*workhouse*). Że jednak, mimo tej organizacyi domów pracy po parafiach i przymusowego w nich utrzymywania miejscowych biedaków, istnieje w Anglii olbrzymi proletaryat, marniejący i mrący z głodu, przypominać nie potrzeba. Połowa robotników po dojściu 65 lat życia znajduje się bez środków utrzymania. Nawet przy największym optymizmie niepodobna tego rodzaju okoliczności traktować obojętnie. Napróżno będziemy sobie powtarzali, idąc za obrachunkiem, uczynionym przez M. G. Mulhall'a w jego słynnem; „*50 years of National Progress*”, że robotnik zarabia obecnie 20 do 25% więcej, aniżeli przed 50 laty, i że jednocześnie wszystkie artykuły życiowe (z wyjątkiem mieszkania) spadły w cenie, że zatem byt ludności robotniczej się polepszył. Mimo to jest jeszcze i szerokie pole do dalszych ulepszeń i do zabezpieczenia spokoju w starości. A przyznać trzeba, że zagrożone przez długi czas w egoizmie i obojętnie na biedę ludzką klasy zamożniejsze, dziś nie przestają szukać sposobów zaradzenia złemu.

Istnieją różnice w zapatrywaniach na te sposoby. P. Chamberlain, podejmując ideę, formułowaną już często, a ostatecznie w Anglii przez p. Moore Ede, wymyślił pensye emerytalne, do których fundusze dostarczane być miały częścią przez samych interesowanych, częścią przez państwo. Socjalizm państwowy, tak trafnie przez Leona Say nazwany Benjaminkiem centraliza-

cyi, okazuje się tutaj względny jeszcze: zamiast włożyć całość pensyi emerytalnej na skarb publiczny, wkłada tylko część tej opłaty. Inni reformatorowie niezawodnie okażą się bardziej wymagającymi.

Ekonomia projektu p. Chamberlain'a polega na złożeniu przez każdego młodego robotnika sumy 5 f. st. do kasy państwowej przed dojściem do 25-go roku życia. Do tej jego wkładki państwo ze swej strony ma dodać 15 f. st., ma więc tedy na swój kredyt wniesioną sumę 20 f. st. Następnie, od 25 do 65 roku życia, a zatem przez lat czterdzieści, tenże robotnik ma składać rocznie jednego funta do kasy państwowej. Z jego kieszeni wpłynęło tam tedy 45, a z kieszeni publicznej 15 funtów. Z wytworzonego w ten sposób kapitału będzie otrzymywał po 65 roku życia po pięć szylingów tygodniowo czyli 13 f. st. rocznie.

Niedostatki tej propozycyi, samej w sobie, są jaskrawe i nie uszły też niczyjej uwagi. Ci socjaliści, którzy ludzą zawsze klasę robotniczą zwodniczem mamidłem wielkich dobrodziejstw, jakie na nich ma złać ich wymarzona organizacya, urągają tej mizernej sumce 5 szylingów tygodniowo po bezustannej pięćdziesięcioletniej pracy. Ten zarzut nie może nas jednak na chwilę zatrzymać, gdyż wiemy, że dopóki zasób społeczny i bogactwo powszechne nie wzniesie się i nie spotęguje, dopóty małemi sumkami zadowalniać się należy każdemu. I taka pensyjka jest o wiele lepszą od zupełnego braku dochodów, zmuszającego do piekła workhous'u albo do żebractwa lub zbrodni.

Lecz daleko ważniejsze są zarzuty, czynione sposobowi, w jaki p. Chamberlain rozkłada wkładki ubezpieczającego się robotnika. Zadziwiającem jest, iż wymaga sumy 5 funtów od młodzieńca, który nie tylko zarabia mało w pierwszej młodości, ale który, znajdując się w epoce życia gorączkowej, burzliwej, do czynienia oszczędności nie ma żadnego pociągu; o odległej epoce 65 roku życia zaś ani myśli, sądząc, że jej nigdy nie osiągnie. Dalej nie można przyznać, ażeby w obecnych warunkach wytwórczości była zapewniona regularność zarobkowania taka, iżby pozwalała robotnikowi wносить bez przerwy, przez lat czterdzieści, swoją roczną wkładkę. Nakoniec nie należy spu-

szczać z uwagi, że jest to przepis drakoński, mocą którego w razie śmierci ubezpieczonego robotnika państwo, a nie spadkobiercy naturalni odziedziczyć mają zapisany na jego kredycie fundusz. Gdy się przypomni fakt o braku powodzenia, jakie się stało udziałem państwowych kas ubezpieczenia na życie, utworzonych za ministryum Gladstona, lubo przedstawiały one nadzwyczajne i wyjątkowe korzyści dla uboższych warstw społeczeństwa, to nie można wątpić, że i kasy emerytalne, takie, jak je p. Chamberlain proponuje, rozbiłyby się o daleko większą jeszcze obojętność i złą wolę. Rzekoma owa reforma, zaczepiając o potężną a niebezpieczną interwencję państwa, nie dopięłaby nawet owego humanitarnego celu, który sobie zakresliła. Zadziwiać musi ten brak rozważy ze strony tak praktycznego polityka.

Szkopulem, o jaki się ten projekt kasy emerytalnej dla starców, jak wszystkie inne pokrewne instytucje, rozbija, jest właśnie owa socjalistyczna zasada zastąpienia swobodnej działalności jednostek przez obowiązkowy ruch maszyny państwowej. Być może, iż w krajach logicznie i aż do ostatecznych krańców przeprowadzonej centralizacji, taka interwencja państwa nie razi, i że jego rola jest nawet konieczną w zastępstwie zbyt słabej inicjatywy społecznych grup i osobników: mamy tu na myśli Francję. Ale w Anglii, na tej klasycznej ziemi niezależności indywidualnej i swobodnego, nieustannego łączenia się obywateli dla przeprowadzenia wspólnych celów, każdy tego rodzaju projekt, zrywający gwałtownie z narodowym charakterem i tradycją, napotyka na protestacje ze strony tych wszystkich, którzy są zdania, że i tak już socjalistycznym pojęciom zbyt wielkie w ostatnich lat dziesiątkach uczyniono ustępstwa.

Protestacje owe są tem więcej usprawiedliwione, że mają za sobą cały szereg faktów, bijących w oczy słoneczną jasnością. Przez swobodne stowarzyszenia, przez towarzystwa wzajemnej pomocy, *Trade-Unions*, klasy zarobkujące i cała demokracja angielska polepszyła swój byt materyalny, dała mu podstawy niezachwiane, niezłomne, zebrała miliony, miliardy kapitału. I zamiast z czcią się skłonić przed tem olbrzymiem dziełem, zamiast wesprzeć je, oswobodzić je z prawnych przeszkód, które na niem ciążyą jeszcze, wzmocnić dalszy rozwój

tych błogosławionych instytucji — socjalizm przychodzi lekceważąco i pragnie na ich miejsce zaprowadzić przymus państwowy.

Wygodniej to, prawda, występować w charakterze zasady, która cieszy się niezaprzeczoną popularnością, a nie ma jeszcze za sobą doświadczenia; dogadza się tylu różnym aspiracyom, tylu rozbudzonym apetytom, nie stawiając żadnych trudnych wymogów, nie odwołując się do żadnych ofiar! Obrońcy istniejącego porządku rzeczy nie mogą zapisać na swym sztandarze innej zasady, jak wspólnej pomocy, innego środka, jak oszczędności. Brakuje temu oryginalności, ale wystarcza rozpatrzyć się w osiągniętych już, dzięki tym instytucjom, rezultatach, aby obstawać przy nich energicznie i aby się poczuwać w obowiązku współdziałania jak najszerzej i jak najskuteczniej w ich dalszym rozwoju.

Zostawimy nietkniętymi tym razem potężne rezultaty, jakie dla polepszenia bytu klasy robotniczej angielskiej wydały stowarzyszenia. „*The Cooperative Movement of to-day*”, dziełko napisane świeżo przez Jerzego Holyoake, niestrudzonego na tem polu działacza i organizatora, może dać czytelnikom, bliżej się tą kwestyą interesującym, razem z dziełem Jerzego Howell'a „*Trade-Unionism, new and old*”, dokładny obraz i ostatnie rezultaty reform wywołanych. Ale ograniczając się do działania *Friendly Societies*, t. j. Stowarzyszeń wzajemnej pomocy, których ostatnią historię dają dwa świeże dzieła Johna F. Wilkina („*Mutual Thrift*” i „*Friendly Societies Movement*”), nie zawadzi przypomnieć, że w ciągu ostatnich lat dziesięciu, od 1874 do 1884, liczba członków tych stowarzyszeń wzrosła z 3,404,000 do 6,700,000, a w ostatnich pięciu latach przybyło do nich jeszcze 294,911 członków. Jednocześnie kapitał rezerwowy wzrósł się z 9,237,000 do 23 milionów funt. ster.

Zdumiewające te liczby dowodzą, że instytucje owe kwitną wśród najuboższych warstw społecznych i potrzebom ich odpowiadają. A jakżeżby inaczej być mogło, skoro przy małej składce tygodniowej, wynoszącej średnio po sześć pensów, dają lekarza w chorobie, płacą aptekę, wypłacają zarobek albo całkowity albo częściowy, nakoniec ponoszą kosztą pogrzebu. W wielu stowarzyszeniach wdowa i sieroty otrzymują nietylko

wsparcie i zasiłki regularne po śmierci głowy rodziny, ale i całość złożonego przezeń udziału. Weźmy jako przykład Stowarzyszenie wzajemne w mieście Strond, w hrabstwie Gloucester, uorganizowane tam i istniejące od lat 17, przez Jerzego Hollyoake. Cała ludność uboga tego miasteczka, w liczbie 6,000, należy do tego stowarzyszenia i do drugiego, które na jego wzór utworzyło się od lat sześciu. Przy wkładach, wynoszących dziennie jednego pensa, a zatem sumy, jaką nawet najuboższy z zarobkujących zaoszczędzić może, członek uczestniczący od założenia Towarzystwa wzajemnej pomocy posiada już obecnie na własność 38 f. st. i 16 szylingów. Po dojszciu do lat 65 będzie miał nie 60, ale 102 funtów jako własność, a zatem będzie miał więcej, aniżeli członek ubezpieczenia, proponowanego przez pana Chamberlain'a. Oprócz tego pobiera on wsparcia w razie choroby, ma bezpłatnie lekarza i aptekę, a w razie śmierci przekazuje całą swoją spuściznę rodzinie. Są inne stowarzyszenia robotnicze, jak mechaników (*Amalgamated Engineers*), którzy już od dwóch lat płacą swym starszym członkom sumy, przenoszące 40,170 funt. ster. rocznie.

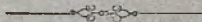
Byłoby łatwo przytoczyć tysiące tego rodzaju cyfr. Razem zjednoczone, przekonywają one dowodnie, że oprócz nieocenionych następstw moralnych, jakie przynosi dla stowarzyszonych udział w tego rodzaju towarzystwach, przez wyrabianie w nich solidarności społecznej, przezorności, oszczędności, wytrwałości i t. p., są one w stanie ulżyć ciężarom życiowym i zabezpieczyć spokojną starość. Ażeby istniejące obecnie *Friendly Societies* mogły podolać obowiązkowi płacenia emerytalnych pensji starcom, wystarczy wprowadzić drobne zmiany do ich statutów. Bez najmniejszego zamieszania i żadnego nowego ciężaru na społeczeństwo dałaby się taka reforma przeprowadzić.

Wobec propozycji p. Chamberlain'a i z okazji gorliwej polemiki, jaka się we wszystkich poważnych organach prasy angielskiej rozpoczęła, powoływano się często na kasy ubezpieczające robotników, ustanowione w Niemczech. Są już cyfry, które pozwalają przenieść dyskusję pod tym względem z pola teoretycznych ogólników do praktycznego bilansu.

Z urzędowego wykazu, podanego przez p. v. Bötticher'a, okazuje się, że w ciągu roku 1891 nie mniej jak 173,658, osób zażądało emerytury od skarbu. Otrzymało 132,917 w ilości 125 marek rocznie (a zatem tylko 6 funt. ster.), a kosztuje to już skarb 16,625,850 marek.

Kiedy robotnicy skarżą się na formalności, jakich pobieranie tej płacy emerytalnej wymaga i na jej niską ratę, klasy społeczne, na których jej brzemie ciąży, protestują przeciwko ustawie. Są nawet kraje, jak Bawarya, gdzie podpisują liczne petycje o odwołanie tego prawa i zniweczenie całej instytucji.

Chociaż jeszcze zawczasie sądzić z przykładu Niemiec o losach kasy emerytalnej, uorganizowanej przez państwo, niepodobna jednak pominąć płynącej z niej przestrogi. W każdym razie społeczeństwo angielskie ma przed sobą dwie drogi do wyboru: albo ubezpieczenie, ustalenie i rozszerzenie dotychczas istniejących i dokonywających cudów stowarzyszeń, opartych na swobodnej inicjatywie obywateli, albo też uczynienie śmiałego kroku na nieznane pole socjalizmu państwowego.



W czeluściach Anglii.^{*)}



chwili, gdy cała Anglia czytała chciwie książkę Stanleya, w której hardy podróżnik oprowadzał po czeluściach Afryki i święcił swoje własne tryumfy; w chwili, gdy rozbudzona jej filantropia gotowa była utworzyć jakie dobroczynne towarzystwo do zaopatrywania dzikich plemion afrykańskich w kraciaste spodnie i w egzemplarze Biblii, pojawiła się książka, opisująca nie odległe afrykańskie, ale krajowe, angielskie czeluście. Już samo podobieństwo tytułu było trafną krytyką i wskazywało, że nie o pielęgnowanie czarnoskórych, ludożerczych braci afrykańskich, ale przede wszystkim o wyratowanie z otchłani milionów swoich własnych ziomków powinna troszczyć się Anglia. Książka ta, napisana, a raczej podpisana przez p. Booth, generała Armii Zbawienia, wywarła wrażenie potężne, piorunujące. Przypomniła ona, że istnieje na dnie społeczeństwa angielskiego trzechmilionowy proletaryat, że jest obowiązkiem ocalić, wydobyć z tej otchłani nędzy, zepsucia i występku istoty, zepchnięte tam przez

^{*)} *In the darkest England and the way out, by the Rev. William Booth General of the Salvation Army. London, 1890.*

walkę życiową. Nie tylko że przypomniał p. Booth ten obowiązek moralny i obywatelski, ale zrobił więcej, gdyż przedstawił cały plan reformy socyalnej. Nie z fantastyczną jaką mrzonką, ale z pewnym praktycznym planem, albo przynajmniej podającym się jako praktyczny, ma się tu do czynienia, i już to samo tłumaczy rozgłos, jaki ta książka znalazła. Mimo wysokiej swojej ceny, rozeszła się blisko w 200,000 egzemplarzy, a składki, do których wzywała, wyniosły po upływie trzech miesięcy prawie ową sumę 100,000 funtów, której zażądał reformator dla rozpoczęcia swego dzieła zbawczego, a po upływie trzech następnych przeniosły ją znacznie.

Nic ciekawszego, jak agitacja, która powstała z okazji tej inicjatywy reformatorskiej; polemika, jaką wywołała; stanowisko, które zajęły względem niej rozmaite warstwy społeczne, jak: arystokracja, kościół, grona naukowe; zapał i nadzieje wyrażane przez jednych, nieubłagane krytyki formułowane przez drugich. Oryginalność charakteru angielskiego i nadzwyczajne, dodatnie jego strony uwidoczniły się przytem w sposób jaskrawy. Wydało się nam tedy stosownem przedstawić czytelnikom naszym przedmiot ten w organicznej jego całości. Ma on w sobie dwie strony: religijną, sekciarską, związaną z osobistością p. Booth'a, jako twórcy Armii Zbawienia, i społeczną. Ażeby ocenić jak należy drugą, wypada koniecznie poznać się bliżej z pierwszą.

I.

William Booth urodził się w 1829 r. w Nottinghamu. Choć rodzina jego należała do kościoła anglikańskiego, on, już jako 14-letni chłopak, przyłączył się do sekty metodystów. W siedemnastym już roku życia miewał kazania, a w roku 1853-im został pastorem w Londynie. Obdarzony wymową i znajdując łatwo sposób opanowania umysłów prostaczków, był wysyłany na prowincję dla werbowania adeptów sekcje. Popularność jego rosła, i gdy po kilku latach zaszło pomiędzy władzami kościelnymi metodystów a nim drobne jakieś nieporozumienie, skorzystał z niego, ażeby się wyzwolić z wszelkiej zale-

zności od tej sekty i ufundować swoją własną. Przedsięwzięcie takie jest łatwem w Anglii i niema roku, żeby nie powstała jaka nowa sekta, budująca swoje kaplice, fundująca instytucje dobroczynne, znajdujące potrzebne dla swego istnienia kapitały w ewangelicznym nastroju społeczeństwa. Niewiele jednak sekt znalazło takie powodzenie, jak utworzona przez Rev. Williama Bootha. Nie szczędził on wprowadzie pracy i zachodu. Korzystając ze swobody propagandy religijnej, zatrzymywał się na pierwszym lepszym placu, na rogu ulicy, w parkach: przemawiał do przechodniów, nawracał słuchaczy. Jako główną kwaterę obrał sobie *East end* londyński, te najuboższe, najnędniesze cyrkuły wielkiej stolicy, gdzie się gnieździ bezkarnie występki i ostatnie moralne zepsucie. Znajdował widocznie drogę do serca tych wydziedziczonych, skoro niebawem Armia Zbawienia zgromadziła się około niego, jako około swojego jenerała. Obchodziła już ona w roku 1890-ym 25 rok swego istnienia, a chociaż w pierwszych latach lekceważono ją, wyśmiewano, chociaż zdawała się skazaną na śmierć wskutek tej śmieszności, to z każdym rokiem rosła w siły, potężniała i nie da się zaprzeczyć, że obecnie wyrobiła sobie stanowisko potężne i że nad wielu sektami, daleko starszemi, góruje powodzeniem, popularnością i wpływem.

Twórca Armii Zbawienia nie troszczył się bynajmniej o dogmatyczną kazuistykę i z metafizyką teologiczną nic nie ma do czynienia. Przyjmuje on, jeżeli się tak wyrazić wolno, chrystyanizm przeciętny, *grosso modo*. Względem żadnej z istniejących sekt i kościołów nie stanął nieprzyjacielsko, lecz przeciwnie w każdym widzi sprzymierzeńca. W pierwszych latach nawet jego żołnierze uczęszczali na nabożeństwa do parafialnych kościołów lub kaplic, a jeżeli stopniowo się z nich wycofali, to pochodzi to z prześladowań i napaści, jakich im nie szczędzili pastorowie z wysokości swych kazalnicy. Obecnie mają swoje własne zbory. Ta obojętność dla subtelności dogmatycznych tłómaczy się wystarczająco przez niski poziom wykształcenia adeptów, należących, jakśmy powiedzieli, do proletaryatu, do klasy wyrobniczej, służących, drobnych rzemieślników i t. d. Dość było, ażeby ich drzemiące wyobrażenie rozbudzić, przedstawić im z jednej strony dyabła, co na nich czyha i do

czeluści piekielnych ich zapędza za grzechy, a z drugiej miłosiernego Zbawcę, Chrystusa, który ich tarczą jest i opiekunem. Życie sprowadzone zostało do ciągłej walki pomiędzy temi dwoma sprzecznemi żywiołami, i Armia Zbawienia uformowana do nieustannego staczania walki z grzechem i występkiem, do zdobywania jednej duszy po drugiej dla Chrystusa.

Sama z siebie wynikała wojenna organizacja. Armia Zbawienia podzielona została na korpusy i brygady, ma swój sztab generalny, swoich oficerów o hierarchicznych stopniach, podoficerów, sierżantów, żołnierzy, ma swoje koszary, obozy, czyni wyprawy na zdobycie jakiego miasta, prowincyi, kraju, odbywa mustry, rewie, posiada swoje mundury, chorągwie, orkiestry wojskowe, pobiera żołd regularny. Organizacja ta, tak śmieszna i teatralna w oczach każdego wykształconego człowieka, stała się właśnie ponętą dla warstw najniższych społeczeństwa. Jednostki przedtem rozprzęgłe i wydziejone poczuły się członkami skupionej organizacji; ich miłość własna, poczucie godności człowieczej zostało rozbudzone; rangi, które mogły pozyskać, były pożądanem odznaczeniem; mundury były nieraz pierwszym schludnem odzieniem, które mieli w życiu; smak ich estetyczny, nigdy przedtem nie rozbudzony, podobał sobie w jaskrawych chorągwiach, w hałaśliwych muzykach, w dzikich hymnach, obrzędach religijnych, doprowadzających do histerycznych napadów. Ta cała strona zewnętrzna, którą profesor Huxley sprawiedliwie nazwał „*Corybantic Christianity*”, porównując ją do mytologicznych orgii Cybeli, zawładnęła naiwnymi umysłami i zmysłami masy i stała się w ich ponurem, jednostajnem życiu strumieniem światła, promieniem ożywczym.

A nie należy zapominać o materyjalnej stronie życia. „Jenerał” nie tylko dostarczał im duchowego, ale i codziennego chleba. Werbując swych żołnierzy po największej części wśród najuboższej ludności, zapewniał im byt. Od pierwszej chwili, gdy daje pokarm wycieńczonemu głodem nędzarzowi, pijakowi albo rozpasanej prostytutce, stawia sobie za cel podtrzymanie ich nadal. Powstały rozmaite instytucje dobroczynne dla członków Armii: tanie kuchnie, domy przytułku, lecznice, biura dostarczające pracy, jednonocne przytuliska i stałe koszary. Wystarcza przystać do Armii Zbawienia, być ślepo posłusznym

zwierzchności, okazywać gorliwość w prozelityzmie, ażeby na-przód jako żołnierz pobierać mały, a potem jako podoficer i t. d. coraz wyższy żołd.

Dzięki temu zrozumieniu umysłowych, estetycznych i ma-teryalnych potrzeb klas społeczeństwa, o które arystokratyczny kościół państwowy troszczyć się nie zdawał, udało się Wilia-mowi Booth uorganizować sektę potężną. Nie można natural-nie obliczyć ściśle jej wyznawców, ale cyfra 2,000,000, którą się chełpią, nie musi być o wiele przesadzona. W każdym razie sztab Armii Zbawienia liczy blisko 10,000 oficerów różnych sto-pni, a korpusów w Anglii, w koloniach i różnych krajach nie-angielskich jest półtora tysiąca. Majątek nieruchomy wynosi blisko milion funtów sterlingów i roczny obrót kapitału wznosi się do takiej samej sumy. Nie można przeczyć, żeby p. Booth nie był dobrym finansistą! Przeciwnicy jego zarzucają mu nawet, że jest zbyt dobrym, i w każdym razie ani on sam, ani jego ro-dzina nie mogą się uskarżać na ciężkość losu. On sam, jako generał Armii, nie potrzebuje zdawać rachunków nikomu z fun-duszów, którymi rozporządza, ani ze sposobu, w jaki żyje. Żona jego, znana jako „Matka kościoła”, świadczyła istotnie wiele dobrego. Od lat kilku złożona była ciężką chorobą i p. Booth nie szczędził żadnych kosztów na jej uratowanie, skoro ofiaro-wał przez gazety sumę 40,000 funtów operatorowi, któryby ją z raka wyleczył. Tylko magnackie fortuny są w stanie tego rodzaju wydatki wprowadzić do swojego prywatnego budżetu! Wszyscy jego synowie i córki są dygnitarzami w Armii i po-bierają odpowiednie pensye. Najstarszy syn, Bradwell Booth, jest szefem sztabu jeneralnego i od kilku lat stale rozwija dzia-łalność w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Córka, niedawno poślubiona pułkownikowi Armii, jest sama jej mar-szałkiem, gdyż, jak wiadomo, płeć nie jest zawadą do rang ofi-cerskich; młodzi i córka idą w te same ślady. Ale wszyscy, trzeba przyznać, gorliwie, wyłącznie poświęcają się swemu za-daniu. Piszący miał sposobność znać osobiście przed kilku la-ty „marszałkową” Booth. Jej idealna, ascetyczna postać, ogień wewnętrzny, który ją trawił, nieustrudzona działalność ewange-liczna, jakiej się oddawała, musiały nawet najobojętniejszego natchnąć dla niej sympatyą i szacunkiem.

Nie zatrzymujemy się nawet nad zarzutem, czynionym p. Booth, iż się jako organizator Armii Zbawienia za własnymi, materyalnemi ubiega korzyściami. Byłby to zarzut niegodny sprawy, o jaką idzie. Osobistości takie, jak jenerała, innych jak materyalnych, zmysłowych dobijają się zysków. Dominującą stroną ich charakteru jest ambicja, despotyzm, żądza wpływu, władzy. Pod tym względem najcięższe, najsurowsze skargi formułowane były przeciwko niemu i odrazu zrozumieć można ich sprawiedliwość. Oskarżono go, że jest papieżem w swej sekcji, i że uważając się za nieomylnego, nie znosi ani żadnej rady, ani żadnego nadzoru, ani żadnej opozycji. Wymaga on ślepego, niemego posłuszeństwa od każdego ze swoich adeptów i pomocników; dyscyplina żołnierska nie tylko jest zewnętrzną formą, ale jądrem całej organizacji. Jest w takim samowładnem kierowaniu i rządzeniu masą, jest w tem modelowaniu jej podług samoistnie ułożonego planu bez wątpienia wysokie zadowolenie dla potężnych umysłów. Taki ideał przewodniczył założycielom wielkich stowarzyszeń zakonnych. Dość jest przypomnieć Franciszka z Assyżu albo Ignacego Lojolę. Historia oświeca nas jednak co do następstw, jakie miały dla rozwoju ludzkości takie zgromadzenia zakonne. Walka Franciszkanów z Dominikanami, działalność rozgałęzioną zakonu Jezuitów są wypadkami, o których opinie są już obecnie ustalone. Porównanie z Franciszkiem z Assyżu byłoby tylko mogło być arcy-pochlebne dla p. Booth'a. A wszakżeż ta instytucja, stworzona przez genialnego ascetę, jeszcze przed jego śmiercią w 1226 r., została zwichnięta w pierwotnym celu. Można się zapytać, co się stanie z Armią Zbawienia po śmierci pana Booth'a. Albo się rozejdzie, albo podzieli na stronnice obozy, albo cele swoje zmieni: innego wyjścia nie będzie. Tego, czemu nie podołały instytucje zakonne w wiekach średnich, sprzyjających ich organizacji, temu nie podoła w XX-ym wieku żaden następca obecnego jenerała. On jest obecnie instytucją, on rządzi nią i kieruje i, jak słusznie powiedziano, jest pewna ilość boothistów obecnie na świecie, ludzi, którzy wierzą bezwzględnie w to, w co ich wódz wierzyć im każe, i robią to, co im robić każe. Jemu to wystarcza. Ale społeczeństwo, świat współczesny mają

prawo inaczej się na stworzony przezeń organizm zapatrywać i nic dziwnego, że sąd o nim nie wypada przychylny.

Przyznajemy naprzód chętnie, że Armia Zbawienia oddała usługi społeczeństwu angielskiemu. Wymagając od swoich członków, ażeby zaprzestali całkowicie używania gorących truneków, zmniejszyła w widocznych, dotykalnych rozmiarach liczbę nałogowych pijaków i rozszerzyła wstrzemięźliwość. Jedna z najohydniejszych plag, gnębiących proletaryat angielski, została zmniejszona. Odciągnął on także wiele dziewczyn ulicznych od prostytucyi. Kładziemy takie umoralnienie warstw ludowych, jako zasługę p. Bootha i jeżeli tych nałogów i występków nie mógł inaczej wytępić, jak przez swoje procesye, orkiestry, sensacyjne spowiedzi publiczne grzeszników nawróconych i komedyanckie obrzędy, to mu się to wszystko przebacza dla celu, do którego zdąża.

Ale jeżeli stopniowo wyrabia wpośród swych adeptów fanatyzm religijny, jeżeli, przychodząc w pomoc ich materyalnemu potrzebom, kładzie na ich umysł swoje piętno, pozbawia ich samodzielnego sądu, jeżeli wytwarza w łonie swobodnego społeczeństwa pewne grono niewolników i bezmyślnych agentów, to mamy prawo zapytać, czy dobro, które czyni, nie jest przeważone przez zło, czy należy go uważać jako dodatniego czy jako ujemnego działacza cywilizacyjnego. Wątpliwość taka w kraju całkowitej swobody religijnej i swobody stowarzyszania się zostawiała panu Booth otwarte pole do działalności i nikt jej krępować nie miał zamiaru.

Obecnie jednak położenie się zmienia. P. Booth występuje z całkowitym planem zniesienia proletaryatu i ofiaruje się gotowym do ocalenia materyalnego i moralnego owych trzech milionów mieszkańców Wielkiej Brytanii, które są pogrążone w czeluściach nędzy i występku. Oświadczając swoją gotowość do takiego dzieła, obiecuje pomyślny rezultat, a jako rękojmię pokazuje dodatnie rezultaty Armii Zbawienia i instytucye filantropijne, które już stworzył. Żąda od klas zamożnych narodu hojnych datków, a mianowicie oświadcza, że mu potrzeba miliona funtów. Dziś tedy wobec złożonego sobie programu i wobec powołania się na swoją przeszłość, społeczeństwo angielskie ma prawo zapytać go o rachunek, poddać jego dzia-

łałość dotychczasową ściśle krytyce i zawyrokować, czy p. Booth i kadry Armii Zbawienia są w istocie jedynie dobrym albo chwilowo najlepszym organizmem do przeprowadzenia danego zadania społecznego. W chwili, w której piszemy, cała prasa, organy duchowieństwa i stowarzyszenia filantropijne prowadzą właśnie ową ankietę nad planem p. Booth'a. Wogóle zrozumiano, że idzie mu o socyalną reformę, ale że mu idzie jednocześnie, aby nie powiedzieć: głównie, o danie nowego, potężnego popędu Armii Zbawienia, o znalezienie dla niej niewzruszonych fundamentów. Skoro jednak sekta ta religijnie nie jest ideałem wysokiej moralności, a przeciwnie odstrasza swym utylitaryzmem, skoro jest ona niebezpiecznym narzędziem w ręku despoty, pokazuje się z każdym dniem niezawodnie, iż byłoby wbrew dobrze zrozumianemu interesowi narodowemu powiększać dobrowolnie zakres działania tego despoty i nadawać mu charakter pełnomocnika społeczeństwa do przeprowadzenia reformy socyalnej.

Zaznajomiwszy się z osobistością p. Booth'a i Armią Zbawienia, możemy z kolei przystąpić do przedstawienia jego planu i do oceny jego.

II.

Książka: „*In darkest England and the Way out*”, zawierająca plan zniesienia proletaryatu w Wielkiej Brytanii, wyszła na widok publiczny w końcu października r. 1890. Jeżeli idee przewodnie są p. Booth'a i noszą jego piętno, to samo dzieło napisane zostało przez pana Stead'a, byłego wydawcę i naczelnego redaktora dziennika *Pall Mall Gazette*, osobistość rzutką, o charakterze dwuznacznym, o opiniach, opierających się na krańcowym radykalizmie z jednej strony, a ciasnej bigoteryi z drugiej. Tak jak Armia Zbawienia, tak i on lubi używać bębnow i trąb do czynienia około siebie reklamy. Oto jeden ze współpracowników p. Booth'a. Drugim był p. Smith, człowiek, który przez wiele lat był prawą ręką „jenerała” w jego filantropijnych fundacyach. Właśnie obecnie, w czasie kampanii, jaką prasa wszystkich odcieni wytoczyła panu Booth, nastąpiło po-

prawo inaczej się na stworzony przezeń organizm zapatrywać i nic dziwnego, że sąd o nim nie wypada przychylny.

Przyznajemy naprzód chętnie, że Armia Zbawienia oddała usługi społeczeństwu angielskiemu. Wymagając od swoich członków, ażeby zaprzestali całkowicie używania gorących trunek, zmniejszyła w widocznych, dotykalnych rozmiarach liczbę nałogowych pijaków i rozszerzyła wstrzeźliwość. Jedna z najohydniejszych plag, gnębiących proletaryat angielski, została zmniejszona. Odciągnął on także wiele dziewczyn ulicznych od prostytucyi. Kładziemy takie umoralnienie warstw ludowych, jako zasługę p. Bootha i jeżeli tych nałogów i występków nie mógł inaczej wytępić, jak przez swoje procesye, orkiestry, sensacyjne spowiedzi publiczne grzeszników nawróconych i komedyanckie obrzędy, to mu się to wszystko przebacza dla celu, do którego zdąża.

Ale jeżeli stopniowo wyrabia wśród swych adeptów fanatyzm religijny, jeżeli, przychodząc w pomoc ich materyalnym potrzebom, kładzie na ich umysł swoje piętno, pozbawia ich samodzielnego sądu, jeżeli wytwarza w łonie swobodnego społeczeństwa pewne grono niewolników i bezmyślnych agentów, to mamy prawo zapytać, czy dobro, które czyni, nie jest przeważone przez zło, czy należy go uważać jako dodatniego czy jako ujemnego działacza cywilizacyjnego. Wątpliwość taka w kraju całkowitej swobody religijnej i swobody stowarzyszania się zostawiała panu Booth otwarte pole do działalności i nikt jej krępować nie miał zamiaru.

Obecnie jednak położenie się zmienia. P. Booth występuje z całkowitym planem zniesienia proletaryatu i ofiaruje się gotowym do ocalenia materyalnego i moralnego owych trzech milionów mieszkańców Wielkiej Brytanii, które są pogrążone w czeluściach nędzy i występku. Oświadczając swoją gotowość do takiego dzieła, obiecuje pomyślny rezultat, a jako rękojmię pokazuje dodatnie rezultaty Armii Zbawienia i instytucye filantropijne, które już stworzył. Żąda od klas zamożnych narodu hojnych datków, a mianowicie oświadcza, że mu potrzeba miliona funtów. Dziś tedy wobec złożonego sobie programatu i wobec powołania się na swoją przeszłość, społeczeństwo angielskie ma prawo zapytać go o rachunek, poddać jego dzia-

łałość dotychczasową ścisłej krytyce i zawyrokować, czy p. Booth i kadry Armii Zbawienia są w istocie jedynie dobrym albo chwilowo najlepszym organizmem do przeprowadzenia danego zadania społecznego. W chwili, w której piszemy, cała prasa, organy duchowieństwa i stowarzyszenia filantropijne prowadzą właśnie ową ankietę nad planem p. Booth'a. Wogóle zrozumiano, że idzie mu o socyalną reformę, ale że mu idzie jednocześnie, aby nie powiedzieć: głównie, o danie nowego, potężnego popędu Armii Zbawienia, o znalezienie dla niej niewzruszonych fundamentów. Skoro jednak sekta ta religijnie nie jest ideałem wysokiej moralności, a przeciwnie odstrasza swym utylitaryzmem, skoro jest ona niebezpiecznem narzędziem w ręku despoty, pokazuje się z każdym dniem niezawodniej, iż byłoby wbrew dobrze zrozumianemu interesowi narodowemu powiększać dobrowolnie zakres działania tego despoty i nadawać mu charakter pełnomocnika społeczeństwa do przeprowadzenia reformy socyalnej.

Zaznajomiwszy się z osobistością p. Booth'a i Armią Zbawienia, możemy z kolei przystąpić do przedstawienia jego planu i do oceny jego.

II.

Książka: „*In darkest England and the Way out*”, zawierająca plan zniesienia proletaryatu w Wielkiej Brytanii, wyszła na widok publiczny w końcu października r. 1890. Jeżeli idee przewodnie są p. Booth'a i noszą jego piętno, to samo dzieło napisane zostało przez pana Stead'a, byłego wydawcę i naczelnego redaktora dziennika *Pall Mall Gazette*, osobistość rzutką, o charakterze dwuznacznym, o opiniach, opierających się na krańcowym radykalizmie z jednej strony, a ciasnej bigoterii z drugiej. Tak jak Armia Zbawienia, tak i on lubi używać bębnow i trąb do czynienia około siebie reklamy. Oto jeden ze współpracowników p. Booth'a. Drugim był p. Smith, człowiek, który przez wiele lat był prawą ręką „jenerała” w jego filantropijnych fundacyach. Właśnie obecnie, w czasie kampanii, jaką prasa wszystkich odcieni wytoczyła panu Booth, nastąpiło po-

między nim a generałem nieporozumienie co do zużytkowania napływających funduszy i wystąpił on z Armii Zbawienia. Ci, co się spodziewali skandalów i zwierzeń niedyskretnych, przerachowali się. P. Smith zamyka się w milczeniu, które w najlepszym razie nie może być dla p. Booth'a przychylnem. Trzecim nakoniec, choć pośrednim, współpracownikiem jego był jego syn, Karol Booth, a książka jego *Labour and life of the People* i zawarte w niej statystyczne dane posłużyły mu jako jedyne i wyłączne źródło do obliczeń i oceny warunków bytu proletaryatu, o którego ocalenie idzie.

Ale ktokolwiek trzymał zań pióro i ktokolwiek szedł mu z pomocą, on sam bierze odpowiedzialność za swój plan i jemu należy się za niego zaszczyt i zasługa. Są one niezaprzeczane, nawet gdyby z tych projektów nic się nie urzeczywistniło, bo dowodzą gorącej miłości dla ludzkości, żywego współczucia dla cierpiących i są wskazówką, że poczucie solidarności pomiędzy wszystkimi warstwami społeczeństwa weszło już obecnie w krew i życie towarzystwa ucywilizowanego. W chwili, gdy zagadnienia socyalne są podnoszone na tylu naraz punktach świata, mógł on rachować, że wywoła uwagę powszechną, a miał do niej tem większe prawo, iż stanął z planem reformy całościowej, że nie poprzestał na ogólnikach, ale wszedł w szczegóły. Jeżeliby był on wykonalny i odpowiedział celowi, to istotnie nie tylko przebaczyćby można autorowi samochwalczą pychę, jaką w każdym słowie okazuje, ale trzebaby w nim było widzieć prawdziwego dobroczyńcę ludzkości.

Przystępując do wyłuszczenia swego planu, p. Booth jest świadomy trudności, z jakimi ma do czynienia. Zamierza on przeistoczyć moralną naturę ludzi wykolejonych i upadłych, zmieniając całe ich otoczenie i warunki ich dotychczasowego bytu, i w tym celu chce utworzyć szereg instytucji odpowiadających temu zadaniu, instytucji trwałych, natychmiastowo działających, nie szkodzących nikomu, mogących liczyć na sympatyę każdego uczciwego człowieka, jakiekolwiekby były jego teologiczne, naukowe i humanitarne opinie. Gdy się działa w takim celu i gdy się chce wyratować od zguby miliony cierpiących jednostek, nie można naturalnie natychmiast urzeczywistnić całościowo swego ideału. Trzeba rozpocząć od dania

żywności i dachu tym, co są ich pozbawieni; potem wypróbować, do jakiej pracy są zdolni, dostarczyć im jej, zabezpieczyć ją stale. Pod wpływem takiej opiekuńczej i dyrygującej działalności, wykołejona jednostka nabierze sił życiowych, otuchy, wiary w siebie i odrodzi się duchowo. Gotowość do pracy i bezwarunkowa uległość dla wskazanego regulaminu są jedynymi warunkami, stawianymi przez niego tym, których z czeluści chce wyprowadzić na jaśnię.

Szereg ochronnych i pomocniczych instytucji obejmuje tanie kuchnie, przytuliska nocne, warsztaty i pracownie, biura pracy, zbieranie po domach prywatnych datków dla potrzebujących pomocy. Są to części składowe, stanowiące pierwszą grupę, miejską. Druga grupa obejmuje kolonizację wiejską z działem rolniczym, ogrodniczym i gałęziami przemysłowymi, wiążącemi się z nią organicznie. Trzecia i ostatnia grupa obejmuje osiedlenie w koloniach zamorskich.

Armia Zbawienia posiada już kilkanaście tanich kuchni i nocnych przytulisk i znajdujemy w rocznym wykazie z 24-go roku jej działalności, iż każdy taki zakład jest powodem straty pieniężnej mniejszej lub większej, że zatem nie są instytucją stojącą o własnej sile, ale dobroczynną. Ponieważ istnieje wiele tego rodzaju zakładów niezależnie od Armii Zbawienia po wielu miastach i krajach i ponieważ udało się tak je uorganizować, że pokrywają swoje koszty, jest widocznem, że organizacja tych, o których tu mówi p. Booth, jest wadliwa. Każdy, co do tych tanich kuchni przychodzi po posiłek, dostaje dużą misę kawy, herbaty albo kakao i spory kęs chleba. Kosztuje to 4 pensy, ale dawane bywa i darmo, jeżeli tej sumki zgłodniały nie posiada. Za te pieniądze może się umyć, ogrzać, napisać list i spędzać czas na czytaniu. W przytuliskach nocnych śpią od 10-ej wieczorem do 6-ej rano. Wtedy otrzymują śniadanie i po krótkiej modlitwie mogą opuścić zakład.

Ażeby nie dawać darmo przytuliska nocnego i żywności, a otrzymać za nie przynajmniej owe *minimum* 4 pensów, są uorganizowane warsztaty i pracownie. Każdy biedak w łachmanach i bez obuwia, który się uskarża, że napróżno się o robotę stara, a znaleźć jej nie może, tu ją znajduje, taką przynajmniej w pierwszych chwilach, żeby owe 4 pensy zarobił, za które

może przeżyć dwadzieścia cztery godzin. Kiedy najbardziej podupadli nie otrzymują żadnej płacy, a tylko jej równoznacznik w żywności i noclegu, to umiejący i chcący pracować są w stanie po upływie tygodnia zarobić z jakie 5 szylingów, co im wystarcza na kupienie narzędzi robotniczych. Robota w tych warsztatach najniższych polega na reparacji ławek i krzeseł, rąbaniu drzewa, wyrabianiu szczotek, wypłataniu krzeseł, pleceniu dywaników pospolitych, praniu, obrębianiu ścierek i t. d. Dotąd jest kilka tego rodzaju pracowni i mogą się utrzymać dlatego, że znajdują klientelę w zborach i koszarach Armii Zbawienia. Samo się przez się rozumie, że gdyby tego rodzaju pracownie były rozgałęzione i rozpowszechnione, napotkałyby trudności takie, z jakimi miały do walczenia warsztaty narodowe, uorganizowane we Francji w 1848 roku.

Biuro pracy jest następną z kolei instytucją. Jak jego nazwa pokazuje, ma ono służyć za pośrednika pomiędzy robotnikami szukającymi pracy a przedsiębiorcami i pracodawcami potrzebującymi robotników. Dotąd statystyka takiego biura, utworzonego przez Armię Zbawienia, nie daje pocieszającej wróżby. W ciągu trzech miesięcy zgłosiło się do tego biura 2,670 robotników po pracę, a znaleziono ją tylko dla 400. Nie chcemy jednak widzieć w tych cyfrach potępienia instytucji jako takiej. Wiemy, jak gorzko ubolewa klasa robotnicza i wszyscy żyjący z zarobku na biura stręczców, które wyzyskują biedaków i krwią się ich żywią. Były po niektórych wielkich miastach prawdziwe buntury przeciwko tym stręczycielom-oszustom. Ale nie sądzimy, ażeby takie biura pracy, proponowane przez p. Booth'a, mogły rachować na stałą klientelę i na byt trwały. Jeżeli klasa zarobkująca powiązana będzie w syndykaty, stowarzyszenia i izby, to będzie miała i ma już w wielu krajach biura, gdzie ich członkowie i uczestnicy bez żadnej opłaty otrzymać mogą pracę, do której są zdolni. Takie, o jakich p. Booth mówi, zajmować się mogą jedynie odpadkami, robotnikami nie dającymi rękojmi ani zdolności ani uczciwości. Nie można w żaden sposób przeceniać ich znaczenia i wpływu.

Ostatniem ogniwem w miejskiej organizacji pomocniczej ma być urządzenie specjalnej służby, zbierającej po domach prywatnych niedojadki, popiół, próżne butelki, stare rzeczy

i obuwie, pudełka, papiery, jednym słowem przedmioty, nie mające w oczach ich posiadaczy żadnej wartości, a które należycie i właściwie zużytkowane, mogą się stać dla klasy ubogiej źródłem produkcyjnej pracy. Bez wątpienia myśl jest praktyczna i od dawna już w Paryżu niektóre zakony żebrzące, jak *Petites Soeurs des Pauvres*, wprowadziły ten plan w wykonanie. Zadziwia tylko forma obowiązkowa, jaką tym datkom p. Booth nadał. Członkowie tej brygady miejskiej złożą w każdym domu swego rewiru worek i codziennie w oznaczonej godzinie będą przybywali po przedmioty do niego wkładane. Koszta takiego poboru w samym Londynie obliczone są na pokaźną sumę 25,000 funtów sterl.

Ponieważ wiele z tych przedmiotów, dostarczanych w naturze przez dobroczynnych dawców, nie mogą być zużytkowane na miejscu w stanie, w jakim do rąk administracji Armii Zbawienia dochodzą, zatem rodzi się potrzeba zakładów fabrycznych i rolniczych. Stanowią one drugą grupę instytucji projektowanych. Jeżeli pierwsza grupa obejmowała zakłady proste, mało skomplikowane, wykonalne i już w części wypróbowane, to w następnej mamy już do czynienia z instytucją o wiele trudniejszą i pod wielu względami utopijną.

P. Booth chce wziąć w dzierżawę, a ewentualnie zakupować folwarki, mające od 500 do 1000 akrów gruntu, położone w niezbyt wielkiej odległości od Londynu, z dobrą komunikacją kolejową i wodną ze stolicą. Gdy pionierowie Armii Zbawienia znajdą miejscowości w odpowiednich warunkach, utworzone tam zostaną kolonie wiejskie i administracja załudni je członkami, znajdującymi się w jej miejskich zakładach. Ci osadnicy będą używani do budowy domów mieszkalnych, stajni, obór, chlewów, stodoł i t. d., do kopania rowów, kanalizacji, drenowania, irygacji, do uprawy roli i wszystkich do niej przywiązanych prac i zajęć. Ogrodnictwo, produkcja owoców, jarzyn, hodowle drobiu, królików, trzody, wyrób masła, sera i t. d. stanowić będą pierwszorzędne działy pracy wytwórczej. Przygotowanie sztucznych nawozów, garbarnie, papiernie, huty szklane, tartaki i inne gałęzie przemysłowe, stojące w zależności i związku z rolnictwem, będą uzupełniały kolonie wiejskie i obok nich się grupowały. Organizator nie wątpi, że wy-

twórczość nabiąu i hodowla drobiu, znajdująca się w Anglii w stanie niemowlęstwa, sama jedna może dać wielkie dochody, a z hodowli trzody obiecuje sobie Paktol prawdziwy. Bez wątpienia kolonie te wiejskie dobrze administrowane dać mogą dochód czysty. Idzie tylko o to, czy między proletaryatem miejskim, który stanowić będzie jego ludność, znajdą się chętni i sposobni pracownicy wiejscy i czy będzie można wdroić ich i przykuć do tych nowych dla nich zajęć.

Gdy ci wiejscy osadnicy okażą się moralnie odrodzeni przez dłuższy pobyt w koloniach prowincjonalnych, gdy nabędą doświadczenia w swym zawodzie, wtedy dane im będzie wkroczyć do ostatniego cyklu zbawczego. Na okrętach, należących do Armii Zbawienia, przewiezieni będą za morze, do jakiej z brytańskich kolonii zostającej na niższym stopniu ekonomicznego rozwoju, n. p. do południowej Afryki, i tam zakupione będą dla nich grunta i oddane im na własność. I tu jeszcze pozostaną w zależności i pod czujnem okiem władzy zwierzchniej; ale po spłaceniu rat amortyzacyjnych będą nakoniec, owi nieszczęśliwi i upośledzeni proletaryusze, swobodnymi i zamożnymi obywatelami. Jakiegokolwiek krytyki ta część projektu p. Booth napotyka, przyznajemy, że nie rozumiemy, dlaczego znęca się nad nimi tylu polemistów. Zakładanie osad w różnych zamorskich ziemiach, należących do monarchii wielko-brytańskiej, weszło w krew i soki jej mieszkańców i nie widzimy powodu, dlaczego by się takich kolonii nie dało zakładać. Rozumiemy raczej, że opozycja powstałaby mogła ze strony osadników, którzy dzięki niezależności i przedsiębiorczości właściwej rasie anglo-saskiej, chcieliby się nakoniec wyzwolić z ciężącej nad nimi od dawna kurateli i pracować na własną rękę. Ale mniejsza o to. Skoro jednak owa kolonizacja zamorska jest dopiero uwieńczeniem gmachu i skoro mogłaby o tyle tylko wejść w życie, o ile wszystkie uprzednie instytucje byłyby łańcuchowo z sobą powiązane i stały uprzednio o własnych siłach, to można doprawdy to ostatnie ogniwo zostawić jako *pium desiderium*.

Oto główne rysy planu wybawienia z czeluści nędzy i rozpaczki wielkiej liczby społecznych topielców. Ale są jeszcze inne, dodatkowe jego strony, jest, że się tak wyrazić można

plan drugiego stopnia. P. Booth obejmuje swem opiekuńczem skrzydłem wszystkie formy cierpienia i upadku i wszystkie do siebie przygarnia. Chce on zorganizować rodzaj sióstr miłosierdzia, odwiedzających ubogie rodziny w ich komorach i norach, pokrzepiających je materyalnie i duchowo, i brygadę więzienną, która będzie się szczegółowo opiekowała więźniami, wychodzącymi na wolność i znajdującymi nieprzewyciężone nieraz trudności w otrzymaniu uczciwej pracy. Dalej otwiera domy przytułku i zdrowia dla nałogowych pijaków, którzy tam będą doprowadzeni do wyleczenia się ze swego nałogu. Obok nich będą domy poprawy dla prostytutek, które nawrócone zostaną na drogę uczciwości i obowiązku. Domy przytułku i schronienia dla dzieci i włóczęgów ulicznych ze szkołkami znajdują tu także swe miejsce. Domy wzorowe dla ubogich rodzin i mieszkania dla bezżennych, kluby ludowe, banki i lombardy ludowe przychodzą z kolei. Jest także biuro prawnicze, gdzie proletaryusze mogą zasięgać rady w procesach i kwestyach spornych, do których są wmieszani; jest biuro informacyjne, zbierające wszystkie szczegóły, odnoszące się do reform, projektów i idei socyalnych, i nakoniec *the last but not the least*, biuro małżeńskie, stojące jako pośrednik bezpłatny pomiędzy kandydatami płci obojej do stanu małżeńskiego. Pominęliśmy w tej długiej liście szpitale koczujące i domy dla rekonwalescentów nad morzem, dla których autor znalazł dobre nazwisko *Whitechapel by the Sea*. Jak wiadomo, Whitechapel jest dzielnicą Londynu, gdzie się gnieździ najuboższa warstwa rodzin proletaryatu; przeniesiona nad morze, może być dla wydiedziczonych prawdziwym Edenem.

III.

Po streszczeniu, o ile można było, najbezsronniejszem planu, jaki p. Booth przedstawił, ma się prawo zapytać: na jakich danych statystycznych jest on oparty, o ile jest wykonalny, o ile nowy, oryginalny i czy zamierzonemu celowi, zniesienia nędzy, odpowiada.

Książka p. Booth zaopatrzona jest w kolorowaną rycinę, streszczającą w obrazowy sposób plan społeczny, jaki sobie

Armia Zbawienia zakresliła. W środku obrazka mnóstwo istot ludzkich walczy z falami oceanu, w których giną, a z których wydobyć się usiłują. Na wybrzeżach oficerowie Armii podają im zbawczą rękę i prowadzą ich naprzód do instytucji miejskich, potem na drugim planie ukazują się kolonie wiejskie, a na koniec statki z flagą Armii wiozą osadników do zamorskich posiadłości. Po bokach stoją słupy z następnymi statystycznymi danymi, które obejmują wszystkie kategorie tych, których wyrwać chce z czeluści. Jest tu 2,297 samobójców, 2,157 dorosłych umarłych z głodu w ciągu jednego roku, 10,700 dzieci umierających przez brak żywności i złe traktowanie, 100,000 prostytutek, 993,000 pozbawionych wszelkich środków utrzymania, 190,000 utrzymywanych w *work-housach* kosztem gmin i państwa, 155,000 zbrodniarzy i 711,000 przestępców. Suma tych wszystkich ujemnych czynników społecznych wynosi 2,363,000. P. Booth dla zaokrąglenia podaje cyfrę trzech milionów i pozwala mu to ciągle mówić, że na 30,000,000 mieszkańców Wielkiej Brytanii 3,000,000, to jest $\frac{1}{10}$ część są upośledzonymi, wydziedziczonymi ofiarami społeczeństwa. Przeciwnieństwo zamożności i nędzy, egoistycznego używania jednych a okropnego cierpienia drugich widoczniejszem się staje w ten sposób. Pierwszym obowiązkiem jest sprawdzenie, o ile te dane statystyczne są prawdziwe.

Otóż naprzód wypada powiedzieć, że cyfry, podane przez p. Booth'a, są żywcem powtórzone z książki, wydanej przez jego syna Karola *Labour and Life of the People* i że już po ich pojawieniu się w pierwszej swej formie udowodnione było, że nie odpowiadają rzeczywistości i nie są w zgodzie ze statystyką urzędową. Nie tylko, że dla potrzeby swojej argumentacji bierze te cyfry jako prawdziwe, ale w dodanych do nich komentarzach koloryzuje i przesadza. Tych, których Karol Booth mieści pomiędzy ubogimi robotnikami i wyrobnikami, nie mogący liczyć na stały dochód z zarobku, generał Booth bez wahania mieści pomiędzy ostatnimi nędzarzami umierającymi z głodu. Różnica namacalna. Gdy tedy mówi, że jest w Wielkiej Brytanii 1,600,000 ludzi umierających z głodu, to nie należy brać tego w dosłownem znaczeniu, a szkoda, bo gdy fakta pod-

stawowe są poddane w wątpliwość, cała dalsza argumentacja się chwieje.

Następną uwagą co do jego tablic statystycznych jest, że niektóre kategorie występują po dwakroć w jego obliczeniach, jak n. p. więźniowie, i że wprowadza jako kandydatów do podtrzymania przez społeczeństwo tych, którzy są już obecnie utrzymywani w *work-house'ach*. Skoro *Poor law* istnieje w Wielkiej Brytanii i ma moc obowiązującą, nie można zrozumieć dlaczego p. Booth uważa owych kilkukroć stotysięcy pensyonarzy domów pracy za spadających na koszt jego instytucji. P. C. S. Loch, sekretarz *Charity organisation Society*, jedna z najkompetentniejszych osobistości w tej kwestyi, po długich wywodach, w które tu wchodzić niema powodu, dochodzi do wniosku, że istotnie p. Booth nie potrzebuje uważać jako kwalifikujących się do wybawienia przezeń z czeluści więcej niż 400,000 ludzi, czyli nie jedną dziesiątą, ale jedną siedemdziesiątą siódmą część ludności Wielkiej Brytanii. Można odetchnąć swobodniej wobec takiej cyfry i mieć nadzieję, że mając z liczbą o tyle mniejszą nieszczęśliwych do czynienia, łatwiej będzie celu dopiąć. Gdyby było inaczej, mimo całego optymizmu reformatorskiego, opadłyby ręce. Nigdyby się tej syzyfowej nie podźwignęło bryły.

Obok statystów występują ekonomiści. Zarzuty ich przeciw planowi p. Bootha są liczne i jedne ważniejsze od drugich. Sama zasada oburza. Gdy cały organizm społeczny opiera się na swobodnej podaży pracy, oto mamy do czynienia z reformatorem, który samowolnie zmienia istniejące warunki, werbuje ludzi do swoich miłosiernych zakładów, a potem wyzyskuje ich zarobek. Jest n. p. w dokach londyńskich kilkadziesiąt tysięcy robotników, którzy najmowani są do wyładowania okrętów w miarę potrzeby i na warunkach odpowiednich napływowi towarów. P. Booth uważa tę całą ludność portową za kwalifikującą się do jego instytucji. Ma się prawo zapytać, czyby się stosunki handlowe portu londyńskiego nie zmieniły całkowicie w razie, gdyby owe masy robotnicze były prowadzone do pracy przez swego organizatora, działającego i zawierającego umowy w ich imieniu. Istotnie, cywilizacja ekonomiczna uczyniła by wówczas wielki krok, ale nie ku postępowi, lecz ku tyranii i wyzyskiwaniu jednostek.

P. Booth staje przed społeczeństwem i żąda, ażeby dało mu środki dostarczania pracy tym, którzy chcą pracować. Wiemy, co znaczy owo prawo do pracy, które w jego umyśle nie ulega żadnej wątpliwości. Wszyscy rewolucyoniści socyalni od dawna zapisali je na swym sztandarze i niepodobna widzieć w tej doktrynie żadnej inowacyi. Po tysiąc razy wymaganie to teoretycznie i praktycznie otrzymało przynależną sobie odprawę. Przy organizacyi społecznej, opartej na indywidualnem gospodarstwie i konkurencyi, niema podobieństwa, ażeby naród wynajdował i dostarczał środków zarobkowania dla wielkiej masy osobników, pozbawionych ich. Nieprodukcyjne przedsięwzięcia wywołałyby w danej chwili przesilenie i spowodowały reakcyę, któraby najciężej tym wydziedziczonym we znaki się dała. Są to wszystko oklepanki ekonomiczne, które wstyd powtarzać, ale które wywołane są przez propozycye, jakie mógł sformułować tylko człowiek z teoryami ekonomii politycznej nieobeznany.

Istotnie w każdym ustępie swej książki zdradza jej autor najzupełniejszą nieznanomość literatury i historyi reform socyalistycznych. Zdawaćby się mogło, że nikt do tego czasu o zagadnieniach tych nie myślał, i że trzeba było Armii Zbawienia, ażeby je spostrzedz, zrozumieć i pośpieszyć im z pomocą. Ale taki brak naukowego wykształcenia możnaby jeszcze wybaczyć sekciarskiemu pastorowi. Problematy, nad którymi ludzie wiedzy i najpoważniejsi mężowie stanu suszą sobie głowy, objawiły mu się nagle i w nieświadomości swej uważa je za daleko snadniejsze do rozwiązania, aniżeli są w istocie. Mniejsza o to. Ale co przebaczyć mu trudniej i co mu wyrzucają gorzko, to że ów filantrop z umysłu pomija i przemilcza istnienie najrozmaitszych, zasłużonych, od dawna już działających, potężnych stowarzyszeń dobroczynnych, i przedstawia siebie samego i swoją Armię Zbawienia jako jedyny, jako wyłączny organizm, dający z pomocniczą ręką dla zaprzepaszczonej. Taka taktyka wywołała okrzyk zgrozy i trzeba przyznać, że pokrzywdzeni mieli prawo zaprotestować. Nie tylko urzędowy kościół państwowy, rozporządzający olbrzymimi kapitałami, szczodrobliwie nimi obraca na fundowanie i utrzymywanie najrozmaitszych instytucyi dobroczynnych, nie tylko każda z sekt odpadłych od

niego współzawodniczy w tej samej działalności dobroczynnej, ale obok tej kościelnej istnieje świecka dobroczynność. Niema kraju pod słońcem, gdzieby było więcej filantropijnych towarzystw, a gotowość do świadczenia pieniężnych usług uboższym w formie subskrypcyi i corocznych regularnych wkładek do tych lub owych stowarzyszeń jest wśród klas zamożnych angielskich rzeczą zwykłą, normalną, obowiązkową, od której nikt się usuwać nie myśli. Nie mówimy już o filantropach, jak: Peabody albo lord Shaftesbury, których fundacye dobroczynne stoją jak słup drogowy, albo morska latarnia wskazując bogaczom drogę do ratowania nędzy moralnej i materialnego ubóstwa, ale jest tysiące towarzystw, działających w szerszym lub cieśniejším zakresie, stosownie do swych środków, a każde zaprzane szlachetnym zapałem ulżenia ciężaru cierpiącym. Gdy p. Booth mówi o przyjsciu w pomoc uwolnionym więźniom, albo nawróconym grzesznikom, albo o przygarnianiu włóczących się dzieci, zdawałoby się mogło, że jest twórcą tych instytucyi. On projektuje je dopiero, gdy tymczasem istnieją one tak samo jak wiele innych, a to od lat dziesiątków i mają za sobą doświadczenie i złotą księgę oddanych przysług. Jest cynicznym zuchwalstwem pominięcie tego ważnego czynnika filantropijnego. A zapominać nie należy, że dobroczynność taka, jaka była praktykowana dotąd w Wielkiej Brytanii, ma podwójną wyższość nad planem generała Armii Zbawienia. Naprzód świadczyła ona dobro, ocierała łzy, karmiła, odziewała, dostarczała pracy i t. d., bez żadnego prozelityzmu sekciarskiego, nie werbując biedaków do swoich kaplic. P. Booth otwarcie oświadcza, że idzie mu o zbawienie ich dusz,—a wiemy co pod tem zbawieniem rozumieć należy —i że o ich ciało troszczy się tylko pośrednio. Następnie każde z istniejących stowarzyszeń zajmowało się pewną specjalnością, pewną gałęzią dobroczynności i doszło do technicznej w niej biegłości. Ambicya p. Booth dalej sięga. On chce włączyć do swego organizmu wszystkie działy dobroczynności i pochlebia sobie, że im podola. Dowiedziono mu, że w wielu kwestiach nie ma najmniejszego wyobrażenia o naturze rzeczy; tak n. p. chciał założyć bank i obiecywał procenty, których żaden uczciwy bank dać nie może. Gdyby ten nieszczęśliwy pomysł się był urzeczywistnił, byłby popchnął do ruiny tych, coby mu swoje ostatnie powierzyli grosze. Tak samo stałoby się w wielu in-

nych zakładach i instytucjach, które zapowiada, o których mgliste tylko zdaje się mieć wyobrażenie. Rezultaty, jakieby osiągnąć mógł, byłyby dalekie od przewidywań i utrudnione przez wielką komplikację.

Jeżeli p. Booth pomija w nieświadomości albo przez hipokryzyę wszystkie istniejące, najzasłużeńsze i najpotężniejsze instytucje narodowe, jak np. *Charity Organisation Society*, to dziwić mu się nie można, że nie czyni najlżejszej wzmianki o tem, co uczyniono w innych krajach. Ale przy nacisku, jaki kładzie na kolonie wiejskie, zdawałoby się przynajmniej obowiązującym powiedzieć o tem, co w sąsiednich krajach w tym kierunku działo się. Nawet ostatni profani, zajmujący się kwestyami społecznymi, zasłyszeć musieli o kolonii karnej w Mettray we Francyi, o osadach żebraczych wiejskich w Weenkesysen w Holandyi, albo o koloniach niemieckich, wytworzonych za inicjatywą pastora von Bodelschwingh i rywalizujących z niemi osadach w Wilhelmsdorf i t. d. Byłoby się dało z ich statystycznych wykazów i z ich raportów wyciągnąć pewne przestrogi i wskazówki, któreby p. Bootha zapewne ostrożniejszym uczyniły. Ale brak informacyi i brak wykształcenia prowadzi tu, jak w każdej innej dziedzinie, do radykalnych, absolutnych wniosków.

Wobec takich krytyk i spostrzeżeń, którym słuszności odmówić niepodobna, niepodobna także przykładać do apodyktycznych twierdzeń p. Bootha wielkiej ufności. A są jeszcze inne, które się nasuwają zwartym szeregiem. Mimo całego zrozumienia, jakie ma do swej własnej organizacji, ucieka się on na niektórych punktach, jak n. p. w utworzeniu lombardów, do interwencji państwowej. Na tym właśnie punkcie interwencja ta nie przedstawiałaby żadnego wielkiego niebezpieczeństwa i lombardy, administrowane przez państwo, tak jak to się dzieje we Francyi, albo przez municypalności, jak w wielu innych krajach, zniosłyby mnóstwo pijawek-lichwiarzy, wyzyskujących obecnie biedaków w Anglii. Ale i na tym punkcie jest możność zwalczania nadużycia bez uciekania się do władzy państwa. W wielu innych tendencya, jaką ten autokrata okazuje do posługiwania się organami państwa, zdradza pochop do socjalizmu państwowego. Ci, którzy nie uważają rozwoju tego ostatniego,

jako leżącego w interesie postępu ekonomicznego, wstrzymają się od powiększenia orszaku p. Booth'a.

Przypuśćmy na koniec, żeby mu się udało dopiąć celu swego, problemat społeczny nie byłby bynajmniej rozwiązany. Nawet proletaryat, wytwarzany normalnie przez istniejącą organizację fabryczno-przemysłową, nie byłby miał sobie zagrodzonej drogi. A cóż dopiero mówić o innych formach, w któreby świat ekonomiczny musiał się przedzierać dla zaspokojenia wzrastających i coraz głośniejszych dążeń masy zarobkującej!

Łatwo jest oskarżać ekonomistów o skrzepłe serca i brak humanitaryzmu. Nie zmieni to stanu rzeczy. Miłosierdzie, nawet najlepiej uorganizowane, nie jest w stanie zapobiedz pauperyzmowi. Tylko gdy klasy upośledzone same wezmą się do praktycznych reform, i gdy starsi ich bracia z jednej strony, organa ogólnie narodowe w ściśle określonych granicach z drugiej wesprą ich swem doświadczeniem i swoją pomocą, tylko wtedy można mieć nadzieję, że uda się społeczeństwu zmniejszyć liczbę cierpiących i urzeczywistnić to marzenie o sprawiedliwości i powszechnym dobrobycie, które nosimy wszyscy w głębi ducha. P. Booth nie daje w gruncie niczego innego w swoim projekcie, jak organizację miłosierdzia, a to w celu egoistycznym, który już był wykazany. Warsztaty, które otwiera dla swych zaimprowizowanych robotników, będą tylko przytułkiem dla próżniaków i gdyby się rozpowszechniły, zagroziłyby chaosem.

IV.

Jeszcze jedno słowo zostaje nam do powiedzenia. P. Booth zażądał od społeczności angielskiej dla urzeczywistnienia swego planu miliona funtów sterlingów, ale nie potrzebuje go całego. Sto tysięcy funtów wystarcza mu na początek, a w następnych latach 30,000 funtów rocznie, jako odsetek od tego kapitału. Po uczynionej odezwie publiczność angielska została olśniona. Tak małej sumy potrzeba zatem do zwalczania tak olbrzymiego zła! I jakże jej odmówić? Posypały się tedy dary, i obok darów listy wyrażające sympatię dla organizatora krucjaty przeciwko

nędzy. Królowa poprzestała na liście i tak samo uczynił arcybiskup kanterburyjski, prymas Wielkiej Brytanii. Ale byli członkowie rodziny królewskiej, którzy nadesłali swe subskrypcye; wysoka arystokracja, duchowieństwo, świat finansowy, filantropi śpieszyli z datkami. Aktor jeden ofiarował pokązną sumę 10,000 funtów. Byli tacy, co ofiarowali ziemię na kolonie wiejskie. Jak powiedzieliśmy na wstępie, żadaną sumę 100,000 funtów znaleziono bez trudności.

Akt pierwszy odegrany został tedy pomyślnie. Ale drugi inaczej się zapowiada. Gdy się posypały krytyki i gdy przesiano przez przetak ziarno p. Bootha, pokazało się, że jest w niem wiele, bardzo wiele plew. Ostygł zapał i nie tylko że ofiary sypać się przestały, ale zaczęły się cofać te, które warunkowo tylko były obiecane. P. Booth jest zniechęcony tą krytyką i opozycją. Dotąd nigdy działalność jego nie podlegała jej i jako autokrata miał swobodne ruchy. Przekonał się, że trudniej jest zapewnić sobie współdziałanie ludzi, którzy nie dają się zagłuszyć bębnami i rykiem hymnów wojennych, którzy rozumują i układają bilanse, aniżeli otumanić prostaczków.

Nie wiadomo, czy wytrwa w swem przedsięwzięciu, ale zanadto jest rzutny i obrotny, aby w ten lub ów sposób nie wyciągnął z niego dla siebie i dla swej sekty praktycznych korzyści. Już dotąd pozyskał dla Armii Zbawienia olbrzymią reklamę. Należy życzyć, aby wziął się do dzieła. Nawet gdyby mu się tylko setną część istniejącego zła udało usunąć, jużby przedsięwzięcie to zasługiwało na sympatyę. W każdym razie zwrócił uwagę świata na ważne humanitarne zagadnienia. To jedno wystarcza, ażebyśmy się wstrzymali od zbyt surowego o niem wyroku.

P. S. Po upływie dwóch lat, w 1893 r., generał Booth, znajdując się w kłopotach pieniężnych i chcąc wykazać bezzasadność ubliżających jego uczciwości pogłosek, zażądał utworzenia śledczej komisji, któraby się zajęła sprawdzeniem jego rachunkowości i zbadaniem stanu instytucji filantropijnych, przez niego stworzonych. Komisja ta, złożona z ludzi pełnej kompetencji i powagi, oddała hołd osobistej bezinteresowności generała Bootha, ale z drugiej strony przekonała się, że część dopiero proponowanych instytucji została wprowadzona w czyn, i że byt ich

materyalny jest wątpliwy. Deficyt finansowy jest wielki i potrzeba będzie nigdy nie stygnącego zapалу i czynnego udziału społeczeństwa, ażeby jaki taki byt i przyszłość im zapewnić. Dwuletnie doświadczenie wykazało już dokładnie, że nie może być mowy o radykalnem zniesieniu nędzy podług planów organizatora Armii Zbawienia.

MUNICYPALNOŚĆ LONDYNU.

Jest już od dawna utartą i żadnych nowych dowodów nie wymagającą prawdą, że potęga instytucji publicznych Wielkiej Brytanii, ich jednoznaczność ze swobodą obywatelską nie tyle polega na ustroju politycznym, jak na municypalnym. Wdrożeni do rządzenia miejscowemi sprawami w gminach wiejskich i municypiach, rozszerzyli Anglicy tę zasadę samorządu do spraw ogólnokrajowych i na tej niezłomnej podwalinie zbudowali nie teoretycznie i nie tylko systematycznie, ale doświadczalnie i stopniowo ową konstytucję, której doskonałość wypróbowana została w różnych przypadłościach i czasach. Rudolf Gneist w swoim wyczerpującem *Englische Verwaltungrecht* ani na chwilę nie spuścił z uwagi owego pierwszeństwa instytucji municypalnych, z których wnętrza wystrzeliły następnie polityczne. Guizot już uczynił tę słuszną uwagę, że w pierwszych epokach rozwoju cywilizacyjnego samorząd miejscowy, prowincjonalny, jest jedyną możliwą formą rządu. W Anglii zlewa się owa organizacja gminna w zaraniu historycznego rozwoju z organizacją państwową; następnie zespała się z feodálną i korporacyjną. W kilkowiekowym rozwoju, idącym od reformacji aż do reformy 1832 roku, organizacja municypalna przeistacza się zwolna tylko i jako główne jej rysy

wykazano coraz wzrastającą przewagę praw o ubogich, a coraz widoczniejszy upadek jurysdykcji sądów miejskich. Cały ten różnowzory, pstrokaty ustrój gmin i municypalności angielskich, opierający się na wywalczonych dla pewnych miejscowości, pewnych warstw narodowych przywilejach, na kartach nadawczych, na uchwałach parlamentarnych, zostać tu musi nietkniętym, gdyż nie o całości organizacyi angielskiej, ale jedynie o londyńskiej mówić zamierzamy. Przypomnieć wystarczy, że w r. 1835 nastąpiła reforma organizacyi municypalności angielskich, i że od tej epoki datuje się, jeżeli nie jednolitość i ustrój harmonijny, to przynajmniej pewna wspólność zasad i ustopniowanie miejscowych przywilejów.

Ale nawet przez ów akt 1835 roku Londyn nie został dotknięty, przeciwnie—wyłączono go z niego formalnie. Dwadzieścia lat czekać mu trzeba było na pierwsze ulepszenia i uproszczenia samorządu miejskiego! Dziwić się temu niema potrzeby, raz dlatego, że działalność prawodawcza angielska nigdy zbyt zbytnim pośpiechem się nie odznacza, a potem dlatego, że zadanie to nadzwyczaj skomplikowane. Nie tylko ze względu na swój charakter stolicy państwa, siedzisko rządu oraz największego emporium handlowego, jakie świat dotąd wytworzył, ale po prostu ze względu na swoje rozmiary i ludność Londyn jest *imperium in imperio*. Obejmuje swą przestrzenią całe cztery hrabstwa, pochłonał w siebie dziewięć *borough's* czyli miast posiadających przywilej wybierania deputowanego do parlamentu, zawiera dziewięćdziesiąt pięć parafii, z których trzy liczą razem nie mniej jak 600,000 mieszkańców. Przy ostatnim obliczeniu ludności w roku 1881, które było wzięte za podstawę do wielkiej reformy 1888 roku, Londyn liczył 3,813,000 mieszkańców. Podług obliczenia 1890 roku, cyfra ta wynosiła już 4,421,661 stałych, osiadłych mieszkańców. Około City, drobnego jądra, liczącego zaledwie 51,400 osób, wytworzyły się w nieprzejrzanym promieniu dwa pierścienie: wewnętrzny i zewnętrzny. Granice pomiędzy nimi się zacierają, a zakres ostatniego powiększa się ciągle. Ostatnią jego zdobyczą jest miasto Richmond z olbrzymim parkiem i przylegającą do niego gminą Wimbledon, na której łąkach aż do ostatnich czasów odbywały się manewry milicyi stołecznej. Ponieważ Londyn

wciąż i nieprzerwanie posuwa się i rozszerza w południowo-zachodnim kierunku, nie można wątpić, że w przyszłych stuleciach park Richmondu będzie dla miasta środkowym ogrodem, tak jak przed stu laty był Regent-Park, a obecnie jest Hyde-Park. Coraz więcej tedy Londyn usprawiedliwia daną o nim definicję, iż jest prowincją zabudowaną domami i przeładowaną ludźmi. Samo ściągnięcie podatków z nieruchomości, oszacowanych na 28,000,000 funt. sterl., pozwala zrozumieć ogrom zadania, jakie ma zarząd municypalny do spełnienia.

Jeżeli jednak organizacja administracji w tego rodzaju mieście, nawet przy jednolitości praw, obowiązków, ciężarów przedstawiałyby musiała nadzwyczajne trudności, to o ileż one wzrastają wskutek szczegółowych przywilejów i właściwości niektórych składowych jego części, a przede wszystkim City, starodawnego gniazda korporacji, cechów i stowarzyszeń. Samych oddzielnie uorganizowanych gildyi i korporacji istniało w City 89. Nie mniej, jak 120 kart nadawczych, sięgających do Wilhelma Zdobywcy, a ciągnących się aż do Jerzego II-go, uświęciło ich przywileje. Lubo liczba mieszkańców spijających w City (*sleeping population*) jest tak szczupła, jak to dopiero co powiedziane było, to mimo tego dzieli się administracyjnie na 26 okręgów, 108 parafii, posiada swego lorda-majora, swoich 26 aldermanów, 206 radców gminnych (*Common Councilmen*), dwóch szeryfów, swego wielkiego skarbnika i rozmaitych innych dygnitarzy, o rozmaitych, zupełnie nieraz nieprzewidzianych atrybucjach i jurysdykcjach. Trybunał City (*Lord Mayor's Court*), którego prezesem jest archiwista, *the Recorder*, wybierany przez aldermanów i dzierżący to dostojenstwo dożywotnio, ma przywileje sądownicze wyjątkowe. Łatwo zrozumieć, że dumna ze swojej wielkiej przeszłości historycznej i będąc w posiadaniu daleko rozleglejszych praw i przywilejów, aniżeli jakiegokolwiek inne miasto zjednoczonych królestw, City londyńska niezbyt chętnie chciała się dzielić niemi z postronnymi mieszkańcami. Nie tylko tedy nie wyrażała życzenia, ażeby *Municipal corporations Act* z 1835 roku był i do Londynu zastosowany, ale przeciwnie, dokładała wszelkich starań, używała osobistego wpływu swych deputowanych w parlamencie, i wszystkich pokątnych intryg i zabiegów, ułatwianych przez olbrzymie

majątki jej handlowo-kupieckiej magnaterii, ażeby wszelką reformę przynajmniej oddalić, jeżeli się jej całkowicie drogi zagrozić nie uda. Najśłynniejszym przykładem tej opozycji był sposób, w jaki City uniknęła włączenia jej do *Metropolis Local Management Act* z roku 1855, który to akt ustanowił dla reszty Londynu biura wyborcze dla całej stolicy pod nazwą *Metropolitan Board of Works* i biur takichże dla oddzielnych cyrkułów i parafii. Podobnie jak City sprzeciwiła się ogólnej ustawie, tak samo przy wielu innych bilach, przedstawionych parlamentowi w następnych latach co do kwestyi szczegółowych, jak n. p. policyi miejskiej, potrafiła sparaliżować reformatorskie zamiary rządu albo przedstawicieli narodu. Bile Johna Stuarta Milla w 1867 i 1868 roku, Sydneya Buxton w 1869 i 1870 roku nie wydały żadnego rezultatu praktycznego i świadczyły, że jeżeli postępowe umysły jasno zdawały sobie sprawę z niedostatków i wad administracyi Londynu i za cel ostateczny postawiły ujednostajnienie praw i oddanie wszystkich gałęzi zarządu municypalnego w ręce wybranych przez całość stolicy delegatów, to taka niwelacja rozbijać się będzie musiała długo jeszcze o koalicję różnych miejscowych i prywatnych interesów.

Nie należy spuszczać z uwagi, że w Anglii stronnictwo liberalne, będąc wyrazem demokratycznych prądów, nurtujących w łonie współczesnych pokoleń, zdąży na każdym punkcie do unifikacyi, do równości prawnej i że, wypowiadając walkę wszystkim tradycyjnym przywilejom i prawom miejscowym, stanowczo skłania się do centralizacyi. Stronnictwo zachowawcze, przeciwnie, stając w obronie tych ostatnich, nie omieszkuje nigdy odwoływać się do autonomii prowincjonalnej, municypalnej i gminnej. Ale duch czasu i wszystkie okoliczności zewnętrzne dmą w żagle unifikacyi. Gdy w roku 1871 utworzono nowy wydział ministeryalny — *Local Government Board*, to jest ministerium spraw wewnętrznych w kontynentalnem słowa tego znaczeniu, można było przepowiedzieć, że się z tego centralnego ogniwa administracyjnego wiele innych wytworzy, i że wśród kniei administracyi angielskiej, w której, podług często przytaczanych słów p. Goschen'a, panuje chaos władz, chaos atrybucyi, chaos podatków, chaos urzędników,

chaos okręgów wyborczych, zostaną wycięte poręby i że powoli a stopniowo przeniknie tam ład i porządek. Samo się przez się rozumie, że podług zasad reformatorów ta nowa organizacja i ta centralizacja państwowa ani o włos nie uszczuplą swobód obywatelskich. W Anglii mowy o tem niema — dotychczas przynajmniej. Walka toczy się wyłącznie między uprzywilejowaną oligarchią a masą narodową, która, pragnąc takie same prawa posiadać, chce je zabezpieczyć przez ciała wyborcze, ale nie ma zamiaru abdykować z nich na rzecz władzy wykonawczej państwa. Pisarze obcy, jak wzmiankowany Gneist, nie mogą dość odżałować, że cały ten gmach chaotycznych przywilejów średniowiecznych, w którym przez wieloletnie szperanie oryentować się umieją przedziwnie, jest z dniem każdym podkopywany i blizki upadku. Angielscy pisarze polityczni i mężowie stanu natomiast nie wahają się inaczej na sprawę tę zapatrywać. Nawet przeciwnicy demokracji, luminarze jak sir Henryk S. Maine, w słynnem swem *Popular Government* jawnie przyznaje, że *Municipal Corporation Act* z 1835 roku był obok reformy wyborczej 1832 roku najważniejszym faktem w publicznem życiu narodowem obecnego stulecia. W obozie postępowym panuje co do przywilejów City londyńskiej jedno tylko usposobienie — nietajonego wstrętu, którego nikt doskonale nie scharakteryzował, jak John St. Mill w owych trudnych do spolszczenia słowach: „*that union of modern jobbing and antiquated foppery*”. Nie można się też dziwić bynajmniej, że po tylu poprzednich usiłowaniach ku jednolitej organizacji Londynu, za przedostatniego liberalnego ministeryum Gladstona, sir Wiliam Harcourt w imieniu gabinetu przedstawił parlamentowi w 1884 roku bil o utworzeniu dla całego Londynu wspólnej municypalności, nie tylko znosząc wszystkie przywileje i wyłączności City, ale nawet wszystkie biura i rady cyrkulowe i parafialne. Chwila, w której plan tak doniosłej reformy zarysowany został, nie była właściwa, gdyż sprawa samorządu dla Irlandyi postawiona została przed parlamentem i wobec niej wszystkie inne, jakkolwiek żywotne, usunęły się na dalsze plany. W roku 1886 przyszedł wprawdzie znowu gabinet Gladstona na kilka miesięcy do władzy, ale wobec uraganu, który mu od pierwszej chwili groził i który miał go obalić nieba-

wem, odsuwając aż do chwili obecnej od steru spraw publicznych, o reformie municypalnej organizacyi londyńskiej mowy być nie mogło. W każdym razie nawet gdyby do rozpraw i rozbioru takiego projektu prawodawczego było przyszło, nie byłoby możliwem przeprowadzić go wówczas przez arkana parlamentarne, skoro i obecnie jeszcze wyprzedza on znacznie przeciwny stan opinii pod tym względem.

Jak czytelnikom wiadomo, ministerjum lorda Salisbury, które dostało się do władzy w lipcu 1886 r., dzięki koalicji zachowawczych torysów z tem skrzydłem liberalnego stronnictwa, co zerwawszy z armią whigów, przezwalało się liberalnymi unionistami, przeprowadziło na sesyi r. 1888 nową reformę samorządu prowincjonalnego w t. zw. *Local Government Act*. Bezspornie może ona być postawiona obok tych dwóch doniosłych reform 1832 i 1835 roku, które pchnęły niepowrotnie Wielką Brytanię na nowe tory, ku demokracji, i zastąpieniu przywilejów kastowych i miejscowych przez równość w obliczu prawa. Nie tu byłoby miejsce rozbierać powody, jakie skłoniły rząd, uosabiający w sobie potęgę arystokracji gruntowej i działający w jej interesie, do zadania im śmiertelnego ciosu, wprowadzając na jej miejsce rady wyborcze, czerpiące źródło swej władzy z łona masy społecznej. Jeżeli przypominają, że większa część reform radykalnych przeprowadzona została w Anglii przez zachowawczych torysów, którzy dzięki tej zuchwałej taktyce wytrącali oręż z rąk swych współzawodników; drudzy spostrzegają w tym niewątpliwym a oryginalnym fakcie igraszkę ironiczną dziejów, sprawiającą, że klasy uprzywilejowane dobrowolnie znoszą głązy do mauzoleum, w którym żywcem pogrzebane bywają. Jakikolwiek jednak przyczyny ten ostatni *Local Government Act* wywołały, nie mamy prawa zaprzeczać, że od roku 1889, od chwili gdy wszedł on już w życie, cała administracya krajowa, samorząd wiejski, jak i miejski wstąpiły przez rady hrabstw w nową fazę.

Stanowią one najważniejszą część nowej ustawy, nadanej naprzód Anglii i Walii, następnie Szkocyi, a wreszcie na obecnej sesyi zaproponowanej przez rząd dla Irlandyi, lubo na całkiem innych wyjątkowych podstawach. Anglia i Walia podzielone zostały na 60 hrabstw, a każde z nich posiada swą

radę — *County Council* — do zarządu administracyjnego i finansowego. Oryginalnym rysem ustawy było to, że obok owych istniejących geograficznie 60 hrabstw utworzono jeszcze sztucznie jedno dodatkowe, 61-sze, a mianowicie hrabstwo londyńskie. Do składu jego weszły części hrabstw Middlesexu, Kentu i Surreyu, na których terytoryach Londyn jest zbudowany. City londyńska o swym korporacyjnym ustroju oraz City Westminsteru i Wieża londyńska (*the Tower*), które to obie ostatnie także pewne swe starodawne odrębności przechowały, nie zostały całkowicie poddane zwierzchnictwu rady hrabstwa londyńskiego i na pierwszy rzut oka możnaby mniemać, że nic się w dawnym stanie rzeczy nie zmieniło. Niebawem przekona się jednak czytelnik, że olbrzymi krok naprzód uczyniony został ku zjednoczeniu i ujednolaceniu administracji Londynu.

Ażeby doniosłość wpływu i całe znaczenie nowej organizacji zrozumieć, wystarczy sobie przypomnieć, jaką ona była, a jaką jest, jakie władze stały u steru administracji stołecznej do r. 1888, a jakie istnieją obecnie.

Naprzód znajdowała się korporacja City londyńskiej, złożona z 206 *Common Councilmen* i 26 aldermanów, która posiadała pełną władzę zwierzchnią nad City i pobierała tam podatki i cła. Dalej istniało poważne ciało, ustanowione w r. 1855, zwane *Metropolitan Board of Works*. Składało się ono z 43 członków, delegowanych przez parafie, z dodatkiem 3 delegatów od korporacji City. To biuro robót publicznych miało w swych atrybucjach dozór i zarząd kanalizacji, regulację Tamizy, mosty, wybrzeża, ulepszenia ulic, gmachów publicznych, ogrodów, parków, placów, straż ogniową i t. d. Trzecie ciało odrębne stanowiło 23 *Vestries*, to jest parafii, i 15 biur okręgowych, które wybierały 2,450 radców do dozoru nad brukiem, oświetleniem, kanalizacją, zmiataniem ulic, uprzątnięciem śniegu, oraz do ściągania podatków parafialnych na utrzymanie domów roboczych dla ubogich. Czwarte ciało stanowił *School Board*, składający się z 50-ciu członków, wybieranych co trzy lata przez wszystkich płacących podatki obywateli płci obojej; obowiązki jego rozciągały się do zarządu szkołkami elementarnymi. Piąte ciało stanowiło biuro opiekuńcze (*Board of Guardians*),

złożone z 30 członków wybieranych albo mianowanych w rozmaity sposób; zajmowało się ono administracją zakładów dobroczynnych, wchodzących w sferę *Poor law*. Szóstym, oddzielnym ciałem było biuro rzeki Tamizy, bez żadnych delegatów wyborczych, a na koniec za siódme uważać mamy prawo kontrole nad policją miejską, znajdującą się w atrybucjach ministra spraw wewnętrznych, kiedy policja City jest pod zarządem jej korporacji. Towarzystwa dostarczające wody, gazu, elektryczności, tak samo jak Towarzystwa omnibusów i tramwajów, zostawały wyłącznie pod własnym zarządem i mimo bezpośredniego interesu, jakie miały one dla bytu i rozwoju pięciomilionowego grodu, administracja miejska nie miała nad nimi żadnego nadzoru.

Wobec tego mnóstwa władz, rad i ciał o krzyżujących się atrybucjach nie da się zaprzeczyć, że skargi na chaotyczną administrację stolicy były w zupełności usprawiedliwione. Mówiliśmy już o rozmaitych usiłowaniach, jakie w parlamencie czynione były, aby drogą prawodawczą złe istniejące ukrócić, i o oporze, jaki wszelka zmiana radykalna napotykała. Poza sferą parlamentu wytworzyły się także komitety i stowarzyszenia, agitujące pomiędzy mieszkańcami przez mityngi, rozsyłanie broszur, przez niezliczone artykuły w prasie. Największe znaczenie miała „Liga reformy municypalnej”, której duszą był niestrudzony lord Hobhouse. Polemiki, jakie się toczyły pomiędzy propagatorami reformy a obrońcami dawniejszego porządku, skandaliczne nadużycia i bezprawia, wyciągane bezprześcannie na światło dzienne, stopniowo rozbudzały interes publiczny dla spraw municypalnych i przygotowywały grunt do reformy. Nowa organizacja w roku 1888, stwarzająca hrabstwo londyńskie i radę hrabstwa, nie była tedy przedwczesną, ale wymuszoną, wywalczoną przez opinię krajową. Jakikolwiek mogły być sympatye ministerium zachowawczego dla bezładu, wpośród którego przywilej zawsze wygodne potrafił wynajdywać sobie kryjówki, musiało ono do pewnego przynajmniej stopnia liczyć się z wymaganiami powszechnymi. Obecnie, gdy cztery lata od wprowadzenia nowej organizacji upłynęły, rażące jej braki i niedostatki są surowo wytykane. Lecz aby być sprawiedliwym, wystarczy przypomnieć sobie stan onegdajszy:

postęp wczorajszy i dzisiejszy pozwala jasno przewidzieć jutrzejszy.

Zasługą główną nowej organizacyi było utworzenie centralnego ciała reprezentacyjnego dla całej stolicy z wyjątkiem City. Wprawdzie większa część owych siedmiu ciał, rozdzielających między sobą zarząd rozmaitych spraw miejskich, zachowała i nadal swą odrębność i niezależność od rady hrabstwa, a między innemi biura szkolne, biura opiekuńcze, biura okręgowe parafialne, a stało się to nie tylko z wyraźnem nadwężeniem logiki, ale z pokrzywdzeniem najżywoźniejszych interesów, lecz zniesiono przynajmniej biuro robót publicznych, najpotężniejsze z ciał municypalnych, pohańbione przekupstwami i nadużyciami, a funkcye jego przelane zostały na radę hrabstwa. Już ta jedna okoliczność wystarczyłaby do oceny znaczenia, jakiego nabrała ta rada. Ale atrybucye jej są i stają się coraz szersze. Nie mogło być inaczej. Sam skład jej za tem przemawiał. Londyn wybiera 120 radców, po dwóch z każdego okręgu parlamentarnego na trzyletnią kadencję. Raz utworzona rada wybiera aldermanów dwudziestu na lat sześć, odnawialnych w połowie po upływie lat trzech. Wyborcami są wszyscy mieszkańcy, osiedli od dwunastu miesięcy w okręgu wyborczym i płacący podatki miejscowe. Każdy wyborca może być wybierany do rady hrabstwa. Przypominają sobie może czytelnicy, że przy pierwszych wyborach w r. 1889 skorzystano z tego artykułu ustawy i wybrano na radców trzy kobiety. Wybór ten został jednak unieważniony przez sądy i trzeba było na ich miejsce wybory powtórne rozpisać. W obecnej kampanii wyborczej, do drugiej kadencji, żadne kobiety też kandydatury swej nie postawiły i zamknęły swą działalność w obrębie żywej agitacyi wyborczej i głosowaniu za kandydatami swych przekonań.

Rada hrabstwa londyńskiego, dzięki szerokiemu prawu wyborczemu, spoczywa tedy na demokratycznej podwalinie. Po raz pierwszy kilkomilionowa masa mieszkańców, wszyscy płacący podatki bezpośrednie powołani zostali do zbiorowego zabrania głosu w sprawach, wspólnie miasto obchodzących. Upoważniać do rozpisywania i podnoszenia podatków jest pierwszym przywilejem wolnego obywatela, tak samo jak dozorowanie i kon-

trola nad sposobem, w jaki ten fundusz jest wydatkowany. W ustawie *Local Government* 1888 roku rząd zobowiązał się do przelania do kas prowincjonalnych wszystkich podatków, podniesionych na miejscowe potrzeby, i rady hrabstw rozciągają w ten sposób ścisły dozór nad sumami, których całość dochodzi od 5,600,000 do 6,000,000 funt. sterl. Londyn rozporządza obecnie przypadającymi na niego sumami i gdy uda mu się znieść ograniczenia, jakie co do zużytkowania tych lub owych sum jeszcze go krępują, doniosłość pozyskanych reform stanie się jeszcze widoczniejsza.

Nie należy szukać w tej nowej organizacyi municypalnej Londynu, w jego radzie hrabstwa, wielkiem administracyjnem ciele bez żdźbła władzy wykonawczej, żadnego logicznie przeprowadzonego ustroju systematycznego. Anglicy nie zdają się zdolni wznieść do niego, a przynajmniej nie próbowali tego dotąd. Uderzają też w niej braki i niedostatki nadzwyczajne, a są one takie, że, jak powiedziano złośliwie, cała ta organizacya jest improwizacyą przyciśniętego do muru reakcyjnego ministra, który się pierwszymi lepszymi wybiegami oswobodził i dał Londynowi bezużyteczną instytucyę. Nie trzeba jednak tej krytyki, skierowanej przeciwko dziełu p. C. T. Ritchie, brać dosłownie. Położył on pierwszy kamień do reformatorskiej budowy; inne zniszone zostaną w następstwie. Ogromną zasługą było zrozumieć, że Londyn ze względu na swój ogrom jest hrabstwem; nie trzeba jednakże było zapominać, że jest jednocześnie miastem i dać jego municypalnej radzie co najmniej takie same prawa i atrybucye administracyjne, jakie posiadają nawet najmniejsze miasteczka prowincjonalne. Tego się obecnie londyńczycy dopominają, a słuszność tych wymagań nie może ulegać wątpliwości.

Ale jeżeli głośne są skargi na najrozmaitsze ograniczenia atrybucyi rady i na wyłączenie z zakresu jej działalności właśnie najpierwszych gałęzi municypalnych, jak n. p. bruków, oświetlania, polewania wodą, oczyszczania łożyska Tamizy i t. d., a pozostawienie wszystkich tych spraw w ręku *Vestries*, ciał wyborczych wprawdzie, ale bez powagi, wpływu i kompetencyi; to z drugiej strony nieraz dały się słyszeć zdania wręcz przeciwnie, wypowiedziane przez wytrawnych znawców, jak n. p. przez

p. Acworth, a mianowicie: że jest to największem błogosławieństwem dla rady nowo utworzonej, iż nie wprowadzono do jej sfery tych niezliczonych kwestyi drobiazgowych, w których byłaby utonęła. Tenże wytrawny radzca municypalny twierdzi, że nie potrzebuje rada żądać zniesienia biura szkolnego, ani biura opiekuńczego nad ubogimi, gdyż ma jeszcze na czas długi niesłychanie wiele w swoim własnem łonie do zrobienia. Czego naturalnie potrzeba i czego wszyscy reprezentanci Londynu, do jakiegokolwiek należącego obozu żądają, to utworzenia, pod zwierzchnictwem rady hrabstwa, trzydziestu rad okręgowych — *District Councils*, — któreby to ciała przedsięwzięły zarząd wszystkich drobniejszych i miejscowych spraw, niedołącznie prowadzonych dotychczas przez zarządy parafialne. Rada hrabstwa mogłaby wówczas ześrodkowywać u siebie tylko te sprawy, które do całości miasta się odnoszą i nadawać im jednolitość. Nie można wątpić, że ustanowienie takich rad okręgowych nie da już długo na siebie czekać. Sam autor bilu o *Local Government* w pierwiastkowym projekcie miał je już na myśli i wykreślił je ze swego planu jeno wskutek życzeń wyrażonych w parlamencie. Ale obecna opinia daleko zdrowiej zapatruje się na tę sprawę, a kilkoletnia działalność rad hrabstw wykazała potrzebę ich na prowincyi tak samo, jak w Londynie. Stronnictwo whigów nie zadowolnia się już nawet radami okręgowymi, ale żąda ich nawet w każdej gminie wiejskiej. Zanim do nich przyjdzie, obiecane już przez lorda Salisbury rady okręgowe wystarczą najpilniejszym potrzebom. Dla Londynu dopiero z ich utworzeniem rozpocząć się będzie mogła istotnie poprawna, odpowiadająca potrzebom działalność samorządu.

Ażeby zrobić sobie wyobrażenie o roli, jaką rada londyńska odegrała, i o zainteresowaniu, jakie się w tak krótkim czasie co do jej losów dalszych rozbudziło, wystarczy zobaczyć ją u dzieła. Jak już powiedziano, liczy ona 118 radców i 19 aldermanów. Pierwsze jej posiedzenie odbyło się d. 31 stycznia 1889 roku w gmachu, będącym urzędową, chociaż tymczasową zapewne rezydencją pierwszego ciała municypalnego na Spring Gardens. Na prezydującego wybrali radcy naprzód lorda Rosebery, a na wiceprezesa sir Johna Lubbocka, zarówno zna-

nego z naukowej, jak z parlamentarnej działalności. Zbytecznem zapewne byłoby czynić wzmiankę, że obowiązki tak prezydujących, jak radców i aldermanów są bezpłatne; jeden tylko członek rady, tak zwany *Deputy-chairman*, jako wyłącznie poświęcający swój czas i pracę zarządowi rady, pobiera płacę 2,000 funt. st. rocznie. Po śmierci pierwszego z tych delegowanych prezydentów, którym był J. B. Frith, zwany autor rozmaitych gruntownych prac w dziedzinie instytucji municypalnych, płacę tę zmniejszono do 1,500 f. Po usunięciu się lorda Rosebery, prezesem wybrany został sir John Lubbock. Jest wielką zasługą obu, że potrafili powstrzymać członków rady od niewłaściwej dla nich agitacji politycznej i zaprzadz ich wyłącznie do roztrząsania spraw municypalnych, i że z żywiołów roznokierunkowych, po większej części z zadaniem swem i metodą administracyjną nieobznajmionych, zdołali po upływie niedługiego czasu wytworzyć ciało jednolite, nadzwyczajnej pracowitości, zastanawiające powagą, z jaką się na obowiązki swoje zapatrywało. Już w pierwszym roku rada odbyła 134 posiedzeń ogólnych, a liczne komisye specyalne, na które się rozdzieliła, zasiadały 2,236 razy. Ogrom pracy, którą rada znalazła przed sobą, utrudniona jeszcze tą okolicznością, że co chwilę napotykała niemożliwość rozwiązania stojących przed sobą zagadnień przy braku kompetencji skąpo i nielogicznie jej udzielonej, zdumiewa, gdy się do ich protokołów zajrzy. Wielkich starań dołożono w zaprowadzeniu higieny publicznej. Rozciągnięto dozór nad parkami i ogrodami miejskimi, ulepszono nad nimi dozór, pootwierano nowe, zakupiono rozległe przestrzenie w ludnych dzielnicach, jak np. Bethnal Green, i zapobieżono budowlom natłoczonych domów. Energicznie wzięto się do budowy domów dla ludności robotniczej i wytworzono typy, znacznie lepsze od istniejących dotychczas. Mając ciągle interes wielkiej masy na oku, starała się rada wyrównać, o ile to było w jej możliwości, podatki miejscowe. W parafiach ubogich raty podatkowe, przeznaczone na utrzymanie domów roboczych, zostały zmniejszone; za to w parafiach bogatych podniesiono je o drobną sumkę. Naturalnie, że ani kwestyi podatkowej samej w sobie ani kwestyi ulepszeń miejskich, przeprowadzenia nowych ulic, ułatwienia komunikacyi, nie może rada przedsię-

wziąć i skutecznie przy braku wszelkiej władzy wykonawczej i nie posiadając prawa asygnowania żadnej sumy pieniężnej wyższej od 50 funtów. Zmuszona udawać się po sankcyę do parlamentu, napotykała, nie można powiedzieć, złą wolę, ale niezaprzeczenie bierny opór względem nadesłanych z jej łona propozycji. Izba gmin, zdaje się, obawiała przyczynić się do popularności młodego jej rywala.

Z młodzieńczą zuchwałością porwała się rada municypalna na walkę z monopolami wody, gazu i t. d. Są to dla mieszkańców stolicy kwestye pierwszorzędnej wagi życiowej, a jej delegaci spotykają na każdym kroku piętrzący się przeciwko interesowi powszechnemu i gnębiący go interes prywatnych przedsiębiorstw i towarzystw. Typową jest pod tym względem kwestya dostarczania wody źródlanej. Zaopatruje w nią Londyn osiem rozmaitych towarzystw. Wydatki, jakie te towarzystwa uczyniły w celu pochwycenia i doprowadzenia wody, urosły do olbrzymiej sumy 14 milionów funt. st. Popełnione zostały skandaliczne nadużycia, których rezultatem była aż taka suma. Ale obecnie towarzystwa te robią złote interesy: Londyn kupuje od nich corocznie za 1,700,000 funt. wody, a kosztuje ona towarzystwa tylko 700,000. Wskutek istniejących kontraktów, Londyn traci tedy milion funtów rocznie, zbogacając akcyonaryuszów tego monopolu, a mimo tego jest niedostatecznie w wodę zaopatrywany, a będzie jeszcze gorzej obsługiwany przy wzroście liczby mieszkańców. Rada zarządziła gruntowne badanie całej tej sprawy, i wykazawszy popełniane nadużycia, udowodniła, że towarzystwa istniejące nie posiadają bynajmniej przywilejów, któreby można uważać za nienaruszalne. Ale na tem krytycznem osądzeniu ograniczyć się musiała. Nie ma ona prawa zmusić towarzystw dostarczających wody ani do zniżenia ceny, ani do odstąpienia miastu do bezpośredniego wyzyskiwania swej kanalizacyi, ani też nie posiada możności zmuszenia współzawodników do kapitulacyi, przedsiębiorąc sprowadzanie wody na własną rękę. Położenie Londynu jest pożałowania godne, a niewątpliwą zasługą nowo utworzonej rady jest to, że zaraz w ciągu swojej pierwszej kadencyi tę ważną sprawę wyświeśliła.

Niewiele inaczej stoi kwestya gazu. Trzy olbrzymie towarzystwa, pochłonawszy z kolei kilkanaście drobniejszych, narzuciły Londynowi faktycznie swój monopol. Kapitał 14,270,000 funtów, który przedstawiają, daje najuboższemu więcej niż 7% rocznego odsetku, a innym 13%. Akcyonaryusze otrzymują przeszło 1,000,000 funt. st. dochodu, za to Londyn płaci o pół miliona funtów więcej za gaz, aniżeli by to się działo, gdyby postąpił sobie tak samo, jak wiele miast prowincjonalnych, które wykupiły fabryki od towarzystw i same gaz dla siebie fabrykują. Kwestya, jasno postawiona, znalazła u wszystkich mieszkańców, jak łatwo zrozumieć, sympatyczne poparcie i wywołała żal, że parlament nie chce, a rada municypalna nie może tak ważnej kwestyi na korzyść wielomilionowej masy rozstrzygnąć.

W kwestyi tramwajów rada uczyniła kilka stanowczych kroków. Jedno wielkie towarzystwo i dziesięć pomniejszych wyzyskują 122 mil tramwajowych w Londynie, a podług urzędowego wykazu za rok 1889 przy kosztach 2,266,681 funt. st. dały towarzystwom czystego dochodu 713,543 funt. Akcyonaryusze otrzymują dywidendę 10%, ale sposób, w jaki towarzystwa gnębią swych oficyalistów, zrobiły je przedmiotem ogólnej nienawiści. Wiele miast prowincjonalnych, a między innemi Glasgow, wykupiły tramwaje od towarzystw i wyzyskują je same ku wielkiej korzyści mieszkańców. Rada londyńska, korzystając z tego, że artykuły statutu nadawczego pozwalają miastu wykupić niektóre linie w roku bieżącym, uchwaliła, że ze służącego sobie prawa skorzysta. Wprawdzie postanowienie to dotąd nie mogło być wprowadzone w czyn z rozmaitych postronnych powodów, ale niema najmniejszej wątpliwości, że kwestya niebawem w ten, a nie inny sposób rozstrzygnięta zostanie.

Jak się z tego dorywczego przeglądu pokazuje, rada londyńska zaraz w pierwszym okresie swego istnienia wzięła na seryo siebie samą i swoje zadanie. Działając zawsze w interesie masy ludowej, okazując na każdym kroku dążenie do ukrócenia przywilejów mniejszości oligarchicznej, postawiwszy nawet przez organ swej skrajnej lewicy zasady „municypalizowania” instytucyi, to jest wywłaszczenia na rzecz całego miasta, musiała ona znaleźć daleko więcej sympatyj u klas ubogich ani-

żeli u tych, którzy, słusznie czy niesłusznie, widzieli w jej dążeniach zamach na zdobyte i utrzymywane wytrwale stanowiska. City londyńska z całą swoją średniowieczną organizacją korporacyjną, ze swymi cudacko poprzebieranymi urzędnikami i hajdukami, ze swemi maskaradami, ze swemi strupieszalami, przeżytemi, a w miliony opływającymi gildyami i korporacjami, zesłała naturalnie w opinii większości mieszkańców do ujemnej roli, gdy się ją przeciwstawiało nowo utworzonej radzie. Tam były skarby Golkondy, a tu ubóstwo, tam zawarowane i tradycją uświęcone przywileje, tu prawa wątpliwe, niejasne, zaprzeczane, jeszcze nieustalone; ale mimo tego nie można było zaprzeczyć, że ów świat dawniejszy zniknąć będzie musiał i abdykować na rzecz nowo rodzącego się niemowlęcia. Gdyby City i rządzący nią potentaci nie byli tak zaślepieni własną wielkością, iż przez jej szklą prądu życiowego dostrzedz nie potrafili, to już dawniej, przed kilku laty, zamiast sprzeciwiać się rozwojowi swobód municypalnych londyńskich, byliby podali im pomocniczą rękę i zamiast zasklepiac się w swych wyłącznościach i dyplomach, byliby mogli szeroko i szcudrobliwie przypuścić do nich cały aglomerat londyński. Dzięki takiej taktyce byłoby się może udało City swoją organizację zachować i lord major byłby miał widok zostać merem pięciomilionowego Londynu. Ale obecnie o niczem podobnem marzyć już niepodobna. Władze City znikają, chociaż jeszcze dumnie przerzedzoną lwia grzywą potrząsają. Czasami rywalizować chcą z radą hrabstwa, czasami, lepiej natchnione, łączą się z jej działalnością, jak n. p. przy badaniu nad dostarczaniem wody na użytek miasta. Nie ulega wątpliwości, że przy pierwszej reformie obecnej organizacyi municypalnej, może nawet z okazji rad okręgowych, któremi przyszedł parlament się zająć, niejeden z przywilejów, jakie jeszcze City posiada, runie i niepowrotnie odjęty jej zostanie.

W przewidywaniu takiej przyszłości można się było spodziewać, że skoalizowane żywioły zachowawcze Londynu dołożą wszelkich starań, aby popularność rady londyńskiej podkopać. Istotnie nie zaniehdano niczego, aby tego celu dopiąć. Odwołując się do opinii stolicy, która przy wyborach parlamentarnych zawsze torysów do izby gmin wysyła, wszystkie

organy prasy tego stronnictwa, wszystkie mityngi i mowy wybitnych osobistości politycznych puściły wodze oskarżeniom zgryźliwym. Filipikom przeciwko radykalizmowi, socjalistycznym tendendyom rady municypalnej nie było końca. *Times* i cała ujadająca za nim zgraża reakcyjna nie zdawały sobie sprawy, że przez gwałtowność napaści nadają tej prześladowanej instytucji znaczenie i wagę, jakiej dotąd nie posiadała u ogółu mieszkańców stolicy. Wogóle życie municypalne londyńskie wskutek skomplikowanej jego organizacyi nie budziło istotnego zajęcia, a na dowód tego można przytoczyć, że wyjątkowo tylko znani i wytrawni mężowie polityczni brali w niem udział. Wywołało nawet pewne zdziwienie, gdy po utworzeniu rady hrabstwa tak wybitny mąż stanu, jak lord Rosebery, dawniej minister spraw zagranicznych w gabinecie Gladstone'a, organizator i dusza ligi federalnej, i sir John Lubbock zgodzili się kandydatury swe postawić i gorliwie w pracach municypalnych brać udział. Jeżeli oni zrozumieli od pierwszej chwili potęgę tej dźwigni dla postępowego dzieła, to publiczność przeciętna potrzebowała tej kociej muzyki, jaka się w przededniu nowej kampanii wyborczej rozpoczęła, aby zająć stanowisko jasne za lub przeciw ciału reprezentującemu interesa mieszkańców Londynu. Jeżeli Jericho upadło przy dźwięku trąb, to Teby przy nich się podniosły, a rada hrabstwa londyńskiego do tych drugich się zbliżyła. Widocznem się stało, że jej *vis vivida* się wzmogła, że drzemiący dotąd patryotyzm municypalny budzić się zaczął i że całe niższe warstwy społeczne, cała klasa robotnicza, prowadzona dotąd przy wyborach parlamentarnych na pasku przez *leader'*ów politycznych, będzie przy tej sposobności głosowała stosownie do swych bezpośrednich potrzeb. Postawienie wyborów municypalnych na platformie politycznej, bez czego łatwo można się było obyć, stało się przy takim stanie wojowniczym żywiołu zachowawczego koniecznością.

Walka wyborcza, poprzedzająca wybory, trwała prawie dwa miesiące, a temperatura ciała wyborczego stawiała się z dniem każdym gorętszą. Przeciwnicy rady znajdowali się jednak w nadzwyczaj niekorzystnem położeniu: programat ich był czysto ujemny, gdyż ograniczając się do oskarżenia tendencyjnego działalności rady w ciągu pierwszej kadencji trzechletniej, nie

byli w stanie ani żadnego znaleźć błędu kapitalnego, ani też ze swej strony nie postawili planu reform, któryby mógł masę na ich stronę przeciągnąć. Ilekroć wytykali brak doniosłych reform ze strony rady, otrzymali odpowiedź, że nie jej wola grzeszyła, lecz że ma ona ręce skrępowane przez nadawczą ustawę. Ilekroć oskarżano ją, że podniosła ratę podatkową, a żadnych ulepszeń nie wprowadziła, zarzut ten odparty został zwycięsko, bo wielkie ulepszenia zaprowadzone zostały bez żadnego widocznego podwyższenia podatków, a poprostu skutek większego ładu i wyrugowania nadużyć, których się dopuszczał dawniej istniejący wydział robót publicznych.

Przeciwko tak licznemu i pozbawionemu jasności programowi stronnictwa, nazywającego się umiarkowanym, jego przeciwnicy, postępowi, stanęli z szeroką listą reform. Jak czytelnicy wiedzą, jest dla nich miejsca aż nadto i nie można wiedzieć, od czego zacząć karczowanie. Główny nacisk położyli oni, rzecz naturalna, na kwestyę podatkową. Londyn posiada dług miejski, wynoszący obecnie 41,000,000 funt. szt., co wynosi na głowę każdego mieszkańca 9 funtów 3 szyl. i 8 pensów. Wprawdzie w porównaniu z Paryżem jest to suma mała, gdyż każdy Paryżanin jest obdłużony na 32 f. i 5 szyl., ale zato miasto wydatkuje tam na każdego mieszkańca więcej niż 5 f. szt. rocznie, kiedy w Londynie wydatki wynoszą tylko 2 funt. 7 szyl. i 9 pensów. Naturalnie, że przy budżecie miejskim, wynoszącym 3,234,000 funt. st., nie może być mowy ani o spłaceniu długu i o podejmowaniu żadnych rozległych robót publicznych, ani o wykupieniu monopolu wody, gazów, tramwajów, ani o oczyszczaniu łożyska Tamizy i ulepszeniu portu londyńskiego. Wielkie fundusze, których do tego potrzeba, znalazłyby się jednak z łatwością, gdyby podatki, pomijające aż do chwili obecnej właścicieli gruntowych, zostały rozłożone sprawiedliwie i odpowiednio do dzierżonej przez nich własności. Im większy nacisk kładli kandydaci postępowi na tę stronę kwestyi, tem dotkliwiej dotyczyli potentatów gruntowych londyńskich, którzy dopatrywali w tego rodzaju propozycjach zamach socjalistyczny. A przecież kwestya sama w sobie jest tak jasna, że bez żadnych sofizmatów tendencyjnych każdy umysł bezstronny musi przyznać konieczność nagłą reformy radykalnej.

Nie potrzeba zapewne rozводить się nad tą oklepanką ekonomiczną, że wartość, a zatem i cena gruntów, na których zbudowane jest miasto, wzrasta z samym biegiem czasu, i że im więcej wydatków czynionych jest na ulepszenia miejskie, na ulice, place, ogrody, mosty, kanalizację i t. d., tem bardziej się ona i tem szybciej podnosi. Wartość gruntu, na którym stoi Londyn, wzmacnia się ciągle i zbogaca jego właścicieli bardziej, aniżeli innych mieszkańców, nie będących właścicielami gruntowymi. Logicznem następstwem tego stanu rzeczy powinoby tedy być większe opodatkowanie, a raczej specyalne miejskich landlordów. Tymczasem dzieją się rzeczy wręcz przeciwnie i cyfry statystyczne, do tego przedmiotu się odnoszące, są przestraszające. Naprzód jest wiadomem, że roczne oszacowanie gruntu londyńskiego wyraża się w sumie 16,728,000 funt. szt. Cena pojedynczych gruntów jest naturalnie rozmaita, stosownie do położenia, mniej lub więcej korzystnego. Są grunta, położone w City, gdzie akr ten sam, który na prowincyi kosztowałby rocznie od 2—3 funt., daje dochód od 65 do 87,000 funt. szt. Gdyby domy londyńskie były własnościami prywatnemi, podniesienie z nich podatków stosownie do ich wartości nie przedstawiałoby naturalnie żadnej trudności i nie dawało miejsca żadnemu przywilejowi. Ale, jak wiadomo, takich prywatnych własności, *freehold*ów, jest dotąd nadzwyczaj mało, a prawie wszystkie grunta wogóle są wydzierżawione emfiteutycznie na lat 99 albo 80 co najmniej, z warunkiem, że lokator płaci wszystkie podatki od domów i gmachów, które albo się na tym gruncie już znajdowały, albo które sam wznosi; a że płaci właścicielowi przez cały czas emfiteuzy pewną stałą sumę, bez żadnego uwzględnienia ciężarów i podatków miejskich, właściciel tedy nie tylko korzysta z ciągłego wzrostu wartości gruntu, który powraca doń po upływie każdego kontraktu dzierżawnego ulepszony, ozdobiony gmachami, tak, że przy nowem wydzierżawieniu cena podnosi się nieraz od 10 do 35%, a często nawet więcej—jak się to zdarzyło przed trzema laty z gruntami, należącymi do księcia Bedfordu, — ale otrzymuje rok w rok swój czynsz dzierżawny, bez strącenia zeń jednego pensa na podatki miejskie. Korzyści właściciela nie ograniczają się jednak nawet do tej rocznej raty, którą pobiera, gdyż nie trzeba zapominać, że oprócz niej otrzymuje przy zawieraniu kontraktu z góry

i jednorazowo pewną znaczną sumę, jako *praemium*, a suma ta, która przy wydzierżawieniu wielkich dzielnic miejskich wynosi nieraz sta tysięcy, daje właścicielowi olbrzymi dochód, który, lubo otrzymany z gruntu, żadnym podatkiem i ciężarom nie podlega.

Łatwo zrozumieć, że gdy taki stan rzeczy został wyluszczoney i takie niezbite fakty, przedstawiane wyborcom we wszystkich formach i z cyframi oraz nazwiskami uprzywilejowanych magnatów, pущzone zostały w obieg, łatwo zrozumieć, powiadamy, że się agitacya wzmogła. Wielcy właściciele, pod przywództwem najbogatszego z milionerów brytańskich, księcia Westminsteru, oraz innego magnata—księcia Norfolkku, zawiązali wprawdzie komitet ku obronie swych praw, które, gdyby się miało dać im wiarę, nie tylko są zagrożone, ale nawet już faktycznie pokrzywdzone,—lecz ich protestacya, jak wyobrazić sobie można, nie przekonała bynajmniej stronnictwa postępowego. Zapisało ono na swej chorągwi reformę systemu podatkowego, opartą na zasadzie, że odrębne podatki płacone będą od budowli, a odrębne od gruntu, zabudowanego lub swobodnego, a każde odpowiednio ich szacunkowej wartości.

Już sama jedna taka reforma miałaby dla mieszkańców Londynu wogóle olbrzymie znaczenie, a dostarczając skarbowi miejskiemu milionów rocznego dochodu, uczyniłaby tak wielką ilość ulepszeń możliwą, że trudno się dziwić, iż rozplomieniła wyobraźnię. Wprawdzie pomiędzy sformulowaniem programu a wprowadzeniem go w czyn drogą prawodawczą, szczególnie gdy idzie o skruszenie oligarchicznej potęgi magnatów, jest ogromny przedział, ale nie ulega z drugiej strony wątpliwości, że reformy społeczne idą obecnie przyśpieszonym krokiem i że klasy uprzywilejowane nie ośmielają się już uragać energicznie wyrażonej opinii masy. Wystarczyło zresztą postawić jasno ten punkt na programie wyborczym do rady londyńskiej: sumienie publiczne otrzymało zadośćuczynienie pierwsze.

Jak powiedzieliśmy wyżej, kandydaci postępowi występowali także przeciwko monopolom, udręczającym Londyn, i podnosili, każdy w swym okręgu wyborczym, bądź będące na porządku dziennym kwestye miejscowe, bądź przedmioty, leżące na sercu wszystkim obywatelom, jak organizacya policyi, ule-

pszenia straży ogniowej, zakładanie bibliotek i czytelni publicznych, publicznych łazienek, pralni, ogrodów i t. d. Gdy im zarzucano, że zdążają do wytworzenia „komuny,” odpowiadali, że, nie przesądając bynajmniej przyszłości, na dzień jutrzejszy świeci im poprostu ideał *free city in a free country* — wolnego miasta wśród wolnego kraju.

Gdy wybiła godzina wyborów, w d. 5 marca 1892 r., stanęło do urn z biuletynami wyborczymi 249,278 obywateli miejskich, do głosowania uprawnionych. Cyfra ta jest o 50,312 głosów wyższa od tej, jaka zebrana została przy pierwszych wyborach przed trzema laty. Ale byłaby mogła być znacznie większa, gdyby wielu wyborców nie było się od spełnienia tego obowiązku municypalnego wstrzymało. 175,000 głosów oświadczyło się za umiarkowanymi, a 250,000 za postępowymi kandydatami. Zamiast 69 postępowych, a 49 zachowawców, jak to miało miejsce w dawniejszej radzie, jest obecnie 83 pierwszych, a tylko 35 drugich. Dodając 19 aldermanów liberalnych, których większość wybrała, nowa rada municypalna Londynu rozporządza większością 103 przeciwko 35 głosom mniejszości.

Nie jest to tedy pospolite zwycięstwo, ale istotny tryumf — i całe stronnictwo liberalne przyjęło go za taki. Letargiczny sen Londynu widocznie uległ przerwie; jasny programat przyszłego rozwoju nakreślony i przyjęty został; dawni zasłużeni działacze — jak między innymi lord Rosebery, chociaż kandydatury swej nie postawił — ponownie wybrani zostali; duch postępu i dążenie do zaspokojenia interesów powszechnych a poskromienia indywidualnych przywilejów będą kierowały obradami nowej rady. Byt jej, nie dawno jeszcze wąty i chwiejny, ustalił się — i niema wątpienia, że przyszłe parlamenty atrybucye tego municypalnego ciała ściślej określą i rozszerzą. Chociaż na skrajnem skrzydle wybranych zasiada słynny agitator demagogiczny John Burns z grupującymi się około niego siedmiu socyalistami; chociaż wielu przywódców radykalnego stronnictwa — a między innymi Sidney Webb, autor książki „London Programme,” która stała się głównią, rozpalającą agitacyę wyborczą — znajdują się na ławach rady; — nie można się obawiać, ażeby dopuścili się jakichkolwiek wybryków awanturniczych. Znajdą się oni pod kierunkiem wytrawnych i doświadczonych wodzów stronnictwa

liberalnego—jak sir John Lubbock, sir Th. Farrer,—lorda Hobhouse, lorda Monkswell, lorda Carringtona, a przede wszystkim wybranego natychmiast na prezesa, lorda Rosebery. Ta poważna cyfra arystokratycznych przedstawicieli wpośród przedstawicieli daleko naprzód posuniętego liberalizmu nie jest wprawdzie nowością w Anglii, ale uspokoić może przynajmniej trwożliwych, że o komunie w rewolucyjnym i zbrodniczym słowa tego znaczeniu mowy nie będzie.

Cokolwiek rada londyńska przedsięwzięcie w przyszłości, zawsze znajdzie zwróconą ku sobie sympatyczną uwagę masy narodowej, która rozumiała, że z jej łona wyjdzie siła nowa, co zdepcze wiele potwornych pozostałości epok dawniejszych, przechowanych jakby na urągowisko ideom i zasadom całkiem odmiennym. Czy rada uorganizuje się w kilka komitetów, mających na swem czele dyrektorów, działających w charakterze ministrów, odpowiedzialnych każdy w swym wydziale—jest to życzenie lorda Rosebery,—czy też pozostanie i nadal wielkiem ciałem, obradującym bez żadnej władzy wykonawczej,—niedaleka przyszłość pokaże. Ale niema już wątpliwości, iż życie municypalne stolicy rozpocznie się obecnie na dobre, że się stanie rzeczywistością i że cały szereg reform postępowych będzie tej nowej ery wyrazem.

John Mill, w dziele *Considerations on Representative Government*, do którego zawsze się powraca, jak do niewyczerpanej prawd politycznych kopalni, powiada słusznie, że ponad ustawą pisaną i jej artykułami wznoszą się domniemane jej maksymy i że w nich to złożona jest polityczna moralność narodu, a także wskazówka, jak uniknąć starcia między władzami. Tamże wskazuje on, że interesa wspólne narodu albo municypalności powinny być roztrząsane w jednym ciele, nie zaś rozdrobione w niezależnych jeden od drugiego organizmach. Trafność spostrzeżeń głębokiego myśliciela raz jeszcze ujawniła się w obrocie, jaki sprawa samorządu Londynu wzięła. Litera ustawy była ułomna i koślawą, ale ponieważ jądro było w niej zdrowe, więc się niebawem poza narzucone sobie szranki wzniosła i nakreśliła sobie arenę szeroką, na której prawo postara się postawić nowe słupy graniczne. Z chaotycznej ilości ciał wyborczych i instytucyi, w których rozdrabia się życie muni-

cypalne potężnego grodu, przewidzieć już można, że upadnie niejedna, a spadkobierczynią jej nie kto inny będzie, jak rada hrabstwa londyńskiego. Buckle w „Historii cywilizacyi w Anglii” już przewidział, że gdy demokracja zatryumfuje, znajdzie ona tam mniej zapór konstytucyjnych, aniżeli w innych krajach. Sprawa samorządu municypalnego udowadnia słuszność tego spostrzeżenia.

UNIWERSYTET LONDYŃSKI.



Londyn—największy gród nowoczesnego świata, stolica wszechmocarstwa, kroczącego na czele całej anglo-saskiej rasy, ognisko cywilizacji, uświęconej starodawną tradycją, dumnej ze światła, jakie na ludzkość rozlała przez swe oryginalne geniusze i przez nieprzerwaną umysłową pracę pokoleń jednych po drugich, — ów blisko pięciomilionowy Londyn nie posiada w ścisłem znaczeniu uniwersytetu. Nawet w kraju, gdzie na każdym kroku napotyka się anomalie i gdzie organizmowi społecznemu brakuje systematyczności i logiki, fakt taki ma prawo zadziwiać.

Nikt zapewne nie będzie szukał przyczyny tego stanu rzeczy w lekceważeniu uniwersytetów, bo wystarczy przypomnieć, że Anglia założyła już w początkach XIII-go stulecia (jeżeli nie wcześniej, za Alfreda W-go i za Edwarda Wyznawcy), swe słynne wszechnice w Oxfordzie i w Cambridge, że trzy szkoły datują z XV-go, a dubliński z XVI-go stulecia. Daleko właściwiej będzie przypisać to upośledzenie stolicy brakowi centralizacji państwowej i silnie rozwiniętemu życiu prowincjonalnemu, które u siebie, w bezpośredniej bliskości, najwyższe zakłady naukowe fundowało, oraz arystokratyczno-kościelnemu ustrojowi społeczeństwa: nie troszczyło się ono o handlarzy

i rzemieślników londyńskich, dla których gildye i korporacye mogły zakładać specjalne szkoły techniczne, ale którzy nie potrzebowali bynajmniej zagłębiać się naprzód w tajniki teologii i scholastyki, a następnie, po tryumfie odrodzenia klasycznego, uprawiać grecko-rzymskiej literatury.

Ale Londyn nawet nie był tak całkowicie zaniedbany pod względem wyższych zakładów naukowych, jak to się powszechnie przypuszcza. Nie trzeba zapominać, że oprócz różnych kolegiów, jak teologicznego przy katedrze westminsterskiej i Ś-go Pawła, prawnego w Inns of Court i Chancery i t. d., którym to kolegiom brakowało przedewszystkiem wspólnej, jednolitej organizacyi, ażeby się zamienić na uniwersytet, jak to miało miejsce z 17-ma kolegiami w Cambridge i 20-ma w Oxfordzie, nie trzeba zapominać, powiadamy, że w 1548 r. sir Tomasz Gresham ufundował siedem katedr, a mianowicie teologii, muzyki, astronomii, geometryi, prawa, fizyki i retoryki, że przeznaczył dom swój na Bishopsgate na mieszkanie dla profesorów i na kolegium dla wykładów. Był to zaród uniwersytetu—i gdyby był został materyalnie podtrzymywany przez ludzi, mających fortunę i znaczenie społeczne, byłby niezawodnie wzniósł się, rozwinął i został centralnem ogniskiem umysłowem stolicy. Ale grunt jej nie sprzyjał tego rodzaju instytucyi i mizerny wlokła żywot. Mimo tego, dwa uniwersytety wielkie i już uorganizowane, rozsiadłe, patrzyły z niepokojem i zazdrością na tego ewentualnego współzawodnika. Istniało kolegium sir Tomasza Gresham zaledwie od lat kilku, gdy rektor uniwersytetu w Cambridge pisał w często cytowanym liście do lady Burghley w 1575 r. słowa następujące: „Niechaj Londyn używa swych własnych korzyści, swego portu, swego rynku o mnóstwie towarów, swych słynnych trybunałów, pałacu monarchy, ciągłego napływu arystokracji,—ale niechaj nam zostawi nasz skarb własny—muzy, literaturę, wiedzę. Kto chce je przenieść do Londynu, grozi natychmiastową ruiną obu uniwersytetom.” Były to słowa charakterystyczne, i można powiedzieć, że mniej lub więcej wyraźnie były wygłaszane w tym samym duchu w ciągu trzech następnych wieków, a nawet w chwili obecnej, gdy kwestya uniwersytetu londyńskiego stanęła przed społeczeństwem

angielskiem i oczekuje decyzji parlamentu, jeszcze dochodzą nas spóźnione echa tej samej opinii.

Dopóki ustrój państwowy angielski opierał się wyłącznie na przywileju, nie było do przypuszczenia, ażeby jeden z dwóch uprzywilejowanych czynników, jeden lub drugi z filarów, na których się cały gmach publiczny opierał, kościół urzędowy, anglikański i oligarchia terytoryalnej arystokracji, chciał, przez utworzenie uniwersytetu londyńskiego, własne stanowisko swe podkopać. Dozwalając wejścia do Oxfordu i Cambridge jedynie wyznawcom religii państwowej, stawiał się kościół na wyżynie i spychał wszystkie sekty dysydentów do rzędu pogardliwych płażów; a im większy splendor otaczał akademicką młodzież, wychowującą się na tych wszechnicach, im kosztowniejszy był tam pobyt i wstęp trudniejszy, tem większą dawało to rękojmię arystokratom, iż potrafią pomiędzy swą kastą a ozuchwaloną i domagającą się coraz szerszych praw rzeszą plebejuszów postawić zaporę wyższego wychowania i nauki. Trzeba było czekać naszego stulecia i tego potężnego prądu reformatorskiego, który je w pierwszej zaraz ćwierci nacechował, trzeba było, że się tem trafnem wyrażeniem posłużymy, owej gorączki demokratycznego romantyzmu, aby i na tym punkcie nową rozpocząć erę. Ale w Anglii nie rozcinają węzłów, lecz rozplątują je cierpliwie. Zaimprovizowano wprawdzie w 1827 roku instytucję, która, chociaż ochrzczoną została nazwą uniwersytetu, nic oprócz nazwy nie miała z nim wspólnego, lecz dopiero teraz, po upływie blisko lat siedemdziesięciu, zabierają się do utworzenia istotnego uniwersytetu w Londynie. Przypuściwszy nawet, że sprawa ta pójdzie pośpiesznie, krystalizację jej w ostatecznej formie można chyba przewidywać dopiero w końcu naszego albo początku przyszłego stulecia. Lecz mniejsza już teraz o nieznaczną zwłokę. Główną jest rzeczą, że sprawa ta weszła już na ubity gościniec, i że mając po swej stronie opinię publiczną, złamała opór, jaki jej dotychczas, bądź siłą bezwładności, bądź energiczną opozycją egoistycznych interesów, stawiały żywioły uprzywilejowane. Ostatnie fazy tej agitacji zdają się nam dość ciekawe, abyśmy nie czuli ochoty przedstawić ich czytelnikom w całościowym zarysie.

Dla należytego zrozumienia obecnego ruchu, wypada powrócić do owej epoki 1827 r., od której się historia uniwersytetu londyńskiego poczyną. Jeżeli nie przewodnią, to najruchliwszą osobistością wpośród stronnictwa whigów był wówczas Henryk Brougham, w kilka lat później mianowany członkiem izby lordów i kanclerzem pieczęci. Obecnie, gdy spokojna krytyka rozejrzawszy się w życiu jego, potrafiła z pośród lawy i popielisk kilka szczerzotłych zaledwie bryłek ocalić, jesteśmy zdumieni rolą, jaką tak długo odgrywał, choć nie zapominamy ani jego wymowy, ani niestrudzonej pracowitości, ani wielostronnych talentów, ani szlachetnego zapалу dla humanitarnych, postępowych idei, jak n. p. zniesienia niewolnictwa, reformy sądownictwa, szerzenia oświaty. Mimo to, jego arogancja i brak sumienności, szarlataneria i płytkość nie pozwoliły nigdy postawić go na naczelnem miejscu pomiędzy mężami stanu swego kraju. Ale olbrzymia popularność, jakiej używał, czyniła go nieocenionym sprzymierzeńcem dla każdej sprawy, torującej sobie wówczas drogę wśród opinii. Gdy przedsięwziął agitację za rozszerzeniem oświaty, pokazał tam tę niestrudzoną energię, która do szybkich rezultatów doprowadza. Razem z d-r-em Birbeck'iem fundował zakłady naukowe, towarzystwa, a broszury jego, jak n. p. *„Observations on the Education of the People,”* w jednym 1825 roku doczekały się dwudziestu wydań. Do Henryka Brougham, jako przywódcy ruchu za oświatą, skierował też poeta Tomasz Campbell list otwarty, w którym wykazawszy brak wyższych naukowych zakładów w Londynie, przedstawił konieczność założenia uniwersytetu, „któryby wykładał wszechstronną wiedzę, egzaminował, wydawał dyplomy, naukowe stopnie i odznaczenia honorowe, a jednocześnie posiadał zaletę taniości i rodzinnego życia.” Odwołanie się popularnego poety do rzutkiego polityka nie pozostało bezskutecznem i on tem gorliwiej wziął się do dzieła propagandy, że uważał się za inicjatora całego przedsięwzięcia. W tym samym roku utworzył już komitet, w którym znajdujemy obok magnatów—jak księcia Norfolku, lorda Dudley, markiza Lansdowne, polityków—jak lorda Johna Russell, lorda Abercombe, p. Auckland, uczonych i filantropów—jak d-r Birbeck, J. Hume, G. Gregory,—Z. Macauley'a, Weymouth'a i наконец finansowe potęgi—jak

sir Izaaka Goldsmith'a, Aleks. Baringa, Johna Smith'a i Benj. Shaw. Komitet ten odwołał się do liberalnej partii i niebawem zebrał sumę 160,000 f. ster., gdyż nikomu wówczas i na myśl nie przychodziło odwoływać się do państwa i żądać interwencji rządowej. Stronnictwo liberalne, uchwalivszy założyć wszechnicę, któraby opierając się na zasadach postępowych, nie potrzebowała się potykać na każdym kroku, jak to miało miejsce w Oxfordzie i Cambridge, o uprzedzenia religijne i klasowe, wiedziało dobrze, że trzeba znaleźć dla niej materyalną podstawę. Sir Izaak Goldsmith dokazał cudów w tej sprawie i on to, na własne ryzyko, zakupił przestronne gmachy na Gower Street, w sąsiedztwie British Museum, dla uniwersytetu, który dopiero wylęgał się w głowie pełnych zapału orędowników. Wkrótce jednak zamiar się urzeczywistnił i w 1827 r. książę Sussex, syn Jerzego III, położył kamień węgielny uniwersytetu londyńskiego. Był to tytuł samowłańczy, gdyż do zabezpieczenia prawnego jego istnienia, choćby prostego kolegium, a tem więcej uniwersytetu, potrzeba było dyplomów nadawczych od korony, tak zwanej „*Charter of incorporation*,” a takich dyplomów całkowitych nie otrzymała dotąd jeszcze instytucja; częściowe zaś, połowiczne, wytargowane, wydarte były znacznie później dopiero. W średnich wiekach, gdy kolegia, t. j. stowarzyszenia pomiędzy profesorami a studentami, fundowane były przez potentatów kościelnych i świeckich, w celu trzymania wyborowej młodzieży zdala od wpływów postronnych, ci jej dobrodzieje zaczęli zawsze od zabezpieczenia im prawnego stanowiska, otrzymania dla nich nienaruszalnych przywilejów. Można było potem bezpiecznie przekazywać im zapisy. I tak się stało, że kolegia w Oxfordzie i Cambridge posiadają, podług wykazu, sporządzonego w 1874 r., dochodu jedynie z ziemskiej swej własności, bez uwzględnienia wszelkiej innej, 307,369 i 264,256 funtów szterlingów. Ale oprócz majątku, potęgą tych kolegiów polegała na luminarzach nauki i społecznego wpływu, którzy stali u ich steru jako *masters*, na szerokim zastępie uczonego areopagu, złożonego z *fellows*. Każde kolegium wybierało też sobie pomiędzy najznakomitszymi potentatami opiekuna, kolatora, który nosił nazwę *visitora* i nie tylko przestrzegał dochowania obowiązujących statutów, ale jednocześnie coraz nowe przy-

wileje dla niego wyjednywał. Nakoniec potężny duch kościoła oskrzydlał te kolegia i kładł na nich piętno swej niezmiennej tradycji.

Potrzeba było istotnego zuchwalstwa, ażeby, nie posiadając żadnego z tych czynników, lecz owszem mając je przeciwko sobie uszeregowane, porwać się na założenie uniwersytetu. A podług pierwotnego planu miał on posiadać 32 katedry wykładowe, obejmujące filologię, matematykę, fizykę, prawo, historię, ekonomię polityczną i medycynę w rozmaitych ich działach i gałęziach, a profesorowie mieli nie tylko wykładać, ale egzaminować i wydawać dyplomy i przyznawać stopnie uczone. Nie mogło być mowy o takim księżęcim uposażeniu dla nich, jak to ma miejsce w kolegiach obu uniwersytetów prowincjonalnych, i jedynym ich dochodem były opłaty, wnoszone przez studentów, a część ich szła jeszcze na różne wydatki administracyjne. Jedynie poczucie obowiązku skłoniło ludzi, jak Sharpey, Graham, Malden i t. d., do ofiarowania tej słabej instytucji powagi swych imion i korzyści swych wykładów. W pierwszym roku, 1828, liczba studentów wynosiła 557.

Ten brak wystarczającej podstawy materialnej dla rozwoju i trwałości nowo-założonej instytucji przyczynił się bez wątpienia wiele do zwłoki ze strony rządu z nadaniem jej bytu prawnego; ale główny, istotny powód niechęci, z jaką nań patrzano, był religijny. Zdawało się rodzajem herezy organizować zakład naukowy takiego zakresu poza sferą kościoła państwowego, nie ubiegać się o jego sankcję, nie żądać jego współdziałania, i nie tylko przez wykluczenie fakultetu teologicznego, ale przez stanowcze postawienie wszystkich wykładów na gruncie świeckim, ów „Uniwersytet londyński” stał się solą w oczach całego stronnictwa zachowawczego. Wspierać go pieniężnie lub moralnie, uczęszczać do niego, ubiegać się o jego stopnie naukowe, stało się od razu jednoznaczniakiem z jednej strony radykalizmu, a z drugiej zaszczepiania na gruncie narodowym instytucji obcokrajowych, a zatem źle przez ogół widzianych. Lecz Anglicy są zbyt praktyczni, ażeby poprzestawać na gołosłownej krytyce, i umieją teorie w czynach urzeczywistniać. Stronnictwo kościelno-zachowawcze nie chciało zostawić Londynu w ręku ludzi „nowych” i natychmiast, bez żadnej mi-

tręgi czasu, wzięło się do przeciwstawienia ich kaplicy — swojej własnej. Nie dalej, jak w rok po założeniu uniwersytetu londyńskiego, bo w r. 1829-ym, utworzono *King's College*, które otwarte zostało uroczyscie w 1831 roku. Wzniosło się ono w skrzydle zachodnim rządowego pałacu, Somerset house, na ulicy Strand i rozciągało się do wybrzeża Tamizy. Głównym przedmiotem wykładu była teologia, a celem przygotowywanie pastorów dla kościoła urzędowego. Arcybiskup kanterburyjski, najwyższy dygnitarz jego, był *Visitor*-em kolegium królewskiego i wszyscy jego dożywotni dyrektorowie, cały senat akademicki składał się z jawnych i wpływowych filarów tego obozu. Nie poprzestano też na wydziale teologicznym, ale uorganizowano obok niego wydziały literatury, nauk ścisłych, inżynierii, medycyny, sztuk wyzwolonych, i wprowadzono rozmaite innowacje, jak osobny wydział dla kobiet, popularne odczyty wieczorne, kursa techniczne i t. d. Nie potrzebując troszczyć się o materyalne środki, których było w bród, pozyskawszy sobie patronat królowej, opłacając hojnie profesorów, otwierając dla studentów mieszkania, jak to jest w uniwersytetach tradycyjnych, od razu stało się kolegium to potężnym współzawodnikiem początkującego uniwersytetu stolicy. Można by powiedzieć, że Londyn, który dwa lata wprzód całkiem uniwersytetu nie posiadał, miał ich dwa na raz. Ale nie trzeba przywiązywać do tego urzędowego tytułu znaczenia, jakie mu się nadaje na lądzie stałym, powtarzamy. Były to jedynie dwa kolegia, dwa ogniska wyższej oświaty, których fundacyi i rozwoju Londyn mógł sobie winszować.

Ale, gdy *University of London* kołatał bezskutecznie o otrzymanie dyplomów nadawczych, *King's College* otrzymało je natychmiast w 1829-ym roku, jako „kolegium, w którym kościół anglikański wykłada doktryny i obowiązki chrześcijaństwa i łączy do nich inne użyteczne gałęzie wiedzy.” Pięciu lat trzeba było, ażeby nakoniec i liberalne kolegium pozyskało byt legalny. W roku 1835-ym książę Somerset, w imieniu gabinetu lorda Melbourne, zaproponował uniwersytetowi londyńskiemu układ, mocą którego miał się on zrzec wszelkich pretensyi do stanowiska i dostojenstwa uniwersytetu, a zamienić się w kolegium, noszące nazwę *University College*, w którym wszelkimi

wykładami i całą organizacją wewnętrzną mogłoby rozporządzać podług swego własnego uznania. Lecz jednocześnie rząd nadawał prawną egzystencję uniwersytetowi londyńskiemu, jako instytucji niezależnej, naczelnej, unoszącej się zarówno ponad *University*, jak ponad *King's College* i ponad różnymi, oddzielnie istniejącymi, wyższymi zakładami naukowymi. Uniwersytet londyński nie miał mieć wykładów, lecz być jedynie komitetem egzaminacyjnym, ciałem uczonem, rozdającym stopnie naukowe i dyplomy bakalarzów i magistrów sztuk, literatury i medycyny. Propozycja ta przyjęta została nie z ochoty, ale z konieczności przez radę dotychczasowego uniwersytetu londyńskiego, zdegradowanego po ośmioletniem istnieniu do stanowiska kolegium, i król Wilhelm IV-ty w dniu 28 listopada 1836 r. podpisał dwa dyplomy: jeden stwierdzający istnienie legalne kolegium uniwersyteckiego, drugi organizujący uniwersytet londyński bez studentów, bez profesorów, mający jako zadanie czuwać zarówno nad anglikańsko-zachowawczą, jak dysydencko-postępową wiedzą, i nadawać przez swe patenta i stopnie zgłaszającym się przed jej trybunał kandydatom godności naukowe takiej samej wartości, jak te, które dotychczas były w wyłącznem posiadaniu Oxfordu i Cambridge, otwierające drogę do zawodów publicznych i służby państwowej.

Jeżeli się bezstronnie nad sprawą tą zastanowić, to można przeboleć stratę bezpośrednią, osobistą, którą poniosło kolegium uniwersyteckie, a wziąć na uwagę niezawodną korzyść, jaką otrzymał cały naród. Od owego dyplomu nadawczego 1836 r. Anglia posiada trzecie ognisko naukowe, trzecie ciało ukonstituowane, które dzięki swemu początkowi, dzięki przewodniczącemu mu nastrojowi, zerwać mogło raz na zawsze ze scholastycznymi pozostałościami i z wszelką zależnością od kościoła państwowego i wszystkich wogóle kościołów i sekt. Wyższa oświata została wyemancypowana wtedy i każda nowa jej zdobycz znaczyć będzie utratę stanowiska, uprzednio przez jej poprzedników i przeciwników zajmowanego. Nawet na wewnętrznej organizacji dwóch starodawnych wszechnic, gdzie poziom oświaty niższy był w ciągu XVIII-go wieku w istotnie nieprawdopodobny sposób i gdzie nawet w pierwszej połowie naszego zauważyć było można skandaliczne wyzyskiwanie mate-

ryalnego dobrobytu, bez najmniejszej troski o nabycie wiedzy i o jej postępy, ten nowy uniwersytet, powstający do życia na innych całkiem zasadach, był przestrogą, wskazówką i zachętą do czujności i energii. Trzebaby tam jeszcze siekierą wycinać poręby, ale światło i powietrze ma już przystęp otwarty.

Po wstąpieniu na tron obecnie panującej monarchini, dyplom nadawczy 1836 r., ustanawiający uniwersytet londyński, jako najwyższe ciało egzaminacyjne i udzielające naukowe stopnie, został uroczyście odnowiony i z biegiem lat rozmaite inne dodatkowe przyszły wesprzeć go i odpowiednim uczynić wymaganiom praktycznym. Nie widzimy potrzeby wymieniać ich tutaj wszystkich. Wystarczy wspomnieć o regulaminie 1850 r., który wyliczył wszystkie kolegia naukowe, rozproszone po kraju i w niektórych koloniach: studenci ich otrzymali prawo stawać do egzaminu przed uniwersytetem londyńskim i ubiegać się o jego stopnie naukowe. W roku 1854-ym wielu z tych, którzy je otrzymali, zażądali takich samych praw i przywilejów, jakie w łonie swoich kolegów posiadają zwykli studenci, zażądali prawnego uznania ich nieprzerwanego związku z uniwersytetem i możliwości współdziałania w jego rozwoju. Zadanie to zostało spełnione w 1858 roku, gdy utworzono ogólne zgromadzenie bakałarzy i magistrów, noszące nazwę *Convocation*. Można ciało to uważać za rodzaj izby gmin uniwersytetu: obraduje ono nad ogólnymi sprawami, proponuje reformy wewnętrzne i utrzymuje pomiędzy uniwersytetem a społeczeństwem prąd żywotny. Za izbę wyższą można natomiast uważać senat, złożony z kanclerza i wicekanclerza i z 36 członków dożywotnich, t. zw. *fellows*. Dzięki agitacyi, prowadzonej przez konwokacyę, uniwersytet londyński otrzymał w 1867 roku przywilej wysyłania swego delegata jako posła do izby gmin. Od pierwszej chwili aż do obecnej był nim sir John Lubbock, którego sławy jako uczonego nie potrzebujemy uwydatniać. W uniwersytecie londyńskim, zarówno w charakterze członka komitetu egzaminacyjnego, jak też w charakterze senatora, jest on jednym z najgorliwszych i najszybciej działających orędowników instytucyi. W tymże 1867 r. uniwersytet londyński upoważniony został do przypuszczenia kobiet do egzaminów i do udzielania im świadectw; w dziesięć lat później zostały one równouprawnione z mężczyznami. Na

tem polu, jak na kilku innych, uniwersytet londyński wziął inicyatywę postępowych reform.

Od czasu, jak zniesione zostały rozmaite ograniczenia co do kategorii kandydatów przystępujących do egzaminów, liczba ich wzrosła, świadcząc, że pod tym przynajmniej względem instytucja ta celowi swemu odpowiada. Pomiędzy 1858-ym a 1885-ym rokiem ilość kandydatów do matrykulacji podniosła się z 299 do 1,900, a bakałarzy sztuk z 72 do 339, bakałarzy nauk 145, magistrów 17. Ale nie tylko co do ilości, lecz i co do jakości poziom wzrósł, znacznie. Było rzeczą powszechnie znaną, że egzamina w Cambrigde, a szczególnie w Oxfordzie, zeszyły do czystej formalności, że gospodarował fawor i zagnieżdżyły się skandaliczne nadużycia. Uniwersytet londyński, nie potrzebujący się krępować żadnymi osobistymi względami, zrozumiał od razu, że wypada mu nie tylko odznaczać się sumiennością i bezstronnością, ale że trzeba postawić kandydatom wymagania surowe, tak, ażeby matrykulacyjny dyplom i stopnie naukowe były istotnem stwierdzeniem przeciętnego przynajmniej naukowego wykształcenia. Surowość ta odstraszyła zapewne źle przygotowanych kandydatów, ale zapewniła przynajmniej dyplomom uniwersytetu londyńskiego zasłużoną reputację naukowej powagi. Często nawet kolegia, których wychowañcy ubiegali się o takowe i odrzuceni zostali, protestowały przeciw tym wygórowanym wymaganiom ciała egzaminującego. Najgoręcej protestowało kolegium chirurgów i lekarzy. Dyplom uniwersytetu londyńskiego, jako najwyżej ceniony, zwabiał największą liczbę studentów medycyny do stolicy, gdzie także w klinikach i szpitalach znajdowali szerokie środki pomocnicze w technicznem kształceniu się. Ale gdy kilkoletnie doświadczenie stwierdziło, że komitet egzaminacyjny londyński odrzucał niemiłosiernie wszystkich niedostatecznie przygotowanych, studenci medycyny zaczęli ryczałtem omijać kolegium i przesiedlali się do innych krajowych, a mianowicie szkockich uniwersytetów, gdzie o dyplom doktorski nie było trudno. Profesorowie londyńscy uskarżali się głośno na czynioną im szkodę i nie omieszkali przy tej egoistycznej skardze uczynić tej nader słusznej uwagi, że komitet egzaminacyjny, do którego składu nie wchodzi sami wykładający, który nie ma doświadczenia i praktyki nauczania, nie ma prawa rościć pretensyi do

nieomyślności, że drakońska surowość nie przystoi tym, którzy sami dla siebie ukuli normę przeciętną, stanowiącą o dostatecznym lub niedostatecznym wykształceniu kandydatów. Podali na koniec ciż profesorowie petycję do korony o udzielenie im oddzielnego nadawczego dyplomu, któryby uczynił fakultet medyczny organizmem niezależnym od uniwersytetu londyńskiego. Królewska komisya, która w 1889 r. ustanowiona była dla zbadania reform w zakresie oświaty, odrzuciła jednakowoż propozycję fakultetu medycznego i ograniczyła się do wyznaczenia mu udziału w komitecie egzaminacyjnym. Prawdopodobnie jątrzące to nieporozumienie zatrze się, a uniwersytet londyński zachowa w przyszłości swój monopol patentów i dyplomów.

Nie można wątpić, rozpatrzywszy się w działalności tego ciała naukowego, że w wyznaczonej sobie sferze działania zrobiło co mogło i że z zadania swego wywiązało się dobrze. Ale jeżeli od 1836 r., w którym założony został, to jest w przeciągu pięćdziesięciu sześciu lat, uniwersytet londyński wiódł żywot cichy i bez wstrząśnień, jeżeli na rozwój wiedzy nie wpłynął i istotnie naukowego ruchu nie wywołał, to, zaprawdę, nie jego to wina, ale tych, którzy go raz na zawsze na rolę nieprodukcyjnego rzezańca skazali. Nazwać uniwersytetem taką instytucję, było złym żartem i byłoby w każdym innym kraju, oprócz Anglii, grzechem nie do darowania. Tutaj jednak rzecz sama w sobie ma mniej niebezpieczeństwa, gdyż społeczeństwo angielskie, nie troszcząc się o systematyczność i logikę, potrafi w chwili stosownej do istniejących ram wprowadzić nowy, całkiem odmienny organizm. Od dawna zrozumieli wszyscy, którzy postęp oświaty i emancypację ostateczną wiedzy angielskiej mają na oku, że trzeba z uniwersytetu londyńskiego takiego, jaki jest, zrobić inny, taki, jaki istnieje we wszystkich cywilizowanych krajach, uniwersytet posiadający katedry, profesorów wykładających na nich wszystkie gałęzie wiedzy, prywat-docentów uprawiających specyalne jej działy, studentów uczących się, przenikających się naukowemi metodami i duchem, i otrzymujących od swych mistrzów w danej chwili świadectwo, że z udzielanej sobie nauki, o ile to było możliwe, skorzystali. Dopóki uniwersytet londyński nie zostanie taką instytucją pełną, całkowitą, systematycznie uorganizowaną, znaczenia wyższego mieć

nie może. Jedynie o to stanowisko kusić się może *universitas magistrorum et scholarium*, zakład, co naucza i gdzie się uczy. Uniwersytet nie tylko wskazuje, czego się uczyć trzeba, ale teoryę swą i systemat swój w czyn wprowadza, produkuje, wytwarza wiedzę, i — podług trafnego porównania Filipa Magnusa — jest on rękodzielnikiem i handlarzem wiedzy.

Jeżeli publiczność angielska, przeciętna, braku tego nie czuła i na tej niższości swego narodu nie cierpiała, a przeciwnie, oślepiona blaskiem swych dwóch średniowiecznych wszechnic, widziała w nich idealną organizacyę wyższej nauki, zamiast tego, czem są istotnie, bezecną i sromotną jej karykaturą, — to wszyscy pedagogowie, wszyscy prawdziwie wykształceni ludzie o postępowych tendencyach, od dawna do tego szerokiego celu zmierzali i zapisali się pod hasłem *Teaching University* — uniwersytetu wykładającego. Z razu rozstrzelona w tym kierunku agitacya i propaganda jednoczyła się z biegiem czasu i krzepła. Coraz częściej spotykać można było w ostatnich latach kwestyę tę na porządku dziennym nawet w kołach, stojących poza obrębem ciała uniwersyteckiego. Każdy nieledwie z *Graduates*, t. j. tych, którzy otrzymali od uniwersytetu londyńskiego naukowe stopnie, bolał nad jego upośledzeniem i stawał się agitującym za rozszerzeniem i dopełnieniem jego misyi działaczem. W pismach i przeglądach ostatniego dziesięciolecia pełno studyów i artykułów, uskarżających się na bezduszość szkieletu, do jakiego sprowadzony był ów rzekomy uniwersytet londyński, mieszczący się w kilku biurach i pokoikach Burlingtońskiego pałacu. Agitacya widocznie dojrzewała i skryształizowała się nareszcie w 1886 roku w Stowarzyszeniu reformy uniwersyteckiej. Nakreśliło ono plan uniwersytetu wykładającego i przedłożyło go senatowi dwóch kolegów — uniwersyteckiego i królewskiego, oraz kolegom chirurgów i lekarzy i radzie szkoły prawa. Wszystkie wyższe zakłady naukowe, istniejące w Londynie, zostały wezwane przez Stowarzyszenie do wypowiedzenia swego zdania i do wskazania roli, jaką zajmować pragną w powstać mającym uniwersytecie. W tymże roku przedłożono petycyę do korony w imieniu dwóch kolegów, uniwersyteckiego i królewskiego, prosząc o nadanie nowego dyplomu uniwersytetowi londyńskiemu, który proponowano nazwać uniwersytetem Albertyńskim od imienia zmarłego

księcia-małżonka. Upłynęło półtora roku i w maju 1888 r. mianowana została królewska komisya pod prezydencyą hrabiego Selborne dla roztrząśnienia tej petycyi i powiadomienia rządu, jakich środków użyć wypada celem podniesienia wyższej oświaty w Londynie. Prawie rok cały zasiadała owa komisya i ściagała opinie od osobistości ukwalifikowanych i od organizmów szkolnych, i raport swój złożyła w kwietniu 1889 r. Chociaż nie można wniosków tego raportu uważać za nieprzychylnie petycyi, to wszelako nie doszedł on do żadnego stanowczego rezultatu, a ograniczył się do wezwania senatu i konwokacyi uniwersytetu londyńskiego, ażeby dobrze i wszechstronnie swoje ustawy przejrzwały i sformułowały ostateczny projekt, łączący wszystkie *dis-juncta membra* wyższej oświaty w jednolitą organizację. Zanim projekt tego rodzaju przedłożą, rzeczy miały pozostać w dotychczasowym stanie i komisya dała zapewnienie, że żaden dyplom nie zostanie nadany nikomu innemu. W ten sposób rząd umył ręce i odesłał agitatorów do samego uniwersyteckiego sztabu generalnego, nie bez nadziei zapewne, że, przy wielostronności kierunków i krzyżujących się interesów, dzieło radykalnej reformy, jeżeli nie pogrzebanem, to przynajmniej odwleczonem zostanie.

To ostatnie przytrafiło się istotnie, bo chociaż obrad i protokółów i planów było w ciągu dwóch lat ostatnich bez liku, sprawa szła naprzód kulawo i ociężale. Dyrekcyja ruchu wytrącona została z rąk stowarzyszenia prywatnego, które go wszczęło, a oddana wyłącznie mandarynom uniwersyteckim. Ci nie przypuszczali, jak to łatwo przewidzieć było można, szerokiej publiczności do swych obrad komitetowych i naraz społeczeństwo dowiedziało się o rezultacie ich prac, gdy w lipcu roku zeszłego przedłożony on został radzie tajnej i w jej komitecie roztrząsany. Ostateczny plan, jaki przez ciało uniwersyteckie (a raczej przez jego senat z pominięciem konwokacyi) przygotowany był, polegał na utworzeniu jednego uniwersytetu w Londynie, ale nie otwartego, szerokiego, uwzględniającego interesy nauki, lecz uniwersytetu wyłącznie składającego się z dwóch istniejących kolegiów, *University* i królewskiego, i z przyłączeniem—ewentualnem—kolegium lekarsko-chirurgicznego. Profesorowie tych kolegiów mieli zostać profesorami uniwersytetu

i nikomu innemu, jak ich członkom i powołanym przez ich komitet uczonym wykład nie miał być dozwolony. Niema wątplenia, że organizacya taka, jaka przedłożona została radzie tajnej, miała na celu zabezpieczenie przywileju monopolu tymi dwóm kolegiom, które dawniej się na siebie boczyły, ale które uważały za właściwe rozdzielić między siebie najwyższe dostojęstwa naukowe. Łatwo zrozumieć zgilek i hałas, jaki ten projekt wywołał w naukowym świecie angielskim. Zarzuty, i to pierwszej wagi, sypały się gradem. Zwrócono naprzód uwagę, że oprócz tych dwóch kolegiów, które się chcą identyfikować z przyszłym uniwersytetem londyńskim, jest jeszcze wiele innych zakładów wyższej wiedzy tego samego, a nawet wyższego zakresu, i pytano: dlaczego miano wykluczać kolegium *City of London*, szkołę politechniczną na Regent-Street, kolegia nauk w South-Kensingtonie, albo kolegium *Bedford* dla kobiet, instytucję wzorową i t. p. Dalej podniesiono charakter kościelny *King's College*. Każdy z jego profesorów, jak z jego studentów, musi składać deklarację, że jest członkiem kościoła anglikańskiego i wyznaje 36 statutowych artykułów wiary. Jeżeli senat nowego uniwersytetu będzie się składał w połowie przynajmniej z tych kościelnych zelantów, to nie ulega wątpliwości, iż duch instytucyi, zamiast stać poza obrębem teologicznych waśni, ugrzęźnie w nich całkowicie; cel najprzedniejszy, jaki liberalni orędownicy mieli na oku przed pół wiekiem, fundując uniwersytet londyński, zostałby nie tylko spaczony, ale wprost na inne, przeciwne popchnięty tory. Nakoniec zwrócono się przeciw pisarzom i pedagogom, jak p. Thiselton Dyer, utrzymującym, że nie potrzeba nowemu uniwersytetowi żadnych innych wykładów, prócz tych, które są już obecnie w dwóch kolegiach, gdyż nie są one w niczem pośredniejsze od wykładów w Oxfordzie i Cambridge, i odparto ich niezasłużoną apoteozę istniejącego stanu rzeczy niezwalczonymi argumentami. Nie na niedostatecznych, elementarnych wykładach wszechnic średniowiecznych powinna się nowa organizacya wzorować, ale zwrócić się za granicę, do innych narodów, a przedewszystkiem do tego, który najwyżej ją postawił—do Niemiec. Gdy się znajduje na uniwersytecie w Berlinie 75 zwyczajnych i 83 nadzwyczajnych profesorów a 131 prywat-docentów, to się rozumie natychmiast, jakie

potężne ognisko wiedzy zostało tam wytworzone. Po prostu upokarzające są owych kilkunastu profesorów elementarne wykłady dla garstki słuchaczy, takie, jakie mają miejsce w kolegiach londyńskich! Zamiast taki ideał mieć przed oczami, nie chodzi o nic więcej angielskim członkom najwyższych zakładów, jak o tę podrzędną kwestyę egzaminów, patentów i dyplomów, która w swobodnej sferze niemieckich uniwersytetów schodzi do ledwo dojrzanej, drobiazgowej roli. Ma to tem więcej prawo zadziwiać, iż społeczeństwo angielskie nie uchodzi za ubiegające się wyłącznie o urzędowe patenty i cyrografy.

Walka toczyła się żwawo, ale poważni radcy królewscy nie zdawali się przywiązywać do polemiki, poza ich sferą się toczącej, wielkiego znaczenia. Poświęciwszy kilka posiedzeń rozstrzygnięciu ważnej kwestyi, czy nowy uniwersytet będzie się nazywał Albertyńskim, czy Londyńskim, czy Brytańskim, czy Cesarskim, czy Westminster'skim, czy Metropolitan'skim—i nie rozstrzygnąwszy jej nawet ostatecznie, rada tajna zdecydowała przychylić się do wniosku, przedłożonego jej przez komitet uniwersytetu, i z takim „*placet*” projekt odesłany został do gabinetu. Pozostawało obecnie temu ostatniemu przedłożyć go w swem imieniu parlamentowi i otrzymać odeń sankcyę narodową. Tak stały rzeczy w początku 1892 roku, i wszyscy orędownicy szerokiej oświaty, wszyscy zapaśnicy, którzy od lat wielu za emancypacyę organizacyi uniwersyteckiej walczyli, małą już tylko mieli nadzieję, żeby im było danem doprowadzić skoszlawione przedsięwzięcie do upragnionej przystani.

Ale, jak się dzieje zwykle, z nadmiaru zła wystrzeliła właśnie zbawcza iskierka. Wrażenie, jakie wywarł krok, uczyniony, rzecz można, pokątnie, przez senat uniwersytetu, było tak niekorzystne, że większa część jego członków pośpieszyła umyć od niego ręce. Nie trzeba także zapominać, że lord Granville, który był przez lat wiele kanclerzem uniwersytetu, właśnie umarł i że nowomianowany jego następca, lord Derby, nie był dostatecznie obznajmiony z zakulisową historią, ze stronnictwą rywalizacyą dwóch kolegów z jednej strony a kolegium medyczno-chirurgicznego z drugiej, ażeby się wśród różnych prądów zorientować, i nie przyszło mu na myśl odwołać się do owego ciała, które reprezentuje całość uniwersytetu, mianowicie do konwo-

kacy. Za uczyniony krok zrobiono wogóle odpowiedzialnym p. Jerzego Younga, jednego z przewodników fakultetu medycznego, a z energią i rzutkością właściwą Anglikom, gdy się jej potrzeba okazuje, postanowiono obalić jego kombinację. Akcję naturalnie wzięła znowu na siebie konwokacja i wysłała deputację do p. Balfoura, członka gabinetu w jego charakterze pierwszego lorda skarbowości, przedstawiając mu, żeby, zamiast przychylić się do opinii, wyrażonej przez radę tajną, całą kwestyę w organicznej swej rozpatrzył całości. Ale prośba ta nie byłaby miała wielkich widoków powodzenia, gdyby, szczęśliwym pomysłem, przedstawiciele postępowego projektu nie byli się podszyli pod starodawną instytucyę i nie zsolidaryzowali z nią. Instytucyą tą było owo kolegium, utworzone w XVI-y wieku przez sir Tomasza Gresham, o której mówiliśmy na początku. Wprawdzie kolegium to, po różnych, zmiennych losach, wzniosło sobie było w 1845 roku swój własny budynek dla pomieszczenia swej biblioteki, i oprócz niej znajduje się tam aula dla 500 słuchaczy, lecz ani naukowego życia, ani słuchaczy, ani profesorów wielkich śladów nie było. Mimo tego, przywilej jego istniał, a majątkiem zawiadywał komitet „trustees.” Tych to opiekunów kolegium sir Tom. Greshama wysunięto obecnie naprzód i włożono im w usta protestacyę gorącą w imieniu fundatora londyńskiego uniwersytetu w epoce Elżbiety. Przedstawili też oni ministrowi, że jeżeli ma być nadany dyplom nowemu uniwersytetowi, to nie dwóm nowoczesnym kolegiom on się należy, ale starodawnemu, i że uniwersytet powinien nosić nazwę Greshamskiego. Kolegium to nie rościło pretensyi do wyłączności i nie chciało odrzucać współdziałania swych późniejszych następców, ale utrzymywało, że jemu stanowcza przypada rola i że ma *precedencyę*. P. Balfour nie wziął prawdopodobnie pretensyi tych dosłownie, ale pojął, że dawały mu one wyborny grunt do załatwienia tej sprawy stosownie do życzeń, inteligencyi krajowej. Zgodził się tedy na uwzględnienie każdego z uprawnionych interesów i polecił mianowanej *ad hoc* komisyi królewskiej ułożenie nowego dyplomu nadawczego dla uniwersytetu londyńskiego. Prezydentem jej jest hrabia Cowper, a obok niego dwunastu członków, reprezentujących kościół, kolegia, ciała uczone i korporacye. Ponieważ komisya ta ma

wyznaczone sobie jasno zadanie „rozpatrzenia, a stosownie do swego uznania, zmienienia, ulepszenia i rozszerzenia istniejących statutów nadawczych wykładowego uniwersytetu w Londynie,” zatem nie może być najmniejszej wątpliwości, że sprawozdanie, które za kilka miesięcy przedłoży rządowi, a on parlamentowi, odpowie nareszcie niezmiennym wymaganiom opinii krajowej.

Teoretycznie można już obecnie powiedzieć, że sprawa jest załatwiona i rozstrzygnięta. Po ośmioletniej żywej agitacji i dwóch przesileniach, z których każde żywcem pogrzebać ją mogło, stanęła nareszcie na silnym gruncie. Dopóki albo dwa kolegia, uniwersyteckie i królewskie, że już nic o Greshamskiem nie powiemy, albo formalistyczny, egzaminujący i patentujący uniwersytet, w Burlingtońskim pałacu zabalsamowany, same jedno, dla siebie o monopol się starały, przegrywały i przegrywać musiały, bo im wielu niezbędnych do sukcesu brakowało warunków. Obecnie niefortunne próby przeświadczyły je, że trzeba się wyzuć z egoizmu i z partykularyzmu i zakreślić dla uniwersytetu nowy plan, odpowiadający doniosłości instytucji i potrzebom cywilizacji nowoczesnej. Wiele kwestii drugorzędnych musi być w tym duchu rozwiązanych, a przedewszystkiem kwestya fakultetu teologicznego. Uniwersytety w Oxfordzie i Cambridge są przez swój historyczny rozwój nierozzerwalnie powiązane z kościołem państwowym, i dla sekt protestanckich, inaczej się na artykuły wiary i wyznaniowe zagadnienia zapatrujących, nie mają innej polityki, jak absolutne, aprioryczne potępienie. *King's College* londyńskie, na wzór ich uorganizowane, takim samym zagrzone jest duchem, i gdyby ono miało głos rozstrzygający w tej sprawie, narzuciłoby swoje dogmaty, odsuwając wszystkie inne szkoły teologiczne, nawet te, które liczą miliony wyznawców, od życia uniwersyteckiego. Takiemu dogmatycznemu despotyzmowi jednak uniwersytet londyński służyć nie ma powodu i można być pewnym, że otworzy podwoje dla wszystkich wyznań i sekt. Jest nawet mowa o utworzeniu przy nim fakultetu teologicznego katolickiego.

Nie od centralnych władz państwowych ostatecznie, ale od swobodnie wyrabiającej się opinii narodowej takie a nie inne stanowisko i organizacja uniwersytetu londyńskiego zależeć będzie. Społeczeństwo samo jest w Anglii zawsze najwyższą

instancją. Skoro interes jego leży po stronie szerokiej, liberalnej instytucji, uczyni zatem ją taką. Dotąd całym pokoleniom nie przychodziło do głowy, ażeby uniwersytet mógł istnieć i rozwijać się w innej sferze, jak w małych, prowincjonalnych miastach, które się do jego rydwanu wprzęgały i wyłącznie mu służyły. Poetyczne, nieporównane w swej malowniczości ramy Oxfordu i Cambridge zdawały się być niezbędnymi i na próżno szukając ich w ruchliwej, prozaicznej metropolii, nie interesowano się przybłądą. Zapytywano ironicznie, czy uniwersytet londyński posiada swoje atletyczne kluby, swoje hufce jedenastu cricketowych zapaśników, czy bierze udział w wyścigach wodnych i z braku tych instytucji sportowych, tak samo jak z braku *Dobating Societies*, wniesiono, że życia akademickiego niema i nie będzie tutaj nigdy. Można by wprawdzie odpowiedzieć na ten zarzut słowami Carlyle'a i przypomnieć, że uniwersytet jest instytucją książek i wiedzy, nie zaś atletycznych ćwiczeń, ale nie należy być jednostronnym i lekceważyć narodowych zwyczajów, nawet gdy grzeszą przesadą. Nic nie stoi na zawadzie, ażeby owych 2,824 studentów, którzy w 1890/91 roku przedstawili się do matrykulacyjnego egzaminu w uniwersytecie londyńskim—liczba, która się niebawem podwoi, potroi przy nowej jego organizacyi—nic nie stoi na zawadzie, powiadamy, ażeby i londyńscy studenci uprawiali ćwiczenia gimnastyczne i stanęli na tym samym poziomie, co ich prowincjonalni towarzysze. Że nawet pod względem zewnętrznym nowy uniwersytet może stać się organiczną całością i poczuwać się nią, wątpić niema potrzeby, jeżeli znajdzie dla siebie protektorów i orędowników wśród magnatów krajowych. Już świeżo lord Sherbrooke ofiarował 1,000 funtów uniwersytetowi londyńskiemu jako pamiątkę długiego z nim związku, a w tych dniach taką samą sumę ofiarował nowy kanclerz, lord Derby. Zapisy te będą obracane na nagrody konkursowe i stypendya dla studentów; jest to pierwszy szczebel. Przy napływie legatów i fundacyi, nie można wątpić, że się i nowe kolegia dadzą zakładać. Szczodroblliwość zarówno jak bogactwo Anglików sprzyja tego rodzaju ofiarom publicznym.

Niema tedy ani materyalnych ani moralnych przeszkód, gdy raz drobne formalności załatwione zostaną, ażeby uniwer-

sytyet londyński nie zajął miejsca pierwszorzędnego pomiędzy wszechnicami angielskimi. Lecz gdyby nawet pod wielu względami uczyniono go podobnym do dwóch dawniejszych, to można być pewnym, że inny duch będzie go ożywiał. Mówiąc „inny,” nie wahamy się dodać: lepszy. Co do istotnej wartości naukowej Oxfordu i Cambridge istnieje wiele złudzeń i pochwalne oklepanki powtarzają o nich ci przedewszystkiem, którzy znają je tylko ze słyszenia i którzy lubują się w kwietystycznym zastoju. Niema zato w Anglii ani jednego poważnego pedagoga i głębokiego umysłu, któryby ich nie potępiał, nie ubolewał nad ich wadliwą organizacją, nie rumienił się wobec marnotrawstwa wielkich funduszy na utrzymywanie pseudonaukowych darmozjadów ¹⁾. Nie raz, ale tysiąc razy podnosiły się głosy za reformą tych uniwersytetów; niektórzy nawet ich zagłady pragnęli. Tak daleko ostracyzmu posuwać nie trzeba. Jest sposób zreformowania nawet tych zapleśniałych i gnuśniejących w przywileju i dobrobycie zakładów, a sposobem tym najlepszym jest dać im w nowym, postępowym współzawodniku przykład i bodziec do naukowej działalności. Rolę tę Londyn ma sobie przez naturę rzeczy wskazaną.

¹⁾ Pozwolimy tu sobie, dla usprawiedliwienia powyższej opinii, przytoczyć słowa, napisane przez J. St. Milla w artykule *Civilisation*, pomieszczonym w *London i Westminster Review* za styczeń 1836. Nie straciły one do chwili obecnej na swej prawdzie i trafności, a wiele świeżych wypadków wykazało, że nadużyciom nie położono kresu. „Jako instytucja do kształcenia masy, uniwersytety nie istnieją wcale! Młodzież angielska nie kształci się tam. Naukowe wymagania od kandydatów do naukowych stopni, udzielanych przez te ciała, zasługują na szyderstwo w Cambridge, a nie wiele są wyższe w Oxfordzie. Wyróżnienia naukowe i zaszczyty są wprawdzie rezultatem zaciętej walki, ale ubiega się o nie nie wiele, lecz tylko kilka jednostek. Czego dokonali nawet *senior wrangles* w matematyce? od Newtona kogo w tej sferze wydało Cambridge? Jakie dzieła, zaczawszy od Reformacji, zespoliły imiona tych dwóch uniwersytetów z postępem wiedzy w dziedzinie historii, filozofii, literatury? Dość je porównać już nie z niemieckimi, ale z włoskimi i francuskimi uniwersytetami. Co robią nasze uniwersytety, gdy się kto w tych gałęziach wiedzy odznacza? Wyznaczają mu roczny dochód, nie jako zachętę do dalszej pracy, lecz jako nagrodę za już dokonaną, z warunkiem, ażeby żył jak mnich i odział się w liberyę kościoła na lat siedem! Przekupują w ten sposób zdolnych ludzi wysokimi pensjami, uzbrają ich, ale nie wymagają od nich, ażeby stawali w szeregu zapasników.“

Sprawa ta, nie dawno jeszcze do wprowadzenia w czyn niemożliwa, albo przynajmniej trudna, ma już obecnie wiele czynników po swej stronie. Dość będzie wymienić tutaj nową municypalną organizację Londynu, *County Council*. Jest jego dążeniem ześrodkować w swych ręku wszystkie gałęzie, wszystkie działy życia publicznego potężnej metropolii. Zagrzana duchem postępowym, pragnąc iść ręką w rękę z demokratyczną masą, wypowiadając, gdzie tylko może, walkę przywilejowi, rada municypalna hrabstwa londyńskiego, gdy jej atrybucye przyszły parlament rozszerzy i dopełni, weźmie się energicznie do sprawy oświaty publicznej. Obecnie już wydaje 150,000 funt. szterl. rocznie na instytucye naukowe: wzrośnie to niezmiernie, gdy City przestanie być ciałem odrębnem i gdy wszystkie sumy na oświatę i szkoły podług systematycznego planu asygnowane będą. Niema wątpienia, że uniwersytet londyński będzie mógł być uposażonym z tego źródła municypalnego, gdy od państwa takiego etatu nie mógłby się spodziewać. Posiadłszy byt zabezpieczony materyalnie, nie skrępowany żadnemi pętami tradycyi i przywilejów, będzie on mógł ogniskować u siebie promienie wiedzy różnostronne i różnokierunkowe, i pozyska dla Londynu ostatni brakujący mu jeszcze klejnot — pierwszorzędną naukową instytucję.

BIBLIOTEKI I CZYTELNIÉ PUBLICZNE.

Miema dokładniejszego, wyrazistszego symptomatu cywilizacyjnego postępu, odbywającego się w łonie nowoczesnego świata, jak wszystkie podejmowane przezeń usiłowania ku szerzeniu oświaty pomiędzy najszerszymi warstwami społeczeństwa. Pierwszą potrzebą mas wyemancypowanych i równouprawnionych jest rozejrzenie się wśród otaczających okoliczności i zdanie sobie sprawy z jego warunków. Oświata publiczna uznana już została w jednych krajach za obowiązkową, w innych zabezpieczono jej przynajmniej jak najszerszą bezpłatność. Samo pojęcie szkoły rozszerzyło się niezmiernie i uległo radykalnym zmianom. Nie tylko, że utworzona została wieloramienna organizacya szkolnicza, zastosowana do wszelkich możliwych potrzeb, udzielająca obok ogólnego wykształcenia i specjalne, techniczne, ale oprócz tego wszystkie instytucye, któremi społeczeństwo rozporządzać mogło, jako to: galerie, zbiory, muzea, biblioteki i t. d., zużytkowane zostały jako narzędzia pedagogiczne, a przestawszy służyć za rozrywkę dla sybarytów intelektualnych, przeszły na usługi masy narodowej.

Jeżeli ruch powyższy może być sprawiedliwie uważany za powszechny i niedopuszczający wyjątków, to u każdego odrę-

bnego społeczeństwa ukształtował się odpowiednio do jego państwowo-społecznego ustroju. W krajach, gdzie demokracja, po zerwaniu wszelkich tam i grobli, toczy się tryumfująco po szerokim łożysku, jak między innemi w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, albo Francyi, niema powodu dziwić się, że instytucye, bezpośrednio i pośrednio szerzenie oświaty mające na celu, z każdym dniem się mnożą w postępie geometrycznym. Ale nawet tam, gdzie społeczeństwo nie postradało jeszcze swego arystokratycznego charakteru, a oligarchia posiada niejeden przywilej, niema już mowy o tamowaniu oświaty. Mamy tu w szczególności Anglię na oku. Nie należy zapominać, że społeczeństwo angielskie aż do ostatnich czasów nie uważało oświaty publicznej za należącą do atrybucyi państwa, ale, że obowiązek nauczania włożyło na kościół, że aż do chwili obecnej nie posiada ani odrębnego wydziału oświaty, ani jej ministra, i że *Board of Schools*, zostający w ręku państwa, utrzymywany kosztem skarbu, stawia dopiero pierwsze kroki na nowej drodze, że wąta to jeszcze roślina. Wprawdzie *Elementary Education Act* sięga roku 1870, ale pierwsza z dopełniających go organizacyi, bil o bezpłatności szkółek elementarnych, uchwalony został przez parlament dopiero w jesieni 1892 roku. Jest widocznem, że i angielskie społeczeństwo, mimo właściwego sobie historycznego rozwoju, mimo wstrętu do gruntownego przewrotu, dokonywać się mającego przez władzę prawodawczą, musi postawić zadanie wychowawcze na szerokiej ludowej podstawie, a to znacznie wcześniej, aniżeli się to nie dawno jeszcze przewidywać dawało. Do wniosku tego dochodzimy, stwierdzając postępy, jakie uczyniły biblioteki i czytelnie publiczne, stanowiące, jak to z natury rzeczy wynika, drobną i, że tak powiemy, dodatkową jedynie część pracy około oświaty publicznej. Postępy te, ruch, jaki się około nich utworzył, i sposób, w jaki biblioteki publiczne uorganizowane zostały, rzucić są w stanie na stan umysłowy społeczeństwa angielskiego i ożywiające je dążenia nie mało światła, i sądzimy, że wzbudzić mogą pewien interes w czytelnikach, choćby ze względu na wskazówki, jakieby się tam dla naszych własnych stosunków zaczerpnąć dało.

Samo z siebie wynika, że w kraju, znajdującym się już od kilku stuleci na wysokim stopniu oświaty, w kraju, posiadają-

cym obfitą, oryginalną i znakomitą literaturę, istniały już z dawien dawna wielkie biblioteki. Posiadały je nie tylko miasta uniwersyteckie, jak Cambridge i Oxford, ale i wiele innych; Bristol i Manchester spierają się do dziś dnia, które z nich posiadało pierwszą bibliotekę publiczną. Rozgłos biblioteki Bodlejańskiej w Oxfordzie, ufundowanej w końcu XVI wieku przez sir Tomasza Bodleya, nie potrzebuje być przypominany. Ktokolwiek do niej zajrzał i w niej pracował, a nawet ktokolwiek zna ją tylko z rozgłosu i usług, jakie oddała oświacie, nie może mówić o niej obojętnie. Tryumf protestantyzmu i zwycięstwo rewolucyi przyczyniły się w Anglii, co żadnemu wątpieniu ulegać nie może, do rozwoju piśmienniczego i do wczesnego nawyczajenia społeczeństwa do czytania, z razu ksiąg duchownych, Pisma Świętego, następnie pamfletów politycznych i dzieł poważniejszych. Chociaż o nieomylną statystykę pod tym względem trudno, Anglicy uważani być mogą za naród, czytający więcej, aniżeli jakikolwiek inny. Warunki klimatyczne, temperament indywidualny, cała organizacya życia rodzinnego, domowego, wyrabiają w nich zamiłowanie czytania i czynią z niego dla każdej jednostki nieodzowną potrzebę. Jeżeli niema na całej przestrzeni kraju jednego, najuboższego domku, bez kilku, a w każdym razie bez jednej książki, — jeżeli prywatne księgozbiory są często znaczne, a u magnackich rodzin liczne, wyborowe i wspańiałe,—jeżeli najrozmaitsze stowarzyszenia dostarczają bezustanku swym uczestnikom książek, do ich specyalności się odnoszących, albo po prostu nowości piśmienniczych,—jeżeli każdy proboszcz wiejski ma księgozbiór dla swych parafian,—jeżeli wszystkie rodziny, do klas średnich należące, abonują w dodatku książki w obiegowych czytelniach, — to oprócz tych wszystkich kanałów, którymi strawa umysłowa dostarczana jest regularnie społeczności, nie braknie jeszcze miejsca dla bibliotek i czytelni publicznych. Przeciwnie: im więcej społeczeństwo nawyka do czytania, tem więcej czytać potrzebuje. Są tacy, co nie czytali w życiu żadnej książki—taka sromota szpeci jeszcze świat ucywilizowany, — ale niema nikogo, ktoby na jednej chciał poprzestać. Nie tylko opium lub morfina, ale i książki, na szczęście, stają się tyranizującym nałogiem.

Najznakomitsze biblioteki posiada naturalnie stolica kraju, a pierwsze miejsce wśród nich zajmuje ta, która stanowi część

składową Muzeum brytańskiego. Niema nikogo, ktoby o nagromadzonych w tem muzeum skarbach artystycznych nie zaśłyszał. Jest to najznakomitszy przybytek sztuki, najpierwsza skarbnica zabytków archeologicznych, klejnot, którym się pyszni najdumniejszy z narodów. Na setki tomów liczą się same opisy zbiorów, które się w gmachach tego muzeum mieszczą, i nie mamy zamiaru szczegółowo rozierać tego przedmiotu. Za długo nawet byłoby opowiadać, jak powstała biblioteka w *British Museum*, jakimi kolejami prywatny księgozbiór i archiwa sir Roberta Cotton'a, stały się własnością narodową, jak wędrowały z Westminsteru do Strandu i znowu do Westminsteru, jak uniknęły w XVIII wieku pożaru, jak major Artur Edwards ofiarowuje fundusz na budowę specjalnego gmachu, jak lord Arundel i Curten zbogacają instytucję swymi darami i jak nakoniec d-r Hans Sloane organizuje ją zasadniczo. Przez jego testament w 1749 roku *British Museum* zostało ufundowane i przeniesione z dzielnicy Chelsea do Bloomsbury, a w 1759 roku zostaje otwarte w Moutaign House. Pierwszy bibliotekarz mianowany był wówczas prezesem całego muzeum, co wskazywało, że księgozbiór i archiwa uważane były za ważniejsze czynniki składowe, aniżeli zabytki sztuki klasycznej, albo zbiory z dziedziny przyrody. Istotnie dopiero po zakupieniu starożytności egipskich po kapitulacji Aleksandryi w 1801, po nabyciu kolekcji pompejańskich od lorda Hamiltona i galeryi starożytniczej Karola Townley, a nakoniec partenońskich marmurów od lorda Elgina w 1816 roku, dział artystyczno-archeologiczny tego muzeum mógł rywalizować z biblioteką. Ta ostatnia wzrastać i zbogacać się nie przestawała, a po włączeniu do niej, za króla Jerzego IV-go, księgozbioru, należącego do jego ojca, Jerzego III, stanęła na czele wszystkich europejskich. Otwarta dla użytku publiczności w 1808 roku, liczyła w pierwszych latach zaledwie dwa tysiące czytelników. W 1825 roku, posiadając 150,000 dzieł, liczyła już jednak 22,000 czytelników. I oni i zbiory nie mogli się już pomieścić w ciasnym obrębie Moutaign House. Zburzono go też w 1830 roku i wybudowano na tem samem miejscu, podług planów Roberta i Sydneya Smirke gmach obecny, ukończony w 1852 roku, o wspinałym, na olbrzymich jońskich kolumnach wspierającym się frontonie. Ale chociaż pałac jest ogromny, chociaż całe zbiory historyi naturalnej przeniesione już zostały

z niego do odrębnego muzeum, zbudowanego w dzielnicy South-Kensington, chociaż nie przestano do dziś dnia budować coraz nowych skrzydeł i pawilonów,—to zbiory i jednocześnie napływ publiczności tak się powiększać nie przestawały, że niebawem okazała się potrzeba przebudowania tej części gmachu, w której się mieści księgozbiór, i wzniesienia sali na czytelnię powszechną. Parlament udzielił na ten cel sumę 150,000 funt. szterl. i po trzechletniej budowie obecna czytelnia otwartą została dla publiczności w 1857 roku. Plan do niej dany był przez p. Panizzi, Modeńczyka, będącego naprzód jednym z urzędników, a następnie głównym bibliotekarzem. Wpadł on na myśl szczęśliwą wzniesienia na dziedzińcu środkowym, pomiędzy czworobokiem galeryi zapełnionych książkami, sali okrągłej. Jest ona jednym z cudów nowoczesnego świata; kopuła jej, na 32 metry wysoka, a licząca 43 m. średnicy, jest większa od kopuły Ś-go Piotra w Rzymie. Wszystkie dogodności, ułatwienia dla pracujących w poszukiwaniach naukowych, doprowadzone są w tej czytelni do takiego stopnia, że raz ich zakosztowawszy, nie można się później oswoić z barbarzyństwem innych bibliotek. Katalog z 2,000 tomów *in folio* znajduje się w środku sali, naokoło biura bibliotekarzy, z których każdy gotów jest w każdej chwili z radą i wskazówką dla czytelników; 80,000 tomów, ustawionych w otwartych szafach naokół sali, zawiera wszelkie podręczniki, encyklopedye i dzieła najczęściej potrzebowane w każdej specjalności — i czytelnik posługuje się nimi bez żadnej kontroli. Blizko 2,000,000 tomów, umieszczonych w 6,000 ruchomych szaf, dostarczane są czytelnikom przez armię gorliwych posługaczy. Księgozbiór zbogaca się bezustanku i zawiera w obcych językach i literaturach kolekcye, jakich nigdzie pod słońcem spotkać się nie daje. Dziwić się temu nie można, biorąc na uwagę, że suma 100,000 funt. szterl. poświęcana jest corocznie na zakupno książek nie angielskich; wszystkie krajowe są składane bezpłatnie obowiązkowo przez wydawców. O bogactwach bibliograficznych tej biblioteki znajdzie czytelnik dokładne informacye w dziele J. P. Anheron'a: *Estimate of the contents of the British Museum Library*. Ale nie martwego opisu, lecz żywego słowa bibliotekarzy, zarządzających różnymi wydziałami biblioteki, potrzeba, by wniknąć w naturę tej instytucyi i cały

jej ogrom, całe jej znaczenie zrozumieć. Na czele działu słowiańskiego stoi od trzydziestu dwóch lat p. Jan Naake-Nakęski, Warszawianin. Ani jego uprzejmości dla rodaków, ani gorliwości, z jaką się stara liczbę naszych ksiąg powiększyć, dopełnić i utrzymać, niepodobna dość wysławić. Ten strażnik polszczyzny na dalekim Zachodzie jest dla nas wszystkich, igraszką losu na te wybrzeża rzuconych, żywym przykładem, jak się obowiązki dla swojego gniazda wypełniać dają na obczyźnie.

Chociaż okrągła sala i tak zwana długa galeryja tej biblioteki pomieścić mogą 500 osób jednorazowo, to o miejsce jest tam nieraz trudno. W ubiegłym roku uczęszczało do czytelni przecięciowo 700 osób dziennie, a ogólna ich liczba w ciągu roku dochodzi już 200,000. Lubo formalności do otrzymania stałego biletu wejścia są bardzo małe, nie ulega wątpliwości, że byłoby jeszcze więcej pracujących, gdyby one całkowicie zniesione zostały. I tak jednak przewidzieć już łatwo można, że zbudowanie nowych sal stanie się w niedalekiej przyszłości koniecznem. Ognisko takie jak *British Museum* centralizować zawsze będzie ruch naukowy i przyciągać do siebie żadnych nauki ze wszystkich krańców świata. Ale przy przepełnieniu sal, przy coraz bardziej wzrastającej liczbie czytających, od dawna potrzeba innych księgozbiorów i innych czytelni w Londynie stała się widoczną.

I nie brakuje też ich bynajmniej. Niepodobna wymienić ich wszystkich. Każde towarzystwo naukowe, a wiadomo, jak wielkimi one w Anglii rozporządzają funduszami, ma swoje. Biblioteki towarzystwa geologicznego, medycznego, akademii sztuk pięknych, używają zasłużonego rozgłosu. Nie dawno urządzona publiczna czytelnia przy bibliotece w nieocenionem muzeum South-Kensingtonu oddaje już wielkie usługi kształcącej się młodzieży i czytającej publiczności. Na szczegółową wzmiankę zasługują dalej dwie wielkie biblioteki publiczne w Guildhall i w biurze patentów na Chancery Lane.

Biblioteka w Guildhall, będąca własnością wszechpotężnej korporacji londyńskiej City, sięga założeniem swem XV wieku, ale nie była ani dobrze w książki zaopatrzona, ani otwarta do użytku publicznego aż do połowy bieżącego stulecia. Jeszcze w roku 1855 sławetne i wykarmione złotem korporacye odmó-

wiły funduszów na wybudowanie sal dla biblioteki, istniejącej przy Guildhallu. Gdy się nareszcie na ten wydatek zdecydowały, wzniesiono piękną budowlę, godną serca Londynu. Nie potrzeba żadnych formalności do czytania i sale stoją otworem, w całym słowa tego znaczeniu, dla wszystkich. Są one zawsze od 8 godziny z rana do 9 wieczorem przepełnione czytającymi, których liczba dochodzi już do 400,000 rocznie. Obecnie jest mowa o wybudowaniu nowych sal i utworzeniu oddziału, wypożyczającego książki do domów.

Najdostępniej urządzoną biblioteką publiczną, zupełnie podług systemu istniejącego w Australii, jest istniejąca przy biurze patentów. Ogromne a najkompletniejsze zbiory piśmiennicze z gałęzi technicznych stoją zupełnie swobodnie dla czytelników. Każdy z nich, poradziwszy się katalogu, szuka sam dzieł i aktów, których potrzebuje, na półkach i w szafach, gdzie się znajdują, i sam powraca je następnie na właściwe miejsce. Chociaż 90,000 czytelników pracowało tam i robiło poszukiwania techniczne w ciągu 1891 roku, ani jedno dzieło, ani jedna broszura zatraconą nie została! Jest to wskazówką, że formalności i nadzór, jaki rozciągają w tyłu bibliotekach nad czytającymi, nie są konieczne. Obcowanie wśród książek wyrabia, jak się spodziewać należy, wyższe poczucie już nie prywatnej, ale publicznej moralności.

Od dawna wpływ ten dobroczynny oceniony był przez filantropów, myślicieli i polityków. Dostarczając książek masie narodowej, zachęcając ją do czytania, stawia się nadużyciom, nałogom i występkom najskuteczniejszą tamę. Jak powiedzano słusznie, wraz z rozpowszechnieniem *Public Libraries* (bibliotek publicznych), zmniejszy się liczba *Public Houses* (szynków). Im więcej klasy niższe narodu wystawione są na pokusę spędzania w tych ostatnich wolnych od obowiązkowej pracy godzin, tem koniecznijszem jest ułatwić im czytanie. W każdej prawie administracyi państwowej angielskiej są księgozbiory dla urzędników, oficyalistów i posługaczy. Najlepiej urządzone są czytelnie dla listonoszów i urzędników pocztowych. Jest ich trzydzieści w samym Londynie, utworzonych przez lorda Johna Manner, gdy był dyrektorem poczt. P. Munroe, szef

policyi londyńskiej, uorganizował także wzorowe czytelnie dla policyantów w każdym z biur policyi stołecznej.

Ale chociaż są to usiłowania uznania godne, chociaż wpływ tych rozmaitych bibliotek i czytelni nie może być dość wysoko oceniony, to mimo tego brakowało całemu ruchowi w tym kierunku popularnej, powszechnej podstawy, brakowało także jednolitości, systematycznego porządku. Jakkolwiek cenne mogą być przedsięwzięcia filantropijnych jednostek lub zamożnych korporacyi, nie można się spodziewać, ażeby ich działalność i wytworzone przez nie instytucye posłużyły wszystkim warstwom społeczeństwa. Pozostaną zawsze mniej uprzywilejowane jednostki, albo odosobnione po prostu, które nie posiadając możności czytania, zostawiają odłogiem leżące wyższe strony swej osobistości. Mogłoby wprowadzić dzieło to podjąć państwo. Ale, jak wiadomo, sfera jego działalności w Anglii jest wielce ograniczona. Nie czuje zresztą ono do niej wielkiego pochohu. Przypomnieliśmy już, że nie posiada dotąd ministerjum oświaty i że organizacya szkolna wytworzyła się całkowicie poza jego egidą. W budżecie państwowym, wynoszącym 90 milionów funtów szterlingów, zaledwie 6,000,000 idzie na szkoły, muzea, biblioteki; te dwa ostatnie otrzymują od niego tylko 200,000 funt. szterl. rocznie. Nie można się tedy było spodziewać żadnej ze strony państwa ofiarności, odpowiadającej wymogom społeczeństwa. Inne, rozliczne potrzeby, zarówno jak zadawniona rutyna, lekceważąca oświatę, pochłaniać będą budżet.

Nie należy także zapominać, że w Anglii, więcej aniżeli w jakimkolwiek społeczeństwie stałego lądu, utrzymał się wstręt do działalności publicznej, scentralizowanej w rękach państwa. Doktryny Herberta Spencera, przeciwstawiające machinie urzędowej żywotne, niezależne początkowanie osobników społecznych, mają wielu gorliwych zwolenników, a wszystkie manifestacye socyalizmu państwowego wywołują energiczne protestacye ze strony tych klas, które się dotąd bez wszelkiej interwencyi władzy obywateli i zrozumieć nawet ich potrzeby nie mogą.

Przy bezwładności państwa z jednej strony i przy niewystarczającej działalności jednostek, korporacyi i towarzystw z dru-

giej, sprawa publicznych bibliotek i czytelni, tak samo jak wiele innych pierwszorzędných reform, nie zostałyby nigdy przeprowadzoną, albo długo jeszcze czekaćby na to musiała, gdyby, szczęściem dla siebie, społeczeństwo angielskie nie posiadało właśnie owego pośredniego ogniwa, które pozwoliło jego życiu publicznemu rozwinąć się w tak wyjątkowy i w tak potężny sposób. Mówimy o municypalnościach i wytwarzanych przez nie instytucjach. Życie municypalne, obejmujące wszystkich mieszkańców parafii, gminy, dzielnicy miejskiej w jeden wspólny organizm, rozwijające się pod kierownictwem wybranych delegatów i reprezentantów, jest najdoskonalszą szkołą obywatelskiego ducha i patriotyzmu, i w niem to najdokładniej manifestuje się ów *self-government* brytański, będący opoką, na której wznosi się cała budowa wszechpotężnego mocarstwa. Posiadając całkowitą niezależność administracyjną i fiskalną, municypalności zajmowały się od wieków zabezpieczeniem swych członków od napaści i rabunku — przez policję, od chorób i epidemii — przez szpitale i służbę zdrowia, dobrobyt — przez drogi, bruk, kanalizację, mosty, oświetlenie i t. d., organizowały instytucje dobroczynne, domy przytułku, ochrony, utrzymywały swych podupadłych i nędzarzy w *work-house*'ach i na koniec poświęcały znaczne i coraz znaczniejsze sumy na szkoły elementarne, szkoły średnie i różne techniczne. Było naturalnem, że municypalności powinny były z czasem dojść do zrozumienia wyższych potrzeb umysłowych i moralnych swych członków i zaspokoić je przez biblioteki i czytelnie publiczne. Nie dziwota, że na to szerokie i, że tak powiemy, wyrafinowane pojęcie swych obowiązków trzeba było czekać długo i że nawet obecnie częściowo się dopiero ono ujawniło. Ale wystarcza, że się ruch w tym kierunku rozpoczął; niema prawdopodobieństwa, aby się zatrzymał przed spełnieniem przedsięwziętego dzieła.

Kwestya bibliotek publicznych po municypiach, gminach i parafiach jest, jak każda inna kwestya praktyczna, zależną od warunków pieniężnych. Zasadą, na jakiej się opiera życie publiczne angielskie, jest, że skarb państwowy zabiera z dochodów krajowych tylko tyle, ile jest potrzeba na wydatki powszechne, ogólne, a zato wszystkie miejscowe opędzane są ze specjal-

nych podatków, jakie każda municypalność u siebie rozpisuje i pobiera. Są municypalności bogate, ale są i ubogie, są dobrze i są źle administrowane, ale każda bez wyjątku musi utrzymywać swych biednych, swe cmentarze, szpitale, szkoły, łaźnie, pralnie, policję, bruki, czystość ulic, oświetlenie i t. d. z podatków, jakie w tym celu pobiera. Ponieważ zaś podatki nie są rozłożone w jednym i tym samym stosunku na wszystkich mieszkańców, ale przeciwnie, właściciele gruntów i domów są uprzywilejowanymi i płacą stosunkowo daleko mniej podatków, aniżeli lokatorowie i wszyscy mniej zamożni, zatem dochody municypalne są daleko mniejsze nawet w zamożnych miejscowościach, aniżeli by to być mogło i musiało przy równym rozkładzie ciężarów i zniesieniu przywilejów. Rady municypalne, tak zwane *vestry counsels* albo *parish counsels*, walczą nieraz z trudnościami finansowymi, aby wszystkim obowiązkom podołać, wszystkie potrzeby zaspokoić, a nie wywołać protestacyi mieszkańców przez zbyt wygórowane podatki, na nich nałożone. Rata ich rzadko jest niższą od 2 szylingów 6 pensów od każdego funta szterl. dochodu, a czasami wznosi się aż do 7 szylingów. Łatwo zrozumieć, że opodatkowani, gdy im przedstawiono potrzebę wzniesienia kosztem gminy biblioteki i czytelnicy publicznej, zaopatrzenia jej w książki i utrzymywania bibliotekarzy i służby, nie kwapili się z wprowadzeniem w czyn takich projektów. Teoretycznie nie przeczyli korzyściom przedsięwzięcia, ale gdy przychodziło do rzeczy, odkładali je *ad feliciora tempora*. Trzeba było silnej agitacyi za rozszerzeniem oświaty i tego niezwalzonego prądu humanitarnego, który owładnął społecznością w ostatnich kilkudziesięciu latach, ażeby zwyciężyć te przeszkody finansowe i zmusić municypalność do szczególnego uwzględnienia potrzeb ich ubogich i wyjątkowo upośledzonych mieszkańców.

Nawet o sankcyę parlamentu było z razu trudno. Przez wiele lat kołatał o nią i agitował deputowany Liverpoolu, William Ewart. On to jest ojcem publicznych bibliotek angielskich i jego niestrudzonemu orędownictwu byt swój one zawdzięczają. Imię jego wspominane być winno z wdzięcznością przez wszystkich przyjaciół oświaty. Był on zaprzyjaźniony z rodziną Gladstona i dowódca liberalnej Anglii otrzymał na chrzcie

imiona jego—Williama Ewarta. P. Ewart wraz z p. Brothertonem i kilku innymi deputowanymi rok po roku przekładali izbie gmin bill, upoważniający municypalności do nałożenia specjalnego podatku na biblioteki publiczne, i nakoniec, mimo jej obojętności i złej woli, w 1850 r. małą większością 35 głosów udało im się przeprowadzić go przez wszystkie arkany parlamentarne i pozyskać dlań w dniu 14 sierpnia 1850 r. sankcyę korony. Dzień ten pozostanie niezapomnianą datą w kronice oświaty publicznej angielskiej. Pierwiastkowy bill ten posiadał rozmaite ograniczające klauzule. Tylko gminy liczące 10,000 mieszkańców zostały upoważnione do przedłożenia swym mieszkańcom pytania, czy chcą założyć bibliotekę publiczną, i, w razie przychylnej odpowiedzi, wysokość specjalnego podatku *ad hoc* ograniczoną została do pół pensa, t. j. pięciu centymów od każdego funta szterlinga płaconych podatków gminnych. Następnie, w latach 1855, 1866, 1871, 1877, 1884, 1887 i 1889, a zatem po siedem razy, parlament powracał do tego samego przedmiotu i uczynił do pierwotnej ustawy rozmaite dodatki. Jako główne zmiany wystarczy wskazać, że nie tylko gminy miejskie o 10,000 mieszkańcach, ale i mniej ludne, oraz gminy i parafie wiejskie są upoważnione do zakładania bibliotek publicznych, a rata podatkowa, czas jakiś podniesiona do jednego pensa od funta szterl., zostawiona została ich własnemu uznaniu.

Legalne przeszkody zostały tedy złamane już przed czterema dziesiątkami lat, ale byłoby wielką omyłką sądzić, że tego tylko kraj czekał, aby biblioteki publiczne fundować i otwierać. Nawet obecnie jeszcze niechęć albo apatya wielu municypalności miejskich nie jest złamana, a chociaż agitacya w ostatnich kilku latach czyni wielkie, dotykalne postępy, szczególnie dzięki przymusowej, a nareszcie i bezpłatnej szkole elementarnej, to potrzeba jeszcze będzie lat kilkudziesięciu, zanim się weźmie szturmem jedną po drugiej każdą z tych fortec egoizmu i ciemnoty i zanim instytucye te rozwiną się krzepko na gruncie angielskim.

Pierwszem miastem, które otwarło u siebie bibliotekę publiczną na podstawie aktu Ewarta, był Manchester. Liberalna ta inicjatywa nie dziwi ze strony Cottonopolis, gniazda nie tylko szkoły manchesterskiej, która zrewolucjonizowała świat ekono-

miczny, ale i ligi anty-zbożowej i wielu innych agitacyi w duchu postępowym. W niespełna dwa lata po ogłoszeniu Aktu, w 1852, otwarta tu została biblioteka w uroczysty sposób. Jak wielkie znaczenie przywiązywały do tej instytucyi najznakomitsze umysły krajowe, dowodzą mowy, wypowiedane przy tej sposobności przez hrabiego Shaftesbury, wielkiego filantropa, którego imię niezliczone fundacye przekażą oddalonej przyszłości, Johna Bright, Lytton-Bulvera, Dickensa, Thackeraya i wielu innych. W dzień otwarcia swego biblioteka posiadała już 20,000 tomów i natychmiast funkcjonować zaczęła.

Ale ten pośpiech i ten dobry przykład nie podziałał bynajmniej zaraźliwie na inne miasta. W ciągu 36 lat pierwszych utworzyło się wszystkiego 133 bibliotek i czytelni bezpłatnych, i dopiero w ciągu ostatnich lat pięciu ruch przybrał wydatniejsze rozmiary, gdyż powstało ich 105. Razem posiadała ich tedy Anglia 238 aż do 1891-go roku. Ponieważ jednak organizuje się już z 50 nowych, a 30 jest już blizkich ukończenia i otwarcia, zatem można powiedzieć, że istnieje ich obecnie 300. Jak we wszystkich postępowych agitacyach angielskich, hrabstwa północne biorą inicjatywę, za nimi idą środkowe, a potrzeba długiego czasu, nim się poruszy ospalsze i bardziej zachowawcze południe. Najbardziej zacofany jest zawsze Londyn, w którego ogromie zdają się ginać i być długo zduszonymi wszelkie aspiracye postępowe. Aż do 1886 r. było otwartych w 67 parafiach czyli okręgach municypalnych Londynu nie więcej jak dwie publiczne biblioteki na zasadzie aktu Ewarta. Obecnie jest ich już 30 i niebawem będzie otwartych kilka nowych. Ten zwiększony ruch w kilku ostatnich latach przypisać należy utworzeniu centralnego ciała municypalnego dla hrabstwa Londyńskiego: *County Counsel*. Nowe życie wstąpiło w organizm stolicy i w każdym oddziale administracyi miejskiej dają się już spostrzedz liczne ulepszenia. Wadą tego ciała wyborczego, znajdującego się dopiero w pierwszym zarodzie, jest to, iż ma za szerokie atrybucye, a znajdując przed sobą nawał zadawnionych nadużyć, pragnie od razu wszystkim zapobiedz. Gdy poręby wycięte będą w tym lesie, a metoda zaprowadzona w działalności rady, szczególnież zaś, gdy obok centralnej utworzone będą rady okrążkowe, ześrodkowujące atrybucye kilku lub kilkunastu

sąsiadujących z sobą dzielnic, niema wątpienia, że i dzieło bibliotek publicznych nowy otrzyma bodziec. Londyn nie będzie chciał pozostać długo w tyle za Berlinem, posiadającym już 25 bibliotek, z których każda liczy z górą 100,000 tomów, a szczególnie za Paryżem, gdzie w ciągu siedmiu lat, pomiędzy 1871 a 78 rokiem, otwarto nie mniej jak 64 bibliotek publicznych, wypożyczających rocznie blisko 2,000,000 tomów.

Organizacya bibliotek i czytelni publicznych przechodzi zazwyczaj kilka stadyów kolejnych. Myśl, podniesiona przez opinię i sformułowana w prasie, napotyka naprzód zaciętych nieprzyjaciół w szynkarzach. Słusznie oni przeczuwają, że każdy z ich klientów stracony dla nich będzie raz na zawsze, skoro przywyknie do spędzania wieczorów nie w ich zatruwalniach, ale w salach czytelni. Nie małą opozycyę znajduje także projekt biblioteki ze strony zamożnych mieszkańców, którzy płacąc już wysokie podatki, nie widzą potrzeby zwiększania ich choćby drobną sumką jednego pensa od każdego płaconego funta szterlinga. Ale gdy mimo tej opozycyi liczba adeptów wzrasta, zarząd municypalny rozsyła do wszystkich płaćcych podatki zapytanie piśmienne o ich zdanie co do utworzenia biblioteki miejscowej. Na plebiscyt ten odpowiedzieć trzeba przez *tak* lub *nie*. Nieraz się zdarzyło, że przeczące odpowiedzi przeważały i że sprawa, na najlepszej drodze do urzeczywistnienia będąca, na kilka lat odłożona być musiała. Istnieje teraz dążenie, ażeby plebiscyt ten zastąpić ogólnem zebraniem, gdzie nikt nie poważy się *coram populo* oświadczyć się za ciemnotą. Skoro żaden z opodatkowanych nie jest zapytywany, czy żąda ustanowienia policyi, brukowania albo oświetlania ulic i t. d., to tem bardziej nie powinien być zapytywany, czy chce lub nie chce zabijać umysłowy rozwój swych bliźnich.

Skoro decyzyę raz już powzięto, wykonanie nie przedstawia żadnych praktycznych trudności. Utworzoną bywa specjalna komisya dla wprowadzenia jej w wykonanie. Pierwszem jej zadaniem — znaleźć fundusze nadzwyczajne na budowę gmachu. Dopóki ich niema, biblioteka umieszczana bywa w ratuszu, czyli, jak się w Anglii nazywa, w *vestry-hall*. Ale jest to stan krótkotrwały i pierwszym usiłowaniem komitetu jest znaleźć dla biblioteki własny dach i zagrodę. Akt upoważnia radę gminną

do zaciągnięcia pożyczki, umarzalnej w ciągu lat trzydziestu, na koszt budowy. Zazwyczaj jednak obyć się można bez takiej ostateczności. Niema prawie przykładu, aby mieszkańcy bogaci cyrkułu nie pośpieszyli z ofiarami, ten gruntu, ów materiałów budowlanych. Przeciętnie budowa w Londynie kosztuje od 10 do 12,000 funtów szterl. Często całość tej sumy wraz z gruntem zebrała się w ciągu dni kilku. Są magnaci, jak słynny Andrzej Carneggie, który sypanął dziesiątkami tysięcy szterl. na biblioteki; w samym Glasgowie ufundował ich pięć kosztem 50,000 szterl. Budowle są zazwyczaj piękne i artystycznym swem wykończeniem przyczyniają się do ozdoby dzielnicy, w której się wznoszą. Czasami są to nawet wspaniałe pałace. Zwykły rozkład gmachów obejmuje na dole przestronne atrium, pokój oddzielny dla dam i oddzielny dla chłopców szkolnych, i wielkie sale, gdzie się mieszczą dzienniki, tygodniki, pisma ilustrowane, miesięczniki i przeglądy. Na piętrze lub na piętrach mieszczą się czytelnie, gdzie każdy znajduje w dobrze ogrzanych, oświetlonych elektrycznością, wytwornie, a nieraz zbyt kownie urządzonych salach przybory piśmiennicze, karty geograficzne, encyklopedye, słowniki i zapas dzieł, które bardzo często przenoszą 100,000 tomów. Można w tych salach pracować od godziny 10 rano do 10 wieczorem, a bibliotekarz wraz z pomocnikami czuwa nad ułatwieniem pracy, dostarczaniem książek i informacji. Nie potrzeba żadnej formalności, żadnej legitymacyi, żadnych podpisów, ani nadmienienia, że się w obrębie gminy zamieszkuje. Panuje pod tym względem największe ułatwienie. Jedynym wymaganiem, stawianem przez zarząd, jest zachowanie milczenia i czystość rąk. Nawet zdjęcie kapelusza, obowiązujące w bibliotekach amerykańskich, nie zostało narzucone czytającym. Ostatni wydział biblioteki poświęcony jest wypożyczaniu książek. Każdy zgłaszający się otrzymuje list imienny, na który wydawane mu są wszelkie znajdujące się w zbiorze dzieła, nawet najkosztowniejsze. Wolno zabrać je do domu, a trzymać najdłużej dni piętnaście; nowości zazwyczaj wypożyczane bywają tylko na tydzień. Żadnych nadużyć ani strat nie wskazują roczne sprawozdania. Są biblioteki w miastach prowincjonalnych, które wypożyczają nadzwyczajną liczbę książek. W Manchester, gdzie wypożyczono 1,564,000 tomów w ciągu ostatniego roku, zaginęło

jedynie 15 tomów; w Bradford na wypożyczonych 2,327,000 tomów stracono 23; przykładów tego rodzaju jest tyle, że nie można wątpić, iż czytająca publiczność zdaje sobie sprawę ze znaczenia instytucji i umie uszanować ogólną własność. Przeciwnie każdy mieszkaniec wypożycza 5 książek rocznie, a każdy uczęszczający do czytelni czyta ich rocznie 20. Samo się przez się rozumie, że cyfry te niebawem daleko większe przybiorą rozmiary. Oprócz książek powszechnego interesu i znaczenia, każda biblioteka stara się wyrobić sobie specyalność jaką, uwzględniając historję, archeologję i etnografię miejscowości, miasta, hrabstwa, w których się znajduje, i dostarczając czytelnikom dzieł szczególnie ich interesujących zawodowych przedmiotów. W okręgach metalurgicznych, w miastach przeważnie oddanych tej lub owej rękodzielniczej albo artystycznej wytwórczości, znajdują oni w bibliotece publicznej możność dopełnienia zbyt często im brakującego wykształcenia technicznego. Przez rozsądną dyrekcyę biblioteki często wyrabia się wśród czytającej masy widoczny pociąg do pewnych poważnych studyów. Zauważono między innemi, że czytelnicy w hrabstwach Lancashire i Yorkshire żywią wielkie zamiłowanie do dzieł z dziedziny nauk przyrodniczych.

Zasadniczą kwestyą, której organizatorowie tych zakładów nigdy nie spuszczałą z oka, jest, że nie mają one wyłącznie służyć tylko do rozrywki, ale i do nauki; w każdym razie do obu. Nie spoglądają na poezye, romanse i dział beletrystyczny jak na nieprzyjaciela—bynajmniej. Wszystkie biblioteki zaopatrzone są obficie w powieści i miewają po kilkanaście, po kilkadziesiąt nieraz egzemplarzy najpoczytniejszych. Etyczne i edukacyjne znaczenie powieści jest w Anglii całkowicie uznane. Rozumie się, że młodzież, kobiety i cała przeciętna publiczność od nich czytać zaczyna i długo przy nich pozostaje. Obliczają, że od 35 do 80% czytelników wyłącznie się tą strawą karmić zwykło. Ale stopniowo liczba ich się zmniejsza i na-przód obok powieści zaczynają pragnąć realniejszej strawy, a potem całkowicie do tej ostatniej przywykają. Biografia i podróżopisarstwo stoją już w wielu dawniej ufundowanych bibliotekach pomiędzy książkami tak samo poszukiwanemi jak dzieła czystej wyobraźni. Są one zazwyczaj dobrze w powa-

źniejsze dzieła zaopatrzone przez dary całych księgozbiorów zamężnych obywateli miejscowych; a i własne fundusze do zakupywania ich wystarczają. Niektóre z nich mogą już poświęcać na nie do 4,000 f. szt. rocznie. Handel księgarski, który się z początku tych bibliotek publicznych obawiał, obecnie zaczyna już na nie spoglądać jako na cenną klientelę. Nie tylko, że kupują wydawane dzieła, ale przez szerzenie oświaty, przez rozbudzanie zamiłowania do czytania przygotowują nowe pokolenia, które będą w książce widzieć niezbędną przynależność życia.

Zaledwo otwarta biblioteka publiczna staje się niebawem taką potrzebą dla mieszkańców, że chwilowe jej zamknięcie, dla reparacy i t. p., uważane jest za rodzaj klęski. Gdy słynny krytyk i poeta Matthew Arnold zdawał sprawę ze swej podróży po Stanach Zjednoczonych, nie omieszkował mówić, że rysem miejscowym, który go tam najbardziej zdziwił, był widok bosego chłopaka, studyującego w bibliotece. Obecnie i w Anglii nie jest to rzadkością. Ale nie dla samego tylko proletaryatu są one użyteczne. Coraz częściej widać karety z upudrowanymi lokajami zatrzymujące się przed ich drzwiami. Widocznem jest, że przesady arystokracji i snobizm rozbijają swą opozycję i że, utrzymując bibliotekę ze swych podatków, nie wstydzą się już z niej korzystać.

Ważnym bardzo warunkiem, przyczyniającym się do rozwoju bibliotek i czytelni publicznych i do wzmożenia ich umoralniającego wpływu, jest otwieranie ich w niedziele i święta. Wiadomo, że w dniach tych masa ludowa skazana jest na bezczynność; a że szynki są otwarte w godzinach pomiędzy nabożeństwami i po nich, zatem w nich tylko szuka rozrywki. Mimo całego nacisku, wywieranego przez stronnictwo postępowe, muzea i galerie są jeszcze ściśle zamknięte w niedziele, ale wobec doskonałych rezultatów, jakie okazują biblioteki publiczne, przepełnione w tym dniu, wolno się spodziewać, że i tamte pójdą za tym zbawczym przykładem. Przedewszystkiem jednak idzie organizatorom bibliotek popularnych o przyciągnięcie do nich młodzieży klasy ludowej. W samym Londynie, nie trzeba zapominać, 80,000 chłopaków i dziewcząt opuszcza corocznie szkoły elementarne i, przy braku środków materialnych, dalszego kształcenia się zaniedbuje. Taką dobrowolną szkołą, dostar-

czającą książek i pozwalającą studyować w spokoju, poza ciasnem i niewygodnem zazwyczaj mieszkaniem rodziny robotniczej, są te instytucye. Znaczenie ich powiększy się nakoniec przez połączenie bibliotek ze szkołami technicznymi, wieczornymi i szczególnie z zakładami, które Anglicy nazywają *Politechnicon*. Prawie w każdym municypium londyńskiem dwie te instytucye wzajemnie podają sobie ręce. Jako przykład przytoczyć możemy bibliotekę w dzielnicy Chelsea. Lord Cadogan, który ofiarował ziemię, na której wzniesiony został powabny jej budynek, ofiarował teraz przyległą na zakład politechniczny, który budować zaczęto. Biblioteka stanie się składową częścią instytucyi, która gromadzić będzie całą młodzież tej dzielnicy miasta. Odczyty publiczne, wykłady, konferencye naukowe, które się tam odbywać będą, staną się nowem ogniskiem umysłowem i utrzymają reputacyę oświaty i artyzmu, z którego Chelsea słynie od dawna. Demokratyczne masy nie mają już prawa skarżyć się, że ich wykształcenie zostawione zostało odłogiem. W miastach prowincjonalnych angielskich biblioteki municypalne stały się już od samego ich początku naturalnem siedliskiem odczytów publicznych; Londyn także iść zaczyna w tym kierunku i chce około nich stworzyć prywatne, miejscowe akademie.

Widocznie biblioteki publiczne zdają sobie sprawę ze swego społecznego zadania, skoro nie przestając na wzbogacaniu i dopełnianiu swych własnych zbiorów, starają się już o propagowanie nowej ich gałęzi, a mianowicie bibliotek szkolnych. Zarys nasz nie byłby kompletnym, gdybyśmy tę stronę kwestyi pominęli. Jak wiadomo z cyfr statystycznych za rok 1889, ogłoszonych przez wydział wychowawczy, 3,614,967 dzieci pomiędzy 6 a 14 rokiem życia uczęszczało do szkółek w ciągu roku. Jest to cyfra pokaźna, ale ktokolwiek się bliżej kwestyami pedagogicznymi zajmował, nie daje się nią oslepić. Rezultaty oświaty pobieranej w szkołach elementarnych są małe, dlatego, że organizacya ich aż do ostatnich czasów niezmiernie wiele zostawia do życzenia. Pomiedzy najnagleszemi reformami jest zaopatrzenie każdej bez wyjątku szkółki w bibliotekę, w którejby uczniowie czytać mogli w godzinach poza klasowych. Dotąd prawie zupełnie brakuje ich w Anglii. Gdy się pomyśli, że

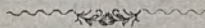
w Stanach Zjednoczonych jest 23,000 bibliotek szkolnych, zawierających 45,000,000 książek, to jest o 12 milionów więcej aniżeli we wszystkich razem bibliotekach starej Europy, to rumienić się za tę ostatnią wypadnie. Na czele państw europejskich w dziale bibliotek szkolnych stoi Francya. *Bibliothèques populaires des Ecoles publiques* uorganizowało ich już nie mniej jak 35,000 i znajduje się w nich 4,000,000 książek, a minister oświaty przesyła już do nich w ostatnich latach książki, wartujące przeszło 600,000 franków. Nie tylko dzieci, ale i ich rodzice mogą z nich czerpać. Anglicy chcą obecnie to samo u siebie zaprowadzić i biblioteki publiczne municypalne wzięły się do tego użytecznego dzieła jako pośredniczki. Ustanowiwszy oddział specjalny książek odpowiednich dla młodego wieku, przesyłają je w darze szkołkom elementarnym, w swym okręgu się znajdującym, i stopniowo zakładowy ten zbiór zbogacają książkami zużytemi, uszkodzonymi, albo posiadanymi w wielkiej liczbie egzemplarzy. Istnieje także inna organizacya w Plymouth, Leeds i innych prowincjonalnych miastach, gdzie specjalny księgozbiór dla młodzieży szkolnej wypożyczany jest przez bibliotekę jednej szkółce, z warunkiem, aby po kilkomiesięcznem z niego użytkowaniu przesłany został do sąsiedniej. Jest to dopiero początek ruchu, który zapowiada się płodnym w dobre następstwa.

Ale agitacya postępową szerzy się obecnie dalej jeszcze. Uważając instytucję bibliotek publicznych za ostatecznie rozwiązaną po miastach i mogącą być tam zostawioną samą sobie, zajmuje się sposobami, przez jakie uorganizowaćby się one dały po wsiach. Zadanie jest tam nie tylko rozleglejsze, ale najeżone rozmaitemi trudnościami miejscowemi, których spuścić z uwagi niepodobna. Nie można powiedzieć, ażeby ludność wieśniacza angielska była całkowicie czytelną i książek pozbawioną. Wzmiankowaliśmy już wyżej, że prawie zawsze proboszcz uorganizował ją przy plebanji, często także jest w dworze squire księgozbiór, oddawany na użytek miejscowych włóścian. Lecz łatwo zrozumieć, że biblioteka pastora, o tendencyach przeważnie, jeżeli nie wyłącznie kościelnych, jest zamkniętą dla tych, którzy do innych wyznań i sekt należą; co zaś do squire, to, dzięki jego wysoce zachowawczym zasadom, nie sprzyja on

takim „nowinkom,” jak czytanie pod strzechą wieśniaczą. Są także stowarzyszenia filantropijne, które całkiem bezpłatnie albo za bardzo małą opłatą dostarczają wsiom książek do czytania. Najlepiej uorganizowana jest pod tym względem *Yorkshire Union*, znajdująca się pod dyrekcją p. Franka Curzon. Utworzył on bibliotekę z 30,000 tomów dla wsi, i po 200 tomów wypożyczanych bywa na trzy miesiące. Dwieście wsi z górą w hrabstwie York korzysta z tej instytucji. Jest wiele innych na jej wzór utworzonych, ale nie ulega wątpliwości, że dopóki gminy wiejskie nie uorganizują u siebie bibliotek publicznych stałych na podstawie aktu Ewarta, kwestya rozwiązana nie zostanie. Główną przeszkodą jest naturalnie brak funduszu w budżecie gminy. Chociaż istnieją nadzwyczajne różnice w dochodach, jakimi rozporządzają, a które od 5,000 f. szter. rocznie schodzą w niektórych miejscowościach do sumy 300 funtów, to wogóle nie są one zamożne. Strącając po pensie od funta na bibliotekę, wyjątkowo tylko doszłoby się do 20 funtów rocznie. Tam, gdzie wielki właściciel ziemski wzniesie dom i ufunduje bibliotekę dla wieśniaków, jak tego jest kilkanaście przykładów, a między innemi często opisywana w szkockiej wiosce Longfor-gan, albo wzorowa biblioteka w Bebington, tam ludność miejska korzysta z niej z niespodziewaną skwapliwością. W wielu wsiach zamieszkiwanych przez robotników górniczych rozpoczęła się już wielostronna działalność za jej utworzeniem. Kwestya agituje się i stopniowo dojrzewa. Nie będzie prawdopodobnie w początku innego sposobu rozwiązania jej, jak przez ugrupowanie kilku sąsiadujących wiosek w jedną całość. Ale właśnie obecnie na porządku dziennym prac parlamentarnych staje sprawa wy-emancypowania ludności wiejskiej, stopniowego jej uwłaszczania i oddania w jej własne ręce samorządu gminnego przez utworzenie rad okręgowych, na które zgadzają się już torysi, albo nawet rad parafialnych, żądanych przez whigów. Czy w tej szerszej, czy też tylko w ściślejszej organizacyi samorząd wiejski zaprowadzonym zostanie, niema wątpliwości, że, przy wzbudzonym interesie do oświaty, zakładanie bibliotek publicznych i czytelni po wsiach nie da długo na siebie czekać.

P. Tomasz Greenwood, którego popularnej książce *Public Libraries* wiele wyżej wymienionych szczegółów zawdzięczamy,

i który może być uważany za jednego z najczynniejszych orędowników sprawy bibliotek publicznych, przepowiada, że jeszcze przed końcem naszego stulecia będzie ich 500 w Anglii. Nie można cyfry tej uważać za przesadzoną, gdy się pomyśli, że są już prowincjonalne miasta, jak Nottingham, gdzie już jest osiem bibliotek publicznych, i że uczęszcza tam do nich rocznie 1,250,000 czytelników, albo jak Leeds, którego municypalność się chlubi, że żaden z mieszkańców nie jest oddalony o więcej jak sześć minut od najbliższej biblioteki publicznej. Przykład działań będzie wszechwładnie i miejscowości zacofane tem łatwiej się ruszą, że oba stronnictwa polityczne, torysi i whigowie, mimo różnicy swego programatu, są w zgodzie na tym przynajmniej punkcie. Nad drzwiami słynnej biblioteki w Alexandryi starożytni Egipcyanie położyli byli napis: „Karmicielka duszy.” Coraz więcej współcześni Anglicy uznają słusność tego pojęcia i coraz energiczniej w myśl jego działań zaczynają. Nie trzeba będzie długo czekać na żniwo z tej siejby. Zamiast społeczeństwa prowadzonego na pasku przez klasy uprzywilejowane, arystokratyczne, wytworzy się potężna demokracja, tem silniejsza, że jej żadnego światła nie braknie.



HRABIA SHAFTESBURY.



Nie ma już obecnie poważniejszego umysłu, któryby chciał podawać w wątpliwość ciągle a stopniowe ulepszanie warunków społecznego bytu. Jest oczywistem, że więcej sprawiedliwości i harmonii, więcej oświaty i więcej dobrobytu przypada dzisiaj na dolę ludzkości, aniżeli kiedykolwiek w minionych czasach. Ale jeżeli utartej takiej prawdy dowodzić już nie ma potrzeby, to natomiast nie zdaje się nam, ażeby zdawano sobie dokładnie sprawę ze sposobu, w jaki się to podniesienie społecznego poziomu dokonywa, a przedewszystkiem, ażeby rozdawano podług zasługi obywatelskie wieńce przywódcom tego dzieła. Na przedniej straży idąca drużyna socjalistyczna taką czyni wrzawę około swego programatu, że doprawdy sądzićby można, iż oni i tylko oni wzięli w swe ręce sprawę wydziedziczonych i cierpiących, i że ich wyłącznej działalności przypisać wypada pocieszające ostatnich dziesięcioleci zdobycze. Nic błędniejszego atoli, aniżeli tego rodzaju przypuszczenie. Byli zawsze i są także za dni naszych, wpośród warstw towarzyskich, uprzywilejowanych i z natury rzeczy zachowawczych, ludzie z gorącym sercem, z orlą żrenicą i organizacyjnym umysłem, którzy dziełu temu swe życie poświęcili i którzy istotnie popchnęli ludzkość o jeden szczebel bliżej ku świetlanemu

ideałowi. Mężowie stanu i filantropowie zrobili pod tym względem daleko więcej, aniżeli się to pewnym retorom przyznać podobają. Gdy się na jednej szali stawia takich ludzi jak Wilberforce wyswobadzający niewolników, jak Cobden wywalczający dla masy narodowej chleb tani i t. p., a na drugiej cały hufiec agitatorów socjalistycznych, to nie da się zaprzeczyć, że pierwsi daleko więcej uczynili dla urzeczywistnienia nowego zakonu. Rasa Wincentych à Paulo liczyła zawsze w Anglii swych przedstawicieli i niema sposobu przyznać socjalistom monopolu reformatorskiego. Wojownicze stanowisko wyrobiło w nich do wysokiego stopnia duch krytyczny, a stłumiło gorący zapał, który jedynie ziemską rudę na czysty metal przepalić potrafi. Kruszą przedewszystkiem i obalają, kiedy szczerą miłością zagrzani filantropowie albo mężowie stanu, uznający potrzebę reform wykonalnych, budują i przeistaczają rudery starodawne na odpowiednie potrzebom chwili domostwa.

Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że filantropowie sami przez się, nawet przy największych wysiłkach, nie są w stanie zmienić społecznego ustroju i zniweczyć zawartych w nim ułomności. Lecz skąd prawo pomiatania ich działalnością, jak się to nie raz w ostatnich czasach socjalistom czynić podobają? Nawet gdyby filantropia ograniczyła się do wyplenienia najbardziej o pomstę wołających krzywd społecznych, jużby na publiczną wdzięczność zasługiwała. A są pomiędzy nimi osobistości, które same są w stanie zrehabilitować ludzkość, o bezsercowym egoizmie pomawianą. Jednostka, szczególnie wśród społeczeństw, gdzie żadne szranki inicjatywy obywatelskiej nie krępują, udowodnić może, że indywidualizm, owa rzekomo wsteczna zasada, nosi w swem łonie wszystkie czynniki szerokiego, nieograniczonego postępu.

Więcej niż kiedykolwiek, zdaje się nam teraz na dobre zwracać uwagę na przedniejszych w tej podniosłej sferze zapasników. Za przykład służyć mogą i za zachętę. Czytelnik, który zechce objąć wraz z nami jednym spojrzeniem działalność zmarłego przed paru laty hr. Shaftesbury, przyzna zapewne, że nie można było znaleźć doskonalszego typu filantropii.

Antoni Ashley-Cooper, siódmy hrabia Shaftesbury, był potomkiem dwóch szlacheckich rodzin, znanych już za czasów królowej Elżbiety. Ale wielkość i rozgłos tego szczepu datuje dopiero od XVII stulecia, gdy Antoni Ashley podniesiony został za Karola II naprzód do godności barona, następnie w 1672 r. hrabiego, a niebawem mianowany kanclerzem państwa. Najpowszechniej nawet z dziejami angielskimi obznajmieni przypominają sobie muszą tego genialnego, awanturniczego męża stanu, przerzucającego się z jednej partii do drugiej, raz podpory króla, to znowuż jego zaciętego przeciwnika, autora aktu *Habeas Corpus*, owej podwaliny swobody indywidualnej, zawziętego wroga katolicyzmu, polityka, umierającego na wygnaniu. Wśród wielu figur rewolucyjnej epoki angielskiej postać kanclerza Shaftesbury zajmuje miejsce wybitne¹⁾. Wnukiem jego był ów słynny autor „*Characteristics*,” którego Voltaire wysławiał jako najznakomitszego z filozofów i wolnomysłicieli angielskich. Dalsi potomkowie rodu nie odegrali żadnej wybitnej roli, ale przez małżeństwa z dziedziczkami wielkich fortun i książęcych rodzin podnieśli towarzyski splendor imienia, a wspaniała rezydencya hr. Shaftesburych w St. Giles, hrabstwie Dorset, zasłynęła jako zbiór arcydzieł sztuki i magnacka siedziba. Ale widocznie przedstawiciele tej rodziny żyli nad stan i źle majątkami swymi zawiadywali, skoro fortuna się zaszargała. Ojciec wielkiego filantropa, szósty hrabia, starał się odreparować ją

¹⁾ Otwieramy tu nawias, który, być może, nie będzie bez interesu dla naszych historyków. Pomiedzy niezliczonymi pamfletami, odnoszącymi się do osobistości kanclerza Shaftesbury, trafiliśmy w Bibliotece British Muzeum na jeden, który w pierwszej chwili w błąd wprowadzić może, gdyż odnosi się do jego wyboru na tron polski. Bezimienny autor tego pamfletu, zażarty widocznie wróg kanclerza, zwalcza go bronią ironii i szyderstwa. Przypuszcza on, że ambitny mąż stanu został wybrany przez sejm na króla polskiego, z misją nawrócenia Turków na chrystyanizm! Gorliwość protestancka Shaftesburego stawiać go naturalnie musiała w jaskrawem przeciwieństwie i do narodu polskiego i do owej rzekomej misji. Pamfletiarz znalazł tam obfite źródło do żartów; góruje pomiędzy nimi długi szereg nominacy i listów nadawczych na dygnitarstwa polskie. Noszą one ogólny tytuł: *Arcana Imperii Poloniensis sub regem augustissimum Principis Anthonielski Ashleyki Primi, Dei Gratia illius populi Regis*, i t. d. W wielu innych współczesnych broszurach i pamfletach oskarżany był on także o ambitne pretendowanie do tronu polskiego i często nazywano go przez szyderstwo hrabią Tapskim.

nadzwyczajnem skąpstwem, co musiało być niełatwem zadaniem przy żonie, z domu księżniczce Marlborough, kobiecie całkiem oddanej światowym uciechom. W ten sposób tłómaczą się rozmaite materyalne trudności, z którymi musiał walczyć ich syn, gdy spadek dziedziczny posiadał. Urodził się w r. 1801 i był dość zaniedbany przez swych rodziców. Ów ferwor religijny, który go odznaczał i który stanowi najwybitniejszą stronę całego jego życia, wszczepiony został w dziecienny jego umysł przez piastunkę, której nigdy nie przestawał uważać za swą duchową matkę. Wychowany w szkole Harrow i w uniwersytecie oksfordzkim, gdzie się naukowemi zdolnościami odznaczył, wchodzi młody, dwudziestopięcioletni lord Ashley do parlamentu jako deputowany Woodstock'u, lenności książąt Marlborough. Droga gładką się przed nim stała. Obdarzony wyjątkową pięknnością, wykształcony, wysoce skoligowany, zaczynał zawód polityczny jako członek stronnictwa torysów, znajdującego się u władzy, a pozyskawszy sobie szczególne względy wszechwładnego ks. Wellingtona, zdawał się przeznaczony do samych salonowych, publicznych i politycznych sukcesów. I nastąpiłoby to niewątpliwie, gdyby się był zaciągnął do szeregów swej partyi i służył jej z zamkniętymi oczami, nie pytając o żadne wyższe, lecz jedynie o stronnnicze interesa. Ale lord Ashley nie mógł zgodzić się na taką rolę. Wziął do serca godło, wypisane na herbowej tarczy swojego rodu: „*Love and serve*” — kocham i służę — i postawił sobie za cel życia je spełnić, jakiegokolwiek mogło to pociągnąć dlań osobiste następstwa. Nie tylko nie został bezmyślnem narzędziem w ręku swego stronnictwa, ale od pierwszej nieledwie chwili zawodu publicznego ponad karność przełożył swą niezależność. Stanowisko takie jest zawsze trudnem, a było niem więcej jeszcze w epoce jego politycznego debiutu, wśród oligarchicznego świata angielskiego. Potrzeba było kilku dziesiątków lat niezmordowanej, mozolnej pracy i zdumiewających, praktycznych rezultatów, potrzeba było tryumfującej w dalekich krajach zamorskich popularności lorda Ashley'a, aby jego rodacy, jego najbliżsi, sprawiedliwość mu oddali. W apoteozie lat jego ostatnich, wobec czci nadzwyczajnej, jaką imię jego jest obecnie otoczone, nie należy zapominać, że życie jego szło po grudzie, że było naje-

żone trudnościami na każdym kroku. Jak sam słusznie napisał w poufnym zwierzeniu, cierpiał męki z tego nieprzyjaznego usposobienia, jakie napotykał: „Liga zbożowa nienawidzi mnie jako arystokratę, wielcy właściciele ziemscy jako radykała, bogaci jako niwelatora fortun, postępową partya religijna jako wsteczника, sekciarze jako anglikanina; kościół wysoki i popularny są oba ze mnie niezadowolone; whigowie widzą we mnie zachowawcę, a zachowawcy wyrzucają mi szkody, jakie wyrządziłem rządowi sir Roberta Peel’a i t. d.” Ale już sama jednomysłność różnolitej opozycji wskazywała, że nikt nie traktował go jako podrzędną osobistość. Ten wielki pan, który się stał rzecznikiem i obrońcą małuczkich i cierpiących, który walczył bez przerwy za urzeczywistnienie miłosierdzia chrześcijańskiego, był w oczach sfer towarzyskich, do których należał, rodzajem ekscentrycznego Don-Quichota; jego teorye i jego działalność policzkowały ich bez ustanku, dręczyły jak wyrzut sumienia, stały się zmorą. Lecz gdy go nie było można ani złamać śmiesznością, ani przekonać krytyką, ani ubezwładnić opozycją, to naturalną rzeczy kolejną przyjść musiała chwila, że popularność otrzymana z dołu, uwielbienie i miłość ludu, który witał w nim swego bohatera, oddziaływała i na jego towarzyszy: uznali wtedy za właściwe, za korzystne zsolidaryzować się z jego wielkością moralną i wczorajsi przeciwnicy zaprzęgli się ochotnie do jego rydwanu. Treściwemu skreśleniu jego publicznego zawodu brakowałoby atoli jednego, niezbędnego ogniwa, gdybyśmy pominęli jego żonę, Emilię hrabiankę Cooper — matka jej poślubiła powtórnie lorda Palmerstona, a lord Ashley został zięciem tego ostatniego. Lady Ashley była kobietą wzniosłego serca, najprzykładniejszą żoną i matką dziesięciorga dzieci. Nie tylko nie powstrzymywała ona swego męża na drodze obowiązku, ale przeciwnie, umacniała na niej, z jakimkolwiek to mogło być dla nich osobistym uszczerbkiem. A położenie ich było nieraz trudne. Aż do śmierci swego ojca, która nastąpiła w 1851 r. i wskutek której lord Ashley został hrabią Shaftesbury, był on ubogim. Położenie jego materialne bywało krytyczne; jest pełno wzruszających szczegółów o wsparciach i jałmużnach, których nie miał możności udzielać — raz oddał biednemu polskiemu wychodźcy ostatni bilet pięciofuntowy,

który posiadał w domu! Łatwoby mu było nieraz wyjść z tych trudności natychmiast, przyjmując urzędy i ministeryalne stanowiska, jakie mu ofiarowane były. Ale, zgodnie z zapatrywaniem żony, odrzucał je zawsze, gdy mu je trzeba było okupywać ustępstwami na rzecz opinii i projektów rządowych, krępujących jego filantropijne przedsięwzięcia. Powierzchnowy spozstrzegacz będzie w takich czynach widział jedynie oznakę zwykłej uczciwości, ale inaczej sądzić je musi ktokolwiek z praktyką życia jest obeznany i wie, do jakich kompromisów doprowadzani bywają mężowie stanu pod wpływem materyalnych trudności i domowych stosunków. Nigdy nie zaważyły one na szali lorda Ashley'a, i dlatego w ciągu życia, obejmującego 85 lat, niepodobna jest spostrzedz ani jednego zboczenia z nakreślonej sobie drogi. Być sługą Boga i narodu postanowił i aż do ostatniego tchnienia zadanie to spełniał. Nie dawał sobie wypoczynku i zaledwie jedną reformę, jedno ulepszenie urzeczywistnił, natychmiast brał się do drugiego; a gdy stanął u kresu żywota swego, nie chlubił się tem, czego dokonał, ale żałował, że w tylu innych pracach społecznych udziału czynnego brać już nie będzie.

Epoka, w której młody lord Ashley publiczne swe działanie rozpoczynał, była chwilą wszechstronnej agitacji wśród społeczeństwa angielskiego. Wrzało i kipiało na każdym punkcie i nowe prądy energicznie torowały sobie drogę wpośród napiętrzonych przeciwko nim zapór. Kraj był ekonomicznie zrujnowany przez wojny z Napoleonem, a rozsiadający się systemat rękodzielniczo-fabryczny zaznaczył się w pierwszym dziesięć lat swego istnienia dotkliwymi ciosami, jakie zadał dawniejszej organizacyi robotniczej. Zboże dochodziło do cen bajecznych, lud umierał z głodu, buntował się, napadał na fabryki, palił je i kruszył maszyny, widząc w nich swych wrogów. Trzeba było przywracać porządek publiczny, trzymać na uwięzi zrozpaczony proletaryat, dźwigać kraj z materyalnej ruiny, a jednocześnie zaspokajać wymagania całej warstwy średniej narodu, która nie chciała dłużej pozwolić, ażeby oligarchia arystokratyczna wyzyskiwała społeczność gwoili egoistycznym interesom swojej kasty. Bill reformy 1832 r. kanalizuje ruch polityczny i emancypuje naród. Na szerokiej podstawie swobód publi-

cznych wykwiła różnokierunkowa agitacja reformatorska. Zniesienie niewolnictwa, emancypacja katolików, liga przeciwko cłom zbożowym—są najpowszechniej znanymi, przeważnymi jej momentami. W każdej z tych spraw życiowych trzeba było zająć stanowisko jawne, stanowcze, i zerwać ze swą partią, jeżeli nie dzieliło się jej uprzedzeń. Lord Ashley nie tylko nie chciał należeć do rządu, który się tym postępowym zasadom sprzeciwiał, ale złożył nawet dobrowolnie mandat poselski, gdy jego wyborcy w hrabstwie Dorset sprzeciwiali się zniesieniu ciał zbożowych. Bez deklamacyi, z prostotą i powagą, nieodstępnie go cechującą, stawał on zawsze po stronie cierpiącej masy i, o ile to było w jego mocy, starał się sprzeciwiać utrwaleniu niesprawiedliwości i prześladowań prawnych, ekonomicznych, religijnych, społecznych.

Pomiędzy rozmaitemi zagadnieniami, jakie się wówczas narzucały uwadze każdego człowieka, posiadającego głowę i serce na właściwem miejscu, było ulepszenie położenia ludności robotniczej po fabrykach i rękodzielniach. Nie mogło ulegać wątpieniu, że skoro gospodarstwo fabryczne rozsiało się wśród społeczności, skoro maszyny i para potęgowały bogactwo warstwy przemysłowej w nadzwyczajnych rozmiarach, to i warstwy robotnicze powinny były znaleźć sposób polepszenia swego bytu. Nie tylko jednak nie miało to miejsca, ale zaprzeczać nikt się już nie poważył opłakanego stanu, w jaki one pogrążone zostały. Właściciele fabryk i rękodzielnicy traktowali robotników jak bydło, jak białych niewolników, i nie tylko dorosłych mężczyzn, ale kobiety, dziewczęta, drobne dzieci zaprzęgali do służby maszyn z istotnem okrucieństwem, tem straszniejszym, że było samego siebie nieświadomem i że ogłoszone zostało przez teoretyków jako nieodzowny warunek nowej formy pracy wytwórczej. Potrzeba było nieledwie trzech ćwierci stulecia, aby stosunki te zmienić radykalnie; i gdy rzucamy dziś okiem wstecz, na przebieżone stadya rozwojowe, zrozumieć nam trudno, że ta czarna strona dziejów jest świeżą, jest wczorajszą dopiero.

Lord Ashley był jednym z najgorliwszych pracowników na tem polu i angielski *Factory System* był smokiem, którego wyzwał do walki. Trzeba było długiego szeregu lat, ażeby reformy częściowe i stopniowe osiągnąć się dały; ale gdy się

obejmie całość jego działalności, nie można zaprzeczyć, że olbrzymi wysiłek, podjęty celem usunięcia niesprawiedliwości, krzywd i nadużyć, przyniósł błogosławione owoce. Obecnie zasada interwencji państwa, jako uosabiającego prawo, sprawiedliwość i ogólnie społeczny interes, weszła już w naszą krew i życie; ale przed pół wiekiem, wśród atomicznego indywidualizmu, wśród rozszalałej konkurencji, wśród doktryny *laissez-faire*, uznanej przez manchesterską szkołę za alfę i omegę ekonomicznej mądrości—wydawało się wszystkim, interesowanym w utrzymaniu *status quo*, gorzej niż herezyą, zbrodnią po prostu, gdy się chciało ograniczać pracodawcę w warunkach wytwórczości i mieszać się do umów, zawieranych z robotnikami. Rzeczą przedsiębiorcy było zarobić jak najwięcej; a skoro on się zbożował, podnosząc pośrednio poziom powszechnego zasobu, to nikt nie miał prawa wgłądać w sposoby, jakimi się w jego zakładach odbywała praca,—nikt nie powinien był nadstawiać ucha na jęk robotników, ani patrzeć na krew i pot ich śmiertelny. Przemówić do serca społecznego, wzruszyć je, stawiając wierny obraz proletariatu robotniczego, pozyskać dla siebie opinię narodu i dać jej wyraz dotykający w reformach prawodawczych—oto co trzeba było uczynić,—a biorąc na uwagę tytaniczny ogrom tego zadania, nie można się dziwić, że jego urzeczywistnienie trwało lat dziesiątki, że dzisiaj jeszcze niektóre części wielocłonkowego programu tego czekają ostatecznego rozwiązania. Będzie nieśmiertelnym tytułem do narodowej wdzięczności dla lorda Ashley'a, że stał w pierwszym szeregu orędowników sprawiedliwości społecznej i że przez dwadzieścia lat bez przerwy sprawie tej się poświęcał.

Postanowiwszy stać się w łonie parlamentu obrońcą klasy robotniczej, lord Ashley nie pierwszej wystąpił z projektem prawodawczym, aż się osobiście ze stanem rzeczy obeznał. Przyjmował deputacje robotnicze, zwiedzał fabryki, zbierał statystyczne dane, zaglądał do mieszkań biednych, a raczej do jam, w których żyli,—a im więcej wnikał w naturę i rozmiary zła, tem bardziej utrwalał się w przeświadczeniu, że chrześcijanin i mąż stanu nie ma pilniejszej sprawy do rozstrzygnięcia, jak tę właśnie. Rozumnem było, iż, nie mogąc od razu wszystkich stron poruszyć, podjął najsromotniejszą — wyzyskiwanie dzieci.

Było wtedy rzeczą zwykłą, że sześciolatnie dzieci pracowały już w fabrykach i kopalniach; w tych ostatnich ciągnęły małeńkie chłopcy i dziewczęta żelaznymi łańcuchami, co ich biodra opasywały, taczki, naładowane węglem; do fabryk chodzili nieraz z miejscowości o 20 mil odległych, pozbawione snu i żywności; godziny ich pracy, a raczej godziny ich katuszy, trwały po trzynaście, czasami po czternaście godzin. Gdy uciekały, po schwytaniu były bite i na nowo do surowszej jeszcze roboty zaprzężone. Ani o religii, ani o nauce, ani o zdrowiu fizycznym dla tej dziatwy mowy nie było. Stanać w obronie tych ofiar, na dziesiątki tysięcy się liczących, było praktycznym celem billu, jaki lord Ashley przedłożył izbie gmin w r. 1833-im. Proponował on ograniczenie godzin pracy do dziesięciu dla kobiet, zabraniał pracy dzieci przed skończeniem lat dziewięciu i dziesięciogodzinną ich pracę przeplatał obowiązkową szkołą i odpoczynkiem. Był to pierwszy zarys jego projektu. Nie mamy miejsca wchodzić w jego szczegóły: rozmaite zmiany, jakim uległ, mowy potężne, jakimi go poparł, strategiczne manewry, które wezwał na pomoc, aby bill ten przeprowadzić, zawiodłyby nas za daleko. Już w pierwszej tej kampanii zauważyć można, że nie chodzi mu o osobisty tryumf, ale że ochotnie ustępuje na drugi plan, byle tylko sprawę, o którą chodziło, o jeden krok na przód posunąć. A co za intrygi, co za koalicje się zawiązywały, ażeby bezkarnie wyzyskiwać owe słabe, bezbronne istoty dla marnego powiększenia swych dochodów! Sympatye nie tylko zachowawczego ministryum, ale także liberalnego, w którym lord John Russel zasiadał, były po stronie nie ofiar, ale oprawców—i w odpowiedzi na poważne, najeżone cyframi mowy lorda Ashley'a odpowiadali pogardliwie, widząc w nim demagoga, poduszczającego tłumy robotnicze do buntów. Nawet przywódcy radykalnego ruchu ekonomicznego, jak R. Cobden, nawet ewangeliczną doktryną chełpiący się kwakrowie, jak John Bright albo Ashworth, napadali nań zażarcie, gdy ich dochody zdawały się im zagrożone. Wszystkie narzędzia były godziwe, ażeby powstrzymać agitację lorda Ashley'a: jednym z najskuteczniejszych było nie tylko przedłożenie, ale nawet uchwalenie daleko radykalniejszego billu, aniżeli ten, którego on był autorem, ale z tem milczącym zastrzeżeniem, że nie miał on nigdy wejść w życie.

Ale wszystkie przeszkody, jakie mu stawiano, potęgowały tylko jego energię, a czerpać mógł zachętę w coraz silniejszym poparciu masy narodowej, którą czuł za sobą, w sympatycznym współdziałaniu najszlachetniejszych umysłów: dość będzie wymienić poetę Roberta Southey, wielkiego romansopisarza Karola Dickens'a, d-ra Arnolda, Daniela Webster'a, oraz wiele innych znakomitości, do rzędu których dodać wypada samą, młodą wówczas królową Wiktoryę, a wkrótce i jej małżonka, ks. Alberta. Mowy wygłaszane na meetingach i w izbie gmin, artykuły po dziennikach i przeglądach, takie mu nadały stanowisko, że po upływie kilku lat każdy gabinet te tylko projekty w przedmiocie reform humanitarnych wprowadzał, które jego poparcie znajdowały. W mowach jego niema ani śladu szumnej frazeologii, ale uderza w nich zato uczucie religijne, jawne i z takim naciskiem wypowiedziane, jakiego gdzieindziej poza obrębem Anglii spotkać nie można w ustach polityka i męża stanu. W każdym wypowiedzianem przezeń słowie było widocznem, że religia nie jest dlań zewnętrzną formułką, ale rdzenną istotą jego natury.

W roku 1842-im kilkoletnia działalność lorda Ashley'a została uwieńczona pomyślnym skutkiem i obie izby parlamentu uchwaliły bill o pracy po kopalniach: dzieci i kobiety, cierpiące nadludzkie męczarnie w podziemnej Gehennie, zostały nareszcie oswobodzone. Był to pierwszy tryumf humanitaryzmu i dodał mu nowego bodźca do agitacji za billem o ograniczeniu pracy do dziesięciu godzin dla dzieci, niedorostków i kobiet po fabrykach, warsztatach i rękodzielniach. Po upływie dwóch lat, w r. 1844, zdawał się już być blizkim osiągnięcia celu, do którego zmierzał od lat jedenastu, ale raz jeszcze przegrał parlamentarną bitwę: ministeryum sir Roberta Peel'a zrobiło z przyjęcia tego billu kwestyę gabinetową i, jak zrozumieć łatwo, wobec interesu partyi, kwestya męczarni istot oddalonych i nieledwie problematycznych nie mogła się ostać. Ale, mimo tego, było widocznem, że kwestya dojrzała i lord Ashley mógł się poszczycić pozyskaniem dla niej osobistości wybitnych, jak lorda Palmerstona, lorda Johna Russell i Macaulay'a, historyka i jednego z najpierwszych mówców parlamentarnych. Bill, który wniósł w r. 1845, o opiece nad dziećmi po fabrykach

plócienek drukowanych, nie spotkał już tak silnej opozycji, jak dawniejsze, i został uchwalony. Z okazji tego billu lord Ashley wypowiedział te pamiętne słowa: „Nieraz mnie zapytują, gdzie się zatrzymam w moich propozycjach, dotyczących polepszenia bytu dzieci i kobiet, pracujących po kopalniach i fabrykach. Odpowiadam, że nigdy się nie zatrzymam, dopóki pozostanie jakikolwiek ułomek tego zła, na które cierpią.” Istotnie, pozostał wiernym temu wyznaniu wiary w całym ciągu swego publicznego zawodu. Jak wiadomo, bill o dziesięciogodzinnej pracy przeszedł w parlamencie dopiero w r. 1847-ym i, przez ironię losu, lord Ashley właśnie przez cały ten rok nie był członkiem parlamentu: ażeby nie stać w sprzeczności z opinią, przemagającą u jego wyborców, żądających utrzymania ceł zbożowych, złożył był on wówczas mandat poselski. Nim to uczynił, wniósł ponownie swój bill i zdał jego prowadzenie na swych kolegów, a przede wszystkim na p. Fielden. Ale gdy nareszcie czternastoletnia kampania parlamentarna uwieńczona została pożądanym skutkiem, cały kraj zwrócił się do lorda Ashley’a z wyrazami dziękczynienia i błogosławieństwami. Bito medale na jego cześć, w kościołach obchodzono dzień ten przez uroczyste nabożeństwa, jako dzień tryumfu. Nie można się temu wybuchowi entuzjazmu narodowego dziwić, gdyż z pomiędzy 544,876 robotników, pracujących wtedy w zakładach tkackich, nie mniej jak 363,796 kobiet, niedorostków i dzieci miało naraz godziny pracy z 12 do 10 sprowadzone. A cały ten *Factory Act* nie ogranicza się do zmniejszenia godzin, ale kodyfikuje organizację pracy: dozór higieniczny nad budowlami, zapobieganie niebezpieczeństwom przy używaniu i obsłudze machin, ustanowienie wypoczynku, czasu na posiłek, na szkołę, i wiele innych rozporządzeń było doń wprowadzonych. Można śmiało powiedzieć, że wszystkie dalsze ulepszenia i reformy dla warstwy robotniczej były logicznym następstwem tego aktu. Mąż stanu, który z nim imię swe zespolił, zasłużył sobie na miano dobroczyńcy swego narodu. Zbytecznem byłoby zapewne dodawać, że cała klasa przemysłowców, która upierała się przy dwunastu godzinach pracy i zapowiadała swą niechybną ruinę w razie, gdyby im odebrana była możność prześladowania bezbronnych istot, pogodziła się wkrótce z tym nowym porządkiem rzeczy i ani

ich dochody, ani zasób społeczny nic na nim nie straciły. Jak się samo przez się rozumie, lord Ashley, czyli, jak go od 1850 r. nazywać wypada—lord Shaftesbury, nie spuścił w następnych latach swego duchowego dziecięcia z oczu i obstawał u wszystkich rządów o mianowanie komisji parlamentarnych i inspekcji śledczych, których zadaniem było przekonać się o skrupulatnem wypełnianiu zawartych w tym akcie rozporządzeń—i miał prawo z zadowoleniem oświadczyć w r. 1874-ym, że nie mniej jak 2,500,000 robotników znajdowało się pod dobroczynną tego aktu opieką. Dziwnym zbiegiem okoliczności zdarzyło się, że dwóch członków tej samej rodziny w odstępie dwóch stuleci wywalczyło dla społeczeństwa niezapomniane zdobycze: jeden *Habeas Corpus Act*, drugi *Factory Act*, który słusznie nazwany został *Magna Charta* stanu robotniczego.

Jak powiedziano wyżej, kampania, przedsięwzięta przez lorda Shaftesbury za polepszeniem warunków życiowych niższych warstw społeczeństwa, nie została wysnutą teoretycznie z jego umysłu, ale przeciwnie—była wpływem osobistych badań i spostrzeżeń. Nie ograniczał się do zwiedzania kopalni, fabryk i rękodzielni, ale naturalną rzeczą koleją wchodził do mieszkań ludu i miał tysiące sposobności pochwycenia jego codziennego życia na uczynku. Sympatya jego dla cierpiącej masy nie miała czasu stygnąć i musiał trzymać ją na wodzy—w tak rozlicznych była rozrywana kierunkach. Nie wiedział nieraz, od czego zacząć, jakiemu złu naprzód zaradzić. Bardzo słusznie jednak osądził, że, aby położyć tamę wzrostowi proletaryatu, najskutecznijszem będzie zacząć od dzieci i w pierwszych zaraz latach oswobodzić je od moralnego i fizycznego upadku. Chmury obdartych, prawie nagich dzieci, wałęsających się po ulicach Londynu, pokazywały, że wśród nich wzrasta pokolenie paryasów i złoczyńców, i jeżeli nie wątpił nigdy o konieczności wyrwania ich z kału, w którym grzęzli, to jedynie mógł się zawahać przed olbrzymimi rozmiarami, jakie przybraćby musiało jego zbawcze dzieło. Moralny ferwor, jakim był zagrzany, nie powstrzymał go wszakże—i silnie wierzył, że należy tylko wskazać drogę, zachęcić przykładem, a na ludziach dobrej woli nie zbraknie.

Taką kierowany myślą, utworzył cały szereg instytucyi, z których pierwsza nosiła nazwę *Ragged school*, czyli Szkołki

dla obdartusów, dla łachmaniarzy. Ażeby znaczenie tych szkółek zrozumieć, trzeba nie tracić z uwagi, że nie tylko około 1840 roku, gdy się on niemi zajął, ale o wiele później, bo aż do roku 1871, nie było w Anglii wcale szkółek elementarnych z ramienia państwa, że wychowanie początkowe zostawało wyłącznie w ręku kościoła i że w zależących od niego szkołkach było miejsce jedynie dla tych, którzy opłatę szkolną wnosić mogli. Oczywiście, że dla najniższych warstw towarzyskich, dla dzieci, tarzających się w rynsztokach, brudnych, obtarganych, zagłodzonych, nie było tam wstępu, i że te śmieci społeczne raz na zawsze skazane się zdawały na młodość spędzoną *sine luce, sine cruce, sine Deo* i na resztę życia w występku i nędzy. Dowiedziawszy się wypadkiem, że jakiś ksiądz dobrej woli szkołkę tego rodzaju utworzył, lord Shaftesbury poszedł ją zwiedzić i bezzwłocznie wziął się do zakładania podobnych. Z jakimi dziećmi miało się tam do czynienia, pokazuje sprawozdanie ze składu 15 pierwszych tych szkółek. Było w nich 2,345 dzieci, a pomiędzy niemi 162 wypuszczono z więzienia, 46 uciekło od rodziców, 179 sypiało w przytuliskach, nie mając dachu, 253 żyło z żebraniny, 216 było bosych, 240 napół ubranych, 101 nie nosiło bielizny, 68 było dziećmi galerników, a 306 było sierotami! Nie potrzeba nic więcej dodawać do takiej żałobnej statystyki. PrzYGARNĄĆ tę dziatwę, oczyścić materyalnie, trzymać spokojnie, wpajać w nie elementarne zasady uczciwości, mówić o Bogu i o obowiązkach, o czem nigdy przedtem nie zasłyszały—stało się zadaniem tych szkółek. Potrzeba było niemałego poświęcenia ze strony nauczycieli i dozorców tych zakładów: obsiadało ich nieraz robactwo. Ale apostolski zapał lorda Shaftesbury działał zachęcająco. Udało mu się zebrać do trzech tysięcy osób jako członków dyrygującego komitetu i zawiązał unię szkółek łachmaniarzy. Przez lat 45 rok w rok przydydował on na ogólnem zebraniu, rozdawał nagrody, przemawiał do uczniów i do nauczycieli. W tych ostatnich starał się wpajać zasadę, że niema powodu sztucznie podnosić kilku uczniów, a zaniedbywać całość, ale że lepiej jest zachować szkołkom charakter pomocy ewangelicznej dla najbardziej upośledzonej warstwy społecznej. Są tysiączne dowody umoralniającego wpływu, jakie one wywarły na dzieci. Garnęły się te biedne istoty pod skrzydła

ludzi, którzy pierwsi dali im dobre słowo i karm dla ducha. Ci, co raz do szkółki zajrzeli, przyciągali do niej rynsztokowych towarzyszy, braci i siostrzyczki. Gdy drzwi zastawali zamknięte, dobijali się do nich, mówiąc, że choć trochę religii lepszem jest, aniżeli nie mieć jej wcale! Powstawały szkółki niedzielne, do których regularnie uczęszczało 50,000 dzieci, szkółki dzienne, szkółki wieczorne, które same jedne miały 5,600 uczniów. W ten sposób przeszło 300,000 istot zostało wyrwanych armii występku i postawionych w normalnych warunkach życia.

Niebawem na tym pniu inne wystrzeliły gałęzie. Szukając zatrudnienia dla waleśających się po ulicach chłopaków, Shaftesbury i jego pomocnicy utworzyli w roku 1851 brygady czyszczących obuwie. Dobrze to jest znany obecnie typ na rogu każdej londyńskiej ulicy, ów chłopak w czerwonej kurtce i czapeczce z numerem swej brygady, czyszczący buty, ułatwiający przejście z jednego rogu na drugi, zamiatający błoto. Są oni wielce popularni i uczciwość ich jest przysłowiowa. Jest ich kilka tysięcy i zarabiają corocznie sumy, liczące się na przeszło 23,000 funt. szt., wpływające do kasy Towarzystwa. Każdy z tych chłopców uczęszcza wieczorem do szkół specjalnych, i gdy podраста, otrzymuje techniczne wykształcenie, rzemieślnicze lub fabryczne: jest przeszło 400 takich spółek.

Dzieci we wszystkich zakładach tego rodzaju traktowane są z nadzwyczajną pieczą i troskliwością, istotnie po rodzicielsku. Urządzane są dla nich zabawy, letnie wycieczki na wieś, rozdawane są im podarki i t. d. Każde ich dobre skłonności i postępy otrzymują nagrodę; nie karami, ale podniesieniem szlachetniejszych stron natury ludzkiej, posługują się ich nauczyciele. Nie dziwota tedy, że całe to młode pokolenie lgnie do tych opiekuńczych zakładów, że otaczało lorda Shaftesbury gorącą miłością. Z dumą nazywali siebie we wszystkich ważniejszych okolicznościach życia: „*I am Lord Shaftesbury's boy*,” a pochodzenie ze szkoły obdartusów stawało się najlepszem poleceniem, gdy ubiegali się o miejsce czeladników i zarobkującej młodzieży. Sprawdził tedy ów dobry hrabia, jak go ogólnie nazywali, ową maksymę ewangeliczną, że poniżeni wywyższeni będą. Trzeba było z jego strony istotnie pracy nadludzkiej, i to nieprzerwanie trwającej przez całe dziesiątki lat, aby

wszystkim obowiązkom kierującego tymi zakładami podołać. Ale jako nagrodę miał ten fakt niezbity, iż występki nieletnich zmniejszyły się w stosunku 75%. Cyfra ta, stwierdzona przez urzędowe wykazy statystyczne, nie potrzebuje komentarzy.

Niestrudzony w swych pomysłach odrodzenia podupadłej moralnie dziatwy, Shaftesbury usiłował otwierać im coraz nowe zawody. Wiedząc, jak niezdrową jest dla nich atmosfera stolicy i na jaki nadmiar biednej ludności ona systematycznie cierpi, starał się zawsze wysyłać chłopców podrastających na wieś, zwracać ich ku pracy rolnej i szczególnego starania dokładał do wytwarzania ruchu emigracyjnego. W niezliczonych koloniach angielskich jest dla milionów rąk pracy i chleba pod dostatkiem; niezależność materyalna jest tam do pozyskania łatwą, a patriotyzm brytański z otuchą może na swych osadników spoglądać. Filantropijna działalność lorda Shaftesbury znalazła na tem szczegółowem polu daleko rańniejszą pomoc, aniżeli na innych; ale starał się wpoić przekonanie we wszystkie komitety, organizujące emigrację młodzieży do kolonii, że ich celem nie jest rzucić w zamorskie światy jednostki niewystarczająco zahartowane i obojętnie patrzeć na ich możliwą zagubę, ale przeciwnie, że powinny zostawać w stałym związku i zetknięciu się ze swymi wysłańcami, być dla nich wiernym przyjacielem, rodzinnem ogniskiem, skądby zawsze ciepłe słowo zachęty i ewentualna pomoc być mogły im dawane. Rozmaite przykłady płodnych następstw tej taktyki znaleźć można w każdej biografii lorda Shaftesbury.

Na szczególną jednak uwagę zasługują w tej sferze jego działalności szkoły majtków. Myśl ta zrodziła się u niego w 1866 roku. Pewnego wieczora zaprosił on 300 chłopaków na wieczerzę do sali szkółki i, ku wielkiej ich niespodziance, nakarmiwszy ich, zapytał, czyby się przypadkiem nie znalazło wśród nich ochotników do służby okrętowej. Ochotników od razu znalazło się kilkudziesięciu i nazajutrz jedno z najświetniejszych jego przedsięwzięć zostało ufundowane. Admiralicya oddała na jego rozporządzenie stary okręt *Chichester*, a następnie i drugi—*Arethusa*: oba służyły jako szkoły dla majtków. Tam, pod ścisłą, systematyczną karnością, chłopacy ćwiczyli się w zawodzie żeglarskim, w tym zawodzie, któremu Anglia swą potęgę zawdzięcza.

Kilku miesięcy było dość, ażeby ze zwiędłego, anemicznego dzieciaka zrobić krzepkiego i silnego majtka. Morze sprowadzało tę metamorfozę nie tylko fizyczną, ale i moralną. Niebawem za inicjatywą lorda Shaftesbury w Londynie poszły różne wielkie miasta portowe i wkrótce szkoły majtków stały się dla marynarki krajowej nieodzownym warunkiem. Od chwili założenia pierwszej szkoły okrętowej w roku 1866 aż do 1885, roku śmierci lorda Shaftesbury, nie mniej jak 10,000 majtków zaciągnęło się do marynarki. Wielu z nich odznaczyło się bohaterскими czynami. Zwiedzając różne zakłady jego imienia i oprowadzany po gmachach i salach przez samych wychowawców, zauważyłem, że z największą ochotą zwracali się młodzi moi przewodnicy do tablic marmurowych, gdzie złotymi głoskami wyryte są nazwiska ich starszych braci żeglarzy, i niewyczerpani byli w opowiadaniach szczegółów, do tej gałęzi zawodowej się odnoszących.

Zakłady, o których tu mówię, noszą nazwę „Narodowych przytułków dla opuszczonych dzieci.” Pierwszy z nich ufundowany został w roku 1850 i tak drobne były wówczas fundusze, że zaledwie dziewięcioro dzieci było można przygarnąć; wkrótce było ich sto, a nie upłynęło dwóch lat, gdy pięć tego rodzaju domów na silnej materyalnej uorganizowało się podstawie. Ten, który się wznosi na wspanialej ulicy, noszącej nazwisko tego lorda, a zbudowanej na miejscu, gdzie przed kilku laty najohydniejsza gnieździła się nędza, jest w całem słowa tego znaczeniu wzorowym zakładem. Do zakładów tych przyjmowane są wszystkie dzieci bez dachu i bez rodzin, i są wychowywane i kształcone ku celom praktycznym. Do wielu z tych domów przytułku należą wiejskie zakłady, gdzie chłopcy kształceni bywają na rolników: typowy jest folwark w Bisley, oraz drugi w Twickenhamie, nie daleko Londynu, gdzie się specjalnie kształcą dla rolniczego zawodu po koloniach. Osobne domy przytułku są utworzone dla dziewczątek: najrozleglejsze są rozmiary tych, które wzniesiono w Sudbury i Ealing. Niestrudzoną działalność rozwijał Shaftesbury, ażeby pozyskać dla każdego z otwierających się domów przytułku stałych opiekunów i aby raz na zawsze ich byt materyalny zabezpieczyć. Posiadał taki wpływ towarzyski, że mu się w znacznej części to przedsięwzię-

cie udało i że większa część istniejących zakładów posiada już swoje własne majątki z legatów i fundacyi. Dzieło, poczęte zuchwale, ma już obecnie zabezpieczoną przyszłość.

Niepodobna jest wyliczać wszystkiego, co zdziałał dla dzieci—i, wobec konieczności ograniczenia tego sprawozdania, pominięte zostały niektóre z najbardziej charakterystycznych, najbardziej wzruszających jego przedsięwzięć, jak n. p. oswobodzenie młodych kominiarzy od organizacyi pracy, która ich niechybnie na kalectwo, jeżeli nie na śmierć skazywała. Czas jest przejść, albo dotknąć przynajmniej wielu innych gałęzi jego filantropijnej działalności, obejmującej nie dzieci już tylko, ale i dorosłych. Od 1843 aż do roku swej śmierci, a zatem przez czterdzieści lat z górą, poświęcał szczególną troskę kwestyi mieszkań i domów najuboższej warstwy społecznej. Jemu to należy się zasługa, że sprawa ta, z żywotnych najżywotniejsza, tak ogromne uczyniła postępy w ostatnich lat dziesiątkach. Udało mu się skierować uwagę publiczną na okropne warunki bytu najuboższych mieszkańców Londynu—i społeczeństwo, z razu obojętne, wstrząsło się z przerażenia, gdy na meetingach albo z ławy parlamentarnej dawał szczegóły o mieszkańcach proletaryatu stołecznego. Były całe dzielnice miasta skazane raz na zawsze jako siedlisko zaraźliwych chorób, plugawej nędzy, niemoralności, zbydlęcenia, występku, zbrodni. Gdy w czterech domach dwupiętrowych znalazł 431 osób mieszkających, gdy w pokoikach, na barłogu, z robactwem na ścianach i podłodze, spali bez różnicy płci i wieku wszyscy członkowie rodziny, i to nie jednej, ale kilku,—gdy tu spotykał ludzi grających w karty na trumnie, zawierającej zwłoki krewnego, tam matkę sprzedającą swą córkę za 5 szylingów,—miało się ochotę posądzać go o przesadę, o melodramatyzowanie nędzy. Ale gdy stawiał nie jednostki, ale setki świadków,—gdy poprowadził członków komisyi, wyznaczonej z łona parlamentu, do takich strasznych domów, ulic i zaułków,—gdy pokazał, jakie dochody skandaliczne z tych jam ciągną ich właściciele,—wtedy przekonano się o potrzebie bezzwłocznej, energicznej działalności. Kilka billów przeszło przez parlament, jedne dopełniając drugie—i miasto, stowarzyszenia, kościoły, filantropowie zabrali się do dzieła. Zrobiono już niezmiernie wiele, a jeżeli jeszcze wypadnie zburzyć wiele

cyrkułów, wiele zakątków, czarne plamy stanowiących na mapie czteromilionowego grodu, to przynajmniej droga jest wytknięta i niema obawy, ażeby się ruch zbawczy w tym kierunku zatrzymał. Kto się tylko tą kwestyą zajmował, wie, ile dla jej rozwiązania zrobili ludzie jak sir Sydney Waterlow, amerykański milioner Peabody, lord Iveagh, baronowa Burdet-Coutts, panna Octavia Hill i kilku innych. Coraz bardziej straszny Londyn przeszłości znika z powierzchni: zdrowie, życie, uszlachetnienie tysięcy rodzin—jest bezpośredniem tego przeistoczenia następstwem. Shaftesbury był członkiem wszystkich towarzystw, a prezydował w wielu, które budowały domy zdrowe i przyzwoite na ruinach ohydnych „*slums*.” Niektóre z jego przedsięwzięć były olbrzymie. I tak: w roku 1872 położył węgielny kamień nowej dzielnicy Londynu, noszącej nazwę Shaftesbury-Park. W dwa lata później wzniesiono tam 1,200 domków, przeznaczonych dla 8,000 osób. Jest to obecnie jeden z najzdrowszych i najporządniejszą ludnością roboczą zamieszkały cyrkuł miasta. Za przykładem tym poszło wiele innych dzielnic, a pomiędzy celniejszymi wymienić należy dwie: Noel-Park i Queen's-Park. Wzniesione są one na zasadzie małych, schludnych domów z ogródkami i podwórzami, każdy przedzielony na dwa całkiem niezależne od siebie mieszkania. Jako szczegół charakteryzujący te nowowzniesione cyrkuły dla robotniczej ludności trzeba wymienić ten, że statuty towarzystwa, które je zabudowało, zakazują otwierania szynków i sprzedaży gorących trunków na całej jego przestrzeni. Olbrzymie powodzenie, jakie ten system znalazł, nie przeszkadza także jednoczesnemu powodzeniu budowania olbrzymich, koszarowych domów, podług fundacyi p. Peabody: są to dwie formy, w których zabudowuje się Londyn dla przyszłych pokoleń. Bez chwili wahania trzeba jednakże oddać pierwszeństwo tej, z którą imię lorda Shaftesbury jest zespolone.

Nieraz nieprzyjaciele wielkiego reformatora wyrzucali mu, rozdrażnieni, gdy się ich egoistycznym interesom sprzeciwiał, że czynił dalekie kampanie, a zaniedbywał właśnie położenie wiejskiego ludu, który w jego własnych wiejskich majątnościach w bezpośredniej od niego znajdował się zależności: słomkę miał widzieć w cudzem, a nie dostrzegać belki w swem wła-

snem oku. Fakty dowiodły, jak niezasłużony to był zarzut. Dopóki żył jego ojciec, lord Ashley nie miał najmniejszego prawa mieszać się do stosunków, istniejących pomiędzy właścicielem a czynszownikami,—a nawet gdy sam został hrabią Shaftesbury i panem majoratu, specjalne kontrakty i umowy emfiteutyczne uprzednio zawarte krępowały mu ręce w niejednych okolicznościach. Ale gdy tylko miał prawo to uczynić, natychmiast przebudował całe wsi. Wzniósł dla swych czynszowników piękne domki, posiadające na dole wielki pokój mieszkalny i kuchnię, a na piętrze trzy pokoje sypialne z oddzielnymi wejściami. Każdy *cottage* ma wyborną kanalizację, wodę źródlaną, ogródek owocowy i ćwierć akra zagonów. Czynsz niżony został do 52 szylingów rocznie, czyli do szylinga tygodniowo. Nie powiększył wprawdzie przez taki system gospodarczy swego dochodu z majoratu, który przekazał swemu synowi w takiej sumie (16,000 funt. szterl.) rocznej, jak ją otrzymał sam, ale nie uważał też nigdy zbogacenia się za najgłówniejszy cel życia; widział w posiadaczu wielkiej fortuny jedynie administratora części fortuny publicznej. Sam żył tak skromnie, że zwykłego w jego towarzyskiem położeniu komfortu zaledwie sobie pozwalał, a o zbytkach nie marzył; zato wieśniacy uważali go za dobrodzieja i ojca. Zbytecznem byłoby dodawać, że na całej przestrzeni jego dóbr niema karczem i szynków, ale są zato wzorowe szkoły, domy dla sierot, starców, biblioteki i wszystkie użyteczne zakłady publiczne.

Łatwiej jest wyliczać rozmaite kategorie jego działalności, niż scharakteryzować we właściwych słowach te niezliczone rysy jego sympatii dla cierpiących i upośledzonych, w które całe jego życie obfituje. Jeden fakt niechaj za wiele innych starczy. Wziął do serca położenie jednego z najuboższych cyrkułów Londynu, Golden Lane. Na małej przestrzeni gromadził się tam najniemoralniejszy żywioł społeczny, i osławienie tego zakątka było takie, że misyonarze delegowani byli przez Kościół do nawracania owych wyrzutków społeczeństwa. Zbadawszy cały ogrom moralnego upadku tamecznej ludności, Shaftesbury otworzył tam szkoły, kasy oszczędności, sale dla zebrań religijnych i t. d. Traf zdarzył, że osiadła tam wielka liczba przepukniów ulicznych, sprzedających tanie artykuły żywnościowe

na taczkach i małych wózkach, często pchanych rękami, a czasami zaprzęganych w osły. Do nich zbliżył się Shaftesbury i przez tę warstwę społeczną o rubasznych formach, ale dobrych instynktach, postanowił oddziaływać na całą ludność tej dzielnicy. Powiodło mu się to całkowicie. Przekupnie stali się tak zagorzałymi jego przyjaciółmi, że gdy ich odwiedzał, przyjmowali go jak króla, jak tryumfatora, lepiej jeszcze—jak brata. Został on członkiem ich korporacji i otrzymywał listy, adresowane do „Jego Ekscelencyi hrabiego Shaftesbury, kawalera Podwiązki i ulicznego przekupnia.” Sam nigdy tej godności w swym całkowitym podpisie nie pomijał i cenił jako dar braterski osiołka, którego mu jego koledzy przekupnie podarowali: w ostatnim roku życia, gdy mu nogi odmawiały służby, osiołek ten ciągnął jego wózek, w którym odbywał przechadzkę. Cała rewolucya moralna zaszła w ciągu jednego dziesiątka lat u mieszkańców Golden Lane, którzy uważani są przez policję stołeczną obecnie za ludność wyborową.

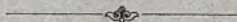
Oczywiście, taka działalność wytrwała i taki duch poświęcenia pozyskał mu u całych upośledzonych warstw narodowych zaufanie i miłość nadzwyczajną. Wiedząc, że na niego zawsze rachować mogą nieograniczenie, otwierali przed nim najtajniejsze serc swoich głębin. Nie pogardzał on, nie odpychał nikogo. Niejednokrotnie opowiadany był fakt, jak go zawezwało do siebie towarzystwo złodzieiów zawodowych. W imieniu tego oryginalnego związku czterdziestu złoczyńców napisało doń odezwę, ażeby ich odwiedził na tygodniowym zebraniu i wskazał sposób zreformowania ich życia. Nie tylko że się na zebranie to udał i znalazł się wpośród 400 wyrzutków społeczeństwa wszelkiego wieku, stanu i wyglądu, ale obiecał im przybyć, ile razy jego pomocy i rady potrzebować będą. Istotnie, Tomasz Jackson, misyonarz, który się specjalnie poświęcał nawracaniu na dobrą drogę złoczyńców stolicy, bywał odtąd w ciągłych stosunkach ze szlachetnym lordem—i, dzięki ich zabiegliwości, wszyscy ci, których na drogę występku pchnął brak środków utrzymania, wyratowani zostali z otchłani. Jeżeli takim uczuciem miłosierdzia był zagrzany dla tych, których za straconych uważać można, to tem więcej go okazywał dla niewinnie pokrzywdzonych. Ich cierpienia uważał za swoje i nie spoczął,

póki im ulgi nie przyniósł. Nie było wdowy i sierot po ludziach, którzy mu pomagali w filantropijnych misjach, ażeby im bytu nie zapewnił; prowadził własnym kosztem procesy, jak n. p. tej biednej robotnicy, pokaleczonej w fabryce, a której fabrykant potrafił za dzień niedokończonej pracy półtora szylinga. Otrzymał od najwyższego trybunału dla tej ofiary nie tylko wynagrodzenie 100 funtów, ale uparty a okrutny fabrykant skazany został na grzywny 600 f. szt. Takie rysy, postawione jedne obok drugich, pozwalają zupełnie zrozumieć tą słynną definitywę prostaczka, który, zapytany, jak pojmuje Tróję Świętą, odpowiedział bez namysłu: „jak lorda Shaftesbury w trzech osobach!”

Nie widzieliśmy potrzeby w obrazie działalności publicznej wielkiego filantropa wciągać ani jego wczesnych kampanii za zniesieniem niewolnictwa, ani agitacyi za przesiedleniem żydów do Palestyny, za wstrzemięźliwością od pijaństwa, za święceniem niedzieli, ani rozmaitych jego misyi kościelnych, które mu tak wielce leżały na sercu. Przedewszystkiem chodziło nam o wykazanie, czego jednostka jest w stanie dokonać w dziale reform socyalnych. Nie było żadnej ich kategorii, do którejby w ciągu swego długiego a pracowitego życia nie przyłożył był ręki. Jak powiedział słusznie, światem rządzi siła i gwałt, dopóki na ich miejscu nie postawi się prawa. Całem zadaniem jego życia było zastępowanie ujemnego czynnika przez dodatni, a humanitaryzm jego był praktycznem zastosowaniem chrystyanizmu, którym istota jego była na wskrósł przesiąknięta.

Jeden ze współczesnych sceptyków powiedział, że w gruncie rzeczy jedyny atrament, jakim po wsze czasy wielki człowiek wpisać może swe imię w roczniki ludzkości, jest — krew. Nikt lepiej jak lord Shaftesbury nie zadaje w swojej osobie kłamu temu pesymistycznemu pogładowi. Nie krwią rozlaną, ale otartemi łzami i rozpogodzonymi czołami zaznaczył on swoją ziemską pielgrzymkę. Imię jego posiadać będzie historyczną nieśmiertelność. Zanim umarł, społeczeństwo, z razu mu niedowierzające, miało czas sąd pierwotny sprostować. Zasiadał pomiędzy wybrańcami narodu, zajmował wysokie urzędy, ministerya rachowały się z jego opinią, rodzina królewska czciła go jako osobistego przyjaciela; wielkie miasta, a między innemi

Glasgow i Londyn, ofiarowały mu swe honorowe obywatelstwo; raz odrzuciwszy, musiał przyjąć następnie order Podwiązki, najwyższy zaszczyt, jaki urządowa Anglia wyświadczyć jest w stanie. Dzień jego osiemdziesięcioletnich urodzin obchodzony był tryumfalną apoteozą. Wznoszono mu pomniki za życia; żałobny obchód w opactwie Westminsterkiem był nieporównanej świetności. A i na tem się nie skończyło. Sąd, jaki przez usta księcia Argyll i markiza Salisbury sformułowany o nim został, mianowicie, że pomiędzy reformatorami społecznymi naszego wieku on był najznakomitszym,—sąd ten potwierdzony został przez cały naród. Gdy, syt lat i chwały, legł w grobie swych przodków, mógł unieść z sobą przeświadczenie, że dzieło jego nie zginie i że w rękach współdziałaczy jego rozwijać się będzie gwoli ogólnemu dobru.



PIJAŃSTWO I WSTRZEMIEŻLIWOŚĆ.



omiędzy projektami prawodawczymi, które przedłożyło parlamentowi ostatnie liberalne ministerium angielskie, jeden z najcelniejszych jest poświęcony kwestyi gorących trunków, t. zw. *Local Veto Bill*: oddaje on faktycznie istnienie szynków decyzji władz gminnych. Bill ten został wniesiony i odczytany po raz pierwszy w 1893 roku. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jeżeli obecny parlament nie zostanie rozwiązany, sprawa gorących trunków uczyni niebawem krok na przód ku temu celowi, jaki zakresłony jej został przez towarzystwa wstrzemięźliwości. Są one obecnie w organizacyi społecznej angielskiej tak ważnym czynnikiem i taką potężną siłą, że każdy rząd musi się z nimi rachować. Stronnictwo liberalne dostało się do władzy dzięki poparciu, jakie od nich otrzymało, i zerwać sojuszu nie myśli. Z jakiegokolwiek stanowiska na sprawę gorących trunków zechcemy spoglądać—z czysto politycznego czy z ekonomicznego, z fiskalnego czy etycznego,—zawsze posiada ona w sobie [bezpośredni] interes. Sama agitacya towarzystw wstrzemięźliwości, po bliższem w niej rozpatrzeniu się, jest nie tylko ciekawą, ale po prostu zdumiewającą i świadczy o nadzwyczajnej moralnej energii rasy anglo-saskiej. Niezaprzeczoną prawdę posiadają te często powtarzane słowa de Quincy, który

upatruje w ich organizacyi i wysiłkach najbardziej zadziwiające zjawisko reformatorskiego ducha, ożywiającego naszą epokę.

Skoro tedy kampania przeciwko gorącym trunkom nie tylko nie ustaje, ale coraz nowe odnosi zwycięstwa, skoro do normalnego swego interesu dodaje jeszcze chwilowy, ujawniający się w prawodawczym projekcie, skoro nakoniec przykład i początkowanie Wielkiej Brytanii oddziałają prawdopodobnie na działalność innych mocarstw europejskich, zdaje się nam właściwem przedstawić czytelnikom stan tej kwestyi. Literatura jej jest olbrzymią i posiadamy nawał cyfr statystycznych. Łatwo jest przeto stać na silnym gruncie i ograniczyć się do materalnych żywiołów. Czytelnik sam wyciągnąć z nich potrafi morał i wskazówkę działalności.

I.

Bez wątpienia Wielka Brytania* jednoczy w sobie wiele warunków, ażeby nie powiedzieć wszystkie, które uczynić mogą naród potężnym i szczęśliwym. Zabezpieczona swem położeniem wyspiarskiem od bezpośredniego sąsiedztwa z zaborczymi sąsiadami, posiadając klimat umiarkowany, ziemię urodzajną, wielkie skarby mineralne, rasę silną i energiczną, instytucye polityczne uzdalniające każdego osobnika społecznego do rozwinięcia swojej pełnej działalności,—od dawna wzrosła w zamożność, a w ciągu ostatniego stulecia jej przemysł i handel wzniosł się na niemarzone wyżyny. Kraj tego rodzaju mlekiem powinienby płynąć i miodem, a jego mieszkańcy, których liczba przy końcu obecnego stulecia dojdzie do 40 milionów, posiadać wyjątkową sumę materalnego dobrobytu, zasadniczego czynnika szczęścia indywidualnego i społecznego. Wiemy jednakże, iż tak nie jest, że w tym kraju obok wyjątkowego bogactwa znajdujemy także wyjątkową nędzę, że krocie biedaków, jedynie emigrując, ocalić się mogą od głodowej śmierci, że proletaryat liczy się tam na miliony, że w samym Londynie, mieście nieprzebranych skarbów, na trzynastu mieszkańców jest jeden nędzarz, że występki i zbrodnie, biorące w nędzy swój początek, nie przestają rzucać ponurego cienia na społeczeństwo, chełpiące się swą religijno-

ścią, moralnością, oświatą i znajdujące się, bądź-co-bądź, w pierwszym szeregu ruchu cywilizacji.

Samo takie zestawienie pomyślnego środowiska z niepomyślnymi wynikami doprowadza każdego spostrzegacza do wniosku, że muszą się gdzieś siły społeczne marnować i że musi być, mówiąc słowami Marcellusa w „Hamlecie,” coś zbutwiałego w tem państwie. Najszuszniejszem byłoby przypuszczenie — i takie jest stanowczo zdanie piszącego, — że ten brak harmonii i ujemne te rezultaty płyną z wielu źródeł, nie zaś z jednego tylko. Nie można się atoli dziwić, że wszyscy reformatorowie około jednego ześrodkowują się punktu — każdy około swojego własnego, — że każdy na swoim skupia działalność, każdy z jednym ujada się wrogiem i od pokonania jego oczekuje przede wszystkim zbawienia ludzkości. Dzięki właśnie współistnieniu tych rozmaitych reformatorskich prądów i agitatorów, społeczeństwa podnoszą swój poziom bez ustanku i każdy rok ubiegający grzebie ten lub ów z dawniejszych niedostatków. I w Anglii tedy niedomagające społeczeństwo znajduje wielu lekarzy, wysławiających swoje specyfiki. Ci oczekują cudów od ostatecznego wyemancypowania demokracji i reform konstytucyjnych, ci od agrarnych albo pedagogicznych przewrotów, ci znowu — socjaliści — od postawienia ustroju społecznego na całkiem nowej podstawie ekonomicznej. Zwolennicy wstrzemięźliwości a nieprzyjaciele gorących trunków są atoli zdania, że rakiem, toczącym wewnątrz Anglii, jest pijaństwo i że wystarczy je, albo przynajmniej utrudnić wszelkimi możliwymi środkami, ażeby uzdrowić organizm narodowy, utrwalić w nim dobrobyt materyalny i podnieść moralność publiczną. Zostawmy innych reformatorów na stronie, a przypatrzmy się obrazowi, jaki roztaczają przed nami ci ostatni. Niepodobna być nań obojętnym.

Wadą narodową Wielkiej Brytanii, a raczej, używając słów zwykłych w ustach i pod piórem agitatorów za wstrzemięźliwością, jej występkiem, ciężącą na niej klątwą — jest pijaństwo. Jak każdy inny, tak i ten występki jako pierwszą ofiarę obiera sobie tego, co mu hołduje. Klęski, jakie pijaństwo sprowadza na społeczność angielską, łatwo wykazać cyframi. Pauperyzm zagnieździł się wśród niej tak, że każda jedna osoba na dziesięć jest w stanie biedy, a często nędzy; jedna na 15 umiera w domu

przysługę i pracy — *workhous'ie*; w roku 1891 pobierało zasiłek z kas publicznych, albo było całkowicie utrzymywanych przez nie w Anglii 728,042, w Szkocyi 87,362, w Irlandyi 103,839, w Londynie 95,923. Chociaż dochody publiczne wzrastają i bogactwo narodowe z każdym rokiem w bardziej olbrzymich wyraża się cyfrach, sumy wydawane na utrzymanie biedaków nie zmniejszają się, ale przeciwnie — rosną.

Statystyka kryminalna równie przerażające przedstawia dane. Od roku 1840 liczba ludności powiększyła się o 60%, ilość zaś przestępstw wzrosła o 102%. Nie trzeba jednak tendencyjnie przesadzać stanu rzeczy, ani upatrywać przyczyny wszystkich zbrodni, występków i przewinień w pijaństwie. Ma ono zresztą swoją, dostatecznie czarną stronicę. I tak, protokółów, ściągniętych za pijaństwo, zwady, burdy i nieporządki przez nie wywołane, było w 1871 roku 142,343, czyli 26%, w roku 1881 wzrosły one do 174,481, czyli o 26%, a w ostatnim dziesięcioleciu, w roku 1891, spotykamy aż 187,293 wypadków, co daje także 25% wzrostu. W samym Londynie 'pociągnięto do odpowiedzialności policyjnej 31,916 osób w tym ostatnim roku, a wiadomo, że tam, tak samo jak w innych miastach, służba policyjna okazuje większą pobłażliwość i względnosc dla pijaków, aniżeli dla wszystkich innych przestępców.

Wpływ zębny pijaństwa na zdrowie i długość życia nie ulega także wątpliwości. W szpitalach angielskich lekarze nie wahają się trzech czwartych chorób, na które zapadają ich pacjenci, kłaść na karb nałogowego pijaństwa albo nadużywania trunków. Coraz bardziej wzrastająca ilość cierpiących na pomieszanie zmysłów tej samej przypisywana jest przyczynie: w roku 1851 było wypadków wariacyi 21,158, w r. 1861 było 39,647, w roku 1871—56,755, a w roku 1891—87,848. Co do śmiertelności, jest ona naturalnem następstwem zdrowostanu. Śmiertelność, o 5% większa u mężczyzn aniżeli u kobiet, świadczy także, że ci, co więcej piją, umierają szybciej. Fakt, że pijaństwo skraca życie, został z tak matematyczną pewnością stwierdzony, iż towarzystwa ubezpieczające życie inaczej ubezpieczają tych, którzy z zasady żadnego gorącego trunku nie używają: ci ostatni otrzymują polisy o 20 do 35% tańsze; przy zabezpieczeniach od wypadków nawet otrzymują oni ustępstwa od 5—8%.

Najmniejszej wątpliwości niema co do higienicznego charakteru wstrzemięźliwości od gorących trunków. Już w r. 1725 kolegium lekarzy angielskich uczyniło odezwę do parlamentu, zwracając jego uwagę na klęski, jakie pijaństwo wyrządza zdrowiu publicznemu. Przeczuwana raczej wówczas prawda, aniżeli naukowo sformułowana, została stanowczo potwierdzona przez postępy wiedzy. Wszystkie gorące trunki bez najmniejszego wyjątku posiadają w sobie większą lub mniejszą dawkę spirytusu czyli alkoholu: wino czerwone Bordeaux zawiera go 2⁰/₀, piwo angielskie (*Pale ale*) 2¹/₂⁰/₀, jałowcówka (*gin*) 4⁰/₀, a gorzałka (*brandy* albo *whisky*) aż 10⁰/₀. Proces chemiczny fermentacyi, to jest organicznego rozkładu, wytwarza spirytus, działający na nasz organizm pobudzająco. Ale teoria Liebiga, że przez ciepło, które sprowadza, żywi organizm, nie ostała się po stanowczych poszukiwaniach Lallemand'a, Perrin'a i Duroy'a. Wiadomo, że jedną część spożytego spirytusu wydzielamy nieprzetrawioną, a reszta nie zawiera w sobie karmi. Użyty w małej dawce spirytus, co najwięcej o nim powiedzieć się da, nie truje; w większej — działa ujemnie albo zabójczo; w żadnym razie nie jest pokarmem i sił naszych nie odżywia. Ciało lekarskie angielskie, w ogromnej swej całości, potępia obecnie używanie spirytusu w tej lub owej formie, nawet jako środek pobudzający — i można uważać za urzędowe jego wyznanie wiary świadectwo, podpisane w 1847 roku przez 2,000 doktorów medycyny, w którym wyrazili opinię, że „całkowite i powszechne powstrzymanie się od używania jakichkolwiek gorących trunków przyczyniłoby się wielce do zdrowia, szczęścia, moralności i pomyślności rasy ludzkiej.”

Każdy z powyżej wymienionych punktów może sam jeden przemawiać za wstrzemięźliwością, ale żaden nie ma w sobie tyle doniosłości, jak ten, w którym przedstawione jest ekonomiczne stanowisko kraju w stosunku do sum obracanych na produkcję i konsumpcję gorących trunków. Jakikolwiekby się żywiło uprzedzenia do wykazów statystycznych, nie można zamknąć oczów na sumy i cyfry olbrzymie, z którymi się tu ma do czynienia. Z konieczności wypada rozejrzeć je bliżej.

Robert Giffen, najwyższa statystyczna powaga w Anglii, podaje całkowitą wartość kapitału Wielkiej Brytanii na

2,300,000,000 funt. szt. i corocznie przyrastać on ma o 100 milionów funtów. On i inni statystycy nie wiele się różnią jedni od drugich, szacując dochód roczny narodowy na miliard funt. szt. Kapitał powiększałby się jednak corocznie w daleko większym stosunku, gdyby znaczna część zwykłego dochodu nie była marnowana w sposób nie tylko nieprodukcyjny, ale podkopujący normalne źródła dochodowe. Wiliam Hoyle w swem nader interesującym dziele: „*Our national resources, and how they are wasted*” oblicza w przybliżeniu tę dobrowolną utratę narodowego zasobu na 500 milionów funt. szt. rocznie. Znaczną składową część tego pół miliarda stanowi wydatek roczny na gorące trunki. Bezpośrednio wydała na nie Wielka Brytania w r. 1891 nie mniej jak 141 milionów f. szt.; dodając pośrednie wydatki, dochodzi p. Hoyle do cyfry 262,000,000 funt. szt. Oto jak się ona wytwarza.

Cyfrę 141,000,000 funt. szt., wydawaną wprost na gorące trunki, sprawdzić łatwo. Oto tablica synoptyczna, którą pożyczamy od p. Dawson Burns'a, jednego z naświatlejszych działaczy w dziedzinie wstrzeźliwości:

Gorące trunki spożyte w roku 1891-ym	Ilość spotrzebowana w r. 1891	Cena sprzedaży w r. 1891
	galonów	funtów szterlingów.
Krajowe, po 20 szyl. za galon (=4 kwartom)	30,744,209	30,744,209
Cudzoziemskie i kolonialne po 24 szyl. za galon	8,420,553	10,104,664
Piwo, 1 szyl. 6 pen. za galon . .	1,140,021,648	85,501,624
Wino, 18 szylingów za galon . .	14,855,753	13,370,178
Wino krajowe, cydr, i t. p., szaco- wane na	15,000,000	1,500,000
		141,220,675

Jest to już sama w sobie suma potworna i pokazuje, że przecięciowo ludność Wielkiej Brytanii, wynosząca 37,740,383 osób, wydała w roku 1891 na każdą osobę bez względu na płeć i wiek 3 funty i 15 szylingów na gorące trunki, czyli 18 f. szt. i 15 szylingów na rodzinę z pięciu osób złożoną. Dwie następne tablice dopełniają znaczenia powyższej.

Oto jak się rozdziela spożywanie gorących trunków pomiędzy trzy zjednoczone królestwa:

	w Anglii	w Szkocyi	w Irlandyi	Razem.
Krajowe trunki (gal.)	19,187,634	6,635,137	4,921,416	30,744,209
Cudzoziemskie i kolonialne (gal.) .	6,955,594	798,895	666,064	8,420,553
Piwo (beczek) . . .	27,599,138	1,497,911	2,570,919	31,667,268
Wino (gal.)	11,884,621	1,485,566	1,485,566	14,854,753

Streszczając następną tablicę, pokazującą, jaki wydatek pieniężny przypada na każdego osobnika w oddzielnie wziętych królestwach, znajdujemy, że w Anglii wydatek ten wyraża się w 4 funt. szt. 1 szyl. 6 pensach na osobę, czyli 20 funt. 7 szyl. 6 p. na rodzinę z pięciu osób złożoną; w Szkocyi — 3 funty i 5 szyl., czyli 16 funt. szt. 5 szyl. na taką rodzinę, a w Irlandyi — nie trzeźwiejszej, ale uboższej — 2 funty 2 szyl. i 4 pency, czyli 10 funt. 11 szyl. i 8 pensów na rodzinę z pięciu osób.

Nie trzeba dalej zapominać, że wśród 37 milionów mieszkańców Wielkiej Brytanii stosunek pomiędzy klasą zamożną, wyższą i średnią, a klasami ręcznych pracowników jest 8 milionów z jednej, a 29 milionów z drugiej strony. Jeżeli pierwsze piją wino, trunek droższy, to piwo i wódki spożywane są przez warstwy robotnicze. Można tedy powiedzieć bez żadnej obawy przesady, że proletaryat angielski wydał w tym roku 1891 nie mniej jak 100 milionów funtów na gorące trunki. Wnioski są zbyt naturalne, ażeby potrzeba tracić czas nad szczegółowem ich wyprowadzaniem.

Ale, jak powiedzieliśmy wyżej, oprócz tego bezpośredniego wydatku 141 milionów f. szt., który jako ujemna pozycja figuruje tylko w budżecie narodu, są jeszcze inne straty ekonomiczne, które obliczyć można w przybliżeniu. Jak powiedzieliśmy wyżej, Hoyle szacuje je na 120 milionów funtów rocznie. Oto jak dochodzi do tej liczby:

Strata na przepędzeniu zboża, kartofli, chmielu i t. p. na gorzałkę zamiast zużytkować je jako żywność — 13 milionów funt. szterlingów.

Strata kapitału i zarobku przy fabrykacji gorzałki — 15 milionów funt. szt.

Praca każdej z 500,000 osób zajmujących się obecnie fabrykacją i sprzedażą gorących trunków, a oszacowana na 50 funt. rocznie — wynosi już sama w sobie 25 mil. f. szt.

Te trzy pozycje dają 53 mil. funt. rocznej straty. Dodaje do nich naprzód 53 mil. funt., na którą to sumę komisya parlamentarna w 1834 roku obliczyła straty, spowodowane przez pijaństwo u robotników i oficyalistów, następnie 10 mil. straty, wypływającej z niszczenia zasobu społecznego we wszystkich jego formach przez pijaków, i nakoniec 10 milionów przez utrwalenie pauperyzmu, chorób, waryacyi, przedwczesnej śmierci i t. p. oraz kosztów na utrzymanie policyi, postępowania sądowego, więzień i t. p. Te ostatnie 70 milionów są naturalnie elastyczną cyfrą, przeciwko której niechętni protestować mogą. Można ją tedy zostawić na stronie, tem bardziej, że otrzymana już i bez niej suma 200 mil. funt. rocznej straty, której nikt zaprzeczyć nie potrafi, wystarcza aż nadto do udowodnienia, że naród tak nadzwyczajnie bogaty dokłada wszelkich starań, ażeby się zubożyć i zniweczyć albo przynajmniej zmniejszyć swe dochody. Wydawać piątą część swego dochodu nieprodukcyjnie — jest bez wątpienia najgorszą polityką ekonomiczną, jaka się tylko da wymarzyć. Dość jest zresztą pomyśleć, że 70 milionów korcy zboża jest przepalonych corocznie na gorzałkę i piwo. Gdyby to zboże obrócone było na zasiew i na żywność, nie byłoby potrzeba opłakiwać corocznie tylu śmierci głodowych i życie najniższych warstw społecznych nie byłoby czarną gehenną. Ale gdy Wielka Brytania spożyła w r. 1891 zboża jedynie za 79 milionów funt. szt., w tymże roku, jak powiedzianem było

wyżej, wydała dwa razy tyle na gorące trunki. Cały dług narodowy angielski, wynoszący 675 milionów funt. szt., w pięć lat spłacićby można było po prostu z funduszków, które obecnie za przepaszczane bywają w wydatkach zubożających, osłabiających i demoralizujących naród! A na ile też innych użytecznych wydatków tę sumę obrócićby się dało! Tomasz Whitaker przypomina, że całość dochodów z dróg żelaznych krajowych za wszelkiego rodzaju transporty obejmuje rocznie tylko 80 mil. f. szt. i że transport ten mógłby być bezpłatnym za połowę sumy przepijanej obecnie.

Stając na stanowisku siły wytwórczej ekonomicznego świata, mianowicie pracy, takie same otrzymujemy wyniki. P. Stefan Bourne w odczycie swym przed Towarzystwem statystycznym londyńskim oszacował stratę sił produkcyjnych krajowych, pochłoniętych obecnie przez wytwarzanie gorących trunków, na 1,097,623 osób; oprócz nich 884,000 są nieuzdolnione do pracy przez trunki. Jeżeli liczba wszystkich produkcyjnych sił krajowych wynosi 10 milionów, to wypada z tego tytułu natychmiast odjąć z niej 2 miliony, to jest piątą część. Traf sprowadził, że i pod względem straty siły produkcyjnej znajdujemy się wobec takiej samej cyfry, jak gdyśmy brali w rachunek dochód krajowy.

II.

Wzięte same w sobie dane te statystyczne są straszne. Nawet ci, co ich nie znają dokładnie, czują, widzą na każdym kroku ogrom zła, które pijaństwo sprowadza, i muszą pragnąć zmniejszenia używania gorących trunków. Ale nie zanoszą się na to. Łatwo spostrzedz, jak się zaraza wzmaga,—trudniej dopatrzyć symptomatów jej ustępowania. Za Edwarda III-go (1327 do 1377) było wszystkiego w Londynie trzy szynki. Po rewolucji XVII-go wieku, przy swobodzie, jaką otrzymały browary, gorzelnie i dystylarnie, piwo rozpowszechniło się i stało się niebawem narodowym trunkiem. W pierwszej ćwierci następnego wieku wchodzi w użycie jałowcówka (*gin*). Lecky w swej kla-

sycznej historii XVIII-go wieku nakreślił niezapomniany obraz spustoszeń i zgrozy, jakie wówczas jałowcówka spowodowała. Panowanie jej despotyczne zostało zachwiane dopiero przez rywalizację gorzałki (*whisky*), którą produkowały Irlandya i Szkocya, każda podług odrębnego proceduru. Ci, co się dotąd upijali jałowcówką, upijali się potem w dodatku przydymioną szkocką, albo nieprzydymioną irlandzką gorzałką. Konsumcya wzmagająca się z każdym rokiem. W ciągu ośmiu lat, pomiędzy latami 1734 a 1742, podskoczyła z 13 na 19,000,000 galonów. Było już wówczas w Londynie, liczącym 700,000 mieszkańców, aż 6,187 szynków, to jest sprzedawano gorące trunki w jednym domu na siedem. Nałożono wtedy podatek jednego funta szterl. od galonu *ginu*, a jego konsumcya zmniejszyła się natychmiast z 6 na 4 miliony galonów, ale publiczność rzuciła się do używania *whisky*, które, jako nieopodatkowane, było tańsze. Ponieważ zaś jest to ostatnie mniej czyste i mniej starannie dystylowane z fermentowanego jęczmienia, zatem zdrowie publiczne straciło na tej zmianie jedynie. Państwo, które stosownie do swych potrzeb skarbowych zastrzało lub folgowało prawom i podatkom, regulującym produkcję i konsumcję gorących trunków, nie trzymało się żadnej stałej polityki, lecz trzeba przyznać na jego usprawiedliwienie, że sam naród, przez swe gwałtowne, zwierzęce rwanie się do trunków, krępował mu ręce i ubezwładniał. Dość będzie przytoczyć słynny *Beer Act* z 1830 r., który miał na celu skłonić naród do używania raczej piwa niż wódki: pierwsze, jako zawierające mniej alkoholu, jest słabszą trucizną. Rezultaty nie odpowiedziały jednak oczekiwaniu. Wprawdzie konsumcya słodu powiększyła się natychmiast z 268,139,989 korcy na 344,143,550 korcy, ale jednocześnie konsumcya spirytusów podskoczyła z 57,970,000 do 76,797,000 galonów. Mógł więc sceptyczny mąż stanu, napominany o poskromienie instynktów zwierzęcego pijaństwa, powiedzieć, że wobec tak zakorzenionego nałogu niema innego nic do zrobienia, jak budowanie większej liczby szpitali, domów przytułku i domów dla obłąkanych. W roku 1891 było w samym Londynie 30,567 szynków i sklepów, upoważnionych do sprzedawania gorących trunków, t. j. jeden dom na 35 istniejących, a w samej Anglii jest ich 183,998.

Następująca tablica pokazuje, jaka jest konsumpcya trunków w czterech ostatnich dziesięcioleciach w stosunku do ludności krajowej:

Rok	Ludność	K O N S U M C Y A					
		Spirytusów (galonów)	Na 1 głowę	Win (galonów)	Na 1 głowę	Piwa (beczek)	Na 1 głowę.
1852	27,448,000	29,310,138	1.095	6,348,661	0.231	16,732,434	0.610
1862	29,243,000	24,017,432	0.821	9,764,155	0.334	19,327,191	0.661
1872	31,874,000	35,919,389	1.126	16,765,444	0.526	28,171,661	0.884
1882	35,207,000	36,868,547	1.047	14,339,070	0.407	27,023,616	0.768
1891	37,803,000	39,133,044	1.034	14,774,698	0.398	31,667,266	0.837

Nie chcąc przeciążać uwagi czytelnika zbyt wielką ilością cyfr, wskażemy już tylko, że produkcya napojów gorących, stwierdzona urzędowo przez pobranie od nich podatku, wynosiła w dniu 31 marca 1892 r., to jest przy zamknięciu rachunków finansowego roku 1891:

w Anglii	19,652,858 galonów
w Szkocyi	0,781,638 „
w Irlandyi	5,034,896 „

czyli, że razem wyprodukowano w W. Br. 31,469,382 galonów na kr. konsumpcję.

Przeznaczona na wywóz zagraniczny nie wchodzi do tego wykazu. Z tej produkcji wpłynęło do skarbu państwowego drogą podatku 33,200,000 funtów,—a że cały dochód skarbu za tenże rok wynosił 90,994,786 f. szt., zatem więcej niż jedna trzecia część wydatków publicznych opłacona została z tego jednego źródła. Gdyby państwo miało jedynie fiskalny wzgląd na oku, nie potrzebowałoby się troszczyć o postęp pijaństwa, ale przeciwnie, szłoby mu o jego wzrost, gdyż ono samo zapełniłoby jego kasy. Na szczęście jednak, inne są jeszcze i ważniejsze warunki do uwzględnienia, wobec których fiskalny schodzi na

podrzędne miejsce. Coraz jaśniej społeczność zaczyna zdawać sobie sprawę z obowiązków, jakie posiada zbiorowe ciało względem wchodzących w jego skład osobników. Już Bentham powiedział, że „jedynem zadaniem rządu powinno być uszczęśliwienie jak największej liczby członków społeczności.” Nie potrzebą bez wątpienia rozciągać tej opiekuńczej działalności aż do uszczęśliwiania, ale wystarczyłoby zabezpieczyć im człowieczeństwo, gdyż cywilizacya, podług sprawiedliwego określenia, sprowadza się do coraz większej przewagi humanitaryzmu nad zwierzęcością. Mąż stanu angielski, znajdujący się obecnie jeszcze na naczelnem stanowisku wśród swego narodu, Gladstone, jest tego samego zdania, i sprowadzając kwestyę obowiązków rządu względem społeczeństwa z abstrakcyjnych wyżyn do praktycznej maksymy, postawił za zadanie prawodawcy ułatwiać urzeczywistnianie wszystkiego, co jest dobrem a utrudniać to, co jest złem. Nie można tedy wątpić, że władze publiczne w Anglii będą musiały prędzej czy później postawić przed sobą zagadnienie to w całej jego rozciągłości i przedsięwziąć środki zaradcze.

Dłużej oczów zamykać na kwestyę pijaństwa i gorących trunków niepodobna. Jak John Morley słusznie powiedział, od czasu rozstrzygnięcia kwestyi niewolnictwa nie miała ludzkość ważniejszej sprawy przed sobą, jak zniesienie pijaństwa. Ale tu, tak samo jak tam, początkowanie wyjść winno z łona samego społeczeństwa: gdy ono jasno swe żądania sformułuje, rząd wprowadzić w czyn ich nie omieszka.

Spółczeństwo angielskie w swej organicznej całości, to jest ci wszyscy, którzy są dość oświeceni, aby zdawać sobie sprawę z zachodzących wypadków, z ich przyczyn i ich skutków, wie dobrze, że nałóg pijaństwa jest publiczną i prywatną dla niego klęską. Wśród klas wyższych pokrywa się szatą przyzwoitości i zamyka się w progach szczelnie zazwyczaj zamkniętych klubów i domów prywatnych. Ale wśród klas niższych, ludowych, niepodobna go ukryć, nawet gdyby do tego była ochota. Lecz ochoty tej nie ma. Lud stanowi taką zwartą i potężną masę, że nie ma potrzeby ukrywać swych wybryków; wszyscy ci, którzy go otaczają, dzielą mniej więcej jego sposób postępowania i są kolegami w nałogu. Szynk jest dla nich cią-

głem miejscem pobytu. Mają jedynie trudność wyboru, bo się na każdym kroku znajdują, nieraz jest ich cztery na czterech rogach dwóch przecinających się ulic. Zwabia on do siebie jak skrawem światłem latarni: jak ćmy przybiegają do ich płomieni pijacy. W ciasnych salach, bez stolików zazwyczaj do siedzenia, stoją około szynkwasu i, szybko wypiwszy jeden lub dwa kufle piwa, jedną lub dwie szklaneczki gorzałki, idą, dopóki grosz w kieszeni, do drugiego szynku, ażeby tam libacye powtórzyć. Nie wesołość i dobry humor, ale posępność i kłótniwy nastrój powstaje u pijących te trunki. Milczący od razu nieraz przechodzą do bójek, które w sąsiedztwie każdego szynku są co wieczór zwykłym zjawiskiem. Żony, wyrывая mężów z tych zakładów, są poniewierane i bite. Smutnem następstwem tego stanu rzeczy jest, że wiele z nich tej samej ulega pokusie i temu samemu nałogowi się oddają. W żadnym kraju niema tyle pijaczek, co w Anglii. Jeżeli pijak mąż jest nieszczęściem dla rodziny, to matka i żona pijaczka pogrąża raz na zawsze rodzinę w otchłań ruiny i nędzy — rozpręga ją. Nic okropniejszego, jak widok szynków londyńskich w dzielnicach ludowych; na wybrzeżach Tamizy, w porcie i dokach przejmują one dreszczem zgrozy najobojętniejszego widza. W sobotę robotnik przepija nieraz całotygodniowy zarobek i, zrozpaczony po wytrzeźwieniu, nie widzi innego sposobu wyrwania się z piekła, w które się pogrążył, jak zanurzając się w jego czeluście ponownie. Kto nie widział robotników angielskich, bijących się u drzwi szynków, albo kobiet z niemowlęciem u obwisłej piersi, łykających gorzałkę,—kto nie widział dzieciaków, podkradających się do bocznych drzwi, aby za wyżebranego pensa kupić sobie kieliszek wódki,—ten o tej pladze społecznej wyobrażenia mieć nie może, ten nie może zrozumieć ferworu reformatorskiego, jaki się zrodził w sercach szlachetniejszych i patryotycznych.

Jednemu tylko dziwić się można, mianowicie temu, że zdrowe żywioły społeczne tak długo zostawały obojętne na szerzącą się plagę i że nie zorganizowały się wcześniej do protestacyi, do propagandy i do stanowczego zagrozenia jej drogi. Były już wprawdzie w przeszłym stuleciu tu i owdzie miejscowe stowarzyszenia pijących wodę i herbatę, a nieużywających żadnego napoju alkoholicznego, ale ani przez swój rozgłos, ani

przez swą działalność nie mogą być poczytywane za jednoznaczne z obecnemi towarzystwami wstrzemięźliwości.

Data narodzenia tych ostatnich był rok 1826. A stało się to nie na ściśle angielskiej ziemi, ale w Stanach Zjednoczonych, w Bostonie. Założona tam *American Temperance Society* posłużyła za wzór dla wszystkich następnych, które po wytkniętym szlaku po prostu już tylko iść potrzebowały. Wielkie powodzenie, jakie towarzystwo to znalazło natychmiast u społeczności amerykańskiej, dało bodziec do naśladownictwa naprzód w ściślejszej, a potem w szerszej ojczyźnie. Dzisiaj nieraz pomiędzy przywódcami angielskiego ruchu za wstrzemięźliwością daje się słyszeć zdanie, że Ameryka, organizując towarzystwa pierwsze w tym celu, spłaciła z procentem i raz na zawsze wszelki dług, jaki kiedykolwiek względem Anglii zaciągnęła. Sąsiednia Kanada poszła niebawem za popędem Stanów Zjednoczonych, a już w 1829 r., to jest w trzy lata po utworzeniu towarzystwa bostońskiego, wytwarza się także w Irlandyi, w Belfaście. Znalazła agitacya tu grunt płodny, gdyż przed końcem tegoż roku było w Irlandyi już 25 towarzystw wstrzemięźliwości, liczących 800 członków. Z wysokości dzisiejszych cyfr te małe początki zdawać się mogą niezasługującymi na wzmiankę nawet: z ich łona jednak wystrzeliła cała organizacya późniejsza. W Szkocyi za inicjatywą p. Dunlop w tymże roku zawiązuje się pierwsze towarzystwo przeciwko trunkom alkoholycznym, a stamtąd w następnym r. 1830 przedostały się one do właściwej Anglii, a mianowicie do miasta Bradford. Chociaż inne miasta angielskie, a między niemi i Londyn, poczynają wtedy organizować towarzystwa wstrzemięźliwości, urządzać meetingi, ogłaszać broszury i pamflety, to wszelako o prawdziwym ruchu i propagandzie nie było mowy aż do r. 1832, gdy powstało słynne towarzystwo w Prestonie. Od tej chwili silny grunt znalazły dla siebie. Duszą towarzystwa wstrzemięźliwości w Prestonie był Józef Livesey, handlarz wiktuałów: jest to osobistość zagrzana istotnie moralnym ferworem i zasługuje nie tylko na przydomek angielskiego Franklina, ale na tę cześć, religijną nieledwie, jaką mu wszyscy adepci wstrzemięźliwości oddają. On i sześciu jego towarzyszy i przyjaciół, którzy pierwsi podpisali *pledge*, t. j. zobowiązanie nieużywania żadnego gorącego

trunku—zarówno wina, spirytusów, jak i piwa,—wskazali swym przykładem jedyny, praktyczny sposób zwalczania pijaństwa. Przedtem nie miano odwagi rozciągać wstrzemięźliwości do wszystkich gorących trunków i doradzano umiarkowanie. Ale zbyt elastyczne to było pojęcie, ażeby posłużyć mogło za fundament dla odrodzenia masy: przez zostawioną szparę otwartą wciskało się pijaństwo znowu wstępny bojem. Jedynie raz na zawsze wyrzekając się wszelkich trunków, mógł ten, co się na ślizkiej pochyłości ku nałogowemu pijaństwu znajdował, zaczerpnąć siłę moralną i fizyczne poparcie. Właśnie dlatego, że zobowiązanie do całkowitej i bezwzględnej wstrzemięźliwości miało w sobie coś heroicznego, że wymagało zaparcia się i ustawicznej z sobą samym, z otoczeniem, z przyjętymi zwyczajami walki, pobudzało ono wszystkie wyższe i czystsze strony charakteru do działalności. Raz wszedłszy na tę drogę, złamawszy zakorzenione przyzwyczajenia, łatwiej już było na niej pozostać przez samo poczucie swej godności osobistej i przez oczywiste dowody korzyści materyalnych, jakie z nowego trybu życia płynęły.

Epidemia choleryczna 1832 r. była także klęską dla świeżo rozbudzającego się ruchu za wstrzemięźliwością, gdyż podług upowszechnionych wówczas opinii gorące trunki miały być antydotami. Mimo tego w tymże roku w samej Szkocyi było już przeszło 50,000 członków tych stowarzyszeń, a w Anglii i Irlandyi agitacya wzrastała. Livesey i jego towarzysze z Prestonu rozpoczynają swój misyonarski zawód, zatykając po okolicznych wsiach i miastach chorągiew wstrzemięźliwości, odbywając meetyngi, rozrzucając w tysiącnych egzemplarzach broszury i odezwy. Nazwa *Teetotal*, *Teetotalizm*, z początku śmieszna, stała się powszechną; nowy wyraz wszedł do słownika angielskiego i nowy prąd stawał się widoczny wśród społeczności. Opinia publiczna tak dalece zaczęła się zajmować tą sprawą, że parlament, ten czujny jej regulator, uznał za właściwe wyznaczyć ze swego łona wielką komisję śledczą dla zbadania rozmiarów, przyczyn i następstw pijaństwa oraz zaproponowania zaradczych na nie środków. Niżej zajmujemy się całością ustaw prawodawczych, odnoszących się do tej sprawy, tu jednak wydaje się stosownem powiedzieć, że już raport tej komisyi parlamentarnej

z 1834 r. wskazał cały szereg środków przechodowych oraz bezpośrednich do powstrzymania plagi pijaństwa. Nie brakowi rozpoznania złego, ale zakorzenionemu egoistycznemu interesowi pewnych grup społeczeństwa przypisać należy ten potworny fakt, że w 60 lat po tym raporcie sprawa tak małe jeszcze uczyniła postępy. Niestrudzonym agitatorek za wstrzemięźliwością w łonie parlamentu był wówczas p. Buckingham, który zasługuje na wdzięczne wspomnienie u potomności; odgrywał on tę samą rolę, którą za dni naszych spełnia sir Wilfried Lawson, ale z mniejszem niestety powodzeniem, gdyż opinia nie była jeszcze tak należycie przygotowana, jak nią jest obecnie. Dzieło moralnego odrodzenia społeczeństwa nie może być improwizacją.

Brakuje nam miejsca do kreślenia obrazu coraz szerszego rozgałęziania się towarzystw wstrzemięźliwości. Każdy rok, każdy miesiąc o niem świadczy. Ruch obejmuje wiele miejscowości przedtem całkiem dlań obojętnych. Wszystkie klasy towarzyskie biorą w nim udział, co tem więcej mogło zadziwiać, że wyższe drwiły z niego nie dawno jeszcze. Duchowieństwo angielskie, które nie tylko było obojętne, ale po prostu nieprzyjazne względem reformatorskiej agitacji, zaczyna zdawać sobie sprawę z popełnionego błędu i w niektórych kościołach rozpoczynają się kazania za wstrzemięźliwością. Tu zakładane są stowarzyszenia dla niedorostków, ażeby ich zawczasu wdroyć do uczciwego życia, tam organizują się stowarzyszenia kobiet. Krzątać się zaczynają też filantropowie o rozpowszechnienie ich wśród armii lądowej i morskiej. Towarzystwa istniejące organizują filie, jedne rywalizują z drugimi w sposobach propagandy: broszurki rozdawane są milionami egzemplarzy, powstają pisma peryodyczne, odbywają się meetingi, urzędowi ajenci towarzystw objeżdżają prowincye odległe, niosąc do nich dobre słowo; powstają różne zakłady i instytucye dla stowarzyszonych, a między nimi hotele i restauracye, gdzie żadnych gorących trunków nie wolno gościom dostarczać.

Lecz w dziele propagandy jeżeli pomocnicze instytucye są użyteczne, to przede wszystkim trzeba mieć apostołów, ludzi zagranych duchem nawracania i ulepszenia. Nie brakło ich nigdy sprawie wstrzemięźliwości w owych trudnych latach no-

wicyatu. Jedną z najpiękniejszych osobistości był ojciec Mathew, zakonnik Franciszkanin, Irlandczyk, rodem z Corku. Rodzaj magnetycznego czaru, jaki wywierał na słuchaczy, musiał być wszechpotężny, skoro w dziewięć pierwszych miesięcy swej działalności w 1838 r. nie mniej jak 156,000 osób podpisało akt zrzeczenia się używania gorących trunków. W czasie jego pielgrzymek po Irlandyi odbywały się sceny nadzwyczajne: duszono się u drzwi kościołów, w których kazał, siadywano na dachach domów i po piwnicach, gdy przemawiał na placach publicznych, sypały się dary i podpisywano tłumnie akty zrzeczenia. Nie trudno było wtedy żywić nadzieję, że Irlandya, ta klasyczna ziemia pijaństwa, zostanie całkiem nawrócona; lecz u tego pełnego zapału ale małej wytrwałości plemienia celtyckiego niepodobna nigdy obrachować ściśle, co przygotuje przyszłość. Propaganda w ciągu kilku lat następnych była równie energiczna i równie skuteczna; liczba nawróconych liczyła się na krocie tysięcy, a poziom przeciętnej moralności publicznej tak się podniósł, że nawet najżarliwsi przeciwnicy katolicyzmu musieli przyznać, iż w osobie Ojca Mathew dokazał on cudów, że przekształcił charakter swych ziomków. W ciągu jednego 1840 r. wypalono o 3,500,000 galonów *whisky* mniej, a dochód z akcyzy zniżył się o pół miliona funtów. Zaproszony do Szkocyi i Anglii, i tam krucjaty swoje prowadził; ale chociaż i wśród ludności protestanckiej wpływ jego był potężny i dziesiątkami tysięcy zbierał akty zrzeczenia się, to widocznem było, iż uprzedzenie religijne, wstręt, jaki przed pół wiekiem budził „papizm,” nie pozwoliły mu osiągnąć takich samych rezultatów jak w rodzinnej Irlandyi.

Kiedy jedne towarzystwa wstrzemięźliwości rozwiązywały się, nie będąc w stanie przewyciężyć napotykanych trudności miejscowych, zawiązywały się w innych hrabstwach i miastach drugie. Niema potrzeby rozszerzać się nad rozmaitemi przechodowymi fazami tego w nieustannym ruchu znajdującego się mrowiska. Faktem najwydatniejszym jest coraz widoczniejsza dążność do centralizowania drobnych stowarzyszeń w wielkie ciała zbiorowe. I tak: w r. 1842 powstaje *National Temperance Society*, która jest po dziś dzień jedną z przewodniczących organizacyi, a w następnych latach inne, jak: *United Kingdom*

Alliance albo *National Temperance Federation*. Zwoływane przez nie coroczne wiece, urządzane z ich okazji procesyonalne pochody, uczty, bankiety, były użytecznymi środkami w szerzeniu agitacji. Każde z tych wielkich towarzystw ma swe organa prasy peryodycznej i nie zaniedbują niczego, ażeby raz zdobytych adeptów utrzymywać w swych szeregach.

Kościół urzędowy, który tak długo boczył się od towarzystw wstrzemięźliwości i z ich agitacją nie łączył, uznał na koniec w 1862 r. za właściwe utworzyć także swoje. Powstało ono wtedy pod nazwą *Church of England Temperance Society* i oddało od tej chwili, dzięki swemu stanowisku, wpływom i funduszom, wielkie usługi. Ażeby nie ścieśniać programu swego, Towarzystwo kościoła anglikańskiego stanęło na dwoistej podwalinie: całkowitej wstrzemięźliwości i umiarkowanego używania gorących trunków. Kościół katolicki pod ożywcem tchnieniem kardynała Manninga także wytworzył pod nazwą Ligi Krzyża towarzystwo wstrzemięźliwości, rozwijające płodną działalność.

Tak wytrwała i tak wszechstronna działalność za wstrzemięźliwością skryształizowała się obecnie w nadzwyczaj wielkiej liczbie organizacyi. Niepodobna wymienić nam wszystkich i po prostu ograniczyć się wypada do grup przedniejszych.

Do pierwszej należą towarzystwa działające na dorosłych, a rozpadające się na wszech-narodowe, prowincjonalne i miejscowe. Do najbardziej czynnych należą: Liga Brytańska wstrzemięźliwości, której prezesem jest znany mąż stanu p. Caine; Towarzystwo narodowe wstrzemięźliwości, w którym prezyduje lord biskup Londynu; Ligi Narodowe Szkocka i Irlandzka oraz Ligi północna, południowa, Walijska, Dorsetu i inne. Każda z nich rozporządza budżetem kilku tysięcy funtów rocznie, posiada samodzielną administrację, biura centralne i prowincjonalne i niema wątpienia, że bierze swe zadanie na seryo.

Do drugiej grupy należą towarzystwa, które zwróciły się do młodego pokolenia i za młodu wszczepiają w nie zasady czystej moralności. Najpierwsze miejsce pośród nich zajmuje Unia Nadziei. Dzieli się ona na rozmaite gałęzie i związki. Ażeby dać wyobrażenie o ich liczbie, wymienimy tylko dwie cyfry statystyczne za rok ostatni, odnoszące się do organizacyi, zale-

znej od sekty Metodystów wesleyańskich. Związków Nadziei było 3,882, a liczba członków, należących do tych związków—400,167. *Ab uno aisce omnes*. Bez wątpienia, że do trzech milionów chłopców i dziewcząt należy już obecnie w Wielkiej Brytanii do Unii Nadziei.

Do następnej grupy należy Związek dobrych Templaryusz (Good Templars Order), Liga błękitnej wstążki i inne tego rodzaju stowarzyszenia. Pierwsza z wymienionych, pochodzenia amerykańskiego, ma łożę, jak wolnomularze, i wiele obrządków, form i ceremonii pokrewnych z nimi. Przy ich pomocy spodziewają się rozbudzić wyobraźnię i skłonić do energicznego działania. Liga błękitnej wstążki jest zewnętrznym znakiem członków stowarzyszeń; rozpowszechniona pomiędzy ludowymi warstwami społeczeństwa, jest ta wstążeczka dla nich skutecznem poleceniem, gdy szukają pracy lub miejsca stałego. Nie ma chlebobdawcy, któryby nie przełożył tak udekorowanego kandydata nad równie może uzdolnionego, ale niedającego mu rękojmi uczciwości.

Dalej wymienić wypada grupę, obejmującą stowarzyszenia dobroczynne, specjalnie założone dla członków i uczestników towarzystw wstrzemięźliwości. Pierwsze miejsce zajmuje tutaj Towarzystwo ubezpieczeń, o kapitale 5,000,000 f. szt., a liczące 30,000 członków, i kilka innych, współzawodniczących z niem: szpitale, domy sierot i t. p.

Jako dwie ostatnie grupy figurują na koniec towarzystwa wstrzemięźliwości dla żołnierzy i majtków. Czynią one niezmiernie wiele dobrego dla armii, a że się szerzą, za dowód posłużyć może urzędowy wykaz za rok ostatni, gdzie w samej sekcji indyjskiej było członków 18,000.

Niepodobna jest nawet w przybliżony sposób obliczyć ilości członków, zapisanych do różnych stowarzyszeń, choćby dlatego, że niejeden należy do kilku rozmaitych towarzystw. Ale nikt z zajmujących się sprawą nie wątpi, że na sześć do siedmiu milionów już członkowie wstrzemięźliwości się liczą w Wielkiej Brytanii. Jest to rezultat nie do pogardzenia. Każdy, kto od dłuższego czasu zamieszkuje tutaj, może własnem doświadczeniem stwierdzić zwiększające się zastępy stowarzyszonych. Już obecnie nie boją się śmieszności i czują za sobą

siłę i solidarność milionów. Nie tylko do warstw ludowych, ale i do klas wyższych zwraca się propaganda. Księżna Rutland, księżna Bedford, lady H. Somerset i lady F. Cavendish zajmują pierwsze miejsce pomiędzy agitatorkami, a odczyt tej ostatniej na zjeździe kościelnym w Folkestone, w roku zeszłym, nie przestał jeszcze być rozważanym: rzucił on pewne światło na zwyczaje, istniejące i rozpowszechnione u kobiet klas wyższych. Powoli obyczaje się zmieniają. Nie tylko że służący nie otrzymują już obecnie piwa i wódek, jak do tego byli przyzwyczajeni dawniej, a w zamian czego wartość trunków pieniężna jest im zwracana, ale wśród warstw wykształconych reforma jest widoczna. Było zwyczajem w Anglii, po obiedzie, gdy stół opuściły damy, że naokół niego zostawali mężczyźni i pijatyka trwała do chwili wybijającej godziny odjazdu. Należy to już teraz do przeszłości—i rzadkie są domy, gdzieby mężczyźni nie powrócili do salonu, do niecierpliwie ich oczekujących kobiet. Są to drobiazgi zapewne, ale, postawione jedno obok drugich, świadczą, że o przyzwoitości i o moralności inne sobie obecnie czynimy wyobrażenie, aniżeli miało to miejsce w poprzedzającym nas pokoleniu. Obrazy, które kreślił Karol Dickens, stały się, pomimo nieodległej ich daty, archeologicznym zabytkiem.

III.

Doszedłszy do tego punktu w badaniu kwestyi gorących trunków, każdy uważny czytelnik będzie w stanie objąć jednym spojrzeniem dwie jej strony i zdać sobie sprawę z niepokądzalnego, jak się zdawać może, pomiędzy nimi przeciwieństwa. Istotnie, nikomu na myśl nie przyjdzie zaprzeczać strat ekonomicznych, jakie świat wielkobrytański ponosi wskutek używania gorących trunków, strat materyalnych zarówno jak moralnych. Równocześnie niepodobna odmówić hołdu czci i szacunku dla ludzi, którzy się poświęcili szlachetnemu zadaniu wyzwolenia swego społeczeństwa z tej plagi; niepodobna zaprzeczyć, że wysiłek towarzystw wstrzemięźliwości i ich organizacji jest olbrzymi, podziwu godny. Lecz trzebaby posiadać wyjątkową dozę optymizmu, aby powiedzieć słowami poety: *ceci va tuer cela*.

W przeciągu 70-letniego swego istnienia towarzystwa wstrze-
mięzliwości zrobiły niezaprzeczenie wiele dobrego, podniosły za-
pewne moralny dyapazon społeczny, ale pijaństwa nie zniwe-
czyły. Obecnie, tak samo jak przed ich utworzeniem, Wielka
Brytania traci przez trunki najlepsze swe siły. Wobec 141 mi-
lionów funtów szt., rzuconych w ostatnim jeszcze roku w paszczę
tego smoka, trzeba być naiwnym, aby widzieć naród angielski
nawróconym. Nieubłagane fakty dmuchają mroźnym wiatrem
na różane złudzenia. Wrzucono dobre ziarno w glebę—to pra-
wda, ale zanim wejdzie, kto wie, co się ze społeczeństwem tem
stanie. Pascal jeszcze powiedział, że człowiek jest na pół anio-
łem, a na pół bydlęciem. Towarzystwa wstrzeźliwości sta-
rają się wzmódz ów dodatni żywioł, ale dotąd rezultat nie jest
na wysokości wysiłku: zawsze zwycięża bydlę.

Gdyby się tedy spodziewało radykalnego wyleczenia na-
rodu z nałogu pijaństwa przez środki bezpośrednio stosowane
przez filantropijnych agitatorów wstrzeźliwości, niepodo-
bnaby się było wstrzymać od rozpacz i uważać walkę z ży-
wiołem ujemnym za niepodobną. Ale, na szczęście, tak nie jest.
Agitacya ta, sama w sobie bezsilna, miała wytworzyć wśród
społeczności opinię publiczną i przygotować dla niej pole dzia-
łalności. Tego udało się jej dokonać. Niema dziś nikogo,
ktoby nie znał istnienia plagi społecznej, i nikomu nie wolno
pozostać obojętnym widzem walki, która się bez przerwy odby-
wa: trzeba stanąć albo po stronie fabrykantów spirytusu
i szynkarzy, albo po stronie narodu, który oni zatruwają i wy-
zyskują. Opinia raz ustalona znajdzie sposób ujawnienia się
w czynie. Tam, gdzie pojedyncze jednostki i zbiorowe organi-
zmy nie podołały, tam podoła wszech-organizm, państwo i jego
wyraz—prawo. Uciec się pod jego skrzydła, otrzymać od pra-
wodawcy, od parlamentu broń przeciwko zhu nurtującemu pod-
waliny narodowego bytu—oto co każdy umysł praktyczny
uznał za niezbędną, za naglącą konieczność. W ten a nie w inny
sposób tylko da się łeb zetrzeć hydrze.

Prawa, regulujące w Anglii produkcję, handel i spożywa-
nie gorących trunków—*Licensing laws*—są, jak wszystkie inne
prawa, pozbawione systematyczności, krzyżują się jedne z dru-
giemi,—błąkamy się w nich, jak wśród gęstwiny leśnej; ale nie

można zaprzeczyć, że istnieją, że w ten lub ów sposób zawsze się prawodawca niemi zajmował, i że nic nie stoi na zawadzie, ażeby wszechwładny parlament i w przyszłości takie samo wziął na się zadanie. Nieraz już chwycił się on radykalnych środków. Nie potrzeba schodzić aż do XVI-go stulecia, gdy za Edwarda VI-go dystylacja spirytusów została wzbroniona, bo nawet w naszym, w Irlandyi po dwakroć, w 1810 i 1813 roku, dla ocalenia ludu od głodowej śmierci wzbroniono wypalać okowitę ze zboża i produkcya spirytusu spadła tam natychmiast z 7,500,000 na 4,300,000 galonów. Jako istotnie obowiązujący do chwili obecnej jest *Licensing Act* z r. 1828. Na jego mocy prawo udzielania patentu na utrzymywanie szynku i sprzedawanie gorących trunków jest w ręku władzy sądowniczej i patenty te są wydawane tylko na rok jeden, a po jego upływie odnawiane być winny. W r. 1830-ym wydany został słynny *Beer Act* w celu faworyzowania piwa kosztem spirytusów i odjął on władzy sądowniczej posiadane przez nią od trzech wieków prawo udzielania patentów szynkarzom, a oddał je w ręce biura akcyzy; ale po upływie pięciu lat rzeczy wróciły, z małymi wyjątkami, do dawniejszego stanu. Od r. 1848 datuje pierwsze ścisłe prawo, ograniczające sprzedaż gorących trunków i zamykanie szynków w niedziele i dni świąteczne przez kilka godzin. W Szkocyi, gdzie taki sam przepis stał się obowiązującym od r. 1854-go, ale surowszy, konsumpcya gorących trunków zmniejszyła się od razu o 15 milionów galonów.

W r. 1864-ym po raz pierwszy sir Wilfried Lawson wniósł w izbie gmin tak zwany *Permission Bill*. Stanowił on, że w każdej miejscowości dwie trzecie części mieszkańców płacących podatki mogą nie dozwolić otwierania szynków i wydawania patentów szynkarzom. Był to pierwszy krok w dziedzinie prawodawczej młodego wówczas baroneta. Aż do chwili obecnej stoi na wyłomie, nieustrudzony, pełen nadziei. Jest on głową całego stronnictwa wstrzemięźliwości, prezesem *United Kingdom Alliance*, rodzajem papieża, czczonego i wpływowego więcej, aniżeli niewtajemniczeni w stosunki angielskie wyobrażać sobie mogą. Negocjuje on z gabinetami jako potęga z potęgą; jeżeli p. Goschen, kanclerz skarbowości w ostatnim gabinecie lorda Salisbury, zmuszony był wycofać swój niefortunny

bill o kompensacie pieniężnej dla szynkarzy, których szynki byłyby zamknięte, było to następstwem *quos ego*, które mu sir Wilfried Lawson cisnął z oburzeniem; jeżeli nakoniec obecny gabinet przedłożył bill o *Local Veto*, prawie taki sam, jaki sir Wilfried na każdej sesji parlamentu ze swojej inicjatywy przedstawiał, to skłoniony do tego został przez jego wpływ. Stanowisko jego zostało zresztą wymownie postawione przed całym światem Wielkiej Brytanii przed kilku miesiącami, gdy urządził w Hyde Parku wielki meeting zwolenników wstrzemięźliwości. 100,000 publiczności, które brały udział w tej nadzwyczajnej manifestacji, sprawiło wielkiemu organizatorowi owacę, która była istotną jego apoteozą. Sir Wilfried był dobrym strategiem. Wnosił on zawsze swój bill, pozyskiwał dla niego przy pierwszym, a później w drugim jego czytaniu pewną, a coraz wzrastającą liczbę głosów, i zadawał sobie tem moralnem zwycięstwem. Wiedział dobrze, że gdyby do prawdziwej walki parlamentarnej przyszło, zostałby na łeb pobity. Rząd nie żywił dlań sympatii, a pan Gladstone, ów szlachetny idealista, nigdy wielkości tej sprawy nie chciał zrozumieć: będąc praktycznym finansistą, nie spuszczał z oka interesów skarbu, dochodów, zapewnionych mu przez spożywanie gorących trunków—i dopiero w tym roku zgodził się wciągnąć do swego programu reformę sprawy trunkowej.

Local option, t. j. decyzya w każdej gminie albo parafii co do ilości szynków i udzielanych patentów dla szynkarzy, zasada, która stawiała rozstrzygnięcie kwestyi w ręku tych, którzy przedewszystkiem są w niej interesowani, kierowała sir Wilfriedem Lawson w rezolucjach, jakie przedstawiał parlamentom z kolei w latach 1879, 1882 i 1883. Różne inne bille, które były raz albo dwa odczytywane na każdej z następnych sesji, wszystkie z tej lub owej strony napastowały produkcję i konsumpcję gorących trunków. Ale nie można zaprzeczyć, że radykalizm, z jakim towarzystwa wstrzemięźliwości chciały tę sprawę rozwiązać przez wiele lat, o wiele pierwej aniżeli opinię powszechną sobie pozyskały, stawał także na przeszkodzie wprowadzeniu w czyn ich aspiracji. Zapominały one, że na każdym kroku groziły interesom materyalnym potężnej partii narodowej, że koalicya tej gałęzi przemysłu i wytwórczości, która, podług

smutnego określenia p. Chamberlain'a, jest *par excellence* narodową, nie da się zdławić bez protestu, że izba gmin jest napelniona gorzelnikami, a że kwiat dziedzicznych lordów, zasiadających w izbie wyższej, wyrósł na tymże samym gruncie, i że miliony, które mu służą za podścielisko, nie uszlachetniły ich wprawdzie, ale uczyniły ich hardziejnymi i butniejszymi. Zapatrzeni w swój ideał, ci, co wraz z sir Wilfriedem Lawson prowadzili kampanię parlamentarną, odrzucili ze zgrozą proponowaną przez ostatni gabinet zachowawczy reformę. Polegała ona, przy utworzeniu rad prowincjonalnych po hrabstwach, na oddaniu tym ostatnim policyi i nadzoru nad sprzedażą gorących trunków i na nadaniu im prawa skupowania patentów szynkarzy.

Taka radykalna, nieprzejednana polityka doczekała się nareszcie dnia nie powiemy zwycięstwa, bo go jeszcze nie ma—ale dnia pomyślnego. Woda przyszła nareszcie na ich koło z objęciem władzy przez obecny gabinet liberalny Gladstona. Wywiązując się z przyjętego podczas agitacyi wyborczej zobowiązania, a uznając potęgę stronnictwa wstrzemięźliwości, ministerjum wniosło w marcu r. b. bill, który, jak powiedziane było wyżej, jest zgodny z dawniej wnoszonymi propozycjami sir Wilfrieda Lawson. Nic dziwnego, że ten ostatni, czyniąc zastrzeżenia, iż jest to, zdaniem jego, dopiero pierwszy krok w dobrym kierunku, wyraził swe pełne zadowolenie z jego brzmienia i obiecał rządowi stałe poparcie przyjaciół wstrzemięźliwości. Podług propozycyi rządu, która naturalnie ma inną zupełnie doniosłość, aniżeli bill z prywatnej inicjatywy wyszły, każda parafia, gmina i municypalność może zamknąć u siebie szynki za uprzednią zgodą dwóch trzecich części płacących podatków mieszkańców. Nie tylko zamknąć będą mogli szynki istniejące, ale odmówić udzielania patentów na otwieranie nowych. Ma także być w atrybucyach rady gminnej zastąpienie częściowego zamykania szynków w niedziele i święta kościelne przez całkowite ich zamknięcie.

Ponieważ stronnictwo wstrzemięźliwości, zmieniając dotychczasową taktykę, oświadcza, iż się na projekt rządowy zgadza, można przypuścić, iż wejdzie on w czyn. Nie trzeba się jednak łudzić nadzieją, ażeby kwestya została ostatecznie rozwiązana

w ten sposób. Bynajmniej. Sam sir Wiliam Harcourt, kanclerz skarbu w obecnym gabinecie, wnosząc ów bill, oświadczył, iż zdaje sobie z tego sprawę. Ale i ten nie przejdzie bez zażartej opozycji popleczników szynkarzy; lepiej tedy zostawić bardziej skomplikowane kwestye prawa o gorących trunkach przyszłemu parlamentowi. Trzeba będzie przekonać się naprzód, czy znaczna liczba gmin będzie chciała ze służącego sobie prawa zamykania szynków korzystać. Wiemy z doświadczenia, że jest to plan wykonalny, bo w jakich 600 parafiach południowej Anglii od dawna już ani jednego szynku niema; niema go także w całych dobrach, należących do majoratu lorda Shaftesbury, wielkiego filantropa,—niema go nawet w jednym z cyrkułów Londynu, Queen's Park. W tych miejscowościach każdy, chcący kupić butelkę albo beczkę wina, piwa lub wódki, może kupić ją w sklepach, albo sprowadzić z hurtownych składów; nikt mu nie zabrania we własnym domu pić, ile mu się podoba. Ale nie ulega wątpieniu, że pijaństwu położona jest w ten sposób największa faktycznie zaporą.

Przyjęcie tego billu rozstrzygnie *ipso facto* bardzo ważną sporną kwestyę kompensaty dla szynkarzy, których szynki będą zamknięte. Stronnictwo zachowawcze było zawsze zdania, że się wywłaszczonym należy indemnizacya; ale stronnictwo liberalne w zgodzie z towarzystwami wstrzemięźliwości utrzymywało, że patent sprzedaży wydawany był zawsze tylko na przeciąg jednego roku, że zatem niepodobna go uważać za własność prywatną, skonfiskowaną przez państwo. Mogli właściciele niewolników oswobodzonych w r. 1833 otrzymać kompensatę 20 milionów funtów szterlingów, ale, jak trafnie powiedział sir Wilfried, naród tak samo nie potrzebuje indemnizować szynkarzy, jak nie potrzebuje budować dla nich domu inwalidów: starzy weterani na polu bitwy zabijali wrogów ojczyzny, a szynkarze, po prostu stojąc za szynkwasem, zabijali swych własnych rodaków. Jeżeli tedy każda gmina będzie mogła otwierać lub zamykać u siebie szynki, o żadnej narodowej indemnizacyi mowy już nie będzie być mogło w przyszłości.

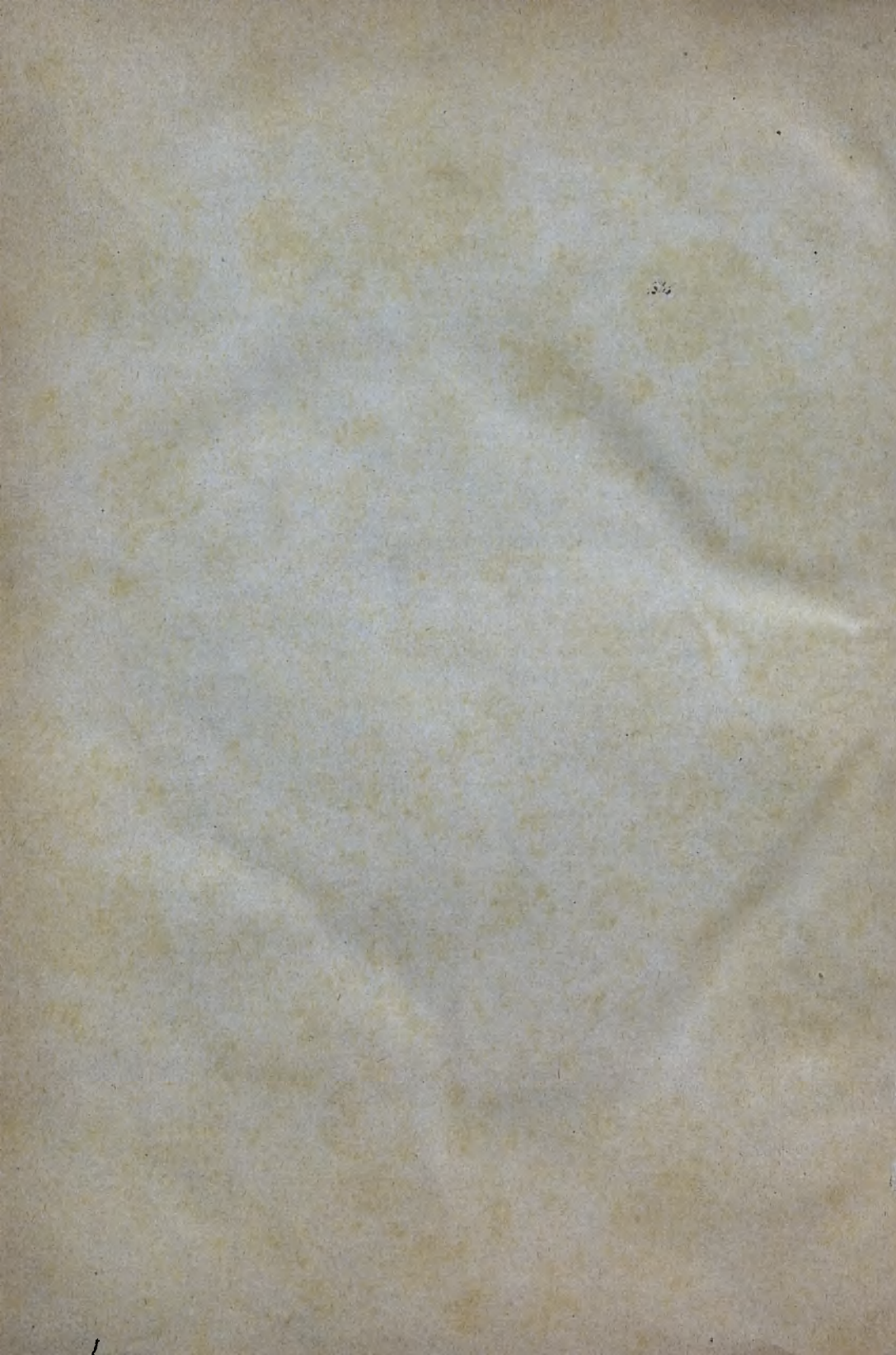
Jakie dalsze kroki mogą być przedsięwzięte w tym samym kierunku? Jest ich wiele. Niektórzy proponują, ażeby państwo ograniczyło *proprio motu* liczbę szynków do jednego na każdy



tysiąc mieszkańców; inni polecają ścisły i surowy dozór policyjny nad dozwołonymi szynkami i kryminalną odpowiedzialność szynkarzy za każde popełnione przez pijaków przestępstwo; inni nakoniec zadowolniliby się przeniesieniem na grunt angielski systemu wypróbowanego w Szwecyi i znanego pod nazwą Gothenburskiego. Dość będzie zresztą przypomnieć, że w wielu koloniach Wielkiej Brytanii kwestya ta cała rozwiązana została od dawna ku powszechnemu zadowoleniu miejscowej ludności. Macierz może się wiele od córek nauczyć.

Nie ulega, bądź-co-bądź, wątpliwości, że cała agitacya uczyniła wielki krok na przód i że zbliża się chwila krystalizacyi. Rzecz uwagi godna także, że nikt w Anglii nie kładzie już wielkiego nacisku na ewentualną utratę dochodu skarbu publicznego. Przypominamy jednakże, że wynosi on przeszło jedną trzecią część całego skarbowego dochodu. Obojętność na to jest nie tyle następstwem wstydu, że państwo żyje z zabijania i okradania swych obywateli, ile z coraz bardziej gruntującego przeświadczenia, iż stracone w ten sposób dochody będą natychmiast odzyskane, a niebawem i z nadmiarem, z innych źródeł wytwórczości krajowej, z powiększonego podatku dochodowego i t. d. Cała kwestya stoi na gruncie moralności i argumenty higieniczne, ekonomiczne, prawne, fiskalne stają tylko jako armia dodatkowa. Widzieliśmy, jakiej jest ona siły, i ci nawet, którzy sceptycznie spoglądają na umoralnienie masy, nie są obojętni na te praktyczne względy. W takim stanie rzeczy niema powodu tracić nadziei, że Wielka Brytania energicznie weźmie się do dzieła narodowego i że wskaże innym organizmom państwowym drogę do dopięcia tego samego celu.

K O N I E C.



KSIĘGARNIA TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

w Warszawie, Nowy-Świat Nr. 41.

Poleca niektóre dzieła, własnym nakładem wydane:

	<i>Rs. kop.</i>
Bełcikowski Adam. Ks. Stanisława Grochowskiego żywot i pisma. Studium literackie	1 80
Boirac Emil, prof. fil. Zasady filozofii. Przeł. A. Dygasiński	4 25
Buckley Arabella. Przez szkła czarodzieja. Książka dla młodzieży. Z licznymi drzeworytami w tekście. Rs. 1, w kart.	1 20
Carlyle T. Bohaterowie. Cześć dla bohaterów i pierwiastek bohaterstwa w historii. Przekład z angielskiego.	1 50
Chassang A. i Marcu A. L. Epos. Arcydzieła poezji epicznej wszystkich czasów i narodów. Przełożył i uzupełnił A. Lange	2 —
Chmielewski Piotr i Grabowski Edward. Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przykładach. Zeszyt I i II po	— 50
Przedpłata za całość z 12-tu zeszytów rs. 4, lub w prenumeracie rs. 5 (przy odbiorze I-go zeszytu rs. 2, przy III-cim rs. 1 kop. 50 i przy VI-ym rs. 1 kop. 50).	
Choiński-Jeske Teodor. Bez wyboru. Opowieści, jakich wiele.	1 —
Cullerre A. d-r. U wrót obłądu. Studium psychologiczne	1 50
Dąbrowski Ignacy. Felka. Nowella	1 50
Daniell A. Zasady fizyki, podręcznik z 257 drzeworyt. w tekście, przełożył z angielskiego J. J. Boguski. Rs. 7 k. 50. W oprawie	8 50
Flaum M. Alkohol i alkoholizm	— 50
Garborg Arne. Znużone dusze. Studium	1 50
Gawrońska Ant. Bajki, gadki, przysłowia i piosneczki, spisane z ust ludu dla dzieci	— —
Giraud Paweł. Opowiadania historyczne. Grecya. Życie domowe i publiczne Greków. Przełożył J. L. Popławski	— —
Gomulicki Wiktor. Złote ogniwa. Powieść. 2 tomy	— —
Hajota. Ich syn. Powieść współczesna w 2-ech tomach	— —
Hamsun Knut. Redaktor Lyngé, romans. Przełożyła z oryginału R. Bernstein	— —
Hovey A. William. Odgadywanie myśli. Przełożył z angielskiego Henryk Wernic. Z licznymi rysunkami	— —
Hannson Ola. Szkice literackie	— 75
Heilpern M. Tajemnice przyrody. Wiadomości ogólne o świecie. Kurs zawierający wskazówki do systematycznego wykładu nauk przyrodniczych. Z 25 drzew. w tekście	1 50
Heryng Zygmunt. Rubel. Historia, przyczyny wahań i środki ustalenia papierowego rubla. Studium ekonomiczne	1 —
Jeż T. T. Edward Kloc. Powieść	— 80
Junosza Klemens. Monologi. Z rysunkami F. Kostrzewskiego	1 20
Junosza Klemens. Żywota i spraw Imé Pana Synchy Borucha Kalktugla ksiąg pięcioro	— —
Krasiński Zygmunt. Pisma, 3 tomy. T. I. Trydion. — T. II. Nieboska komedia. — T. III. Niedokończony poemat	2 —
Krzemiński Stanisław. Krzysztof Kolumb	— 50
Lenz Oskar. Do wybrzeży Azji Wschodniej. Wrażenia turysty. Przełożył S. Stetkiewicz	— 60
Lindau Paweł. Państwo Beverowie. Powieść. Prótłmaczyła Bronisława Neufeldówna	— 40

KSIEŻYCA

TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

w Warszawie, Nowy-Świat Nr. 41.

Poleca niektóre dzieła, własnym nakładem wydane:

Rs. kop.

- Maspero G.** Opowiadania historyczne. Egipt i Assyrya. Przełożył J. Popławski 1 80
- Miller C. d-r.** Mamma. Porady i informacje co do wyboru, obchodzenia się i pielęgnowania mamek. Z niemieckiego przełożył d-r med. Ludwik Wolberg — 60
- Meyer Maurycy d-r.** Najnowsza ekonomia polityczna w jej głównych kierunkach na podstawie historycznej i krytycznie przedstawiona 1 20
- Meyer Wilhelm M.** W państwie gwiazd. Astronomia w pogadankach popularnych, z licznymi drzeworytami i kartą nieba 1 50
- Nałkowski Wacław.** Zarys geografii powszechnej (rozumowej). Wydanie II. 2 50
- Okniński F.** Mały podręcznik weterynaryi popularnej, zawierający sposoby niesienia pomocy chorym zwierzętom. Wydanie drugie — 6
- Or-ot.** Mały Sowizdrzał. Książeczka dla dzieci. Z obrazkami kolorowanymi — —
- Perez Bernard.** Charakter od lat dziecięcych do wieku dojrzałego. Przełożył R. D. 1 50
- Podręcznik księgarski.** Przewodnik praktyczny dla wydawców, księgarzy, pomocników i praktykantów księgarskich. Na podstawie swojskich i obcych źródeł opracowany pod redakcją Teodora Paprockiego. Zeszyt I i II. Cena zeszytu — 75
- Preyer W.** Rozwój umysłowy dziecka od pierwszego dnia życia oraz wskazówki do czynienia obserwacji dla rodziców i wychowawców. Przekład z niemieckiego d-ra M. Flauma — —
- Prus Bolesław.** Opowiadania wieczorne — —
- Rehfishch Eugeniusz d-r.** Samobójstwo. Studium krytyczne. Z oryginału niemieckiego przełożył Wiktor D. — —
- Rogosz Józef.** Czarny Prokop. Powieść, osnuta na tle życia opryszków karpackich — 75
- Rojan Kazimierz.** Dla iskry Bożej. Powieść — —
- Schofield A. T.** Inny świat, czyli czwarty wymiar przestrzeni — 20
- Schopenhauer A.** Sztuka prowadzenia sporów — 40
- Schroot A.** Życie i zdrowie człowieka. Rys higieny popularnej. Przełożył z upoważnienia autora i opracował d-r med. A. Fabian. 3 20
- Seignobos Ch. d-r.** Historia cywilizacji. Przełożył A. Dygasiński. Z 177-ma drzeworytami w tekście 5 20
- Shelley Percy Bysshe.** Prometeusz rozpetany — 50
- Słowacki J.** Genezis z ducha. — List do J. N. Rembowskiego. — Wykład nauki. — Dziennik z r. 1847—1849. Z wstępem i objaśnieniami d-ra Henryka Biegeleisena 1 80
- Smolenski Władysław.** Stanowisko Waleryana Kalinki w hystoryografii polskiej. Studium — 40
- Strzemeska J. i Weryho M.** Wychowanie przedszkolne. Podręcznik dla wychowawców. Z licznymi drzeworytami w tekście i 30 tablicami litografowanymi. Rs. 2, w kartonie 2 25
- Treadwell F. P.** ze współudziałem d-ra V. Meyer'a. Tablice do analizy jakościowej. Przełożył i do użytku zastosował d-r L. Kossakowski 2 —
- Teresa-Jadwiga.** Walka. Kilka epizodów z wojny francusko-pruskiej — —
- Veron Eugeniusz.** Estetyka. Przełożył z francuskiego A. Lange 3 —
- Zagórski Włodzimierz.** Poczy. Z teki Chochlika. Nowa seria 1 20
- Zeisel S. d-r.** Chemia (nieorganiczna i organiczna). Ogólny wykład zjawisk chemicznych oraz ich zastosowania w życiu praktycznym. Z 261 drzeworytami w tekście. Z oryginału niemieckiego przełożył d-r M. Flaum. 6 —

UNIVERSITY OF CHICAGO
LUDVIG
Chicago, Ill.
Oct. 1911 (Ludwig) 55

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000634657



II 178124